

Porywająca!  
PEOPLE

Mocna!  
GUARDIAN

Wyjątkowa!  
METRO

Kusząca!  
STYLIST

WYBIERZE  
MIŁOŚĆ CZY WŁADZĘ?



# ROZGRYWKA KRÓLOWEJ

ELIZABETH FREMANTLE




ALBATROS

## ZMYSŁ DO DYPLOMACJI, ROZWAGA, ODDANI SOJUSZNICY I OCZY DOKOŁA GŁOWY...

Bez tego trudno przeżyć w łożu i na dworze króla, którego wcześniejsze żony kończyły w niełasce - jeśli miały dużo szczęścia - albo na gilotynie.

Katarzyna Parr musi zostać damą dworu starzejącego się króla. W tym wrzącym od intryg otoczeniu namiętny romans z uwodzicielskim Thomasem Seymourem staje się jedynym jasnym punktem jej życia i daje wreszcie nadzieję na małżeństwo z miłości. Król Henryk Tudor, urzeczony uczciwością i inteligencją Katarzyny, ma jednak wobec niej całkiem inne plany. Składa propozycję, której Katarzyna nie może odrzucić. I nie tylko dla zachowania swojej pozycji na dworze. Rozgrywka, która ją czeka, będzie wymagała najwyższej finezji, bo chodzi o przetrwanie.

Ekranizacja *Rozgrywki królowej*, porywającej historii kobiety, która gra o najwyższą stawkę (z Alicią Yikander i Jude'em Law w rolach głównych), okazała się jednym z hitów Festiwalu Filmowego w Cannes w 2023 r.



ALBATROS  
Wydanie elektroniczne

# ROZGRYWKA KRÓLOWEJ

ELIZABETH FREMANTLE

Z angielskiego przełożyła  
MARIA GĘBICKA-FRĄC

# ELIZABETH FREMANTLE

Angielska pisarka, urodziła się i wychowała w Londynie. Jej kariera zawodowa potoczyła się nietypowo. Po szkole Fremantle zaczęła pracować dla prasy, między innymi jako dziennikarka moda dla brytyjskich edycji „Elle” i „Vogue’a”, a następnie dla francuskiego „Vogue’a”. W latach dziewięćdziesiątych ukończyła studia z literatury angielskiej, a następnie prowadziła zajęcia z kreatywnego pisanie.

Kariera pisarska Fremantle rozpoczęła się w roku 2013, gdy ukazała się *Rozgrywka królowej*, rozpoczynająca Trylogię Tudorów. Jak niewiele debiutów literackich książka natychmiast została doceniona przez krytyków. „The Bookseller” uznał jej autorkę za jeden z ważniejszych współczesnych głosów w beletrystyce historycznej, a „People” za błyskotliwą pisarkę wyciągającą na światło dzienne na pozór niewidzialne kobiety w historii brytyjskiej monarchii. Dwie kolejne powieści – *Siostry zdrady* i *Strzeż się damy* – ugruntowały pozycję tej autorki na rynku wydawniczym.

Szczególnym rokiem dla Elizabeth Fremantle był 2023. Jej siódma powieść, *Disobedient*, pobiła sukcesy wcześniejszych, a nakręcony na podstawie *Rozgrywki królowej* film w gwiazdorskiej obsadzie, z Alicją Vikander i Jude’em Lawem, stał się wydarzeniem na Festiwalu Filmowym w Cannes.

Tytuł oryginału:  
QUEEN'S GAMBIT

Copyright © Elizabeth Fremantle 2013  
First published as QUEEN'S GAMBIT in 2013 by Michael Joseph.  
Michael Joseph is part of the Penguin Random House group of companies.  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024  
Polish translation copyright © Maria Gębicka-Frać 2024

Redakcja: Anna Walenko  
Projekt graficzny okładki oryginalnej: Holly Ovenden  
Opracowanie graficzne okładki polskiej: Agnieszka Drabek,  
Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-6775-997-7

Wydawca  
Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
[wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com)  
[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)



*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Konwersja do formatu elektronicznego  
na zlecenie [Woblink.com](http://Woblink.com)  
Katarzyna Błaszczuk

# Spis treści

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Epilog

Postacie

Ważne daty

Literatura uzupełniająca

Podziękowania

*Dla Alice i Raffiego*

# Prolog



*Charterhouse, Londyn, luty 1543*

NOTARIUSZ PACHNIE KURZEM I ATRAMENTEM. Jak to jest, zastanawia się Latimer, że gdy jeden zmysł się przytępia, to drugi wyostrza? Potrafi teraz wyczuć zapach wszystkiego: odór piwa w oddechu mężczyzny, drożdżowy aromat chleba pieczonego w kuchniach poniżej, smród mokrego spaniela zwiniętego w kłębek przy kominku. Ale widzi niewiele, pokój rozmywa mu się przed oczami, a mężczyzna to niewyraźny ciemny kształt, pochylający się nad łóżkiem z grymasem uśmiechu.

– Złóż tutaj swój podpis, lordzie – mówi notariusz w taki sposób, jakby miał do czynienia z dzieckiem albo idiotą.

Latimera owiewa zapach fiołków. To Katarzyna – jego kochana, droga Kit.

– Pozwól, że ci pomogę, Janie. – Notariusz podnosi go i kładzie mu poduszkę pod plecy.

Unosi go z łatwością. Musiał całkiem zmarnieć przez te ostatnie miesiące. Nic dziwnego, z guzem w jelitach, twardym i okrągłym jak hiszpański grejpfrut. Przy tym ruchu coś się zaczyna – fala rozdzierającego bólu wzbiera w jego ciele, wyciska z niego nieludzki jęk.

– Ukochany. – Katarzyna gładzi go po czole.

Jej dłoń jest chłodna. Ból wkręca się w niego głębiej. Latimer słyszy brzęk, gdy Katarzyna przygotowuje tynkturę. Łyżka miga odbitym światłem. Chłodny metal dotyka jego warg i w usta wlewa się strużka płynu. Gliniasty zapach przywołuje odległe wspomnienie jazdy konno przez las, a wraz z tym smutek, bo tamte dni na zawsze już minęły. Gardło wydaje się zbyt ściśnięte, żeby mógł przełknąć, i boi się, że to znowu wywoła ból. Ból zmalał, ale nie odszedł, podobnie jak notariusz, który w zakłopotaniu przestępuje z nogi na nogę. Latimer dziwi się, dlaczego ten mężczyzna nie jest bardziej przyzwyczajony do tego rodzaju rzeczy, skoro sporządzanie testamentów jest treścią jego życia. Katarzyna



gładzi Latimera po szyi i tynktura spływa do przełyku. Wkrótce zaczną działać. Jego żona ma dar sporządzania leków. Zastanawiał się, jaki eliksir mogłaby przyrządzić, aby uwolnić go od tego bezużytecznego ciała. Wiedziałyby, co trzeba zrobić. Każda z roślin, których używa do uśmierzenia bólu, mogłaby zabić, gdyby została podana w odpowiedniej dawce – trochę więcej tego lub tamtego i byłoby po wszystkim.

Ale czy może ją o to prosić?

Notariusz wsuwa pióro między palce Latimera i kieruje jego rękę do papieru, by mógł złożyć podpis. Te bazgroły uczynią Katarzynę kobietą zamożną. Latimer ma nadzieję, że to nie sprowadzi do jej drzwi przekleństwa łowców posagów. Jest jeszcze dość młoda, ledwie po trzydziestce, a jej charyzma, która sprawiła, że on – już starszy wdowiec – zakochał się w niej bez pamięci, wciąż otacza ją jak aureola. Nigdy nie miała zwyczajnej urody żon innych mężczyzn. Nie, jej powab jest skomplikowany i rozkwita z wiekiem. Na szczęście Katarzyna jest zbyt mądra, żeby dać się omamić jakiemś złotoustemu bałamutowi, który ma chrapkę na wdowi majątek. Tak wiele jej zawdzięcza. Kiedy myśli o tym, ile przez niego wycierpiała, chce mu się płakać, ale jego ciało jest niezdolne nawet do płaczu.

Nie zapisał jej zamku Snape, swojej siedziby w Yorkshire; nie chciałaby tego. Będzie szczęśliwa, powtarzała wiele razy, jeśli nigdy więcej jej noga tam nie postanie. Zamek dostanie Młody Jan. Syn nie wyrósł na takiego mężczyznę, jakiego miał nadzieję wychować, i często zastanawiał się, jakie dziecko mógłby mieć z Katarzyną. Na tę myśl zawsze kładzie się cień wspomnień o zmarłym niemowlęciu, przekętym dziecku spłodzonym przez łotra, gdy katolicycy buntownicy łupili zamek. Nie może pogodzić się z tym, że jego żonę zniewolił – kto by pomyślał! – Murgatroyd, kiedyś miły chłopak, którego zabierał na polowania na zające. Wówczas nic nie wskazywało, że wyrośnie z niego bydlę. Latimer przeklina dzień, kiedy zostawił młodą żonę samą z dziećmi i udał się na dwór, by prosić króla o ułaskawienie, przeklina słabość, która związała go z buntownikami. Minęło sześć lat, ale wydarzenia tamtego czasu wyryły się na tkance jego rodziny niczym słowa na nagrobku.

Katarzyna wygładza narzutę na łóżku, nucąc jakąś melodię; Latimer nie rozpoznaje jej lub nie pamięta. Wzbiera w nim fala uczucia. Jego małżeństwo było związkiem z miłości – w każdym razie z jego strony. Nie zrobił jednak tego, co powinni robić mężowie: nie ochronił jej. Katarzyna nigdy o tym nie mówiła. Chciał, żeby krzyczała i wściekała się na niego – nienawidziła go, obwiniała. Ani razu nie straciła panowania nad sobą, jakby nic się nie zmieniło. A jej brzuch rósł, szydząc z niego. Dopiero gdy dziecko przyszło na świat i zmarło w ciągu godziny, zobaczył na jej twarzy ślad łez. Nawet wtedy nie padły jednak żadne słowa.

Ten guz, który z wolna go pożera, jest jego karą i Latimer wie, że może odpokutować swoją winę tylko w jeden sposób: czyniąc ją bogatą. Czy może poprosić ją o jeszcze jedną przysługę? Gdyby choć przez chwilę mogła zamieszkać w jego znękanym ciele, spełniłaby jego prośbę bez wahania. Byłby to akt miłosierdzia i z pewnością nie grzeszny.

Katarzyna stoi przy drzwiach, żegnając notariusza, po czym wraca, by usiąść obok męża. Ściąga czepiec i rzuca go w nogi łóżka, czubkami palców pociera skronie i potrząsa tycjanowskimi włosami. Rozsiewają zapach suszonych kwiatów i Latimer pragnie zanurzyć w nich twarz, jak kiedyś. A ona bierze książkę i zaczyna cicho czytać – łacina gładko wypływa z jej ust. To Erazm. Sam zbyt słabo pamięta łacinę, żeby zrozumieć sens; powinien pamiętać tę książkę, jednak nie pamięta. Katarzyna zawsze była lepiej wykształcona, choć udawała, że jest inaczej, i nigdy się nie chwaliła.

Przerywa im nieśmiałe pukanie. To Meg, trzymająca za rękę niezdarną służkę, której imię mu umyka. Biedna mała Meg od czasu przybycia Murgatroyda i jego ludzi jest nerwowa jak źrebię, tak że zaczął się zastanawiać, co ją wówczas spotkało. Mały spaniel budzi się, szaleńczo merda ogonem i kręci się wokół nóg dziewcząt.

– Ojczy – szepcze Meg, składając wiosenny pocałunek na jego czole. – Jak się masz?

Latimer podnosi rękę, dużą kłodę martwego drewna, kładzie ją na jej miękkiej młodej dłoni i próbuje się uśmiechnąć.

– Matko, przyszedł Huicke – zwraca się Meg do Katarzyny.

– Dot – mówi Katarzyna do służki – wprowadź medyka.

– Tak, pani. – Dziewczyna odwraca się z szumem spódnicy i idzie do drzwi.

– I, Dot... – dodaje Katarzyna.

Służka zatrzymuje się w drzwiach.

– ...poproś któregoś z chłopców, by przyniósł więcej drewna do ognia.

Palimy ostatnie polano.

Dziewczyna dyga, kiwając głową.

– Dzisiaj są urodziny Meg, Janie – mówi Katarzyna. – Kończy siedemnaście lat.

Latimer czuje się bezradny, chciałby lepiej zobaczyć córkę, odczytać wyraz jej orzechowych oczu, ale szczegóły są zamazane.

– Moja mała Meg, Małgorzata Neville, kobieta... siedemnaście lat. – Ma ochrypliwy głos. – Ktoś będzie chciał się z tobą ożenić. Jakiś wspaniały młody człowiek. – Ta myśl uderza go jak policzek: nie pozna męża córki.

Meg ociera oczy.

Huicke wślizguje się do komnaty. Przychodził codziennie w tym tygodniu. Latimer zastanawia się, dlaczego król wysłał jednego ze swoich lekarzy do opieki nad prawie zhańbionym lordem z północy. Katarzyna uważa, że to znak prawdziwego ulaskawienia. On jednak nie widzi w tym sensu i zna króla na tyle, by podejrzewać, że przyświeca mu ukryty cel, choć nie bardzo wie jaki.

Lekarz jest chudym czarnym cieniem zbliżającym się do łóżka. Meg całuje ojca na pożegnanie i wychodzi. Huicke odsuwa kołdrę, uwalniając zjełczały smród, i zaczyna obmacywać guza miękkimi palcami. Latimer nienawidzi tych dłoni obleczonych w koźlęcą skórę. Nigdy nie widział, żeby Huicke zdejmował rękawiczki, cienkie i gładkie jak ludzka skóra. Nosi na nich pierścień z granatem wielkości oka. Latimer nienawidzi tych rękawiczek za udawanie, że są rękami, i za sposób, w jaki sprawiają, że czuje się nieczysty.

Ostry ból rozdziera mu wnętrzności, jego oddech staje się szybki i płytki. Huicke wacha fiolkę – pewnie z jego moczem – i podnosi ją do światła, cicho rozmawiając z Katarzyną. Ta promienieje przy młodym medyku. Na szczęście jest zbyt afektowany i dziewczęcy, żeby stanowić zagrożenie, ale Latimer ponownie czuje nienawiść do niego – za młodość i widoki na przyszłość, nie tylko za dłonie w rękawiczkach. Musi być wybitnym lekarzem, skoro w tak młodym wieku służy królowi. Przyszłość Huicke'a przypomina stół zastawiony do uczyty, podczas gdy jego życie dobiega kresu. Latimer przysypia, opływają go ściszone głosy.

– Dałam mu coś nowego na ból – mówi Katarzyna. – Kora białej wierzby z serdecznikiem.

– Masz rękę lekarza, pani – odpowiada Huicke. – Nie przyszłoby mi do głowy, żeby je połączyć.

– Interesują mnie zioła. Mam ogródek ziołowy... – Milknie na chwilę. – Lubię patrzeć, jak rosną. I mam książkę Bankesa.

– *Zielnik Bankesa*, najlepszy ze wszystkich. Tak sędzę, chociaż raczej gardzą nim uczeni.

– Zapewne uważają, że to książka dla kobiet.

– Tak. I właśnie to przemawia na jej korzyść. Moim zdaniem kobiety wiedzą o uzdrawianiu więcej niż wszyscy uczeni w Oksfordzie i Cambridge razem wzięci, choć zwykle chowam to zdanie dla siebie.

Uderza piorun bólu, tym razem ostrzejszy. Latimer zgina się wpół. Słyszy krzyk, ledwie rozpoznając go jako własny. Kona z poczucia winy. W końcu atak przechodzi w tępy ból. Huicke'a już nie ma, więc on pewnie spał przez jakiś czas. Uderza go nagle przytłaczający niepokój. Musi poprosić Katarzynę, zanim język odmówi mu posłuszeństwa, lecz jak ma to wyrazić?

Łapie ją za rękę, zaskoczony swoją siłą.

– Daj mi więcej tynktury – charczy.

– Nie mogę, Janie – odpowiada żona. – Dałam ci tyle, ile można. Więcej sprawi... – Jej słowa zawisają w powietrzu.

Chwyta ją mocniej.

– Chcę tego, Kit...

Żona bez słowa patrzy mu w oczy.

Wydaje mu się, że widzi jej myśli jak obracający się mechanizm zegara, gdy zastanawia się, gdzie w Biblii znaleźć usprawiedliwienie dla takiego aktu, jak pogodzi z tym swoją duszę, że to może posłać ją na szubienicę. Gdyby był bażantem, którego dopadł pies, nie miałaby nic przeciwko miłosiernemu skręceniu mu szyi.

– Za to, o co mnie prosisz, oboje będziemy przeklęci – szepcze Katarzyna.

– Wiem – odpowiada Latimer.

# 1



*Pałac Whitehall, Londyn, marzec 1543*

SPADŁ PÓŻNY ŚNIEG I POKRYTE NIM wieże pałacu Whitehall zlewają się z niebem o barwie tapioki. Śniegowa breja na dziedzińcu sięga po kostki i mimo trocin, które tworzą prowizoryczną ścieżkę, Katarzyna czuje, jak mokry chłód przesiąka przez jej buty, a wilgotny dół spódnicy boleśnie smaga jej kostki. Drży, owijając się ciasno grubą peleryną, gdy stajenny pomaga Meg zsiąść z konia. Katarzyna wyciąga rękę do pasierbicy.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmia radośnie, chociaż wcale nie czuje radości.

Meg ma zarumienione policzki. Rumieńce podkreślają barwę jej brązowych oczu, przydają im blasku i świeżości. Wygląda słodko, trochę jak zaskoczone leśne zwierzątko, macocha jednak widzi, ile wysiłku wymaga od niej powstrzymanie kolejnych łez. Źle zniosła śmierć ojca.

– Chodź – mówi Katarzyna. – Wejdźmy do środka.

Stajenni rozsiodłali konie i szcztokują je energicznie garściami słomy, przekomarzając się między sobą. Jej siwy wałach, Pewter, potrząsa łbem, aż brzęczy uzda, i parska, wyrzucając kłęby pary jak smok.

– Spokojnie, mały. – Chwyta uzdę i gładzi aksamitne chrapy, pozwalając mu wachać jej szyję. – Potrzebuje wody – zwraca się do stajennego, podając mu wodze. – Jesteś Rafe, prawda?

– Tak, lady. Pamiętam Pewtera, kiedyś przykładałem mu kataplazmy. – Gorący rumieniec oblewa policzki chłopaka.

– Tak, gdy okulał. Świetnie się sprawiłeś.

Na jego twarzy pojawia się uśmiech.

– Dziękuję, lady.

– To ja powinnam ci podziękować.

Rafe zabiera Pewtera do stajni, a Katarzyna odwraca się, ujmuje dłoń pasierbicy i idzie w stronę wielkich drzwi.

Przez całe tygodnie była odrętwiała z rozpaczy i wolałaby nie stawiać się na dworze tak szybko po śmierci męża, lecz została wezwana – wraz z Meg – a córce króla nie można odmówić. Poza tym lubi lady Marię, znały się jako dziewczynki i nawet przez jakiś czas miały wspólnego nauczyciela, gdy jej matka służyła matce Marii, królowej Katarzynie Aragońskiej, zanim król ją odtrącił. W owych czasach – przed wielką schizmą, kiedy cały świat został wywrócony do góry nogami, a kraj rozdarty na dwoje – wszystko było prostsze. Na szczęście Katarzyna na razie nie będzie musiała pozostać na dworze. Maria uszanuje jej okres żałoby.

Kiedy myśli o Latimerze i o tym, co zrobiła, żeby pomóc mu odejść, niepokój wzbiera w niej niczym kipiące mleko. Aby pogodzić się ze swoimi czynami, musi pamiętać ten koszmar: jego krzyki udręki, ciało buntujące się przeciwko woli, jego rozpaczliwą prośbę. Od tamtej pory wertuje Biblię w poszukiwaniu precedensu, nie ma tam jednak opowieści o miłosiernym zabijaniu, nie ma niczego, co dałoby nadzieję jej przeklętej duszy, i nie ma od tego ucieczki. Zabiła męża.

Wciąż trzymając Meg za rękę, wchodzi z nią do wielkiej sali. Wnętrze pachnie mokrą wełną i dymem, a wokół panuje ruch niczym na targowisku. Ludzie stoją we wnękach i przechadzają się po galeriach, popisując się pięknymi strojami. Niektórzy siedzą w kątach, grając w lisy i gęsi, w karty albo kości, i głośno robią zakłady. Czasami słychać krzyk, gdy ktoś wygrał lub przegrał. Katarzyna spogląda na pasierbicę, która patrzy szeroko otwartymi oczami. Nigdy nie była na dworze, prawie nigdzie nie była, i po śmiertelnej ciszy obleczonego w czerń Charterhouse musi to być dla niej brutalne przebudzenie. Tworzą posępną parę, w żałobnych strojach pośród gromady jasno odzianych dam, przepływających obok, gawędzących z przejęciem; wspaniałe suknie kołyszą się jakby w tańcu, gdy kobiety się obracają, by zobaczyć, kto zwrócił uwagę na ich piękne stroje, albo z zazdrością w oczach popatrywać na te lepiej ubrane niż one. Panuje moda na pieski, noszone na rękach jak mufki lub drepczące przy nogach. Nawet Meg zdobywa się na śmiech, kiedy widzi, jak piesek urządza sobie przejażdżkę na trenie swojej pani.

Paziowie i dworscy szlachcice biegną tam i z powrotem, przechodzą chłopcy służebni, którzy po dwóch niosą kosze z bierwionami do podsycania ognia. Armia kuchcików zastawia długie stoły do wieczerzy, stukając i grzechocząc, każdy z wysokimi stosami naczyń w rękach. Grupa muzyków stroi instrumenty i dysonansowe akordy w końcu przekształcają się w coś na kształt melodii. Miło wreszcie usłyszeć muzykę, myśli Katarzyna, wyobrażając sobie, że porwana dźwiękiem, radośnie wiruje i obraca się aż do utraty tchu. Ale jeszcze nie będzie tańczyć.

Zatrzymują się, widząc maszerującą grupę strażników. Katarzyna zastanawia się, czy nie śpieszą kogoś aresztować, co przypomina jej, jak bardzo nie chce tu

być. Ale wezwanie to wezwanie. Ze świstem wciąga powietrze, gdy nagle para rąk zasłania jej oczy, co sprawia, że serce podchodzi jej do gardła.

– Will Parr! – wykrzykuje ze śmiechem.

– Skąd wiesz? – pyta Will, opuszczając ręce.

– Wszędzie rozpoznałabym twój zapach, bracie – żartuje, z udawanym obrzydzeniem zaciskając nos i odwracając się ku niemu.

Will stoi z grupą mężczyzn, rozpromieniony jak mały chłopiec, z włosami sterczącymi po zdjęciu czapki, a jego dziwnie zabarwione oczy – jedno jasne jak woda, drugie karmelowe – błyskają na swój psotny sposób.

– Lady Latimer. Ledwie pamiętam, kiedy ostatni raz cię widziałem. – Podchodzi jakiś mężczyzna.

Wszystko w nim jest długie: długi nos, długa twarz, długie nogi, a jego oczy mają w sobie coś z ogara. Jednakże mimo tej dziwaczności natura uparła się, by uczynić go całkiem przystojnym. Być może ma to coś wspólnego z niezłomną pewnością siebie, która wynika stąd, że jest najstarszym synem Howarda i przyszłym księciem Norfolk.

– Surrey! – Katarzyna wita go uśmiechem. Może jednak na dworze nie będzie tak źle wśród tych znajomych twarzy. – Wciąż piszesz wiersze?

– Owszem. Przekonasz się, że są teraz znacznie lepsze.

Napisał dla niej sonet, kiedy byli niewiele więcej niż dziećmi, i często naśmiewali się z kulawych rymów, jednego z jego młodzieńczych powodów do wstydu, jak to określił. Wspomnienie sprawia, że wzbiera w niej śmiech.

– Przykro mi widzieć cię w żałobie – podejmuje Surrey, już poważnie. – Ale słyszałem, jak cierpiał twój mąż. Może śmierć była dla niego wybawieniem.

Katarzyna kiwa głową, jej uśmiech gaśnie. Nie może znaleźć słów, by odpowiedzieć; zastanawia się, czy ją podejrzewa, i bada jego twarz w poszukiwaniu oznak potępienia. Czy wyszły na jaw okoliczności śmierci Latimera? Czy prawda rozchodzi się po pałacowych korytarzach? Może balsamiści coś znaleźli – jej grzech wypisany w trzewiach zmarłego męża. Odrzuca tę myśl. To, co mu dała, nie pozostawia śladu i jest pewna, że w głosie Surreya nie ma oskarżenia. Jeśli widać coś na jej twarzy, on uzna to za rozpacz, mimo to jej serce bije jak młot.

– Pozwólcie, że przedstawię wam moją pasierbicę Małgorzatę Neville – mówi, biorąc się w garść.

Meg trzyma się z tyłu, ledwie skrywając przerażenie, że musi zostać przedstawiona tym mężczyznom, nawet jeśli jednym z nich jest Will, właściwie jej wuj. Katarzyna czuje jej skrępowanie. Od czasu tamtych przeklętych wydarzeń w zamku Snape trzymała ją z dala od towarzystwa mężczyzn, teraz jednak nie ma

wyboru. Poza tym dziewczyna w końcu będzie musiała wyjść za mąż. A ona będzie ją swatać, choć Bóg świadkiem, Meg jeszcze nie jest gotowa.

– Małgorzato... – Surrey ujmuje rękę Meg. – Znałem twojego ojca. Był niezwykłym człowiekiem.

– Był – szepcze dziewczyna z bladym uśmiechem.

– Nie przedstawiś mnie siostrze?

Podchodzi mężczyzna wysoki niemal jak Surrey. Zrywa z głowy aksamitną czapkę, ozdobioną strusim piórem wielkości szczotki do czyszczenia kominka; kłania się i wymachuje nią zamasyście, a pióro podskakuje i tańczy jak szalone.

Katarzyna tłumy śmiech, który pojawia się znikąd. Mężczyzna prostuje się z wdziękiem. Ma na sobie czarny aksamitny dublet z wylewającym się z rozcięć karmazynowym atłasem i sobolowym kołnierzem. Widząc, że Katarzyna patrzy na sobole, unosi rękę, żeby pogłodzić futro, jakby chciał podkreślić swoją rangę. Katarzyna wyteża umysł, by przypomnieć sobie prawa regulujące zbytek i kto jest upoważniony do noszenia soboli; próbuje w ten sposób jakoś go rozpoznać. Jego ręce są ciężkie od pierścieni, zbyt licznych jak na jej gust, ale palce są piękne, zwężające się ku końcom. Wędrują od soboli do ust i mężczyzna powoli i z rozmysłem, bez uśmiechu, przesuwa środkowym palcem po dolnej wardze. Jego oczy, niebieskie jak barwinek – nieprzyzwoicie niebieskie – i rozbrajająco bezpośrednie spojrzenie sprawiają, że oblewa ją rumieniec. Patrzy na niego ledwie przez chwilę, dostrzegając leciutki ruch powieki, po czym spuszcza wzrok.

Czyżby do niej mrugnął? Bezcelność. Mrugnął do niej. Nie, na pewno ponosi ją wyobraźnia. Ale dlaczego wyobraża sobie, że ten wystrojony bęcwał puścił do niej oko?

– Tomasz Seymour, to moja siostra, lady Latimer – oznajmia Will, rozbawiony tym, co właśnie się wydarzyło.

Powinna była wiedzieć. Tomasz Seymour, noszący wątpliwie zaszczytny tytuł najbardziej urodziwego mężczyzny na dworze, jest przyczyną nieustannych plotek, młodzieńczych westchnień, złamanych serc, małżeńskiej niezgody. Katarzyna w duchu przyznaje, że istotnie jest piękny, to nie ulega wątpliwości, ona jednak nie da się uwieść jego urokowi – zbyt wiele przeżyła, by na to pozwolić.

– To zaszczyt, pani – odzywa się do niej głosem gładkim jak ubite masło – nareszcie w końcu cię poznać.

Surrey przewraca oczami.

Nie przepadają za sobą, myśli Katarzyna.

– Nareszcie i w końcu! – Słowa same wypływają z jej ust; nie może się powstrzymać, żeby pokazać temu mężczyźnie, gdzie jego miejsce. – Mój Boże! – Kładzie dłoń na piersi, udając przesadne zdziwienie.



– Doprawdy, lady Katarzyno, tyle słyszałem o twoich przymiotach – kontynuuje Seymour, niespeszony – że na twój widok język mi kołowacieje.

Katarzyna zastanawia się, czy przez przymioty rozumie jej niedawno odziedziczony majątek. Wieści o spadku na pewno się rozeszły, bo Will nie umie utrzymać języka za zębami. Czuje lekki przyływ złości na brata i jego paplaninę.

– Język kołowacieje? – Jaki on gładki, myśli, szukając ciętej riposty. Wpatruje się w jego usta, nie ośmielając się ponownie spojrzeć mu w oczy, ale dziwnie niepokoji ją widok koniuszka wilgotnego różowego języka, który połyskuje w świetle. – Surrey, co ty na to? Seymourowi język stanął kołkiem.

Surrey i Will zaczynają się śmiać, podczas gdy ona szuka czegoś więcej, aż w końcu znajduje.

– Może się przydać do ciosania mu na głowie – szczebiocze.

Wszyscy trzej jednocześnie wybuchają śmiechem. Katarzyna triumfuje; dowcip jej nie zawiódł, nawet w obliczu tego intrygującego mężczyzny.

Meg patrzy na nią w osłupieniu. Nieczęsto miała okazję widywać ją taką bystrą i pełną humoru. Katarzyna posyła jej uspokajający uśmiech, a Will przedstawia pasierbicę siostry Seymourowi, który patrzy na nią takim wzrokiem, jakby nadawała się do zjedzenia.

Katarzyna bierze ją za rękę.

– Chodź, Meg, spóźnimy się do lady Marii.

– Krótko, ale jakże słodko – rzuca z uśmiechem Seymour.

Ignorując go, Katarzyna całuje Surreya w policzek i dopiero gdy już odchodzi, przez wzgląd na uprzejmość lekko się obraca i kiwa głową mniej więcej w jego kierunku.

– Pójdę z wami – mówi Will, wsuwając się między nie i biorąc je pod rękę.

– Wolałabym, Will – syczy do brata, gdy są już na górze, poza zasięgiem słuchu – żebyś nie rozmawiał ze znajomymi o moim spadku.

– Zbyt prędko rzucasz oskarżenia, siostró. Nic nie powiedziałem. Rozeszło się, to było nieuniknione, ale...

– No to o co chodziło z moimi tak zwanymi przymiotami? – wchodzi mu w słowo Katarzyna.

– Wierzę, Kit, że naprawdę miał na myśli twoje przymioty – odpowiada ze śmiechem Will.

Katarzyna fuka.

– Zawsze musisz być skwaszoną starszą siostrą?

– Przepraszam, Will. Masz rację, nie twoja wina, że ludzie gadają.

– Nie, to ja powinienem przeprosić ciebie. Było ci ciężko. – Ścisła palcami czarny jedwab jej spódnicy. – Jesteś w żałobie. Powinienem być bardziej taktowny.

Idą w milczeniu długą galerią, zmierzając ku pokojom lady Marii. Will pogrąża się w zadumie i Katarzyna podejrzewa, że być może żałuje, iż to nie jemu jest dane opłakiwać żonę. Tych dwoje zniechęciło się od pierwszego wejrzenia. Anna Bouchier, jedyna dziedziczka podstarzałego hrabiego Essex, była łakomym kąskiem i ich matka niemal doprowadziła się do ruiny, żeby wywalczyć tę zdobycz dla jedyne go syna. Wraz z Anną Bouchier pojawiły się wielkie nadzieje, szczególnie na hrabiowski tytuł, który postawiłby Parrów kilka szczebli wyżej w hierarchii. Małżeństwo nie przyniosło jednak biednemu Willowi ani dzieci, ani tytułu, ani szczęścia; nic oprócz wstydu, gdyż król nadał hrabstwo Cromwellowi, a Anna uciekła z wiejskim duchownym. Will nie mógł się otrząsnąć po tym skandalu, niezmiennie nękany żartami o klekach i plebanach. Nie dostrzegał w tym nic zabawnego i pomimo starań nie zdołał nakłonić króla do wyrażenia zgody na rozwód.

– Myślisz o żonie? – pyta Katarzyna.

– Skąd wiesz?

– Znam cię, Willu Parr, lepiej, niż sobie wyobrazasz.

– Ten przeklęty klekha spłodził z nią kolejnego bachora.

– Król w końcu da się przekonać i będziesz w stanie uczynić z Lizzie Brooke uczciwą kobietę.

– Lizzie traci cierpliwość – jęczy Will. – Kiedy myślę o nadziejach matki związanych z moim małżeństwem, o wszystkim, co zrobiła, żeby je zaaranżować...

– Cóż, nie dożyła tej porażki. Może i dobrze.

– Jej największym pragnieniem było zobaczyć ponowny wzlot Parrów.

– Nasza krew jest wystarczająco dobra, Will. Ojciec służył staremu królowi, jego ojciec Edwardowi Czwartemu, a matka królowej Katarzynie. – Siostra odlicza na palcach. – Chcesz więcej?

– Stare dzieje – burczy brat. – Nawet nie pamiętam ojca.

– Sama mam tylko mgliste wspomnienia – mówi Katarzyna, chociaż doskonale pamięta dzień pogrzebu i swoje oburzenie, gdy w wieku sześciu lat została uznana za zbyt młodą, żeby wziąć w nim udział. – Poza tym nasza siostra Anna służyła wszystkim pięciu królowym, a teraz służy córce króla. Prawdopodobnie ja też powinnam.

Irytują ją ambicje brata, chce powiedzieć, że jeśli tak bardzo zależy mu na wzlocie Parrów, to niech zacznie zabiegać o przychylność właściwych ludzi, zamiast zadawać się z Seymourem. Seymour może jest wujem księcia Edwarda, ale to jego starszy brat Hertford ma posłuch u króla.

Will znów zaczyna narzekać, ale po chwili milknie i idą dalej krok w krok, klucząc w tłumie, który kręci się przed komnatami króla.

Nagle brat ściska jej ramię.

- Co myślisz o Seymourze? – pyta.
- O Seymourze?
- Tak, o Seymourze...
- Niewiele – rzuca szorstko Katarzyna.
- Nie sądzisz, że jest wspaniały?
- Nieszczególnie.
- Pomyślałem, że możemy spróbować wyswatać go z Meg.
- Z Meg?! – wybucha Katarzyna. – Rozum ci odjęło?

Twarz jej pasierbicy nagle traci kolory.

Pożarłby żywcem tę biedną dziewczynę, myśli Katarzyna.

- Na razie Meg za nikogo nie będzie wychodzić. Jej ojciec jeszcze nie ostygł.
- Chciałem tylko...
- Nedorzeczny pomysł.
- On nie jest taki, jak myślisz, Kit. Jest jednym z nas.

Jak przypuszcza, bratu chodzi o to, że Seymour opowiada się za nową religią. Nie lubi być wrzucana do jednego worka z dworskimi reformatorami i woli nie zdradzać swoich myśli na ten temat. Przez lata nauczyła się, że na dworze bezpieczniej jest pozostawać nieprzejrzystym.

– Surrey go nie lubi – mówi.

– Och, to jedynie sprawa rodu, nawet nie religii. Howardowie uważają Seymourów za parweniuszy. Dla Tomasza nie ma to żadnego znaczenia.

Katarzyna tylko fuka.

Will zostawia je, by podziwiały wiszący w galerii nowy portret króla. Jest tak świeży, że Katarzyna czuje zapach farby, i cały w żywych kolorach, ze szczegółami uwydatnionymi złotem.

– Czy to ostatnia królowa? – pyta Meg, wskazując posępną kobietę w kanciastym czepku, stojącą obok króla.

– Nie, Meg – szepcze Katarzyna, przyciskając palec do ust. – I lepiej nie wspominać tu o ostatniej królowej. To królowa Jane, siostra Tomasza Seymoura, którego właśnie poznałaś.

– Ale dlaczego ona, skoro od tamtej pory były dwie inne królowe?

– Królowa Jane dała mu dziedzica. – Nie dodaje, że Jane Seymour zmarła, zanim król zdążył się nią znudzić.

– A więc to jest królewicz Edward. – Meg patrzy na chłopca, miniaturę ojca.

– Tak, a one – Katarzyna wskazuje dwie dziewczyny unoszące się po bokach jak para motyli, które nie mają gdzie przysiąść – to lady Maria i lady Elżbieta.

– Widzę, że podziwiasz mój portret – dobiega głos z tyłu.

Obie się odwracają.

– Will Sommers! – wykrzykuje śpiewnie Katarzyna. – Twój portret?

– Nie widzisz mnie?

Spogląda ponownie i znajduje go w głębi obrazu, na skraju płótna.

– Tu jesteś. Nie zauważyłam. – Zwraca się do pasierbicy: – Meg, to Will Sommers, królewski trefniś, najuczciwszy człowiek na dworze.

Mężczyzna unosi rękę i wyciąga miedzianą monetę zza ucha Meg, wywołując rzadki u niej śmiech.

– Jak to zrobiłeś? – piszczy dziewczyna.

– To czary.

– Nie wierzę w czary – mówi Katarzyna. – Ale potrafię się poznać na dobrej sztuczce.

Wciąż się śmieją, gdy dochodzą do apartamentów lady Marii, gdzie przed wewnętrznymi drzwiami wyrasta jej faworyta, Susan Clarendieux w stroju o barwie żółtka. Ucisza ich, sycząc jak żmija.

– Ma znowu ból głowy – cedzi z napiętym uśmiechem. – Więc bez hałasu. – Mierzy Katarzynę wzrokiem od stóp do głów, jakby szacowała koszt sukni i doszła do wniosku, że jest tania, po czym dodaje: – Ponura i ciemna. Lady Maria nie będzie zadowolona. – Jej dłoń wzlatuje, żeby zakryć usta. – Wybacz mi, zapomniałam, że jesteś w żałobie.

– Nie szkodzi.

– Twoja siostra jest w prywatnym apartamencie. Przepraszam, muszę się zająć... – Susan, nie kończąc, wślizguje się z powrotem do komnaty i cicho zamyka za sobą drzwi.

Przechodzą do pokoju, gdzie kilka dwórek siedzi z robótkami. Katarzyna kiwa głową na powitanie, po czym zauważa siostrę, Annę, we wnęce okiennej.

– Kit – wita ją Anna. – Jak miło wreszcie cię widzieć. – Wstaje i obejmuje siostrę. – I Meg. – Całuje dziewczynę w policzki.

Tutaj, w kobiecych pokojach, Meg wyraźnie się rozluźniła.

– Może pójdziesz obejrzeć gobeliny? – zwraca się do niej Anna. – Sądzę, że na jednym jest przedstawiony twój ojciec. Zobacz, czy zdołasz go znaleźć.

Meg idzie w drugi koniec pokoju, a siostry siadają na ławce pod oknem.

– A więc co to za okazja? Jak myślisz, dlaczego mnie wezwano? – Katarzyna ledwie może oderwać wzrok od siostry, od jej spokojnego uśmiechu, blasku na wpół przejrzystej skóry, jasnych kosmyków uciekających spod czepca, idealnego owalu twarzy.

– Lady Maria ma zostać matką chrzestną. Zaproszono wiele osób.

– Zatem nie tylko ja... Rada jestem z tego. Czyj to chrzest?

– Córki Wriothesleyów. Nadali jej imię...

– Maria – mówią jednocześnie, śmiejąc się.

– Och, Anno, jak dobrze cię widzieć. Mój dom jest naprawdę ponury.

– Odwiedzę cię w Charterhouse, gdy kró... – Anna z cichym okrzykiem zasłania usta dłońmi. – Kiedy lady Maria mi na to pozwoli. – Przysuwa usta do ucha Katarzyny i szepcze: – Lady Hussey trafiła do Tower za nazywanie jej królową.

– Pamiętam, ale to było lata temu, i ona jawnie wyrażała swoje opinie. To co innego. Przejęzyczenie nie spotkałoby się z karą.

– Och, Kit, dawno cię tutaj nie było. Zapomniałaś, jak tu jest?

– Gniazdo węży – mruczy Katarzyna.

– Słyszałam, że król wysłał Huicke’a, by leczył twojego męża – mówi Anna.

– Tak. Nie wiem dlaczego.

– W takim razie Latimer z pewnością został ułaskawiony.

– Tak sędzę.

Katarzyna nigdy w pełni nie rozumiała roli Latimera w powstaniu. Nazwali je Pielgrzymką Łaski, kiedy cała północ, podobno czterdzieści tysięcy katolików, wystąpiła przeciwko reformacji Cromwella. Niektórzy przywódcy przybyli do zamku Snape uzbrojeni po zęby. W sali toczyły się gorące dyskusje i nie brakowało krzyków, ale nie pojmowała, co mówiono. Następną rzeczą, o której wiedziała, było to, że Latimer szykował się do wyjazdu, niechętnie, jak jej powiedział – potrzebowali mężczyzn takich jak on, żeby ich poprowadzili. Zastanawiała się, czym zagrozili mu ci mężczyźni, bo Latimer nie należał do tych, których łatwo zmusić, chociaż uważał ich sprawę za słuszną; popierał burzenie klasztorów, wieszanie mnichów na drzewach i niszczenie wraz z nimi dotychczasowego porządku, opowiadając się przeciwko wygnaniu umiłowanej królowej i przeciwko Boleynównie, która owijała sobie wielkiego króla wokół palca. Tak to opisał. Ale podnosić oręż przeciwko królowi? Nie był to ten jej mąż, którego znała.

– Nigdy o tym nie mówiłaś – zauważa Anna. – Mam na myśli powstanie. I to, co się stało w zamku Snape.

– Wolałabym o tym zapomnieć. – Katarzyna zamyka temat.

W tym czasie na dworze rozeszła się pewna wersja wydarzeń. Powszechnie było wiadomo, że kiedy armia królewska zdobyła przewagę nad buntownikami, Latimer wyjechał do Westminsteru, by prosić króla o łaskę; rebelianci uznali, że ich zdradził, więc wysłali Murgatroyda i jego ludzi, by wzięli ją i Meg jako zakładniczki i splądrowali zamek – była to dobra historia dla plotkarzy. Ale nawet jej siostra nie wiedziała o martwym dziecku, bękarcie Murgatroyda. Ani o tym, że oddała się bydlakowi w desperacji, pragnąc ocalić Meg i Dot, co stało się ich najmroczniejszym sekretem. Uratowała dziewczynki, ale zastanawia się, co myśli o tym Bóg, bo według Kościoła cudzołóstwo jest cudzołóstwem. Często rozważała, dlaczego wszyscy inni przywódcy zawisli, łącznie z Murgatroydem – dwie i pół setki skazanych na śmierć w imieniu króla po upadku powstania –

i tylko Latimer wywinął się od stryczka. Być może rzeczywiście ich zdradził. Murgatroyd z pewnością tak założył. Ona woli wierzyć, że pozostał lojalny, jak twierdził, bo inaczej po co by było to wszystko? Nigdy jednak nie będzie jej dane poznać prawdy.

– Słyszałaś coś, Anno, o Latimerze i o tym, dlaczego został ułaskawiony? Czy na dworze krążyły jakieś plotki?

– Nic nie dotarło do moich uszu, siostrze. – Anna dotyka jej rękawa i przez chwilę trzyma na nim dłoń. – Nie roztrząsaj tego. Przeszłość należy do przeszłości.

– Tak. – Ale Katarzyna nie może przestać myśleć, że przeszłość toczy terazniejszość niczym robak zdrowe jabłko.

Patrzy na Meg, która po drugiej stronie komnaty z uwagą przygląda się gobelinowi, szukając podobizny ojca. Przynajmniej jego wizerunek nie został zaszyty, jak kilka innych. Znów przenosi wzrok na Annę – słodką, lojalną, nieskomplikowaną Annę. Jest w niej jakaś świeżość, jakby miała w sobie więcej życia, niż jest w stanie pomieścić. Nagle pojmuje, dlaczego siostra sprawia takie wrażenie. Serce jej zamiera i pochylając się, przykładła dłoń do jej brzucha.

– Czy coś przede mną ukrywasz? – pyta.

Zastanawia się, czy jej uśmiech maskuje przyпіływ zazdrości, którą budzi w niej płodność siostry. Anna całą sobą mówi, że jest w stanie błogosławionym, czego Katarzyna tak bardzo pragnęła dla siebie.

Twarz Anny czerwienieje.

– Jakim sposobem ty wszystko wiesz, Kit?

– Cudowna wiadomość! – Słowa więzną Katarzynie w gardle; jej wdowieństwo jest twardym, niepodważalnym faktem, a w jej wieku marzenie o dziecku może być zaledwie nikłą fantazją; powiła tylko tamto martwe dziecko, o którym nigdy nie mówi.

Jej myśli musiały wysączyć się na zewnątrz, bo Anna pocieszająco nakrywa dłonią jej rękę.

– Jeszcze masz szansę, siostrze. Na pewno znowu wyjdiesz za mąż.

– Sądzę, że dwóch mężów wystarczy. – Katarzyna stanowczo zamyka temat, chociaż dodaje szeptem: – Ale cieszę się z tobą. Wiem, że to dziecko nie będzie małym katolikiem z lady Marią jako matką chrzestną.

Anna przykładła palec do ust, nakazując ciszę, i wymieniają z siostrą potajemne uśmiechy. Wyciąga rękę do krzyżyka na jej szyi.

– Krzyż z brylantami i perłami matki – mówi, unosząc go tak, że skrzy się w świetle. – Pamiętam, że był większy.

– To ty byłaś mniejsza.

– Minęło dużo czasu od jej śmierci.

– Tak – przyznaje Katarzyna, ale myśli tylko o długości wdowieństwa matki.

– A te perły – Anna wciąż dotyka krzyża – są prawie różowe. Zapomniałam. Och, jedno ogniwo się poluzowało. – Pochyliła się. – Zobaczmy, czy uda mi się je zamknąć. – Wysuwa koniuszek języka, w skupieniu ściskając palcami ogniwo.

Katarzyna cieszy się bliskością siostry. Czuje jej zapach, słodki i kojący, jak aromat dojrzałych jabłek. Lekko obraca się w stronę boazerii, żeby Annie łatwiej było sięgnąć do jej szyi. Na drewnie wyraźnie widzi miejsce, gdzie zeskrobano inicjały KH. Biedna mała Katarzyna Howard, ostatnia królowa; to musiały być jej pokoje. Oczywiście, że tak, są najlepsze w pałacu, z wyjątkiem apartamentów króla.

– Gotowe – oznajmia Anna i krzyżyk opada na suknię. – Już nie stracisz jednej z matczynych pereł.

– Jak to było, Anno, z ostatnią królową? Milczałaś na ten temat. – Katarzyna ścisza głos do szeptu, z roztargnieniem muskając palcami wyskrobane miejsce na boazerii.

– Z Katarzyną Howard? – pyta Anna bezgłośnie.

Jej siostra kiwa głową.

– Wiesz, Kit, była taka młoda, młodsza nawet od Meg.

Obie spoglądają na Meg, która ledwie wyszła z wieku dziewczęcego.

– Nie została wychowana do zajmowania wysokiej pozycji. Norfolk ściągnął ją ze zubożałej gałęzi Howardów, by służyła jego własnym celom. Jej maniery... nie wyobrażasz sobie, jaka była prymitywna i płytka. Była jednak ładniutkim stworzeniem i król zupełnie tracił głowę w obliczu jej... – przerywa, szukając właściwego słowa – powabu. Ale to jej apetyty doprowadziły ją do zguby.

– Na mężczyzn? – pyta Katarzyna jeszcze cichszym szeptem.

Głowy sióstr są blisko siebie, a twarze mają na wpół zwrócone ku oknu, żeby nikt ich nie podsłuchał.

– Niemal obsesyjnie.

– Lubiałaś ją, Anno?

– Nie... chyba nie. Była nieznośnie próżna. Ale nie życzę nikomu takiego losu. Iść na szafot, w dodatku tak młodo. To było straszne. Jej dwórki przesłuchiowano jedną po drugiej. Nie miałam pojęcia, co się dzieje. Niektóre musiały wiedzieć, że spotykała się z Culpeperem tuż pod nosem króla.

– Była tylko dziewczyną. Nigdy nie powinna trafić do łóża takiego starca, nawet jeśli był królem.

Przez jakiś czas siedzą w milczeniu. Przez szybki w kształcie rombów Katarzyna patrzy na stado gęsi lecące w dali nad jeziorem.

– Kto przesłuchiwał ciebie? – pyta w końcu.

– Biskup Gardiner.

– Bałaś się?

– Skamieniałam z przerażenia, Kit. To wstrętny człowiek. Lepiej nie wchodzić mu w drogę. Kiedyś byłam świadkiem, jak złamał palec chórzyście za zgubienie nuty. Nic nie wiedziałam, więc niewiele mógł ze mną zrobić. Ale wszystkie miałyśmy w głowie sprawę Boleyn.

– Oczywiście, Anna Boleyn. Wyszło na to samo.

– Właśnie. Król się wycofał i nie chciał widzieć Katarzyny na oczy, jak kiedyś Anny. Biedna dziewczyna oszalała ze strachu. Wyjąc, biegła w samej koszuli przez długą galerię. Jej krzyki wciąż mi towarzyszą. W galerii roiło się od ludzi, ale nikt na nią nie spojrzał, nawet jej wuj Norfolk. Wyobrażasz sobie? – Anna z niepokojem opuszcza wzrok na suknię i skubie luźną nitkę. – Dzięki Bogu, że nie zostałam wybrana, by służyć jej w Tower. Nie zniósłabym tego. Stać obok i patrzeć, jak idzie na szafot. Rozwiąż jej czepiec. Odsłoń szyję. – Wzdryga się.

– Biedne dziecko – mruczy Katarzyna.

– Podobno król szuka szóstej żony.

– O kim mówią?

– Plotki krążą jak zwykle. Padają nazwiska wszystkich niezamężnych kobiet, nawet twoje.

– Absurd.

– Ludzie stawiają na Annę Bassett – kontynuuje Anna. – Ale to niemal dziecko, jest jeszcze młodsza od ostatniej. Nie wyobrażam sobie, żeby wziął kolejną młodą pannę. Katarzyna Howard wstrząsnęła nim do głębi. Rodzina małej Anny podsuwa mu ją jednak na siłę. Sprawili jej wiele nowych strojów i codziennie paraduje w czymś innym.

– To miejsce... – Katarzyna wzdycha. – Wiedziałaś, że Will zasugerował małżeństwo Meg z Seymourem?

– Wcale mnie to nie dziwi. – Anna przewraca oczami. – Ci dwaj są ze sobą za pan brat.

– Po moim trupie.

– Więc jeszcze cię nie zauroczył ten pałacowy bałamut?

– Ani trochę. Uważam, że jest... – Katarzyna nie może znaleźć słów, zbyt zdenerwowana tym, że Seymour od godziny pałęta się po obrzeżach jej świadomości. – Och, sama wiesz.

– One by się z tobą nie zgodziły. – Anna wskazuje głową na grupkę młodszych dam dworu, które siedzą przy kominku, paplają i udają, że szyją. – Powinnaś zobaczyć, jak się trzepoczą, gdy on przechodzi. Jak motyle w siatce.

Katarzyna wzrusza ramionami, mówiąc sobie, że nie należy do tych motyli.

– Nigdy nie był żonaty. Ile ma lat, dwadzieścia dziewięć?

– Trzydzieści cztery!

– Nie wygląda na swój wiek – mówi zdziwiona.



Teraz najbardziej zaprzęta ją myśl, że Tomasz Seymour jest starszy od niej.

– Owszem – przyznaje Anna i po chwili dodaje: – Chyba przypominam sobie, że mówiło się o nim i księżnej Richmond.

– O Marii Howard? Myślałam, że Howardowie i Seymourowie nie...

– ...nie darzą się przyjaźnią. Tak, prawdopodobnie dlatego do niczego nie doszło. Ale uważam, że Tomasz zabiega o jeszcze świetniejszą partię.

– Cóż, w takim razie Meg nie byłaby dla niego odpowiednia.

– Płynie w niej krew Plantagenetów – zaznacza Anna.

– Owszem, ale nazwałabym ją dobrą partią, nie świetną.

– To prawda.

Meg kończy oglądać gobeliny i podchodzi do macochy i jej siostry. Grupa panien dworskich mierzy ją wzrokiem, słysząc ich szepty.

– Znalazłaś ojca, Meg? – pyta Anna.

– Tak. Jestem pewna, że to on, na polu bitwy obok króla.

Powstaje zamieszanie, gdy Susan Clarencieux wyślizguje się z sypialni Marii i w charakterystyczny dla niej, apodyktyczny sposób oznajmia cicho:

– Lady Maria będzie ubierana. – Zwraca się do Katarzyny: – Poprosiła, abyś wybrała jej strój.

– Co byś zaproponowała, Susan? – pyta Katarzyna, widząc jej skrzywioną minę. – Coś stonowanego?

Twarz Susan łagodnieje.

– O nie, lepiej coś, co ją rozweseli.

– Oczywiście, masz całkowitą rację. Zatem coś jasnego.

Na twarzy Susan pojawia się niewyraźny uśmiech. Katarzyna wie, jak radzić sobie z tymi śliskimi dwórkami i ich niepewnością. Nauczyła się tego od matki.

– I chce – dodaje Susan, gdy ona wygładza suknię i poprawia czepiec – żeby dziewczyna została jej przedstawiona.

Katarzyna kiwa głową.

– Chodź, Meg. Nie możemy kazać czekać lady Marii.

– Muszę pójść? – szepcze Meg.

– Musisz, tak. – Katarzyna chwyta pasierbicę za ramię, bardziej szorstko, niż zamierzała. Żałuje, że dziewczyna nie jest mniej niezdarna, po czym beszta się w duchu za swoją gruboskórność. – Może i jest córką króla, ale nie masz się czego bać. Zobaczysz. – Gładząc ją po plecach, zauważa, jak bardzo Meg schudła: kości ramion sterczą jej jak ptasie skrzydła.

Lady Maria siedzi w sypialni, ubrana w jedwabną szatę. Wygląda na wątłą i ma opuchniętą twarz; wydaje się, że jej młodość całkowicie już przeminęła. Katarzyna rachuje w pamięci, starając się przypomnieć sobie, o ile młodsza od niej jest Maria. Ze cztery lata, myśli, ale ma zmarszczki i szkliste oczy, jak

w gorączce – bez wątpienia spuścizna po kuracji zaordynowanej jej przez ojca. Teraz przynajmniej mieszka na dworze, tu, gdzie powinna, i nie tkwi już w jakimś wilgotnym odległym miejscu, odcięta od świata. Jej pozycja pozostaje jednak niepewna, a ponieważ ojciec rozdarł kraj, aby dowieść, że nigdy tak naprawdę nie był żonaty z jej matką, nad biedną Marią wciąż wisi piętno pochodzenia z nieprawego łoża. Nic dziwnego, że trzyma się starej wiary; to w niej pokłada jedyną nadzieję na uznanie jej prawowitego pochodzenia i dobre małżeństwo.

Maria wygina wąskie usta w powitalnym uśmiechu.

– Katarzyna Parr! Cieszę się, że wróciłaś.

– Pobyt na dworze jest zaszczytem, lady, ale przybyłam tu tylko na dzisiejszy chrzest. Powiedziano mi, że masz zostać matką chrzestną dziecka Wriothsleyów.

– Tylko na dzisiaj? Wielka szkoda.

– Muszę uszanować okres żałoby po zmarłym mężu.

– Tak – mówi cicho Maria, po czym unosi rękę, zamyka oczy i na chwilę przykłada palce do czoła między brwiami.

– Czy coś ci dolega, pani? Mogę coś przyrządzić – proponuje Katarzyna, pochylając się, by pogłodzić dłonią jej czoło.

– Nie, nie, mam różne nalewki, aż nadto. – Maria prostuje się i bierze głęboki oddech.

– Jeśli pomasuję ci skronie, może ból osłabnie.

Maria kiwa głową. Katarzyna staje za nią, delikatnie przyciska opuszki palców do jej skroni i masuje je kolistymi ruchami. Przez cienką jak pergamin skórę widać niebieskie żyły. Maria zamyka oczy i opiera głowę o jej brzuch.

– Zmartwiły mnie wieści o lordzie Latimerze – mówi. – Naprawdę ci współczuję.

– Dziękuję, lady.

– Ale niebawem wrócisz, Katarzyno, by służyć w moich komnatach... Potrzebuję przyjaciół. Tylko twojej siostrze i Susan w pełni ufam. Chcę być otoczona przez znane mi osoby. W moich pokojach jest wiele dwórek, a nawet nie wiem, kim są. Ty i ja miałyśmy w dzieciństwie jednego nauczyciela, a twoja matka służyła mojej matce. Czuję, że jesteśmy prawie spokrewnione.

– Jestem zaszczycona, że myślisz o mnie w ten sposób.

Katarzyna dopiero teraz uświadamia sobie, jak samotne musi być życie takiej kobiety jak Maria. Wedle wszelkiego prawa już dawno powinna wyjść za mąż za wspaniałego cudzoziemskiego księcia, urodzić mu stadko księżąt i sprzymierzyć Anglię z jakimś ważnym krajem, a tymczasem była przenoszona z jednego miejsca w drugie, w łasce, w niełasce, prawowita, nieprawowita. Nikt nie wie, co z nią zrobić, a już najmniej jej ojciec.

– Nadal wyznajesz prawdziwą wiarę, Katarzyno? – pyta Maria głosem ściszonego do szeptu, chociaż w pokoju nie ma nikogo oprócz Meg, która kręci się niezdarnie za plecami macochy. – Wiem, że twój brat jest zaangażowany w reformę, podobnie jak twoja siostra i jej mąż. Ale ty od dawna byłaś poślubiona lordowi z północy, a tam wciąż panuje stara wiara.

– Podążam za wiarą króla – odpowiada Katarzyna z nadzieją, że z tej ogólnikowej odpowiedzi nic nie wynika.

Aż za dobrze wie, jak mają się sprawy na północy, jeśli chodzi o wiarę. Gdy tylko o tym myśli, czuje na sobie szorstkie dłonie Murgatroyda i smród jego niemytego ciała. Bezskutecznie próbuje odsunąć od siebie te obrazy.

– Wiara mojego ojca... On w głębi duszy nadal jest katolikiem, chociaż zerwał z Rzymem – mówi Maria. – Czy nie taka jest prawda?

Katarzyna ledwie ją słyszy, bo nie może się powstrzymać od wspomnienia swojego martwego dziecka – jego czarne oczy otwierają się, niepokojące spojrzenie przypomina jej, skąd się wzięło. W końcu zbiera się w sobie.

– Tak, lady – odpowiada. – Sprawy wiary nie są już równie proste jak kiedyś.

Nienawidzi swojej dwuznaczności, czuje się nie lepsza niż wszyscy inni perfidni dworzanie, nie potrafi jednak zmusić się do wyznania, w jakim stopniu przyjęła nową wiarę. Nie zniosłaby rozczarowania Marii, której życie było pasmem wielkich rozczarowań, dlatego nie chce dodawać do nich następnego, wyjawiając jej prawdę.

– Tak – mruczy Maria. – Oby tak było. Oby tak było. – Z roztargnieniem bawi się różańcem; paciorki stukają, gdy przesuwa je po jedwabnym sznurku. – To twoja pasierbica?

– Tak, lady. Pozwól, że przedstawię ci Małgorzatę Neville.

Meg robi niepewny krok do przodu i wykonuje głęboki dyg, jak ją nauczono.

– Podejdź bliżej, Małgorzato, i usiądź, usiądź. – Maria wskazuje stołek obok siebie. – A teraz powiedz mi, ile masz lat.

– Siedemnaście, lady.

– Siedemnaście. I jesteś komuś obiecana, jak mniemam?

– Byłam, lecz on zmarł.

Katarzyna kazała jej tak powiedzieć. Rozgłaszanie, że jej narzeczoney był jednym z tych powieszonych za zdradę po Pielgrzymce Łaski, nie byłoby mądre.

– Cóż, będziemy musiały znaleźć jego następcę, prawda?

Tylko Katarzyna zauważa, że kolory odpływają z twarzy dziewczyny.

– Możesz pomóc Katarzynie mnie ubrać.

MSZA CIĄGNIE SIĘ BEZ KOŃCA. Meg się wierci, a myśli Katarzyny wędrują do Seymoura i niepokojącego spojrzenia jego barwinkowych oczu. Już sama myśl

o nim wytrąca ją z równowagi, sprawia, że coś ściska ją w środku. Zmusza się, by przypomnieć sobie jego śmiesznie podskakujące pióro i jego ostentację, przesadę we wszystkim, i skupia się z powrotem na nabożeństwie.

Lady Maria wydaje się delikatna i wąła – to cud, że może utrzymać niemowlę, pyzate i duże, obdarzone płucami, których siła wystraszyłaby samego diabła. Nabożeństwo celebryje biskup Gardiner, którego mięsista twarz wygląda jak ulana z topiącego się wosku. Przeciąga słowa, jego powolny, rozwlekły głos szpeci łacinę. Katarzyna nie może przestać myśleć o tym, jak biskup przesłuchuje jej siostrę, budząc w niej paraliżujący lęk – i o palcu biednego chórzysty. Powiadają, że w ostatnich latach Gardiner zręcznie zbliżył się do króla, tak że ten pyta go o radę równie często jak arcybiskupa.

Dziecko krzyczy bez chwili przerwy, aż czerwienieje na twarzy, lecz milknie w chwili, gdy woda święcona leje się na jego głowę, jakby chrzest przepędził szatana. Gardiner wygląda na zadowolonego, jak gdyby to było jego dzieło, nie Boga.

Król nie uczestniczy w ceremonii. Wriothesley, ojciec niemowlęcia, wydaje się zaniepokojony. To mężczyzna o szczurzej twarzy, z wiecznie przepraszającym spojrzeniem i skłonnością do pociągania nosem; jest lordem Tajnej Pieczęci, a niektórzy twierdzą, że wspólnie z Gardinerem rządzi całą Anglią, chociaż patrząc na niego, trudno byłoby się tego domyślić. Katarzyna zauważa, że oczami o barwie błota często z niepokojem spogląda w stronę drzwi i w roztargnieniu pstryka kostkami palców; od czasu do czasu cichy trzask chrząstek urozmaica monotonne brzęczenie Gardinera. Takie lekceważące zachowanie mogłoby się spotkać z nieprzewidzianą reakcją króla, który zmienia upodobania pod wpływem kaprysu; może lord Tajnej Pieczęci włada całą Anglią, nic to jednak nie znaczy bez królewskiej łaski. Wriothesley powinien wiedzieć wszystko o kapryсах króla, bo kiedyś był człowiekiem Cromwella; zdołał w porę wywikłać się z tej znajomości, gdy sytuacja zaczęła się zmieniać – kolejny, któremu nie wolno ufać.

Po zakończeniu nabożeństwa wszyscy wychodzą za lady Marią, która mocno trzyma się żółtego ramienia Susan Clarencieux, jakby obawiała się upaść. Jej damy podążają za nią długą galerią, przez rozstępujący się tłum dworzan. W tym tłumie jest Seymour. Dwie młode dwórki chichoczą głupiutko, gdy on się uśmiecha i macha w ich stronę tym niedorzecznym piórem. Katarzyna odwraca wzrok, udając, że jest zafascynowana uwagami sędziwej lady Buttes, która krytykuje stroje młodych kobiet, narzeka na luźne interpretowanie praw regulujących zbytek i pyta, gdzie się podziała dawna uprzejmość. Za jej czasów było inaczej, sarka. Czy dzisiaj nikt nie wie, jak okazywać starszym szacunek? Katarzyna słyszy jak przez mgłę swoje imię wypowiedziane przez Seymoura i coś o jej klejnotach, pewnie

nieszczery komplement. Spogląda ku niemu, wyniośle kiwa głową, po czym wraca do litanii nudnych skarg lady Buttes.

Po powrocie do względnego spokoju w apartamentach lady Marii Susan Clarencieux przepędza wszystkich do zewnętrznych pokoi i odprowadza Marię, która wydaje się na skraju załamania, do jej sypialni. Teraz, w prywatności, młodsze dziewczęta zdejmują zdobione czepki i rozluźniają suknie, trajkocząc i chichocząc. Dwórki dzielą się na ciche grupki, a w końcu siadają do czytania lub robótek ręcznych i częstują się winem korzennym. Katarzyna już ma odejść, gdy za drzwiami rozlega się harmider, bębnienie i śpiew przy akompaniamencie lutni i głośnego tupotu stóp. Dziewczęta sięgają po czepki, śpiesznie nakładają je na głowy, wzajemnie pomagają je sobie wiązać i chować pod nimi zbłąkane kosmyki włosów, jednocześnie szczypiąc policzki i przygryzając wargi.

Drzwi otwierają się gwałtownie i gromada minstreli z maskami na twarzach wtacza się do środka w kakofonii oklasków i wiwatów. Podskakują w skomplikowanym żywym tańcu, kręcąc ósemki i spychając kobiety pod ściany. Katarzyna wchodzi na stołek, ciągnąc za sobą Meg, aby z góry miały lepszy widok. Czuje, jak atmosfera w pokoju narasta do hamowanego szaleństwa; niemal widać przeskakujące w powietrzu iskry.

Jej siostra Anna chwyta jedną z dziewcząt.

– Przeprowadź Susan – mówi. – Powiedz jej, że lady Maria musi wyjść; powiedz jej, że jest wizyta.

Katarzyna z trudem tłumi okrzyk, gdy spostrzega, o co chodzi: pośrodku kręgu minstreli, kulejąc i z trudem dźwigając swój ogromny ciężar, obraca się król w niedorzecznym stroju minstrela, z jedną nogą czarną, drugą białą. Katarzyna pamięta, że zrobił coś podobnego przed laty, wierząc, że przebrany jest nie do poznania. Tak rozpaczliwie pragnął się przekonać, czy budzi zachwyt nie tylko jako król, lecz również jako mężczyzna, że cały dwór się zmówił i wziął udział w tej farsie. Wpadł wtedy, zupełnie jak teraz, otoczony przez najlepszych dworzan; o głowę od nich wyższy, zwinny, muskularny i pełen wigoru, prezentował się imponująco i zrobił na niej, wówczas młodziutkiej dziewczynie, naprawdę duże wrażenie. Ale żeby nadal tak hasać, gdy ledwie trzyma się na nogach, bez wsparcia mężczyzn po bokach, w kaftanie minstrela, mocno opiętym na wydatnym brzuchu? To trąci desperacją. I jego otoczenie – zgrabni mężczyźni, przystojni dworscy szlachcice i kawalerowie, młodzi i tryskający życiem, silni i zwinni dzięki polowaniom – tylko pogarsza całą tę maskaradę.

Meg stoi z otwartymi ustami.

– To król – szepcze Katarzyna. – Gdy zdejmie maskę, musisz udawać zaskoczenie.

– Ale dlaczego? – Twarz dziewczyny wyraża konsternację.

Jej macocha wzrusza ramionami. Co ma powiedzieć? Cały dwór musi wziąć udział w iluzji, dzięki której król czuje się młody i kochany, podczas gdy jedynym uczuciem, jakie naprawdę wzbudza obecnie, jest strach.

– To dwór, Meg. Tu wielu spraw nie da się wyjaśnić.

Mężczyźni skaczą w kręgu wokół małej Anny Bassett, która z fałszywą skromnością przybiera pozy. Jej matka, lady Lisle, niemal się ślini, patrząc, jak dojrzała szesnastoletnia córka obraca się wśród mężczyzn, pod łakomym spojrzeniem króla.

– Obawiam się, że historia się powtarza – szepcze Anna do siostry.

Nie musi mówić, że wszyscy tutaj myślą o Katarzynie Howard, może z wyjątkiem lady Lisle, której ambicja z pewnością przeważa nad rozsądkiem. Krąg się rozpada i Anna Bassett trafia na skraj tłumu, muzyka cichnie i król zdejmuje maskę przy wtórze okrzyków udawanego zaskoczenia.

Wszyscy padają na kolana, suknie dam rozlewają się po podłodze morzem jedwabiu.

– Nie do wiary... król! – krzyczy ktoś.

Katarzyna opuszcza wzrok i przygląda się słojom dębowych desek; bojąc się, że wybuchnie śmiechem, przepędza pokusę szturchnięcia siostry łokciem. Całość jest bardziej niedorzeczna niż włoska komedia.

– Śmiało – huczy król. – To nieoficjalna wizyta. Powstańcie. Zobaczmy, kto jest wśród was. Gdzie nasza córka?

Tłum się rozstępuje, pozwalając wystąpić do przodu lady Marii. Na jej twarzy gości nieczęsty uśmiech i zdaje się, że ubywa jej lat, jakby odrobina ojcowskiej uwagi zmieniła bieg czasu. Otacza ją kilku mężczyzn.

– Will jest tutaj – mówi Anna. – Ze swoim towarzystwem.

Katarzyna dostrzega kołyszące się i podskakujące pióro. Czując, jak coś ściska ją w żołądku, pociąga Meg do wyjścia, lecz nagle znajduje się tuż przed królem.

– Ach, czy to lady Latimer próbuje się wymknąć? Dlaczego chcesz uciec, lady?

Ogarnia ją powiew cuchnącego oddechu i powstrzymuje się ze wszystkich sił, żeby nie sięgnąć po wiszącą u jej paska balsamkę.

– Nie uciekam, Wasza Królewska Mość, tylko czuję się nieco przytłoczona.

Nie unosi wzroku nad jego pierś. Z bliska widzi perły naszyte na ciasno zasnurowany czarno-biały dublet, który zdaje się nadawać formę jego ciału. Wąłki tłuszczu wylewają się wszędzie, gdzie tylko mogą, i ma wrażenie, że gdyby zdjął ubranie, zrobiłby się zupełnie bezkształtny.

– Wyrażamy ubolewanie z powodu śmierci twojego męża – mówi król, wyciągając rękę, by ucałowała pierścień wrzynający się głęboko w skórę

środkowego palca.

– Dziękuję, Wasza Królewska Mość.

Katarzyna ośmiela się zerknąć na jego twarz, okrągłą i ciastowatą, z zatopionymi w niej rodzynkami oczu. Zachodzi w głowę, co się stało z tym wspaniałym mężczyzną, którym był kiedyś.

– Słyszeliśmy, że troszczyłaś się o niego. Jesteś dość znana ze swoich pielęgniarских umiejętności. Starzec wymaga opieki. – Przysuwa usta do jej ucha, tak blisko, że słyszy świst jego oddechu i owiewa ją zapach ambry. – Dobrze widzieć cię z powrotem na dworze. Wyglądasz apetycznie nawet we wdowich szatach.

Katarzyna czuje, że oblewa ją gorący rumieniec, i zdobywa się tylko na wymamrotanie kilku słów wdzięczności.

– A któż to? – znów huczy król.

Chwila intymności na szczęście minęła. Król macha ręką w stronę Meg i ta opada w głębokim dygu.

– Moja pasierbica, Małgorzata Neville – przedstawia ją Katarzyna.

– Wstawaj, dziewczyno – mówi król. – Chcemy cię dobrze widzieć.

Meg prostuje się posłusznie. Katarzyna zauważa, że drżą jej ręce.

– I odwróć się – nakazuje król. Gdy dziewczyna obraca się niczym klacz na aukcji, on krzyczy „BUU!”, a Meg odskakuje, przerażona. – Płochliwe maleństwo, prawda? – Śmieje się.

– Żyła w odosobnieniu, Wasza Królewska Mość – wyjaśnia Katarzyna.

– Potrzebuje mężczyzny, żeby ją ujeździł – stwierdza król, po czym zwraca się do Meg: – Czy ktoś tutaj ci się podoba?

Seymour przechodzi obok i Meg patrzy na niego przelotnie.

– Ach! Widzimy, że Seymour wpadł ci w oko! – wykrzykuje król. – Przystojny, nie sądzisz?

– N-n-nie – jąka się Meg.

Katarzyna mocno kopie ją w kostkę.

– Sądzę, że próbuje powiedzieć, iż Seymour jest niczym w porównaniu z Waszą Królewską Mością – wtrąca głosem śliskim jak olej, ledwie mogąc uwierzyć, że takie brednie przechodzą jej przez gardło.

– Ale mówi się o nim jako o najprzystojniejszym mężczyźnie na dworze.

– Hm. – Katarzyna przechyla głowę, zastanawiając się, jak najlepiej sformułować odpowiedź. – To kwestia opinii. Niektórzy wolą dojrzalszych mężczyzn.

Król wybucha gromkim śmiechem.

– Myślę, że zaaranżujemy małżeństwo twojej Małgorzaty Neville z Tomaszem Seymourem. Mój szwagier i twoja pasierbica... Ładnie brzmi.

Trzymając obie kobiety za łokcie, prowadzi je przez pokój do stołu do gry, a Katarzyna nie potrafi wymyślić, w jaki sposób grzecznie odwieść go od tego pomysłu. Słudzy śpiesznie przynoszą dwa krzesła. Król siada i wskazuje jej, żeby zajęła drugie. Szachownica pojawia się jakby znikąd i król daje Seymourowi znak, aby ustawił bierki. Katarzyna nie śmie nawet zerknąć w jego stronę, bojąc się, że szalejąca w niej burza emocji znajdzie ujście na zewnątrz.

Jest świadoma ukradkowych spojrzeń lady Lisle, która stoi tam z córką; niemal słyszy jej intryganckie myśli, jak lepiej zaprezentować Annę, przygotować ją, wyszkolić, żeby złapała największą rybę w morzu. Z pewnością lady Lisle cieszy się, że ona, dwukrotna wdowa po trzydziestce, nie może konkurować z jej córką, będącą w pełnym rozkwicie młodości. Jeśli król chce mieć synów, wybierze Annę Bassett lub kogoś podobnego. A chce synów, wszyscy o tym wiedzą. Katarzyna rozpoczyna partię.

– Przyjęty gambit królowej – mówi król, biorąc jej białego pionka i obracając go w grubych palcach. – Chcesz rozgromić mnie na środku planszy. – Patrzy na nią, jego zapadnięte oczy błyskają, a oddech świszczy, jakby w jego ciele brakowało miejsca na powietrze.

Wykonują ruchy szybko i w ciszy.

Król bierze z półmiska słodki przysmak, wrzuca go do ust i mlaska. Chwyta tłustymi palcami wieżę i stawia ją, blokując ruch Katarzyny.

– Aha! – Pochyliła się ku niej i mówi: – Będziesz chciała męża, tak samo jak twoja pasierbica.

Katarzyna z roztargnieniem przesuwając małym białym skoczkiem po dolnej wardze.

Jest gładki jak masło.

– Może w końcu wyjdę ponownie za mąż.

– Mógłbym uczynić cię królową – oznajmia król.

Katarzyna czuje, jak kropelki jego śliny spadają obok jej ucha.

– Żartujesz sobie, Wasza Królewska Mość.

– Może tak. Może nie.

Chce mieć synów. Cały świat wie, że król chce synów, myśli Katarzyna. Anna Bassett dałaby mu mnóstwo dzieci – albo córka Talbotów, Percych, Howardów. Nie, Howardów nie; miał dwie królowe z rodu Howardów i obie wysłał na szafot. Chce mieć synów, a ona w ciągu dwóch małżeństw powiła jedno martwe dziecko. Nagła myśl uderza ją jak kula armatnia: myśl o dziecku z Seymourem, pięknym Seymourem, mężczyzną w kwiecie wieku. Byłoby grzechem, gdyby ktoś taki nie spłodził dzieci. Gani się w duchu za tak niedorzeczne rozważania. Ale ten wątek nie daje się zdusić i kiełkuje w głębokim zakamarku umysłu.



Katarzyna musi użyć całej siły woli, żeby oderwać wzrok od Seymoura, skupić się na grze i zabawianiu króla.

#### KATARZYNA WYGRYWA.

Grupka widzów cofa się nieco, jak tłum spodziewający się głośnego wybuchu, gdy kobieta krzyczy:

– Szach-mat!

– To właśnie w tobie lubimy, Katarzyno Parr – mówi król ze śmiechem.

Widzowie się odprężają.

– Nie dogadzasz nam przegraną, w przeciwieństwie do innych, którzy myślą, że zawsze cieszy nas wygrywanie. – Ujmuje jej rękę. – Jesteś szczerą – dodaje, przyciągając ją do siebie i głaszcząc jej policzek woskowymi opuszkami palców. Wszyscy na nią patrzą i dostrzega szelmowski uśmiech brata, gdy król osłania usta dłonią, przyciska wilgotne wargi do jej ucha i szepcze: – Przyjdź do nas później, porozmawiamy na osobności.

Katarzyna desperacko szuka jakiejś odpowiedzi.

– Wasza Królewska Mość, jestem zaszczycona. Wielce zaszczycona, że chcesz spędzić czas wyłącznie ze mną. Skoro jednak mój mąż niedawno odszedł, nie...

Król kładzie palec na jej ustach, żeby ją uciszyć.

– Nie ma potrzeby się tłumaczyć. Promieniejesz lojalnością. Podziwiamy to. Potrzebujesz czasu. Będiesz miała czas na opłakanie męża. – To rzekłszy, przywołuje jednego z dworskich szlachciców, żeby pomógł mu podnieść się z krzesła, po czym ciężko wsparty na mężczyźnie, kuśtyka do drzwi, a za nim podąża jego świta.

Katarzyna patrzy, jak szlachcic potyka się o królewską stopę. Ręka króla śmiga niczym żabi język do muchy i wymierza mu ostry policzek. Gwar rozmów zamiera.

– Zejdź mi z oczu, idioto. Mam kazać odciąć ci stopę za niezdarność? – ryczy król i biedny zastraszonego dworzanin oddala się jak najprędzej.

Inny zajmuje jego miejsce i wszyscy ruszają dalej. Tak jakby nic się nie stało, nikt tego nie komentuje.

Katarzyna szuka siostry, czując, że atmosfera w pokoju uległa zmianie, obróciła się na jej korzyść. Ludzie rozstępują się przed nią, rzucając komplementy niczym kwiaty, i tylko Anna Bassett i jej matka patrzą na nią krzywo. Anna jest jak wyspa na tym morzu udawania.

– Muszę stąd uciec – mówi do niej Katarzyna.

– Lady Maria udała się na spoczynek, nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, że odejdiesz – zapewnia ją siostra. – Poza tym – dodaje z żartobliwym

kuksańcem – wygląda na to, że nikt nie weźmie ci tego za złe.

– To nie żarty. Tego rodzaju przychyłność ma swoją cenę.

– To prawda – przyznaje Anna i nagle poważnieje.

Obie myślą o tych wszystkich nieszczęśliwych królowych.

– Tylko flirtował. Jest królem... Ma do tego prawo, jak sędzę... nie na poważnie... – wyrzuca z siebie słowa Katarzyna. – Najlepiej jednak przez jakiś czas będę trzymać się z dala od dworu.

Anna kiwa głową.

– Do zobaczenia.

NA DZIEDZIŃCU JEST PRAWIE CIEMNO, drobne płatki śniegu migoczą w świetle pochodni na krążgankach. Większa część brei zamarzła i stajenni ostrożnie stąpają po zdradliwym bruku. Liczni jeźdźcy hałaśliwie zsiadają z koni, a przyjmująca ich gromada przejętych paziów i dworskiej szlachty wskazuje na to, że przybysze muszą być ważni. Katarzyna dostrzega wytrzeszczone oczy i szyderczy grymas wąskich ust Anny Stanhope. Zna ją z dzieciństwa, z dawnych lat wspólnej nauki w królewskiej szkole; już wtedy była złośliwa i zadufana w sobie. Stanhope mija je z nosem w górze, trącając ramieniem siostrę Katarzyny, jakby jej nie widziała, i traktując je obie jak powietrze.

– Widzę, że niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają – prycha Katarzyna.

– Jest nie do zniesienia, odkąd wyszła za Edwarda Seymoura i została hrabiną Hertford – mówi Anna. – Nosi się jak królowa.

– Bądź co bądź, jest potomkinią Edwarda Trzeciego – zaznacza Katarzyna, przewracając oczami.

– Jakbyśmy tego nie wiedzieli.

– Jakby pozwoliła nam o tym zapomnieć.

Paź przynosi ich futra. Katarzyna i jej pasierbica otulają się dla ochrony przed zimnem i żegnają się z Anną. Kiedy ta znika na górze kamiennych schodów. Katarzyna wie, że będzie tęsknić za ich swobodną poufałością i że czeka na nią mało pociągający mrok Charterhouse, a jednak cieszy się, że opuszcza to miejsce.

Siadają na ławce we wnęce, czekając na konie. Meg wydaje się zmizerowana. Katarzyna zamyka oczy i opiera głowę o zimną kamienną ścianę; myśli o długiej agonii Latimera, o tym, jak trudne musiało to być dla jego córki.

– Lady Latimer. – Czyjś głos wrywa ją z zamyślenia.

Otwiera oczy i widzi stojącego nad nią Seymoura. Czuje ucisk w piersi.

– Małgorzato – zwraca się Seymour do Meg, uśmiechając się jak człowiek, który zawsze dostaje to, czego chce – bądź tak miła i przeproś w moim imieniu swojego wuja. Czekam na mnie w wielkiej sali, a ja przed waszym wyjazdem chciałbym omówić pewną sprawę z lady Latimer.

– Sprawę? – pyta Katarzyna, gdy Meg znika w drzwiach pałacu. – Jeśli zamierzasz prosić o rękę Małgorzaty...

Seymour nie pozwala jej dokończyć.

– W żadnym razie. Nie... chociaż to urocze dziewczę... i w dodatku krwi Plantagenetów... – Zaczyna się, lekko zakłopotany.

To ją zaskakuje, ponieważ sama nie jest przy nim skrępowana. Seymour stoi trochę za blisko, bliżej, niż wypada. Płaszczyzny jego twarzy współgrają ze sobą – ma wyraziście zarysowany podbródek, wysokie kości policzkowe, szerokie czoło ze szpicem włosów pośrodku, jak grot strzały.

– Och.

Seymour pachnie mężczyzną i piżmem i znów patrzy na nią tymi niebieskimi oczami. Wszystko to wytrąca ją z równowagi i chętnie by uciekła, ale jest osaczona przez swoje dobre maniery i paraliżujące ją oczy.

– Nie, chodzi o coś innego. – Seymour trzyma coś na wyciągniętej ręce. – Twoja, jak sądzę.

Katarzyna spogląda na jego dłoń i widzi perłę.

– Nie wydaje mi się – mówi.

Odruchowo sięga ręką do krzyżyka matki. Czuje tylko puste miejsce tam, gdzie powinna znajdować się środkowa perła, i ostre końce zerwanego ogniwa.

Jak to się stało, że zguba leży na dłoni tego mężczyzny?

Jest zdezorientowana, jakby zrobił jakąś magiczną sztuczkę, jak Will Sommers wyciągający miedziaka zza ucha Meg. Przez dłuższą chwilę Katarzyna wpatruje się w perłę, zła na niego, jakby z rozmysłem zerwał ją z jej szyi.

– Jak trafiła w twoje ręce? – Głos załamuje jej się z rozdrażnienia.

Złości się na siebie, że zbyt wiele ujawnia w swoim tonie. Czuje, że Seymour świdruje ją wzrokiem. Jej oddech brzmi głośno w ciszy.

– Widziałem, jak w długiej galerii spadła z twojego wisiorka, i próbowałem zwrócić twoją uwagę. I później, w komnatach lady Marii, ale król...

– Król... – Katarzyna prawie o nim zapomniała.

– Rad jestem, że znalazłem cię, zanim wyjechałaś.

Seymour rozchyła usta w zniewalającym szerokim uśmiechu i drobne zmarszczki rozbiegają się promieniście od kącików jego oczu ku skroniom. Oczy już nie są groźne, stają się jasne i urzekające.

Katarzyna nie odwzajemnia uśmiechu i nie bierze perły, która wciąż leży na jego dłoni. Nie może pozbyć się wrażenia, że została oszukana.

Seymour siada obok niej na kamiennej ławce.

– Weź.

Katarzyna ani drgnie.

– Albo jeszcze lepiej – rzuca Seymour – daj mi naszyjnik, a ja każę mojemu złotnikowi go naprawić.

Katarzyna spogląda na niego, chcąc znaleźć jakąś wadę. On jednak wygląda bez zarzutu: starannie ułożona krezka jedwabnej koszuli, schludnie przycięta broda, osadzona na bakier czapka i to piekielne pióro, jakże pretensjonalne. Karmazynowy atłas wylewający się z rozcięć w dublecie przywodzi jej na myśl zakrwawione usta. Ma ochotę wyciągnąć rękę i trochę potargać jego ubranie. Śnieg osiadł na aksamitnych ramionach i Seymour ma zaczerwieniony koniuszek nosa. Katarzyna z uśmiechem odwraca się plecami do niego, zaskakując samą siebie, i unosi czepek, żeby odsłonić kark. Seymour wsuwa perłę w jej dłoń i rozpina naszyjnik ciepłymi palcami. Nie zamierzała tego zrobić, ale coś w szczerym uśmiechu tego mężczyzny i rumianym czubku jego nosa sprawia, że wbrew sobie czuje, iż źle go oceniła.

Seymour bierze naszyjnik, przytyka go na chwilę do ust, po czym chowa w kieszeni w pole dubletu. Ogarnia ją przyjemne uczucie topnienia, jakby pocałował jej szyję, a nie naszyjnik.

– Dbaj o niego. Należał do mojej matki i jest mi bardzo drogi. – Udaje jej się zebrać w całość dryfujące cząstki siebie i nadać głosowi zwyczajny ton.

– Możesz na mnie polegać, lady Katarzyno – zapewnia ją Seymour i po chwili dodaje: – Naprawdę przykro mi z powodu śmierci twojego męża. Will mówi, że bardzo cierpiał.

Nie podoba jej się, że brat rozmawiał z tym mężczyzną o niej lub jej mężu, i zastanawia się, co jeszcze mogło zostać powiedziane.

– Cierpiał – mówi krótko.

– To musiało być dla ciebie nie do zniesienia.

– Tak. – Wciąż na niego patrzy i widzi na jego twarzy szczerą troskę. Kosmyk włosów wymknął mu się z za ucha, a ona za wszelką cenę stara się powstrzymać, by nie wyciągnąć ręki i go nie odgarnąć. – Nie do zniesienia.

– Był szczęśliwym człowiekiem, mając cię za opiekunkę.

– Myślisz, że był szczęśliwy? Nie, nie był. Nie, skoro powaliła go ta choroba. – Jej głos brzmi ostro.

Seymour wygląda na skarconego.

– Nie chciałem...

– Wiem, że nie chciałeś sprawić mi przykrości – rzuca szybko Katarzyna, bo widzi Meg idącą po schodach. – Moja pasierbica wróciła, pora jechać.

Wstaje i dostrzega Rafe'a, który czeka z końmi, i Meg idącą prosto w jego stronę. Zastanawia się, czy dziewczyna unika Seymoura po tamtej rozmowie o małżeństwie.

– I perła – mówi Seymour.

Przez chwilę zdezorientowana, rozchyła dłoń i znajduje wtuloną tam perłę. Znowu czuje się oszukana, bo nie przypomina sobie, kiedy wzięła ją od niego.

– No tak, perła. – Podaje mu ją.

– Wiesz, jak rodzi się perła?

– Oczywiście. – Jest nagle zła na siebie, że dała się nabrać na jego słodkie słówka i frazesy. Wyobraża sobie te rozchichotane panny, które chłoną każde jego słowo, gdy opisuje powstawanie perły; mami je metaforami, aż w końcu idą z nim do łóżka i pokazują mu swoje muszelki. – A ty jesteś nie więcej niż ziarenkiem piasku – syczy i odwraca się, by odejść.

Seymour nie da się tak łatwo odtrącić; ujmuje jej rękę i składa na niej wilgotny pocałunek.

– Może z czasem stanę się perłą – odpowiada i już wbiega po schodach, po dwa stopnie naraz, a peleryna kołysze się na jego szerokich ramionach.

Katarzyna wyciera grzbiet dłoni o suknię i prycha, wypuszczając obłok pary, który równie dobrze mógłby być kłębem dymu. Żałuje, iż nie dała mu jasno do zrozumienia, że jeśli chce pofiglować z jakąś wdową, to nie z nią, nawet za tysiąc sztuk złota. Nagle ogarnia ją poczucie samotności, zagubienia bez męża – rozpaczliwie za nim tęskni i żałuje, że nie wraca teraz do niego.

Słyszy zamieszanie na schodach, brzęk i wybuch śmiechu. Unosi głowę i widzi, że młody paż leży jak długi, z upuszczonym na ziemię talerzem, a wokół walają się ciastka. Ludzie kopią je, przechodząc, wdeptują w podłogę i szydzą z chłopca. Katarzyna dostrzega rumieniec upokorzenia na jego policzkach. Już śpieszy ku niemu z pomocną dłonią, gdy nagle Seymour pada na obleczone jedwabiem kolana i zaczyna zbierać ciastka. To ucisza kpiarzy, którzy rozchodzą się chyłkiem – wszak Seymour jest szwagrem króla, więc lepiej go do siebie nie zrażać. Ich miny mówią, że wywrócił świat do góry nogami, kłękając w białych pończochach, by pomóc komuś, kto w ich oczach jest nikim.

Seymour klepie chłopca po plecach i patrzy na niego z uśmiechem. Siedzą przez chwilę, gawędząc wesoło, po czym mężczyzna pomaga paziowi wstać. Katarzyna słyszy, jak mówi: „Głowa do góry. Zamienię słówko z kucharzem”.

Gdy siedzą już na wierzchowcach, Katarzyna z roztargnieniem unosi rękę do krzyża matki i znajduje tylko puste miejsce pod szyją. Zastanawia się, czy nie postąpiła lekkomyślnie, powierzając go Seymourowi, którego prawie nie zna. Jest przyjacielem Willa, z pewnością to wystarczająca poręka jego uczciwości, i przemawia za nim życzliwość, jaką okazał paziowi. Może po prostu od chwili, gdy Murgatroyd ją skrzywdził, przestała ufać mężczyznom.

– Matko – odzywa się Meg. – Spójrz, co dał mi wuj Will. – Wyciąga spod peleryny książkę.

Katarzyna nagle znowu jest zła na brata, przekonana, że to jedna z zakazanych książek, Zwingli lub Kalwin, i że Will próbuje wciągnąć dziewczynę w coś dla niej niepojętego. Intrygi frakcji religijnych na dworze naprawdę mogą być niebezpieczne. Spogląda na tytuł i z ulgą widzi, że to tylko *Le Morte d'Arthur*.

– Cudowna opowieść, Meg. – Oddaje pasierbicy książkę, myśląc o tym, jak bardzo stała się podejrzliwa.

Trąca piętami boki Pewtera, przynaglając go do kłusa. Czuje pod sobą jego uspokajającą siłę i pragnie jak najszybciej wrócić do domu, do Charterhouse. Może jest ponury, ale Katarzyna przynajmniej wie, co dzieje się w jego murach.

– Nie mogę się doczekać, kiedy pokażę ją Dot – mówi Meg. Po napaści w zamku Snape Meg i jej służka stały się sobie bliskie jak siostry i Katarzyna jest z tego rada. – Lubi, gdy czytam jej romanse.

## 2



*Charterhouse, Londyn, marzec 1543*

– NO TO POWIEDZ MI – PROSI DOT, czesząc mokre włosy Meg przy kominku w jej sypialni. – Jak było na dworze? Widziałaś króla?

– Tak. Nigdy w życiu bardziej się nie bałam.

– Naprawdę jest tak duży, jak mówią?

– Większy, Dot. – Meg wyciąga ręce przed siebie, żeby pokazać, jaki gruby jest król, i obie chichoczą. – Był przebrany za minstrela i chociaż wszyscy wiedzieli, że to on, udawali, że nie mają o tym pojęcia.

– Dziwne – mruczy Dot z zadumą. – Nie myślałam, że król oddaje się takim zabawom. Sądziłam... – Szuka odpowiedniego słowa. Ale tak naprawdę nie mieści jej się w głowie, że król może być prawdziwym człowiekiem. Dla niej jest bardziej potworem ze starej opowieści, ścinającym głowy swoim żonom. – Sądziłam, że jest poważniejszy.

Grzebień zatrzymuje się w splątanych włosach.

– Au! – krzyczy Meg.

– Nie ruszaj się, bo będzie tylko gorzej... Już. – Dot wrzuca do ognia kłębek włosów.

– Wszystko na dworze jest dziwne – stwierdza Meg. – Nikt nie powie tego, co myśli, nawet matka mówi zagadkami. I każdy, kto się do mnie zwracał, pytał tylko, kiedy wyjdę za mąż i za kogo. – Krzywi się. Mały spaniel Rig wskakuje jej na kolana, a ona go przytula. – Gdyby to ode mnie zależało, nigdy nie wyszłabym za mąż.

– Będziesz musiała, czy tego chcesz, czy nie. Wiesz o tym.

– Chciałabym być tobą, Dot.

– Nie przetrwałabyś nawet godziny tej harówki – odpowiada ze śmiechem służka. – Spójrz na swoje piękne białe dłonie. – Pokazuje jej własną stwardniałą rękę. – Twoje ręce nie są stworzone do szorowania i innych ciężkich prac. –

Całuje Meg w czubek głowy, po czym zręcznie splata jej długie włosy, upina warkocze i nakłada na nie czepek.

- Ale ty możesz poślubić, kogo chcesz.
- Mam duży wybór! Widziałaś chłopaków z kuchni...
- Jest nowy pomywacz.
- Co, Jethro? Gorszy niż bolący ząb.

Dot nie wspomina, jak obściskiwiała się z Jethrem w stajni. Nigdy nie rozmawia z Meg o tych sprawach.

- Wuj Will chciałby, żebym wyszła za jego przyjaciela, Tomasza Seymoura.
- A jaki on jest, ten Seymour?

Meg chwyta dłoń Dot tak mocno, że bieleją jej kostki palców.

– Przypomina mi... – Jej oddech staje się nagle krótki i płytki, jakby zadławiła się słowem, i oczy jej pochmurnieją.

Dot wstaje, przepędza Riga i bierze Meg w ramiona. Obejmuje ją mocno, a ona wtula twarz w jej ramię.

– Murgatroyda – kończy za nią. – Nie bój się powiedzieć tego głośno, Meg. Lepiej wyrzucić to z siebie, niż dusić w środku, gdzie będzie się jątrzyło.

Meg w jej ramionach jest taka chudziutka, jakby jej wcale nie było. Dot widziała, jak mało je, jak gdyby głodząc się, chciała znów być małą dziewczynką. Może o to właśnie jej chodzi.

Dot czuje się znacznie starsza od niej, choć jest między nimi tylko rok różnicy i Meg prześciga ją pod wieloma względami – umie czytać i pisać, zna łacinę i język francuski. Ma nauczyciela, noszącego się na czarno bladego mężczyznę, który karmi ją tą wiedzą. Głowę Dot zalewają nieproszone wspomnienia: siedzi w kamiennym korytarzu przed komnatą w wieży zamku Snape, ściskając uszy rękami, żeby nie słyszeć stękania Murgatroyda i stłumionego krzyku dziewczynki. Łajdak zaryglował drzwi i nic nie mogła zrobić. Kiedy już skończył z Dot, poranił to biedne dziecko – bo Meg była jeszcze dzieckiem – tam na dole. Nic dziwnego, że Meg nie chce wyjść za mąż. Nawet lady Latimer nie wie, co wówczas się wydarzyło. To tajemnica, która je łączy, i jest naprawdę straszna. Meg kazała jej przysiąc, że dochowa sekretu – a Dot potrafi trzymać język za zębami.

– Matka aranżuje to małżeństwo – kontynuuje Meg, przygryzając kciuk. – Jestem tego pewna. Rozmawiała z Seymourem sam na sam.

– Możesz to odwlec. Powiedz jej, że nie jesteś jeszcze gotowa.

– Mam siedemnaście lat. Większość dobrze urodzonych dziewcząt w moim wieku już od dwóch lat jest mężatkami, gotowymi do powicia drugiego dziecka. – Meg wyzwała się z objąć Dot i siada na łóżku.

– Niedawno zmarł twój ojciec. Jestem pewna, że lady Latimer nie zmusi cię do ślubu w okresie żałoby.



– Ale później... – Meg milknie i kładzie się z westchnieniem.

Dot chciałyby jej powiedzieć, że nie ma się o co martwić, że nie musi wychodzić za męża i że ona zawsze będzie przy niej. Ale nie będzie jej okłamywać i tylko Bóg wie, dokąd zostanie wysłana. Od śmierci lorda Latimera wszyscy słudzy zastanawiają się, co z nimi będzie, a sytuacja ciągle wydaje się niepewna.

– Co to jest? – pyta, by zmienić temat, i podnosi książkę, którą Meg przywiozła z dworu.

Książka jest oprawiona w ciemną cielęcą skórę z wytłoczonym wzorem bluszczu. Dot przysuwa ją do nosa i wdycha zapach skóry. To zapach domu, małego miejsca w Stanstead Abbots, gdzie dorastała. Dom stał obok podwórza garbarni i zapach wniknął w jego mury. Pamięta, że najbardziej intensywny był latem, kiedy rozpinano skóry na słońcu – duże plamy jaskrawych kolorów. To kojący zapach. Zastanawia się, co teraz robi jej mama, wyobraża sobie, jak zmiata śnieg z ganku. Dot tworzy obraz w głowie: podwinięte rękawy, sprawne ręce trzymające miotłę. Mamie pomaga jej siostra, Mała Min, rozrzucając piasek po ścieżce, a brat, Robbie, z pyłem ze strzechy we włosach, jak tata, rozbija lód w beczce z wodą. Dot wie, że obraz jest fałszywy, bo Mała Min nie jest już wcale mała, a twarz mamy pokryła się siecią zmarszczek. Serce pęka jej z tęsknoty za nimi, ale odeszła z domu dawno temu i odwykła od tamtego życia tak bardzo, że już nie umiałaby do niego powrócić.

Miała dwanaście lat, kiedy wyruszyła w daleką drogę do zamku Snape w Yorkshire, żeby służyć u lady Latimer; jej babcia była kiedyś mamką małej Katarzyny. Gdy babcia jeszcze żyła, rodzina Parrów z Rye House zatrudniała mniej więcej całą wioskę Stanstead Abbots, a w każdym razie tak powiadano. Dot odeszła z domu po tym, jak ojciec spadł z dachu i skręcił sobie kark. Mama zaczęła zarabiać na życie praniem, ale nigdy nie wystarczało, nawet kiedy Robbie przejął fach po ojcu. Dot pamięta głód, który w nocy skręcał jej kiszki, ponieważ dziewczynki dostawały tylko po pół chochli zupy; cała chochla była dla Robbiego, który potrzebował siły do wchodzenia na dachy z wielkimi snopami strzechy. Z pewnością uznali jej odejście za szczęśliwe zrządzenie losu, bo z domu ubyla jedna gęba do wykarmienia.

Mama dała jej srebrnego pensa na pamiątkę i Dot wciąż go ma, zaszytego w rąbku sukni, na szczęście. Pamięta, jak żegnała się z najlepszymi przyjaciółkami, Letty i Binny, które chyba nie zdawały sobie sprawy, że do Yorkshire jest prawie tak daleko jak na księżyc, bo wciąż paplały o tym, co zrobią, gdy ona przyjedzie w odwiedzin. Była też łzawa chwila z Harrym Dentem, urwisem, do którego czuła miętę i którego, jak powszechnie zakładano, w końcu by poślubiła. Obiecał, że zawsze będzie na nią czekać. Tak bardzo rozpaczła, że się rozstają – a teraz ledwie pamięta jego twarz. Wtedy myślała, że być może nigdy tam nie wróci, ale

nic nie mówiła, bo wszyscy już i tak byli dostatecznie zasmuceni. Wróciła jednak do Stanstead Abbots przy okazji podróży z zamku Snape do Londynu. Lady Latimer dała jej kilka dni wolnego, żeby mogła spędzić czas z rodziną. Okazało się, że Letty zmarła na poty, a Binny wyszła za farmera z Ware. Harry Dent zmajstrował dziecko jakiejś dziewczynie i przepadł jak kamień w wodę – to tyle, jeśli o niego chodzi. Robbie pił więcej, niż powinien, i wszyscy uważali, że pewnego dnia spadnie z dachu i pójdzie w ślady taty, chociaż nikt nie mówił tego głośno.

Wszystko było inne, ale głównie to ona się zmieniała; w domu czuła się nie na miejscu, uderzała głową o belki. Przywykła do innego życia.

– To jest książka od wuja Willa. *Le Morte d'Arthur* – mówi Meg, przywołując Dot do chwili obecnej.

– To nie po angielsku. Co to za język?

– Tytuł jest francuski, ale reszta po angielsku.

– Możemy to przeczytać? – pyta Dot, mając na myśli to, że Meg będzie czytać, a ona słuchać.

Przesuwa palcami po wytłoczonych literach tytułu, szepcząc: *Le Morte d'Arthur*, próbując dostosować język do tych dziwnych dźwięków. Chciałaby zrozumieć, jak te linie i zawijasy przekształcają się w słowa, i myśli, że to wszystko jest swego rodzaju alchemią.

– Dobrze, zaczynamy – odpowiada Meg.

Ten pomysł najwyraźniej poprawia nastrój Dot. Ciągłe nie posiada się ze zdumienia, że córka jednego z wielkich panów czyta romanse jej, prostej Dorothy Fownten, córce strzecharza ze Stanstead Abbots. To jest świadectwem zmiany, jaka zaszła w jej życiu.

Gromadzi wszystkie świece, żeby Meg miała dość światła do czytania, po czym układa poduszki i futra przy ogniu i obie się tam lokują. Dot zamyka oczy i pozwala, żeby opowieść snuła się wokół niej. Tworzy w głowie wizerunki Artura, Lancelota i olbrzymiego wojowniczego rycerza Gawaina, wyobraża sobie siebie jako jedną z pięknych panien, na chwilę zapominając o dużych stwardniałych dłoniach, o swojej toporności, o czarnych jak węgiel włosach i ziemistej cerze – bardziej przypomina Cygankę niż białolicą damę Camelotu o włosach jasnych jak len.

Parę świec przygasa i Dot wstaje, by wyjąć nowe z pudełka.

– Czego pragniesz najbardziej na świecie, Dot? – pyta Meg.

– Ty powiedz pierwsza.

– Chciałabym mieć taki miecz jak Excalibur – odpowiada Meg z błyszczącymi oczami. – Wyobraź sobie: już nigdy nie czułabym strachu. – Macha

szczupłą ręką, trzymając wyimaginowaną rękojeść. – Teraz ty, Dot. O czym marzysz?

– Chciałabym mieć męża, który umie czytać! – wykrzykuje bez namysłu Dot.

Śmieje się, bo pragnienie wyrażone na głos brzmi strasznie głupio i wydaje się jeszcze bardziej nierealne niż zdobycie magicznego miecza. Czuje, że wypowiadając je, zepsuła czar opowieści.

Meg milczy, pogrążona w myślach.

Dot pochyla się, żeby zajrzeć do pudełka na świecę.

– Skończyły się. Mam iść na dół i przynieść kilka?

– Jest późno. Kładźmy się spać. – Meg podnosi jedno z futer i przeciąga je na łożo z baldachimem.

Dot wysuwa spod spodu swoje poślanie.

– Śpij ze mną. – Meg poklepuje piernat obok siebie. – Będzie cieplej.

Młoda służka porządkuje palenisko, rozbijając węgle pogrzebaczem, i ostrożnie ustawia przed nim siatkową osłonę. Następnie wsuwa się na łożko i szczelnie zaciąga kotary, tworząc dla nich obu małe bezpieczne miejsce. Rig też wdrapuje się na łożo, drepcze w kółko, by umościć sobie legowisko, po czym zwija się w ciasną kulkę. Obie ze śmiechem patrzą na szczeniaka. Dot wślizguje się pod zimne okrycie i pociera stopy, żeby je rozgrzać.

– Wiercisz się zupełnie jak Rig – mówi Meg.

– Niektórzy nie mają szkandeli.

Dot czuje, jak sięga ku niej lekka niczym piórko ręka, i przesuwa się po rozległej przestrzeni zimnego łożka. Meg obejmuje ją mocno, jakby bez niej miała się zupełnie zagubić. Jej koszula nocna pachnie drzewnym dymem z kominka, co przypomina Dot, jak przytulała się do Małej Min w ich łożku. Ma wrażenie, że znalazła się w życiu jakiejś innej osoby.

– Gdybyśmy mogły zmieniać kształt jak Morgana le Fay... – szepcze Meg. – Mogłabyś zostać mną, Dot, i poślubić Tomasza Seymoura. Czytałby ci od rana do wieczora.

– A ty?

– Ja oczywiście byłabym tobą...

– Musiałabyś co rano opróżniać urynały – zauważa Dot. – I co ja miałabym robić z takim wielkim panem jak Seymour? Nie sądzę, żeby spodobał mu się mój taniec, bo w najlepszym wypadku mam dwie lewe nogi.

Śmieją się i przytulają do siebie na łyżeczkę.

– Dzięki Ci, Boże, za Dorothy Fownten – mruczy Meg.

*Charterhouse, Londyn, kwiecień 1543*

KATARZYNA SŁYSZY STUKOT KOŃSKICH kopyt na dziedzińcu. Wygląda przez okno swojej komnaty, spodziewając się zobaczyć jednego z królewskich paziów. Miała nadzieję, że jej nieobecność na dworze usunie ją z pamięci króla, ale tak się nie stało; każdego dnia napływały podarki: broszka z dwoma dużymi brylantami i czterema rubinami; kołnierz z kuny i pasująca do niego mufka; suknia ze złotogłowiu; para gołąbków; dziczyzna, której większość rozdała biednym z parafii, bo w domu nie miałyby kto zjeść mięsa i dobrałyby się do niego robaki (brat Meg i jego żona, nowi lordostwo Latimerowie, pojechali zarządzać majątkami w Yorkshire i zabrali ze sobą większość służby). To dary mężczyzny, który wyraźnie czegoś chce w zamian, ale myśl o tym, żeby zostać kochanką króla, jest nie do zniesienia. Poza tym w głowie Katarzyny nie ma miejsca na takie myśli, bo w tej części, której nie zapełnia żal po mężu, panoszy się Tomasz Seymour.

Myśli o nim napływają nieproszone i nic nie może na to poradzić: pragnie zobaczyć na dziedzińcu pazia w czerwono-złoty barwach Seymourów, z listem, z naprawionym naszyjnikiem. Lecz codziennie widzi tylko zielono-białe barwy Tudorów i napływające – zda się, bez końca – niechciane podarki. Próbowwała je odesłać, ale paż uprzejmym drżącym głosem powiadomił ją, że król ukarze go za to, iż nie zdołał jej przekonać, aby je zatrzymała. A więc niechętnie je przyjmuje i każdy następny sprawia, że czuje się coraz bardziej pusta, jakby była klepsydrą z przesypanym prawie całym piaskiem.

Wymieniłaby te wszystkie dary na jeden drobiazg – dmuchawiec, naparstek cienkiego piwa, szklany koralik – przywieziony przez pazia Seymoura. Nie panuje nad swoimi uczuciami. Dlaczego czeka, niczym usychający z miłości podlotek, na byle głupstwo od tego płytkiego mężczyzny? Zakorzenił się głęboko w jej sercu i rozum go nie wykarczuje. Powtarza sobie, że tęskni za matczynym krzyżykiem, ale wie, że oszukuje samą siebie. To jego pragnie. Pomyka w jej myślach z tym piekielnym podskakującym piórem, a ona nie może wyrzucić go z głowy.

Otwiera skrzydło okna i wyciąga szyję, żeby zobaczyć, kto zsiada z konia. Doktor Huicke, lekarz, który opiekował się jej mężem, wrócił z Antwerpii. Jeśli nie pazia Seymoura, to właśnie jego miała nadzieję zobaczyć. Chce zawołać go z okna, bo uświadamia sobie, jak samotna jest w żałobie. Tęskniła za towarzystwem i oto jest Huicke, poza rodziną jeden z nielicznych, przy których czuje się całkowicie sobą. Od samego początku darzyła go niewytłumaczalną sympatią; przychodził codziennie, gdy Latimera złożyła choroba, i przez te miesiące stali się sobie bliscy. Zawsze służył jej wsparciem. Nieczęsto w życiu spotyka się prawdziwego przyjaciela, myśli, może raz na dziesięć lat.

Zbiega po schodach, podekscytowana jak dzierlatka, i zjawia się w holu akurat w chwili, gdy wchodzi Huicke. Chce rzucić mu się w ramiona, lecz obok stoi zarządca Cousins i etykieta jej na to nie pozwala.

– Jakże się cieszę, że cię widzę!

Huicke ogarnia ją wzrokiem i uśmiecha się radośnie. Z ciemnymi oczami, które połyskują niczym dwie duże krople melasy, i czarnymi jak smoła gęstymi kędziorami wygląda, jakby właśnie zszedł z włoskiego obrazu.

– Świat bez ciebie jest naprawdę nudny, lady Katarzyno.

– Sądzę, że ze względu na długą znajomość nie musimy robić ceremonii. Nazywaj mnie Kit, a będę mogła udawać, że jesteśmy bratem i siostrą.

– Kit – mówi Huicke, smakując to słowo jak francuskie wino.

– Ja jednak nadal będę nazywać cię Huickiem – dodaje Katarzyna. – Ponieważ znam zbyt wielu Robertów.

Huicke kiwa głową, ponownie się uśmiechając.

– Opowiedz mi o Antwerpii. – Katarzyna prowadzi go do ławeczki pod oknem, przez które wpada kwietniowe słońce. – Nauczyłeś się czegoś?

– Antwerpia... Tyle się tam dzieje. Wszystkie rozmowy krążą wokół reformacji. Prasy drukarskie nie nadążają z drukowaniem książek. To miasto wspaniałych pomysłów.

– Reformacja staje się siłą nie bez powodu. Wystarczy wspomnieć wszystkie okropności popełnione w imię starego Kościoła. – Wbrew sobie wspomina zło, jakie katolicyzm ściągnął na nią i jej rodzinę, chociaż nigdy o tym nie mówi, nawet Huicke'owi. Poza tym podoba jej się idea reformacji wydaje się bardzo rozsądna. – A spotkałeś tego Lusitanusa?

– Tak. Dokonał niezwykłych odkryć związanych ze sposobem krążenia krwi. Czasami myślę, że nasze pokolenie, bardziej niż wszystkie inne, stoi na krawędzi zmian. Nasza nauka, nasze wierzenia podlegają wielkim przekształceniom. To mnie ekscytuje.

Katarzyna nie spuszcza wzroku z młodego medyka, gdy ten opowiada z zapalem, ruchami dłoni w rękawiczkach ilustrując pracę Lusitanusa, jak otwierał zwłoki, żeby odsłonić skomplikowane wnętrza. Nigdy nie widziała Huicke'a bez rękawiczek, nawet gdy przychodził badać jej męża. Wyciąga rękę i chwyta jego palce.

– Dlaczego nigdy ich nie zdejmujesz?

Huicke bez słowa odchyła rękawiczkę i odsłania skrawek skóry pokryty wypukłymi czerwonymi pręgami, a potem patrzy na nią, czekając na grymas obrzydzenia. Ona jednak reaguje inaczej. Ujmuje jego rękę i czubkiem palca gładzi zeszpeconą skórę.

– Co to jest? – pyta.

– Nie mam na to nazwy. Nie jest zaraźliwe, ale wszystkich napawa wstrętem. Uważają mnie za trędowatego.

– Biedaku... – Katarzyna pochyla się i składa lekki jak piórko pocałunek na jego zniszczonej skórze. – Biedaku.

Huicke czuje pieczenie łez w oczach. Nie chodzi o to, że nigdy go nie dotykano. Kochankowie dotykali go na różne sposoby, ale nawet w chwili największej ekstazy dostrzega odrazę w ich zaciśniętych ustach i powiekach. W jej oczach widzi coś innego: życzliwość, zrozumienie i współczucie.

– Tak jest wszędzie, z wyjątkiem twarzy – mówi.

Katarzyna wstaje i pociąga go za sobą.

– Chodźmy do apteczki. Możemy sporządzić jakiś balsam. – Ożywia się, jest pełna energii. – Musi być coś, co to wyleczy.

– Jeszcze nie znalazłem leku na tę dolegliwość, aczkolwiek pewne maści nieco łagodzą objawy.

Idą razem przez wyłożone ciemną boazerią korytarze, które wiją się na tyłach domu.

– Kto by przypuszczał, że z takiej niedoli może zrodzić się przyjaźń – odzywa się Katarzyna.

– Prawdziwa przyjaźń należy do rzadkości – przyznaje Huicke, ale wie, że jest nieszczerzy, ponieważ skrywa przed nią tajemnicę, która zerwie ich więź, jak się obawia. Katarzyna jest dla niego więcej niż przyjaciółką, nie zniósłby jej utraty; troszczy się o nią tak, jak wyobraża sobie opiekę nad siostrą, choć jest jedynakiem. Jego oszustwo nie daje mu spokoju. – Zwłaszcza gdy większość czasu spędza się na królewskim dworze.

To prawda, na dworze, gdzie wszyscy walczą o pozycję, nie ma czegoś takiego jak przyjaźń. Nawet medycy króla biorą udział w bezustannej grze o dominację nad innymi. Huicke wie, że niespecjalnie go lubią, jest bowiem o dobre dziesięć lat młodszy od większości z nich, a już przewyższa ich umiejętnościami.

Katarzyna bierze go pod rękę.

Huicke postanawia wynagrodzić tej kobiecie swoje oszustwo, dając jej władzę nad sobą.

– W Antwerpii... – zaczyna i nagle urywa.

– Co w Antwerpii?

– Spotkałem... – Nie wie, jak to wyrazić. – P-poznałem... – jąka się. – Zakochałem się. – Ale to tylko połowa wyznania.

– Huicke. – Katarzyna ściska jego rękę, wyraźnie uradowana. – Kim ona jest?

– To nie ona.

Powiedział to, a ona wcale nie jest wstrząśnięta.

– Ach! Tak podejrzewałam.

– Jak to?

– Znałam mężczyzn, którzy wolą relacje intymne... – Katarzyna przerywa i ścisza głos – z osobnikami swojego rodzaju.

Dał jej coś, co go z nią zwiąże. Ta informacja w niewłaściwym uchu może go zawieść prosto na szubienicę. Huicke czuje pociechę w tym, że przywrócił równowagę.

– Mój pierwszy mąż – kontynuuje Katarzyna – Edward Burgh... Oboje byliśmy bardzo młodzi, właściwie jeszcze dzieci...

Przechodzi sługa z naręczem frezji. Wiosenny zapach rozplywa się w powietrzu.

– To do mojej sypialni, Jethro? – pyta Katarzyna.

– Tak, pani.

– Daj je Dot, ona je ułoży.

Sługa zgina się w lekkim ukłonie i idzie dalej.

– Ani trochę nie podniecałam Edwarda – podejmuje przerwany wątek Katarzyna. – Myślałam, że to przez mój brak doświadczenia. Właściwie żadne z nas nie było przygotowane. Ale w domu był nauczyciel, poważny młody człowiek, Eustace Ives. Miał piękne usta. Pamiętam je, wygięte w kącikach w nieustannym spokojnym uśmiechu. Dopiero gdy zobaczyłam, jak Edward rumieni się w trakcie rozmowy z Ivesem, zaczęło mi świtać... Jakże mało wtedy wiedziałam.

– Co się stało z Edwardem? – pyta Huicke, urzeczony tą perełką z przeszłości przyjaciółki.

– Zabrały go poty. Rozstał się z życiem pewnego popołudnia. Biedny Edward. Był taki wrażliwy. – Katarzyna ma nieobecne spojrzenie, gdy mówi o tamtych czasach, jakby przeniosła się duchem, tu zostawiając tylko cielesną powłokę. – Później wyszłam za Jana Latimera. – Drży lekko, co jakby sprowadza ją z powrotem. – Powiedz mi: ten ktoś jest z Antwerpii?

– Nie, to Anglik. Pisarz, myśliciel. Jest niezwykły. – Sama rozmowa o Nicholasie Udallu sprawia, że przebiega go dreszcz emocji. – I dziki... – Milknie na chwilę. – Nad wyraz dziki.

– Dziki... – powtarza Katarzyna. – Brzmi niebezpiecznie.

Huicke się śmieje.

– Tylko w najlepszy sposób.

– A twoja żona? Czy to rozumie?

– Jesteśmy teraz właściwie w separacji. – Czuje się winny, mówiąc o żonie, dlatego zmienia temat. – Ostatnio wiele miłości unosi się w powietrzu. I wiele rozmów o królu i pewnej osobie.

Katarzyna markotnieje.

– Przypuszczam, że chodzi o mnie. – Zatrzymują się i patrzy na niego dużymi oczami, przejęta niepokojem. – Dlaczego ja, Huicke? Na dworze nie brakuje chętnych piękności. Jest ich aż nadto. I nie jestem już taka młoda. Czy on nie chce mieć więcej synów?

– Być może właśnie twoja niechęć jest dla niego podniętą. – Huicke dobrze wie, jak obojętność może podsycać pragnienie. Wszyscy ci urodziwi młodzieńcy, w których się zakochiwał, a których brzydziła jego skóra... – Król przywykł, że dostaje to, czego chce. Pod tym względem ty jesteś inna, Kit.

– Inna, ha! – Katarzyna wzdycha ciężko. – Co mam zrobić? Rzucić się na niego? Czy to ostudzi jego zapach? – Rusza dalej w głąb korytarza.

– On mówi też o twojej dobroci! – woła Huicke do jej oddalających się pleców. – I o tym, jak troskliwie dbałaś o męża.

Nie może jej powiedzieć, jak król go wypytywał. Jaka była dla męża? Czy dobrze się nim opiekowała? Czy przyrządza własne medykamenty?

– A skąd miałby o tym wiedzieć? – syczy Katarzyna, odwracając się.

Idą w ponurej ciszy, on nieco za nią. Katarzyna wchodzi do pokoju aptecznego i trochę się uspokaja, gdy spowija ich żywiczny zapach. Wyjmuje słoiki, otwiera je, wącha zawartość, wsypuje kilka miarek różnych ziół do moździerza i zaczyna je miażdżyć tłuczkiem.

– Gorzknik – mówi.

Zdejmuje z półki jeszcze kilka słoiczków i stawia je na stole. Wybiera jeden, czyta etykietę, odkorkowuje go i z cichym westchnieniem zadowolenia unosi go do nosa, po czym podsuwa przyjacielowi, żeby też powąchał.

– Mirra – mówi Huicke.

Cierpka kościelna woń przypomina mu o duchownym, który kiedyś wzbudził w nim namiętność.

Katarzyna uciera trochę mirry z gorzknikiem, a następnie zapala palnik pod miedzianym naczyniem, wrzuca twardą grudkę wosku, zostawia ją, żeby się stopiła, i wraca do ucierania. Dodaje do moździerza nieco oleju migdałowego, po czym wlewa gorący wosk i szybko miesza gęstniejącą miksturę.

– Proszę. – Podnosi moździerz do nosa, by ocenić, czy zapach jest właściwy. – Daj rękę.

Huicke zdejmuje rękawiczki; czuje się bez nich zupełnie nagi, gdy Katarzyna wmasowuje balsam w jego biedną zaognioną skórę. Jej dotyk znowu chwyta go za serce.

– Widzisz, Kit – mówi po pewnym czasie. – Właśnie dlatego ludzie uważają, że jesteś dobra i miła.

– Nie bardziej niż większość. Gorzknik działa jak magia.



– Jesteś urodzoną zielarką. Twoje nalewki dla lorda Latimera graniczyły z cudem.

Katarzyna patrzy na niego dziwnie. Huicke ma wrażenie, że przez jej twarz przemyka cień strachu lub czegoś podobnego.

– Zauważyłeś coś u mojego męża, gdy umarł? – pyta go i znowu ma to spojrzenie osaczonego zwierzęcia.

Huicke zastanawia się, co ją dręczy.

– Tylko to, że guz strawił mu wnętrzności. To cud, że żył tak długo. Nie powinienem tego mówić, ale byłoby lepiej, gdyby umarł wcześniej.

Jej twarz wygląda już zwyczajnie.

– Niezbadane są wyroki boskie – mówi Katarzyna.

– Jak się miewa Meg? Jak przyjęła śmierć ojca?

– Jest zdruzgotana. Martwię się o nią.

– Próboweś jej dawać po kilka kropli dziurawca?

– Nie pomyślałam o tym. Spróbuję.

– Król nieodwołalnie chce ją wydać za Tomasza Seymoura. Niezła partia chyba.

– Nie za Seymoura – burczy Katarzyna. – Meg nigdy nie wyjdzie za Seymoura.

– Lubisz go? – pyta zaskoczony.

– Tego nie powiedziałam.

– Nie, ale masz to wypisane na twarzy.

Rzeczywiście – to uczucie jest w nią wplecione jak nitka w gobelin. Seymour, coś takiego! Król nigdy nie wyraziłby zgody na ich związek. Nawet nie warto o tym myśleć.

– Nie chcę go lubić. Zupełnie się pogubiłam, Huicke.

– Musisz o nim zapomnieć.

– Wiem. Nic nikomu nie powiesz? – pyta szeptem Katarzyna.

– Nic nikomu – zapewnia ją. – Masz moje słowo.

Widzi, że przyjaciółka nie do końca mu ufa. Zastanawia się nad jego szczerością. Jest przecież lekarzem króla. To król przysłał go do jej domu.

– Dlaczego król kazał ci zajmować się moim mężem? – pyta Katarzyna, jakby potrafiła czytać w jego myślach.

– Nie mogę zataić przed tobą prawdy, droga... e... Kit. – Huicke unosi ręce, żeby ukryć twarz, ukryć wstyd. – Król poprosił mnie, żebym zdawał mu relacje o tobie. Interesuje się tobą od dawna, odkąd rok temu przybyłaś na dwór, żeby służyć lady Marii. Wydał mi rozkaz. – Opuszcza ręce, obnaża przed nią swój wstyd.

– Szpiegowałeś mnie?

Huicke czuje, że Katarzyna się wymyka, zabierając mu swoją przyjaźń.

– Może kiedyś tak, ale nie teraz. Teraz należę do ciebie.

Nie potrafi spojrzeć jej w oczy, więc wodzi wzrokiem po rzędach opatrzonych etykietami słoików i słoików, które stoją na półkach za nią. Katarzyna odwraca się od niego. Huicke czyta nazwy: trędownik, wiązówka, wilczomlecz, krzyżownica, oman wielki, łopian... Cisza jest nieznośnie ciężka, dusząca.

– Kit, możesz mi zaufać – mówi w końcu. Jego głos brzmi błagalnie.

– Jak mogę?

– Wtedy cię nie znałem... Teraz cię znam.

– Tak – szepcze Katarzyna. – I ja znam ciebie.

Czy myśli o sekretach, które nas związały? – zastanawia się Huicke i trochę podnosi go to na duchu.

Katarzyna podaje mu jego rękawiczki.

– Czy maść przyniosła ukojenie? – pyta.

– Tak. Mniej swędzi.

– Chodźmy. – Idzie do drzwi. – Spodziewam się wizyty siostry. Każę przyprowadzić twojego konia.

Odprawia go. Huicke czuje się pusty, chce upaść na kamienną posadzkę i błagać o przebaczenie. Jej lodowata uprzejmość odbiera mu wolę. Podąża za nią ciemnymi korytarzami do holu, gdzie Katarzyna wzywa zarządcę.

– Doktor Huicke wyjeżdża, Cousins. Daj znać stajennemu i odprowadź go. – Unosi dłoń do pocałunku.

– Przyjaciele? – pyta Huicke.

– Przyjaciele – odpowiada Katarzyna z lekkim uśmiechem, ale jest nieodgadniona.

KATARZYNA PRZECHADZA SIĘ Z SIOSTRĄ po ogrodach Charterhouse. Zwykle świetlista skóra Anny jest szarawa, mleczna świeżość sprzed miesiąca przepadła bez śladu. Straciła dziecko, zachowała jednak pogodę ducha. „Będą inne”, odparła w odpowiedzi na wyrazy współczucia.

Wcześniej padało, przelotna mżawka, i młode liście skrzą się w słońcu. Niebo jest całkowicie bezchmurne; na tle intensywnego podeszczowego błękitu, prawie kobaltu, płonie wiosenne słońce, zwiastun wczesnego lata.

– Od miesiąca nie przyjmowałam nikogo oprócz prawników, aż tu nagle dwoje drogich gości jednego dnia – mówi Katarzyna.

– Wybacz, że tak długo nie dawałam znaku życia. Po poronieniu nie wychodziłam z domu, leżałam w łóżku całe dwa tygodnie. – Słońce świeci za plecami Anny i kosmyki jej jasnych włosów, które uciekły spod czepca, jaśnieją niczym aureola.

Promienie słoneczne załamują się na każdej krawędzi i dziedziniec wygląda jak dotknięty przez Boga. Bruk połyskuje, szybki w oknach mrugają. Katarzyna otwiera furtkę ogródka ziołowego i wchodzi pierwsza. W sadzie kwitną grusze, kłęby bieli na tle błękitnego nieba, a zieleń cisowych żywopłotów niemal kłuje w oczy. Pośrodku ogrodu lśni okrągła sadzawka, w której srebrny karp przemyka tuż pod powierzchnią.

– Urządziłaś tu mały Eden – mówi Anna. – Kto by pomyślał, że Smithfield ze swoim chaosem jest o rzut kamieniem.

– Tak. Czasami zupełnie zapominam, że mieszkam w Londynie.

Grządki ziołowe wokół stawu są dopiero co skopane, świeża ziemia czerwienieje, sadzonki wyglądają obiecująco, starannie oznakowane tabliczkami na słupkach. Siostry siadają na ocienionej kamiennej ławce i wysuwają wilgotne stopy w kałużę ciepłych promieni słońca, żeby wyschły.

– Zostaniesz tutaj? – pyta Anna.

– Nie wiem. Nie wiem, co jest najlepsze. Staram się trzymać z dala od dworu. Przez całą tę sprawę z królem.

– Wydaje się, że znikował na twoim punkcie.

– Nie pojmuję tego – rzuca Katarzyna. – Ledwo mnie zna i...

– Znajomość nigdy nie była potrzebna do zawarcia małżeństwa – wchodzi jej w słowo Anna.

– Małżeństwa? Chyba nie sądzisz, że chce się ze mną ożenić?

– Powszechnie wiadomo, że rozgląda się za nową królową. A po porażce z Anną Kliwijską nie będzie szukać żony za granicą.

Dzwon Świętego Bartłomieja bije trzy razy, kolejne, dalsze dzwony kościelne, powtarzają uderzenia.

– Dlaczego nie ty, Kit? – kontynuuje Anna. – Jesteś idealna. Nigdy nie popełniłaś błędu.

– Ha! – Katarzyna jest przytłoczona swoimi sekretami. – Nie byłabym taka pewna. Huicke uważa, że król mnie pragnie, ponieważ się opieram, a on przywykł dostawać wszystko, czego tylko zechce. Jestem dla niego nowością. – Śmieje się sarkastycznie. – Pomyśl o tych młodych pannach z gorącą krwią, które mogłyby mieć na jedno skinienie.

– Nie rozumiesz, Kit. Właśnie to miał ostatnio i zobacz, co się stało. Twój powab polega na tym, że nie jesteś jak Katarzyna Howard; jesteś jej przeciwieństwem. Król nie zniósłby ponownego przyprawienia mu rogów.

– Co mam zrobić, by przestał mnie adorować?

– Nie wiem, siostró. Jeśli będziesz trzymać się z dala, to tylko podsyci żar. Zresztą lady Maria i tak niedługo cię wezwie. Chce mieć cię przy sobie.

– Och, Anno – szepcze Katarzyna.

Wspiera czoło na dłoni, zamyka oczy i wyobraża sobie, jak dosiada Pewtera i galopuje, by znaleźć sobie inne życie, innego mężczyznę.

– Pomyśl, jak cieszyłaby się matka, gdyby jeszcze żyła: zabiega o ciebie sam król.

– Nasza ambitna matka! Dlaczego nie mogę zrobić tego co ty, Anno, i wyjść za mąż z miłości?

– Ale zostać królową, Kit... Naprawdę tego nie chcesz?

– Kto jak kto, ale ty chyba powinnaś wiedzieć, co to oznacza. Byłaś na dworze. Widziałaś, co stało się z nimi wszystkimi. Katarzyna Aragońska w niełasce, czeka na swój koniec w wilgotnym zamku pośrodku pustkowia, oddzielona nawet od córki. Anna Boleyn... Czy muszę to w ogóle mówić? Jane Seymour niewłaściwie pielęgnowana w połogu...

– Wiele kobiet zapada na gorączkę połogową. Trudno winić za to króla – przerywa jej Anna.

To prawda, myśli Katarzyna, śmierć czyha na brzemiennie.

– No, może nie, ale spójrz na Annę Kliwijską, która zachowała głowę tylko dlatego, że zgodziła się na unieważnienie małżeństwa. A co z małą Katarzyną Howard? – Milczy przez chwilę. – Byłaś tam od początku, znałaś je wszystkie i wszystko widziałaś. – Ma ochotę spoliczkować siostrę.

– Nie jesteś taka jak one, Kit. Jesteś rozsądna i dobra.

Katarzyna zastanawia się, co pomyślałaby Anna, gdyby wiedziała, że jej rozsądna siostra puściła się z katolickim buntownikiem i podała mężowi śmiertelną nalewkę.

– Rozsądna – mówi. – Ha.

– Chodzi mi o to, że nie kierujesz się namiętnościami.

– W istocie – przyznaje Katarzyna, chociaż jej głowa jest pełna Seymoura.

– Pamiętasz, Kit, jak w Rye bawiliśmy się w królowe?

– Och. – Złość Katarzyny rozprasza się w obliczu rozbrawającej słodczy siostry. – Tak. Ze mną owiniętą w prześcieradło i wydaną za psa.

– I papierowe korony, które nie chciały się trzymać... Jak wabił się ten pies? To była Dulcie?

– Nie, nie pamiętam Dulcie. Z pewnością pojawiła się po moim ślubie z Edwardem Burghiem. To musiał być Leo.

– Masz rację. To Leo ugryzł syna balwierza... Leo był psem Willa.

– Nic dziwnego, że kąsał – mówi Katarzyna. – Jestem pewna, że Will drażnił to biedne zwierzę.

– Pamiętasz, jak Will w wypchanym poduszka pięknym czerwonym adamaszku matki udawał kardynała i strącił na podłogę srebrny krucyfiks z kaplicy? – wspomina Anna ze śmiechem. – Już nigdy nie był taki sam, zawsze był

trochę skrzywiony. Nie śmiałam patrzeć na niego podczas modlitwy, ze strachu, że zacznę chichotać.

– A jak potknęłaś się o mój tren z prześcieradła i wpadłaś na zarządcę niosącego wino? Dzban wypadł mu z rąk i się potłukł.

Dobry humor Anny jest zaraźliwy. Wtedy zawsze się śmiały, bo nie musiały być na dworze, nie musiały zachowywać się nienagannie.

– Zapomniałam – przyznaje Anna. – Aha, Kit, mam coś dla ciebie, od Willa. – Sięga w fałdy sukni, wyjmuje mały skórzany woreczek i kładzie go na dłoni siostry.

Katarzyna bez patrzenia wie, co to jest: krzyżyk matki. Emocje dławią ją w gardle, jakby połknęła kamień.

– Dlaczego Will go miał? – pyta Anna.

– Dałam mu go do naprawy. – Katarzyna wstaje i podchodzi do grządek, odwracając się, żeby siostra nie widziała jej twarzy.

Dlaczego Tomasz Seymour sam tego nie przyniósł? Po prostu szukał wtedy rozrywki. Bawił go pomysł przespania się z wdową. Weź się w garść, nakazuje sobie w duchu. Prawie go nie znasz.

– Jest też list. – Anna wręcza jej zapieczętowany pakiecik. – Dlaczego ma herb Seymoura?

– Nie mam pojęcia – mówi Katarzyna, chowając list do rękawa.

– Nie otworzysz go?

– To nic ważnego, spodziewam się tylko rachunku od złotnika. – Czuje, że list może wypalić dziurę w jej sukni. – Chodź, pokażę ci, co zasadziłam. To mandragora na bóle uszu i podagrę. Wszystko oznaczyłam. – Wyobraża sobie korzenie mandragory jako małe pogrzebane ciała, wypuszczające macki w ciemną ziemię. – Podobno czarownice warzą z niej eliksiry miłości.

– Czy mogą sprawić, że ktoś się zakocha? – pyta Anna z szeroko otwartymi oczami.

– To oczywiście bzdura – odpowiada Katarzyna.

– A *digitalis*? – Anna wskazuje jeden z napisów. – Co to?

– Naparstnica – wyjaśnia Katarzyna, nagle czując dławienie w gardle, jakby duch męża wyciskał z niej oddech. – Na bóle wątroby i śledziony – dodaje szorstkim głosem.

– Zwą ją dzwonekami martwych mężów, prawda?

– Tak. – Zniecierpliwienie Katarzyny rośnie z każdym piekielnym pytaniem siostry.

– Czemu?

– Bo zabije człowieka, jeśli dawka będzie odpowiednio duża. Trucizna! Wszystkie są trujące, Anno. Patrz na to... lulek uleczy ból zęba, jeśli go spalisz

i wciągniesz dym. – Prawie krzyczy i nie może się opanować. – A ta oto cykuta – odrywa gałązkę i macha nią przed twarzą siostry – uspokoi miotającego się szaleńca, jeśli zmiesza się ją z czyścem i nasionami fenkułu. Ale kropla za dużo jednego czy drugiego pośle dorosłego mężczyznę do grobu...

– Kit, co w ciebie wstąpiło?

Anna uspokajająco głaszcze plecy siostry.

– Nie wiem, nie wiem. – Katarzyna czuje na skórze wsunięty do rękawa list, ma wrażenie, że spowoduje wysypkę, poparzy ją albo pozostawi nieusuwalny ślad, niczym diabelskie znamię. – Nie czuję się sobą.

– Rozpaczasz... To nic dziwnego. I ta sprawa z królem... – Anna zawiesza głos.

Katarzyna milczy.

PO ODEJŚCIU SIOSTRY WYJMUJE LIST, trzymając go czubkami palców, jakby się obawiała, że papier może być nasączony jedną z tych trucizn, które tak dobrze zna. Włosi wiedzą, jak robić takie rzeczy. Ma ochotę wrzucić list do ognia, nie czytając go, i udawać, że nigdy nie spotkała Tomasza Seymoura, pozbyć się tego wewnętrznego pulsowania, jakie wywołuje najzwyczajniejsza myśl o nim. To uczucie może ją pchnąć do wszystkiego, jak szaleństwo. Muska palcami pieczęć, połączone skrzydła Seymourów, z jednej strony bojąc się, że chroni tylko uprzejme słowa, a z drugiej, że może tam być coś więcej.

Łamie wosk, rozsypując kruche czerwone drobiny, i rozkłada papier. Gdy oddycha, szumi jej w uszach. Pismo jest niechlujne, sprzeczne z wizerunkiem autora listu. To każe jej się zastanowić, czy rzeczywiście Seymour jest człowiekiem, na jakiego wygląda. Ale na kogo wygląda? Dlaczego ona, która zwykle dokładnie wie, co o kimś myśleć, ma teraz mętlik w głowie? Słowo *miłość* wyskakuje z tła koślawego pisma i jej serce trzepocze niczym ptak uwięziony w jej piersi.

*Droga Lady Latimer!*

*Na wstępie chciałbym najszczerzej przeprosić za to, że tyle czasu zajęło mi zwrócenie pamiątki. Rozważałem, czy przynieść Ci ją osobiście, nie śmiałem jednak uczynić tak z obawy, że uznasz mnie za aroganckiego. Czuję, że noszę przy sobie cząstkę Ciebie, aczkolwiek stanowiło to niewielką pociechę. Bóg świadkiem, chciałem mieć pretekst, by na Ciebie spojrzeć, zarazem zdjęty lękiem, że na widok Twego słodkiego oblicza nie zdołam poskromić miłości, która zakorzeniła się we mnie, rośnie i rozkwita. Bałem się, że mnie odprawisz. Nadal się tego lękam.*

*Nic bardziej mnie nie przygnębia niż wiedza o zamysłach króla – często rozmawia ze mną o swoim życzeniu, abym poślubił Twą ukochaną Małgorzatę. Jeśli wyda mi taki rozkaz, będzie to moją zgubą. Jestem zdruzgotany, znając jego zamiary względem Ciebie; plotki krążą po pałacu niczym stado szpaków, rozdzierając mi serce, i modłę się, aby skupił pragnienie na innej.*

*Nigdy nie dałaś mi powodu wierzyć, że odwzajemniasz moje uczucia, musiałem jednak je wyznać, gdyż bez tego przyszłoby mi żyć ze świadomością, iż nie byłem szczery wobec jedynej kobiety, która naprawdę poruszyła me serce. Muszę Cię zobaczyć, inaczej, jak się obawiam, zmarnięję do cna. Błagam, rozważ to jedno życzenie.*

*Czekam na Twoje słowo.*

*Na zawsze Twój unizony sługa  
Tomasz Seymour*

Katarzyna powoli wypuszcza powietrze z płuc, stojąc w zupełnym bezruchu, i tylko serce łomocze jej w piersi, a jego szaleńczy rytm dociera do najdalszych zakątków ciała – mrowią ją czubki palców, brzuch jej pulsuje, nogi się uginają. Z jej piersi wyrywa się kolejne westchnienie. Ledwo rozpoznaje siebie. Słyszy kroki w korytarzu; niemal bezwiednie gniecie list w dłoni i wrzuca go do ognia. Patrzy, jak płonie, kurczy się i czernieje, ostatnie jasne płomyki unoszą się i znikają.

– CO TO JEST? – PYTA KUCHARZ, gdy Jethro kładzie skrzynkę na kuchennym stole.

– Z pałacu dla lady Latimer. Pachnie rybami – mówi Jethro.

– No to otwórz. – Dot odrywa się od topienia ogarków i rozlewania gorącego wosku pszczelego do foremek.

Gdy wstaje, przewraca garnek i gorący wosk bryzga na kamienne płyty. Przeklina pod nosem swoją niezdarność.

– Dot – warczy kucharz. – Znowu to samo. Posprzątaj.

Dot chwyta nóż, pada na kolana i skrobie ciepły wosk, starając się nie zwracać uwagi na dwóch chłopaków, którzy bawią się jej kosztem.

– Fajtłapa – mówi jeden, mrużąc skrzzące się oczy; trzyma za szyję zwisającą bezwładnie gęś.

Dot pokazuje mu język. Zgarnia nożem wosk, który lekko się marszczy, i wkłada go z powrotem do garnka, a ten stawia na półce, dla świecarza.

W otwartej skrzynce widzi mnóstwo ostryg zapakowanych w trociny i lód. Przypuszcza, że silny słony kobiecy zapach jest zapachem morza. Nigdy nie

widziała morza, ale odkąd usłyszała historię Tristana i Izoldy, którzy zakochali się na pokładzie statku, myśl o morzu utkwiała w jej głowie. Stawała nad Tamizą, słuchając krzyku mew, i próbowała sobie wyobrazić, jak wygląda woda, która rozciąga się ze wszystkich stron, aż po horyzont, ale nie całkiem jej się to udawało.

– Co, na Boga, mam z tym zrobić? – pyta kucharz.

– Pewnie będzie chciała, żeby oddać je do Świętego Bartłomieja, do rozdzielenia wśród biednych – mówi Cousins, zarządca. – Wcześniej dała mi zapas maści, żebym im przekazał. Najwyraźniej cierpią na skorbut. Zaniosę też ostrygi, kiedy wybierzesz te na potrzeby domu. Jethro, możesz mi pomóc.

– Zrobię z nich potrawkę na piątek, a resztę możesz zabrać. – Kucharz wyjmując ostrygi ze skrzynki i wrzuca je do miski.

Dot bierze jedną. Jest szorstka i zimna.

– Odłóż – warczy kucharz. – Jeszcze je uszkodzisz.

Dziewczyna wrzuca ostrygę z powrotem do naczynia.

– A co z tymi wszystkimi darami z pałacu, Cousins? – pyta kucharz, nieco ściszej głoś. – Myślisz, że król naprawdę chce...

– Nie nam snuć domysły – przerywa mu Cousins.

– Ale musimy myśleć o sobie. Z czego się utrzymamy? Nie zachowa tego domu, jeśli poślubi króla.

– Lady Latimer nie da nam głodować. Zatrądzi się o nas. Nie należy do tych, którzy odwracają się od potrzebujących.

– To prawda – przyznaje kucharz.

– Mimo wszystko rozpuściłem wieści, że szukam nowej posady – odzywa się chudy chłopak, który skubał gęś i teraz wstaje w chmurze piór. – Kuchmistrz z Bermondsey Court powiada, że będą potrzebować pomywacza. Wolę szorować garnki, niż skończyć w kolejce po jałmużnę z tą chorą na skorbut bandą przed Świętym Bartłomiejem...

– Ona nie wyjdzie za króla – wtrąca Dot. – To tylko plotki. Król często daje ludziom podarki.

Wie, że nawet wielkie panie, takie jak lady Latimer, nie zostają królowymi. To zdarza się tylko w opowieściach.

– Co ty tam wiesz, Dorothy Fownten. Gada o tym cały Londyn, więc czemu sądzisz, że oni się mylą, a tylko ty masz rację? Postawiłem na zaślubiny – mówi chłopak, spluwając piórkiem, które przywarło mu do wargi.

– Gadają też o innych, choćby o Annie Bassett – odpowiada Dot. – Wiem tylko, że nasza pani za parę lat wyjdzie za jakiegoś lorda i wtedy wszyscy pojedziemy do zamku w szczerym polu... – Milknie, odwraca się i rusza w stronę drzwi. – Pamiętajcie, wszędzie lepiej niż w Snape.



Wymyka się na dziedziniec, by zyskać chwilę samotności. Siada w słońcu na odwróconym wiadrze, zamyka oczy i opiera się plecami o ciepłą ceglana ścianę. Dziwi się, że nikt ze służby nie wie o rychłym ślubie Meg. Są zbyt zajęci gadaniną o tym, że lady Latimer zostanie królową, jakby to było pewne jak amen w pacierzu.

Zdecydowanie coś się szykuje. Paź Seymoura ciągle tutaj bywa, a listy pomykają tam i z powrotem, czasem trzy lub cztery dziennie – ustalenia, przypuszcza, ale jak długo można ustalać ślub? I dzisiaj przybył sam Seymour, przynajmniej Dot tak sądzi, bo paź – jeśli uchyli powieki, zobaczy go wałkoniącego się przed stajniami, siorbiącego piwo z kubka – to ten sam, który dostarcza listy. Mignął jej jego pan, gdy zsiadał z pięknego konia, czerwono-brązowego i lśniącego jak świeżo wyłuskany kasztan, z długą karbowaną grzywą i natartymi olejem kopytami. Nie widziała twarzy gościa, ale miał na sobie tyle aksamitu i futer, że zatonałby w nich jeden z wielkich królewskich okrętów wojennych, a pończochy mężczyzny były bielsze niż dziewiczy śnieg; na ich widok zaczęła współczuć biednej służącej, która musi się nimi zajmować.

– Dot, szukałam cię! – Meg idzie przez dziedziniec z Rigiem w ramionach. – Zniszczysz cerę, wysiadując w słońcu.

– Ha! A kto dba o liliowobiałą skórę, gdy słońce jest takie przyjemne.

– Ale masz piegi na nosie. – Meg robi przerażoną minę. – Ludzie pomyślą, że jesteś z pospólstwa.

– Bo jestem. I od kiedy to dla mnie ważne, co ktoś o mnie myśli? – Dot się śmieje.

– Nie jesteś pospolita.

– Cóż, nikt nigdy nie weźmie mnie za damę.

– Pójdiesz ze mną? Uciekam przed gościem matki. – Meg zniża głos. – To on.

– Tylko na trochę. Mam jeszcze mnóstwo do zrobienia.

Dot zakasuje spódnicę i biegnie w stronę furtki do sadu.

– Ostatnia pod tylnym murem daje fant! – woła.

Szczeniak wyrywa się z ramion Meg i podekscytowany pędzi w podskokach przed siebie. Meg idzie ku furtce, wolno przez krępującą jej ruchy suknię z grubego brokatu.

Pod drzewami jest chłodno i cieniście, płatki kwiatów przykrywają ziemię jak zasy. Dot ściąga czepek z głowy i ciska go na ziemię. Nabiera garście płatków, po czym wyrzuca je w powietrze i patrzy, jak wirują i unoszą się w snopach światła; kręci przy tym głową tak energicznie, że fruują jej włosy.

– Nigdy się z nich nie otrzepiesz – mówi Meg.

– Spróbuj. – Dot ze śmiechem pociąga tasiemki czepka Meg i ściąga go z jej głowy, uwalniając jasnobrązowe włosy.

Zgarnia stos płatków i unosi je nad głowę Meg, po czym powoli wypuszcza je z rąk, aż osiadają na włosach jak śnieżynki. Chwilę później obie obrzucają się pełnymi garściami, wzniecając zamieć płatków, i śmieją się do utraty tchu. Płatki są wszędzie: na spódnicach, w fałdach rękawów, na skórze, w uszach, na stanikach sukien. Obie padają na ziemię w burzy śmiechu i leżą na wznak, patrząc przez gałęzie jabłoni na niebo.

– Czasami zastanawiam się, czy ojciec na mnie patrzy – mówi Meg. – I kiedy dobrze się bawię, obawiam się, że myśli, że o nim zapomniałam.

– Och, Meg, wiecznie się zamartwiasz. Gdyby twój ojciec sądził, że spędzasz życie na kolanach, modląc się o jego duszę, bez wątpienia zasmuciłoby go to bardziej niż cokolwiek innego. Ucieszyłby się, gdyby wiedział, że jesteś radosna.

Dot czasami rozmyśla o tym, co się dzieje po śmierci, ale wydaje się to zbyt wielkie jak na jej głowę. Gdzie jest niebo i dlaczego nie widać aniołów i cherubinów siedzących na chmurach? Tak trudno jest wierzyć, kiedy nie ma dowodu. Przypuszcza, że właśnie na tym polega wiara. I jeśli ona będzie dobra, a stara się być, niebawem dowie się wystarczająco dużo o niebie. A jeśli nie będzie dobra... Duma nad piekłem. Jeżeli jest jeziorem ognia, jak powiadają, to jak może płonąć z całą tą wodą? Jak bardzo cierpią grzesznicy i czy nie przywyka się do tego? Raz mocno sparzyła się w palec i bardzo bolało. Będzie dobra... choć trudno powiedzieć, co jest dobre, gdy jedni mówią to, drudzy co innego, a wszyscy uważają, że mają rację.

Kiedy była bardzo mała, przed wielkimi zmianami, wszystko było prostsze. Jeśli człowiek zrobił coś złego, miał nieczne myśli albo świsnął suszoną figę ze straganu, gdy przekupień nie patrzył, to szedł do spowiedzi; odmawiał zadane zdrowaśki i inne modlitwy i na tym koniec, grzech został wymazany. Jeśli był bogaty i naprawdę ciężko zgrzeszył, mógł kupić odpust od papieża i nawet najgorszy grzech zostawał wymazany. Wiedziała, że nigdy nie zgrzeszy tak poważnie, bo grzech przyłgnąłby do niej na dobre; nie byłoby jej stać na odpust. Jak wtedy, gdy brat ich sąsiada w Stanstead Abbots, Ted Eldrich, zabił człowieka w bójce; wiedział, że pójdzie do piekła, i tyle. Niektórzy nadal w to wierzą, ale wielu już nie. Ci drudzy myślą, że będą nosić ze sobą każdy ze swoich grzechów, dopóki nie zostaną osądzeni. Tak myślą lady Latimer i Meg, choć nie należy o tym mówić. A jeśli lord Latimer był starej wiary, czy to oznacza, że poszedł do piekła? Dot nie mówi tego, bo Meg dodatkowo by się martwiła, gdyby zaczęła rozważać taką możliwość.

– W życiu jest tyle powodów do zmartwień. – Meg wzdycha ciężko.

– Ale jeśli będziesz to ciągle roztrząsać, życie stanie się jeszcze trudniejsze. – Płatek przykleił się do policzka Meg i Dot wyciąga rękę, żeby go strzepnąć.

– Masz rację. Po prostu chciałabym...

Dot nie wie, co myśleć o religii, nie obchodzi jej, czy ewangelie są po angielsku, czy po łacinie; i tak nie umie czytać i nigdy nie zawraca sobie głowy słuchaniem duchownego brzęczącego w kaplicy. Pamięta, jak uczyła się o przeistoczeniu, kiedy wino naprawdę, dosłownie, zamienia się w krew Chrystusa. I chleb naprawdę, dosłownie, staje się Jego ciałem. Wydaje się to mocno obrzydliwe. Raz podczas mszy dyskretnie wypluła hostię, ale na dłoni nie zobaczyła niczego prócz śliny i okruszków, które wytarła o spód ławki. Nie było nic mięsistego. Przypuszcza, że wyplucie hostii musiało być grzechem. Zgodnie z nową religią nie ma czegoś takiego jak zamiana chleba w ciało, a wina w krew. Reformatorzy powiadają, że należy rozumieć to symbolicznie i że jeśli wystarczająco wierzysz, samo udawanie zapewni ci łaskę Są też zdania, że papież nie ma prawa udzielać odpustów; to niepomiarne ich gniewa, i zawsze w Smithfield ktoś stoi na skrzynce i prawi o tym, nie oszczędzając gardła.

Dot uważa, że reformatorzy mają rację. Poza tym Murgatroyd i jego banda zbirów walczyli o starą wiarę, a co robili? Brutalne traktowanie i gwałcenie młodziutkich dziewczyn nie może być wolą bożą. Dot nie ma jednak pojęcia, czy niezgadanie się ze starą religią czyni ją reformatorką. To wszystko jest bez sensu. Prawdę mówiąc, nie bardzo się tym przejmuje, bo Bóg nie ma zbyt wiele czasu dla takich jak ona, a poza tym życie jest po to, by żyć, a nie marnować je na zamartwianie się, co będzie po śmierci.

– Co byś wolała? – pyta, chcąc zmienić temat za pomocą starej gry. – Jeść tylko rzepę czy tylko kapustę?

– Fuj! Jedno i drugie okropne. – Meg się śmieje. – Chyba kapustę. A ty kim wolałabyś być? Biednym mężczyzną czy bogatą kobietą?

– To trudne...

Przerywają im głosy za cisowym żywopłotem w ogródku ziołowym.

– Sza – szepcze Dot, kładąc palec na ustach Meg. – Słuchaj, to twoja matka i Seymour. Omawiają twoje małżeństwo.

Meg krzywi się.

– Słyszysz coś? Bo ja nie – szepcze.

– Chodź. – Dot wpełza do zagłębienia u stóp żywopłotu. – Złap Riga, inaczej nas wyda.

Meg chwyta szczeniaka i wciska się obok niej. Z tego miejsca, pozostając ukryte, mają dobry widok na ogródek. Pograżeni w rozmowie lady Latimer i Seymour stoją nad sadzawką ze dwadzieścia jardów dalej, za daleko, by mogły słyszeć ich rozmowę.

– Przynajmniej jest przystojny – szepcze Dot, bo Seymour jest gibki, z długimi kończynami i głową w sprężystych kędziorach, i nawet z daleka widać, że twarz ma miłą dla oka.

Meg nie odzywa się.

W pełnym zdumienia milczeniu patrzą, jak Seymour unosi rękę i gładzi policzek lady Latimer. Ona uśmiecha się, chwytając jego dłoń i ją całuje. Dlaczego? Następnie on jednym ruchem spycha jej z głowy czepek, nie odwiązując tasiemki, i mocno skręca w palcach pasmo jej włosów. Meg ze świstem wciąga powietrze. Jej oczy są okrągłe z szoku, a usta rozdziawione jak dziób ptaszka czekającego na robaka. Seymour przyciska lady Latimer do twardego kamienia zegara słonecznego, jedną ręką wciąż trzymając ją za włosy, drugą gmerając pod jej spódnicami.

– Nie! – krzyczy Meg, lecz oni nie słyszą; są całkowicie pochłonięci sobą. – On ją krzywdzi. Musimy go powstrzymać...

Dot kładzie dłoń na jej ustach.

– Nakryją nas – szepcze.

Wie, że powinna przestać patrzeć, ale nie może się odwrócić. Seymour całuje lady Latimer w usta, po szyi i piersi. Ociera się o nią i przyciska ciało do jej ciała. Dot spogląda na Meg, której łzy spływają po policzkach, migocząc w świetle.

– A co z ojcem? – pyta, szlochając.

## CZAS STANAŁ W MIEJSCU.

Katarzyna roztapia się. Jej zmysły odbierają tylko jego dotyk i zapach, drzewny, piżmowy męski zapach. Przy nim nie może się pohamować; jego uśmiech, błysk oczu przepędzają jej poczucie przyzwoitości. Jest bezradna, zrobiłaby wszystko, o co by ją poprosił.

Przygryza jej wargę, zalewając usta Katarzyny smakiem miedzi. Jego szorstka broda drapie jej skórę. Od tak dawna nie czuła na sobie mężczyzny. Zalewa ją pożądanie; chce go zjeść żywcem, wessać go, połknąć, strawić, uczynić częścią siebie. Wszystkie te myśli, wszystkie obawy związane z jego zamiarami – czy postanowił uczynić ją swoją kolejną zdobyczą, czy może odpowiada mu romansowanie z wdową, czy też zauroczyło go jej bogactwo? – rozplynęły się w nicość. Ona jest Ewą, a on Adamem i nurzają się w rozkosznym grzechu.

Rozsądna Katarzyna Parr zniknęła.

Jego dłoń błądzi w fałdach sukni. Katarzyna słyszy jęk; nie wie, z czyich ust się wyrwał. Ssie słoną skórę jego szyi, powoli zbliżając się do szczytu. Za taką chwilę chętnie spędzi wieczność w ogniu piekielnym. Jej drżące palce sięgają do troczków woreczka na przyrodzenie, znajdują węzełek, rozwiązują go.

Seymour bez wysiłku sadza ją na zegarze słonecznym i wchodzi w nią, ztraca się w niej, a Katarzyna przyjmuje go całą sobą.

Ona też jest zatracona.

KATARZYNA JEST LEKKA JAK powietrze. Jest jednym z papierowych lampionów, które wznoszą się w niebo, coraz wyżej, aż stają się nie do odróżnienia od gwiazd.

– Tomasz. – Jego imię napełnia jej usta słodczą niczym miód.

– Ukochana – szepcze Seymour i przytula ją; jej policzek przywiera do jego atlasowego dubletu.

Jej brzuch pęcznieje, jakby rozwijał się w niej wąż. W tych ostatnich tygodniach, sześciu tygodniach kradzionych sekretnych chwil, ledwie była w stanie myśleć o czymkolwiek prócz niego. Pochłonęło ją pożądanie. Ale to coś więcej niż żądza; to coś nieznanego. Myślała o swoim pierwszym wrażeniu, gdy go zobaczyła, o wzgardzie, jaką poczuła, i o tym, jak szybko się to zmieniło. Czy to miłość? Jeśli tak, to miłość nie ma żadnej logiki; może wyrosnąć z niechęci, jak kwiat cudownie przebijający się przez szczelinę w cegle. Jej brat miał rację – on nie jest taki, jak myślisz. Ale w pewnym sensie jest dokładnie taki, jak myślała. Ekstrawagancki. Skupiony na sobie. Odkryła, że cechy, które uważała za wstrętne, teraz są dla niej ujmujące. Czy ekstrawagancja Tomasza nie wskazuje na artystyczną naturę, oryginalność ducha? I czy jego samolubstwo nie jest poczuciem własnej wartości, głęboką wiarą w siebie? Na początku błędnie zinterpretowała jego nonszalancję jako płytkość.

– Ukochana – powtarza Tomasz, a ona mięknie jak wosk.

– Jak to jest, że słowa mają taką moc oddziaływania? – pyta go.

– Czymże jesteśmy, jeśli nie słowami?

Barka kołysze się usypiająco. Zaciągnięte kotary dają im prywatność, odcinają ich od świata. Tomasz spleta palce z jej palcami; ona wtula usta w jego szyję i wdycha jego zapach. Wszystko inne straciło znaczenie; nie doskwiera jej poczucie winy z powodu śmierci Latimera, nie dręczy jej troska o Meg; Snape to nic więcej jak opowiedziana przez kogoś historia, w większości już zapomniana; król, plotki, dary rozplynęły się w nicość. Dzięki Tomaszowi wszystkie te rzeczy zapadły się w najdalsze zakamarki jej umysłu i nie ma już przeszłości ani przyszłości, jest tylko cudowna, bezkresna teraźniejszość. Przywykła do powoli rodzącego się uczucia w zaaranżowanym małżeństwie. Ale to... Co to jest? Coś innego, coś niewytłumaczalnego, jak widziany przelotnie motyl, tym bardziej olśniewający, że nigdy się go nie schwyci.

Zna wiersze Surreya. Próbował to opisać. Pamięta, jak czytał je w komnatach lady Marii. Pamięta jego pociągłą poważną twarz i przysłonięte ciężkimi powiekami ciemne oczy. *Opisanie kapryśków, udręk i afrontów miłości*, tak

brzmiał tytuł – i gdy go wypowiedział, cały pokój westchnął z uznaniem. Dopiero teraz Katarzyna to rozumie.

Dzwony Świętego Pawła biją jakby na ich zapowiedzi. Zapomniała, że tam jest pochowany jej mąż. Odgłosy docierające na barkę brzmią jak serenada: ryk z aren do walk niedźwiedzi w Lambeth, paplanina mew, zawołania ludzi żyjących z rzeki, krzyki przekupek z Southwark, głośno zachwalających towary, łomot rudla, plaskanie wiosł, okrzyki sternika, miarowe jak bicie serca.

Tomasz nachyla się do pocałunku. Śliska wilgoć jego języka sprawia, że Katarzyna rozpaczliwie go pragnie. Ich zęby się zderzają. On prostuje się lekko, wciąż blisko, tak blisko, że dwoje jego oczu stapia się w jedno.

– Cyklop – mówi ze śmiechem Katarzyna i odsuwa się, żeby lepiej go widzieć; jego twarz urzeka ją niczym frapująca opowieść.

– Twój jednooki potwór.

– Język miłości jest bzdurny.

Dmucha jej w twarz. Jego oddech pachnie anyżem.

– Na bakbort! – woła któryś z wioślarzy.

Barka pochyła się i skręca. Katarzyna zerka na zewnątrz. Woda jest brudna, pełna pływających nieczystości, i cuchnie jak zjełczały łój. Flotylla łódek otacza coś białego i rozdętego, co unosi się na wodzie. Mężczyźni wstają, żeby lepiej widzieć; chwieją się na rozkołysanych, podskakujących łodziach.

– Do licha, co to?! – woła jeden.

– Topielec! – odkrzykuje inny.

– Biedaczysko – mówi pierwszy, ściągając czapkę.

– Nie patrz – przykazuje Tomasz i lekko dotyka policzka Katarzyny, by odwrócić jej głowę.

Zdażyła już jednak zobaczyć nasiąkłe wodą zwłoki z okaleczoną twarzą i wylewającymi się wnętrznościami. Zmartwienia wracają i wypełniają jej umysł. Co będzie, jeśli król się o tym dowie? Nie byli wystarczająco ostrożni. Pierwszy raz w ogrodzie był lekkomyślny – każdy mógł ich zobaczyć. Ale od tamtej pory są znacznie ostrożniejsi. Nagle przenika ją strach przed konsekwencjami.

Tomasz zdejmuje z jej dłoni rękawiczkę i całuje każdy palec.

– Czy taka właśnie jest miłość, Kit?

Katarzyna próbuje zignorować wkręcającą się w nią śrubę strachu.

– Skąd mam wiedzieć? – Stara się mówić lekkim tonem, żeby nie zdradzić niepokoju.

– Byłaś dwukrotnie zameżna.

– A co ma wspólnego małżeństwo z miłością? – Zmusza się do lekkiego śmiechu, ale śruba wkręca się głębiej. – To ty, panie Seymour, masz

doświadczenie w miłości, jeśli wierzyć plotkom na dworze. – Szturcha go delikatnie. – Te liczne panny ze złamanym sercem.

– Wszystko to – mówi poważnie, patrząc prosto na nią – było młodzieńczym szaleństwem. A one były tylko dziewczętami. Ty jesteś kobietą. Prawdziwą kobietą, Kit.

– A dlaczego miałyby to czynić mnie bardziej wartą miłości? – Chce go zapytać, czy on też się niepokoi, lecz nie robi tego z obawy, że jej szczęście pryśnie jak bańka mydlana.

– Nie chodzi o to, że jesteś kobietą. Chodzi o to, że jesteś sobą. Nie umiem tego wytłumaczyć. Nawet poeci nie potrafią wyjaśnić miłości. Ale ty... – Tomasz milknie z zakłopotaną miną, spuszczać wzrok. – Nadajesz sens mojemu światu.

Jak to możliwe, skoro ona w niczym nie może znaleźć sensu? – zastanawia się Katarzyna. Chce odzyskać uczucie sprzed kilku minut, jeszcze raz ujrzeć tego motyla. Jutro ma stawić się na dworze, do służby u lady Marii. Motyla można naprawdę zobaczyć tylko wtedy, gdy jest martwy i przyszpilony do deski, przypomina sobie. Drży, nagle uświadamiając sobie, jak głęboko wsączył się w nią chłód rzeki.

– Wezwano mnie na dwór – mówi z bólem, bo zabiła też jego motyla.

Tomasz zaciska zęby i teraz wygląda jak rozdrażniony chłopiec. Katarzyna chce wziąć go w ramiona i sprawić, żeby znów było idealnie.

– To rozkaz króla? – pyta Tomasz.

Katarzyna zastanawia się, czy rozmawiał o tym z jej bratem, i wraca myślami do rozmowy z Willem.

– To najlepsza okazja w dziejach Parrów – powiedział Will. – Rodzina królewska, Kit. Mielibyśmy swoje miejsce w historii.

– Masz wielkie ambicje – syknęła.

– Tak mnie wychowano – przypomniał jej. – Tak wychowano nas wszystkich.

To prawda. Członków ich stanu wychowywano w taki sposób, żeby wynieśli swoje rody jak najwyżej – wieczna gra w szachy, tak złożona, że niepodobna przewidzieć, czy odniesiesz zwycięstwo, czy przegrasz.

– A zresztą kto mówi o małżeństwie? – dodała. – Król zapewne tylko się ze mną bawi, dopóki mu się nie znudzę. Wtedy skieruje uwagę na inną. Poczekaj, a sam się przekonasz.

Co pomyślałby brat, gdyby wiedział, że na drodze ambitnym celom stoi jego przyjaciel?

Gdyby poślubiła Tomasza Seymoura, król nie mógłby już o nią zabiegać. Katarzyna karci się za samą tę myśl, a jednak myśli o tym przez cały czas. To naprawdę szalony pomysł. Chociaż dlaczego nie? Dlaczego nie miałyby wyjść za mąż z miłości? Jest wiele powodów, dla których nie mogłaby tego zrobić,

a jednym z nich jest choćby to, że Tomasz Seymour jako szwagier króla potrzebowałby królewskiego zezwolenia; bez takiej zgody małżeństwo zostałoby pewnie uznane za zdradę. W dzisiejszych czasach wszystko można uznać za zdradę, wszystko, co zaburza porządek rzeczy. A porządek rzeczy jest dyktowany przez króla. Myśli o tym tworzą w głowie Katarzyny płataninę niemożliwą do rozwikłania, coraz ciaśniejszą; musi się od nich oderwać.

– Nie, to lady Maria prosiła o mnie. – Katarzyna próbuje nadać głosowi spokojne brzmienie, jakby nie miała tak wielkiego zamętu w głowie.

– Założę się, że stoi za tym król – rzuca Tomasz, wyrywając rękę z jej dłoni.

– Dąsasz się, Tomaszu Seymour?

Patrzy na nią gniewnie.

– Jesteś zazdrosny – mówi Katarzyna ze śmiechem.

Jej serce fika radosnego koziołka na ten dowód miłości, a wszystkie myśli o królu znikają jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Tomasz jednak jej nie wtóruje, ledwie zdobywa się na uśmiech.

– Czas – uspokaja go Katarzyna. – Daj temu trochę czasu. Gdy król się znudzi...

– Nie chcę rozmawiać o królu – ucina ostro Tomasz.

– Ależ nie masz się czym martwić – szczebiocze Katarzyna. – On poślubi tę Bassettównę. Wszyscy tak mówią. Zobaczysz. – Nie udaje jej się jednak przekonać nawet samej siebie.

– Pragnę cię, Kit. Chcę cię mieć tylko dla siebie.

– Trochę czasu. To wszystko. Bądź cierpliwy.

– Musisz służyć na dworze?

– Muszę. Przecież wiesz.

– Zabierzesz swoją pasierbicę?

– Została zaproszona.

– Ludzie mówią o niej jako o partii dla mnie. Nie chcę, by podsycano te płomienie.

– To po prostu kolejny nonsens. Meg nie poślubi nikogo bez mojej zgody.

– Ale jeśli król sobie tego zażyczy?

– Jestem pewna, że król ma na głowie ważniejsze sprawy niż małżeństwo Małgorzaty Neville. To był tylko przelotny kaprys, który podchwycili plotkarze.

Tomasz posapuje. Jego twarz jest zmarszczona i słodka jak mordka niezadowolonego szczeniaka. Katarzynie łomocze serce. Zawładnął nią całkowicie.



# 3



*Pałac Whitehall, Londyn, czerwiec 1543*

DOT PRÓBOWAŁA SOBIE WYOBRAZIĆ, jak wygląda pałac Whitehall. Widziała Tower nad chlupoczącą u jej stóp Tamizą, z wąskimi oknami, cuchnącą fosą, żelazną szarością; to starożytna forteca, zwrócona frontem do wewnątrz, ukazująca światu jedynie ogrom swoich kamiennych pleców. Ludzie cichną, gdy mówią o tym miejscu, bo tam trafiają zdrajcy i w lochach dzieją się niewypowiedziane rzeczy. Whitehall w niczym jednak nie przypomina Tower; jego wieżyczki można zobaczyć z daleka, wznoszące się nad bezładną plątaniną ulic Westminsteru, białe i nowe, lśniące w słońcu, z proporcami falującymi na wietrze. Nie ma tam strzelnic, fosy ani niczego, co kojarzyłoby się z wrogami, i nawet strażnicy przed bramą zdają się stać tam dla ozdoby, w czerwono-złotyach strojach, które wyglądają na tak wyszukane, że mógłby je nosić sam król. Dla Dot Whitehall jest Camelotem z jej fantazji.

Pałac jest ogromny; w jego murach można by zmieścić sto zamków Snape. Jest miastem samym w sobie, ruchliwym jak rynek w Smithfield, pełnym ludzi biegających tam i z powrotem, zajętych różnymi sprawami. Szerokie kamienne schody na głównym dziedzińcu prowadzą do wielkiej sali i kaplicy i gdzieś tam mieszczą się pokoje króla – te miejsca są dla Dot zabronione. Za sklepioną bramą znajdują się stajnie, za nimi pralnia, a jeszcze dalej jest pole, gdzie rozpięte płótna bielą się na słońcu. Na pałacowych terenach są też stodoły, spichrze, rzeźnia i psiarnie, z których dobiega okropny harmider, niewiele różniący się od wrzawy z areny do walki kogutów czy z kortów tenisowych, gdy trwa ożywiona gra. Tereny ciągną się do samej rzeki, nad którą stoją wychodki, źródło piekielnego smrodu w bezwietrzny dzień.

Od strony pałacu Scotland Yard i rezydencji dworzan, gdzie jest siedziba lady Latimer, rozpościerają się dziedzińce turniejowy i trawnik do gry w kręgle. Dalej jak okiem sięgnąć ciągną się ogrody, podzielone na kwadraty przez wysokie

cisowe żywopłoty; są tam ozdobne sadzawki, woliery i wszelkiego rodzaju kwitnące rośliny. Przechadzają się tam dworzanie, jakby nie mieli nic lepszego do roboty, niż tylko spacerować i podziwiać kwiaty. Jest ogród węzłowy, pełen pszczoł aromatyczny ogród lawendowy i labirynt, do którego Dot nie śmiała wejść ze strachu, że się zgubi, zresztą i tak nie jest przeznaczony dla służby. Są całe akry warzywników, gdzie kobiety pielęgnają, sadzą i zbierają warzywa. Idąc wzdłuż rzędów sałaty z główkami podobnymi do dworskich czapek, wiotkich łodyg fenkułu, pnącego się groszku i fasoli, słyszy się tylko stukanie rydli o ziemię. Czasami, gdy nikt nie patrzy, Dot wybiera strąk grochu, ściska go w palcach i z wilgotnych białych aksamitnych kieszonek wyłuskuje groszki, by wrzucić je do ust i rozkoszować się słodkim chrupaniem.

Kuchnie są osobnym światem. Słudzy się uwijają – noszą drwa, toczą beczki, rozpalają w piecach, rozsypują trociny na podłogach, obracają pieczenie, skubią drób, pieką chleb, siekają i kroją, mieszają, ugniatają i szorują. Posiłki dla siedmiuset osób pojawiają się w wielkiej sali, dostarczane przez armię niewidzialnego personelu, jakby przygotowanie ich nie wymagało żadnego wysiłku. Cały pałac zdaje się działać sam: świeża pościel w mgnięniu oka trafia na łóżka; błoto z podłogi samo się wyciera; ubrania same się naprawiają; nocniki lśnią; kurz znika.

Dot chodzi w osłupieniu, nie wiedząc, jak ma się w to wszystko wpasować. Ściśle rzecz biorąc, w ogóle nie powinno jej tu być. Poza pracownikami pałacu wpuszczani są tylko dworzcy szlachcice i nawet na to lord szambelan wyraźnie się krzywi, bo mimo wielkości pałacu brakuje miejsca dla wszystkich. Ale lady Latimer uparła się, że zabierze ją ze sobą. „Jesteś nam bliska jak rodzina i nie mam zamiaru cię zostawiać”, powiedziała. Dot odetchnęła z ulgą, bo martwiła się, że wróci do Stanstead Abbots i dawnego życia.

Ich kwatery mieszczą się wśród takiej plątaniny budynków, że przez pierwsze trzy dni Dot gubiła się za każdym razem, gdy wychodziła. Pokój jest dość skromny, co ją zaskoczyło, bo wyobrażała sobie komnatę z wysokimi oszklonymi oknami i wielkim łóżem, jak to słynne w Ware, w którym może spać dziesięciu mężczyzn, nie stykając się ze sobą. Lady Latimer wyjaśniła, że tylko książęta, faworyci króla i im podobni mają wspaniałe komnaty w samym pałacu, że nawet niektórzy hrabiowie i hrabiny tłoczą się w równie małych klitkach jak ich pokój. Mają szczęście, że w ogóle go dostały, ponieważ wielu dworzan musi szukać miejsca do spania poza bramami. Co więcej, lady Latimer wydaje się całkiem zadowolona z tego układu. Dot słyszała, jak mówiła do Meg, że to znak, iż król skupia uwagę gdzie indziej, bo gdyby była faworytą, bez wątpienia mieszkałaby w samym pałacu.

Dot jest jednak pewna, że głównym powodem zadowolenia lady Latimer z przebywania dalej od pałacu jest szansa na schadzki z Tomaszem Seymourem. To prawdziwa namiętność. Dot nie może wymazać z pamięci obrazu ich dwojga w ogrodzie w Charterhouse. Już na samą myśl o tym mrowi ją tam na dole i zastanawia się, jak to jest mieć takiego mężczyznę na sobie. Mimo największych starań nie potrafi wyobrazić sobie, żeby chłopak w rodzaju Harry'ego Denta czy Jethra robił to jak pies z suką, jak Tomasz Seymour z jej panią. Rozmyśla o tym w nocy, dotykając się, aż podbrzusze jej się zaciska i gorąca krew napływa do głowy, i nie dba, że dopuszcza się grzechu. Jak to może być złe, skoro sam Bóg dał kobiecie prawo do rozkoszy? Meg nie wspomniała już ani słowem o scenie, którą podejrzwały w ogrodzie, a ona nie śmiała o tym napomknąć z obawy, że ją zasmuci. Dobre jest to, że przynajmniej nie ma więcej mowy o zamążpójściu Meg.

Meg powinna spać w komnacie panien w apartamentach lady Marii, ale najczęściej zakrada się do łóżka macochy. Dot nie wyobraża jej sobie w sypialni z gromadą innych dziewcząt, które w nocy paplają o chłopcach: który im się podoba, z którym się całowały i tak dalej. Ostatnio Meg nic, tylko się modli, obgryza paznokcie albo siedzi przy stole i udaje, że je.

Dot ma siennik w całkiem wygodnej alkowie z zasłonką, którą może zaciągnąć dla zachowania prywatności. Dobrze im tu razem, wszystkim trzem, chociaż Dot czuje się dość samotna w długie dni, kiedy lady Latimer i Meg są u lady Marii: spacerują po ogrodach, dużo haftują i często chodzą na mszę. Tęskni za radosną atmosferą kuchni w Charterhouse, gdzie po wypełnieniu obowiązków siadała przy ogniu i żartowała z innymi. Tu ma niewiele do roboty, poza sprzątaniami ich małej kwatery, czyszczeniem różnych rzeczy i praniem delikatnych tkanin; reszta idzie do praczek, które w zaparowanym pomieszczeniu gotują bieliznę w wielkich kotłach, a następnie rozwieszają ją na żywopłotach dziedzińca, jak białe flagi. Musi też zajmować się cerowaniem, przyszywaniem haftek, robieniem nowych pętelek i łataniem. Nie zabiera to wiele czasu.

Zwiedza pobliskie budynki i czasami, gdy wszyscy są na mszy i słyhać tylko echo, zdejmuje buty i ślizga się po wypolerowanych podłogach długich korytarzy, udając, że jeździ na łyżwach. Jest też chłopak, który co rano przynosi drewno na opał, pomywacz Braydon, który uprzejmie wprowadził ją w tajniki tutejszego życia. Wyjaśnił jej, gdzie znaleźć rozpałkę, gdzie opróżniać nocniki, gdzie są zioła do posypania podłogi, gdzie ma jadać posiłki i tym podobne. Pokazał jej nawet miot kociąt w głębi drewnutni, co było miłe, a potem próbował ją pocałować, co nie było miłe, bo Braydon może i jest uprzejmy, ale ma pryszczatą różową twarz i tylko jedno mu w głowie. Od tamtej pory chodzi naburmuszony i nie zwraca na nią uwagi, i z pewnością coś nagadał chłopakom z kuchni, bo patrzą na nią dziwnie i podśmiewują się na jej widok.

Czasami Meg wymyka się niepostrzeżenie z komnat lady Marii albo udaje ból głowy; wtedy idą do sadu i leżą w wysokiej trawie pełnej polnych kwiatów – maków, trybuli i małych niebieskich niezapominajek – gdzie prawie nie słychać innych dźwięków poza brzęczeniem owadów i świergotem zięb, które gromadzą się na gałęziach drzew owocowych. Gdy leżą zupełnie płasko, nie widać ich z daleka i mogą udawać, że są same na świecie. Naśladują śpiew ptaków i patrzą na chmury, wyobrażając je sobie jako galeony, skrzydlate konie, korony. Meg opowiada, jak jest w komnatach lady Marii, jak niemiłe potrafią być dla siebie dziewczyny i jak nikt nie mówi, co naprawdę myśli. Wszyscy przekręcają swoje słowa, zauważa. Ona tego nie lubi. Ale przecież Meg nie jest osobą, która z łatwością wślizguje się w inne życie.

– A jaka jest lady Elżbieta? – zapytała kiedyś Dot.

– Nie widziałam jej jeszcze. Mieszka gdzie indziej i absolutnie nigdy się o niej nie wspomina – odparła Meg.

– Dlaczego? – Dot nie mogła zrozumieć tego, że w pałacu nie ma najmłodszej córki króla.

– Król nie chce, żeby przypominała mu o jej matce. Przynajmniej tak mówią. – Meg przyłożyła rękę do szyi, na znak ścięcia głowy.

– Nan Bullen – mruknęła Dot pod nosem, jakby samo wyrzeczenie na głos tego imienia i nazwiska mogło zamienić ją w kamień.

– Tak, Anna Boleyn – odszepnęła Meg, zakrywając usta dłonią.

– A królówic Edward? Opowiedz mi o nim.

– Jego też nie widziałam. Trzymają go z dala od Londynu z obawy przed chorobami. Ale cały czas się o nim mówi. Bez przerwy napływają wiadomości, co zjadł, w co się ubiera, w jakim kolorze sra, jak pierdzi...

– Małgorzato Neville! – sapnęła Dot. – Czego tam cię uczą?

– Te szlachetnie urodzone dziewczyny potrafią być bardzo wulgarne. – Meg zachichotała, a Dot w duchu ucieszyła się, że jest w niej jeszcze odrobina wesołości.

Wieczorami po kolacji Dot siada na niskim murku, skąd może patrzeć na żółty blask w oknach pałacu i sylwetki ludzi, którzy tańczą i hulają na górze, a także słuchać muzyki sączącej się do ogrodów. Próbuje sobie wyobrazić, jak wygląda król, i zastanawia się, czy ma aureolę jak na kościelnym obrazie.

Niespełna miesiąc po tym, gdy się tu wprowadziły, usłyszała, że dwór się przenosi – cały dwór – na lato. Jeśli wcześniej myślała, że wszyscy są zajęci, to teraz panuje tu istne urwanie głowy. Wszystko musi być przygotowane do przeprowadzki: służba znosi na dziedziniec kotary i trzepie je w tumanach kurzu, po czym chowa w lniane worki i pakuje do kufrów; starannie owijają suknie

w warstwy muślinu z kamforą, aby odstraszyć mole; układa platerę w skrzynkach, demontuje meble. Należy zabrać prawie wszystkie ruchomości.

Popłyną barką, mówi lady Latimer, do jeszcze większego pałacu, zwanego Hampton Court. Dot ma wziąć Riga i dziś po południu pojechać na wozie z bagażami. Podążą za ludźmi lorda Stewarda i wozami z wyposażeniem, za drobną szlachtą i garderobianymi ze wszystkimi królewskimi strojami, zasłonami, poduszkami i dywanami, za koniuszym i chłopcami stajennymi, którzy zabiorą ulubione konie do polowań. Powiadają, że łowy w Hampton Court zawsze są pomyślne i że prawie codziennie jada się tam dziczyznę. Dziś rano wyruszyli posłańcy, więc wszystko, łącznie z ucztą, zostanie przygotowane na jutrzejsze przybycie króla i jego rodziny. Lady Latimer i Meg będą podróżować z lady Marią jedną z królewskich barek, u boku króla. Będą sunąć po wodzie, jakby przewiezienie ich tam nie wymagało żadnego wysiłku. Wszystko musi wyglądać tak, jakby działo się za sprawą czarów.

Meg jest drażliwa i spięta z powodu tych przenosin.

– Znowu zmiana – mówi. – To zbyt wiele.

Dot zabiera ją do sadu, kładą się obok siebie i leżą ukryte przed światem.

– Brakuje mi ciebie, Dot – mówi Meg. – Tam na górze nie rozmawiają o niczym innym, jak tylko o małżeństwie.

– Meg. – Dot chwyta ją za nadgarstek, zauważając, że jest szczuplejsza niż miesiąc temu. Sądzi, że mimo całej tej gadaniny o małżeństwie i tak nikt nie mógłby spłodzić z nią dziecka, bo nie jest zdolna do poczęcia, już nawet nie krwawi. – Są w życiu rzeczy, których nie można zmienić.

Meg przysuwa się tak blisko, że Dot czuje na policzku jej oddech.

– Chciałabym, żebyśmy nadal mogły dzielić łóżko, Dot, jak kiedyś – szepcze.

NA DWORZE PANUJE KRZĄTANINA, gdy trwają przygotowania do podróży. Katarzyna stoi we wnęce okna w zachodnim korytarzu i patrzy, jak słudzy ładują na wóz garderobę lady Marii – tuzin kufrów, których pakowanie sama nadzorowała. Jest piękny dzień i nie może się doczekać, kiedy pozostawi za sobą zgiełk miasta. Od strony wychodków ciągnie zgniły smród, ogrody warzywne są prawie puste, a w powietrzu wisi pogłoska o zarazie – czas ruszać. Powinna być na mszy, ale zapragnęła chwili samotności i ma nadzieję, że jej nieobecność nie zdenerwuje lady Marii, chociaż ta bez wątpienia będzie tak skupiona na modlitwie, że nie zauważy, kto jest, a kogo nie ma. Ktoś jej powie – najpewniej Susan Clarencieux o jastrzębich oczach albo mściwa Anna Stanhope – zawsze jednak może się wytłumaczyć, że chciała sprawdzić, czy wszystkie kufry zostały załadowane.

Wbrew obawom spodobał jej się pobyt na dworze, gdzie ciągle coś się dzieje, a uczy i bale maskowe pozwalają choć trochę zapomnieć o przeszłości.

Nawet plotki i intrygi są fascynujące. Ponadto cieszy ją spotkanie ze starymi przyjaciółmi i mieszkanie pod jednym dachem z siostrą. Jest tu też Cat Brandon, przyjaciółka, z którą wiele lat temu uczyła się w królewskiej szkole i która teraz jest księżną Suffolku. Dyskretnie przekazują sobie książki o nowych ideach i rozmawiają o ruchomych piaskach wiary, o tym, że wiatr znowu się zmienia. Reformatorzy są karani za jedzenie mięsa w dni postu; angielska Biblia jest zakazana dla wszystkich z wyjątkiem szlachty.

Gardiner jest prawdziwym inspiratorem tych konserwatywnych działań. Chce, żeby Anglia znowu znalazła się pod papieskim butem, ale król, choć z wiekiem coraz bardziej kurczowo trzyma się dawnego porządku, nigdy nie przystanie na utratę swojej pozycji jako głowy Kościoła. Cień Gardinera zalega ciężko nad pałacem, chociaż on sam niewiele może zrobić, by zdusić szept o reformacji. Niektóre z osób najbliższych królowi, i najbardziej wpływowych, bronią nowej religii – na przykład brat Tomasz, hrabia Hertford. Tak więc zakazane książki krążą i przymyka się na to oko, lecz ani przez chwilę nie wolno zapomnieć, że ludzie wiedzą, co w trawie piszczy.

A jednak dwór stał się dla Katarzyny miłym wytchnieniem od mroku Charterhouse i bycia sam na sam z poczuciem winy. Pomimo różnic w wierze lubi lady Marię. Siadają w zaciszu prywatnych apartamentów i czytają sobie nawzajem lub wspólnie haftują, swobodnie gawędząc na różne tematy. Marię często dręczą straszliwe bóle głowy, więc Katarzyna przygotowuje dla niej tynkturę, mieszankę maruny i lepieźnika, i zarządziła okładanie jej czoła kompresami z kapusty. Maria w rezultacie czuje się lepiej i ma więcej siły, dzięki czemu król jakby bardziej ją lubi; wydaje się, że jest człowiekiem, który nie ma cierpliwości do cudzych chorób.

Ale największą atrakcją, jaką dwór ma Katarzynie do zaoferowania, jest Tomasz. Mieli tylko tę dziwną skradzioną chwilę sam na sam – krótki pocałunek za jej kwaterą – i schadzkę w ogrodach po zmroku, kiedy stali nad rzeką i patrzyli, jak cicho łśni w świetle księżyca, lecz nie śmieli się dotknąć, ze strachu, że ktoś zobaczy ich z okien pałacu. Kiedyś za stajnią pożądliwie padli sobie w ramiona; odeszła stamtąd z obrzmiałymi ustami i zawrotem głowy. Widują się publicznie wiele razy dziennie, ale udają, że łączy ich tylko znajomość.

„Dzień dobry, lady Katarzyno”, mówi do niej Tomasz, zdejmując czapkę i ledwie dostrzegalnie przymrużając oko.

„Dzień dobry, sir Tomasz”, odpowiada mu ona ze zdawkowym skinieniem głowy i odwraca się, jakby to spotkanie nic dla niej nie znaczyło.

Nie jest jednak na tyle naiwna, by sądzić, że nikt niczego nie zauważy. Tu człowiek nie może się podrapać, żeby w taki czy inny sposób wszyscy się o tym nie dowiedzieli. Anna Stanhope bez chwili przerwy obserwuje wszystko

wyłupiastymi oczami i przekazuje mężowi, Hertfordowi, najdrobniejsze skrawki informacji: kto się z kim sprzymierzył, kto się z kim kłócił, które damy noszą nowe klejnoty i tym podobne. Tutaj wiedza równa się władzy, a hrabia Hertford stoi na szczycie piramidy.

Król odwiedzał komnaty lady Marii codziennie, czasami po dwa razy, nie okazywał jednak Katarzynie szczególnych względów. Prawił jej te same dworne komplementy, których nie szczędzi innym kobietom, i na pewno nie wyróżnił jej mieszkaniem. Często wybiera ją do gry w karty bądź szachy; mówi, że tylko ona jest dla niego prawdziwym wyzwaniem. „Reszta za bardzo się mnie boi, żeby grać dobrze”, szepnęła przy jakiejś okazji, co sprawiło, że zaczęła się zastanawiać, jak to jest mieć wokół siebie wyłącznie nieszczerłość. Musiało tak być zawsze – choć może nie wtedy, kiedy był mały, bo nie wychowywano go na króla. Gdyby żył jego brat, książę Artur, świat byłby zupełnie inny. Anglia z pewnością nadal byłaby sprzymierzona z Rzymem.

Katarzyna jest ostrożna, kontroluje swoje zachowanie i nie robi niczego, co mogłoby go zachęcić. Niedawno podarował Annie Bassett ładnego kuczka, więc jej rodzina wierzy, że dziewczyna ma szansę, i samozadowolenie połyskuje na ich twarzach niczym warstwa pasty do polerowania. Żyją w przekonaniu, że Katarzyna jest ich przeciwniczką; nie mają pojęcia, że oddałyby prawą rękę, byle tylko wygrali ten wyścig. Z determinacją nosi czarny strój żałobny, z krzyżem matki jako jedyną ozdobą.

Tomasz powiedział, że w czerni jej skóra wydaje się jeszcze bardziej świetlista – „jak alabaster” i „jak światło księżyca”. „Po cóż pozłacać lilię?”, dodał.

Zwykle odpowiada: „Daj spokój, Tomaszu, nie należę do tych, które można poruszyć takimi słowami”. Ale jest poruszona. Nic na to nie poradzi. Wystarczy, że Tomasz spojrzy w jej stronę, a już czuje mrowienie i żar. W jego ustach pochlebstwa nie wydają się puste.

Katarzyna słyszy stukot kroków w korytarzu i po chwili czyjaś ręka opada na jej ramię. Czuje zapach cedru i piżma, zapach Tomasza. Zamyka oczy.

– Nie tutaj – szepcze.

– Jesteśmy bezpieczni, nie ma tu nikogo. Wszyscy są na mszy, słuchaj.

Słyszy płynące z kaplicy rytmiczne inkantacje eucharystii. Słońce zachodzi za oknem, barwiąc niebo tysiącem odcieni różu, jakby objawiały się same niebiosy. Tomasz odwraca ją od tego widoku. Jego twarz jest znękana, widać, że coś go trawi – gniew, troska, strach, nie jest pewna – i Katarzyna bezskutecznie szuka na niej czułego wyrazu.

– Brat przyniósł mi najgorsze wieści – mówi Tomasz, uciekając wzrokiem.

Katarzyna obejmuje jego ciepłą szyję, przyciąga go, on jednak odsuwa się ze zduszonym „Nie”.

– O co chodzi, Tomaszu?

– Król chce cię pojąć za żonę. – Głos załamuje mu się przy ostatnim słowie, chociaż jego twarz zdradza niewiele. Nie jest mężczyzną, który obnosi się ze słabością, ale gdy Katarzyna patrzy mu w oczy, dostrzega w nich rozpacz. – Tego się bałem.

– Bzdura. Ledwie na mnie spojrzał w ubiegłym miesiącu. To tylko plotka.

Tomasz śmieje się, lecz jego twarz jest poważna i zimna.

– Plotka! – Wydaje się zagubiony.

– Nic mi nie powiedział. Powiedziałby coś. Nie musisz się martwić. – Katarzyna połyka słowa.

– Nie, Kit, to nie plotka. Odprawił mnie z dworu. – Nie patrzy na nią.

Katarzyna nie może tego znieść, pragnie chwycić go za ramiona, przywrzeć do jego ciała, żeby stali się jednością.

– Spójrz na mnie... – prosi. On jednak nie odrywa wzroku od parapetu. – Ukochany.

– Jadę do Niderlandów na czas nieokreślony.

– Co? Do Niderlandów? Jako ambasador?

Tomasz kiwa głową.

– A-ale – jąka się Katarzyna, ujmując jego rękę, by złożyć na niej suchy pocałunek. – Nie pojmuję. Czy reprezentowanie króla w obcym kraju nie jest zaszczytem?

Oburącz chwyta jego dłoń, tak że pierścień Tomasza mocno wbija się w jej skórę. Katarzyna wyobraża sobie, że herb Seymourów na zawsze odcisnie się we wnętrzu jej dłoni. Jego ręce są ciepłe, jej chłodne.

– Daleko od dworu. Z oczu, z głowy, Kit. Pozbywa się mnie.

– Nie... – Jest dezorientowana, nie do końca potrafi uporządkować myśli. – To nie zaszczyt?

– Nie rozumiesz – mówi Tomasz podniesionym głosem, ze złością. – Z dala od dworu stracę wpływy. Będę nikim. I... – Jąka się, wypluwa słowa jak spróchniałe zęby. – I on cię usidli.

– Nie zdarzy się nic takiego. Ponosi cię wyobraźnia.

– Nie znasz go tak dobrze jak ja.

– Pojedziesz i spełnisz swój obowiązek wobec króla, a za kilka miesięcy wrócisz w chwale i wtedy my...

Katarzyna czeka, aby powiedział, że się pobiorą, on jednak tego nie mówi.

– Znam mężczyzn, Kit. Wiem, co robi taki mężczyzna jak on, żeby dopiąć swego.



– Nie masz dowodu. To tylko plotka – powtarza Katarzyna, ale drzazga wątpliwości wnika pod jej skórę.

– On cię usidli.

Jego słowa są dla niej jak cios pięścią w brzuch. Dlaczego jest taki pewien? Katarzyna czuje, że jej wiara słabnie. Słowa Tomasza podważają historię, którą sama sobie opowiadała. Gdyby tylko mogła pobiec przed siebie, coraz dalej, uciec z tego miejsca.

– Odejdź ze mną – szepcze Tomasz, jakby czytał w jej myślach.

Jego oddech parzy jej ucho, gęsta broda łaskocze ją w szyję.

– Wyjedziemy do obcego kraju, w jakieś odległe miejsce...

Oboje wiedzą, że jest to równie niemożliwe jak podróż do gwiazd.

– Ciii... – Katarzyna przyciska palec do jego ust, czując, jak zamarza jej serce.

W wyobraźni tkają obrazy ich dwojga, tworzyła wspaniałe gobeliny przedstawiające ich wspólne życie z dala od wścibskich oczu i pochlebców na dworze, ale teraz te wizje rozplývają się w nicość. Wie równie dobrze jak on, że gniew króla wsączyłby się nawet w te tajemne fantazje i rzucił na nie cień. Wyobraża sobie odciętą głowę ukochanego, wystawioną na widok publiczny na moście Tower. Drży. Wie, że Tomasz jest ambitny; nie zadowoliliby go życie w ukryciu, nawet gdyby było możliwe. Zna go wystarczająco dobrze. Kolejny fragment jej fantazji rozsypuje się jak domek z kart.

– Wola boska – mówi.

– Wola króla – rzuca impulsywnie Tomasz, napinając mięśnie zuchwy; żyła pulsuje na jego skroni.

Katarzyna przykłada do niej kciuk, czując tętniące w nim życie, i wzdycha ciężko.

– Tak – szepcze przybita. Patrzy, jak Tomasz gwałtownie odwraca się od niej, bez pocałunku, bez tkliwego spojrzenia. Jego peleryna furkocze, rozwiewa się za jego plecami. – Na jedno wychodzi – dodaje, ale on już jej nie słyszy.

Odgłosowi jego oddalających się kroków towarzyszy grzechot miecza i brzęk ostróg. A ona rozpadła się na kawałki i teraz nie może ich pozbierać; niektórych brakuje, rozsypały się w proch. Tomasz niknie za zakrętem korytarza, zostawiając ją z ziejącą pustką, z której wypływa zdradziecka myśl, że może Bóg niedługo wezwie do siebie króla Henryka. Pochyla się w oknie, ściskając parapet, jakby to miało jej pomóc utrzymać razem fragmenty siebie. Słyszy gwar ludzi, którzy opuszczają kaplicę i wchodzić po schodach. Mijają ją, jakby nic się nie zmieniło, nie zauważając jej, bladej jak wosk, we wnęce okiennej.

– Czyż to nie wdowa po lordzie Latimerze? Gdzie siedziałaś na mszy? – zagaduje ją Anna Stanhope, trzymając przy nosie wonny bukiet, jakby smród

nizej od niej urodzonych był nie do zniesienia. – Słyszałam, że szukasz męża wśród pośledniejszych członków mojej rodziny.

Katarzyna tylko prycha.

– Myślałam, że będziesz mierzyć wyżej niż w młodszego brata, a ściślej mówiąc, w mojego szwagra. – Oczy Stanhope obracają się jak ślepiec gada.

– Sądzę, że się mylisz. Na dworze krąży wiele plotek, lecz w niewielu jest ziarnko prawdy.

– Wszyscy wiedzą – syczy Stanhope z błyskiem w oku. – Król wie. – Mówi to tak, jakby po ostatnim słowie było kilka wykrzykników. – Dlatego odsyła Tomasza.

– Doprawdy? – rzuca lekko Katarzyna, jakby chodziło tylko o strzęp plotki, i nakazuje sobie zachować spokój.

Zatem to prawda. Stanhope musi dobrze wiedzieć, przecież jej mąż jest powiernikiem króla.

– Królowi nie w smak, gdy ktoś się tak prowadzi – syczy Stanhope.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odpowiada Katarzyna, próbując odczytać znaki wskazujące, że ta kobieta wie coś więcej, coś o intencjach króla.

Ale tamta niczego nie zdradza. Z pewnością, myśli Katarzyna, próbowałaby jakoś się jej przypochlebić, gdyby zwietrzyła, że król chce ją wziąć na kochankę. Kto jak kto, ale Anna Stanhope umie grać w te dworskie gry i zabiegać o przychyłność w odpowiednich miejscach.

– Sprytna Katarzyna Parr udaje głupią – mówi Stanhope z krzywym uśmiechem. – To zupełnie do ciebie niepodobne.

Katarzyna czuje narastającą złość. Układa usta w łagodny uśmiech i pyta:

– Czy jutro będziesz podróżować barką lady Marii?

Doskonale zna odpowiedź, bo pomagała sporządzić listę osób, które będą podróżować z lady Marią. Trochę jest na siebie zła, że zniżyła się do poziomu Stanhope, ale nie mogła się oprzeć, znając jej obsesję na punkcie hierarchii.

– Być może – rzuca Stanhope.

– W takim razie się zobaczymy.

– Ale... Możliwe, że wyjadę dzień później... Mam tu pewne sprawy.

Katarzyna kiwa głową.

– Hrabino – mówi, po czym spokojnie odchodzi, walcząc z pragnieniem ucieczki.

Krok po kroku przemierza galerię, idzie na dół, potem przez dziedziniec, aż w końcu dociera do swojej kwatery, która na szczęście jest pusta. Rzuca się na łóżko i wreszcie daje upust łzom, szlochając głośno. Myśl o nieobecności Tomasza krąży w jej żyłach jak trucizna i Katarzyna zastanawia się, czy jej życie już na zawsze się odmieniło.

## *Pałac Hampton Court, Middlesex, czerwiec 1543*

DOT PODAŻA ZA CZŁOWIEKIEM lorda Stewarda po kamiennych schodach, przez wielką salę i antykamerę, i dalej galerią za róg, obok kaplicy króla, do amfilady pokoi, których wspaniałość wrywa z jej piersi westchnienie zachwytu. Boazeria jest tak kunsztownie wyrzeźbiona w fałdy, że chciałaby jej dotknąć i sprawdzić, czy to naprawdę drewno, a nie lniana tkanina. Żywy błękit misternych sztukaterii przywodzi jej na myśl kolor nieba w niebiosach, wszystko jest połączone i pokryte czerwonymi i białymi różami Tudorów – na wypadek gdyby ktoś zapomniał, do kogo należy ten pałac. Kominiek jest wielki jak marmurowa brama, tak wysoki, że w palenisku mógłby stanąć mężczyzna, a pięknie wykute kozły do drewna wyglądają jak kolczyki olbrzymki. Jest tu więcej okien, niż widziała kiedykolwiek w jednym miejscu, i pokoje są zalane słońcem. Przypuszcza, że to komnaty lady Marii i że ich pokoje znajdują się w głębi labiryntu korytarzy, który ciągnie się dalej, jak sobie wyobraża.

– Jesteśmy – mówi człowiek lorda Stewarda.

Mała armia mężczyzn, którzy weszli za nimi z całym dobytkiem lady Latimer, zaczyna układać rzeczy w wielki stos na podłodze.

– To są pokoje lady Latimer? – pyta Dot.

– Zgadza się – odpowiada człowiek lorda Stewarda.

– Jesteś pewny?

– Spójrz, przekonaj się sama. – Macha jej pod nosem kawałkiem papieru. – Tu jest napisane. Cztery pokoje w skrzydle wschodnim od strony galerii: antykamera, salon, sypialnia, garderoba, patrz. – Wskazuje linijkę pisma.

Dot nie umie czytać, więc wcale nie jest mądrzejsza. Kiwa głową.

– Rozumiem.

Człowiek lorda Stewarda odchodzi. Dwóch tragarzy już wieszka na ścianach wieszaki, dwóch innych stawia w sąsiedniej komnacie duże łóżko. Dot wędruje z jednego pomieszczenia do drugiego, odpowiadając na pytania, gdzie co położyć. Czeką, aż człowiek lorda Stewarda wróci i powie, że zaszła pomyłka, że nie są to pokoje dla lady Latimer, po czym zaprowadzi ją do ciasnej małej mansardy. Ale mężczyzna nie wraca.

Jeśli pałac Whitehall zrobił na niej wrażenie, to Hampton Court zupełnie zwalił ją z nóg. Nie uwierzyłaby, gdyby nie ujrzała go na własne oczy. Jechali London Road w długiej kolumnie, ona blisko tyłów, na telepiącym się starym wozie, trzymając się ze wszystkich sił, z małym Rigiem wetkniętym pod pachę. Ktoś krzyknął, że widać pałac, i wtedy wstała dla lepszego widoku, opierając się o stertę bagaży.

Zobaczyła go, migający w prześwitach między kępami drzew – fantazyjne ceglane kominy i niebosiężne wieże z blankami. Nie mogła oderwać od niego wzroku, gdy wjeżdżali na pierwszy dziedziniec. Okna mrugały w słońcu, różowa cegła rzucała różowy blask na wszystko, a fontanna pośrodku przypominała eksplozję diamentów. Przeszło jej przez myśl, że może śni, że trafiła do marcepanowego zamku, który przygotowano w kuchniach Whitehall na królewski bankiet.

Szła w oszołomieniu za człowiekiem lorda Stewarda, mijając posągi, malowidła ścienne i wyszywane złotą nicią gobeliny, które lśniły jak obrazy samego nieba. Chciała się zatrzymać, by poświęcić trochę czasu na podziwianie tego wszystkiego – spojrzeć w górę na rzeźbione sufity i przez okna na ogrody i stawy rybne, które widziała tylko w przelocie – ale człowiek lorda Stewarda szedł dalej, jakby był spóźniony, więc truchtała za nim, starając się nadążyć. Mimo przepychu tego miejsca dla niej najlepsze są pokoje lady Latimer, ponieważ ona też będzie tam spać, przynajmniej tak jej powiedziano.

Mężczyzna pokazuje jej kuchnie, do których prowadzą schody za wielką antykamerą. Dot ledwie może zliczyć kucharzy, pomywaczy, podkuchennych i innych, którzy uwijają się jak w ukropie: dźwigają tusze zwierząt, mieszają w kotłach coś, co słodko pachnie, ugniatają wielkie kule ciasta, przygotowując ucztę na jutrzejsze przybycie króla. Jest gorąco, tak jak pewnie musi być w piekle, z płonącym ogniem, obracającymi się rożnami i bulgoczącymi garnkami, z których buchają kłęby pary.

Chłonie to wszystko wzrokiem, czując się dość zagubiona, gdy podchodzi do niej dziewczyna. To niezwykle, bo poza pralnią nie ma tu wielu dziewczyn. Ma okrągłą twarz i puciołowate policzki, psotny uśmiech i piersi wielkie jak hiszpańskie melony.

– Jestem Betty – przedstawia się z uśmiechem. – Betty Melcher. Jest tu tak mało dziewczyn, że musimy trzymać się razem. Jak się zwiesz?

– Dorothy Fownten. Ale większość mówi mi Dot.

– W takim razie ja też będę cię tak nazywać, dobrze? Komu służysz?

– Lady Latimer.

– Oooh! – Betty wzdycha. – To o niej wszyscy mówią, prawda?

Dot nie bardzo wie, co Betty przez to rozumie, więc tylko kiwa głową.

– A ty komu służysz? – pyta.

Betty zaczyna opowiadać, jak to służy „każdej przeklętej duszy” w kuchni, ale Dot w końcu ustala, że myje naczynia i szoruje garnki, o czym zresztą świadczą jej czerwone i spierzchnięte dłonie.

– Czy mogę cię prosić, Betty – mówi Dot, gdy dziewczyna wreszcie skończyła litanie swoich obowiązków, obficie kraszona przekleństwami – żebyś

pokazała mi kuchnie, bo całkiem się tutaj gubię?

Betty oprowadza ją po spichrzu, warzelni, podwórzu rybnym, piwnicach na wino, maślarni, wędzarni, destylarni, składzie mięsa i miejscu, skąd można wziąć wodę do mycia, a później idą do wychodków dla plebsu, nad fosą, gdzie jest miejsce dla dwudziestu ośmiu osób.

Na koniec zachodzą do pomywalni, gdzie Dot widzi dwóch pisarczyków kuchennych, którzy ślęczą przy biurkach nad papierami; obaj zanurzają pióra w kałamarzu i skrobią po papierze. Jeden w szczególności przyciąga jej uwagę. Ma ubrudzone atramentem palce i przepastne ciemnozielone oczy – gdy Dot w nie patrzy, odnosi wrażenie, że zagląda w głąb studni, ledwie dostrzegając błysk wody na dnie. Zauważa jego kasztanowe włosy i dołeczek w podbródku – chciałaby włożyć tam palec, żeby sprawdzić, czy pasuje. Młodzieniec ma wzrok skierowany wprost na nią, lecz chyba jej nie widzi, bardziej patrzy na wskroś przez nią, jakby bardzo intensywnie nad czymś się zastanawiał, a po chwili zaczyna rachować na atramentowych palcach, macza pióro i coś zapisuje. Serce chce wyskoczyć jej z piersi i czuje ucisk w żołądku.

Na zewnątrz, w przejściu, pyta Betty, kim jest ten młody człowiek.

– Co, ten pisarczyk? Nie znam jego imienia. Właściwie nie rozmawiają z nami. Za niski stan. – Rechocze gardłowo. – Czemu pytasz?

– Nie wiem, po prostu z ciekawości.

– Wpadł ci w oko, Dorothy Fownten, czuć to na milę. – Betty chichocze, szturchając nową przyjaciółkę. – Nie wiem, czemu miałabyś wybierać jednego z tych zasmarkanych pisarczyków, skoro jest tu blisko stu przystojnych chłopów. Nie rozumiem, co w nim widzisz, jak porównać go z niektórymi stajennymi. Och, był taki jeden... – Opowiada, co po zmroku dzieje się w kuchniach, gdzie wszyscy śpią na siennikach rozłożonych przed paleniskiem. – Ale oczywiście nie pisarczyki. Ci mają stosowne kwatery gdzie indziej.

Miło mieć przyjaciółkę, z którą można pogadać, myśli Dot. Chyba jej się tu spodoba.

Później, na górze, wyczerpana podróżą, rozpakowywaniem i szykowaniem wszystkiego na jutrzejsze przybycie lady Latimer, leży sama w wielkim łóżku, z szeroko rozpostartymi kończynami, jak gwiazda, i rozmyśla o bezimiennym pisarczyku, który ma powalane atramentem palce i oczy głębokie jak studnia. Zasypia z myślą, że to młodzieniec umiejący czytać; nie pozwala, by jej marzenia zburzyła gorzka prawda, że on stoi tak wysoko nad nią na drabinie świata, że pewnie nie poświęciłby jej chwili uwagi, nawet gdyby chodziła przed nim goła jak w dniu narodzin.

– NA PEWNO NIE ZASZŁA POMYŁKA? – pyta Katarzyna.

– Nie, lady, tak jest zapisane. Człowiek lorda Stewarda mi to pokazał – odpowiada Dot.

Katarzyna czuje zakradający się niepokój, ponieważ dobrze wie, że te komnaty od czasów Jane Seymour zajmowały królowe. Wie, co to musi oznaczać. Dławi ją tęsknota za Tomaszem i czasami chodzenia z uśmiechem na ustach, jakby nic się nie zmieniło, jakby nie skrzywiła się oś jej świata, co wydaje się niepodobieństwem. Dot zostawia ją samą. Katarzyna przez chwilę siedzi na łóżku, a jej ręka sięga do krzyża matki, co wyczarowuje w jej głowie wspomnienie perły leżącej w jego dłoni. Pukanie do drzwi wyrywa ją z zamyślenia. Jej brat wchodzi z uśmiechem szerokości Tamizy.

– Will! – Katarzyna z okrzykiem wpada w jego ramiona. – Sądziłam, że trzymasz Szkotów w ryzach.

– Miałem tu kilka spraw do załatwienia i pomyślałem, że odwiedzę siostrę, która pnie się w świecie... – Will wodzi dokoła swoimi dziwnymi oczami, chłonąc nimi wszystko i najpewniej wszystko szacując.

– Hm – mruczy Katarzyna. – Zastanawiam się, ile będzie mnie to kosztować.

– Nie bądź taka, Kit. Parrowie rosną dzięki tobie. I mam dobre nowiny.

– Mów. Widzę, że nie możesz się doczekać, by mi je przekazać.

– Mam zostać hrabią Essex. Oficjalnie mi tego nie powiedziano, ale wiem o tym z dobrego źródła.

– Och, Will. Nareszcie. Cieszę się.

Katarzyna naprawdę chce się cieszyć, ale zdaje sobie sprawę, że zapłaciła za tytuł brata utratą Tomasza. Myśl o tym jest jak gwóźdź wbity w jej serce. Ale przecież to nie wina Willa, że król zwrócił na nią uwagę. Nie jest też jego winą, że chce, aby Parrowie wzniesli się w świecie; tak został wychowany, jak wszyscy z tej sfery. Każdy arystokrata paradujący po tym dworze sięga wzrokiem ku gwiazdom.

– A twój rozwód? – pyta Katarzyna.

Oboje wiedzą, że jeśli Will nie uzyska rozwodu, nie będzie miał spadkobiercy, któremu mógłby przekazać długo oczekiwany hrabiowski tytuł.

– Uznałem, że powinienem poczekać, nim znów poruszę tę sprawę.

Zaczekać na co? – pyta w duchu Katarzyna. Zaczekać, aż ja wejdę do łóżka króla i zjednam jego przychylność? Nigdy nie powiedziałyby tego na głos, ale skrycie podziwia krytykowaną powszechnie żonę Willa, która miała odwagę uciec z kochankiem i pokazać figę dworowi.

– Przypuszczam, że król okaże ci zrozumienie. W końcu rozwód nie jest mu obcy.

– Można by tak myśleć, Kit, ale jak lubi bezustannie podkreślać ten nędznik biskup Gardiner, małżeństwa króla zostały unieważnione. Nigdy się nie rozwiódł.

Gardiner jest tak zagorzałym katolikiem, że słowo „rozwód” ledwie przechodzi mu przez gardło. Uwziął się na mnie, Kit, jestem tego pewien.

– Wątpię, Will. – Katarzyna wie, że brat ma skłonność do dramatyzowania.

– Nie lubi żadnego z nas, Parrów. Jesteśmy według niego zbyt przychylni reformie.

– Sądzę, że Gardiner ma na głowie ważniejsze sprawy niż my, Parrowie, i nasze przekonania.

– Pewnie – syczy Will. – Jak podcieranie dupy królowi... i ciągnięcie nas wszystkich z powrotem do starej wiary.

– No dobrze, dość tego. Chodź i spójrz na ten widok. – Katarzyna prowadzi go do okna wychodzącego na Dziedziniec Fontanny. – Zobacz, jak ładnie. Będę mogła podglądać kochanków kradnących pocałunki w krużgankach – mówi ze śmiechem.

Ale myśli o pocałunkach Tomasza, o nacisku i sile jego ciała, o błysku jego oczu błękitnych jak letnie niebo. W jej serce wbija się kolejny gwóźdź. Chciałaby mieć tu siostrę. Mogłaby się jej zwierzyć. Ale Anna musiała udać się do majątku Herberta, by porozmawiać z nowym nauczycielem syna. Myśl o płodności siostry, o jej dzieciach, wbija następny gwóźdź. Nawet te myśli, które wydają się niewinne, są zdradzieckie.

– A więc co z królem? – pyta Will.

– Co masz na myśli? – Katarzyna udaje, że nie rozumie.

– Zdeklarował się?

– Nic nie mówił. Tak naprawdę, dopóki nie znalazłam się tutaj – Katarzyna rozkłada ręce, wskazując urządzone z przepychem pokoje – nie miałam pojęcia o jego intencjach.

– Niedługo coś powie, jestem tego pewien. – Willowi błyszczą oczy.

– Weźmie mnie na metresę, a ja będę udawać, że spełnia się moje największe marzenie. Dostaniemy trochę ziemi i jakieś tytuły, a później mu się znudzę. Tak to będzie wyglądać.

– Chce mieć żonę, nie metresę. – Jego ton brzmi konspiracyjnie. – Pomyśl o tym, Kit: królowa Anglii. Pomyśl o swoich wpływach. Mogłabyś namówić króla, żeby wrócił do nowej wiary. Naszej wiary. Wymyka się, Kit, wraca do dawnych zwyczajów. – Will aż kipi zapałem. – Ty mogłabyś go przekonać.

– Też coś! – fuka Katarzyna. – Myślisz, że jestem taka przekonująca? I dlaczego sądzisz, że wzięłby mnie za żonę?

– Hertford tak powiedział.

– Och, Hertford. – Głos jej się łamie. Nie są to więc jałowe plotki. Tomasz miał rację. Myśli o kochanku wracają. Podnosi rękę do czoła. – A Tomasz? Widziałeś go, Will?

– Tomasz wyjechał. Musisz o nim zapomnieć, Kit. Jakby był martwy.

Ta bezwzględność brata jest dla niej czymś nowym. Zżera go ambicja. Nie jest już nadąsanym psiakiem z czasów ich młodości. Oczywiście, że nie, beszta się za głupotę, przecież minęło dwadzieścia lat.

– Widziałeś się z nim przed wyjazdem?

– Nie, Kit. Dopiero co przybyłem z pogranicza.

Nie ma w nim krzty czułości. Katarzyna mocno zaciska zęby; jest nakierowany na zdobycie swojej nagrody i żadna siła go nie obróci w drugą stronę. Dopiero teraz zaczyna jej świtać, że król weźmie ją za żonę, a ona nie będzie miała w tej sprawie nic do powiedzenia. To mężczyźni – król, jej brat, Hertford – przypieczętowali jej los. Jest nie bardziej wolna, niż była jako młoda dziewczyna.

– Kit. – Will chwyta ją za ramiona i potrząsa nią. – Mówimy o królu. Będziesz królową! Nie możesz wznieść się wyżej.

– Ani niżej upaść.

Nie ma ucieczki. Skoro jednak nie może zostać żoną Seymoura, to czy tytuł królowej Anglii i wyniesienie Parrów wyżej, niż oczekiwali, jest taką marną pociechą? Lecz po chwili myśli o trącających ją wielkich łapskach, o jego smrodzie, o strachu, który budzi, o związaniu się z nim na zawsze węzłem małżeńskim... o rozpaczliwym obowiązku wydania na świat dziedzica. W jej wieku to nie fraszka i już sobie wyobraża, jak co miesiąc będzie się modlić o ustanie krwawienia, z nadzieją, że nosi w łonie syna. To robota dziwki.

Odpina krzyż matki, owija go w chusteczkę i chowa do szkatułki. Nie może już znieść jego dotyku na skórze; za bardzo przypomina jej o tym, z czego musiała zrezygnować. Martwe królowe gromadzą się wokół niej. Jak ona to przetrwa? Bóg ją karze; widział jej grzechy. Czy jej rola w śmierci Latimera była dziełem diabła? Czy to było morderstwo, czy miłosierdzie, a może jedno i drugie? Jest dezorientowana i udręczona tym wszystkim, a jej dusza wydaje się krucha i niematerialna jak martwy kwiat.

HUICKE SIEDZI W GŁĘBI WIELKIEJ sali. Na stołach walają się resztki po uczcie. Rozkrajany wieprz przywodzi mu na myśl sekcje, w których brał udział jako student. Duży półmisek skowronków jest prawie nietknięty, małe tuszki tężeją. Ktoś przewrócił misę węgorków w galarecie i zawartość ześlizguje się na podłogę. Pod krawędzią talerza, ukryta w cieniu, przycupnęła drżąca żabka. Wcześniej na górnym stole podano pasztet w cieście, który król rozplątał mieczem. Siedząca obok niego Anna Stanhope wydała z siebie mrozący krew w żyłach wrzask, zaraz potem zabrzmiał pisk lady Marii, a później ze wszystkich stron podniosła się kakofonia kobiecych krzyków.



Miało to miejsce przy końcu stołu, więc zobaczył, że ciasto nafaszerowano żywymi żabami, dopiero wtedy, gdy biedne stworzenia zaczęły desperacko skakać po podłodze, uciekając przed rękami łapiących je paziów. Musiano wyznaczyć jakąś nagrodę za największą zdobycz, bo paziowie przepychali się i deptali po sobie bez żadnych skrępułów. Zapanował kompletny chaos, a król przyglądał się temu z uśmiechem zadowolenia, od czasu do czasu wykrzykując słowa zachęty do tego czy innego pazia. Ciasto zostało spreparowane rozmyślnie, żeby przstraszyć kobiety.

Huicke dość dobrze zna króla; lekarz widzi rzeczy, których nie widzą inni. Widział, jak bezlitośnie bawi się ludźmi, nawet najbliższymi, niczym chłopiec kopiący starego psa tylko po to, żeby usłyszeć skowyt. Widział go również doprowadzonego do łez udręki, kiedy ból w nodze stawał się nie do zniesienia. Widział, jak krążył po pokoju, oddychając płytko, przejęty strachem, gdy doszły go wieści o wybuchu zarazy w okolicy. A jednak większość postrzega go jako nieustraszonego, twardego, pełnego odwagi.

Patrzył, jak król łasi się niczym szczeniak do tej małej Katarzyny Howard o ptasim mózdzku, rzucony przez nią na kolana, a potem obserwował, jak podpisuje dokument wysyłający dziewczynę na szafot, ledwie unosząc wzrok nad gry w karty, jakby wyrażał zgodę na kolacyjny zestaw dań. I widział, jak wyładowywał gniew na jednym z paziów, który popełnił jakiś drobny błąd, i z purpurową twarzą wrzeszczał tak, że biedny chłopiec aż się zsiakał. Ale widział też, jak król Henryk pociesza mężczyznę, nikogo ważnego, zwykłego człowieka, który stracił syna; wziął go w ramiona i przytulił jak matka oseska. Żaba drży w swojej kryjówce i Huicke zastanawia się, co będzie dalej.

Panuje zbyt duża wrzawa i brzuch boli go z przejedzenia. Udall, który siedział gdzieś blisko środka sali, idzie do wyjścia. Musi poczynić przygotowania do spektakli muzycznych, które obmyślił na noc świętojańską; zostaną wystawione później, jeśli ktokolwiek zdoła nie zasnąć po całym tym obżarstwie. W ślad za nim wstaje pięć czy sześć młodziutkich tancerek, które zostaną ubrane w przezroczyste kostiumy, mające zakrywać i jednocześnie odsłaniać ich jędrne dziewczęce piersi. Huicke był na przymiarce. Widok piersi na niego nie działa, ale spojrzenie Udalla może go wprowadzić w stan oszalamiającego podniecenia; właśnie dlatego, gdy kochanek go mija, Huicke nie odrywa spojrzenia od stołu i talerza zmasakrowanych skowronków. Udall rozmyślnie przeciąga gorącym palcem po jego plecach i Huicke ledwie nad sobą panuje. Siedząca naprzeciwko niego kobieta papla jak najęta, coś o szkockiej królowej Marii... czy będzie zaręczona z księciem Edwardem... o „szorstkich zalotach” króla... on jednak słabo ją słyszy w tym zgiełku, więc tylko uśmiecha się i kiwa głową, a ta wydaje się zadowolona.

Huicke nie może oprzeć się myśli, że małe królowa będzie pionkiem na szkockiej szachownicy.

Katarzyna siedzi daleko i Huicke widzi ją tylko wtedy, gdy się odchyła. Ma na twarzy pogodny uśmiech, ten, który zwodzi wszystkich oprócz niego; wie o zamęcie szalejącym za tą fasadą. Katarzyna z ożywieniem rozmawia z kochanką brata, Lizzie Brooke, która mimo że uchodzi za piękność, nie zdoła przyćmić urody Katarzyny. Te błyskające piwne oczy i żywiołowy śmiech mogłyby ściągnąć księżyc z nieba. Siedzący w pobliżu jej brat Will ma w sobie coś z siostry: dziwnie kobieco zadarty nos, miedzianą czuprynę prawie w tym samym odcieniu co jej włosy, ale brakuje mu jej delikatności, a oczy – jedno mocno piwne, jak u niej, drugie zaś jasne jak woda – upodobniają go do zezowatego psa. Właśnie dowodzi swoich racji, wyrzucając przed siebie ręce w serii gwałtownych ruchów. Katarzyna obrzuca go surowym spojrzeniem i Will opuszcza ręce. Huicke wielokrotnie widział, jak Katarzyna przywołuje do porządku aroganckiego brata. Nie ma wątpliwości, kto rządzi w rodzinie Parrów.

Obserwował ją, gdy widok żab wzniecił chaos, kobiety kwiczały jak prosiaki i skakały po ławach. Katarzyna wydawała się zupełnie niewzruszona. Kiedy żaba skoczyła na stół tuż przy niej, podniosła ją jakby do pocałunku, wywołując tym ryk śmiechu króla, po czym przywołała jednego z paziów i coś do niego mówiąc, podała mu płaza.

– Co powiedziała?! – zawołała kobieta siedząca naprzeciwko.

– Żeby zabrać żabę do stawu w ogrodzie! – odkrzyknął ktoś.

Huicke widział, z jakim zadowoleniem król obserwował tę scenę, i uświadomił sobie, że będąc sobą, odsłaniając swoją optymistyczną i beztroską naturę, Katarzyna pchała się prosto w ręce Henryka. Gdyby piszczała i panikowała jak inne damy, mógłby skierować uwagę gdzieś indziej. Ten sprawdzian został obmyślony specjalnie dla niej i zdała go celująco. Strach o przyjaciółkę ścisnął medykwowi serce.

Przynajmniej Katarzyna nie siedzi na podwyższeniu przy stole króla; będzie z tego rada, myśli Huicke. Słudzy zaczynają sprzątać; ktoś podsuwa mu miszkę z wodą do opłukania rąk, mamrocze przeprosiny i cofa się, widząc rękawiczki. Chłopak jest wyraźnie zakłopotany, bo noszenie rękawiczek przy kolacji wydaje się niestosowne. Huicke chciałby zobaczyć jego reakcję, gdyby je ściągnął i pokazał mu, co jest pod nimi. Pewnie chłopak uciekłby z krzykiem. Codziennie stosował balsam Katarzyny, ale czyni on niewiele dobrego poza złagodzeniem swędzenia, chociaż już to jest błogosławieństwem.

Tego popołudnia Katarzyna wysłała pasierbicę, żeby go do niej sprowadziła. Po raz pierwszy od czasu rozmowy w pokoju aptecznym w Charterhouse poprosiła go o spotkanie w cztery oczy. W Whitehall ich drogi często się krzyżowały, ale

brakowało tej niewymuszonej zażyłości, która wcześniej cechowała ich przyjaźń. Katarzyna nie była nieżyczliwa, może wydawała się tylko odrobinę chłodna i trochę zbyt uprzejma. Musiał pogodzić się z tym, że stracił jej zaufanie, i głęboko to odczuł, jakby otworzyła się w nim dziura, i nawet nieustające zaloty Udalla nie wypełniły całkowicie tej pustki. Przybył do jej pokoi – pokoi królowej, ni mniej, ni więcej – i zastał ją pośród papierów.

Pisząc list, rozmawiała ze swoim zarządcą o sporze granicznym.

– Nie ustępuj, Cousins. Nie damy sobą pomiatać. Tę ziemię podarował mi mąż i mam na to dokumenty. – Złożyła kartkę, przeciągnęła palcem wskazującym i kciukiem po zgięciu, kapnęła kroplę czerwonego wosku i odcisnęła pieczęć. – Są gdzieś tutaj – dodała, przerzucając papiery. – Mam! – Wyciągnęła ze stosu jakiś dokument. – Spójrz, Cousins, czarno na białym. Granica Hammerton biegnie na zachód, a nie na wschód od lasu. Te lasy są moje, czyż nie?

– W istocie, lady.

– Zanieś to do notariusza i przypomnij mu o przekazaniu funduszków dla klasztoru w Monkton. Potrzebują nowej stodoły. Aha, i ten człowiek, który umarł... wdowa po nim będzie w potrzebie. Kilka funtów, żeby miała z czego żyć... i znajdź jej pracę w domu, pralni albo cukierni, jeśli umie piec ciasta. Zdaję się na ciebie, Cousins.

Huicke obserwował ją, podziwiając jej stanowczy ton i spokojną władczość. Po wyjściu Cousinsa usiedli razem i Katarzyna wzięła go za rękę.

– Tęskniłam za tobą – powiedziała.

Żadne słowa nie mogłyby uczynić go szczęśliwszym i poczuł, że bliskość powraca.

– Biedny człowiek został zmiażdżony, gdy runął mur na mojej ziemi – wyjaśniła. – Boli mnie, Huicke, że muszę być tutaj i nie mogę pocieszyć wdowy. Powinnam tam być, ale muszę zostać. Pomyśl, robić zaprawy z warzyw i owoców, suszyć zioła, przyrządzać lekarstwa, jeździć do dzierżawców, doglądać różnych rzeczy... Niestety, jestem tutaj, otoczona tym wszystkim. – Rozłożyła ręce. – W pokojach królowej, Huicke.

– Kit – zaczął, nieśmiało używając jej zdrobniałego imienia, niepewny, czy nadal ma do tego prawo, zważywszy na ochłodzenie ich relacji. Ona jednak czule uścisnęła jego dłoń, więc podjął: – Jeśli mogę coś zrobić, żeby...

– Tak, Huicke – odezwała się, nie pozwalając mu dokończyć. – Musisz mi powiedzieć o intencjach króla. Mój brat mówi, że król dąży do małżeństwa. Nie chcę w to wierzyć, ale spójrz, gdzie mnie ulokowano... I najwyraźniej Will ma dostać tytuł hrabiego. Jestem pełna złych przeczuć. – Jej ręka sama uniosła się do gardła, jakby chciała dotknąć czegoś, czego tam nie było.

– Słyszałem, jak o tym mówił, Kit. I Anna Bassett wróciła do Calais.

Katarzyna z napiętą szarą twarzą skinęła głową.

– I, Huicke... – Ściszyła głos. – Jest coś jeszcze.

– Tak?

– Widziałeś Tomasza Seymoura, zanim wyjechał? Powiedział coś, przekazał jakąś wiadomość?

– Chciałbym potwierdzić, ale, niestety, nie mogę.

Jej twarz jeszcze bardziej posmutniała.

– Tyle że i tak nic by nie powiedział. Ani mnie, ani nikomu innemu. To byłoby zbyt ryzykowne. – Dodał to wyjaśnienie, żeby poczuła się lepiej, i prawdopodobnie tak wyglądała prawda.

Nie mógł się zmusić, żeby jej wyznać, co naprawdę sądzi o Tomaszu Seymourze, powiedzieć, że cieszy się z jego wyjazdu; mówienie tego byłoby okrucieństwem.

Tak więc Katarzyna musi być zadowolona, że siedzi tam, gdzie siedzi, a nie na podwyższeniu. Słudzy przynoszą słodkości – galaretki, bitą śmietaną z winem i jajkami, leguminy – paradują z nimi przez całą salę, a na koniec pojawia się ogromny półmisek. Stoi na nim jeleń naturalnej wielkości, śnieżnobiały, z marcepanu, tak realny, że mógłby wyjść spod dłuta samego Michała Anioła, z porożem zrobionym z kryształków cukru, z piersią przebitą strzałą. Niesie go czterech mężczyzn. W sali zapada cisza, którą mącą tylko okrzyki zdumienia. Mężczyźni zatrzymują się u stóp podium i wszyscy w sali czekają, by zobaczyć, czy uda im się wnieść ten cukierniczy majstersztyk po schodkach. Oni jednak nie ruszają się z miejsca. Ludzie wstają, żeby lepiej widzieć, komu zostanie ofiarowane to wspaniałe dzieło. Huicke podnosi się i idzie w tamtą stronę, mając nadzieję, że nie dostanie go ta, o której myśli.

Ale oczywiście to płonna nadzieja.

Jeleń oznacza miłość, a strzała nie wymaga objaśnienia. Król się deklaruje. Katarzyna wstaje; jej twarz promienieje udawaną radością. Zerka nieśmiało na króla, a ten kiwa głową i z triumfalnym uśmiechem przesyła jej pocałunek. W sali wybuchają wiwaty. Stanhope nie jest w stanie zamaskować skwaszonej miny i Huicke na przekór sobie czuje dreszcz satysfakcji, że dostała po nosie. Katarzynie jakimś sposobem nadal udaje się markować zachwyty, on jednak potrafi odgadnąć jej myśli. Zapewne o obłapiających ją tłustych łapskach króla.

– Wyrwij strzałę! – woła król.

Katarzyna robi to i krew lub substancja, która wygląda jak krew – może korzenne czerwone wino – wylewa się z piersi białego zwierzęcia i barwi ją szkarłatem. Ktoś podstawia puchar, a gdy zbiera się w nim czerwony płyn, podaje go królowi.

Król unosi puchar w stronę Katarzyny, krzyczy: „Za miłość!” i wychyla duszkiem. Odrzuca puchar i w sali zapada cisza, którą zakłóca tylko brzęk naczyń.

Znów wybuchają gromkie wiwaty.

Ten jeden gest publicznie przypieczętował los Katarzyny.

PRZYCHODZI PO NIĄ HERTFORD. Katarzyna podąża za nim długą galerią. Widzi go od tyłu, a jego nachylenie ramion i rozkołysany chód tak bardzo przypominają jej brata, że czuje ukłucie tęsknoty. Król czeka w swojej prywatnej komnacie, stojąc na rozsuniętych grubych nogach, obleczonego w białe pończochy, z rękami wspartymi na biodrach, w parodii pozy z obrazu wielkiego Holbeina w Whitehall – wizerunek króla, wypisz wymaluj. Ale to groteskowa parodia. Nikt nie wziąłby go za tego samego człowieka; nic ich nie łączy z wyjątkiem klejnotów i kapiącego od złota, wyszukanego stroju.

W tej niewielkiej komnacie sam jego wzrost i obwód sprawiają, że Katarzyna czuje się jak w domku dla lalek, do którego bezmyślnie dziecko wrzuciło zdecydowanie za dużą kukłę. Król patrzy na nią z obleśnym uśmiechem, ujmując w palce jej podbródek i unosi jej głowę. Hertford wycofuje się z komnaty i zamyka drzwi. Katarzyna nieszczególnie lubi tego mężczyznę, chce jednak krzyczeć za nim, żeby został, nie zostawiał jej samej z królem. Nigdy dotąd nie była z nim sama i czuje narastającą panikę, ponieważ wie, co nadchodzi, i szuka sposobu, aby to powstrzymać.

Głos króla, gdy w końcu odrywa wzrok od jej twarzy, zaskakuje ją miękkością. Prosi ją, żeby z nim usiadła, by mógł jej pokazać *Księgę godzinek*, która należała do jego ojca. Książka jest cudem: pełna żywych kolorów i misternych złocień, tak piękna, że Katarzyna zupełnie nie myśli już o tym, iż ten czuły starzec, który ostrożnie przewraca stare welinowe kartki, wskazując szczegóły w tekście i wyjmując wsunięty między stronice kwiat, płaski wyblakły pierwiosnek, jest królem Henrykiem. Kładzie nieważkiego kruchego ducha kwiatu na jej dłoni.

– Moja matka go tam włożyła, kiedy byłem mały – mówi.

Nagle kwiatek zaczyna jej ciążyć w dłoni, jakby cała historia ciągnęła ją w dół.

– Weź go, proszę, boję się go zniszczyć – szepcze, zdenerwowana, że najłżejszy oddech zdmuchnie ten fragment dziedzictwa Tudorów.

Król porównuje ją do kwiatu, do róży, w pustym pochlebstwie. Pokazuje jej miejsce, gdzie jego ojciec napisał coś na marginesie obok wizerunku Chrystusa ukrzyżowanego. Odcyfrowuje dla niej pajęczynę słów: *Arturze, spoczywaj*

w pokoju. Przekłada je dla niej z łaciny. Katarzyna włada łaciną co najmniej tak dobrze jak on, ale udaje niewiedzę.

– To był mój brat – wyjaśnia król.

Katarzyna kiwa głową i lekko dotyka suchych słów.

– Książę Artur.

– Wiem, czym jest strata – dodaje Henryk.

– Tak.

– Twój mąż bardzo cierpiał, jednak teraz jest z Bogiem, a ty musisz żyć.

Katarzyna zastanawia się, czy Latimer rzeczywiście jest z Bogiem, czy może w tym drugim miejscu, i znów дума o okolicznościach jego śmierci, o swojej w tym roli. Ta myśl ją otumania, odbiera jej mowę. Król chyba sądzi, że oniemiała z podziwu dla niego, i może trochę tak jest. Katarzyna stwierdza, że niezupełnie panuje nad swoim umysłem, przytłoczona przez ciężar historii i oczekiwanie, że też się do niej dopisze.

– Wybrałem cię na moją królową.

Nie jest to pytanie, jakie zadaje się przy oświadczeniach; w takim wypadku przynajmniej mogłaby udawać, że odmawia. Zastanawia się, czy królowi kiedykolwiek czegoś odmówiono, i nagle przypomina sobie Annę Boleyn, która podobno odmawiała mu latami, doprowadzając go do obłędu z pożądania – do tego stopnia, że w końcu posłał ją na szafot. Katarzyna siedzi bardzo spokojnie. Tomasz Seymour krąży w jej umyśle: jego różowe usta, długie palce, zapach, promienny śmiech. Myśl o tym, co będzie musiała robić z królem jako jego żona, budzi w niej obrzydzenie. Nie musi mu odpowiadać. W końcu to nie jest pytanie. Decyzja zapadła.

– Pobierzemy się tutaj, w Hampton Court – kontynuuje król, obłapiając ją w pasie – w lipcu. – Wymienia szczegóły, co będzie na ucztach, jakie psalmy będą śpiewane, kto zostanie zaproszony.

Katarzyna nie słucha go; wyobraża sobie jego wielkie łapy na sobie i stara się skupić myśli na innych rzeczach: klejnotach, ziemiach, zaszczytach, wzlocie Parrów. Ale nic nie może wymazać jej wstrętu.

– Wasza Królewska Mość...

– Będiesz nazywać mnie Harry. Na osobności. Teraz jesteśmy zaręczeni, mamy czas, żeby się poznać.

Katarzyna zdobywa się na uśmiech, choć nie wie, jak tego dokonała.

Król wybucha śmiechem, aż trzęsą mu się ciastowate policzki.

– Wypijmy za to.

Hertford zjawia się jak za machnięciem czarodziejskiej różdżki z dzbanem wina i napełnia szklane kielichy. Katarzyna zastanawia się, czy jego powrót był wcześniej umówiony. Przecież wszystko inne zostało zaaranżowane,

zainscenizowane jak jeden ze spektakli muzycznych Udalla. Zauważa, że Hertford ma takie same dłonie jak jego brat, i w tym momencie ogarnia ją rozpaczliwa tęsknota za Tomaszem. Potem myśli o jadowitej żonie Hertforda, co trochę poprawia jej nastrój: gdy zostanie królową, Stanhope będzie się jej kłaniać i płaszczyć się przed nią. Gani się za tę małość, ale wie, że musi wyszukiwać sobie najróżniejsze powody do radości.

Kielichy są weneckie, pięknie zdobione motywem winorośli. Nigdy wcześniej nie piła ze szkła. Chłód na ustach jest miły, ale wino, które zapewne musi być przednie, ma cierpki smak. Król wychyla kielich jednym haustem i rzuca go w kratę paleniska. Szkło pęka z trzaskiem i Katarzyna się wzdryga.

– Ty też, Katarzyno. – Henryk chwyta ją za rękę i robi zamach. Kielich wypada z jej palców i rozbija się o kamień kominka. – Chodź, Ned, napij się z nami – huczy do Hertforda. – I, Katarzyno – dodaje z błyskiem w małych jak rodzynki oczach – możesz powiedzieć swojemu bratu, że dostanie tytuł.

Chciałaby zebrać się na odwagę i poprosić o rozwód dla Willa, żeby odnieść jak największe korzyści. Czy nie o to w tym wszystkim chodzi? Ale milczy.

Nie mogłaby się odezwać, nawet gdyby chciała.

# 4



*Pałac Hampton Court, Middlesex, lipiec 1543*

DOT JEST W POMYWALNI I UDAJE, że szoruje wielką miedzianą miskę, która jest czystsza niż kiedykolwiek. Właściwie nigdy nie była naprawdę brudna, ale dzięki płukaniu i szorowaniu może kątem oka patrzeć na Williama Savage'a. Tak nazywa się pisarczyk kuchenny, który rozgościł się w jej głowie i nie da się przepędzić. Betty zapytała go, jak się nazywa, tak po prostu; Dot nigdy by się na to nie zdobyła, skoro sam jego widok przyprawia ją o drzenie i ma brzuch pełen motyli.

Udaje, że szoruje, by przebywać trochę dłużej w jego obecności i ukradkiem móc obserwować, jak sporządza zapiski w księdze. Zdaje się, że w ogóle jej nie dostrzega. Włosy ciągle spadają mu na oczy i odgarnia je przedramieniem. Dot przypuszcza, że robi to, bo nie chce pomazać czoła atramentem, który ma na palcach. Wyobraża sobie, jak przeczesuje palcami te włosy; na pewno są gładkie i miękkie, niczym jedwabne koszule Katarzyny. Objąłby ją wtedy, przyciągnął do siebie tak blisko, że czułaby jego oddech na skórze, i mówił... Właśnie, co? Nie sądzi, że miałby jej coś do powiedzenia. To głupia mrzonka, a poza tym otarła sobie ręce, szorując czystą miskę, więc poddaje się i wychodzi na dziedziniec, żeby znaleźć Betty. Przyjaciółka wyleguje się na stryszku nad stajniami.

– Znowu kręciłaś się koło Williama Savage'a? – pyta Betty i szturcha ją, gdy Dot mości się na słomie. – Nie wiem, czemu po prostu go nie uściskasz. Tego właśnie chcesz, prawda?

– Nie mogę – odpowiada Dot, pragnąc, by jej świat był równie prosty jak ten przyjaciółki.

– Możesz potknąć się przed jego biurkiem i niby przypadkiem wypuścić cycek ze stanika. – Betty chichocze.

– Ojej... Proszę wybaczyć, zacny panie – grucha Dot, też ze śmiechem. – Poślizgnęłam się na osełce masła.



– Pozwól, że pomogę ci schować cycek – mruczy Betty, zniżając głos o oktawę, i obie śmieją się do utraty tchu.

– Dlaczego wykształcony mężczyzna miałby interesować się kimś tak bez znaczenia jak ja? – pyta Dot, gdy już przestają się śmiać.

– Przecież służysz kobiecie, która zostanie królową – odpowiada Betty. – Gdybyś chciała, mogłabyś mieć każdego chłopca w tych kuchniach. I chcesz się z nim tylko zabawić, a nie zaciągnąć go do ołtarza.

– To prawda – mówi Dot, ale wcale tak nie jest, bo chociaż William Savage nie odezwał się do niej słowem, ona nie może przestać marzyć o ślubie.

Dobrze wie, że ludzie trzymają się swoich, ale nie cierpi samej myśli o związaniu się ze stajennym albo podkuchennym.

– Możesz mieć nawet tego – dodaje Betty, wskazując przez okienko mężczyznę, który ma pieczę nad piwnicami z winem i znany jest z tego, że zakrada się i podgląda dziewczyny w wygódce.

– Faj! – krzyczy Dot. – A ty możesz mieć Dużego Barneya.

Znow się śmieją, bo Duży Barney jest półgłówkiem, który czyści wychodki.

– Chciałabym służyć wielkiej damie, zamiast dzień i noc szorować te przekłete patelnie – mówi Betty z udawanym grymasem niezadowolenia.

Obie wiedzą, że Betty nie byłaby dobrą służką, bo ma niewyparzoną gębę i nie potrafi jej zamknąć ani na chwilę. Dot trochę jej jednak zazdrości, bo Betty cieszy się, że śpi przed paleniskiem w pomywalni i może co noc obściskiwać się z chłopakami z kuchni. Dot chciałaby tego spróbować, chociaż jeden raz, żeby przekonać się, jak to jest naprawdę, bo dotąd zna tylko macanki z Jethrem i niewinne pocałunki Harry’ego Denta. Lecz musi zadowolić się czystymi myślami o Williamie Savage’u. Nietrudno wyobrazić sobie, że pewnego dnia on uniesie wzrok znad tych papierów i uśmiechnie się do niej, a ona odwzajemni uśmiech. Na samą myśl o tym aż mięknie w środku.

– Lady Latimer będzie zachodzić w głowę, gdzie się podziewam. – Dot wstaje i strzepuje siano z sukni. – Mam coś we włosach?

Betty usuwa kilka źdźbeł, które przyczepiły się do jej czepka. Dot schodzi po drabinie, jeszcze raz się otrzepuje i bierze miedzianą miskę, by odnieść ją do pokoi Katarzyny. W zewnętrznej komnacie zastaje Meg, zajętą sortowaniem haftowanych jedwabi.

– Jesteś, Dot. Gdzie byłaś? Matka chce, żeby rozpalić w kominku.

– Ogień w lipcu?

– Król o to poprosił.

– Król?

– Jest tam z nią.

– Tam? – Dot szeroko otwiera usta, wskazując drzwi. – Nie mogę...

Czuje, że cała się kurczy. Niewielu rzeczy się boi, ale myśl o spotkaniu z królem przyprawia ją o lekkie mdłości. Meg okręca wokół palców zieloną nić, starannie związuje pośrodku i wkłada do koszyka z przyborami do szycia. Dot podnosi drewniany tamborek z napiętym kawałkiem płótna, na którym widać wykropkowany atramentem wzór; nie musi umieć czytać, by wiedzieć, że to splecione inicjały H i K.

Meg lekko wzdycha.

– Szkoda, że nie możemy cofnąć wskazówek zegara.

Kiedy to mówi, wydaje się, jakby przeszedł nad nią cień. Dot zastanawia się, czy może Meg myśli o tym, jak długo musiałyby kręcić wskazówkami, żeby wrócić do czasu, gdy wszystko było naprawdę łatwe.

– Nie jest tak źle, Meg. Weź pod uwagę te luksusy, no i twoja matka zostanie królową. – Ale Dot myśli o dwóch innych królowych, które też nosiły imię Katarzyna, o wyhaftowanych dla nich inicjałach i o tym, co się z nimi stało.

Meg prycha.

– Nie jest dobrze.

Dot pamięta, jak Katarzyna powiedziała jej, że Meg jest jedną z największych pesymistek w świecie. Musiała zapytać, co oznacza to słowo. Pesymizm jest przekleństwem, myśli; chciałaby, żeby Meg mogła się z niego otrząsnąć. Ale z pewnością każda dziewczyna stałaby się pesymistką, gdyby z woli świata czy Boga spotkało ją to, co przeżyła Meg.

– Lepiej zajmij się paleniskiem – mówi Meg, po czym wyciąga rękę i unosząc brwi, wyskubuje źdźbło siana z jej fartucha.

– To nie to, o czym myślisz – tłumaczy się Dot.

– Nie moja sprawa. Pomywacz przyniósł wiadro węgla. – Wskazuje na fantazyjny miedziany pojemnik w kącie.

– Węgla?

– Król woli węgiel. Gorąco dobrze mu robi na nogę. – Twarz Dot musi wyrażać zdenerwowanie, bo Meg dodaje: – Nie martw się. Tylko dygnij, nisko, i nic nie mów. Najpewniej w ogóle nie zwróci na ciebie uwagi.

Dot nie może sobie wyobrazić, jaki jest król; nie widziała go nawet z daleka, mimo że sporo czasu spędziła w pałacu. W głowie ma obraz, ten, który można zobaczyć na drzeworytach; król wygląda na nich imponująco, patrzy tak, jakby nic nie mogło go dotknąć. Dot podnosi wiadro, chwytając pudełko z przyborami do krzesania ognia i wsuwa pod pachę szczotkę do zamiatania paleniska.

– Lepiej się do tego przyzwyczaj – rzuca Meg. – Za kilka dni ona zostanie jego żoną.

Dot bierze głęboki oddech, żeby uspokoić nerwy, po czym puka do drzwi salonu.

– Wejdz – słyszy łagodny głos Katarzyny.

Podnosi zasuwkę i ramieniem pcha ciężkie drzwi, stukając w nie kubłem i mamrocząc przeprosiny. Zaczerwieniona wchodzi do komnaty i pada na klęczki. Oni siedzą przy oknie, Katarzyna na stołku, a król na drewnianym krześle, opierając nogę na jej kolanach. Ku wielkiej uldze Dot król nie patrzy na nią ani nawet nie przestaje mówić. Zachowuje się zupełnie tak, jakby jej nie było. Katarzyna w milczeniu kiwa do niej głową i z uśmiechem daje jej znak, żeby wstała. Dot nie może się powstrzymać i rozpalając w kominku, ciągle na nich spogląda. Król trzyma wielką jak szynka rękę na udzie jej pani i w niczym nie przypomina króla. Jest grubym, nalany starcem, ani trochę nie wspomniał, a Katarzyna przy nim wygląda jak jego córka albo siostrzenica.

Dot nigdy wcześniej nie rozpaliała węgla i żałuje, że nie ma kogo zapytać, jak się to robi. Kładzie dużo podpałki i liczy, że pójdzie dobrze. Wyciera ręce w fartuch, zostawiając na nim czarne smugi – ma tylko nadzieję, że nie pobrudziła twarzy – po czym zabiera się do krzesania ognia.

Słyszy niski pomruk króla.

– Wiesz, Kit, czasami się zastanawiam, jak by to było wieść zwyczajne życie...

Dot unosi głowę i widzi, że Katarzyna gładzi palcami jego brodę. Iskra zapala hubkę; dziewczyna dmucha delikatnie, patrzy, jak płomyk rośnie, i wrzuca hubkę do paleniska, cały czas słuchając dudniącego głosu króla.

– ...życie, w którym ludzie nie mówią mi tego, co według nich chcę usłyszeć.

– Harry... – odzywa się Katarzyna.

Dot nigdy nie wyobrażała sobie, że ktoś mógłby nazywać go Harrym; to takie pospolite imię.

– ...być może ludzie dogadzają ci, bo się boją.

Król porusza się na krześle, które głośno skrzypi pod jego ciężarem.

– Ten florentczyk, nie pamiętam jego nazwiska... Zdaje się, że ostatnio nazwiska wypadają mi z głowy, Kit. Powiedział, że lepiej, by książęta budzili strach niż miłość. Nieustanne budzenie strachu wymaga wielkiego wysiłku. Zmusiło mnie to do robienia rzeczy... – Nie kończy.

– Niccolò Machiavelli – mówi Katarzyna.

Dot nie ma pojęcia, o co chodzi.

– Wszyscy, Harry, robimy rzeczy, które budzą w nas wyrzuty sumienia.

– Ty mi nie nadskakujesz, Kit. Tylko ty masz odwagę mówić prawdę. To pierwsze w tobie zwróciło moją uwagę.

Dot dmucha w ogień i węgle się rozżarzają.

– Staram się być szczerą, Harry. O to prosi nas Bóg, prawda?

Król pociera kark, jakby z zakłopotaniem.

– Czujesz przeciąg? – pyta.

– Nie, ale okno jest uchylone. To pewnie podmuch.

Henryk wstaje i pociąga skrzydło okna. Zacięło się, a on szarpie tak mocno, że pęka jedna z szybek i rygiel zostaje mu w dłoni.

– Diabelstwo! – ryczy i tłucze zasuwką o parapet, żłobiąc dziury w drewnie, łup, łup, łup, aż lecą drzazgi.

Dot kuli się w kącie, nie patrząc; ma nadzieję, że nie zostanie zauważona. Wyobraża sobie ten dźwięk jako stukot młotka o kości.

– Ochłoń, Harry – uspokaja go Katarzyna, która już podeszła do niego i masuje mu ramiona.

Jego twarz jest fioletowa jak siniak, krople potu wystąpiły mu na czoło. Złości się niczym rozpuszczone dziecko.

– Pozwól, że to wezmę. – Katarzyna próbuje delikatnie wyłuskać złamaną zasuwkę z jego zaciśniętych palców.

Nagle z wielką siłą król rzuca rygiel w stronę kominka. Dot chyli głowę i kawałek metalu przelatuje obok niej, po czym uderza z trzaskiem w wiadro z węglem. Serce jej wali jak młot kowalski, a ręce trzęsą się tak bardzo, że ledwie może utrzymać szczotkę. Nie śmie wstać i wyjść, z obawy, że zwróci na siebie uwagę. Król siada, z głową w dłoniach i oddycha ciężko, podczas gdy Katarzyna mruczy uspokajająco i dalej masuje jego ramiona.

Spogląda przelotnie na Dot, unosząc brwi, jakby pytała: „W porządku?”.

Dziewczyna kiwa głową, a Katarzyna unosi palec do ust, nakazując ciszę. Król nic nie mówi, nawet nie zerknął w jej stronę, żeby sprawdzić, czy wciąż ma głowę na ramionach.

Unosi twarz i mamrocze:

– Czasami boję się siebie, Kit. – Spuszcza wzrok i wydaje się teraz załamany i osamotniony. – Nachodzą mnie napady szału. Tak jakbym stawał się kimś innym. Jakbym był opętany.

Katarzyna gładzi go po rękawie i coś szepcze.

– Czasami mam wrażenie, że tracę rozum. Uginam się pod ciężarem Anglii. – Henryk milczy przez jakiś czas, skubiąc klejnot na dublecie. Podejmuje niemal szeptem: – Zastanawiam się, co jej zrobiłem, zrywając z Rzymem. Czuję... czuję, że Anglia ma złamane serce.

Dot nigdy nie przypuszczała, że król może mieć wątpliwości zupełnie jak każdy inny człowiek. Czy Bóg mu nie powiedział, co ma robić?

– Trzeba pogodzić się z przeszłością – mówi Katarzyna.

Dot pamięta, jak często powtarzała te słowa, zwłaszcza w rozmowach z Meg.

– Wprowadzenie takich zmian, jakie ty wprowadziłeś, Harry, wymaga odwagi.

Na te słowa król staje się jakby większy, bardziej lśniący, oczy mu jaśnieją.

– I mocno wierzę, że Bóg jest po twojej stronie – dodaje Katarzyna.

– Dał mi syna. To z pewnością oznaka jego zadowolenia.

– I to pięknego syna.

– Dasz mi syna, Kit? – pyta król, jak mały chłopiec proszący o słodycze.

– Jeśli taka będzie wola boska – odpowiada Katarzyna z uśmiechem.

Ale zanim Dot wymyka się z komnaty, widzi ciemną chmurę przemykającą po jej twarzy.

– DOSTALIŚMY OPACTWO W WILTON – mówi Anna.

Katarzyna siedzi obok siostry na ławeczce przy oknie w swojej antykamerze. Na ich kolanach leży suknia i obie sprawdzają naszyte na nią perełki. To suknia ślubna.

– Zamieszkaś tam? – Nie może znieść myśli, że siostra zakopie się na wsi w Wiltshire.

– Nie podoba mi się to, co wydarzyło się w opactwie. Rzeź.

– W Wilton nie doszło do rozlewu krwi – zauważa Katarzyna. – Przypuszczam, że opatka dobrowolnie oddała klasztor i wszyscy odeszli cali i zdrowi.

Nie potrafi przestać myśleć o obróconych w ruinę innych wielkich opactwach, o torturowanych i prześladowanych mnichach, o całym tym dziele zniszczenia – dziele Cromwella. W imieniu króla, przypomina sobie. Pamięta, jak Latimer opowiadał jej o świętych mężach – co najmniej dwudziestu, jak mówił – wiszących na drzewach, z rozplatanymi brzuchami, w pobliżu opactwa w Fountains.

– Dobrze wiedzieć – mówi Anna. – Mimo to zostanę na dworze. Mój mąż lubi mieć mnie przy sobie. Poza tym chcę być blisko ciebie.

– Bóg świadkiem, że będę cię potrzebować. – Katarzyna rozgląda się po pokoju, w którym stoją grupki dwórek, kobiet, których prawie nie zna.

Nie ma pojęcia, wobec kogo są lojalne. Ospale machają wachlarzami, próbując złagodzić lipcowy skwar. Trzy opasłe czarne muchy krążą po pokoju i od czasu do czasu któraś z kobiet macha na nie wachlarzem. Katarzyna otwiera okno, by wpuścić szept wiatru. Ludzie zjeżdżali cały dzień – na ślub. Zastanawia się, czy jej małżeństwo będzie błogosławieństwem, czy przekleństwem. Chciała zwierzyć się siostrze, ale ma zbyt wiele do wyznania: Murgatroyd, Latimer i jej straszne grzechy; Seymour, którego wciąż nosi w sercu; wstręt do króla. W jej umyśle wszystko to jest nierozdzielnie związane, jedno wydarzenie prowadzi do drugiego, jakby skrywała się za nimi jakaś przewodnia zasada, boska lub bezbożna – nie wie która. Nie potrafi się zmusić, żeby wyrazić to wszystko

słowami, wypowiedzieć na głos. Boi się. Boi się, choć nie jest pewna czego. To nieokreślony strach, który ciągle wisi w powietrzu.

– Mogłabym ci rozkazać, żebyś została – żartuje, trącając Annę łokciem.

Jeśli będzie udawać, że się nie boi, może przekona nawet samą siebie.

– Zostaniesz królową, Kit. – Anna wzdycha, jakby po raz pierwszy naprawdę rozważała tę sytuację.

Przez ostatnie tygodnie Katarzyna wybierała swoich domowników. Uparła się, że Dot ma zostać, pomimo wzburzenia dam dworu, które mocno starały się ulokować przy niej swoje szlachetnie urodzone córki. Z dobrotliwym uśmiechem odpierała pochlebstwa, odmawiała podarków i przyjmowała sznur nieśmiały, niezgrabnych podlotków, które z pewnością wolałyby zostać w domu z braćmi i siostrami, niż usługiwać królowej.

Wzwała swoją ukochaną kuzynkę i towarzyszkę zabaw z dzieciństwa, Elizabeth Cheyney, i apodyktyczną Lizzie Tyrwhitt, a także kuzynkę Maud i starą przyjaciółkę matki, sędziwą Mary Wootten, będącą na dworze od niepamiętnych czasów. Posłała do zamku Snape po żonę pasierba, Lucy, choćby po to, by dać jej odpocząć od męża, który nie należał do najmiłszych mężczyzn. Każdej z nich ofiarowała suknię z porządnego czarnego aksamitu – co rozczarowało króla, który nazwał je stadem wron. Pewnie chciałby, żeby dwórki jego królowej bardziej przypominały śliczne zięby, które mógłby zapiec w cieście, gdyby sobie tego zażyczył. Katarzyna ma też przy sobie drogiego Huicke’a – mianowała go swoim medykiem. Król jest z tego zadowolony – uważa, że to jego decyzja – i w gruncie rzeczy Katarzyna przypuszcza, że taka jest prawda. Może Henryk myśli, że Huicke nadal będzie ją dla niego szpiegować. Ale Huicke jest jej człowiekiem; czuje w kościach, że nigdy jej nie zdradzi. Zresztą nie ma jeszcze czego zdradzać, choć to niekoniecznie cokolwiek oznacza w tym miejscu.

Przyzwyczajają się do tego: do dworskich pochlebców, którzy zawsze czegoś od niej chcą; do artystów i rzemieślników; do introligatorów, winiarzy, kaznodziejów; do wielkich dam i hrabin, które do tej pory nie poświęcały jej ani jednej myśli. Huicke przedstawił jej swojego *inamorato*, Nicholasa Udalla, bystrookiego dramaturga, obdarzonego cierpkim poczuciem humoru i spowitego cieniem skandalu. W chwili gdy Udall wybałuszył oczy i zacisnął usta w szyderczym uśmiechu, parodiując Annę Stanhope, Katarzyna wiedziała już, że go polubi.

Udall pisał sztuki i traktaty filozoficzne, tworzył wymyślne spektakle muzyczne, ale przede wszystkim lubił rozprawiać na różne tematy. Uznała, że skoro nie może mieć Seymoura i musi poślubić króla, to przynajmniej będzie cieszyć się nową pozycją i otaczać się inspirującymi ludźmi. I postara się korzystać ze swojego statusu we właściwy sposób.

Zaanonsowano lady Marię. Wchodzi powoli, od stóp do głów w złotogłowie, przesadnie obwieszona klejnotami. Susan Clarencieux trzyma ją pod jedno ramię, a jej siostra, lady Elżbieta, pod drugie. Elżbieta nie ma jeszcze dziesięciu lat, a jest tak wysoka, że prawie dorównuje wzrostem Marii, i nosi się tak, że wydaje się starsza. Ognistorude włosy spływają kaskadą do jej talii, okalają ciemne błyszczące oczy i idealnie wykrojone usta w kształcie serca. Skromna suknia z granatowej tafty podkreśla jej oszałamiającą urodę. W smukłych palcach ściska książkę. Ma postawę księżniczki – uniesiona głowa, półuśmiech, nieodgadniony wyraz twarzy – i podczas gdy status Marii jako bękartki jest widoczny w lekkim skuleniu ramion i podejrzliwości w oczach, Elżbieta wydaje się zupełnie niewzruszona tym, że została odrzucona przez ojca. Katarzyna wspomina króla jako młodego człowieka, którego bez wątpienia widać w Elżbiecie, i zastanawia się, czy to będzie jedyna zaleta tej dziewczyny.

Wszystkie trzy zatrzymują się przed nią, aby złożyć gratulacje.

– Jutro zostaniesz moją macochą – mówi lady Maria z krzywym uśmiechem, jakby ten pomysł ją bawił, i dodaje: – Poprzednia była dziesięć lat ode mnie młodsza.

Z ust Marii płynie zgryźliwy śmiech. Nigdy nie rozmawia o małżeństwie – a już na pewno nie rozmawia o tym z Katarzyną; ta przypuszcza, że to drażliwy temat. Maria dawno temu powinna była wyjść za mąż.

– Ty przynajmniej jesteś starsza, choć tylko o cztery lata... I jesteśmy przyjaciółkami – dodaje Maria.

– Jesteśmy przyjaciółkami – potwierdza Katarzyna, ujmując jej dłoń. Przyciąga Marię i całuje ją w policzek.

Maria wydaje się jakby mniej skwaszona.

– I zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby... – Katarzyna szuka taktownego sposobu, by powiedzieć Marii, że ma nadzieję usunąć z niej plamę pochodzenia z nieprawego łoża – wesprzeć twoją sprawę.

Nieczęsty naturalny uśmiech rozlewa się jak fala po twarzy Marii. Delikatnie popycha siostrę do przodu.

Elżbieta robi krok, mówiąc: „Z dumą będę nazywać cię matką”, po czym recytuje wiersz po łacinie tak płynnie, jakby tym językiem posługiwała się najczęściej.

Dwórki nie odrywają od niej wzroku, wyraźnie zafascynowane, natomiast Maria nie jest w stanie ukryć szyderczego uśmiechu. Katarzyna przypomina sobie, że to matka Elżbiety stała się przyczyną upadku jej matki, i składa w duchu obietnicę, że nie tylko pojedna córki z ojcem, ale też zaprowadzi zgodę między siostrami.

Przybywa więcej kobiet, w tym dwie siostrzenice króla. Małgorzata Douglas jest córką starszej siostry Henryka, żony króla Szkocji. Jest ubrana w suknię

z zielonego brokatu wyszywanego złotą nicią i trzyma w rękawie pieska. Katarzyna dostrzega szelmowski błysk w jej oku, uwiarygodniający jej reputację krnąbrnej. Kuzynka Małgorzaty, Frances Brandon, ulepiona z zupełnie innej gliny, jest brzemienna i dość niezdarna, choć roztacza aurę dostojności i nalega na mówienie po francusku, by nikt nie zapomniał, że jej matka, młodsza siostra króla, Maria, była kiedyś królową Francji.

Katarzyna przeżywa chwilę wewnętrznego rozbawienia na myśl, że te wielkie damy, największe w kraju, nadskakują jej, Katarzynie Parr, która wedle prawa powinna stać nisko w hierarchii. Uśmiech Anny Stanhope jest wymuszony, a jej strój – warstwy malinowego adamaszku podszyte białym ałtarem i ciężki od klejnotów czepek – próbuje przyćmić wszystkie inne. Stanhope obsesyjnie interesuje się, kto z kim przestaje i kto za kim podąża; już w czasach wspólnej nauki na dworze dawała Katarzynie do zrozumienia, że jest od niej lepsza. Teraz Katarzyna z pewną satysfakcją patrzy, jak Stanhope zmusza się do uśmiechu. Damom towarzyszy Cat Brandon, ubrana w błękitny brokat, który podkreśla jej ciemne oczy; nie dba o to, że jest księżną Suffolk, i nie przejmuje się swoim miejscem w hierarchii. Zbliża się Meg, bliska omdlenia w lipcowym upale, z wilgotnymi brązowymi kosmykami przyklejonymi do czoła i wyrytym na twarzy wyrazem niepokoju. Cat bierze ją za rękę i pociąga do przodu.

– O co chodzi, Meg? – pyta Katarzyna.

Wie, że jej pasierbica nie jest dziewczyną, która rozkwita w otoczeniu ludzi, i wolałaby być z Dot w antykamerze niż tutaj.

– Kiedy będziesz królową, jak mam cię nazywać? Wasza Królewska Mość? – odzywa się drżącym głosem Meg, która od wielu dni zadaje takie pytania.

– Ten tytuł jest zarezerwowany dla króla. Myślę, że madame albo Wasza Wysokość. Zapytamy moją siostrę. Anna jest skarbnicą wiedzy o protokole...

– Zwykle madame, a oficjalnie Wasza Wysokość – wtrąca Stanhope, która najwyraźniej nasłuchiwała z drugiego końca pokoju. – Chociaż pewna królowa wolała, żeby w każdej sytuacji zwracać się do niej Jej Wysokość. – Wszyscy wiedzą, że mówi o matce Elżbiety, której nie wolno wymieniać publicznie z imienia.

– W każdym razie, Meg – mówi Katarzyna do pasierbicy – na osobności będziemy jak zawsze i nadal będę dla ciebie matką.

Widzi, że blady uśmiech nieco rozjaśnia twarz dziewczyny.

– A ty – kontynuuje, mrużąc oko – możesz poślubić markiza i wtedy wszyscy będziemy nazywać cię lady.

Uśmiech Meg gaśnie i Katarzyna uświadamia sobie swój błąd.

– Nie dokuczaj jej – upomina ją siostra.



– Nie wyjdę za mąż, matko, nawet za księcia – oznajmia Meg. – Zamierzam zostać z tobą na zawsze.

– Pewnego dnia jakiś mężczyzna skradnie ci serce – mówi Cat Brandon.

Katarzyna nie może powstrzymać się od myśli, z bolesnym uciskiem w piersi, o Tomaszu na cudzoziemskim dworze, gdzie z okrucami jej serca w kieszeni olśniewa damy.

– Nie dojdzie do tego – mówi Meg z oczami szklistymi od łez.

– Nie przykładaj wagi do moich słów, Meg – prosi Cat. – I proszę, pamiętaj o czytaniu. – Podaje jej plik papierów.

– Co to jest? – pyta Katarzyna.

– Lady Suffolk kazała mi to przeczytać – odpowiada cicho Meg, która doszła już trochę do siebie.

Kobiety w pięknych strojach skupiają się niczym stado ozdobnych ptaków. Król z pewnością byłby rad, widząc, jak wspaniale razem wyglądają. Elżbieta przewodzi grupie. Meg patrzy na nią jak zahipnotyzowana, nie może oderwać od niej wzroku.

– Poprosiła – kontynuuje z rumieńcem ogarniającym jej pierś i policzki – żebym przeczytała to dla uczczenia twojego małżeństwa.

Katarzyna, dostrzegając skrępowanie pasierbicy, bierze ją za rękę dla dodania otuchy. Zauważa, że jej paznokcie, tak strasznie obgryzione kilka tygodni wcześniej, zaczęły odrastać. Rozgrzewa ją nadzieja, że może w końcu Meg otrząśnie się z przeszłości.

Dwórki gromadzą się wokół, przysiadają na stołkach, młodsze klękają na tureckim dywanie, prezencie od ambasadora imperium osmańskiego. Meg, nadal stojąc, bierze głęboki oddech. Cat Brandon, nie mogąc się pohamować, parska śmiechem i fala chichotu przetacza się wśród kobiet.

– *Arrêtez* – rzuca ostro Frances Brandon.

Chichot cichnie, a Meg odchrząkuje.

– *Prolog opowieści damy z Bath.*

– Cat Brandon! – przerywa pasierbicy Katarzyna, parskając śmiechem. – Ty lisico!

– Udall mnie do tego namówił – wyjaśnia Cat. – Uznaliśmy ten wybór za stosowny, zważywszy, że pani z Bath cztery razy owdowiała i była pięć razy zamężna.

Wszystkie się śmieją, nawet nieskora do wesołości Stanhope. Mało prawdopodobne, żeby wiele z nich czytało Chaucera; najwyraźniej Cat streściła im tę opowieść.

– Nicholas Udall – mówi Katarzyna, wciąż ze śmiechem. – To ci szelma... Skąd to masz? Przypuszczam, że od niego.

– Prawdę mówiąc, „pożyczyłam” z biblioteki męża.

– Cóż, uważaj, żeby się nie dowiedział, bo inaczej uzna cię za zepsutą i zażąda rozwodu. A poza tym – dodaje z udawaną wyniosłością – dobrze wiesz, że pochowałam tylko dwóch mężów i jestem dopiero przy trzecim.

Damy wybuchają śmiechem, który powoli cichnie i urywa się, gdy z dziedzińca na dole dobiega harmider.

– Lady Latimer! – woła ktoś, a potem jeszcze raz, głośniej: – Lady Latimer!

Katarzyna słyszy gwar i stukot końskich kopyt oraz charakterystyczny szczełk broni. Uśmiech natychmiast znika z jej twarzy. Nie może słuchać tych odgłosów, nie przypominając sobie tego, co wydarzyło się w zamku Snape. Meg obok niej wyraźnie blednie i gryzie paznokieć kciuka.

– To król! – wykrzykuje Małgorzata Douglas.

Nawet ona wydaje się podekscytowana, chociaż król jest jej wujem.

Katarzyna wstaje i sunie ku otwartemu oknu, prezentując się jako miła, uległa, radosna, jakby grała królową w spektaklu muzycznym Udalla, ale w sercu daleka jest od tego.

– Wasza Królewska Mość! Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

Król siedzi na rosłej spienionej dereszowatej klaczy, grubej jak on, spowity w akry zbryzganego błotem złotogłowiu. Otacza go co najmniej tuzin mężczyzn, w większości mężów towarzyszących Katarzynie kobiet. Suffolk obok niego jest tak siwy i stary, że mógłby być nie mężem, lecz dziadkiem Cat Brandon. Mąż Stanhope, Hertford, po drugiej ręce króla, próbuje zapanować nad płochliwym wierzchowcem. Brata Katarzyny, Willa, nie ma; wrócił na pogranicze trzymać Szkotów w szachu i nie będzie go na ślubie siostry. Wśród jeźdźców jest jednak jego przyjaciel Surrey, który obdarza ją życzliwym uśmiechem.

Sześć czarnych chartów padło na ziemię i zieją z wywieszonymi językami w tym strasznym upale. Królik kica na pobliskiej skarpie i tylko jeden pies wstaje, rzuca się za nim bez większego entuzjazmu i rezygnuje z pościgu, gdy królik niknie w zaroślach. Chart przewraca się na grzbiet w wysokiej chłodnej trawie i komicznie się w niej tarza.

– Wracamy z łowów – odpowiada król – i chcemy zobaczyć naszą piękną żonę w przededniu jej ślubu.

Katarzyna dyga i kiwa dłonią, zastanawiając się, czy królewskie „my” oznacza jego i Boga, czy też jego i jego drugie ja, bo przecież znany jest z tego, że ma dwie strony. Czy w sypialni też będzie używać *pluralis maiestatis*? Myśl o sypialni przyprawia ją o mdłości. Zwierzyła się ze swojego strachu Huicke’owi i ten zasugerował palenie słodko pachnących olejków dla zamaskowania smrodu, zaciśnięcie powiek i myślenie o kimś innym. Śmiali się z tego razem, ale w miarę upływu czasu staje się to coraz mniej zabawne.

To mój obowiązek, przypomina sobie w duchu Katarzyna, powtarzając to zdanie na okrągło, jak modlitwę.

– Czuję się zaszczycona, Wasza Królewska Mość.

Dwóch mężczyzn wchodzi na dziedziniec, niosąc na drągu nakrapianego jelonka – jego łeb wisi żałośnie, wielkie oczy patrzą nieruchomo. Katarzyna, która zwykle nie jest przesadnie wrażliwa, odwraca wzrok, przygnębiona widokiem śmierci.

– Zanieście go do kuchni królowej – rozkazuje król. – Jest prezentem dla naszej żony.

OBYWAJĄ SIĘ BEZ SŁÓW, GDY KATARZYNA unosi ręce i kolejno wsuwa je w rękawy szaty. Od jakiegoś czasu odprawiają ten rytuał prawie codziennie i to Dot zawsze ją ubiera, chociaż teraz Katarzyna ma cztery nowe panny pokojowe do pomocy przy ubieraniu.

Dot zna swoją panią jak własne dziesięć palców. Skubie niesforne włosy nad jej czołem; obcina jej paznokcie i wyskrobuje spod nich brud; strzyże sztywne włosy łonowe, zaskakująco rude; pierze zakrwawione szmatki miesięczkowe; szorstkim kamieniem usuwa twardą skórę na piętach; smaruje jej skórę maściami; szczotkuje włosy, sto pociągnięć rano i wieczorem, wyczesuje z nich wszy, naciera lawendą, zaplata, upina; rano czyści jej oczy ze śpiochów; nakłada kompresy na pęcherze; myje stopy w chłodnej wodzie, żeby łatwiej jej było znosić letnie upały; ubiera ją w suknie i czepki, zawiązuje tasiemki na jej pantoflach i koszulach nocnych. Zna ciało Katarzyny jak swoje własne.

Dziś nakłada jej róż na policzki, co nadaje blasku oczom. Widząc je, Dot myśli o rzece na chwilę przed zmierzchem, kiedy słońce jak gdyby zapada się w toń. Lubi wymykać się i siadywać samotnie nad Tamizą, patrzeć na łodzie i zastanawiać się, dokąd płyną. Wie, że gdzieś daleko rzeka spotyka się z morzem i że duże statki mogą żeglować tygodniami, wcale nie widząc lądu – kto by pomyślał! W długiej galerii wisi obraz, który przedstawia galeony wysokie jak katedry, miotane po pieniącym się oceanie. Zważywszy na to, że mimo pochodzenia jest teraz w pałacu Hampton Court i służy następnej królowej Anglii – codziennie rano szczypie się dla pewności, że to nie sen – myśli, że może jednak pewnego dnia zobaczy morze. Bo prawie wszystko wydaje się możliwe. Wszystko z wyjątkiem uśmiechu Williama Savage'a; pisarczyk nadal nie zwraca na nią uwagi mimo jej częstych wizyt w pomywalni, dokąd zagląda pod takim czy innym pretekstem.

Dot patrzy na Katarzynę, która klęczy przed drewnianym ołtarzykiem w drugim końcu komnaty i w milczeniu odmawia modlitwę. Dot jest ciekawa, o co się modli – może o to, żeby nie stracić głowy jak inne królowe. Kiedy zbyt długo

o tym myśli, aż robi jej się niedobrze. Czarna aksamitowa szata Katarzyny połyskuje jak melasa; rozpuszczone włosy mają barwę marmolady z pałacowej kuchni, o smaku jednocześnie gorzkim i słodkim. Katarzyna przypomina jej Ginewrę albo Izoldę, które jednym spojrzeniem potrafiły sprawić, że mężczyźni tracili zmysły z pożądania.

Odkurzając komodę, Dot podnosi różne przedmioty: grzebień z kości słoniowej, srebrną szczotkę, dzbanek pachnącego dziwnymi przyprawami olejku, ciężki naszyjnik, który zostawił delikatny czerwony ślad na szyi Katarzyny. Jest wysadzany kamieniami wielkości paznokci i koloru surowych nerek. Wkłada go do wyłożonej aksamitem szkatułki, wpasowuje w zagłębienia idealnie dostosowane do jego kształtu, jak ziarna bobu w strąku. Niechcący strąca łokciem flakon wody różanej i wstrzymuje oddech, gdy naczynie z brzękiem uderza o podłogę. Nie tłucze się, ale korek wypada i woda się rozlewa, spływając między deski. Zapach róż rozchodzi się po komnacie. Dot schyla się po flakon i wtedy widzi, że ma pończochy nie do pary. Przez chwilę zachodzi w głowę, jak udaje jej się robić wszystko, co powinna, skoro sama nie potrafi się ubrać.

– Co się stało? – pyta Katarzyna, odrywając się od modlitwy.

– Przepraszam, lady, to woda różana.

– Nie przejmuj się, będą rzeki wody różanej.

Obie się z tego śmieją. Dot ma wrażenie, że Katarzyna dopiero teraz zrozumiała, co to znaczy być królową: wszystko będzie na skinienie palcem, niezależnie od kosztów.

Na łóżku leży suknia ślubna. Czerwono-złote cudo, naszywane perłami i klejnotami i tak ciężkie, że wczoraj we dwie wyjmowały ją z szafy.

– Najpierw pomóż mi włożyć spodnią suknię, a później wezwiemy Annę i Meg, żeby zajęły się resztą.

Dot unosi suknię i nakłada ją swojej pani przez głowę, a następnie sznuruje, mocno ściągając z tyłu; sztywna tafta szeleści jak ptasie pióra i pachnie jeszcze żelazkiem. Potem dziewczyna starannie przywiązuje na ramionach parę haftowanych rękawów, pilnując, by kokardki były schludne, chociaż nie będzie ich widać po nałożeniu wierzchniej sukni.

– Wiesz, co powiedział o mnie astrolog, kiedy byłam w kołysce? – mówi Katarzyna.

Dot próbuje wymamrotać coś w odpowiedzi, ale usta ma pełne szpilek.

– Że pewnego dnia zostanę królową. Powiedział, że tak jest zapisane w gwiazdach. Żartowaliśmy z tego w rodzinie i wszyscy mi dokuczali; nazywali mnie Jej Królewską Mością, kiedy zadzierałam nosa. Śmiałyśmy się, bo bardziej nieprawdopodobnej rzeczy nie można było sobie wyobrazić.

Milknie i popada w głęboką zadumę. Może myśli o przystojnym Tomaszu Seymourze, który zniknął bez słowa.

– Wiele rzeczy w życiu układa się w sposób, jakiego najmniej się spodziewamy – dodaje po chwili. – Czasami się zastanawiam, czy Bóg ma poczucie humoru.

Dot nie rozumie, o co jej chodzi, bo małżeństwo z królem – zwłaszcza tym królem – nie jest powodem do śmiechu. Idzie po siostrę swojej pani, Annę, i Meg i wspólnymi siłami nakładają suknię na Katarzynę, która stoi jakby nigdy nic, jakby suknia była lekka niczym piórko, a nie przetykana złotą nicią i obszyta tyłoma brylantami i perłami, ile jest gwiazd na niebie. Katarzyna pozwala wejść kilkorga młodszych dziewczętom, które zaglądały do komnaty, trajkocząc z ekscytacją. Dot widzi, jak udają, że jej tam nie ma. Nie wiedzą, jak ją traktować, jak odnosić się do dziewczyny będącej ledwie służką, ale bliskiej jak córka kobiecie, która za kilka godzin zostanie królową.

Dot wcale się tym nie przejmuje; przywykła do tego i zna swoje miejsce. Wie też jednak, że są ludzie, którzy po przestąpieniu progu dworu wspinają się coraz wyżej. Cromwell był synem piwowara, kowala czy kogoś równie pośledniego, a Wolsey, kardynał, czyli najważniejsza osoba w Kościele – oczywiście z wyjątkiem papieża – miał ojca rzeźnika. Obu ich spotkał marny koniec, lecz o tym Dot stara się nie myśleć.

Katarzyna jest już ubrana. Dot nie ma pojęcia, jak może być taka chłodna i spokojna w lipcowym gorącu, tym większym, że przenika tu żar z kuchni znajdujących się pod komnatą. Smród gotowanej kapusty sączy się przez deski, przepędzając resztki różanego zapachu. Dot rozwiązuje pęk lawendy i rozrzuca ją po podłodze. Meg zaplata Katarzynie włosy w warkocze, zwija je z tyłu głowy i podwiązuje wstążkami, a Anna wyjmuje z pudełka ślubny czepek. Dziewczęta podchodzą bliżej i Dot odsuwa się, robiąc im miejsce. Widziała już z bliska czepek z brylantami i złotymi frędzlami, a nawet go przymierzyła, gdy nikogo nie było w pokoju, i poczuła jego wielki ciężar naciskający na skronie.

Katarzyna uśmiecha się, ale jej lewa ręka jest zaciśnięta tak mocno, że knykcie wyglądają jak łuskane orzechy.

– Jestem gotowa – oznajmia, podnosząc modlitewnik.

Meg ma taki wyraz twarzy, jakby tonęła.

– Dziękuję wam, panie – rzuca Katarzyna.

Wychodzi z komnaty, uwięziona w sukni, z ręką wciąż zaciśniętą. Meg i Anna podążają tuż za nią. Żadna ze służek nie będzie obecna na nabożeństwie, które zostanie odprawione w kaplicy królowej z udziałem zaledwie trzydziestu osób. Dot nie tak wyobraża sobie królewskie zaślubiny – bez tłumów i późniejszego przejazdu ulicami miasta.

Znów się zastanawia, czy Katarzyna myśli o Seymourze. Król może jest królem, ona jednak wie, że to tylko mężczyzna odziany w brokaty – a przy tym gruby, stary, cuchnący i skłonny do wybuchów gniewu. Katarzyna będzie musiała dzielić z nim łożo. Dot przechodzą ciarki.

W KAPLICY PANUJE DŁAWIĄCY UPAŁ. Biskup Gardiner mamrocze, celebrując mszę. Uśmiecha się dobrotliwie, ale jego oczy mają chytry wyraz, który zadaje kłam uśmiechowi, i Katarzyna nie może przestać myśleć o chórzyście ze złamanym palcem.

– *In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti* – intonuje biskup.

– Amen – odpowiadają wierni.

Po lewej stronie stoją w ciasnym rzędzie ubrani na biało chórzyści; Katarzyna widzi ich tylko kątem oka. Niewiele jest miejsca dla gości i czuje ścisk ludzi za plecami. Jej myśli błądzą. Nie może skupić się na nabożeństwie; ciężar sukni ją przygniata, jak hipokrytów Dantego ich podbite ołowiem płaszcze. Czyż nie jest hipokryzją ślubować jednemu, gdy serce należy do drugiego? Nie będzie pierwszą, która to zrobiła. Nie śmie obrócić głowy i spojrzeć na stojącego obok króla, który oddycha, gwiżdżąc i świszcząc, a spowijająca go woń ambry gęstnieje, konkurując z mgłą kadzidła, która bucha z trybularza i zapełnia już i tak duszne pomieszczenie.

– *Hoc est autem verbum Domini* – mówi Gardiner.

– *Deo gratias.* – Zgromadzeni po raz stutysięczny wypowiadają te słowa.

Katarzyna myśli o ślubach, które zaraz złoży, o Bogu patrzącym z góry na jej zbrukaną grzechem duszę i zastanawia się – nie po raz pierwszy – czy jest to jej kara owinięta w złoto. Ma zbyt mocno zasznurowaną suknię, co spłyca oddech, i bolą ją kolana, mimo że klęczy na aksamitnej poduszce; boi się omdlenia, zepsucia tego fragmentu historii, która zostanie spisana i nie zniknie z ludzkiej pamięci.

Zamyka oczy i myśli o Tomaszu, o tym, że mógłby być tu obok niej, gdyby los wytyczył im inną ścieżkę. Ta myśl jak zadra wbija się pod jej skórę. Serce, w którym skrywa uczucia do Tomasza, jest odrętwiałe, tak przywykłe do ciągłego bólu, że już nic nie czuje. Przez kilka tygodni po jego wyjeździe miała nadzieję na list, cokolwiek, co świadczyłoby, że nie została zapomniana, nic jednak nie nadeszło. Chce wierzyć, że Tomasz boi się gniewu króla, ale wątpiąca część jej natury pogłębia lęki. Nie ma prawa więzić jego serca. Wyobraża go sobie w gronie dam dworu, piękności, którym oferuje siebie.

Przepędza tę myśl, zanim się zagnieżdży, i wspomina, jak wcześniej klęczała przed Bogiem i wypowiadała przysięgi małżeńskie. Była młodsza niż Meg teraz, kiedy wyruszyła w drogę z Rye House do Lincolnshire, by poślubić Edwarda Burgha. Nie sprzeciwiała się temu; całe jej życie było przygotowaniem do

małżeństwa i podróżując na północ, nie miała złych przeczuć, żadnych obaw przed ślubem z nieznanym. Edward był ładnym chłopcem, chudym jak patyk i słodkim jak szczeniak. Wcześniej spotkała go tylko raz, krótko i oficjalnie, ale przysłał jej rysunek, który trzymała pod poduszką.

*...hoc est autem verbum Domini... Deo gratias.*

Myśli, jaka była wówczas niewinna i pozbawiona ambicji. Okoliczności narzuciły jej ambicję. Tamte pierwsze śluby złożyła bez namysłu. Ale Edward Burgh został pochowany dwa lata później, podobnie jak jej matka. Stracić matkę i męża w ciągu kilku miesięcy, być zdaną tylko na siebie w wieku dziewiętnastu lat – wtedy uważała, że życie nie może być trudniejsze. Jak bardzo się myliła. Latimer był następny. Wydawał się taki przyzwoity, tak łatwy do pokochania. Kochała go jak ojca. Ale to jego miłość do niej doprowadziła do ślubu. Kiedy składał przysięgę w kaplicy zamku Snape, oczy zaszyły mu łzami. Nigdy wcześniej nie widziała płaczącego mężczyzny, sądziła, że nie są do tego zdolni. Jak mało wtedy wiedziała. Myśli krążą wokół niej, wrony wokół drzewa.

Gardiner przestaje mrużyć. Chłopiec śpiewa *Kyrie eleison*; jego głos jest czysty jak diamenty i rozbrzmiewa w małej przestrzeni, porywa ją, unosi daleko od myśli. Król sięga po jej rękę. Katarzyna otwiera oczy, by na niego spojrzeć, i widzi, że on też dał się porwać pieśni. Na jego ustach błąka się uśmiech i przez chwilę jest nie królem, tylko mało rozsądnym starcem.

Katarzyna zastanawia się, czy mogłaby go kochać jak ojca. Czasami czuje, że tak. Ale co z tymi chwilami, kiedy szaleje jak dziecko w napadach złości? I co z jego drugą stroną: przechwalającym się, próżnym młokosem ze skłonnością do okrucieństwa? Nie potrafi złożyć wszystkich jego części w jedną osobę. Zastanawia się, czy Henryk myśli o przysięgach małżeńskich, które złożył wcześniej pięć razy.

Patrzy na patenę z chlebem i kielich na nakrytym białym obrusem ołtarza. Dławi ją panika. Uświadamia sobie, że głęboko w jej głowie krzyczy cichy głos, jak głos we śnie, którego nie słyhać. Gardiner unosi hostię. Katarzyna śledzi ją wzrokiem. Słyszy wysoki brzęk dzwonka, wyszemrane błogosławieństwo.

*...corpore Christi.*

Brzęk i ciurkanie przy napełnianiu kielicha – znowu dzwonek.

Oczy w górę.

*...sanguine Christi.*

Czy król naprawdę wierzy, że w tym momencie wino stało się krwią Chrystusa? Katarzyna nie może pogodzić się z tym, że tak inteligentny człowiek mógłby w to uwierzyć.

Rozmawiali na wiele tematów, ale nigdy dogłębnie nie omawiali wiary. Ludzie zakładają, że wybranka króla podziela jego wiarę. Ale jaka jest jego

wiara? Mszę niedawno odprawianą po angielsku znów celebryje się po łacinie. Patrząc na samo nabożeństwo, nikt by nie poznał, że minęło dziesięć lat zmian i walki. Król na starość staje się konserwatywny. Trybularz kołysze się, terkocząc cicho na łańcuchu, i ponownie zalewa wewnątrz chmurą kadzidła. Być może, myśli Katarzyna, boi się spotkania ze Stwórcą, w pełni świadom okrucieństw popełnionych w imię angielskiego Kościoła – jego Kościoła. Boli ją myśl, jak wielkim musi to być dla niego ciężarem, o wiele większym niż jej płaszcz hipokrytki.

Otwiera usta i Gardiner kładzie na jej języku hostię. Opłatek przykleja się do wyschniętego podniebienia, ma drożdżowy smak. Katarzyna marzy o czymś, co ugasi jej pragnienie, wyobraża sobie, że wyrwa kielich z woskowych dłoni Gardinera i wychyla go duszkiem; zaraz potem w jej głowie formułuje się myśl, że to krew. Powściąga cugle wyobraźni – to tylko wino, być może uświęcone, ale jednak wino.

Wstają. Kręci jej się w głowie i wszystko przez chwilę jest czarne; przytrzymuje się klęcznika, żeby nie upaść, i słyszy, jak król składa przysięgę: głos dochodzi jakby z oddali, jak z drugiego końca tunelu. Zanim zdąży się zorientować, Katarzyna już powtarza jak papuga słowa Gardinera ...*ego tibi fidem*... obrączka wsuwa się na jej palec, król przyciska wilgotne wargi do jej ust.

Katarzyna mocno zamyka powieki. Stało się. Jest królową.

Odwraca się do gości, a ci uśmiechają się i patrzą na nią. Zastanawia się, jakie myśli skrywają za tymi uśmiechami. Czy myślą o małej Katarzynie Howard, z krzykiem biegnącej długą galerią, niespełna czterdzieści stóp od miejsca, w którym teraz stoją? Albo o ślubie z Anną Kliwijską, gdy Henryk z najwyższym trudem wykrztusił słowa przysięgi? A może o Annie Boleyn, czekającej, aż z Francji przybędzie mężczyzna doświadczony we władaniu mieczem, by ściąć jej głowę?

Meg nie uśmiecha się, nawet nie patrzy; wsłuchuje się w coś, co Elżbieta szepcze jej do ucha. Siedzą ramię w ramię, wyraźnie wzajemnie sobą zauroczone, jak to dziewczyny. Kto by pomyślał, że dzieli je tak duża różnica wieku. Meg jest drobniutka i wygląda najwyżej na czternaście lat, podczas gdy Elżbieta jest wysoka i roztacza przeczącą młodemu wiekowi aurę mądrości. Ich widok rozgrzewa serce Katarzyny; są teraz swego rodzaju siostrami, a Meg potrzebuje kogoś, kto wyrwie ją z przygnębienia.

Podeksytowane kobiety gromadzą się wokół niej i składają powinszowania. Henryk chwyta ją za łokieć.

– Wszyscy będą zabiegać o twoje względy, Kit, jesteś teraz królową. To brzmi jak ostrzeżenie.



UCZTA JEST WIREM KOLORÓW i dźwięków. Akrobaci fikają koziołki i wyginają ciała w sposób niemożliwy do powtórzenia przez zwyczajną osobę; połykacz ognia połyka kulę płomienia; zongler staje na rękach i stopami podrzuca trzy piłki w niekończącym się kręgu; muzycy grają z niesłabnącą wesołością. Katarzyna siedzi obok króla, który klaszcze i od czasu do czasu palcami wsuwa jej do ust smakołyki.

Surrey podchodzi do podwyższenia, staje przed nimi i zaczyna recytować.

*Szczerego złota dary dała ci natura,  
Byś ściałała przyjaciół i karmiła gości  
Wdziękiem, czarem, dowcipem, wielką łaską, która  
Jest świadectwem dla świata twej szczodroblewości.*

Katarzyna wpatruje się w niego. Przypomina jej o nieobecności brata, który wrócił na pogranicze. Jakaż to ironia, że Will nie może być świadkiem największego triumfu Parrów, bo jako jedyny z nich naprawdę by go docenił. W duchu jest zadowolona, że brat nie może się przy niej napawać tym triumfem.

*Twoje ukryte cnoty są szeroko znane,  
Przynoszą chwałę tobie i naszej epoce.  
Wszędzie, gdzie ziarno piękna zostało wysiane,  
Tam wzrosną drzewa łaski, przynosząc owoce.*

Katarzyna zauważa wyraz twarzy Hertforda, gdy ten spogląda na Surreya. Ta mina wyraża coś głębszego niż niechęć. Łatwo zapomnieć, ile nienawiści krąży na dworze, gdzie wszyscy nie szczędzą starań, żeby wyglądać na uprzejmych. Nienawiść między Howardami a Seymourami zrodziła się z powodu śmierci kuzynki Surreya, Anny Boleyn, i wstępu Jane Seymour. Przez dziesięć lat oba rody walczyły o pozycję i Hertford ma atut w osobie siostrzeńca, królewicza Edwarda. Ale w żyłach Howardów płynie królewska krew i pewnego dnia Surrey zostanie głową rodu, gdy odziedziczy po ojcu tytuł księcia Norfolk. To walka, której nie można przegrać ani wygrać.

*Teraz ci, zacna pani, prawdę szczerą powiem:  
Szlachetne twe przymioty są ci dane z góry,  
Nie szpec ich tedy niczym, fanaberie bowiem  
wraz ze zmiennością psyche skazą twą naturę.  
Racz wesprzeć swego sługę miłosiernym słowem,  
Albowiem za cześć twoją gotów oddać głowę.*

Henryk klaszcze, szczerze zachwycony.

– Brawo, Surrey! – woła, po czym zwraca się do Hertforda: – Nie masz piosnki na cześć swojej nowej królowej, Ned?

Hertford rumieni się i zmusza do uśmiechu, a potem przedstawia zawiłą wymówkę, ale król już go nie słucha, zajęty obgryzaniem gołębiego udka.

Słudzy wnoszą kolejne potrawy, coraz wymyślniejsze i bogatsze. Katarzyna skubie jedzenie, przesuwa je po kolistej desce, starając się nie myśleć o tym, co będzie dalej. Wypija kolejny łyk wina. Już kręci jej się w głowie.

Wchodzi królewicz Edward, a za nim mała świta. Wszyscy podnoszą się i wyciągają szyje, żeby zobaczyć małego chłopca odzianego w obsyty klejnotami dublet, tak jak stroje jego ojca, którego pewnego dnia zastąpi. Król nadyma się z dumy, gdy syn recytuje fragment z Liwiusza o ślubie Sabinki. Katarzyna zastanawia się, czyj to był pomysł i czy coś to oznacza: jakkolwiek spojrzeć, droga Sabineek do małżeństwa nie należała do łatwych.

Kiedy Edward kończy, ojciec go chwali.

– Nie ma nawet sześciu lat, a biegle czyta Liwiusza. Jesteś cudem, mój chłopcze.

Hertford uśmiecha się szyderczo do Surreya, jakby chciał powiedzieć: „Następca tronu kładzie poemat na łopatki”.

– Chodź, chodź, pogratuluj swojej nowej matce – nakazuje król.

Edward robi krok do przodu i kłania się. Jest sztywnym stworzonkiem z zaciśniętymi ustami, które wydają się niezdolne do uśmiechu.

Katarzyna pochyła się, żeby ich twarze znalazły się na tej samej wysokości, i ujmuje jego ręce.

– Cieszę się, że jestem twoją matką, Edwardzie – mówi. – Mam nadzieję, że będę częściej widywać cię na dworze, jeśli twój ojciec zezwoli.

– Zrobię, co mi każą – odpowiada chłopiec szybko, rwącym się, cichym głosem.

Wybuchają radosne okrzyki, gdy słudzy wnoszą cukrowy galeon pływający po morzu rtęci. Edward robi wielkie oczy, ale to jedyna oznaka czegoś, co przypomina podekscytowanie. Ktoś zapala długą i cienką świecę i cukrowe armaty strzelają w serii potężnych trzasków. Meg podskakuje za każdym razem, błąda ze strachu. Katarzyna słyszy, jak Elżbieta jej mówi, że musi nauczyć się ukrywać swoje lęki, jeśli chce tutaj przetrwać – ma tylko dziewięć lat, a już jest taka spostrzegawcza. Edward wyraźnie nie jest jedynym bystrym dzieckiem Tudorów. Królewicz opuszcza salę.

Deski z jedzeniem zostają odsunięte i lady Maria z Hertfordem rozpoczynają tańce. Suną ostrożnie po podłodze, wykonując kroki statecznej pawany. Anna Stanhope nie skrywa pogardy dla swojego partnera, Wriothesleya. Siostra

Katarzyny, Anna, która cały dzień chodziła ze zmartwioną miną, w końcu porzuca troski, by zatańczyć z mężem. Gruchają do siebie niczym nowożeńcy. Katarzyna tłumnie zazdrości.

Tempo narasta. Elżbieta odciąga Meg od stołu w tłum i tańczą razem, nie przejmując się, że zwrócone są na nie wszystkie oczy. Dwie gorliwe matki popychają synów, żeby zatańczyli z którąś z nich, czym prowokują krzywe spojrzenia kilku innych panien. Elżbieta podskakuje kokieteryjnie, a Meg wygląda na nieco oszołomioną i całkowicie zafascynowaną nową przyrodnią siostrą. Nie może oderwać od niej wzroku, gdy wiruje w tańcu z kolejnymi młodzieńcami. Znów wraca do Elżbiety i ta szepcze jej coś do ucha. Katarzynie przychodzi na myśl, że przecież Meg mogłaby dołączyć do Elżbiety na wsi w Ashridge. To pozwoliłoby jej odpocząć od dworu.

Zjawia się dwórka Elżbiety i prowadzi ją na podwyższenie, żeby życzyła ojcu dobrej nocy. Król ledwie patrzy na córkę, natomiast Katarzyna pochyła się nad stołem i całuje ją w policzek.

– Twój ojciec chce, żebyś jutro wróciła do Ashridge – mówi.

Elżbieta nie potrafi ukryć rozczarowania.

– Martwi się o twoje zdrowie na dworze – dodaje Katarzyna.

To kłamstwo; Henryk martwi się tylko o zdrowie księcia Edwarda. Rzadko wspomina o Elżbiecie.

– Niedługo wyślę Meg, żeby do ciebie dołączyła. Podoba ci się ten pomysł?

Elżbieta z uśmiechem kiwa głową.

– Będzie mi niezmiernie miło, matko.

Jeśli nie uda mi się nic więcej, myśli Katarzyna, to przynajmniej spróbuję być matką dla tych zagubionych dzieci.

Daje znak podczaszemu, żeby napełnił jej puchar, złoty i duży niemal jak święty kielich. Czuje na barkach ciężar przyszłości. Za chwilę król wstanie i odejdzie, a jej dwórki zaprowadzą ją do małżeńskiego łóżka. Na tacy piętrzą się łąkocie. Katarzyna częstuje się i gryzie. Jej usta wypełnia cukrowy smak, nieprzyjemnie słodki. Chciałaby dyskretnie wypluć marcepan w serwetkę, ale jest królową i zbyt wiele osób na nią patrzy. Będzie musiała do tego przywyknąć; od tej chwili nic, co robi, nie pozostanie bez komentarza.

Pociąga kolejny łyk wina.

Król zbiera się do wyjścia.

DRZWI OTWIERAJĄ SIĘ GWAŁTOWNIE i do komnat królowej wpada gromada podekscytowanych kobiet, trajkoczących i kolorowych jak ptaki w wolierze w Whitehall. Trzepoczą dokoła, jedna przez drugą nadskakują nowej królowej.

Nawet hrabina Stanhope uśmiecha się, gdy nalewa wino do kubka Katarzyny. Trudno wyobrazić sobie bardziej dwulicową osobę. Dot nie ufa jej ani trochę; wcześniej słyszała, jak głosem gorzkim niczym skórka cytryny mówiła, że nowa królowa jest tylko napuszoną wiejską gospodynią.

Katarzyna każe im wszystkim wyjść; prosi o pozostanie tylko Meg, siostrę i ją. Ściąga czepek i krzywi się, bo kosmyk włosów zahaczył o jeden z klejnotów. Włosy są splątane i trzeba je odciąć nożyczkami do haftu. Dot bierze czepek; jest ciężki jak worek kartofli. Katarzyna ma czerwone pręgi nad uszami, gdzie naciskały druty. Stoi, wyciągając ręce, podczas gdy trzy kobiety zdejmują z niej kolejne warstwy stroju: suknię wierzchnią, rękawy, gorset, suknię spodnią.

Mówi o uczcie.

– Szkoda, Dot, że nie widziałaś cukrowego galeonu, był naprawdę olśniewający.

Nie narzeka ani na upał, ani na pęcherze od butów, ani na miejsca, gdzie suknia wpiła się w jej bladą skórę. Prosi tylko o przemycie pręg zimną wodą.

Dot czuje się tak, jakby przygotowywała ją do złożenia w ofierze. Katarzyna ma intensywnie czerwone policzki i jest chyba lekko podpita, bo śmieje się pełna wigoru i docina im wszystkim. To one powinny się z nią droczyć, skoro idzie do małżeńskiego łóża, ale im wcale nie jest do śmiechu.

– Co to za zafrasowane miny? – pyta, klepiąc siostrę po tyłku.

Anna mamrocze coś z przelotnym uśmiechem.

– Pomyślcie, wkrótce mogę nosić w brzuchu królewicza.

Chodzi nie o dziecko w brzuchu – co jest dobre, jak sądzi Dot – lecz o sposób, w jaki się tam dostanie. Może jest niedoświadczona, ale wie dość dużo, by wyobrazić sobie, jak ten wielki cuchnący mężczyzna dyszy i posapuje na żonie. A jeśli nie będzie królewicza? Katarzyna jest po dwóch małżeństwach bez dzieci – z wyjątkiem noworodka, który umarł – i ma już trzydzieści jeden lat. Dot odpycha od siebie tę myśl. Nie wątpi, że Anna też o tym rozmyśla, o czym świadczy jej posępna mina.

– Zdaje się, że polubiłaś swoją nową przyrodnią siostrę – zwraca się Katarzyna do Meg.

Dziewczyna rumieni się i opuszcza głowę.

– Cieszę się. Jest słodka, ale ojciec jej nie faworyzuje. Jutro Elżbieta wraca na wieś.

Meg wzdryga się lekko na te słowa.

– Chociaż mam zamiar nad nim popracować – dodaje Katarzyna. – Wyszłoby jej na dobre, gdyby przebywała na dworze z rodziną. Albo może ty złożysz jej wizytę.

– Chciałabym. – Meg ledwie tłumi ziewnięcie.

– Zmęczona? – odzywa się Anna.

Dziewczyna kiwa głową.

– Gdzie mam dziś spać? – pyta.

– Przypuszczam, że w pokoju panien, z innymi dziewczętami – odpowiada Anna.

– Nie – wtrąca pogodnie Katarzyna. – Niech zostanie tutaj. Przecież nie będę korzystać z tego łóżka. – Zmusza się do cichego śmiechu.

– A co ze mną? – rzuca Dot. – Gdzie ja mam spać?

– W antykamerze – mówi Anna. – Są tam straszne przeciągi, ale jest kominek i drewno. Stamtąd usłyszysz, jeśli królowa zadzwoni. Weź to – zwraca się do siostry, potrząsa srebrnym dzwoneczkiem i wręcza go jej.

Brzmi jak dzwonek w kaplicy, kiedy chleb ma przeistoczyć się w ciało Chrystusa. Katarzyna bierze Riga i przytula go, mrużąc do niego jak do dziecka. Zarzucają czarną aksamitną szatę na jej piękną jedwabną koszulę nocną. Meg spędziła całe dni na haftowaniu wzoru kwiatowego. Anna podaje siostrze balsamkę z lawendą i olejkiem pomarańczowym.

Katarzyna unosi ją do twarzy i z westchnieniem wdycha aromat.

– Jestem gotowa – oznajmia i kieruje się do drzwi.

Ale nagle chwytą kubek, wypija resztkę wina i odrzuca naczynie. Kubek z trzaskiem uderza w boazerię. Katarzyna wychodzi z pokoju. Anna i Meg podążają za nią, odprowadzając ją do małżeńskiego łóżka, obie wyraźnie zbolące, jak żałobnicy na pogrzebie. Dot zmieniła pościel na ogromnym łóżku, spryskała je pachnącą wodą i nakryła jedwabnymi kapami i poduszkami – na wszystkich wyhaftowano inicjały króla i nowej królowej.

Wzdryga się i zaczyna sprzątać komnatę. Podnosi kubek z kąta. Na draperiach została smużka czerwonego wina. Kubek jest mocno wgnieciony i roztrzaskał się jeden ze zdobiących go klejnotów. Dot zbiera pranie do kosza, ustawia brudne kubki i talerze, zdmuchuje świece, wdychając kościelny zapach wosku pszczelego, o wiele przyjemniejszy niż woń używanego na dole łożu, który skwierczy, dymi i śmierdzi podczas palenia. Bierze dzbanek z brudną wodą, w drugiej ręce trzymając spiętrzone naczynia, i nogą zamyka drzwi. Korytarzem przechodzi jeden z królewskich paziów.

– Przepraszam – mamrocze do niego i dodaje „panie”, bo choć jest dobre pięć lat od niej młodszy, musi być co najmniej synem rycerza, skoro służy królowi.

– O co chodzi? – Chłopak nie stara się ukryć zniecierpliwienia i patrzy na nią z takim wyrazem twarzy, jakby była brudem na podeszwie jego buta.

– Nie wiem, co mam z tym zrobić. – Dot pokazuje wgnieciony kubek.

– To twoja sprawka? – Paź bierze go i ogląda.

– Nie, panie, to wypadek. Królowa...

– Więc chcesz, by królowa wzięła na siebie winę za twoją niezdarność – mówi obcesowo i omija ją wzrokiem, jakby patrząc jej w oczy, mógł zarazić się jakąś paskudną chorobą.

– Nie, wcale nie...

– Słyszałem, że ona będzie cię chronić bez względu na wszystko. Ciekaw jestem dlaczego. – Paź gładzi kciukiem ostrą krawędź kubka. – Muszę zanieść go szambelanowi, a nie będzie szczęśliwy. – Odchodząc, rzuca przez ramię: – Mam na ciebie oko.

Dot notuje sobie w pamięci, że ma go w przyszłości unikać. Jest silna – twarda jak kamień, jak mawiał jej ojciec – ale ludzie na dworze nie zachowują się normalnie i wie, że tu można narobić sobie wrogów nawet bez powodu.

W kuchni jest ciemno i ciepło, a intensywny aromat pieczeni walczy o lepsze ze smrodem pomyj dla świń i zapachem potrawy, który zawsze przyprawia ją o burczenie w brzuchu. Szczątki cukrowego galeonu leżą na stole jak szkielet, obskubywane przez chłopców kuchennych. Kiloro służących przyszło się napić i zajadają się resztkami z półmiska, śmiejąc się i żartując. Dot widzi wśród nich Betty i przemyka cichcem, mając nadzieję, że nikt jej nie dostrzeże. Nie czuje się tam całkiem dobrze, bo chociaż jest służącą jak oni, nie uznają jej za swoją – z wyjątkiem Betty. Ale Betty lubi każdego, kto gotów jest słuchać jej trajkotania.

Układa talerze na stole z naczyniami do mycia i opróżnia dzban do ścieku; zauważa przy tym, że William Savage wciąż siedzi przy biurku i skrobie piórem w kałuży blasku świec. Jej serce gubi rytm.

– Ty! – woła pisarczyk.

Dot odwraca się, żeby zobaczyć, kto jest za nią, ale nikogo nie ma.

– Ja? – pyta.

– Tak, ty. – Na jego twarzy maluje się szeroki uśmiech.

Dziewczyna myśli, że może młodzieniec śmieje się z niej z jakiegoś powodu, i ściska ją w środku na myśl, że ma twarz umazaną sadzą albo czymś znacznie gorszym. Spozstrzega w jego policzku dołeczek, który nadaje twarzy słodki, psotny wyraz. Chce chłonąć go wzrokiem, ale brak jej odwagi, więc patrzy na swoje ręce, żałując, że są duże i brzydkie, a nie drobne i piękne jak dłonie damy.

– Jak się nazywasz?

– Dorothy Fownten – odpowiada schrypniętym głosem.

– Podejdź bliżej, nie słyszę cię.

Robi krok w jego stronę i ponownie się przedstawia, trochę głośniej.

– Ładnie. Jak dziewczęta w opowieściach – mówi William. – Lady Dorothy czeka na swojego rycerza.

Dot myśli, że chłopak się z niej naśmiewa, ale jego uśmiech zniknął. Zastąpiła go mina od której wywraca jej się żołądek.

– Wszyscy mówią na mnie Dot.

Teraz William się śmieje, co sprawia, że czuje się mała i głupia.

– Jak kropka na końcu zdania.

Dziewczyna nie wie, co to oznacza, więc nic nie mówi, tylko patrzy na swoje ręce.

– Jestem William Savage.

– William Savage – powtarza, jakby słyszała to po raz pierwszy.

– Słyszysz królowej, prawda?

– Tak. – Zerka na niego, po czym wraca do pilnego oglądania swoich paznokci.

– I pewnie zaraz mi powiesz, że musisz iść do jej komnat?

Dot kiwa głową.

– W takim razie idź, bo będzie za tobą tęsknić – mówi William i znów pochyla się nad papierami.

Dziewczyna idzie ku schodom i słyszy skrobanie jego pióra. Wbiega po stopniach, czując walenie w piersi, jakby kucharz szalał tam z drewnianą łyżką. Zabiera swoje rzeczy do antykamery, która właściwie jest nie więcej niż korytarzykiem, rozkłada sobie posłanie tam, gdzie najcieplej, przy żarze kominka, i zwija się w kłębek. Obejmuje się rękami, nie mogąc sobie nawet wyobrazić, jak by to było, gdyby obejmowały ją jego ramiona. Przywołuje w głowie obraz Williama, ten dołeczek w policzku, dołek w brodzie, powalane atramentem palce... „Jak kropka na końcu zdania”, powiedział. Dot zastanawia się, co miał na myśli. Rig skomle. Siedzi przed drzwiami sypialni, z nosem przyciśniętym do szczeliny na dole.

Dot słyszy stłumione pomruki i jęki, odgłosy zwierząt. Król jest nie tylko królem, ale też mężczyzną, przypomina sobie. Jakby mogła zapomnieć. Dźwięki stają się głośniejsze, bardziej nagłać, i nagle rozbrzmiewa trzask. Czy powinna tam wejść? Może stało się coś złego? Lecz wtedy Katarzyna z pewnością zadzwoniłaby srebrnym dzwoneczkiem. Nagle wybucha śmiech i znowu słychać stękanie. Dot zatyka uszy dłońmi, ale hałas i tak do niej dociera. Pies zaczyna skowyczeć.

– Cicho, Rig – szepcze.

Widząc jego smutnie przechyloną głowę, poklepuje posłanie obok siebie.

Szczeniak przybiega i wkręca się pod koc; tuli się do niej, szukając pociechy.

– William Savage – szepcze w jego ciepłą sierść. – Will Savage. Bill Savage. Pani Savage, Dorothy Savage.

DZWONEK BUDZI JĄ WCZEŚNIE, srebrzysty dźwięk wsącza się do jej snu. Dot z wahaniem staje przed drzwiami komnaty, niespokojna, pamiętając nocne odgłosy.

Nie może wyzbyć się lęku przed królem. Nigdy nie była strachliwa; jako mała dziewczynka dosiadała nieujeżdżonego kucyka albo łapała złego psa, zawsze pierwsza, przed chłopakami, ale król budzi w niej przerażenie. Nigdy nie wiadomo, kiedy wybuchnie gniewem, więc wszyscy chodzą wokół niego na palcach i płaszczą się przed nim. Dot cieszy się, że jest nikim, zbyt nieważna, by w ogóle ją dostrzec. Słyszy odpowiedź Katarzyny na swoje ciche pukanie i wślizguje się do komnaty. Oddycha z ulgą, bo jej pani jest sama. Wstała z łóżka i owinięta kapą stoi przy oknie, patrząc na pałacowe ogrody. Jest wcześnie, słońce wciąż świeci nisko i w jego promieniach wygląda tak, jakby miała aureolę niczym Maryja Dziewica.

– Dzień dobry, Dot. Piękny poranek, prawda?

Dziewczyna nie widzi dobrze twarzy Katarzyny w blasku słońca, ale jej głos jest spokojny, słysząc w nim uśmiech.

– Tak, madame – mówi, zająkując się przy nowym tytule.

– Posłuchaj. – Katarzyna przechodzi na środek pokoju i dotyka jej rękawa. – Przyzwyczajenie się do tego wszystkiego zajmie ci trochę czasu. – Wskazuje ręką łóżko. – Widzę, że jesteś zatroskana. Nie trap się. On jest tylko człowiekiem pod całą tą pozłotą... i miałam już dwóch mężów. Wiem, jacy są mężczyźni.

Dot mimo woli przypomina sobie Murgatroyda. Zastanawia się, co myśli jej pani, ale niepodobna tego odgadnąć.

– Potrzebuję czegoś do ubrania – mówi Katarzyna, podając jej kłęb zmiętej tkaniny.

Dopiero teraz Dot poznaje, że to koszula nocna. Rozkłada ją i prostuje. Delikatna koszula jest rozdarta od góry do dołu, przez sam środek pięknego haftu Meg. Wzdycha, nie mogąc sobie wyobrazić, jak coś takiego mogło zajść między mężem a żoną. Dla niej to tak, jakby sama królowa została rozdarta, jakby delikatny materiał był jej skórą. Ale Katarzyna chyba w ogóle o tym nie myśli.

Dot wspomina, ile czasu zajęło Meg wyhaftowanie wzoru, jak starannie go projektowała i jaki miała kłopot ze znalezieniem nici w idealnym odcieniu zieleni Tudorów dla króla. Naprawienie koszuli będzie niemożliwe, a jedwab o barwie kości słoniowej jest ogromnie cenny. Sama cięta materiał – gruby i kremowy, opierający się ostrzom nożyc – i zszywała brzegi, głupio fantazjując, że będzie to koszula nocna na idealnie romantyczną noc poślubną. Muska jedwab palcami i dostrzega kroplę krwi.

– Król jest człowiekiem pełnym namiętności – mówi otwarcie Katarzyna, jakby zaglądała w jej myśli. Krzywi usta w lekko drwiącym uśmiechu. – Dopilnuj, żeby nikt o tym nie usłyszał. Plotkarze mieliby używanie.

Tu jest zbyt wiele sekretów, myśli Dot, wychodząc ze stosem dowodów. Ludzie szepczą po kątach, wymieniając się informacjami. Nikt jej jednak nie



zauważa, przemyka jak niewidzialna. Gdyby chciała posłuchać, mogłaby się dowiedzieć o dworskich intrygach więcej, niż zmieściłoby się w jej głowie.

Wraca do swojej pani z czystą jedwabną koszulą i drugą czarną szatą. Rozumie, że wszystko musi wyglądać nieskazitelnie, bo wszędzie są oczy i uszy i nawet królowych łatwo można się pozbyć.

– Dziękuję, Dot – mówi Katarzyna. – Z przyjemnością wymoczyłabym się w gorącej kąpieli.

– Mam przygotować, madame?

– Myślę, że nie ma na to czasu. Czekają na mnie, zawsze ktoś czeka... To dość bezwzględne.

Dot zastanawia się, jak to jest, że nawet królowa nie może się wykąpać, jeśli sobie tego życzy.

Katarzyna wyciąga rękę po świeżą koszulę. Ma fioletowego siniaka na ramieniu.

– Czy madame chce, żebym...

– Nie, poradzę sobie. To wszystko. – Kiedy Dot odwraca się już do wyjścia, Katarzyna dodaje: – Miej dla mnie oko na Meg, dobrze?

– Tak, madame. Zawsze to robię. Meg jest dla mnie jak... – Milknie, wstydząc się powiedzieć, że Meg jest dla niej jak siostra.

Teraz, gdy Katarzyna jest królową, mówienie takich rzeczy wydaje się niestosowne.

– Wiem. Zawsze byłaś dla niej bardzo miła... – Katarzyna patrzy przez okno, jak dwóch ogrodników przepędza jelenia z ogrodu warzywnego. – Czasami zadaję sobie pytanie, co jej dolega. Wiem, że pewne rzeczy... – Nie kończy myśli. – Sądziłam, że... cóż... że teraz będzie lepiej.

Dot czuje ciężącą na niej tajemnicę; chce wyznać Katarzynie, co naprawdę zdarzyło się w zamku Snape, ale co by to dało? Poza tym obiecała Meg, więc będzie trzymać język za zębami – jak przez te sześć ostatnich lat. Będzie trzymać język za zębami we wszystkich sprawach; umie dochować tajemnicy.

*Zamek Ampthill, Bedfordshire, październik 1543*

– STRASZNA TU WILGOĆ – GDERA Anna, dając znak jednemu z paziów, by rozpałił ogień. – Moja suknia jest jak mokra glina. Zajrzałaś za draperie, Kit? Ściany pleśnieją.

– Czy nie tu trafiła Katarzyna Aragońska, gdy po raz pierwszy została wypędzona? – pyta Katarzyna.

– Tak sądzę, biedna kobieta.

– Chyba nie powinniśmy o niej rozmawiać...

Przez chwilę siedzą w milczeniu, patrząc na osoby zgromadzone w pokoju. Jedni grają w karty lub szachy, drudzy wymieniają plotki, inni czytają, a niektórzy po prostu kręcą się bez celu. Dwie dziewczyny ćwiczą kroki taneczne i chichoczą, bo Will Sommers naśladuje ich ruchy.

– Tęsknię za odrobiną prywatności, żebym nie musiała ciągle uważać na to, co mówię – zwraca się Katarzyna do siostry.

Urzędnik zbliża się z papierami do podpisania. Katarzyna bierze je i czyta. Mężczyzna stoi nad nią z piórem, z którego kapie atrament, tworząc lśniące czarne kleksy na kamiennej podłodze. Przesłupuje z nogi na nogę, nie skrywając zniecierpliwienia.

– Zapewniam, madame, że wszystko jest w najlepszym porządku – mówi.

– Nie podpiszę tego bez przeczytania – odpowiada Katarzyna.

W końcu wyciąga rękę po pióro, stawia swój znak i oddaje papiery. Jeden ze służących na dworze szlachciców czeka na swoją kolej i gdy urzędnik odchodzi, robi krok do przodu.

– Tak?

– Mam przeprosić cię, madame, w imieniu króla. Jest niedysponowany i dziś wieczorem będzie jadł samotnie.

– Dziękuję uprzejmie. Proszę, przekaz królowi moje najlepsze życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

Henryk od kilku dni nie domaga z powodu owrzodzonej nogi. Dlatego nadal przebywają w Ampthill, choć zgodnie ze zwyczajem powinni wyprowadzić się już tydzień temu.

Po odejściu szlachcica Katarzyna mruga do siostry.

– Możemy zjeść kolację w moich pokojach – mówi.

Ogarnia ją uczucie lekkości. Kiedy Henryk choruje, zwykle jest w złym humorze, ale ona ma wtedy utęsknione wytchnienie od małżeńskiego łoża. Gdy odwiedza ją w nocy, Katarzyna zamyka oczy i wyobraża sobie, że jest z Tomaszem – to jego dłonie ją obejmują, jego twarde ciało na niej spoczywa, słyszy jego postękiwanie – aż łzy napływają jej do oczu, a Henryk mylnie bierze je za łzy pożądania. Jego pieszczoty przyprawiają ją o mdłości. Boi się, że wykrzyczy imię kochanka, wymamrocze je przez sen, więc wszystkie czułe wspomnienia chowa głęboko w tajemnej części siebie. Ale Tomasz nadal jest w nią wpisany, nie do usunięcia jak atrament na welinie.

– Ten urzędnik wyglądał, jakby miał się zmoczyć. Nie mógł ustać spokojnie nawet chwili – zauważa Anna. – Myślę, że spóźnił się z wysłaniem tych dokumentów.

– Żaden z nich nie znosi, gdy nalegam na przeczytanie tego, pod czym mam postawić mój znak.

– Jesteś zupełnie jak matka, Kit. Pamiętam, jak mówiła: „Nigdy niczego nie podpisuj, dopóki...”.

– „...nie sprawdzisz, co to takiego, i zawsze czytaj dwukrotnie” – dopowiada Katarzyna i wzdycha. – Czasami tęsknię za zwyczajnym życiem. Te godziny spędzane w pokoju aptecznym, sporządzanie leków. Te popołudnia w kuchni, dogłądanie solenia ryb, butelkowanie soków... zarządzanie posiadłościami... Teraz zawsze ktoś wszystko za mnie robi, gdziekolwiek jestem: kanclerz, aptekarz, zarządcy, odźwierni, urzędnicy, skryby, podczaszowie, pokojowe, lekarze. – Odlicza na palcach. – Dzięki Bogu, że Huicke jest moim medykiem.

– Czy Udall przyjdzie dzisiaj?

– Tak sędzę.

– Och, cieszę się – mówi Anna i jej oczy się rozjaśniają.

– Ja też.

Wszyscy lubią wizyty Udalla, gdy zbierają się w jej pokojach na kolację w wąskim gronie. Kiedy zmęczą się tańcem i muzyką, rozsiadają się i zapominają o pierwszeństwie oraz symbolach władzy, zapominają na kilka godzin, że ona jest królową i powinna siedzieć wyżej niż oni. Leniwie grają w karty i rozmawiają o nowej wierze. Jest ostrożna w ujawnianiu swoich poglądów, nie rozmawia o nich z nikim poza kilkoma zaufanymi osobami. Między tym, co uważa się za dopuszczalne, a tym, co zostanie poczytane za herezję, biegnie cienka granica, która przesuwa się w to w tę, to w tamtą stronę – nic nie jest jasne. Do niedawna w każdym kościele były angielskie Biblie i każdy mógł je zobaczyć, ale już ich nie ma; Luter jest uznawany, natomiast Kalwin nie. Do kościołów wracają świece, modlitwy za zmarłych, relikwie, woda święcona – prawie nie da się nadążyć za tymi zmianami.

Ale uczucie Henryka sprawia, że Katarzyna czuje się bezpiecznie. Poza tym w bliskim kręgu króla jest kilku, którzy otwarcie popierają reformę – z Hertfordem na czele. Sam Henryk odmawia zajęcia jednoznacznego stanowiska, a katolicy z Tajnej Rady – przede wszystkim Gardiner i Wriothesley – nieustannie ciągną go i szarpią, żeby opowiedział się po ich stronie.

Sama nie może oprzeć się rozmowom o reformie, czuje, że ma otwarty umysł. Chce przyjąć wszystko, co nowe, bo dla niej stara religia jest mroczna i brutalna, reprezentowana przez Murgatroyda i jemu podobnych. Od dawna uważa, że ewangelię należy czytać po angielsku, i popierała to w swoim domu – w tym duchu wychowała Meg – ale teraz zaczyna dostrzegać, że do zreformowania jest o wiele więcej, niż sądziła. Głowa jej pęka od nowych pomysłów. W końcu znalazła drugą pasję, coś, co oderwie jej myśli od utraconej miłości.

Rusza do wyjścia i tłum w pokoju przesuwa się jak fala, każdy kłania się, kiedy Katarzyna przechodzi. Chce im powiedzieć, by tego nie robili, by chociaż

raz udawali, że nie jest królową.

– Jutro przyjeżdża królewicz Edward – mówi do idącej obok niej siostry. – Chciałabym go zabrać na polowanie z chartami na zające. Przyjdiesz? Będę musiała spytać króla.

– Jeśli chcesz poznać moje zdanie – Anna ścisza głos do szeptu – ten chłopak jest zbyt rozpieszczony i zbyt poważny.

– Król boi się, że go straci.

To prawda; Henryk żyje w strachu, że chłopiec spadnie z kucyka albo zabierze go zaraza.

– Nie zniosłby tego, że miałby pozostawić po sobie w Anglii tylko dwie dziewczyny, które zresztą uważa za bękarty.

– Po to właśnie jesteś, siostrze. – Anna trąca ją łokciem.

– To wcale nie jest śmieszne, ani trochę.

Siostra ścisza jej rękę.

– Ale czy nie schlebia ci, że król całej Anglii nie widzi poza tobą świata?

– Och, zbyt wielka z ciebie romantyczka.

To prawda, Anna zamieszkuje tę wersję świata, która jest wypolerowana i lśniąca.

– Ależ on cię kocha. Każdy widzi...

– Do pewnego stopnia, Anno... – Katarzyna nie potrafi wytłumaczyć kruchej równowagi między nastrojami Henryka i tego, że ona musi balansować niczym linoskoczek.

NIEDŁUGO POTEM ZJAWIA SIĘ Udall i jak zwykle budzi poruszenie. Przy wieczery zabawia ich przedrzeźnianiem Gardinera i Wriothsleya prowadzących dyskurs, aż wszyscy zanoszą się od śmiechu. Wygląda na to, że jest wciąż kochankiem Huicke'a. Po kolacji Katarzyna odprawia dwórki, z wyjątkiem siostry, Meg i Cat Brandon, i razem przenoszą się przed kominek. Układają się na poduszkach i zdejmują niewygodne czepki. Udall siada przy kominku, oparty plecami o ścianę. Huicke opiera się o niego i błędzi dłonią po udzie kochanka. W tym towarzystwie są bezpieczni. Katarzyna naciąga pled na ramiona, czując październikowy chłód.

Wznoszą toast.

– Za zmiany – rzuca Udall.

– Za przyszłość – dodaje Cat.

Katarzyna trąca się kieliszkiem z Huickiem i sączy grzane słodkie wino.

– Słyszeliście o zaćmieniu Słońca w styczniu tego roku w Niderlandach? – pyta Udall.

– Wspominał o tym mój mąż – mówi Anna.

– Wierzę, że to znak, iż krystalizują się wielkie zmiany. – Udall żywo gestykuje. – Z jakiego innego powodu Bóg miałby tak dramatycznie gasić dzień, jeśli nie po to, by rzucić nowe światło na ludzkość?

Dokłada polano do ognia. Przez chwilę w milczeniu patrzą, jak płomienie liżą drewno i zapalają korę.

– Jest też astronom z Polski, Kopernik – podejmuje. – Kopernik mówi, że Słońce jest nieruchomym punktem, wokół którego obraca się wszechświat.

Katarzyna nie może tego pojąć, wydaje się to zbyt absurdalne.

– To dlaczego nie kręci nam się w głowie, skoro Ziemia obraca się wokół Słońca? – pyta.

Odpowiada jej śmiech.

– Na pewno wszyscy spadniemy – żartuje Cat.

– Ten Kopernik... – Anna chichocze – czy on lubi wino?

Wszyscy wybuchają śmiechem.

– Nie rozumiecie, co to oznacza? – mówi Udall, przerywając ich wesołość. – Możecie uważać jego koncepcję za bzdurę, ja jednak postrzegam ją jako symbol naszej cichej rewolucji. Przez wieki myliliśmy się co do samej natury wszechświata i teraz nadszedł czas zmian. Nowe pojmowanie niebios jest symbolem naszej reformacji.

Katarzynę przenika dreszcz podniecenia, jakby rodził się nowy świat, a ona pomagała przy porodzie.

– I musimy inaczej postrzegać Słowo Boże – kontynuuje Udall. – Tak jak Kopernik na nowo ujrział wszechświat. Musimy głębiej przyglądać się interpretacjom. Rzym od wieków zaciemniał obraz dla własnych celów. Pomyślcie o tym: *hoc est corpus meum*, to jest ciało moje. Wszyscy tyle razy słyszeliście te słowa. Bez wątpienia zakładacie, że są symboliczne, ale czy rozważaliście niuanse tłumaczenia?

Katarzyna spogląda na Meg, która z bladą twarzą, ożywioną przez blask ognia, chłonie każde słowo. Wszyscy słuchają jak zaczarowani.

– Zwingli interpretuje *est* jako „oznacza”, natomiast Luter jako „jest”. Zawsze trzeba głębiej szukać sensu.

W tym momencie Katarzyna czuje, że nigdy w pełni nie rozważała, co to naprawdę znaczy reformować religię, tworzyć nowe zasady wiary. Zerwanie z Rzymem i jego zepsuciem, ewangelia po angielsku to tylko mała część, tylko jeden kolor nici w całym gobelinie, który opowiada historię ludzkości. Udall podsuwa jej bardziej subtelne rzeczy, zmuszające ją do kwestionowania tego, co nigdy nie budziło jej wątpliwości. Zaczyna dostrzegać odpowiedzialność, jaka wiąże się z pragnieniem samodzielnego czytania i myślenia, w odróżnieniu od bezmyślnego przyswajania sobie dogmatów w umierającym języku. Wyobraża

sobie rozwój ludzkości. Wszystko należy kwestionować, nawet to, co łatwo się akceptuje. Ma uczucie, jakby jej umysł otworzył się na nieuchwytną naturę samej prawdy.

Huicke nagle wstaje i otrząsa się jak mokry pies.

– Chodźcie, noc jest bezchmurna. Wyjdźmy na dach i spójrzmy na gwiazdy.

Katarzyna jest zachwycona pomysłem odzyskania utraconej spontaniczności dzieciństwa, zabawy w chowanego w Rye House, odkrywania nieznanych przejść i drzwi prowadzących na zakazane blanki.

Idą za Huickiem i Udallem po krętych schodach, tak wąskich, że jej spódnica ociera się o wilgotne ściany. Zastanawia się, skąd ci dwaj wiedzą o tym przejściu. Wszyscy schylają się w niskich drzwiach, żeby wyjść na drewnianą kładkę prowadzącą do wieżyczki z blankami. Powietrze jest ostre i zimne. Katarzyna prosi Cat o pomoc w rozluźnieniu gorsetu, żeby mogła swobodniej oddychać. Niebo jest usiane gwiazdami i pyzaty księżyc patrzy na nich, sześć miniaturowych postaci daleko na dole. Wszyscy zadzierają głowy, przepełnieni własnymi myślami, uciszeni samym ogromem niebios.

– Widzieliście? – pyta Anna. – Spadająca gwiazda.

– Widziałam! – woła zdumiona Meg.

– To znak, że zbliżają się do ciebie dobre rzeczy – szepcze Katarzyna.

Wskazują różne konstelacje: Andromedę, Kasjopeję, Pas Oriona i Wielką Niedźwiedzicę... Zostawia ich, idzie na drugą stronę wieżyczki. Przyciska plecy do zimnego muru i zamyka oczy, próbując wyobrazić sobie Ziemię krążącą wokół niewidocznego Słońca. Wydaje jej się, że czuje ten ruch. Udall zapalił w niej lont, który powoduje wybuchy pomysłów w jej głowie. *In principio erat Verbum... et Deus erat Verbum*. Na początku było Słowo... a Słowo było Bogiem. Widzi to. Język i znaczenie są wszystkim; Bóg mieszka w interpretacji. Dziękuje matce, która uparła się, że ma być kształcona jak chłopiec. Nieustanne mozolenie się nad *Gramatyką łacińską* Lily'ego teraz się przydaje. Ma głowę pełną myśli, ale Tomasz wsącza się w nie niczym duch na krawędzi istnienia. Wyobraża sobie, jak na dalekim dworze jej ukochany zмага się z tymi samymi ideami reformy, chociaż to tylko fantazja, bo znacznie bardziej prawdopodobne jest, że spędza wieczory na uwodzeniu pięknych cudzoziemek. Katarzyna wstydzi się swojej zazdrości, ale myśl o tym, że Tomasz kocha kogoś innego, rozdziera ją na strzępy. Zmusza się, by wrócić do rozważania teologicznych meandrów, postanawia zamknąć go w przeszłości i odnajduje spokój.

– Pens za twoje myśli. – Udall zostawił innych, by do niej dołączyć.

– Pęka mi od nich głowa. Nie wiedziałabym nawet, od której zacząć.

– Są książki, które cię zainteresują, Katarzyno.

Podoba jej się, że bezceremonialnie zwraca się do niej po imieniu, choć nie powinien.

– Mogę ci je podesłać – proponuje Udall.

– Książki? – Katarzyna czuje strach na myśl o ideach przelanych na papier. Rozmowa może co najwyżej wywołać pogłoski, natomiast słowa zapisane atramentem... cóż, są dowodem. Ale pokusa nowości okazuje się nieodparta. – Nie sądzisz, że ryzyko jest zbyt duże?

– Zakazane książki są we wszystkich zakamarkach dworu. Dwór nie jest szerszym światem. Przymyka się oko, to nic niezwykłego.

– Nikt nie może wiedzieć.

Udall kiwa głową.

– Zaufaj mi.

UDALL MOŻE JEST SZALONY I ZAWSZE na krawędzi takiego czy innego skandalu, ale Katarzyna mu ufa. Traktuje ją jak kobietę, a nie królową; jest w tym uczciwość.

Myśl o wspomnianych przez niego książkach utrwaliła się w jej głowie; Katarzyna czuje wewnętrzny przymus, by je zobaczyć, poczuć papier pod palcami, powąchać atrament, sama je przeczytać. Ma w sobie tę ukrytą cechę, tak bardzo sprzeczną z pokazywanym światu rozsądkiem: lekkomyślność, która domaga się podniety i nie da się stłumić. To kobieta, która mogła zagrać na nosie dworowi i uciec z Tomaszem Seymourem, ale tego nie zrobiła i wszystkie tamte emocje zostały zduszone.

Poza tym chroni ją miłość króla. I czy Henryk nie lubi rozmawiać z nią na różne tematy? Czy także nie jest tym wszystkim zafascynowany? Ile razy jej mówił: „Kocham twój umysł, Kit. Powiedz mi, co sądzisz”?

Często do późnej nocy rozmawiają o sześciu artykułach wiary, doktrynie, która cofa wszystkie zmiany i posłałaby na stos każdego, kto ją odrzuca. Katarzyna nigdy nie wspomina przy nim o Kalwinie ani o Zwinglim, ale swobodnie rozmawiają o Lutrze. Henryk, równie ciekawy, przywołuje swoją wiedzę o grece i hebrajskim, odnosząc ją do przemyśleń Lutra. Katarzyna czuje, że jego przekonania się chwieją. „Prawdziwe znaczenie kryje się w sercu, Kit. To pewne”, powiedział.

Katarzyna potajemnie wyobraża sobie siebie jako osobę, która umocni przekonania króla, jako latarnię prowadzącą go do pełnego przyjęcia nowej wiary. Myśli o tym jako o swojej pokucie, jako o czymś, co zmaże jej grzechy.

Kiedy następnym razem jest sam na sam z królem, opowiada mu o Koperniku i nowej mapie wszechświata, o świecie obracającym się wokół Słońca. Henryk

wybuchu gromkim śmiechem, wyrzucając z ust niewidzialne chmury cuchnącego oddechu.

– Słyszałem o tym – burczy. – Nowomodne bzdury.

Katarzyna przypomina sobie, jaki stary jest jej mąż. Siedzi i tylko się uśmiecha.

– Przywodzisz mi na myśl... – Ale król nie wyjaśnia kogo.

Strach ściska jej serce, gdy wraca myślą do rozmowy z Anną, która mówiła, że król do późnej nocy rozprawiał o teologii z Anną Boleyn. Ja jestem inna, dowodzi samej sobie, nie rzucam czarów ani nie kurwię się jak ona.

Ale czy Anna Boleyn naprawdę to robiła?

Za to została ścięta, lecz Katarzyna wie równie dobrze jak wszyscy, że to o niczym nie świadczy. Skrywa w mroku swoje myśli i nie może uwolnić się od strachu mimo publicznie okazywanego uwielbienia męża, jego darów, czułości, fascynacji jej intelektem.

Czy nie był zafascynowany również Anną Boleyn?

Martwe królowe są wszędzie.

JUTRO GDZIEŚ WYJEŹDZAJĄ. TO będzie całodzienna podróż. Meg nie jedzie z nimi; dołączy do lady Elżbiety w Ashridge. Dot uważa, że to dobrze; przynajmniej uwolni się od dworu. Notuje sobie w pamięci, co trzeba zrobić: otrzepać z błota dwie peleryny jeździeckie; przynieść z pralni cztery suknie, jeśli są suche; w jakiś sposób wyczyścić fioletową suknię Katarzyny, pokrytą gęstym białym pyłem, który nie poddaje się szczotce. Musi wypucować buty Meg i znaleźć zaginiony jedwabny pantofel, najpewniej pogryziony i schowany przez Riga; zacerować dziurę w nowym stroju królowej... Sprząta i sortuje, układając rzeczy w stosy. Przyzwyczajają się do tych przeprowadzek – do pakowania i rozpakowywania, do poznawania nowych domów co kilka dni.

Podróżuje z nimi William Savage, należący do orszaku królowej podobnie jak ona. Nie oznacza to jednak, że z nią rozmawia, ale Dot zwykle może go znaleźć w pobliżu kuchni, liczącego na powalanych atramentem palcach i piszącego w księdze. Samo myślenie o nim ściska jej serce. Kiedyś zastała go późną nocą w pokoju muzycznym – już nie pamięta, w którym z licznych domów – grającego na wirginalu. Niezauważona, schowała się za drzwiami. Na królewskim dworze słyszała wiele muzyki, także w wykonaniu największych mistrzów, ale nigdy niczego takiego. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że jest w niebie, otoczona przez anioły. Od tamtej pory nie słyszała, by grał, chociaż czasami w nocy szuka pokoju muzycznego, mówiąc sobie, że jeśli przyłapie ją odzwierny albo któryś ze strażników, to będzie zgubiona.



Dot podnosi dużą miednicę, której królowa używa do mycia, i uginając się pod jej ciężarem, schodzi na dół, aby opróżnić ją w pomywalni. Ma nadzieję, że jak zwykle zastanie tam Williama. Wie, że najpewniej tam będzie. Jest przedpołudnie, akurat wtedy robi rachunki. Widzi go, jak pochyła się nad biurkiem, i jej serce lekko trzepocze.

– Dot – mówi do niej cicho młodzieniec, gdy go mija.

Dziewczyna myśli, że tylko to sobie uroiła, bo przecież nigdy się do niej nie odzywa. Ani razu od dnia ślubu królowej, kiedy zapytał ją o imię.

– Tak. – Odwraca się, zarumieniona.

William wstaje, nogi krzesła skrobiją o kamienną podłogę. Daje jej znak, że ma pójść za nim. Dot odstawia miednicę i idą razem do spichrza.

– Ani słowa – przykazuje William.

To jej chwila. Serce bije jej szybko jak dziób dzięcioła. Nie do końca wie, czego się spodziewać: pocałunku, niestosownej propozycji, przytulenia? Mrowią ją usta. W spichrzu jest ciemno, a zapach przypomina jej tatę po ciężkim dniu pracy przy strzechach – jest suchy, drożdżowy i letni. Kiedy jej oczy przyzwyczajają się do nikłego światła, widzi worki ze zbożem, niczym rząd kłęczących mnichów.

William garbi się w dalekim kącie i wyjmuje coś zza worka. Podchodzi, chwyta ją za ramię i pochyła się ku niej. Dot przygotowuje się na pocałunki, o których tak długo marzyła, i aż czuje zawrót głowy.

– Chcę, żebyś coś przekazała królowej – szepcze William.

Jego usta są tak blisko jej ucha, że łaskocze ją jego oddech.

– Nie wolno ci nikomu o tym mówić. – Wciska jej do ręki jakąś paczkę. – Ukryj to pod spódnicami.

– Ale co to jest?

– Książka.

– A co...?

– Chcesz służyć królowej, prawda?

Dot kiwa głową.

William waha się przez chwilę.

– Wiesz, Dorothy Fownten – odzywa się wreszcie – to może być niebezpieczne. Zrobisz to?

– Dla królowej zrobię wszystko – odpowiada, myśląc: zrobię wszystko także dla ciebie, Williamie Savage.

– Tak przypuszczałem. – Młody człowiek patrzy, jak Dot unosi spódnice i chowa książkę. – Dobrze. Grzeczna z ciebie dziewczyna.

I na tym koniec.

Znów są w korytarzu, on wraca do swojego biurka, a ona bierze z podłogi ciężką miednicę. Nie było pocałunku ani miłego słowa. Ale kiedy Dot,

opróżniwszy miskę, znów przechodzi obok, William rzuca jej spojrzenie. I nie jest to zwyczajne spojrzenie; tak patrzą ludzie, których łączy tajemnica.

Po powrocie do Whitehall jest więcej książek, kilka paczek i zawsze ta sama strategia. Ale wciąż nie ma pocałunków. W jakiś sposób jednak sama ta ukradkowość wydaje się znacznie bardziej intymna i rysuje niewidzialny krąg wokół niej i jej Williama Savage'a z dołeczkami w policzku i brodzie.

Dot zastanawia się, dlaczego te książki należy trzymać w sekrecie. Czasami w nocy, gdy królowa śpi, Dot zapala ogarek i otwiera którąś z nich. Są piękne, ze złotymi tłoczeniami na okładkach, ale to słowa ją fascynują, czarne, gęste i tajemnicze. Bezszelestnie przewraca sztywne kartki, czując ich suchość pod opuszkami palców; przysuwa je do twarzy, by wdychać zapach kurzu, drewna i skóry. To zapach domu, chaty przy podwórzu garbarza i zapach Williama – zapach książki. Odnajduje litery swojego imienia, jedyne, które zna – tu trochę przykucnięte „d”, tam zdziwione „o”, gdzie indziej wysokie „t” – i próbuje je poskładać, żeby nabrały sensu.

# 5



*Pałac Świętego Jakuba, Londyn, czerwiec 1544*

TO ŚLUB MAŁGORZATY DOUGLAS – wielka sprawa rangi dynastycznej, wszyscy w barwach rodowych, wyższe duchowieństwo w pełnym składzie. Pałac Świętego Jakuba jest pełen zachwyconych ambasadorów, którzy będą pisać do swoich władców o cudownym małżeństwie, niosącym zjednoczenie Szkocji i Anglii. Wprawdzie nie są to upragnione przez Henryka zaręczyny księcia Edwarda z młodziutką królową Szkocji, ale ten ślub jest drugą w kolejności najlepszą rzeczą. Siostrzenica króla wychodzi za Mateusza Stuarta, hrabiego Lennox, którego od tronu Szkocji dzielą tylko mała Maria i chwiejny regent Arran. Bez wątplenia mariaż utrzyma kilka szkockich nosów, zwłaszcza że niespełna miesiąc temu Hertford złupił i spalił doszczętnie Edynburg. Ostatnio w Anglii praktycznie nie mówi się o niczym innym, jak tylko o tym pogromie – i o ucieczce Arrana – i ślub jest wisienką na torcie Henryka.

Parkiet pustoszeje, gdy panna młoda i pan młody wstają do tańca, a bracia Bassano, odziani w żywe stroje, gromadzą się, by im przygrywać. To Will sprowadził Bassanów na dwór i dobrze się tu urządzili. Od ślubu Katarzyna wszyscy w rodzinie Parrów pną się w górę, rosna niczym drożdże postawione na ciepłej półce.

Małgorzata błyska uśmiechem. Jest wyraźnie urzeczona świeżo zaślubionym mężem. Katarzyna widzi, jak z trudem powściąga ręce, jak wykorzystuje każdą okazję, by go dotknąć, pogłaskać jego gładką twarz, ścisnąć udo, chwycić za nadgarstek. Jest kapryśna, uparta i zbyt mocno rozmiłowana w romansach, ale zbliżyły się i Katarzyna jest rada, że siostrzenica Henryka wyszła za mąż. Małgorzata miała okazję zobaczyć Tower od środka z powodu niesankcjonowanego związku z jednym z Howardów. Dziewczyna będąca tak blisko tronu musi uważać, w kim się zakochuje. Ale widać, że to małżeństwo będzie szczęśliwe, i Katarzyna cieszy się, że jej przyjaciółki nie wydano za

zramolałego księcia żabojada w imię przywrócenia przyjaźni z królem Franciszkiem. Oznacza to również, że Małgorzata zostanie na dworze.

Lennox ma w sobie coś – pewność siebie, butę, sposób, w jaki pożera wzrokiem swoją oblubienicę i drapieźnie trzyma ręce na jej talii – co przypomina Katarzynie o kimś innym. Stara się nie myśleć o tej osobie, nie może jednak powstrzymać się od fantazjowania, że jest na miejscu Małgorzaty, że czuje obejmujące ją ręce. Smutek ściska jej serce. Spogląda na swoje dłonie, które podobnie jak królewskie, są ciężkie od pierścieni; z roztargnieniem obraca ten ślubny i kamień boleśnie ją drapie.

Katarzyna patrzy na męża: siedzi na tronie odprężony, przechylony w bok, ze stopą opartą na kolanie, ledwie skrywając zadowolenie z siebie. Gdy macha ręką, rozmawiając z jednym z ambasadorów, jego pierścienie mrugają w świetle. Wrócił do zdrowia i już nie potrzebuje urządzenia na kółkach, które dla niego skonstruowano, żeby mógł poruszać się po swoich pałacach, kiedy ból nie pozwalał mu chodzić. Bardzo cierpiał. Katarzyna wraz z Huickiem przygotowała kataplazm na wrzód i codziennie delikatnie okładała królowi nogę, po czym owijała ją czystymi bandażami, prawie krztusząc się od smrodu. Zły stan zdrowia ugasił jego żądzę, z czego się skrycie cieszyła – mogła wylegiwać się w swoim wielkim łóżku w rozkosznej samotności albo dzielić je z siostrą lub jedną ze swoich dwórek i szeptać z nimi w nocy.

Teraz już mu się polepszyło, co oznacza, że okres wytchnienia dobiegł końca, i znów pada ofiarą nocnych mężowskich napaści. Mimo to nie jest przy nadziei. Król nie przestaje się nią zachwycać; w ciągu roku małżeństwa prawie nie słyszała od niego złego słowa, z wyjątkiem sypialni. Ale to, co się tam dzieje, nie podlega zwykłemu prawom. Opór starzejącego się ciała doprowadza go do napadów desperackiego szału, za które nad ranem żałośnie przeprasza.

Katarzyna znosi jego ataki, bo przecież Henryk nie jest pierwszym okrutnym mężczyzną, jakiego miała w łóżku. Ostatnio nieczęsto myśli o Murgatroydzie; nie pozwala sobie wspominać, jak jego brutalność karygodnie rozpałała jej pożądanie.

Henryk chce drugiego syna; to źródło jego wściekłości. Kiedy wbija w nią spojrzenie małych jak kamyki oczu, pytając: „No, żono, jakie wieści?”, a ona może tylko spuścić wzrok i pokręcić głową, pas strachu zaciska się wokół jej pustego brzucha.

Król opowiada jakiś żart Suffolkowi, który siedzi obok niego, wyraźnie skrepowany. Patrzą na tańczące dwórki, wskazują małą Mary Dudley, trzynastoletnią i nową na dworze. Ma stopy lekkie jak piórka i płynnie wykonuje nudne kroki pawany, urocza i sprytna jak kot. Suffolk coś szepcze. Śmieją się, Suffolk robi prawą ręką sprośny gest, co u mężczyzny w jego wieku wydaje się tym bardziej groteskowe.

Katarzyna naciąga rękawy na nadgarstki, żeby zasłonić fioletowe siniaki, które kwitną pod ciężkimi bransoletami. Król przytrzymał ją ostatniej nocy, drugą grubą ręką zakrywając jej usta, gdy syczał „kurwa, dziwka” i próbował wlać trochę życia w zwiotczałego kutasa. Mocno zaciskała powieki i modliła się, błagając Boga o syna, gdy Henrykowi w końcu się udało. Kiedy skończył, zsunął się z niej i delikatnie, powoli całował te siniaki, szepcząc: „Katarzyno, jesteś moją miłością”.

Później zapalili świeczkę i rozmawiali o wierze; porównywali doktryny Augustyna z doktrynami Lutera, analizowali idee. Ona jak zwykle starannie unikała wzmianki o Kalwinie i jego koncepcji mówiącej, że samopoznanie i poznanie Boga są nierozłączne, o czym ostatnio wiele rozmyślała. Kiedy rozmawiają w ten sposób, czuje, że Henryk jest nią zafascynowany i poświęca jej całą uwagę; uwaga takiego człowieka to nie byle co i strach z powodu pustki w brzuchu trochę ustępuje. Jej małżeństwo jest błogosławieństwem i przekleństwem zarazem. Czasami wyczuwa w Henryku gotowość do odwrócenia się od starej wiary i powrotu do nowej. Ale musi być zwinna jak sztukmistrz, a ostatniej nocy źle go oceniła.

– Myślisz może, Harry, o złagodzeniu prawa dotyczącego angielskich Biblii? – zasugerowała, gdy gładził jej włosy. – Niewątpliwie twoi poddani odnieśliby korzyść z czytania pism świętych we własnym języku...

Gwałtownie cofnął rękę i odsunął się od niej; jego fascynacja zniknęła w jednej chwili. Zrozumiała, że poszła za daleko, i w duchu zbeształa się za brak ostrożności.

– I ryzykować, że popadną w herezję? Katarzyno, masz zbyt dobre mniemanie o sobie. Jesteś niewiastą; nie mogłabyś pojąć tych rzeczy. Co wiesz o moich poddanych lub o ich potrzebie duchowego przewodnictwa?

Oczywiście pojmuje te rzeczy, chociaż nie odważy się tego powiedzieć. Rozumie lęk króla – lęk przed włożeniem serca w reformę – i rozumie, że cesarz i Francuzi obserwują go bacznie, odkąd zerwał z Rzymem, i toczą świętą wojnę o przywrócenie Anglii papieżowi. Król nie zdobędzie się na taki krok, a jednocześnie nie może w pełni przyjąć nowej wiary, więc Anglia jest rozdarta i ludzie szepczą po kątach, popierając jedną bądź drugą stronę.

Powiadają, że to Cromwell osobiście stał na czele reformacji i że w królu, odkąd go posłał na szafot, zgasł cały zapal do reform. Henryk wydaje się zmęczony tym wszystkim, chce zadowolić każdego. A teraz połączył siły z cesarzem rzymskim, żeby walczyć z Francuzami. Planują podwójną inwazję: Anglia uderzy od północy, cesarz z południa. Henryk od jakiegoś czasu chce wojny, roi mu się chwala wojenna. Co to będzie oznaczać dla nowej religii?

Katarzyna wiele razy czytała Kalwina; jego traktat *Sen dusz* trafił do niej jak wszystkie inne zakazane książki. Udall to zaaranżował. Jego przyjaciel William Savage, który zajmuje się rachunkami kuchni, przemyca książki do pomywalni, dobrze zapakowane i ukryte. Savage przekazuje je Dot, a ta swojej pani. Katarzyna czuje, że Gardiner i jego klika mają na nią oko, jest jednak dla nich zbyt ostrożna. Poza tym nie mogą jej tknąć, gdy pławi się w życzliwości męża.

Wiadomo, że kilka osób w jej otoczeniu sympatyzuje z reformacją – jej damy, porwane nowością doktryny, porzucają igły na rzecz książek. Zapał szerzy się na dworze do tego stopnia, że zagorzali reformatorzy niczym się nie wyróżniają. Nawet królewicz Edward ma zdeklarowanych luterańskich nauczycieli, zaaprobowanych przez króla. Cat Brandon, najbardziej lekkomyślna z dwórek, błądzi po pałacowych korytarzach z otwartą książką. Opowiedziała, jak raz nawet zatrzymała Wriothesleya i spytała, czy raczyłby w swej uprzejmości przełożyć jej coś z łaciny, w ten sposób skłaniając go do przeczytania na głos fragmentu Kalwina.

– Skąd to masz? – spytał ją.

Cat opisała, jak kolor jego twarzy zmieniał się z czerwieni przez fiolet w szarość i jak podniósł głos o oktawę, niczym chórzysta.

– Znalazłam we wnęce okiennej – odrzekła z udawaną niewinnością. – A moja łacina jest tak uboga, że nie wiem, co to takiego.

Powszechnie wiadomo, że – po Katarzynie i lady Marii – Cat Brandon włada łaciną lepiej niż wszystkie inne damy na dworze.

Cat ze śmiechem opowiadała, jak się wił i jękał.

– Ta książka... to zła rzecz... zarazi twój umysł jak ospa... Muszę ją zabrać... nadaje się tylko do spalenia.

Parodiowała zaszuszonego Wriothesleya, który potykał się o słowa, a jej słuchacze śmiali się do rozpuku, aż rozboleły ich boki. Mimo tej zabawy Katarzyna podziwiała jej nieustraszoną. Cat nazwała swojego szczeniaka Gardiner i głośno karci go publicznie. „Gardiner, zachowuj się! Niedobry, niedobry pies!”, wykrzykuje, powodując wybuchy śmiechu wśród dwórek. Nadal jednak pielęgnuje publiczną niejednoznaczność w kwestii własnych przekonań i stara się w swoim gospodarstwie domowym dawać posady również katolikom.

Zauważyła, że lady Maria, która wciąż kurczowo trzyma się różańca, jakby od tego zależało jej życie, zaczyna jak inni ulegać jej wpływowi. Co ważniejsze, Katarzyna nakłoniła króla, by przywrócił córkom miejsce w sukcesji. Maria jest następną do tronu po małym Edwardzie, a Elżbieta po niej, chociaż Henryk jeszcze nie ogłosił, że córki pochodzą z prawego łoża, ani nie pozwala im tytułować się księżniczkami. To triumf Katarzyny; przymilała się i urabiała Henryka od miesięcy, odwołując się do jego dumy, subtelnie przypominając mu o krwi Tudorów w ich

żyłach, jego krwi Tudorów, i podkreślając, że choć są tylko kobietami, odziedziczyły po nim bystry umysł i wielką charyzmę. Nikt nie wierzy, że któraś córka kiedykolwiek zasiądzie na tronie, a już najmniej sam Henryk, ponieważ to książę Edward i jego spadkobiercy będą kontynuować linię Tudorów przez wieki. Katarzyna ma jednak satysfakcję, że zrobiła to, czego nie zdołała dokonać nawet uwielbiana Jane Seymour.

Elżbieta i Meg siedzą, niemal stykając się głowami, i poszeptują. Meg wstaje, ujmując Elżbietę pod rękę i prowadzi ją na parkiet. Bassanowie grają melodię wiejskiego tańca i dziewczęta dołączają do grona tancerzy. Meg stawia kroki, trzymając wysoko uniesioną głowę, nietypowo odważna. Rzuci zalotne spojrzenie w stronę dworskiego szlachcica, który im się przygląda. Gdy po zatoczeniu kręgu znów jest przy nim, przywołuje go ruchem palca i uśmiechem. Rozpromieniony chłopak wślizguje się do kręgu obok niej, a ona natychmiast odwraca się od niego, jakby nie istniał. Katarzyna zaczyna sporządzać w myśli listę potencjalnych zalotników. Elżbieta mówi coś do Meg i obie śmieją się, odrzucając głowy do tyłu. Wygląda na to, że Meg wyzbyła się smutku. To zasługa Elżbiety. Katarzyna stwierdza, że nawet ona trochę uległa urokowi młodszej córki Henryka. Szkoda, że król nie pozwoli jej zostać; jutro ma być odesłana z powrotem do Ashridge. Szczęście dziewcząt jest zaraźliwe i Katarzyna czuje, że odnosi sukces w roli macochy. Ta myśl ponownie przypomina jej o dziecku, które musi począć – o synu, który zapewni jej bezpieczeństwo. Bo o upadek w tym miejscu nietrudno.

Elżbieta zaczęła pisać do niej listy. Przesłała jej wiersz po francusku i angielsku, nieskazitelnie wykaligrafowany: rzecz nadzwyczajna jak na dziesięcioletnią dziewczynkę. Katarzyna nie mogła znieść tego, że ta dziewczynka jest usuwana poza nawias rodziny, i wysłała młodego malarza, nowego na dworze, aby sporządził podobiznę Elżbiety. Teraz, kiedy Henryk odwiedza apartamenty królowej, widzi na ścianie w sali reprezentacyjnej córkę, która zaciska książkę w delikatnych dłoniach i wygląda w każdym calu jak Tudor. Tylko lekko przymknięte ciemne oczy matki zdradzają krew Boleynów.

Zbliża się Will. On też tańczył, ma zaróżowione policzki i jest zadyszany. Koszula rozwiązała mu się pod szyją. Siada obok Katarzyny, a ona pochyła się, żeby zawiązać tasiemki. Przykazuje mu, że ma się nie ruszać, jakby był dzieckiem.

– Kit... – odzywa się jej brat w ten swój chłopięcy sposób, jak zawsze, gdy pragnie przysługi.

– Czego chcesz, Will?

– Chodzi o mój wniosek o rozwód.

– Nie zaczynaj. Rozmawiałam z nim. Nie ustąpi.

– Jest jedno prawo dla niego, a drugie dla całej reszty – syczy Will.

– Dzięki temu nie brak ci powodu, żeby narzekać. Sam wiesz, jak to lubisz. Poza tym masz wszystko, czego kiedykolwiek chciałeś. Jesteś kawalerem Orderu Podwiązki, hrabią Essex, twoja kochanka należy do piękności dworu.

Will odchodzi, żeby dołączyć do Surreya.

Król ją przywołuje. Katarzyna idzie przez salę, klucząc między tancerzami, i siada na stołku przy kolanie męża. Henryk uśmiecha się szeroko i ignoruje stojącego obok biskupa Gardinera, który stara się zwrócić na siebie jego uwagę, prawie dotykając jego rękawa. Król odtrąca go zamaszystym ruchem ręki, jakby chciał wzbić się w powietrze. Biskup patrzy na Katarzynę. Ma opadniętą powiekę i trwale opadające kąciki ust, wskutek czego jego twarz wygląda, jak gdyby miała się zaraz roztopić. Kiedy się odwraca, jego futro z lisa smaga powietrze niczym diabelski ogon.

– Kit, mamy ci coś ważnego do powiedzenia – mruczy Henryk życzliwie, jak zawsze wtedy, gdy jest w pobłażliwym nastroju; rzadko publicznie używa jej imienia.

– Harry – mówi Katarzyna cicho, intymnie.

Spogląda mu w oczy, szklane paciorki na wpół pochłonięte przez ciało; rozchodzące się promieniście zmarszczki łagodzą ich groźny wyraz. Jest w naprawdę dobrym nastroju.

– Zdecydowaliśmy, Kit, że zajmiesz nasze miejsce jako regentka, kiedy wyruszymy walczyć z Francuzami.

Przebiega ją dreszcz emocji, a wraz z nim napływa świadomość, że stała się mocniej zakorzeniona.

– Harry, to jest... – Zaczyna rozumieć, co to oznacza. Stanie u steru Anglii. Od czasów Katarzyny Aragońskiej nikomu nie przekazał równie wielkiej władzy. – To jest zbyt wielki zaszczyt.

– Kit, ufamy ci. Jesteś naszą żoną.

Katarzyna patrzy na bladego jak duch Gardinera i znów na Henryka. Zauważa uśmieszek gasnący na jego ustach i uświadamia sobie, że rozmowa, którą wzięła za prywatną, w rzeczywistości została zaaranżowana w taki sposób, żeby biskup mógł podsłuchać jej przebieg.

– O co chodzi? – rzuca Henryk opryskliwie do Gardinera, a ten sili się na przypochlebny uśmiech, który bardziej wygląda jak grymas.

– Wasza Królewska Mość, wybacz mi, że się ośmielam... – Zacina się. – Są pewne sprawy państwowe...

– Nie teraz – warczy król. – Nie widzisz, że rozmawiamy z naszą żoną?

Biskup zaczyna coś dukać, może przeprosiny.

Król mu przerywa.



– Omawiamy jej regencję. Królowa Katarzyna będzie regentką podczas naszego pobytu we Francji. Co o tym sądzisz, biskupie?

Gardiner opada na kolano tak szybko, że uderza łokciem w poręcz tronu i krzyczy z bólu, ale natychmiast się opanowuje.

– Służenie tobie, Wasza Wysokość, będzie dla mnie zaszczytem – mamrocze.

Oburącz ujmując dłoń Katarzyny. Jego skóra jest luźna i woskowata, jak surowy tłuszcz wieprza. Całuje jej obrączkę ślubną. Aksamit na jego ramionach jest pokryty łupieżem.

– Jesteśmy nadzwyczaj wdzięczni Waszej Ekscelencji – mówi Katarzyna.

– A teraz odejść – warczy król.

Gardiner z wysiłkiem podnosi się i cofa.

– Nasza rada musi to zatwierdzić. Niektórzy jej członkowie z niechęcią odniosą się do tego pomysłu. – Przez twarz króla przemyka figlarny błysk. – Ale to formalność. Utworzymy dla ciebie radę, moja droga. I zamierzamy sporządzić nowy testament, na wypadek gdyby coś wydarzyło się podczas...

Katarzyna chwytając go za rękaw.

– Nic się nie wydarzy. Bóg zadba o twoje bezpieczeństwo, Harry.

Przez jakiś czas siedzą w milczeniu, obserwując tancerzy. Jej myśli szybują. Będzie regentką Anglii – nigdy nawet nie wpadło jej do głowy, żeby o czymś takim choćby fantazjować. Myśl o władzy mrowi ją pod skórą, a perspektywa pokazania wszystkim tym łaszącym się katolickim doradcom, gdzie jest ich miejsce, przyjemnie łechcze jej ego. Katarzyna ma wrażenie, że z jej brzucha wyrastają pędy, które wciskają się pod pałac, wzmacniając ją niczym sięgające daleko w głąb ziemi korzenie wielkiego dębu. Twarz króla jaśnieje z satysfakcji. Katarzyna zauważa, że śledzi wzrokiem Elżbietę, ślizgającą się w korytarzu z jednym z synów Dudleya, i lekki uśmiech zakrada się w kąciki jego ust.

– Elżbieta pięknieje – mówi król.

– Jest podobna do ojca.

– Masz rację, Katarzyno, jest na wskroś Tudorówną. – Ma roztańczone oczy i wydaje się podekscytowany jak dziecko, które dostało nową zabawkę.

Po drugiej stronie pokoju Katarzyna widzi wrzącego z gniewu Gardinera. Biskup stoi z Wriothesleyem i drugim z jego konserwatywnych kamratów, Richardem Richem. Coś szepcze, popatrując w jej stronę. Ale jest teraz nietykalna, nawet jeśli nie urodziła syna. Ogarnia ją nieznanne dotąd zadowolenie, jakby była kotem wylegającym się w słońcu – jeszcze nigdy nie czuła podobnej błogości.

– Zastanawiałam się, Harry, czy lady Elżbieta mogłaby przybyć na dwór, gdy będziesz prowadzić kampanię we Francji. Chciałabym mieć przy sobie naszą rodzinę.

– Gdybyś tego nie chciała, moja droga, wydalibyśmy ci rozkaz – huczy Henryk.

Jej korzenie wrastają w ziemię coraz głębiej.

Szepczące trio rozpada się i Wriothesley patrzy na nią oczami łasicy. To tylko spojrzenie, ale przepełnione taką pogardą, że Katarzynę przebiega zimny dreszcz, jakby ktoś przeszedł po jej grobie.

*Pałac Hampton Court, sierpień 1544*

DOT TRZE SZYBY ŚCIERKĄ ZWILŻONĄ octem. Szmątka piszczy na szkle. Oczy szczypią od oparów. Są urodziny królowej i wszystkie królewskie dzieci gromadzą się w komnacie Katarzyny, żeby posłuchać, jak czyta list od króla prowadzącego wojnę we Francji. Bez niego jest zupełnie inaczej, w pałacu panuje beztroska. Książę Edward, sztywne małe stworzonko, siedzi na kolanach Marii. Jest z nimi również Elżbieta, niedawno przybyła z Ashridge. Tuli się do Meg i coś jej szeptem. Są jak papużki nierozłączki. Dot mocniej pociera szkło, aż boi się, że je stłucze.

Elżbieta jest jak żywy magnes, przyciąga do siebie wszystkich. Nawet Rig siedzi u jej stóp, patrząc na nią, jakby była samą Maryją Dziewicą. Meg trzyma ją za rękę. Dot nie poddaje się jednak urokowi Elżbiety. Wyobraża sobie, że trze ją ścierką z octem, jak smugę na szybie. Meg wznosi się coraz wyżej, coraz bardziej się od niej oddala. Teraz przyjaźni się z córką króla i pochylone razem nad książkami, na zmianę czytają głośno w niezrozumiałych dla Dot językach. Obie siedzą z nauczycielem, cicho skrobiąc słowa na kartkach, podczas gdy ona szoruje palenisko, zamiata podłogę i znosi poduszki na dziedziniec, by je wytrzeć, uciszana, jeśli robi za dużo hałasu. Meg jest chudsza niż kiedykolwiek i blada jak gomółka koziego sera, ale uśmiecha się promiennie, więc nikt tego nie zauważa. A Katarzyna ma wiele spraw na głowie: śpieszy z miejsca na miejsce, uczestniczy w zebraniach rady, wysłuchuje petycji, dyktuje listy.

Dot słyszała, jak Elżbieta mówi do Meg:

– Patrz, jak radzi sobie królowa. Kto powiada, że kobiety nie mogą rządzić? Kto powiada, że muszą wychodzić za mąż i podporządkowywać się mężczyznom?

Meg tylko parsknęła śmiechem, jakby Elżbieta żartowała.

– Jeśli kiedyś zostanę królową, nie będą rządzili mną mężczyźni – dodała Elżbieta.

Ale wszyscy wiedzą, że nigdy nie zostanie królową. Królem będzie jej brat, a po nim jego dzieci. Ją bez wątpienia wydadzą za jakiegoś cudzoziemskiego księcia – i krzyżyk na drogę.

Dot skrycie pragnie, żeby król nie wrócił z Francji, bo chociaż Katarzyna ma nawał obowiązków, nigdy chyba nie była równie pełna życia. Napięcie zniknęło z jej czoła, przepadło wraz z wymalowanym uśmiechem. Płonie w niej ogień. Napisała modlitwę za żołnierzy idących na wojnę. Wydrukowano ją i rozpowszechniono, i wszystkie damy dworu z aprobatą kiwają głowami – wydaje się, że zrobiło to wrażenie nawet na zgorzkniałej starej Stanhope.

Dot wrzuca szmatkę do wiadra i wyciąga zza paska miotełkę do kurzu; przesuwa nią po boazerii i klęczniku. Na klęczniku leży kopia tej modlitwy. Dla niej to nic innego, jak linie i zawijasy, przypominające rzędy szwów na białej koszuli. Nienawidzi siebie za to, że nie jest w stanie rozszyfrować pisma. Kiedyś poprosiłaby Meg o przeczytanie tekstu, ale nie teraz; teraz Meg ma swoją nową, młodszą, przyjaciółkę. Do Katarzyny Dot też nie może się zwrócić, bo ona jest przecież zajęta całą Anglią. Nie może poprosić Betty; w tej kwestii Betty radzi sobie jeszcze gorzej niż ona i nawet nie umie się podpisać. Zostałaby wyśmiana, gdyby poprosiła kogoś z kucharzy, bo już i tak myślą, że uważa się za wielką panią. Wie, że Betty wypaplała im jej tajemnice, i pokpiwają z niej za plecami, nazywając ją Księżną Dotty. Czasami, gdy przechodzi przez kuchnię, nagle zapada gęsta cisza. Nie ufają jej. Nie wiedzą, do którego świata należy.

Pozostaje William Savage. Za pakunki, które przemycała do królowej, jest jej winien przysługę. Decyduje, że zwróci się do niego, kiedy następnym razem pójdzie do kuchni, chociaż bywa tam coraz rzadziej. Przydzielili nowego urzędnika, pryszczatego Wilfreda, który spogląda na nią takim wzrokiem, jakby roznosiła zarazę. Przez większość wieczorów Williama można zastać w komnatach królowej, gdzie gra na wirginalu. Już od całego roku jest obiektem jej westchnień. Dot czuje, że młodzieniec wymyka się z instrumentem z kuchni do pięknego świata, w którym ona jest niewidzialna jak duch – duch z miotełką do kurzu. Czasami, gdy idzie rozpalić ogień lub przynieść coś królowej, patrzy, jak jego palce tańczą po klawiszach. To naprawdę piękne dźwięki i zastanawia się, czy taka muzyka jest w niebie.

Elżbieta napisała wiersz na urodziny królowej. Katarzyna wydaje się nim bardziej zachwycona niż prezentem od króla – broszką wysadzaną rubinami i szmaragdami, którą dostarczył dziś rano jeden z londyńskich złotników.

„Patrz, Dot – powiedziała, gdy otworzyła puzderko. – Szmaragdy są zielenią Tudorów, barwą króla, a rubiny oznaczają mnie. Zobacz, jak się tulą”. Podała jej broszkę, nawet jej nie przymierzywszy.

Potem, sama w garderobie, Dot przypięła broszkę do stanika i spojrzała na siebie w lustrze. Źle to wyglądało, jak lilia na polu jaskrów, jej twarz też była niewłaściwa: zbyt głęboko osadzone oczy, zbyt szerokie usta. Odpinając broszkę,

ukłuła się w palec, a później w roztargnieniu uniosła rękę do białego czepka i pomazała go krwią.

Królowa czyta na głos wiersz Elżbiety i wzdycha, jakby to był list od kochanka. Rzeczywiście, prezent Elżbiety jest piękny. Dot widziała go wczoraj, zostawiony na ławce w pokoju do nauki. Może nie umie czytać, ale widzi, że pismo jest idealnie równe. Z jednej strony chce współczuć Elżbiecie, biednej dziewczynce, którą ojciec nazywa bękartem i której matkę, Nan Bullen, uważano za sześciopalczystą wiedźmę i skazano na śmierć za niewyobrażalne rzeczy. I współczuła jej, zakopanej na głuchej wsi w Ashridge, chociaż powinna mieszkać w pałacu, z ojcem, otoczona przez dworzan. Z drugiej strony w skrytości ducha myślała, że gdyby sama miała ojca równie strasznego jak król, wolałaby być gdziekolwiek, nawet na ponurym odludziu Ashridge, byle nie w zasięgu jego wzroku, który sprawia, że nawet wielcy ludzie robią się mali ze strachu.

Po powrocie z wizyty w Ashridge Meg opisała to miejsce, malując obraz smaganych wiatrem i deszczem ogrodów, ogromnych wilgotnych pokoi, w których tłoczyli się wokół dymiących kominków, aż całe ubranie cuchnęło dymem, pełnych przeciągów korytarzy i wysokich sklepionych przejść, gdzie roiło się od nietoperzy trzepoczących i popiskujących w nocy. Meg, zwykle mało rozmowna, cały czas mówiła o niej – Elżbieta to, Elżbieta tamto. Dot nie miała jej tego za złe; z przyjemnością patrzyła, jak Meg uwalnia się od przeszłości i krzesze w sobie trochę zapachu. Ale później, kilka tygodni temu, Elżbieta przybyła na dwór i wszystko się zmieniło.

Pierwszego dnia wskazała ręką Dot, pytając: „A któż to?”. Nie zadała sobie trudu, żeby choć trochę ściszyć głos.

Meg wyjaśniła jej, że Dot jest wierną służką królowej, że była jej, Meg, opiekunką i że przybyły razem z zamku Snape.

Wtedy Elżbieta powiedziała: „Jak królowa może chcieć, żeby służyła jej dziewczka z gminu? Widziałaś, jakie wielkie ma dłonie?”.

Ale nie to jest dla niej najgorsze, bo przecież Dot zna swoje miejsce. Dlaczego księżniczka – bo jest księżniczką, nawet jeśli nikomu nie wolno jej tak nazywać – miałaby w ogóle o niej myśleć? Tak, najgorsze jest to, że lady Elżbieta, ze swoim wykształceniem i pochodzeniem, utkała sieć wokół Meg. Dzielą się książkami, lekcjami i łóżkiem, spacerują pod rękę po pałacowych ogrodach i razem jeżdżą konno po parku. Lady Elżbieta zwiastuje kłopoty; ma to wypisane na twarzy i Dot, choć zna niewiele liter, potrafi to odczytać.

Wie, że Elżbieta nie myśli o nikim innym, tylko o sobie i królowej – jest przywiązana do macochy – i widziała, jak pod nieobecność Katarzyny ukradkiem kopnęła Riga, zazdrosna o jej miłość, nawet do psa. Przypuszcza, że Elżbiecie brakuje matki, chociaż ma bonę, panią Astley. Ale bona jest jeszcze gorsza od

podopiecznej, bo patrzy na Dot z góry. I tak oto współczucie dla Elżbiety wyczerpało się i Dot nie chce rozplęwać się nad tym wierszem jak inni. Skręca ją z zazdrości na myśl, że to dziecko pisze wzbudzające zachwyty wiersze, podczas gdy ona nawet nie umie czytać.

Obie dziewczyny siedzą przy oknie, niedaleko od niej, gdy na klęczkach przeciera mokrą szmatą listwy przypodłogowe.

– Co byś wolała, umieć latać czy być niewidzialna? – pyta Elżbieta.

Dot ledwo może powstrzymać się od krzyku: to nasza gra, to gra, którą ja wymyśliłam.

– Być niewidzialna – mówi Meg.

– Wyniosłaś niewidzialność do rangi sztuki, Meg Neville. Ja wolałabym latać. Wyobraź sobie, że możesz wzbić się ponad drzewa, ponad obłoki. Na wszystko możesz patrzeć z góry, jak Bóg... – Milknie na chwilę. – Ale gdybyś była niewidzialna, mogłabyś szpiegować Roberta Dudleya. Chce cię poślubić, prawda?

– Nie wiem – odpowiada Meg.

Dot nic o tym nie słyszała, ale widuje Roberta Dudleya i jego matkę w komnatach królowej. To chłystek, kilka lat młodszy od Meg. Może urodziwy, chociaż jak na gust Dot za bardzo się pyszni.

– Uważam, że nie jest szpetny – mówi Elżbieta. – Ty jednak go nie chcesz. – Pochyliła się i szepcze coś Meg do ucha.

Ta odsuwa się z niesmakiem.

– Ohyda.

KATARZYNA BIERZE GŁĘBOKI ODDECH i wchodzi do komnaty rady. Zapada cisza. Wriothesley, zawsze służalczy, podrywa się z ławy, żeby podsunąć królowej krzesło.

– Będę stać – oznajmia Katarzyna.

Dotąd ani razu nie siedziała na zebraniu rady. Chce wydawać się wyższa, żeby nie czuć się małą dziewczynką przed gromadą dorosłych mężczyzn. Ma suknię w barwach Tudorów, by żaden z nich nie zapomniał, czyją jest małżonką, tyle że ciężki brokat jest niezupełnie odpowiedni w ten bezwietrzny sierpniowy dzień. Wriothesley osuwa się na kolano i składa suchy pocałunek na jej dłoni. Członkowie rady siedzą przy stole, luźno podzieleni wedle lojalności: Gardiner i jego konserwatywni stronnicy po jednej stronie, wśród nich Rich, Hertford i arcybiskup, a reformatorzy po drugiej. Wriothesley wraca na miejsce.

Katarzyna dyskretnie wyciera wierzch dłoni o tkaninę sukni.

– Zacniemy od zarazy – mówi, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie i władczo. – Zamierzam wydać proklamację. Nikt z domu dotkniętego zarazą nie ma prawa wstępu na dwór.

Kilku, wśród nich Hertford i arcybiskup, kiwa głową na znak zgody, ale większość trwa w ponurym milczeniu. Katarzyna czuje pot występujący jej na czoło i ma nadzieję, że nie jest widoczny. Wszyscy zgadzają się z jej proklamacją, jednak ich opór wobec podporządkowania się woli kobiety zagęszcza powietrze.

– Czy ktoś się temu sprzeciwia? – Katarzyna zaciska zęby i unika morderczego spojrzenia Gardinera; nie może pozwolić, żeby zauważył u niej choćby cień braku pewności siebie. – Sformułowanie ustalimy po spotkaniu. – Patrzy na sekretarza rady i oznajmia: – Król żąda dostawy ołowiu.

– To sprawa najwyższej wagi – mówi Wriothesley. – Musimy dopilnować, by okręt z ładunkiem co rychlej opuścił Dover.

– Czyżbyś nie wiedział, lordzie – Katarzyna ledwie ukrywa sarkazm w głosie – że angielscy rybacy niespełna tydzień temu przechwycili francuski okręt u południowych wybrzeży? Na pewno są też inne. Jeśli wyślemy ołów, zapewne nie dotrze bezpiecznie do celu.

Wriothesley pociąga nosem i w milczeniu krzywi szczerzą twarz.

– Ładunek ma wyruszyć w drogę – mówi Gardiner. – Nie możemy zostawić naszych żołnierzy bez środków do walki. – Wodzi wzrokiem po twarzach, szukając wsparcia.

Katarzyna czuje na sobie baczny wzrok wszystkich. Szukają najmniejszej oznaki jej słabości, drgnienia powieki, westchnienia.

– Nie sądzę – rzuca. – Chyba że twoim zamiarem jest podarowanie wrogowi ładunku ołowiu i okrętu, który go przewozi, wraz z załogą i wszystkim innym.

Kilka osób parska śmiechem. Gardiner otwiera usta, żeby coś powiedzieć, a ona dwa razy mocno uderza pięścią w stół.

– Okręt zostanie w porcie, dopóki przeprawa nie będzie bezpieczna.

Gardiner prycha gniewnie, unosząc rękę, by dotknąć krzyża. Hertford uśmiecha się krzywo, wodząc spojrzeniem wokół stołu. Czasami tak bardzo przypomina brata, że Katarzynie zamiera serce. Ale Hertford jest drobniejszej budowy, ma mniej regularne rysy, jakby Bóg ćwiczył na starszym bracie i osiągnął doskonałość w młodszy. Katarzyna obserwuje go uważnie, jak ich wszystkich. Hertford jest blady niczym pole pszenicy; trudno jej odczytać wyraz jego rozbieganych oczu. Wie przynajmniej tyle, że cokolwiek o niej myśli, dzielają te same przekonania i są zjednoczeni przez wspólnych wrogów.

Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem.

Pamięta to powiedzenie, ale nie wie, skąd pochodzi. Nigdy nie uważała się za osobę wspierającą wrogów, ale przecież nie wyobrażała sobie, że będzie trzymać wodze Anglii. Na razie Hertford jest jej przyjacielem. Zastanawia się jednak, co będzie, jeśli król nie wróci. Czy wtedy stanie przeciwko niej, próbując przejąć

regencję dla siebie? W końcu jest najstarszym wujem księcia Edwarda. A historia jest zaśmiecona ambitnymi wujami.

– Kto się nie zgadza? – pyta.

Tylko Gardiner podnosi rękę, jakkolwiek bez przekonania.

– Zatwierdzone – oznajmia Katarzyna.

Pisarz macza pióro i skrobie po papierze.

Katarzyna przechodzi do następnego punktu porządku obrad.

– Król potrzebuje żołnierzy na kampanię francuską. Cztery tysiące ludzi. Dopilnujcie tego, Wriothesley, Hertford. – Kiwa głową, patrząc najpierw na jednego, potem na drugiego. – Później zdecydujemy, jak ich przewieźć. Hertford, niedługo jedziesz do Francji, prawda?

Atmosfera trochę się ociepliła. Na każdym spotkaniu musi udowodniać, że jest zdolna do rządzenia – musi stać niewzruszona, całkowicie wyzbyta kobiecości, bez szczelin w pancerzu. Żaden mężczyzna przy tym stole nie wierzy, że kobieta nadaje się do sprawowania władzy. Katarzyna myśli o Marii Habsburżance, która z powodzeniem zarządza trzema terytoriami, i stara się brać z niej przykład. Ale nawet arcybiskup Cranmer, który jest jej najmocniejszym sojusznikiem, ma zastrzeżenia. W ciągu ostatnich tygodni prowadziła z nim prywatne rozmowy, dużo mówili o religii. Czytali te same książki. Teraz podchwytuje jego spojrzenie. Uśmiecha się do niej. Jest znanym reformatorem i podobno ma nawet żonę. Gardiner nie tak dawno próbował wysadzić go z siodła, uknuł spisek i chciał zawlec go na szafot, ale król ukrocił jego poczynania. Henryk jest przywiązany do swojego luterańskiego biskupa. Katarzyna teraz widzi, jak to działa, to staranne zachowywanie równowagi przez króla. Nigdy nie pozwalaj, żeby jedna frakcja zdobyła silniejszą pozycję niż inna, trzymaj je wszystkie w szachu.

– Następny punkt: szkockie pogranicze – mówi Katarzyna. – Hertford, jakie wieści?

Ten szczegółowo opisuje potyczki na pograniczu, które trzeba mocno trzymać w garści. Członkowie rady spierają się, jak najlepiej rozwiązać problem przy tak dużej liczbie żołnierzy potrzebnych we Francji.

– Szkoci uciekają od czasu zniszczenia Edynburga – przypomina im Rich.

– Żołnierze są bardziej potrzebni w Boulogne – dodaje Wriothesley, pociągając nosem. Ten jego nawyk jest irytujący. – Szkoci nie stanowią dla nas zagrożenia.

– Czy zapominamy o lekcjach historii, panowie? – Katarzyna składa dłonie, żeby ukryć ich drżenie. – Wróćcie pamięcią do Flodden Field.

Ostatnim razem, gdy Henryk prowadził kampanię we Francji, trzydzieści lat temu, Szkoci postanowili to wykorzystać. Katarzyna Aragońska była wtedy

regentką – jedyną poza nią królową, której Henryk powierzył tę rolę. Katarzyna słyszała o tej bitwie w dzieciństwie; mówiono o niej przez lata, bo wywarła niezatarte wrażenie. Królowa, wbrew jakimkolwiek szansom, obrała twardą linię i Jakub IV poległ pod Flodden Field. Wysłała Henrykowi zakrwawioną pelerynę szkockiego króla – prawdziwy triumf.

– Zwerbujcie więcej żołnierzy, w razie potrzeby najemników – oświadcza stanowczo, nie pozostawiając miejsca na sprzeciw. – Trzeba otworzyć skarbiec.

Rada wyraża zgodę. Katarzyna wyczuwa, że atmosfera wrogości przeradza się w niechętny szacunek.

Słyszy, jak ktoś gra na wirginalach w jej pokojach; przez otwarte okno wpada kilka drżących taktów powtarzanej melodii. Zapewne Elżbieta. Młodsza córka króla wydaje się zafascynowana regencją macochy; błaga o zgodę na udział w zebraniach rady, proponuje, że będzie pisać oficjalne listy, pomagać we wszystkim. Katarzyna nie może na to dziewczynce pozwolić, ale pochwała jej zainteresowanie. Rozmawiają o kobietach, które rządziły, o tym, że chcąc zdobyć zaufanie mężczyzn, trzeba odłożyć kobiecość na bok. Elżbieta ma zadatki na dobrą królową, chociaż może zostać najwyżej królową małżonką.

Muzyka cichnie, słychać śmiech. Meg też tam jest; ona i Elżbieta stały się nierozłączne. Meg jest zupełnie jak odmieniona i teraz mogłaby wyjść za mąż. Katarzyna myśli o dwórkach, które zbierają się w jej pokojach, z głowami pochylonymi nad robótką; cicho gawędzą, grają w karty i czytają. Jej komnaty są teraz pełne książek w niewinnych okładkach; te zakazane są utknięte po kątach i traktowane z ostrożnością. Wszyscy wiedzą, że te książki mogą oznaczać kłopoty. Katarzyna odsuwa tę myśl z obawy, że ją osłabi – żadnych rys w pancerzu. Poza tym, przypomina sobie, jest regentką; Henryk uczynił ją nietykalną. Kot przemyka za oknem, ostrożnie stąpając po wąskim parapecie; przez chwilę jego uwagę zaprzęta gołąb, którego obserwuje, przycupnięty, po czym idzie dalej.

Dyskusja toczy się wokół problemu prześladowań Francuzów mieszkających w Londynie. Staje się dość gorąca. Kilku radnych podnosi głos, domagają się ich deportacji, niektórzy więzienia.

– Jesteśmy w stanie wojny z Francją. Ci ludzie są naszymi wrogami! – krzyczy Wriothsesley.

Szkoda, że nie można go wysłać do walki z Francuzami, myśli Katarzyna. Lord kanclerz pociąga nosem i Hertford rzuca mu chusteczkę. Wriothsesley patrzy na nią tak, jakby nigdy dotąd czegoś takiego nie widział.

– Wysmarkaj się, człowieku – warczy Hertford.

Wriothsesley wydmuchuje nos w chustkę.

– Problemem są nie osiedleńcy – mówi Katarzyna głośno i wyraźnie, przebijając się przez hałas – lecz ci, którzy ich prześladują. Nie jestem za



deportacją. Musimy stanowczo poskromić nękający ich motłoch.

– Z całym szacunkiem – wtrąca Hertford – jeśli okazemy im zbyt dużą pobłażliwość, prawdopodobnie wyniknie jeszcze więcej kłopotów.

– Większość tych ludzi mieszka w Londynie od pokoleń. Nie można pozbyć się ich ot tak – zaznacza arcybiskup.

Dzięki Bogu, jest po jej stronie, ale bez wsparcia Hertforda niełatwo będzie jej utrzymać mocną pozycję.

– Napiszę w tej sprawie do króla – oznajmia zdecydowanym tonem Katarzyna. – Na razie osiedleńcy zostają, a każdego, kto będzie ich gnębić, spotka odpowiednia kara.

Hertford zniknie za kilka dni. Jest potrzebny we Francji. Katarzyna wie, że będzie musiała zdwoić siłę przekonywania podczas spotkań z radą. Znowu się zastanawia, co by było, gdyby król nie wrócił. Zostałaby sama u steru Anglii, opiekunka małego króla; tak jest napisane w testamencie Henryka. Czy bez męża u boku zdołałaby zachować tę starannie wypracowaną równowagę? Musiałaby znaleźć jakiś sposób, zawrzeć potężne sojusze. Zadaje sobie pytanie, czy miałaby odwagę posłać kogoś na szafot. Wroga może tak... ale przyjaciela? Ta myśl ją szokuje.

– Jakieś inne sprawy? – pyta.

– Różne drobne spory o ziemię – odpowiada sekretarz, wymachując plikiem papierów.

Rozpatrują mozolnie kolejne pozycje z listy i w końcu Katarzyna zamyka spotkanie. Idzie galerią dumnie wyprostowana, ale gdy tylko drzwi jej komnat zamykają się za nią, opiera się o nie plecami. Szarpie tasiemki ciężkiej sukni, ściąga ją z siebie, rozwiązuje czepek, zrzuca go i osuwa się na podłogę w kałuży spódnicy.

UDALL STAJE PRZED TOWARZYSTWEM siedzącym w antykamerze królowej. Ubrał się w wyszukany dublet z fioletowego brokatu, choć nie ma prawa do noszenia tego koloru. Huicke wytknął mu brak szacunku. Ale Katarzynę, która nie cierpi pochlebców, cieszy to, że nie jest słuźalczy. Nawet Stanhope ostatnio łąsi się do niej, podsuwa jej fragmenty pism Lutra, które według niej mogą ją zainteresować, i daje drobne prezenty – brokatowe rękawy, wachlarz, książkę. To prawda, że mają jednakowe zdanie na pewne tematy, ale dla Huicke'a jest jasne, że Stanhope dba wyłącznie o własne interesy.

Udall kłania się i kręci czapką zmniejszające się ósemki. Niektóre dwórki śmieją się. Huicke wymienia uśmiechy z Katarzyną. Widzi jej zadowolenie; obserwował, jak przez ostatnie tygodnie rozkwitała jako regentka, aż w końcu przywykła do tej roli. I dobrze sobie radzi. Swoim hartem ducha zrobiła wrażenie

nawet na tych wątpiących członkach rady. Ale widzi też krążących wokół niej wrogów. Myśleli, że ta nowa królowa będzie tańczyć, jak jej zagrają, że pomoże im przywieść króla z powrotem do starej wiary, zobaczyli jednak, że trudniej ją kontrolować, niż się spodziewali. A teraz jest regentką.

– Jak poszło spotkanie rady? – szepcze Huicke.

– Pozyskuję sobie ich przychylność.

– Jeśli ktokolwiek może tego dokonać, to tylko ty, Kit.

Wriothesley, Gardiner i Rich chodzą po pałacu z minami kojarzącymi się ze skwaśniałym miodem. Nie brakuje też pełnych gorczy pomruków o nowym testamencie, w którym król powierza Katarzynie sprawowanie trwałej regencji. Żadnemu z nich nie podoba się ten pomysł, zwłaszcza Hertfordowi. Powinien stać po jej stronie, ale na dworze, gdzie nic nie jest rozstrzygnięte, sojusze są kruche. Hertford od dawna ma chrapkę na urząd regenta i z pewnością zachodzi w głowę, jak długo jeszcze będzie musiał lizać buty podstarzałemu królowi, zanim siostrzeniec Hertforda zostanie koronowany. A teraz na drodze stoi ta kobieta, która w oczach króla wydaje się niezdolna do niczego złego.

Huicke nie ma serca przypominać Katarzynie, że sprawuje władzę tylko *per procura*, że Gardinerowie, Wriothesleyowie i Hertfordowie tego świata wykonują jej rozkazy wyłącznie dlatego, że król wróci. Katarzyna często mówi o Marii Habsburzance, będącej dla niej świetlanym przykładem królowej regentki, szanowanej władczyni, która ustala własne prawa. Ale Maria Habsburzanka ma za sobą potęgę brata – cesarza. Kto stanąłby w obronie Katarzyny – jej brat, który jest ledwie hrabią Essex, równie bezsilny jak wszyscy inni dworscy strojnisi? Jeśli król umrze, wszyscy natychmiast zwrócą się przeciwko niej; trafi do Tower, zanim się obejrzy. Huicke jednak nie chce być tym, kto zakłóci szczęście Katarzyny, przypominając jej brutalną prawdę. Niech cieszy się szczęściem, póki trwa, myśli, patrząc, z jaką beztroską przyjaciółka śmieje się z karykaturalnych póz Udalla.

Odkąd został naczelnym lekarzem królowej, i z błogosławieństwem króla, ludzie zaczęli dokuczać mu z powodu przyjaźni z Katarzyną – nazywają go filutem, bawidamkiem, lizusem, przydupasem. „Przyganiał kocioł garnkowi”, ripostuje, ale nigdy nie mówi o swojej szczerzej sympatii do niej. Atmosfera na dworze nie sprzyja przyjaźni, więc ta jest dla niego tym bardziej cenna. Królowa czy nie, zależy mu na tej kobiecie, lubi jej sprzeczności, pragnienie niesienia dobra, tonowane przez czystą wolę wygrywania, nawet w karty. Potrafi być zacieklą przeciwniczką, ale jest też życzliwa. Widział to, widział, jak traktuje służbę, z szacunkiem, zawsze ma miłe słowo dla stajennego i uśmiech dla dziewczyny, która zabiera pomyje. Ludzie w pałacu są zbyt zajęci spoglądaniem w górę, by widzieć to, co leży na dole, ale nie ona. Huicke nigdy nie zapomni pocałunku, który

złożyła na grzbiecie jego zeszpeconej dłoni w Charterhouse. Wydaje się, że było to wieki temu, chociaż minęło zaledwie osiemnaście miesięcy.

Katarzyna pochyła się ku niemu i szepcze:

– Dobrze mu w tym kolorze, nie sądzisz?

– We fiolecie? W sam raz dla królowej!

Katarzyna parska tłumionym śmiechem.

Nawet Udall nie odważyłby się tego zrobić, gdyby król był tutaj. Nikt nie może liczyć na królewskie poczucie humoru. Huicke z dreszczem pożądania obserwuje kochanka, gdy ten kroczy dumnie przed dwórkami, które nie odrywają od niego wzroku. Ich związek jest namiętny, ale niestabilny. Udall bywa okrutny; ostatnio nie chciał go dotknąć, powiedział: „Brzydzisz mnie swoją gadzią skórą”, i poszedł szukać rozrywki gdzie indziej. W końcu wrócił, pijany, z płaczem błagając go o przebaczenie. Te słowa boją, ale jeśli Huicke ma być szczerzy, to sam siebie się brzydzi. Coś jednak fascynuje go w Udallu; wydaje się, że w jego sercu miłość płynnie stapia się z nienawiścią.

Gdy Udall puszy się przed dwórkami, Huicke widzi go nagiego, widzi jego męskość, smukłe mięśnie, gładką jędrną skórę, jakże niepodobną do jego własnej. Nagi, wygląda jak parobek, on jednak nigdy nie znał nikogo o wspanialszym, bystrzejszym, bardziej subtelnym – i bardziej bezlitosnym – umyśle. Lubi jego sprzeczności, podobnie jak te Katarzyny. Katarzyna mówi, że aby rządzić, trzeba być zarówno mężczyzną, jak i kobietą. Kto jak kto, ale on powinien to wiedzieć.

– Wasza znakomita Wysokość, najłaskawsza królowo Katarzyno, pokornie przedstawiam ci prawykonanie mojej komedii *Ralph Roister Doister* – ogłasza Udall.

Lady Elżbieta siedzi obok Katarzyny, trzymając się za rękę z Meg Neville. Jednym z triumfów Katarzyny jest zgromadzenie wszystkich królewskich dzieci. Huicke wie, jak bardzo król opierał się sprowadzeniu Elżbiety. Katarzyna często wspominała o swoim współczuciu dla samotnej dziewczynki w Ashridge.

I oto jest tutaj. Jeszcze młoda, ale już ma charyzmę ojca; jest jego nieodrodną córką. Widać to w tym, jak trzyma głowę, w bezpośredniości jej spojrzenia i zdecydowanym zarysie podbródka. Katarzyna zajęła się jej edukacją i mówi, że jest bystra i ciekawa świata, że byłaby nieszczęśliwa, gdyby karmiono ją starannie odmierzonymi porcjami wiedzy, jak inne dziewczęta. Elżbieta lubi wyzwania i podobnie jak brat jest wychowywana mniej więcej w nowej wierze. Gdyby Gardiner o tym wiedział, wpadłby w popłoch i obmyślił jakiś niecny plan, żeby jak najszybciej położyć temu kres.

Piesek Katarzyny podbiega do Elżbiety i opiera się łapkami o jej kolano. Nie patrząc, dziewczynka spycha go ręką. Wyraźnie nie należy do tych, którzy dają się

oczarować parze dużych wilgotnych oczu. Katarzyna klepie swoje udo, piesek wskakuje i wtula się w jej spódnice.

W pokoju zapada cisza, gdy Udall zaczyna recytować prolog. Huicke słyszał o sztuce, czytał niektóre z wczesnych szkiców, zwyczajne wesołe strofy, ale nie zna całości. Udall w tej kwestii był wyjątkowo skryty. Wchodzi aktor i opisuje Ralpa Roistera Doistera jako mężczyznę, który zakochuje się w każdej napotkanej kobiecie, na co dwórki chichoczą. Potem zjawia się sam Roister Doister, strojnie ubrany w brokaty, w czapce ze strusim piórem wielkości końskiego ogona.

– To Tomasz Seymour! – wykrzykuje Anna, siostra Katarzyny, i młodsze panny wybuchają śmiechem.

– Spójrzcie, jakie wielkie pióro!

Huicke spogląda na Katarzynę. Ta wprawdzie się uśmiecha, ale z zaciśniętymi zębami, a na jej policzki wypełza zły rumieniec. Aktor puszy się i pozuje, wymachując rękami, opowiada, jak zabiegał o względy bogatej wdowy, i jednocześnie podziwia się w lusterku, czym wywołuje burzę śmiechu. Następnie zjawia się obiekt jego westchnień, pani Custance, którą gra urodziwy chłopak w czerwieni: czerwona peruka, czerwona suknia, okrągłe czerwone policzki. Kolor sugeruje Katarzynę, to jej barwa, wszyscy jej paziowie noszą szkarłatne stroje.

– Ten twój kochanek jest bezczelny – szepcze Katarzyna do Huicke’ a, unosząc brwi i z determinacją udając wesołość.

Huicke czuje wzbierający w nim gniew. Jak Udall mógł to zrobić? Na pewno zna okoliczności – choć może nie. Romans nigdy nie był powszechnie znany, krążyły tylko plotki i spekulacje. Jedyne on zna uczucia Katarzyny do tego mężczyzny, nawet jej siostra nie ma o niczym pojęcia. Patrzą, jak rozwija się historia nieudolnych i niechcianych zalotów Roistera Doistera do pani Custance, która została już przyobiecana bogatemu kupcowi Gawynowi Goodlucke’owi, dogodnie przebywającemu za granicą.

Spogląda na Katarzynę, która nerwowo stuka stopą o podłogę, a jej uśmiech wygląda jak pośmiertny grymas. Huicke próbuje sobie wyobrazić, jakie to uczucie, gdy twoje sekretne życie zostanie obnażone na oczach całego dworu i każdy może je roztrząsać. Przypuszcza, że Katarzyna uważa, że to on miał długi język i ujawnił jej prywatne sprawy kochankowi. Nie może znieść myśli, że znowu straci jej zaufanie. Ściska jej dłoń.

– Nie miałem pojęcia, Kit.

– Takie sprawy zawsze wychodzą na światło dzienne. Król wiedział wystarczająco dużo, żeby go odesłać. Młyn plotek pracował. Nadal ci ufam, Huicke.

Udall obrócił jej najcenniejsze i najbardziej bolesne wspomnienia w żart przed całym dworem, niebezpieczny żart, bo jeśli król o tym usłyszy... Huicke czuje strach ściskający trzewia, jest jednak pełen podziwu dla czelności kochanka. Gdyby Tomasz Seymour tu był, powiesiłby go na pierwszej gałęzi. Na szczęście go nie ma, ani jego brata, który wyjechał do Francji. I dzięki Bogu, nie ma także króla. Bo gdyby tu był, Udallowi nie byłoby do śmiechu. Sztuka przedstawia króla jako rogacza. Chociaż gdyby król tu był, Udall nie powazyłby się jej wystawić.

Wieczór dłuży się nieznośnie. Katarzyna siedzi obok Huicke'a, przykuta do miejsca, podczas gdy nadęty Roister Doister krok po kroku zbliża się do własnego upokorzenia. „Wiem, że mnie kocha, ale nie może tego mówić”, ryczy.

– Szkoda, że o tym nie wiedziałem, Kit – szepcze Huicke, pochylając się ku niej. – Powstrzymałbym to.

– Chce tylko nas rozśmieszyć – mówi Katarzyna, wciąż z niejednoznacznym uśmiechem; jej odporność jest niezwykła.

– I to Seymoura wyśmiewa, nie ciebie. Zawsze go nienawdził. Nie dowiedziałem się dlaczego. Pewnie z powodu jakiejś zamierzchłej obrazy.

Chłopiec aktor wygląda absurdalnie z uróżowanymi policzkami, ubrany w za długą szkarłatną spódnicę, o której rąbek ciągle się potyka. Gra z przesadną ekspresją: zamasyście przyciska do piersi dużą męską rękę, szeroko otwiera usta z przerażenia, wybałusza oczy, unosi głos przepojony rozpaczą. Z pewnością siebie zwraca się wprost do publiczności; teraz mówi ściszym głosem, ucinając śmiech i zmuszając wszystkich do pochylenia się w jego stronę – inaczej go nie usłyszą.

– Jakże jestem niewinna w tym uczynku myśli? – sepleni. – A jednak spójrzcie, jaką nieufność do mnie wywołał.

Śmiech cichnie i przez chwilę w pokoju panuje cisza. Pod humorem kryje się niewygodna prawda – nawet niewinny może upaść. Meg siedzi jak skamieniała, z dłonią na ustach. Anna chowa twarz za wachlarzem, ale jej oczy zdradzają, co myśli. Jeśli jej siostra upadnie, wraz z nią upadnie cała rodzina. Nawet Stanhope, która rżała najgłośniej ze wszystkich, przycicha teraz, chociaż nienawdzi szwagra i chętnie ujrzałaby jego poniżenie. Tylko Elżbieta śmieje się beztrząsko. Czy jest za młoda, by zrozumieć, czy też bezduszna, jak niektórzy mówią?

Komiczna intryga nadal się rozwija. Poważna chwila minęła i powraca wesołość. Katarzyna uśmiecha się, gdy sztuka zbliża się do szczęśliwego zakończenia.

– Twój Udall jest nieobliczalny, Huicke – mówi. – Jak to ujął Arystoteles? *W komedii dobrzy kończą szczęśliwie, a źli nieszczęśliwie.* Zastanawiam się, gdzie leży moje przeznaczenie.

Huicke nie wie, co na to powiedzieć.

Katarzyna chwytła go za rękę i zbliżyła usta do jego ucha.

– Czy naprawdę mogę mu ufać? – szepcze. – On dużo wie o moich lekturach. Porozmawiaj z nim, Huicke. Przekaż mu, że jeśli nie będzie ostrożniejszy, odeślę go z dworu. Niech zrozumie, że moja dobra wola ma granice.

– Obiecuję, że to zrobię, Kit.

Aktorzy kłaniają się przy entuzjastycznym aplauzie. Udall wydaje radosny okrzyk i zwinnie łapie sakiewkę, którą rzuciła mu Katarzyna. Huicke wciąż kipi z gniewu, ona jednak wydaje się beztraska.

– Brawo, Udall! – woła. – Całkowicie nas oczarowałeś.

Ludzie wstają, kręcą się, biorą kieliszki z winem. Huicke trzyma się z tyłu, podczas gdy Katarzyna gratuluje aktorom i gawędzi z dwórkami. Zadziwia go jej nieodmiennie zimna krew; nic na zewnątrz nie ujawnia jej wewnętrznego świata. Uśmiecha się, rozmawiając z młodym Dudleyem i jego matką. Bierze Meg za rękę, przyciąga ją do siebie i przedstawia chłopcu. Huicke przypomina sobie, że mówiła coś o małżeństwie tych dwojga.

Meg dyga grzecznie, ale zamiast obdarzyć chłopca przelotnym spojrzeniem, jak nakazują maniery, praktycznie wlepia w niego oczy. Prostując się po dygnięciu, przewraca kieliszek i szkarłatne wino chlusta na żółte pończochy młodzieńca. Ten odskakuje i patrzy na matkę, która zasłania usta ręką. Huicke odnosi wrażenie, że oboje zastanawiają się, czy Meg umyślnie rozlała wino. Przywołany przez Katarzynę paź zabiera chłopca i zdenerwowana matka podąża za nimi. Katarzyna odwraca się do pasierbicy, ale Meg już pierzchnęła i siedzi w kącie z Elżbietą.

Są dość blisko, więc Huicke słyszy, jak Elżbieta mówi:

– Brawo, Małgorzato Neville. Tak należy postępować z niechcianymi zalotnikami.

Są pewne rzeczy dotyczące kobiet, których Huicke nigdy w pełni nie zrozumie.

– CO TO JEST? – PYTA WILLIAM SAVAGE.

Trzyma papier samymi czubkami palców, jakby miał się od niego zarazić ospą. Jego ton wyraża zniecierpliwienie, nawet złość.

Dot chce mu wyrwać kartkę z modlitwą, odłożyć ją na klęcznik w komnacie Katarzyny; udawać, że to się nigdy nie wydarzyło. Ale jest tu teraz i zbiera się na odwagę.

– Miałam nadzieję, że mi to przeczytasz – odpowiada.

– Nie możesz dawać mi takich rzeczy w miejscu, gdzie ludzie mogą to zobaczyć – cedzi William.

Stoją na małym podeście przy zakręcie kamiennych schodów, które prowadzą do antykamery. Ludzie chodzą w górę i w dół, przepychając się obok nich,

pozostawiając po sobie urywki rozmów. Słońce wpada przez okno, rzucając romby światła na szare płyty. Dot ledwie ma śmiałość spojrzeć na Willa. A on trzyma kartkę blisko przy sobie i odwraca się do światła, żeby przeczytać.

– Och, to tylko modlitwa królowej. Dlaczego nie powiedziałaś?

– Ja... ja... – Jej ciężki język nie chce uformować słowa. Czuje, jak gorący rumieniec oblewa jej twarz aż po cebulki włosów. – Nieważne – udaje jej się wykrztusić.

– Ależ ważne – mówi William z uśmiechem, biorąc ją za rękę. – Chodź, znajdziemy spokojniejsze miejsce. Nie jesteś potrzebna swojej pani? – Złość znika z jego twarzy i znowu jest sobą, Williamem, który przechadza się w jej snach.

– Mam trochę czasu.

Prowadzi ją po schodach tak szybko, że Dot musi biec, by za nim nadążyć. Zauważa dziurkę w jego rajtuzach nad kostką – mały krąg białej skóry obramowany czernią, kawałek jego ciała. Chce mu zaproponować, że ją zaceruje, i zastanawia się, czy ma kogoś takiego jak ona, dziewczynę, która naprawia i pierze jego bieliznę. Uderza ją myśl, że mimo swoich marzeń nie wie o tym mężczyźnie nic poza tym, że umie czytać i pisać oraz gra na wirginalu jak anioł. Ale przede wszystkim wie, że jest poza jej zasięgiem. Nie ma pojęcia, jak bardzo, jest jednak dość dobrze urodzony i tak naprawdę nie powinien poświęcać ani chwili komuś takiemu jak ona – a przynajmniej nie z innego powodu jak pofiglowanie w spichrzu. Ale oto ściska jej rękę i ciągnie ją za sobą, nie bacząc, że ktoś ich zobaczy.

Prowadzi ją na dolny dziedziniec, gdzie słońce odbija się od szybek w oknach i pada na bruk. Po chwili jej oczy przyzwyczajają się do jasności. Dziedziniec jest tłoczny jak Smithfield i wszyscy wydają się ogromnie śpieszyć. Grupy mężczyzn przejeżdżają z klekotem końskich kopyt, peleryny łopoczą, błyskają miecze. Paziowie biegają co tchu w takiej czy innej sprawie. Dot zauważa Betty, która ukradkiem przemyka pod arkadą – najwyraźniej robi coś, czego nie powinna, bo o tej porze jej miejsce jest w kuchni. Przechodzi ogrodnik, ledwie widoczny za pękiem ściętych cytrynowych kwiatów, z pewnością przeznaczonych do jednej z wielkich komnat. W cieniu krużganków trójka dziewcząt ćwiczy kroki taneczne, powiewając spódnicami.

– Nie, Mary, w ten sposób – mówi jedna, pokazując właściwą figurę. – Ręce wyżej.

Unosi dłonie, z wdziękiem układając drobne palce; z czerwono-złotymi rękawami rozpostartymi jak skrzydła przypomina pięknego motyla. Śmiga dokoła skrzącymi się oczami, sprawdzając, czy ktoś na nią patrzy.

Dot zerka na Williama, ciekawa, czy też na nie spogląda, ale nie; błądzi wzrokiem po jej twarzy. To ją krępuje, jest jej gorąco, w słońcu czuje się

odsłonięta.

– Wiesz – szepcze William – jesteś o wiele ładniejsza niż większość tych pałacowych panien, które chodzą z wysoko zadartymi nosami.

Dot nie wierzy mu – ma na sobie szarą suknię i skromny czepek. W porównaniu ze strojnie odzianymi pięknościami, które lekkim krokiem stąpają po dworskich pokojach, jest niewiele ładniejsza od worka zboża. Desperacko próbuje wymyślić jakąś dowcipną odpowiedź, jakąkolwiek, ale poza ledwie słyszalnym zaprzeczeniem nic nie przychodzi jej do głowy. Przygniata ją poczucie niższości: wieś brzmi w jej głosie, jej skóra nie jest dość blada, ma odciski od szorowania na swoich dużych dłoniach, które teraz chowa pod fartuchem.

– A więc chcesz, żebym ci to przeczytał?

Kiwa głową.

Patrzy na podskakujące dziewczęta; jedna z nich śpiewa. Dot przypuszcza, że po francusku, bo tutaj wszystkie kobiety – z wyjątkiem zwykłych służących – posługują się tym językiem. Wszystkie umieją czytać i za to Dot ich nienawidzi; nienawidzi ich za luksusy, aurę delikatności, drobne kończyny, nieskazitelną cerę, błękitną krew, nadskakujących im nauczycieli, którzy skrupulatnie uczą je liter. Ale przede wszystkim nienawidzi ich za to, że przy nich czuje się gamoniowata, niezdarna i głupia.

– Nikt cię nigdy nie uczył?

Kręci głową i spuszcza wzrok, śledząc rząd mrówek wędrujących po bruku.

– Ale chciałabyś umieć czytać?

Nadstawia ucha, wyczulona na kpiący ton, lecz niczego takiego nie słyszy.

– Tak. – Nie wie, co takiego w nim budzi jej ufność, ale w końcu odzyskuje mowę. – Naprawdę bym chciała.

– To zbrodnia, że nie uczysz się takich bystrych dziewczyn jak ty.

Powiedział, że jestem bystra, myśli, czując, że z tego wszystkiego krew gotuje jej się w żyłach.

– Ale pochodzę z gminu. Tam, skąd przybyłam, żadna dziewczyna nie umie czytać. Ja tutaj nie pasuję, panie Savage.

– Pasujesz, jak każdy inny. – William obejmuje jej ramiona i ściska, a pod nią uginają się nogi. – A teraz powiedz mi – szepcze jej do ucha – czy chciałabyś sama czytać Biblię?

– Tak. Kiedy widzę te damy z książkami...

– Sza. – Kładzie palec na jej ustach. – To zdanie musisz zachować dla siebie.

Jego dotyk i bliskość utrudniają jej oddychanie. Dwaj mężczyźni wjeżdżają na dziedziniec, zsiadają z koni i głośno rozmawiają. Stado gołębi hałaśliwie wyklóca się o skórkę chleba. Dzwon kaplicy bije dwa razy.



– Muszę iść. – Dot już się podnosi, on jednak chwyta ją za rękę i ciągnie z powrotem na murek.

– Nauczę cię czytać. – Wydaje się zadowolony ze swojego pomysłu; jego oczy są szeroko otwarte, jasne i piękne.

– Jestem pewna, że nigdy nie zdołam...

– Zdołasz. To wcale nie jest takie tajemnicze, jak się wydaje. Przyjdź później, kiedy królowa położy się spać, i zaczniemy od modlitwy. – Przyciąga ją do siebie i składa na jej policzku pocałunek lekki jak piórko. – Nie mogę się tego doczekać, Dot.

– Muszę iść.

Podchodzi z nią do drzwi i otwiera je przed nią, jakby była co najmniej hrabiną.

– Wiesz, że to musi pozostać naszą tajemnicą.

Dot kiwa głową, rozumiejąc, że w zapisanych słowach i umiejętności ich czytania jest coś poważnego i potężnego.

– Niech myślą, że jesteśmy letnimi kochankami – dodaje Will i przykładła palec do jej policzka, obracając jej twarz ku sobie.

Dot nie ma innego wyjścia, jak tylko na niego spojrzeć. W jakiś sposób wydaje się młodszy, niż myślała; dopiero teraz widzi, że ma dziecięcą gładką skórę i zarost tak rzadki, że nie zasłania dołeczka w brodzie i tego w policzku. W jego oczach zapala się błysk podniecenia, gdy błądzi spojrzeniem po jej twarzy. Dot zastanawia się, co widzi.

Will przyciska usta do jej ucha.

– Idź – szepcze.

Kiedy Dot wraca do komnat królowej, kręci jej się w głowie, co sprawia, że jest niezdarna. Wylewa garnek wody na podłogę i upuszcza skrzynkę pomarańczy; toczą się po pokoju, a jedną musi wyrwać z zębów Riga, który myśli, że to zabawa. Zapomina o czepku, gdy pomaga Katarzynie w ubieraniu, i zawiązuje lewy rękaw na prawym ramieniu.

– Jesteś rozkojarzona, Dot. Bardziej niż zwykle – mówi Katarzyna. – Czuję od ciebie miłość. – Śmieje się lekko i dodaje: – Ciesz się, moja droga, bo w tym życiu jest na nią bardzo mała szansa.

Dot widzi przelotny cień smutku na jej twarzy. Ostatnio zauważyła, że w Katarzynie zaszła zmiana. Po wyjeździe króla była bardzo radosna, tak bardzo królewska, ale coś jakby załaziło jej za skórę i przydało ostrości, chociaż większość ludzi tego nie dostrzega. Dot słyszy, jak dwórki opowiadają, jaka jest niezwykła i sprawna, jak dobrze zarządza radą.

„Te stare kozły jedzą jej z ręki”, powiedziała o niej księżna Suffolk, a siostra nazwała ją onieśmielającą. I skwaszona mina Stanhope stanowiła niezapomniany

widok, kiedy nawet sędziwa lady Buttes, która nie ma dobrego słowa dla nikogo, oznajmiła: „Mimo pośledniego pochodzenia nosi się jak królowa”.

Ale tylko Dot zna sekrety ciała królowej i nikt poza nią nie widział jej twarzy, gdy ostatnio zaczęła się jej miesiączka, i nikt nie słyszał, jak głucho brzmiały jej słowa: „Następnym razem, Dot. Następnym razem”. Katarzyna przyrządziła sobie miksturę na skurcze i zajęła się swoimi sprawami.

Dot uważa nieobecność króla za błogosławieństwo. Wielka sypialnia stoi nieużywana, a blada skóra jej pani jest wolna od siniaków.

## 6



*Pałac Eltham, Kent, wrzesień 1544*

KATARZYNA PONAGLA PEWTERA. CZUJE, że jest zmęczony, ale gdy docierają do szczytu wzgórza i ukazuje się pałac, koń przyśpiesza – bez wątpienia pobudzony myślą o wiadrze owsa. Starożytne kamienie Eltham mają barwę zimowego nieba, ale miejscami ożywiają je porosty i mchy, jakby zamek wyrósł z ziemi, jakby został poczęty przez samą naturę. Przez setki lat był domem królów i królowych i zdaje się, że jest tego świadom; wygląda dostojnie, tkwiąc niczym klejnot w środku rozległego parku, otoczony spokojną zieloną fosą. Drzewa wokół niego zmieniają kolor, przybierając nową paletę barw, która zwiastuje jesień.

Daleko przed sobą, prawie przy bramie, Katarzyna widzi Marię i Elżbietę z małym Edwardem i grupą młodzieży. Mieli świeższe wierzchowce i ostatni etap przebyli galopem. Patrzy, jak Edward ujarzmia płochliwego kucyka, czując się w siodle jak ryba w wodzie. Z determinacją dążyła do stworzenia rodzinnych więzi w tej grupie odmiennych charakterów – bo mimo wszelkich przywilejów, jakimi się cieszyli, bardzo brakowało im miłości. Nawet Edward, oczko w głowie ojca, jego odpowiedź na wszystko, żył w takiej izolacji, trzymany z dala od bliskich, że okazywanie mu uczuć mocno go krępuje. Katarzyna ma nadzieję, że to się zmieni.

Tymczasem była świadkiem rozkwitu bliskości między siostrami. Odkąd tu przybyły, codziennie jeżdżą razem i Elżbieta sypia w pokoju Marii. Katarzyna od dawna miała nadzieję na ocieplenie ich relacji, ale jej satysfakcję przesłania cień, bo w konsekwencji Meg została na lodzie. Powinna być już zamężna, lecz od tamtego incydentu z winem syn Dudleya nie wchodzi w rachubę. Poza tym Meg chyba na coś choruje; od tygodni prawie nie opuszcza domu i zrobiła się blada jak duch. Gdy w nocy wślizguje się do jej łóżka, ma świszczący oddech i czasami męczą ją straszne ataki kaszlu. Katarzyna wezwała Huicke'a z Londynu. Będzie wiedział, co robić.

Ten pałac do niej przemawia. Henryk spędził dzieciństwo w Eltham i Katarzyna próbuje sobie wyobrazić, jak biegał tu, pulchny i mały, drugi syn, niewychowywany na króla. Ma jednak kłopot z wyobrażeniem go sobie jako dziecka. W jej głowie jest bardziej podobny do jednego z tych pogańskich bogów, którzy narodzili się z brzucha wielkiej ryby albo z ziemi, w pełni ukształtowani. Wie, że Henryk niedługo powróci, pyszniąc się wielkim zwycięstwem w Boulogne. W Hampton Court wybuchła wielka radość, gdy napłynęły wieści o klęsce Francuzów. Katarzyna czeka na wiadomość, że Henryk wylądował w Dover, i rozumie, że czas jej wolności dobiega kresu, ale na razie pławi się w rozkoszach tego miejsca.

Kiedy Pewter przechodzi pod kamiennym łukiem na brukowany dziedziniec, zaczyna kropić deszcz. Katarzyna zsiada z konia i prowadzi go do koryta z wodą. Drapie go między uszami, co sprawia, że zwierzę przyciska pysk do jej ramienia i rozdyma chrapy.

– Proszę pozwolić, że go zabiorę, madame – mówi nieznany stajenny, nie patrząc jej w oczy, ponieważ ona jest królową, a jemu brakuje pewności siebie.

Uśmiecha się do niego, aby go uspokoić, podaje mu wodze i pyta go o imię.

– Gus, madame – odpowiada stajenny ze wzrokiem wbitym w swoje ręce.

– Dziękuję, Gus. Daj mu trochę owsa i wytrzym go ostrożnie. Nie jest już młodzieniaszkiem.

Gus zabiera Pewtera, a ona siada na krawędzi koryta, wystawiając twarz na zimny deszcz, i wyobraża sobie, że nie jest królową i może robić, co jej się podoba. Deszcz bierze nad nią górę, więc wchodzi przez wielkie drewniane drzwi do holu. Jest tam jej siostra i razem siadają przy ogniu, żeby napić się grogu.

– Kominek strasznie dymi – mówi Anna.

– Rozpieściły nas wygody Hampton Court i Whitehall.

– To miejsce przypomina mi Croyland. Pamiętasz, Kit, jak tam jeździłyśmy w dzieciństwie?

Katarzyna spogląda na wysoki strop z drewnianymi więzarami i wyślizgane stare kamienne płyty, po których pełga przytłumione światło, sączące się przez grube szkło.

– Tu naprawdę jest jak w Croyland.

Pamięta to wielkie opactwo i wszechobecną ciszę, od której dzwoniło jej w uszach. Myśli o poważnych zakapturzonych mnichach, miękkim szmerze ich stóp, niezapomnianej harmonii chorału, który wznosił się pod ogromne beczkowe sklepienie; wspomina też kolory, żywość, bogactwo, splendor zmiażdżone przez reformację Henryka. I chociaż nie wierzy w doktrynę, której hołdowało opactwo, chciałaby móc zachować choć trochę z jego starożytnej wspaniałości, jego szczególnego spokoju.

– Szkoda, że tych miejsc już nie ma.

Jej serce przepęlnia beznadziejny smutek z powodu utraty tego wszystkiego. Rozumie, dlaczego ludzie wciąż są wstrząśnięci dzieleniem kościelnego dobytku między szlachtę.

– Zastanawiałaś się kiedyś, Anno, czy było warto?

– Wierzę, że tak, Kit. Naprawdę.

Katarzyna czasami zazdrości siostrze niezachwianego przekonania w różnych sprawach.

– Nawet mimo tych wszystkich okropieństw?

– Tak. Bo bez nich nie narodziłby się nasz nowy świat. I ty, Kit, na pewno w to nie wątpisz, nie po tym, co wycierpiałaś z rąk katolickich buntowników.

– Nie czuję wątpliwości. Nie, to bardziej przypomina... – Katarzyna stara się znaleźć właściwe słowo – smutek.

Rozlega się śmiech i Elżbieta biegnie przez galerię minstreli w pogoni za Robertem Dudleyem.

– Ta dziewczyna to uosobienie kłopotów – syczy Anna. – Kręci Robertem jak wrzecionem, nie widzisz?

– Ma w sobie dzikość, to prawda. Ale ma też dobre serce. Jesteś dla niej zbyt surowa, Anno.

– Czyli ciebie też owinęła sobie wokół palca. Przysporzy zmartwień, powiadam ci.

– Czuję się nierozumiana.

– A co z Meg? Elżbieta sprzątnęła jej tego chłopca sprzed nosa. Był przeznaczony dla Meg, a teraz świata nie widzi poza tą małą kokietką.

– Meg go nie lubi. – W Katarzynie narasta irytacja; ma Annie za złe dobór słów. – Poza tym Meg jest niezdrowa, to wszystko. Nie była w stanie...

Przerywa jej wejście pazia z listem dla Anny.

Ta z cichym okrzykiem podekscytowania łamie pieczęć i przebiega wzrokiem treść pisma.

– Kit, to dopiero nowina. – Mnie papier, wrzuca go do ognia i patrzy, jak płonie. Pogrzebaczem zgarnia w płomienie kawałek, który się wymknął. Nachylając się, mówi cicho: – Astrolog zawita do nas dzisiaj wieczorem.

Katarzyna nie potrzebuje wyjaśnień. Planowali to od tygodni: do Eltham przybywa Anna Askew, która porzuciła męża, by głosić nową ewangelię. Sama myśl o tej kobiecie – niezwykle odważnej – przyprawia ją o dreszcz emocji. Anonimowo wysłała pieniądze, by wesprzeć jej działalność. Reformatorzy z szacunkiem szepczą jej imię; Anna Askew jest znana ze swoich kazań obalających dogmat przeistoczenia i rozpowszechnia zakazane książki. Jest wszystkim, czym kobieta być nie powinna, i Katarzyna ją za to podziwia.

Gardiner mówił o niej na ostatnim spotkaniu rady. „Przeklęta heretyczka”, tak ją nazwał. „To skutek kształcenia niewiast. Każę ją spalić, nawet jeśli będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobię”.

Anna Askew prześlizgnęła mu się jednak przez palce. Ma potężnych przyjaciół, a wśród nich jest księżna Suffolk. Katarzyna wie, że Cat zorganizowała jej wizytę w głębokiej tajemnicy, biorąc na własne barki największe ryzyko i starając się nie ujawniać niczego prócz najistotniejszych faktów. Askew przybędzie do Eltham w przebraniu astrologa i nie może o tym wiedzieć nikt poza siostrą królowej. Katarzyna nie wtajemniczyła nawet Huicke’a, z obawy, że wygada się swojemu rozwiązłemu kochankowi. Nie wolno dopuścić, aby wyszło na jaw, że królowa miała styczność z herezją. Wszyscy, nawet służba, muszą wierzyć, że dla dobra kraju zasięga rady astrologa, by dowiedzieć się, czy Anglia odniesie więcej zwycięstw albo czy ona poczne syna. Niech myślą, co im się podoba, byle nikt nie wpadł na trop prawdy.

– Anno – szepcze – to się dzieje naprawdę.

Sekret pulsuje w niej, niebezpieczeństwo sprawia, że czuje się bardziej żywa, bliższa Bogu.

KATARZYNA JEST W HOLU Z CAT Brandon, gdy słyszy głos brata.

– Przejdźcie dla astrologa królowej.

Nie miała pojęcia, że Will będzie towarzyszył Annie Askew. Cat prawie nic jej nie powiedziała; twierdziła, że tak będzie lepiej. Słyszy stukot kopyt na dziedzińcu. Śpieszy do drzwi, ale Cat chwyta ją za ramię.

– Ktoś zauważył twoje podniecenie. Masz je wypisane na twarzy. Musisz przywyknąć do podstępów – mówi Cat, prowadząc ją do prywatnej komnaty.

Katarzyna wie, że Cat ma rację. Nie potrafi ukryć podekscytowania.

Cat wypędza wszystkich.

– Królowa sama spotka się z astrologiem – oznajmia.

Kobiety odkładają robótki i książki, po czym wychodzą, żeby usiąść przy ogniu w holu. Przybywa Will, a z nim wysoka postać, wysoka jak mężczyzna, owinięta peleryną tak szczelnie, że nie widać twarzy. Peleryna zsuwa się na podłogę i oto stoi przed nimi Anna Askew, w męskich butach, pończochach, dublecie i czapce. Wygląda w tym stroju całkiem przekonująco, ale opada w głębokim kobiecym dygu. Ma szczerą twarz i szeroko rozstawione ciepłe oczy.

– Cieszę się, Wasza Wysokość, że mam okazję wyrazić wdzięczność za wsparcie – mówi cicho.

Will robi krok do przodu i zamyka obie siostry w uścisku. Katarzyna przez chwilę jest nie królową, tylko jedną z sióstr Willa Parra.

Płoną mu oczy.

– Nikomu nie powiedziałaś?

– Nikomu – zapewnia go.

Will wyciąga duży wykres astrologiczny i rozwija go na stole.

– Na wszelki wypadek – mówi.

Bóg jeden wie, gdzie znalazł coś takiego.

– Będę pilnować drzwi – dodaje. – Dokąd prowadzą te drugie?

– Tylko do mojej sypialni.

– I nie ma tam innego wejścia?

Katarzyna zaprzecza ruchem głowy. Świadomość niebezpieczeństwa na chwilę bierze górę nad ekscytacją; mogą za to spłonąć na stosie. Wszystkie trzy – ona, jej siostra i Cat – sadowią się na poduszkach przy kominku, żeby słuchać.

Anna Askew wyciąga spod dubletu Biblię i stuka w nią.

– Oto jest Słowo Boże – mówi. – Nie potrzebujemy niczego więcej... żadnych niepisanych prawd do rządzenia Kościołem.

Katarzyna patrzy na nią uważnie. Askew nie mówi niczego nowego, ale jej zapał, jej wiara składają się na potężne przesłanie. Jak można jej słuchać i w głębi serca nie wierzyć, że mówi prawdę?

Wypowiada się o mszy.

– Jak człowiek może mówić, że czyni Boga? Nigdzie w Biblii nie jest napisane, że człowiek może stworzyć Boga. To piekarz wypieka chleb, a oni każą nam wierzyć, że czyni Boga? Bzdura. Gdyby ten chleb odłożyć na miesiąc, zamieni się w pleśń. To dowód, że nie jest niczym innym niż tylko chlebem. Wszystko tu jest. – Ujmuje dłoń Katarzyny. – Bóg wybrał mnie do głoszenia ewangelii i jestem błogosławiona, będąc tutaj i przekazując Jego słowo królowej.

– To ja jestem błogosławiona, pani Askew.

Kobieta wertuje swoją skromną Biblię, szukając jakiegoś fragmentu, i znajduje go z cichym „Ach”. Czyta wers, przesuwając pod nim palcem.

– *Oto Baranek Boży*. Jeśli katolicy nie wierzą, że Chrystus naprawdę jest barankiem, to dlaczego upierają się przy takim dosłownym tłumaczeniu, *to jest ciało moje*? – Znowu stuka w Biblię, oczy jej błyszczą. – Ta księga jest światłem, które nas poprowadzi, tylko ona.

Gdy Anna Askew kończy wygłaszać po cichu kazanie, Katarzyna wręcza jej sakiewkę.

– Będzie więcej, jeśli potrzebujesz. Kontynuuj swoją najwspanialszą pracę, pani Askew.

Razem szepczą:

– Tylko Pismo, tylko wiara, tylko łaska, tylko Chrystus, tylko Bogu chwała.

A później Anna Askew znika, wyprowadzona przez Willa, znów szczelnie okryta peleryną.

– CO POWIEDZIAŁ TWÓJ ASTROLOG? – pyta później Maria. – Urodzisz syna dla Anglii?

– Och, znasz tych ludzi – odpowiada Katarzyna. – Mówią zagadkami, pełno w tym niejasności. Ale mam nadzieję, Mario, mam nadzieję na dziedzica. – Jest zaskoczona łatwością, z jaką przychodzi jej kłamstwo, i wcale jej to nie cieszy. – I modłę się o niego – dodaje.

Pracuje nad Marią, próbując nadwątlić jej wiarę, i liczy, że ją nawróci. Może Maria przyswoi sobie niektóre z przekonań Elżbiety. Siostry z każdym dniem stają się sobie coraz bliższe. Maria jest inteligentna, ale brakuje jej iskry Elżbiety z tą niezwykłą mieszkanką frywolności i optymizmu. W głębi serca Katarzyna uważa, że z trójki rodzeństwa to Elżbieta ma najlepsze zadatki, aby władać krajem, chociaż nikt nie poparłby tej opinii. Edward jest bardzo sztywny, natomiast Maria zbytnio kieruje się emocjami, jest bardziej niestabilna niż siostra i zawsze roztacza wokół siebie aurę tragedii.

Katarzyna nie szczędzi starań, by wciągać Marię w teologiczne dysputy, które toczą się w jej najbliższym gronie, często do późnych godzin nocnych, gdy kulą się wokół kominka i głośno rozważają różne sprawy. Obawia się jednak, że Maria nigdy nie zakwestionuje dogmatów swojej wiary. Dla niej rzeczy są takie, jakie są i jakie zawsze były. Jest nieustępliwa i ta jej cecha jest nie do wyrugowania. Wygląda to tak, jakby zapuściła korzenie w starej wierze ku pamięci matki, jakby branie pod uwagę czegokolwiek innego uważała za zdradę. Lojalność Marii jest ślepa i dlatego czasami Katarzyna zastanawia się, czy doprowadzi to do jej zbawienia, czy do upadku. Zajmują wysoką pozycję i myśl o upadku zawsze czyha w cieniu.

Ale Katarzynę cechuje nowo odkryta ewangelizacyjna wytrwałość, podsycona wizytą Anny Askew, dorównująca upartej naturze Marii, dzięki czemu udaje jej się przekonać ją do pomocy w nowym przedsięwzięciu. To tłumaczenie na angielski *Parafraz* Erazma. W końcu Erazm nie jest zakazany. Ale wydać go po angielsku... To Udall podsunął jej ten pomysł. Jeśli ma być ze sobą szczerą, to musi przyznać, że wydanie książki przemówiło do jej próżności. Nie chce być tylko kolejną bezdzielną królową, nie, ponieważ było ich tak wiele i o większości z nich prawie nikt nie pamięta. Często myśli o Koperniku i zaćmieniu Słońca, o symbolach zachodzących wielkich przemian. Widzi w tym rękę Boga i pragnie zostawić po sobie na tej ziemi spuściznę, aby historia postrzegła ją jako jednego z trybunów nowej religii. Napędza ją myśl o Annie Askew, która będzie pamiętana dzięki głoszeniu ewangelii. Ją natomiast uwiecznią wspaniałe dzieła, nowe idee przekazane ludziom w ich własnym języku. Pewnego dnia napisze książki, w których zawrze własne pomysły. Ale ledwie pozwala sobie o tym myśleć – to takie niekobiece, tak bardzo sprzeczne z obowiązującym porządkiem rzeczy.



Dlatego mówi sobie, że jej obowiązkiem jako królowej i wykształconej kobiety jest wykorzystanie swej wiedzy dla większego dobra.

To samo mówi Marii, odwołując się do jej poczucia obowiązku, przypominając jej o wielkim i niezachwianym szacunku, jakim jej ojciec darzy Erazma. Wie, że Maria też ma w sobie próżność i chce być doceniana za swoją wiedzę.

– Tylko ty masz wystarczająco subtelny umysł, aby podjąć się takiej pracy – przekonuje ją, patrząc, jak palce Marii przesuwają paciorki wiszącego na pasku różańca, który niegdyś należał do jej matki.

Widzi, że ma ręce po ojcu, i rozumie, jaką klątwą musi być dla dziewczyny wieczne porównywanie jej z siostrą taką jak Elżbieta, o dłoniach smukłych jak skrzydła jaskółki, obdarzona nieodpartym magnetyzmem ojca. Marii pozostaje to, co w nim najgorsze – jego grube palce, wybuchowy temperament i te niepokojące oczy. Katarzyna chce wzmocnić w niej poczucie własnej wartości i proponując jej tę pracę, wyraźnie daje do zrozumienia, że do tego zadania celowo wybiera ją, a nie Elżbietę.

– Zachowam dla ciebie Księgę Jana. Jest najlepsza z nich i będzie pasować do meandrów twojego umysłu.

Głowa Marii powoli obraca się z boku na bok i słychać tylko wrześniey deszcz bębniący w okno. Ale potem Maria unosi oczy, oczy ojca – jak koraliki – i mówi:

– Zrobię to.

Katarzyna ma uczucie, że wreszcie odnajduje zagubioną duszę najstarszej pasierbicy. Wie, że z czasem Maria przekona się do tego pomysłu i tłumaczenie przepełni ją pasją, uwolni ją od pełnych udręki wspomnień o matce, wyzwoli z uścisku Rzymu. Księgę Jana będzie jej *tabula rasa*.

KATARZYNA ZROBIŁA Z DZIEĆMI PAPIEROWE łódki i puszcza je na fosie, żeby zobaczyć, która najdłużej będzie płynąć wyprostowana – zawsze umawiają się, że powinna zwyciężyć łódka Edwarda. Chłopiec od najmłodszych lat uczy się, że świat w magiczny sposób spiskuje, by go faworyzować. Wszak pewnego dnia zostanie królem, a właśnie takie jest życie królów. Minął miesiąc i po dniach nieustannego deszczu nadchodzi w końcu jeden z tych jasnych i zimnych jesiennych dni, które przydają intensywności kolorom. Wszyscy dla ochrony przed chłodem są opatuleni w futra, które Katarzyna kazała sprowadzić z Londynu. Wczesnym rankiem wysłała listy do rady. Nie musiała podejmować ważnych decyzji, odkąd napłynęła wiadomość o zwycięstwie króla, i teraz, gdy powrót Henryka stał się nieuchronny, czuje, że kontrola nad sytuacją wymyka jej się z rąk.

Przygotowuje się do spotkania z mężem. Miesiące na wojnie sprawiły, że będzie szalał z pożądania. Stara się o tym nie myśleć – o spełnianiu obowiązków żony. Robi jej się niedobrze ze zdenerwowania. Być może wysiłek prowadzenia kampanii sprawi, że będzie wyczerpany i niezdolny. Zauważa Meg siedzącą samotnie na kamiennej ławce, białą jak posąg, pogrążoną w lekturze. Huicke się spóźnia, ale na szczęście z dziewczyną jest jakby lepiej.

Meg pierwsza słyszy konie.

– Nadjeżdżają umyślni! – woła i wszyscy podnoszą się, by spojrzeć na most nad fosą.

Widzą grupę jeźdźców z powiewającym nad nimi sztandarem króla.

A więc stało się, myśli Katarzyna. Przybywają ogłosić powrót władcy.

Jeźdźcy zatrzymują się, widząc przed sobą królową, zeskakują z koni i padają na kolana. Wypowiadają oficjalne słowa powitania i jeden z nich podaje jej list. Król chce się z nią spotkać w Otfordzie. Katarzyna decyduje, że odeśle dzieci i zabierze tylko Dot, by jej służyła. Nie zna Otfordu, ale wie, że kiedyś pałac należał do Cranmera, i przypuszcza, że nie jest wielki. Król wybrał skromniejsze miejsce – Katarzyna podejrzewa, że bardziej intymne – co świadczy o stanie jego ducha. Znowu zostanie posłuszną żoną i wyczaruje dla męża udawane pożądanie. Zważywszy na sztuczki, jakie musi wymyślać, żeby podniecić męża, czuje się jedynie odrobinę lepsza od ładacznicy z Southwark – tylko że jej poczynania są usankcjonowane przez Boga.

I nagrody są większe, myśli z goryczą.

### *Pałac Otford, Kent, październik 1544*

APTEKA W TYM DOMU NIE JEST tak naprawdę pomieszczeniem, raczej szafką bez okna i z zasłoną w drzwiach, które oddzielają ją od spiżarni. Aby się tam dostać, Dot musi przecisnąć się obok beczek piwa i wina, wytoczonych z piwnic na wizytę króla. Ten dom jest nisko położony i wilgotny. Ściany są zimne w dotyku jak surowe ciasto i jeśli zbyt mocno się o nie otrze, kruszą się, zostawiając białe smugi na jej sukni. W lepszych częściach pałacu jest boazeria, ale tak pogryziona przez korniki, że miejscami przypomina koronkę. W zeszłym roku zwiedziła wiele domów i szybko przyzwyczajała się do ich dziwactw i korytarzy, a także do służących. Większość osób odnosi się do niej obojętnie, ale niektórzy jej nadskakują, bo wyobrażają sobie, że ma jakieś wpływy.

Gdy tylko zdąży przywyknąć do nowego otoczenia, nadchodzi czas przeprowadzki. Czuje, że może kompletnie oszaleć z powodu tego znoszenia, pakowania, rozpakowywania; zawsze musi wiedzieć, gdzie leży coś, czego ktoś może potrzebować. Chowanie klejnotów królowej do woreczków, pakowanie

sukien do kufrów, składanie bielizny, pończoch, szmizetek, czapek i czepków, z czego połowa zwykle jest wilgotna i wymaga wietrzenia po wywróceniu na lewą stronę, żeby stroje nie spleśniały – tyle zachodu po to, by nazajutrz po rozpakowaniu znów wszystko spakować i udać się do następnego dworu lub pałacu. Do tego strój myśliwski. Nikt nie dałby wiary, z ilu części się składa. I błoto – najgorsze jest błoto, grudy na butach, bryzgi na pelerynach, oblepione rąbki sukien, wyschłe grudki na podłodze.

Nie miałyby nic przeciwko przeprowadzce, gdyby nie to, że William Savage tym razem nie jedzie z nimi. Królowa wysłała go do Devonu, by obejrzał jeden z jej folwarków. Z pewnością to zaszczyt, bo nigdy nie widziała go równie podekscytowanego – no, prawie nigdy. Dot ma tylko mgliste pojęcie, gdzie leży Devon, gdzieś daleko na zachodzie, w tej części Anglii, która na mapie wygląda jak zadnia psia łapa. William pokazał jej to w pokoju map w Hampton Court.

Ma cenne wspomnienia o nim, wspomnienia pocałunków w spichrzu, żaru jego oddechu, palców błędzących i wnikających w nią, i tego, że przez niego dyszała jak pies, serce jej łomotało tak mocno i szybko, że myślała, iż padnie trupem z podniecenia. Za każdym razem, gdy się spotykali, odkrywał nową część jej, fragmenty ciała, których istnienia była ledwie świadoma, i stękał z pożądania przy każdym odkrytym pagórku i wgłębieniu. Przeżyła szok, gdy chwycił jej rękę i przyłożył ją do swojej pachwiny, a ona poczuła to w jego saczku. Sama twardość zaparła jej dech w piersi, gdy pomyślała, gdzie to ma trafić.

– Rozwiąż troczki – wydyszał.

To wyskoczyło, jakby miało własny rozum, i nabrzmiało pod jej palcami – za bardzo, pomyślała. Niemożliwe, żeby w nią weszło, wbrew temu, co mówiła jej Betty. Kiedy jednak William uniósł jej spódnicę i wsunął to w wilgotną część jej ciała, pasowało jak ulał, jak rękawiczka z koźlęcej skóry na dłoni królowej. Nigdy nie przypuszczała, że może istnieć tak wielka przyjemność. Dobrze wiedziała, że to rozkosz grzechu, i później zalała się tam szczypiącym octem, bo Betty przysięgła, że to najlepszy sposób, by nie mieć dziecka.

Czasami fantazjuje, że Will wyruszył na wyprawę, może na krucjatę, a ona, jego bogdanka, z utęsknieniem czeka na powrót swojego rycerza, żeby wziął ją w ramiona i opowiedział o przeżytych przygodach. Ale Devon to nie Ziemia Święta, a pobieranie opłat dzierżawnych – czy cokolwiek tam robi – jest mało romantyczną przygodą. Tak czy inaczej, jest zbyt zajęta przeprowadzkami i błotem, żeby mieć czas na rozmyślenia o nim, nawet w nocy. Kładzie się spać bardzo późno, dopiero gdy królowa i wszystkie królewskie dzieci mają już dość kart, szachów, poezji i – przede wszystkim – gadania. Tutaj tyle gadają. Zastanawia się, jak mogą wymyślać tyle rzeczy do powiedzenia. Kiedy rozkłada posłanie, oczy jej

się zamykają, a wszystkie myśli o Williamie giną w zmęczonym śnie bez marzeń sennych.

Deszcz lał jak z cebra przez dobre dziesięć dni. Myślała, że już nigdy nie będzie sucha. Było tak zimno, że królowa posłała do Londynu po futra. Ale teraz wróciło wodniste jesienne słońce i znów jest całkiem ciepło. Dot jest temu rada, bo Meg wyjeżdża dziś z Eltham do jakiegoś domu (jego nazwę zdążyła zapomnieć) z Elżbietą, za którą ona ani trochę nie zatęskni, i z księciem Edwardem, trochę według niej nadętym, jeśli ma być szczerą.

Meg znowu zapadła na zdrowiu; przez jakiś czas było lepiej, ale poprawa nie trwała długo. Od kilku dni nęka ją tak straszny suchy kaszel, jakby miała wykaszleć wnętrzności. Jest ciągle zmęczona i zasypia ledwie godzinę po wstaniu. Co najgorsze, chyba traci rozum, bo wszędzie widzi anioły i diabły, bredzi i bełkocze. Katarzyna dała jej tynktury na kaszel, ale Dot martwi się, jak Meg zniesie podróż. Tak czy inaczej, ma do niej przyjechać doktor Huicke; będzie wiedział, co robić.

Dot nie zaciąga zasłony w aptece, żeby bez zapalania świecy widzieć, co robi. Nie wie, gdzie w tym domu przechowują świece, i nie chce jej się szukać odpowiedniej osoby, by o to zapytać. Kładzie na stole i otwiera pudełko z ziołami królowej. Jest podzielone na starannie opisane przegródki. Królowa poprosiła o przygotowanie okładu na nogę króla; wcześniej pokazała, co należy zrobić. Dot wie, że najpierw trzeba utrzyć w moździerzku po miarce gorzknika, żywokostu i krwawnika, stopniowo dodawać oczar, a następnie zgarnąć mieszankę na kawałek gazy i zawiązać końce.

Choć rozpoznaje wszystkie rośliny po samym zapachu, szuka liter: „g” jak hak do mięsa, „o” jak usta chórzysty, „r” jak graca, „z” jak miecz, „k” jak motyka, „n” jak drzwi kościoła, „i” jak zapalona świeczka. Wypowiada je, układając w słowa. Nie powiedziała Williamowi, w jaki sposób zapamiętała kształt liter, bo bała się, że wyjdzie na głupią. Ale teraz, gdy odczytuje nazwy ziół w pudełku, wcale nie czuje się głupia, ponieważ jest dziewczyną, która umie czytać, i każde kolejne słowo jest jej sekretnym zwycięstwem.

Bierze po miarce ziół i rozbija je tłuczkiem, miażdży na drobny proszek, wybierając twarde łodygi, po czym dolewa odrobinę wyciągu z oczaru, którego zapach wierci ją w nosie i sprawia, że łzawią oczy; szybko korkuje butelkę, jak pokazała jej Katarzyna, żeby nie uciekł w powietrze. Składa na pół kwadrat gazy i nakłada łyżką miksturę, po czym starannie wiąże końce przed włożeniem kompresu do drewnianej miski. Porządkuje wszystko, przeciska się obok beczek i szuka drogi w płataninie korytarzy, licząc drzwi, żeby się nie zgubić.

Katarzyna jest w komnatach męża. Król siedzi na ławce pod oknem. Dot nie przyzwyczała się do jego rozmiarów. Ma szeroko rozstawione nogi i saczek tak wielki, że wybuchłaby śmiechem, gdyby chodziło o kogoś innego. Katarzyna siedzi

na niskim stołku i patrzy na niego. Widząc to, Dot myśli o Rigu spoglądającym na nią dużymi ślepkami, a ona nie wie, jak mu odmówić. Król przywiózł Katarzynie w prezencie białą małpę. Zwierzę ma dziwny pysk, jak twarz starca, brązowe szkliste oczy i różowe szpiczaste uszy, sterczące po bokach głowy. Najdziwniejsze jednak są jego ręce – niby ludzkie, ale niezupełnie – i teraz zwisa na jednej z karnisza, wydając ciche odgłosy, które przypominają wołanie kłaskawki. Królowa nazwała to stworzenie Franciszkiem, co, jak powiedziała, bardzo rozbawiło króla, bo takie imię nosi pokonany król Francji.

Król wygląda na starszego i większego niż kiedykolwiek, twarz ma nadętą niczym Księżyc Żniwiarzy. Nikt nie uznałby Boulogne za wielkie zwycięstwo, widząc jego zwieszona ramiona i słysząc, jak grzmi na cesarza. Dot domyśla się, że cesarz zdradził go w taki czy inny sposób i że ma to coś wspólnego z królem Franciszkiem i jakimś traktatem.

Katarzyna przypomina mu o jego triumfie w Boulogne, mówi, że to jego Agincourt; ludzie wciąż pamiętają tę bitwę z Francuzami sprzed wieków, jakby stoczono ją wczoraj. Król trochę się prostuje, słysząc te słowa. Nazywa ją „moje kochanie”, „umiłowana”, „najdroższa Kit”, „moja prawdziwa miłości”, ale wydaje się, że królowa zamknęła się w sobie, ukryta pod maską opanowania. Przy królu jest mała i sztywna.

– Pomożesz mi, Dot? – mówi. – Przynieś stołek, aby Jego Królewska Mość mógł oprzeć nogę. – Zaczyna rozwiązywać tasiemki pończochy.

Zakłopotana Dot odwraca wzrok, szukając poduszki, żeby miał wygodnie. Nie może przestać myśleć o tym, jak rozwiązywała nogawice Williama. Jakże tu jest inaczej, bez odrobiny namiętności, gdy król dźwiga się z ławki, a Katarzyna zręcznie wyciąga spod niego pończochę. Król opada z jękiem, owija się szatą dla przyzwoitości i kładzie nogę na stołku. Robi to wszystko bez jednego spojrzenia na Dot, jakby jej tam nie było, jak zwykle, i jest z tego rada.

– Moja droga, możemy kazać komuś, żeby się tym zajął – mówi król.

– Jestem twoją żoną, Harry, i z przyjemnością ulżę ci w cierpieniu.

Król z cichym pomrukiem zadowolenia klepie Katarzynę po tyłku, gdy ta się pochyla, żeby odwinąć bandaż. Odsłonięta rana wydaje się żywa. Dot klęka, by zabrać stos brudnych bandaży, i widzi, że rana roi się od larw jak zgniły kawałek mięsa. Krztusi się na ten widok. Małpa skrzeczy i kołysze się na karniszu, po czym zeskakuje na podłogę, by z jeszcze większym wrzaskiem przyjrzeć się nodze króla. Jeden z paziów podbiega i urządza niezłe widowisko, ścigając ją po pokoju, nurkując za nią pod stół i uderzając się w głowę.

Jego Królewska Mość wybucha śmiechem.

– No dalej, Robin! Małpa jest lepsza od ciebie!

Sfrustrowany Robin czerwienieje, ale w końcu osiąga cel, łapie piszczące stworzenie za ogon i przekazuje je stojącemu za drzwiami strażnikowi. Dot ponownie skupia uwagę na zarobaczonej ranie.

– Larwy pięknie oczyściły ranę – mówi Katarzyna. – Podaj mi miskę, Dot.

Dot nie reaguje. Jest sparaliżowana z obrzydzenia, ale nie może oderwać wzroku od kłębiących się larw.

– Dot – powtarza Katarzyna, chwytając ją za ramię, i sama schyla się po miskę. – Nadrzesz świeżego muślinu na bandażu?

Muślin leży po drugiej stronie komnaty, na bocznym stoliku, i Dot jest pewna, że królowa rozmyślnie powierzyła jej to zadanie. Odchodzi z ulgą, ale co rusz zerka na swoją panią, która strzepuje larwy z rany do miski. Zastanawia się, skąd czerpie taką pogodę ducha; sama chciałaby być taka.

Król krzywi się i wciąga powietrze przez zęby, wierząc się na krześle.

– Czy to pomysł doktora Buttesa, żeby wykorzystać larwy? – pyta Katarzyna.

Król kiwa głową.

– W istocie dobry pomysł. Spójrz, Harry, jak dokładnie oczyściły ranę. Słyszałam o tej metodzie, sama jednak dotąd jej nie stosowałam.

Oboje patrzą na nogę jak na francuskie srebra.

– Jakie cuda stworzył Bóg – dodaje Katarzyna, po czym bierze kompres, ogląda go i wacha. – Sprawiałaś się, Dot – mówi, delikatnie przyciskając gazę z ziołami do rany.

Pochwała królowej rozgrzewa serce dziewczyny. Król przygląda się żonie w milczeniu, z głową przechyloną na bok, z tak czułym wyrazem twarzy, jakiego Dot jeszcze nigdy u niego nie widziała.

– Robin, bądź tak miły i wynieś te rzeczy. – Katarzyna wskazuje głową na brudne bandażu i miski z larwami.

Dot wie, że to ona powinna posprzątać i że jej pani uwolniła ją od tego obrzydliwego obowiązku. Po wyjściu pazia Katarzyna z rozrzewnionym wzrokiem, który wcale do niej nie pasuje, pyta:

– Posłać po muzyków, Harry? Myślę, że poprawią ci nastrój.

– Jesteśmy zbyt rozeźleni na tego szatańskiego cesarza, żeby zażywać rozrywki – burczy król.

– Och, Harry – Katarzyna gładzi jego nalaną twarz – cesarz nigdy nie był godny zaufania. Jego słowo nic nie znaczy.

– Był moim sprzymierzeńcem. Za moimi plecami zawarł traktat z Francją. – Ma głos nadąsanego chłopca. – Mieliśmy razem podbić całą Francję. Okryłbym się chwałą, Kit. Byłbym pamiętany jak piąty Henryk.

– Jak sądzisz, co możesz zrobić, żeby pokazać cesarzowi, gdzie jego miejsce?

– Przypuszczam, że moglibyśmy połączyć siły z kimś innym, ale z kim?

– Kto jest do wyboru? Francja znalazła się pod butem cesarza i jest z nimi papież, co sprawia... – Katarzyna milknie, jakby czekała, żeby król dokończył za nią, on jednak jest głęboko zamyślony i nic nie mówi. – Może gdybyś spojrział dalej na wschód?

– Turcja? Szatański pomysł – prycha Henryk, przywołując ją do porządku.

Ale ona nie da się zepchnąć z kursu.

– Nie tak daleko na wschód.

– Książęta niemieccy! Możemy zawrzeć porozumienie z Holsteinem i Hesją. Mają ogromną armię. I Dania również. Wszyscy książęta luterańscy. Cesarz... Ha! Chciałbym wtedy zobaczyć jego minę.

– Tak! – wykrzykuje Katarzyna jak nauczyciel, który w końcu uzyskał właściwą odpowiedź od ucznia.

– Możemy jeszcze dorzucić którąś z dziewcząt.

– Elżbieta jest bardzo młoda – zaznacza Katarzyna. Jej pięść przypomina skulony pączek, który pęka w palcach. Dot od miesiący nie widziała, żeby tak zaciskała rękę. – A Maria ze swoją wiarą...

– Bzdury. – Król się śmieje. – Maria musi wyjść za mąż, zanim zostanie starą panną. Jeśli musi poślubić luteranina, niech tak będzie. – Gładzi szyję żony, po czym unosi jej twarz. – Kit, jesteś cudem. Nikt z mojej rady na to nie wpadł.

– Ależ, Harry, przecież to twój pomysł.

Król duma nad tym przez chwilę, po czym mruczy:

– Masz rację, moja słodka, masz rację.

Dot podziwia spryt swojej pani i chociaż nie wyznaje się na polityce, rozumie, co zaszło. Śmieje się w duchu na myśl, że jej pani wkłada wszystkie swoje pomysły w głowę króla, a on w ogóle nie ma o tym pojęcia.

– Wiesz, Harry – mówi Katarzyna – mam zamiar, za twoim pozwoleniem, napisać książkę.

– Książkę! – Król parska śmiechem. – Jaką książkę? O prowadzeniu domu? O kwiatach?

– Zbiór modlitw lub medytacji.

– Wiara, Kit, to zdradliwe terytorium.

– Nie śmiałabym poruszać tego, co budzi kontrowersje.

– Pamiętaj o tym. – Król chwyta ją za nadgarstek i skręca go bezlitośnie.

Dot widzi, jak skóra marszczy się pod jego palcami, ale twarz Katarzyny nie wyraża bólu.

# 7



*Pałac Greenwich, Kent, marzec 1545*

MEG LEŻY NA ŁÓŻKU ZGIĘTA WPÓŁ i kaszle. Jest coraz gorzej. Dot sądziła, że gdy pogoda się poprawi, Meg wróci do zdrowia, ale żonkile już kwitną, stojąc jak żołnierze w ogrodach Greenwich, a ona usycha niczym jesienny liść. Dot rozluźnia jej szmizetkę i naciera balsamem klatkę piersiową, czując drżenie dziewczyny. Spostrzega upuszczoną chusteczkę, schyla się po nią i serce zamiera jej ze strachu.

W białych fałdach kwitnie czerwony kwiat.

– Od jak dawna to się dzieje, Meg? – Rozkłada białe płótno, pokazując czerwoną plamę.

Meg nie patrzy na chusteczkę, tylko szczerzej otula się kołdrą.

– Dorzuć do ognia, proszę.

– Odpowiedz!

– Jest mi bardzo zimno.

– Meg. – Dot klęka na łóżku, bierze ją za ramiona i patrzy prosto na nią. – Od kiedy kaszlesz krwią?

– Od paru miesięcy. – Głos Meg jest cichy.

– Od paru miesięcy? – Dot powtarza to głośniejszym głosem, niż zamierzała. – Co mówi Huicke?

– Nie powiedziałam mu.

– To twój lekarz, Meg. Po to jest.

Dot czuje, że łzy napływają jej do oczu. Zamyka Meg w uścisku, żeby nie było widać jej twarzy. Wszyscy wiedzą, że gdy zaczniesz kasłać krwią, twoje dni są policzone. Puszczą Meg i podchodzi do ognia, wyciąga z kosza duże polano, wrzuca je i popycha pogrzebaczem. Strzelają iskry, długie języki płomieni liżą drewno.

– Muszę powiedzieć o tym królowej.



Meg milczy. Czyta książkę, religijną. Już dawno zarzuciła romanse. W pokoju panuje nieznośna cisza, słychać tylko trzask ognia i jej chrapliwy oddech.

Dot zabiera chusteczkę i wychodzi.

Katarzyna w antykamerze czyta na głos grupie swoich dwórek. Dot pewnie wygląda tak, jakby zobaczyła ducha, albo gorzej, bo królowa, gdy tylko rzuca spojrzenie na jej twarz, przeprasza, wstaje i idzie do drzwi komnaty. Daje znak, że Dot ma pójść za nią.

– Co się stało? – pyta, kiedy drzwi się zamykają. Dot otwiera dłoń i pokazuje splamione krwią płótno. – Ojczy, zmiłuj się – szepcze Katarzyna, przykładając rękę do serca. – Meg?

Dot kiwa głową. Nie może mówić, jakby zgubiła głos i nie mogła go znaleźć.

– Właśnie tego się bałam.

Stoją nieruchomo, zda się, przez całe wieki. W końcu Katarzyna otwiera ramiona i Dot w nie wpada; wreszcie daje upust łzom w głośnym spazmatycznym szlochu.

– Tego się bałam – powtarza Katarzyna, jakby jej też zabrakło słów, i gładzi włosy dziewczyny.

Dot nie jest płaksą, teraz jednak nie może się opanować; czuje, że wypłakuje wszystkie łzy, które nigdy wcześniej nie zostały wylane. Uwalnia się z objęć Katarzyny i wyciera oczy fartuchem, pozostawiając na nim czarne smugi sadzy z węgla drzewnego. (Betty pierwsza jej pokazała, jak pudrować sadzą powieki „dla upiększenia”, jak powiedziała. Betty zawsze ma różne sztuczki, żeby przyciągnąć uwagę chłopaków). Katarzyna wyjmuję szmatkę z miski, wyżyma ją i przeciera jej twarz. Tkanina lekko pachnie pleśnią, co przypomina Dot, że powinna ją była rano wygotować.

– Nigdy w pełni nie doszła do siebie od czasu...

Królowa nie kończy zdania; nie musi nazywać tego miejsca. Murgatroyd nie żyje chyba od dziesięciu lat, ale wniknął w ich życie jak szew, którego nie da się wypruć.

– Przeklęty człowiek.

Siadają na ławce przy oknie. Na zewnątrz ćwierkają ptaki, pewnie gnieźdzą się pod okapami.

– Często zachodziłam w głowę, dlaczego Meg była tak głęboko wstrząśnięta. Myślisz, że to przez jej młody wiek?

Dot ma wrażenie, że ciężar tajemnicy wbija ją w ziemię, utrudniając jej oddychanie. Ale po namyśle dochodzi do wniosku, że utrzymywanie tego sekretu niczemu się nie przysłużyło.

– Jest coś...

– Coś?

– Meg kazała mi przysiąc, że dochowam tajemnicy.

– Czas na sekrety się skończył, Dot.

Głęboko pogrzebała tajemnicę i strzegła jej przez długi czas, więc teraz nie wie, czy znajdzie słowa, by to wyjawić.

– Ten mężczyzna... Zniewolił ją... Zniszczył.

Przerażona Katarzyna zasłania usta rękami. Dot nigdy nie widziała jej równie oniemiałej, przybitej.

– Zawiodłam... zawiodłam, Dot... – mówi w końcu i urywa; wykręca sobie palce. – Powinnaś była mi powiedzieć.

– Dałam słowo.

– Słowo... – Królowa wzdycha. – Twoja lojalność jest niepodważalna. – Milknie i znów załamuje ręce.

Kiedy wreszcie się odzywa, Dot słyszy smutek w jej głosie.

– Myślałam, że ją ochroniłam. Przez te wszystkie lata myślałam, że oddając mu siebie, zapewniłam jej bezpieczeństwo... wam obu... – Zaczyna się. – Chciałam wam oszczędzić...

– Wiem, że to mała pociecha, ale mnie nie tknął.

– Zawdzięczasz to swojemu niskiemu pochodzeniu. Dzięki Bogu za drobne łaski, Dot... Drobne łaski. – Głos Katarzyny jest gorzki jak goryczka. – Gdyby nie zawisł, znalazłabym go i rozerwała na strzępy gołymi rękami.

Słyszą trzask i wybuch śmiechu w antykamerze, a z dziedzińca dochodzi stukot końskich kopyt. Życie na zewnątrz tego pokoju jest takie samo, jednak Dot może myśleć tylko o Meg wykasłującej serce.

– Niektórym nie jest pisane być długo na tej ziemi – mówi Katarzyna. – Bóg ją wzywa. Mam nadzieję, że nie będzie zwlekać, jak w przypadku...

Dot przypuszcza, że chodzi jej o lorda Latimera i jego wielomiesięczne konanie w straszliwych boleściach. Bez namysłu sięga po rękę swojej pani, ostrożnie rozprostowuje jej sztywne palce i po kolei rozciera kostki.

Królowa spogląda na nią z wyrazem niemego podziękowania.

– Dot, wiesz, że zawsze byłaś dla Meg pociechą. Byłaś jej prawdziwą przyjaciółką. Bądź blisko niej. Nie odstępuj od jej boku. Postaram się przychodzić jak najczęściej, ale sama wiesz, jak jest.

Oczywiście, Dot rozumie, że Katarzyna musi być na każde zawołanie męża, który ma pierwszeństwo przed Meg.

Król ma pierwszeństwo przed wszystkimi i nic tego nie zmieni, czy się to komu podoba, czy nie.

CZĘSTO W NOCY DOT, BUDZĄC SIĘ, widzi Katarzynę, która wygląda jak duch w bladej koszuli nocnej, siedzącą w rogu łóżka Meg, cicho śpiewającą dla niej

albo klęczącą i pogrążoną w modlitwie.

Meg więdnie jak kwiat, traci płatki jeden po drugim. Od dziesięciu dni plecie o aniołach, bez sensu, a później leży spokojnie, dopóki nie zacznie się atak gwałtownego kaszlu, jakby jej ciało próbowało wywrócić się na lewą stronę. Wydaje się, że tak naprawdę już jej tu nie ma, że jest gdzieś indziej. Dot ma nadzieję, że w lepszym miejscu. Czasami Meg chwyta ją za rękę i mówi:

– Boję się. Boję się umrzeć.

Dot siedzi przy jej łóżku, zastanawiając się, czy cała wiara, modlitwa i czytanie Biblii pomogą Meg, gdy nadejdzie koniec. Jest przy niej cały czas, myje ją, karmi, podaje jej lekarstwa, opiekuje się nią jak Katarzyna lordem Latimerem. Doktor Huicke przychodzi codziennie. Mówi, że nic jej nie uratuje, że nalewki trochę złagodzą ból, to wszystko. Ale przecież wiedzieli o tym, wiedzieli od chwili, gdy Dot znalazła plamę krwi na białej chusteczce.

Elżbieta nie przybyła, chociaż Katarzyna ją wezwała. Jest w Ashridge ze swoim bratem. Przesłała list, który Meg czyta na okrągło. Dot też go przeczytała. Niewiele w nim jest, tylko kilka frazesów. Nauczyła się tego słowa od Williama Savage'a. Nie wie, co się z nim dzieje, odkąd wyjechał kilka miesięcy temu, i próbuje o nim zapomnieć, lecz zżera ją tęsknota. Powtarza sobie: nie bądź głupia, William Savage to nie Lancelot, tylko mężczyzna, który použíwał sobie z naiwną dziewczką.

Ale przecież także uczył ją czytania, wpatrywał się w nią i mówił: „Nie ma na świecie drugiej takiej panny jak ty, Dorothy Fownten, i nie ma nikogo, z kim wolałbym spędzać czas”. Nie chodziło mu tylko o to, żeby zabawiać się z nią w spichrzu. Mógł dostać to samo od Betty, poklepując ją po tyłku i proponując jej kubek piwa. Gdy Dot pozwala sobie o tym myśleć, nie może znaleźć dobrego wyjaśnienia, dlaczego nie dostała od niego choćby krótkiej wiadomości. Sam nauczył ją czytać, a nie przysłał jej ani jednego listu. Może nie pisze ze strachu, że list trafi w niepowołane ręce i przysporzy jej kłopotów. Dot obawia się jednak, że po prostu o niej zapomniał.

Katarzyna wspomniała niedawno o Williamie; powiedziała, że tęskni za jego grą. Dot chciała spytać, gdzie on jest i czy wróci na dwór. Ale bała się, że rumieńcem zdradzi swoją tajemnicę albo całą sobą pokaze, że go kocha. Poza tym nie ma go już od tak dawna, że z trudem potrafi przywołać w głowie jego obraz. Zblakł, zostało po nim tylko mgliste wrażenie, niczym widmowe wzory, jakie tworzą opadłe jesienne liście na mokrych kamiennych płytach. Zresztą zamartwianie się o biedną Meg nie zostawia w niej miejsca na myśli o miłości.

Meg czyta – nie, pochłania – książkę, którą Elżbieta przysłała królowej na Nowy Rok, własnoręcznie napisaną, po angielsku i po łacinie, z oprawą w kolorach czerwonym i zielonym. Dwórki przekazywały ją sobie z rąk do rąk,

wzdychając z podziwu. Dot zajrzała do niej ukradkiem, zdążyła przeczytać tytuł, *Lustro grzesznej duszy*, zanim ktoś wszedł i zaczęła udawać, że ściera kurze ze stołu, na którym leżała książka.

Z niechęcią musiała przyznać, że dzieło tak młodej dziewczyny jest nadzwyczajne, że Elżbieta ma coś, czego nie mają inni. Nie chodzi o błyskotliwy umysł ani o to, że jest córką króla – bo Marii tego nie brakuje – tylko o jakąś magię, której nie da się zmierzyć ani pojąć, a która sprawia, że kochają ją i mężczyźni, i kobiety. Ale nie ona. Elżbieta budzi w niej czystą zazdrość, choć Dot wie, że zazdrość jest jednym z grzechów głównych. Lecz to ona, a nie Elżbieta, jest z Meg teraz, kiedy ma to największe znaczenie, to ona leży na łóżku obok niej i usypia ją cichy śpiewem, to ona ociera chłodną szmatką jej rozpalone czoło i przykłada kubek rosółu do ust, kiedy ta jest zbyt słaba, żeby utrzymać go sama. Dot siedzi w milczeniu, dotrzymując jej towarzystwa, gdy Meg świszczącym głosem czyta fragmenty książki Elżbiety. Dot spaliłaby tę książkę, gdyby miała odwagę i gdyby nie sądziła, że Meg pęknie serce.

– Dot – chrypi Meg, budząc się ze snu. – To ty?

– Tak.

– Dasz mi coś do pisania? – Siada w łóżku.

Od wielu dni nie była równie pełna życia. Dot widzi iskierkę nadziei.

Ale Meg dodaje:

– Chcę spisać moją wolę. Poślesz po notariusza?

Dot ma ochotę krzyknąć: „Dlaczego miałabyś to robić? Testamenty są dla konających!”, ale tylko kiwa głową i kładzie pulpit z przyborami do pisania na łóżku.

– Pójdę przyszykować tynkturę i dam twojej matce znać, że wezwałaś notariusza.

ZARAZ PO SPORZĄDZENIU TESTAMENTU stan Meg się pogarsza.

Katarzyna siedzi teraz z nią bez przerwy, a Dot niekiedy na siłę szuka sobie zajęcia, żeby nie myśleć o tym, co się dzieje. Meg oddycha z wysiłkiem i choć się nie skarży, jest jasne, że za każdy oddech płaci wielkim bólem.

Gdy gaśnie, Katarzyna wzywa kapelana. Przychodzi, pachnący kadzidłem, i wypowiada słowa błogosławieństwa.

Wszyscy siedzą w milczeniu i jest tak, jakby czas się zatrzymał.

Meg odchodzi.

Kapelan zbiera swoje rzeczy i cicho opuszcza pokój. Dot i Katarzyna siedzą, nie mając nic do powiedzenia, a Meg stygnie na łóżku obok nich.

– Ubierzemy ją w najlepszą suknię – mówi Katarzyna. – Pomóż mi, Dot.

– Ale balsamiści...

– Dziś wieczorem ludzie będą chcieli się za nią pomodlić. Pragnę, żeby zapamiętali ją jak najlepiej.

Ostrożnie myją sztywne zwłoki, jakby bały się je skrzywdzić. Dot udaje przed sobą, że Meg jest z drewna, jak Matka Boska w kościele. Tylko w ten sposób może to znieść. Bierze dzbanek, żeby napełnić miskę, ale naczynie wyslizguje się jej z palców i z hukiem rozbija o podłogę, a woda chlusta dookoła. Dot wybucha płaczem, jakby też się roztrzaskała, jakby wylewała się z niej cała woda. Opada na moką podłogę, wstrząsana rozpaczliwym szlochem.

Katarzyna siada przy niej, nie bacząc na to, że woda wsiąka w jej suknię z chińskiego jedwabiu, że kolory haftu farbują żółtą tkaninę. Siedzą tak w wilgotnym uścisku, kołysząc się w przód i w tył, aż przychodzi paż i widzieć, że jest zakłopotany ich łzami.

*Pałac Greenwich, Kent, czerwiec 1545*

– CO TO ZA HARMIDER? SĄDNY DZIEŃ! – mówi Katarzyna, wchodząc z Cat Brandon do swojej prywatnej komnaty.

Rig maniakalnie obszczekuje małpę. Franciszek balansuje na oparciu krzesła i ssie pestkę śliwki, trzymając długi zwinięty ogon poza zasięgiem psa. W drugiej włochatej łapce ściska drewnianą myszkę, ulubioną zabawkę Riga. Katarzyna nie polubiła małpy, uważa ją za utrapienie, ale nie miała serca się jej pozbyć. Franciszek kilka razy próbował ją ugryźć, a biedna Dot ma istne urwanie głowy, sprzątając zrobiony przez niego bałagan. Pies Cat wpada do pokoju i dołącza do Riga, jazgocząc piskliwie, a małpa drażni się z nimi, wymachując myszką.

– Gardiner, dość tego! – warczy Cat na psa.

Kobiety obracają się do siebie i wybuchają śmiechem, potęgując hałas. Katarzyna śmieje się szczerze po raz pierwszy od wielu tygodni. Śmierć Meg rzuciła długi cień.

– Wciąż nie chce mi się wierzyć, że nazwałaś go Gardiner – odzywa się Anna, wchodząc za nimi do pokoju. – Ja nigdy bym się nie odważyła.

– Przez to biskup stracił trochę poczucie humoru – mówi Cat.

– Nie wiedziałam, że kiedykolwiek je miał – komentuje Katarzyna.

– Zmusza się, by je okazywać, kiedy jestem z moim mężem, chociaż bardziej przypomina to konwulsje niż wesołość – odpowiada ze śmiechem Cat.

Służący szlachcic, czerwony i zdenerwowany, trzyma Riga za wysadzaną klejnotami obrózkę, a drugą ręką próbuje złapać Gardinera, który jest tak podekscytowany, że zsikał się na podłogę. Dot robi porządek i wyrywa mysz z włochatych palców małpy. Cat bierze na ręce swojego pieska i harmider cichnie.

Siadają na poduszkach w kałuży słońca wpadającego przez okno. To ulga widzieć słońce, gdyż padało całymi tygodniami – a przynajmniej tak się wydaje. Pogoda była jak w kwietniu, a nie w czerwcu. Mimo jasnego światła tworzą posępną grupę. Wszystkie wciąż noszą żałobę po Meg. Ten dzień był najlepszy od trzech miesięcy. Ich bogate brokaty i tafty przywodzą Katarzynie na myśl kruki z Tower, których pióra, w odpowiednim świetle, opalizują jak kropla oleju na wodzie. Dała Dot nową suknię z porządnego czarnego barchanu i pasujący do niej czepek. Ładnie w tym wygląda, choć już zawieruszyła gdzieś szmizetkę i rozdarła o coś spódnicę. W jej braku wyrafinowania jest coś, co Katarzyna uważa za ujmujące, zwłaszcza tutaj, gdzie jest aż nadto pretensjonalności. Po odejściu Meg Dot stała się dla niej tym bardziej cenna. Nigdy tego nie wyjawia, ale uważa ją za córkę; nawet bliższa jest jej niż Elżbieta czy Maria. Przeszłość niezwykle mocno związała je ze sobą.

Przybywa Stanhope i od razu robi zamieszanie, krzycząc w korytarzu na swoją służkę. Gdy wchodzi, ogląda się przez ramię i obrzuca biedną skuloną dziewczynę wzrokiem, który skwasiłby mleko. Katarzyna wymienia spojrzenia z Cat, która przewraca oczami. Stanhope ma na sobie olśniewającą zielononiebieską suknię przetykaną złotem.

– Widzę, że zrzuciłaś żałobę – zauważa Anna, wyjmując siostrze z ust te słowa.

– Moja najlepsza czarna suknia była brudna.

– To przykre. – Katarzyna chętnie kazałaby jej odejść, ale musi powściągnąć język i nie robić sobie z niej wroga.

Stanhope, cała w uśmiechach, dołącza do pań siedzących na poduszkach i zaczyna opowiadać o wielkiej burzy w hrabstwie Derby.

– Spadł grad, wielki jak kamienie...

Przerywa jej wejście pazia.

– Madame – mówi chłopiec – to od drukarza Bertheleta, właśnie dostarczone. – Z niskim ukłonem przekazuje jej pakunek.

Katarzyna z przejęciem bierze paczkę, rozrywa papier i odrzuca go na bok. Trzyma w rękach pierwszy egzemplarz swojej książki – *Modlitwy lub medytacje*. Franciszek chwyta papier w swoją małą dłoń i zaczyna drzeć go na drobne kawałki. Katarzyna unosi książkę, odwraca ją i ogląda pod każdym kątem. To biała skóra cieleca, miękka jak pupa oseska, ze złotymi tłoczeniami. Otwiera ostrożnie i powoli przewraca kartki, nie czytając – każde słowo ma trwale zapisane w pamięci – tylko po prostu się zachwyca.

– Pozwól mi obejrzeć – prosi Cat.

Katarzyna podaje jej książkę.

Cat przewraca kartki z podziwem na twarzy.

– To ważne, Kit.  
Anna bierze od niej książkę i czyta ustęp.

Często lamentuję i narzekam na niedole tego żywota, znosząc je ze smutkiem i wielkim ciężarem w sercu. Codziennie bowiem przytrafia mi się wiele rzeczy, które często mnie trapią, czynią niemrawą i zaciemniają moje zrozumienie. Wielce mi szkodzą, albowiem odrywają mój umysł od Ciebie i obciążają mnie na tyle sposobów, że nie mogę swobodnie i wyraźnie Cię pragnąć.

– Och, Kit – szepcze Anna – to piękne.

– Jesteś pierwsza – dodaje Cat. – Jesteś pierwszą królową, która opublikowała własne słowa po angielsku. Tworzysz historię, Kit.

Katarzynie kręci się w głowie: jej słowa wydrukowane czarnym tuszem! Gdy słucha, jak siostra czyta kolejny fragment, czuje się niezniszczalna, jakby w pewien sposób uniknęła doczesnego unicestwienia. Rozpacza po stracie Meg, jak gdyby sama ją powiła, ale ta książka jest balsamem dla jej duszy. Ukazanie się książki w druku odbiera jak narodziny, choć nosiła ją w głowie, nie w brzuchu. To coś, co ją przeżyje. Codziennie pyta Boga, dlaczego po dwóch latach małżeństwa nie pobłogosławił jej dzieckiem, dlaczego wszystkie – siostra, Stanhope, ta nieznośna Jane Wriothesley – rodzą dzieci jedno po drugim, tylko nie ona.

Jane Wriothesley nie tak dawno straciła syna i odchodziła od zmysłów z rozpaczy, płakała tygodniami, odmawiała jedzenia. Katarzyna wciąż nie mogła uciec od wspomnień swojego zmarłego dziecka, lecz żal trzeba było pogrzebać tak głęboko, żeby już nigdy nie wrócił. Próbowwała współczuć Jane, ale ta miała inne dzieci – prawie bez przerwy chodziła brzemienna. Katarzyna napisała do niej, przypominając, że jej syn został pobłogosławiony, skoro Bóg go zabrał do siebie, i że powinna być wdzięczna, iż nie będzie musiał znosić trudów ziemskiej egzystencji. Później żałowała bezdusznego wydźwięku tego listu, a co gorsza, Jane pokazała go mężowi i Wriothesley poszedł na skargę do króla.

– Bóg wybrał to dziecko i wziął je do nieba, czy to nie błogosławieństwo? – spytała szorstko, gdy król poruszył ten temat.

– Masz rację, Katarzyno, jak zawsze, ale zdenerwowałaś Wriothesleya. Jest naszym lordem kanclerzem i nie będziemy go denerwować. Przepróż tę kobietę.

Odwołała swoje słowa, a ponieważ niezupełnie mogła zmusić się do właściwych przeprosin, pewnego wieczoru niechętnie zaprosiła Jane Wriothesley, by usiadła obok niej na przedstawieniu; Jane była przeszczęśliwa i wierciła się z podekscytowania. Katarzyna jednak, mimo że okazała względy żonie Wriothesleya, coraz bardziej czuje na sobie jego badawczy wzrok, jak gdyby

szukał skazy na jej pancerzu. Henryk mianował go lordem kanclerzem i teraz Wriothesley uważa się za niepokonanego, jakby zapomniał, że Cromwell też był lordem kanclerzem, podobnie jak Tomasz Morus – i proszę, co się z nimi stało.

Wriothesley wyraźnie jej nie cierpi – jej i tego, za czym się opowiada – choć stara się to ukrywać. Katarzyna czuje, że jego koteria zwiera szyki, tylko czekając na jej błąd. Nie ma syna – to jedna szczelina w jej zbroi. Nie ma potężnych krewnych godnych wzmianki – druga szczelina. Król powiedział jej, że zaczął nosić w zanadrzu dubletu srebrne puzderko zawierające kilka drzazg z krzyża. Równie dobrze drzazgi mogą pochodzić z rozbitej bramy, ale są pewnym znakiem, że Henryk wraca do starej wiary – następna szczelina. Nie minie wiele czasu, a podsuną jej mężowi pod nos jakąś ślicznotkę i wmówią mu, że na pewno da mu upragnionego syna.

Tymczasem król przebywa w Portsmouth i prowadzi nową kampanię przeciwko Francuzom, których okręty napierają na południowe wybrzeże. Śle Katarzynie listy, w których sławi swoje galeony, znacznie większe od francuskich okrętów. Nie jest pewna, czy to lepiej, gdy go nie ma i nie kuszą go panny do wzięcia, czy gorzej, bo nie stoi między nią a tymi katolickimi sępami i nie daje jej przynajmniej możliwości poczęcia drugiego księcia.

Anna przerzuca strony, szukając kolejnego fragmentu, który przeczyta. Katarzyna zauważa, że Dot przestała zamiatać palenisko i stoi, na wpół odwrócona w ich stronę, jakby chciała lepiej słyszeć rozmowę.

– Dot – mówi. – Chcesz zobaczyć?

Dot kiwa głową i z zawstydzeniem składa lekki dyg. Wyciera ręce w fartuch, bierze książkę i przysuwa ją do nosa, jakby chciała poczuć jej zapach. Trzymając ją ostrożnie niczym noworodka, otwiera na stronie tytułowej i przesuwając palcami po papierze.

– *Modlitwy lub medytacje, w których umysł jest poruszony* – czyta szeptem, podążając za wierszami do następnej linijki. – *Napisane przez najbardziej cnotliwą i łaskawą księżną Katarzynę, Królową Anglii.*

– Dot! – Katarzyna nie kryje zdumienia tym, czego właśnie była świadkiem. – Od kiedy umiesz czytać?

Dot dziwnie na nią patrzy.

– Tak naprawdę nie umiem... – jąka się, czerwona jak burak. – Podchwyciłam tylko kilka słów tu i tam, madame.

– Bystra z ciebie dziewczyna, Dot. Szkoda, że nie jesteś szlachetnie urodzona i nie otrzymałaś odpowiedniego wykształcenia.

Katarzynie przychodzi na myśl, że Dot niewątpliwie tęskni za Meg co najmniej równie mocno jak ona. Że już nie ma nikogo, kto by dla niej czytał.



– Elżbieta jest świetnie wykształcona – wtrąca Cat. – Jak tam jej nowy nauczyciel?

– Grindal. Lubi go – mówi Katarzyna.

Wybrała Grindala z uwagi na jego błyskotliwy umysł i dyskretne sympatie do reform, a także ze względu na łagodność charakteru. Nigdy nie podobało jej się nabijanie głów dzieci faktami.

– Bystrość może nie wyjść tej dziewczynie na dobre – zaznacza jej siostra.

W tym momencie nagle, bez zapowiedzi, do komnaty wpada Huicke.

– Huicke, spójrz, dotarła moja książka. – Katarzyna wyciąga tom w jego stronę, on jednak go nie bierze.

Ma szarą twarz.

– Co się stało?

Wszystkie teraz patrzą na niego i powoli unoszą się z poduszek, jak czarne tulipany po podlaniu wodą. Huicke nieznacznie wskazuje głową stojącego przy drzwiach pazia Percy’ego. Katarzyna odpowiada niemal niedostrzegalnym skinieniem. Franciszek zinterpretował napięcie jako atmosferę zagrożenia i zaczyna skrzeczeć, co daje jej doskonały pretekst.

– Percy, na litość boską, zabierz to stworzenie. Przyprawia mnie o ból głowy.

Chłopiec łapie wrzeszczącą małpę i wychodzi z pokoju. Huicke spogląda na Dot, która krząta się przy kominku.

– Możemy jej zaufać – zapewnia go Katarzyna.

Gromadzą się w kręgu, by usłyszeć, co medyk ma do powiedzenia.

– Anna Askew została aresztowana – szepcze Huicke.

Kolory spływają z ich twarzy.

– Zaczyna się – mówi Anna.

– To sprawka Gardinera i Wriothsleya – wyjaśnia Huicke.

– Musimy pozbyć się wszystkiego, co nas z nią łączy, wszelkich książek i listów. Pokoje królowej muszą być uprzątnięte – odzywa się Cat, zawsze praktyczna, nawet w sytuacjach kryzysowych.

To jeszcze nie kryzys, myśli Katarzyna. Stanhope zasłania usta ręką, wytrzeszczając oczy ze strachu, i tym razem milczy.

– Mam wezwać Udalla do pomocy? – pyta Huicke. – Jest bardzo pomysłowy...

– Nie! – krzyczy Katarzyna, po czym się uspokaja. – Nie sądzę. Trzymajmy go z dala od tego. Anno, ostrzeż innych. – Widzi błysk paniki w oczach siostry i zauważa, że Cat też to dostrzegła.

– Ja to zrobię – mówi Cat. – Ty, Anno, ruszaj do zamku Baynarda i dopilnuj, aby kompromitujące pisma trafiły do ognia. Czy możesz dyskretnie przekazać wiadomość swojemu mężowi? Nikt nie może zobaczyć, że jesteśmy zaniepokojeni.

Katarzyna ściska rękę siostry.

– Powinnaś powiadomić męża – zwraca się do Stanhope. – Na pewno to przed nim ukryli. – Stanhope ani drgnie, wciąż z ręką na ustach. – Przede wszystkim musimy zachowywać się tak, jakby nic się nie stało.

Kobiety rozchodzą się w szeleście tafty, a Katarzyna przywołuje Dot.

– Pomóż mi spakować książki. Poślę po kogoś, żeby je stąd usunął.

Dot kiwa głową i dyga, a Katarzyna w roztargnieniu strzepuje palcem smugę popiołu z jej policzka.

– Dot – szepcze – nie wolno ci mówić o tym ani słowa. – Wie, że może jej ufać; prawdopodobnie bardziej niż komukolwiek innemu. – Rozumiesz powagę sytuacji? Jeśli Anna Askew zostanie powiązana ze mną, wszyscy skończymy na stosie.

Dopiero gdy to wypowiada i widzi zgrozę na twarzy dziewczyny, te słowa w pełni do niej docierają i nagle czuje gorąco, jakby płomienie już lizały jej ciało. Jest przerażona swoją lekkomyślnością, jak gdyby dopiero teraz zrozumiała, że z własnej woli sprowadziła niebezpieczeństwo do swoich drzwi. Powtarza sobie, że król ją uwielbia, że nigdy nie pozwoli jej spalić, ale dobrze wie, że jeśli Wriothsesley, Gardiner i ten płaszczący się Richard Rich zdołają rzucić na nią cień podejrzenia o herezję, wszyscy jej domownicy się tym udławią. Król dowie się o sprawie dopiero wtedy, gdy już będzie za późno. I teraz go tu nie ma.

Dot podnosi książkę, nową książkę, która zaledwie kilka minut temu była czymś, co chroniło Katarzynę przed unicestwieniem. Teraz wydaje się nieistotna, trochę kartek oprawionych w skórę i trochę słów – kobieca modlitwa, nic więcej. W tej chwili Katarzyna czuje się jak dziecko stojące przed czymś, co jest o tyle większe od niego, że nie może tego rozpoznać.

– Ta książka nie, Dot. Nie zawiera niczego, co mogłoby nam zaszkodzić.

Jednocześnie żałuje, że jej książka nie zawiera czegoś, co zasługiwałoby na potępienie, że nie miała odwagi zapełnić jej ideami Kalwina, jego „usprawiedliwieniem jedynie przez wiarę”, bo głęboko w to wierzy. Gdyby była naprawdę wielką królową, byłaby gotowa pójść za to w ogień. Ale nie jest Anną Askew, która nie obawia się głosić swojej wiary. „Tylko Pismo, tylko wiara, tylko łaska, tylko Chrystus, tylko Bogu chwała”. Lecz Anna Askew nie jest królową i nie obok niej spoczywa na poduszce ucho króla.

Katarzyna postanawia, że nadal będzie łagodnie przekonywać Henryka do reformy, do udostępnienia wszystkim Biblii po angielsku, by ludzie sami mogli czytać Słowo Boże i myśleć samodzielnie, by uwolnić Anglię od katolickiego zepsucia i łacińskiego hokus-pokus. W głowie obmyśla już kolejną książkę, lepszą, w której ogłosi swoją nową wiarę, książkę z mocą wprowadzania zmian.

Książkę, którą napisze, jeśli przetrwa.

*Pałac Whitehall, Londyn, lipiec 1545*

DOT BIEGNIE DŁUGĄ GALERIĄ, trzymając w ramionach piekielną małpę. Franciszek jest równie kłopotliwy jak francuski król, od którego dano mu imię. Próbuje się jej wyrwać, skubie ją ostrymi żółtymi kłami. Już raz ją ugryzł do krwi. Serce jej zamiera, gdy widzi charakterystyczną sylwetkę Williama Savage'a w drzwiach na końcu galerii. Zatrzymuje się, nogi wrastają jej w ziemię. Myśli głupio o rozdartym fartuchu i o włosach w nieładzie. On też ją widzi. Jej serce przypomina terkotkę. Minał długi czas, ale oto jest, jej najdroższy William.

– Moja Dot – mówi. – Moja Kropka.

– Williamie, wróciłeś.

Małpa wykorzystuje okazję, wymyka się z jej ramion i ucieka. William ją łapie.

– Jesteście podobne jak dwie krople wody – żartuje, ujmując małpę pod brodę jak dziecko.

Dot przez chwilę ma mętlik w głowie, nie rozumie, o co mu chodzi. Dopiero gdy William parska śmiechem, poznaje się na jego zarcie. Podaje jej małpę, muskając jej dłoń, a ona uśmiecha się do niego; chce go objąć, pchnąć pod ścianę i przycisnąć usta do jego ust, na oczach wszystkich. Ale William wydaje się starszy, większy, inny. Ma dłuższe włosy i czyste palce, bez śladu atramentu. Dot widzi ciemne kropki zarostu na jego podbródku, gdzie kiedyś rosła rzadka bródka. Ma piękny dublet ze srebrnymi skuwkami na końcach tasiemek. Nawet pachnie inaczej, jakimś mdłym pachnidłem. Jest obcy i zarazem znajomy – a ona czuje się przy nim niezręcznie.

– Gdzie byłeś? – Jej głos jest ledwie szeptem.

– W Devonie – odpowiada. – I myślałem o tobie każdego dnia.

Serce nabrzmiewa jej w piersi, podchodzi do gardła, utrudnia mówienie.

– A ja o tobie.

Małpa wychyla się i skubie skuwkę przy jego dublecie, a on się uśmiecha. Dot patrzy na dołeczek w jego policzku i czuje się tak, jakby ktoś wrywał jej duszę. Chce wymyślić coś, co by mogła powiedzieć, ale jest otumaniona jego bliskością. Chce wtulić nos w jego szyję i odnaleźć jego prawdziwy zapach.

– A któż to taki? – pyta William.

– Franciszek. Prezent dla królowej.

– A więc teraz zajmujesz się niańczeniem małpy?

Droczy się z nią, a jej nie przychodzą do głowy żadne mądre ani zabawne słowa. Zakrada się cisza.

– Czytałam – wyrzuca z siebie w końcu Dot.

– Moja pilna Dot.

Chce mu o wszystkim opowiedzieć, jak musieli pozbyć się książek, jak na całe otoczenie królowej padł strach, jak Anna Askew została uwolniona z powodu braku dowodów – ale on musi już o tym wiedzieć, bo jest jednym z nich. (Nie jest pewna, czy ona też do nich należy, ale całe to przemykanie książek i znajomość tyłu sekretów oznacza chyba, że tak).

– Było... – zaczyna.

– Widzę, że zaznajomiłeś się z moją małpką. – To Katarzyna, która podeszła do nich bezgłośnie.

William opada na kolano.

– W istocie, Wasza Wysokość, i jest pięknym okazem.

– Raczej dokuczliwym, prawda, Dot? Ale to prezent od wiecie kogo, więc obawiam się, że musi tu zostać. Dobrze cię widzieć, Williamie Savage. Brakowało mi twojej gry. Jak ma się twoja żona? Doczekaliście się już potomstwa?

Dot czuje, że nogi się pod nią uginają. Żona! Wiedziała, że pewnego dnia William się ożeni, ale założyła, że ten dzień jest odległy o lata. Potajemnie żywiła nierealne nadzieje, które w tym momencie sprawiają, że czuje się wystawiona do wiatru. Jak wtedy, gdy jakiś łotr upokarza cię tak perfidnie, że poznajesz prawdę dopiero po czasie. Już ma żonę? Patrzy na niego, szukając jakiegoś wyjaśnienia, ale jego oczy są skierowane na królową. A zresztą co tu można powiedzieć? On jest żonaty, a ona jest tylko Dot Fownten, to wszystko.

Zbiera się w sobie i odwraca się, by odejść, ale małpa nie puszcza dubletu Williama. Dot słyszy, jak królowa śmieje się i rzuca jakiś żart. Widzi, że William, czerwony na twarzy, próbuje rozluźnić zaciśnięte palce stworzenia. Zdesperowana Dot mocno szarpie zwierzę. Ręka małpy rozdziera materiał. Wybuch śmiech. Wokół nich zaczął gromadzić się tłum. Dot najchętniej zapadłaby się pod ziemię ze wstydu.

Zjawia się Jane, która jest nowym błaznem królowej. Ma dużą okrągłą twarz i zezowate oczy i mówi jak podchmielona, głównie farmazony i rymowanki, ale czasami w jej szaleństwie widać dziwny sens, jakby powtarzała to, czego ludzie nie mają odwagi powiedzieć. Przepycha się łokciami do przodu i patrząc Franciszkowi w oczy, poklepuje swoje ramię. Małpka skacze i sadowi się tam, wyraźnie zadowolona, z miną niewiniątka.

– Im wyżej wspina się małpa – bełkocze Jane – tym lepiej widać jej tyłek.

To wywołuje jeszcze więcej śmiechu. Dot stoi, rozpaczliwie pragnąc odejść, ale nie może znaleźć pretekstu.

Katarzyna chyba wyczuła jej zażenowanie, bo mówi cicho:

– Idź, ja się nim zajmę.

Dot wymyka się tylnymi schodami i wychodzi na dziedziniec, mija strażników przy bramie i idzie w kierunku rzeki. Na ulicach jest pełno ludzi, wózki terkoczą, przekupnie głośno zachwalają towary. Widząc jej porządną czarną suknię, biorą ją za majątną, więc co kilka kroków zatrzymuje ją ktoś, kto usiłuje ją nakłonić, by rozstała się z monetami. Niektórzy są bardzo natarczywi i Dot jest rada, że nie ma przy sobie ani pensa; nikt jej nie oskubie.

Trwa odpływ, na wielkich łachach kilku chłopców brodzi po kostki w mule, szukając złomu i innych rzeczy wyrzuconych z łodzi. Z czarnego błota wznosi się martwy smród. Dwie mewy skrzeczą i walczą o truchło ryby. Inna, większa, z dużym haczykowatym dziobem, opada i chwytą łup, po czym przysiada z nim na słupie. Tamte skarżą się i dalej dziobią w brudzie. Tak to jest, myśli Dot, silni biorą to, co najlepsze, a reszcie zostaje narzekanie.

Stoi na skarpie i patrzy na leniwie płynącą rzekę i łodzie przewożące ludzi, dumając o dalekim morzu, gdzie król toczy bitwy z Francuzami – mówią o tym na dworze. Wyobraża sobie, że rzuca się do rzeki, jej nabrzmiałe serce jak wielki ciężar wciąga ją w głębinę, rzeka ją połyka i wypłuwa dalej, gdzie skubią ją mewy.

Znajduje pensa zaszytego w rąbku i zastanawia się, co by pomyśleli jej bliscy, gdyby zniknęła. Są bardzo daleko, więc wątpi, czy w ogóle usłyszeliby o tym przed upływem kilku miesięcy. Zdaje się, jakby to inna dziewczyna, z innego świata, wiodła życie w Stanstead Abbots, pragnąc Harry'ego Denta i paplając z dziewczkami na wioskowym placu. Jest w niej tęsknota za prostotą tamtego życia i poczucie straty z powodu tego, co mogłaby mieć: gromadkę dzieci, męża pijaka i na przednówku tylko cienką polewkę do jedzenia – wszystkie zwyczajne troski.

Jak sięga pamięcią, nigdy niczego nie chciała, a teraz jest dziewczyną z oczekiwaniami. Meg zapisała jej cztery funty rocznie; to więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek sobie wyobrażała, i niedługo powinna je dostać – przynajmniej tak mówił notariusz. Może tak będzie, ale teraz trudniej radzi sobie ze swoimi troskami, za każdym wspaniałym gobelinem kryje się uczucie zagrożenia, wszystko należy trzymać w tajemnicy, i wie o tym tylko Katarzyna stojąca między nią a samym Bogiem. Dot ciąży wszystko, o czym nie może nikomu powiedzieć: książki, czytanie, Anna Askew, ślady i siniaki na ciele królowej, wydarzenia w zamku Snape. Czuje się przygwożdżona przez te sekrety, jakby miała ręce i nogi przybite do pałacowych ścian, ukrzyżowana jak Chrystus.

I jest jeszcze William Savage. „Moja Dot, moja Kropko”... A czymże jest kropka, jeśli nie drobnym znaczkiem na kartce, punkcikiem oznaczającym zakończenie? Nie chce myśleć o Williamie. Od samego początku nie był dla niej. Będzie udawała, że on nie istnieje.

Odczuwa nieobecność Meg jak dziurę w piersi. Biedna Meg, która marniała na jej oczach. Były sobie bliskie jak siostry. Wydawało się, że nigdy nie miało znaczenia, iż Meg jest wysokiego rodu i nie powinna się zwierzać takiej pospolitej dziewczce jak ona, tylko służącej, nawet jeśli w porządnej sukni i ze zdrowymi rumieńcami na policzkach. Utraciły się wzajemnie ledwie na kilka miesięcy – nazywa je miesiącami Elżbiety. Ale to trwało krótko. Elżbieta rzuca na ludzi urok, to jej sposób. Poddaje ich swojej magii, przyciąga, jeśli są jej potrzebni, i odrzuca, gdy jest już nimi znudzona. Dot obserwowała, jak to robi. Nie obwinia Meg. Meg, która wykastywała serce, aż przestało bić. Cztery funty rocznie nigdy nie wynagrodzą jej tej straty.

Elżbieta nie odtrąca jedynie Katarzyny. Przywarła do niej tak mocno, że królowa nie jest w stanie zobaczyć jej prawdziwej natury. Dot jednak to widzi i nie pozwoli, żeby ta dziewczyna stanęła między nią a jej panią, ponieważ Katarzyna jest wszystkim, co jej zostało. Bycie kimś tak mało ważnym ma swoje dobre strony. Dot wie, że dla Elżbiety znaczy niewiele więcej niż kłębek kurzu w kącie pokoju i nie stanowi żadnego zagrożenia.

Wraca powoli przez wieczorną krzątanicę. Jest ciepło, plac przed bramą pałacu roi się od ludzi, którzy zebrali się dla zabicia czasu i po to, żeby jak najlepiej wykorzystać ostatnie chwile słońca. Grupa dziewcząt skacze przez skakankę, uważając na psy węszące wokół ich stóp w poszukiwaniu odpadków. Kilku mężczyzn z kubkami piwa opiera się o ścianę; obserwują wszystko dokoła i komentują. Kobiety, zbite w gromadki, gawędzą, trzymając dzieci na biodrach. Mogłaby być jedną z nich, gdyby jej życie przed laty nie zmieniło kursu. Brzęczy dzwonek krzykacza miejskiego i rozlega się okrzyk: „Słuchajcie! Słuchajcie!”. Dot dostrzega błysk jego szkarłatnego stroju w ciżbie, która go otacza, i podchodzi, ciekawa, jakie wieści przyciągnęły tłum.

– Flota francuska wpłynęła do cieśniny Solent. Poszedł na dno okręt króla, *Mary Rose*. Utonęło prawie pięćset dusz. Wiceadmirał sir George Carew odszedł ze swoim okrętem.

Dot znowu próbuje wyobrazić sobie, jak wygląda morze. Jak rzeka, tylko ogromna? Myśli o wiszącym w pałacu obrazie ze statkami, z morzem ciemnym jak zupa z wołowych ogonów. Nagle uderza ją myśl o ludziach uwięzionych w trzewiach wielkiego okrętu, zapadających się wraz z nim do wodnego grobu, i o tym, że wszyscy są tacy sami, gdy nadchodzi koniec. Od wiceadmirala po chłopaka, który szoruje pokłady – na końcu każdy staje się nikim, niezależnie od tego, jak wysoko się wspiął.

– NAZWAŁ TEN STATEK PO SIOSTRZE – mówi Katarzyna.

– Straszne, straszne – powtarza Huicke ze zbolałą twarzą.

– Przerazające – wtóruje mu siostra królowej.

Tworzą posępną grupę, siedząc przy kolacji w antykamerze.

– Cranmer odprawi nabożeństwo za zmarłych.

Katarzyna skubie kawałki suchego, prawie niejadalnego mięsa z potrawy na drewnianej tacy. Daniem jest potworna istota: ogon pawia, tułów świni, głowa łabędzia, skrzydła nie wiadomo czego, a w tym upchnięte są inne niezidentyfikowane stworzenia, jedno w drugim. To naprawdę makabryczne, myśli, ale właśnie tak jadają królowe. Uprzejmie klaskali, gdy kucharz we własnej osobie przyszedł spocony i czerwony jak burak, uginający się pod ciężarem swojego dzieła, tego monstrum. Położył je przed nią i wytarł ręce w fartuch.

Z uśmiechem powiedziała mu, że ma wyjątkowy talent i nigdy wcześniej nie widziała czegoś równie... tu się zająknęła, szukając słowa, i dokończyła „niezwykłego”. Wydawał się zadowolony.

Susan Clarendieux wślizguje się do komnaty. Porusza się płynnie, jakby pod suknią miała kółka, nie nogi. Zawsze ubiera się na żółto, od stóp do głów, i w tym kolorze jej twarz wydaje się odbarwiona. Błądzi wzrokiem po stole z miną księgowego, który zlicza, ile to wszystko kosztuje, i opada w niskim dygnięciu. Pedantka w sprawach protokołu, czeka, patrząc w podłogę, aż królowa zaproponuje jej, by zajęła miejsce. I choć najwyraźniej przyszła przekazać wiadomość od lady Marii – z jakiego innego powodu miałyby tu być? – nie odezwie się, dopóki nie zostanie o to poproszona. Katarzyna pamięta, jak wyniośle dawniej traktowała ją ta kobieta.

– Madame – mówi Susan wyraźnie, jak aktor na scenie. – Lady Maria jest niedysponowana.

Katarzyna chce jej powiedzieć: „Na miłość boską, odpręż się”.

– Czy to znowu ból głowy? – pyta.

– Tak, madame.

– Och, biedna Maria. Przekażesz jej wyrazy współczucia?

– Tak, madame. – Wydaje się, że teraz Susan liczy pierścionki na jej palcach i ocenia ich wartość. – I... – Waha się.

– Tak?

– Moja pani prosi cię o wybaczenie, gdyż nie dokończyła przekładu.

– Powiedz jej, proszę, że rozumiem.

Maria okazała się niechętna do tłumaczenia świętego Jana. Jej początkowy entuzjazm natchnął Katarzynę nadzieją, że pasierbica przekonała się do pomysłu wydania ewangelii w języku angielskim, ale tak się nie stało. Od czasu pobytu w Eltham Maria to cierpi na bóle głowy, to się modli i właściwie nie robi nic więcej. Katarzyna myśli, że starsza córka króla nigdy się nie nawróci, że pamięć o jej biednej matce jest w niej trwale wryta. Tymczasem reformy zmierzają

donikąd. Pomysł zawarcia traktatu z książętami luterzańskimi spełził na niczym. Katolicy rosną w siłę i mają błogosławieństwo króla. Katarzyna wyczuwa zmianę sił na dworskich korytarzach, dworzanie śledzą ją wzrokiem, obserwują – i afront ze strony Marii dołącza się do tego wszystkiego. Na szczęście nie znaleźli sposobu na pozbycie się Anny Askew; dzięki temu małemu triumfowi Katarzyna wierzy, że może zostaną jej wybaczone grzechy, które dławią ją od tak dawna.

Nikt tak naprawdę nie je – poza Udallem, ani trochę nieporuszonym zatonięciem *Mary Rose* i wszystkich tych biednych marynarzy, łącznie z George'em Carew, którego znał całkiem dobrze. Opróżnia kielich jednym haustem i dolewa sobie wina, nakłada jedzenie na swój drewniany krążek, gawędzi i śmieje się między kęsami. Katarzyna jest przerażona jego bezdusnością. Sama nie może przestać myśleć o pięciuset straconych duszach, i to straconych w imię czego? Wszystko wydaje się daremne. Wojska francuskie napierają na południowe wybrzeże; na północy Szkoci urządzają najazdy; traktaty są zawierane i zrywane; narody są zszywane równie szpetnie jak potworny bazyliszek na stole, by połączyć siły i zabijać się nawzajem. I po co? Aby odebrać komuś szmat spalonej ziemi. I to jest cywilizacja.

To nic innego jak walka o terytorium. I czemu służy? Jakim sposobem zabijanie w imię Boga może mieć cokolwiek wspólnego z wiarą? Chodzi o władzę. Katarzyna widzi, kim musiał stać się jej mąż, aby powstrzymać zagrożenie z zewnątrz i co gorsza, od środka. Musiał odłożyć na bok swoje człowieczeństwo. Ale każda śmierć jest tragedią; każde utracone życie pozostawia płaczącego rodzica, współmałżonka, siostry, braci, może dzieci.

Myśli o Meg, próbując jakoś nadać sens jej życiu – dziewiętnastu smutnym wiosnom, powolnej utracie rozumu i jej ciała, które w końcu obróciło się przeciwko niej. Nie może uporządkować tego w głowie; zastanawia się, czy w ogóle cokolwiek ma sens. Świat jest zrozumiały tylko wtedy, gdy wszystko robi się w posłuszeństwie wobec Boga, lecz jej wiara zaczyna się chwiać.

Ale przecież posłuszeństwo jest nawykiem głęboko wplecionym w jej duszę, przenika wszystko. Gdyby się go wyzbyła, plan jej życia straciłby spójność. Bycie kobietą jest równoznaczne z posłuszeństwem. Czasami czuje, że zużyła całe swoje żonine współczucie. Król niebawem wróci z wybrzeża. Katarzyna wymienia w głowie rzeczy, z powodu których będzie wściekły: strata okrętu, niepowodzenie traktatu z Niemcami, cesarz, który jest zły i czuje się zdradzony.

Bez wątpienia na nią spadnie wina za zatonięcie okrętu, za ból w nodze, za to, że nie nosi w brzuchu księcia Yorku, nawet za pogodę. Zastanawia się, czy wystarczy jej cierpliwości, chociaż wie, że nie ma innego wyjścia, jak tylko ją w sobie znaleźć. A chcąc to zrobić, musi zbliżyć się do Boga. Zrozumie sens wypadków jedynie przez Niego, przez Jego słowo. *Na początku było Słowo...*



a *Słowo* było Bogiem. Musi się skupić. Myśleć o Annie Askew – na szczęście uwolnionej. Myśleć o stworzonej przez Kopernika nowej mapie wszechświata i o zaćmieniu, zapowiedziach wielkich zmian, i o sobie na ich czele. To jej obowiązek. *Na początku* było *Słowo*. A kiedy ludzie będą mogli sami przeczytać te słowa, odkryją, że Bóg nie jest tyranem – Bóg jest przebaczącym i dobrotliwym ojcem. Że kiedy zabiera życie ludziom w rozkwicie młodości, przenosi ich w lepsze miejsce, skraca ich cierpienie. Katarzyna musi w to uwierzyć, bo inaczej... co?

Stwarza pozory, jej gładka twarz maskuje dudnienie myśli w głowie. Katarzyna rozmawia lekkim tonem, popija piwo, rozpląwa się w pochwałach nad migdałową galaretką, słodkim winem i kryształowymi kieliszkami, uprzejmie słucha Mary Dudley, która zacina się na słowach jednego z pięknych wierszy Surreya, czyniąc go brzydkim, i przygląda się fikołkom akrobatów, a wszystko to z uśmiechem na twarzy – i kiedy może, odchodzi.

Nie może przestać myśleć o wczorajszych słowach Stanhope. Nie dają jej spokoju.

– Kiedy poznałaś Annę Askew? – zapytała.

Rozmawiały o Piśmie Świętym. Stanhope opowiada się za reformacją, jest równie gorliwą reformatorką jak ona, a jej mąż jeszcze bardziej. Ale Katarzyna jej nie ufa. Skąd wie o wizycie Anny Askew? Odbyła się w wielkim sekrecie. Kto mógł jej powiedzieć? Ilu innych wie? Kto?

– Nigdy nie spotkałam tej kobiety – oznajmiła, patrząc prosto w gadzie oczy Stanhope.

Kolejne kłamstwo, kolejne rozdarcie jej umęczonej duszy. Ostatnio przyzwyczajają się do kłamstw.

DOT WCIERA W SKÓRĘ GŁOWY Katarzyny lawendowy olejek, którego zapach rozchodzi się po pokoju, a następnie rozpoczyna długi proces dzielenia jej długich włosów na pasma i czesania ich gęstym grzebieniem.

Obie trwają w milczeniu. Dot co jakiś czas przerywa rytmiczne pociągnięcia, żeby rozplątać włosy albo ściągnąć wieszak z grzebienia. To cotygodniowy rytuał, uwielbiany przez nie za jego prostotę i intymność. Katarzyna zawsze była ciekawa, czy Dot ma kogoś, kto wyczesuje wszy z jej włosów.

Czasami zazdrościła jej prostoty życia i chętnie zamieniłaby się z nią miejscami, ale gdy głębiej się nad tym zastanawia, rozumie, że życie dziewczyny musi być samotną egzystencją między dwoma światami. Tak wiele jej zawdzięcza. Słodka rozkochana Dot z głową w chmurach, zawsze stoicka, pełna optymizmu, dzisiaj jest przygaszona, jakby skąpana w kadzi smutku.

– Jak tam, Dot, jesteś zadowolona? Masz przyjaciół w pałacu?

– Nie tutaj, madame, ale w Hampton Court znam Betty z kuchni. Jest dla mnie kimś w rodzaju przyjaciółki, chociaż...

– Nigdy o tym nie myślałam – przerywa jej Katarzyna. – Kiedy podróżujemy, wszyscy jedziemy razem, ale wielu z niższej służby zostaje.

– To prawda, madame. Lecz gdy Meg...

Cisza wpada do pokoju jak kamień. Dot dalej dzieli, czesze i rozplątuje włosy. Obu im ciąży nieobecność Meg. Ale jest coś jeszcze.

Katarzyna zauważyła wymianę spojrzeń między Dot a Williamem Savage'em podczas zajścia z tą przekłętą małpą. Tak naprawdę nie były to spojrzenia, bo przecież nie patrzyli na siebie, nawet nie zerknęli. Poczwała jakby zagęszczenie powietrza między nimi i zaczęła się zastanawiać, czy Dot i Williama Savage'a łączy coś więcej niż tylko przemykanie książek.

– Co sądzisz, Dot – odzywa się, przerywając ciszę – o Williamie Savage'u?

Nie widzi jej twarzy i nie chce się odwrócić z obawy, że dziewczyna uzna to za przesłuchanie. Ale słyszy drżący wdech, który mówi jej więcej niż jakiegokolwiek słowa.

– O Williamie Savage'u, madame?

– Tak, o nim.

– Jest świetnym muzykiem. Kiedy gra, przenoszę się... – przez chwilę Dot szuka słów – w inne miejsce.

– To prawda. Ma palce anioła.

Kolejny drżący wdech. I przerwa w rytmie czesania. Na zewnątrz słychać śmiech, a potem rozlega się ciche pukanie do drzwi. Siostra Katarzyny wsuwa głowę do pokoju, żeby się pożegnać. Mówi, że wyjeżdża do zamku Baynarda, bo wrócił jej mąż.

Dot dyga, podejmuje czesanie i odnajduje rytm.

– Myślisz o zamążpójściu, Dot? – pyta po pewnym czasie Katarzyna.

– Nie, madame, nie.

– Mogłabym ci znaleźć dobrego męża. Rzemieślnika. Miałabyś własny dom, dzieci, miłe życie. – Wie, że to właściwe dla dziewczyny, ale nagle dotkliwie czuje, jaką stratą byłoby to dla niej.

Dot próbuje wyobrazić sobie męża, który robi z nią to, co robił William Savage. Na samą myśl o tym jej świat przewraca się do góry nogami i mdli ją z obrzydzenia. Nie wolno jej myśleć o Williamie. Ale inny mężczyzna? Myśli o cuchnących potem kucharzach i ich wielkich muskularnych rękach. Albo o handlarzu sukniem, do którego poszła wczoraj po tkaniny dla królowej, o tym, jak je wykladał, rzucając bele na stół i gładząc je palcami, jakby tkanina była kobiecą skórą. Dreszcz odrazu przebiega jej po plecach. Jeśli nie William Savage, to nikt inny.

Poza tym zamążpójście oznaczałoby opuszczenie królowej. A królowa jej potrzebuje. Dot nie wyobraża sobie, żeby jakaś inna dziewczyna czesała Katarzynę, ubierała ją, wyskubywała jej włosy, nacierała oczarem siniaki i nikomu o tym nie mówiła. Królowa potrzebuje Dot, żeby strzegła jej sekretów. Tylko ona zna je wszystkie; nawet siostra, Anna, nie ma pojęcia o niektórych rzeczach. Tylko u niej tajemnice są bezpieczne.

– Wolałabym, jeśli łaska, niczego nie zmieniać – mówi.

– A zatem tak będzie – odpowiada Katarzyna.

I znów zapada między nimi niekrępujące milczenie.

## 8



*Pałac Whitehall, Londyn, czerwiec 1546*

WILL PARR WRZE Z WŚCIEKŁOŚCI. Jego oczy, każde w innym kolorze, błyszczą. Chodzi tam i z powrotem po dębowych deskach prywatnej komnaty królowej, wyjątkowo, jak na niego, rozczochrany, w brudnych pończochach, w rozchełstanej płóciennej koszuli i bez czapki – faux pas, które, gdyby nie był bratem królowej i nie kipiał gniewem, nie pozwoliłoby mu przebywać w jej obecności.

– Bracie – mityguje go Katarzyna. – Uspokój się. – Czuje się jak starsza siostra, która ma do czynienia z rozżłoszczonym małym chłopcem, oburzonym z powodu niesprawiedliwego bicia czy czegoś innego, tyle że nie są już dziećmi i najwyraźniej nie chodzi o jakieś błahe wydarzenie. – Przestań się miotać.

Will zatrzymuje się, z rozstawionymi nogami, krzyżując ręce na piersi. Ma szkarłatną twarz i krople potu na czole.

Katarzyna wstaje i bierze go pod rękę.

– Chodź – mówi kojącem tonem. – Usiądziemy przy oknie.

Prowadzi go do ławki i obejmuje go ramieniem. Brat garbi się, cały napięty.

– Mów. Powiedz mi, co się stało.

– Gardiner – rzuca Will, po czym bierze głęboki oddech i uderza pięścią w kolano.

Katarzyna chwytą go za ramię.

– Porozmawiajmy, Will.

– Anna Askew. Znów ją zabrali, tym razem do Tower. Jest oskarżona o herezję.

Minął już rok od uwolnienia Anny Askew, więc Katarzyna uznała, że zagrożenie wokół niej maleje. Król, mimo utkniętego pod dubletem puzderka ze świętymi drzazgami, znów wydaje się niezdecydowany, choć trudno mieć pewność. Katarzyna straciła nadzieję na poczęcie następcy tronu, ale zrodziło się

coś innego: jej nowa książka, *Lamentacja grzesznika*, jest prawie ukończona. Nikt o niej nie wie – to jej prywatna skrucha przed Bogiem, jej badanie, czy wiara może usprawiedliwić wszystko. I choć książkę owiewa tajemnica, ma wrażenie, że dzięki niej będzie zapamiętana jako królowa reformacji – królowa, która broniła swoich przekonań. Jej własny kawałek historii, jak zaćmienie Słońca, zwiastujący zmiany. Napisała ją w podziękowaniu za wybawienie Anny Askew.

– Ta kobieta ma instynkt przetrwania – mówi.

Wciąż jednak wraca myślami do tajemnej wizyty w Eltham i tego, że Stanhope dowiedziała się o niej. Zastanawia się, kto jeszcze może wiedzieć i czy dotarło to do uszu Udalla.

– Jest gorzej, niż myślisz, Kit. Wyznaczono mnie, żebym ją przesłuchał – szepcze Will. – Akurat mnie! Wiesz, co to oznacza? Śmieją mi się w twarz. Wiedzą, że jestem za reformą. Pewnie wiedzą również, że Anna jest moją przyjaciółką, tylko nie mają na to dowodu.

– Wiem, wiem. – Katarzyna stara się mówić uspokajająco. Przebiega ją zimny dreszcz. – To mnie chcą osaczyć, Will. Chcą pozbyć się królowej reformatorki, która przez trzy lata małżeństwa nie powiła syna. A ty jesteś jej bratem. Wszyscy upadniemy razem. – Uświadomienie sobie tego pozbawia ją tchu. – Co powiedziała?

– Słuchaj, Kit... – Will chwyta ją za ramiona i obraca twarzą do siebie, żeby patrzeć wprost na nią. Oczy ma dzikie jak nieujeżdżony koń. – Rozciągali ją na łożu sprawiedliwości.

Jej świat zdaje się zwalniać, przyprawia ją o zawrót głowy. Ma wrażenie, jakby spadała bez końca.

– Torturowali ją? Kobietę? – To nie do pomyślenia. – Kto? Wriothlesley? Rich?

– Byli tam Wriothlesley i Rich, ale możesz być pewna, że stoi za tym Gardiner... niewątpliwie też Paget. – Kolano Willa podskakuje nerwowo.

Katarzyna kładzie na nim rękę.

– Szlachetnie urodzona na torturach? Z pewnością konstabl...

– Kinston nie mógł nic zrobić. Odszedł ze wstrętem.

– Will... to straszne. – Szuka słów, nie potrafi uporządkować myśli, tysiące pytań kołacze się w jej głowie. – I ty, Will... byłeś tam?

– Pokręcony umysł Wriothlesleya... Wysłał mnie i Johna Dudleya. Nie wiem, na co liczył. Pewnie chciał, żeby wyglądało to tak, jakby... Och, nie wiem, Kit... Jest obłąkany... Wpadł we wściekłość i kazał nam wyjść, gdy nic nam nie powiedziała. Nasłuchiwalismy pod drzwiami... – Brakuje mu słów. – Jej krzyki, Kit...

– Biedna kobieta... – Katarzyna chowa twarz w dłoniach, tworząc chwilowe ciemne miejsce, w którym nikt nie może się do niej dostać. Opuszcza ręce i zadaje pytanie, które narasta w jej głowie: – Czy ją złamali? – Tak naprawdę, o czym Will dobrze wie, Katarzyna pyta: czy mnie uwikłała, czy będę następna, czy ja także spłonę?

Widzi okrągłą twarz Anny Askew, jej szeroko rozstawione oczy, ich żarliwą intensywność; widzi ją przywiązaną do drewnianych szprych, słyszy skrzypienie i terkot maszynerii, tarcie żelaza o dąb; czuje straszliwe szarpnięcie we własnych biodrach, kolanach i ramionach, a potem słyszy chrzęst, gdy zaokrąglony koniec kości wyskakuje z otoczki chrząstki. Potrafi sobie wyobrazić, jak Anna Askew z determinacją zaciska szczękę. W tej kobiecie płonie niezłomność, jakiej nigdy nie spotkała u żadnego mężczyzny; widziała to na własne oczy. Myśli, że jeśli ktokolwiek zniesie z godnością męczeństwo, to właśnie Anna Askew. Katarzyna oddałaby wszystko za szczytę jej odwagi.

– Wiesz, Kit, nigdy nie spotkałem odważniejszej niewiasty – mówi Will, powtarzając jej myśli. Wstał i znowu krąży. – Cokolwiek jej robili, trzymała się... Sprawiała, że gonili własny ogon.

To brzmi jak odroczenie wyroku, ale teraz Katarzyna będzie zaszczuwana... i to, że Anna Askew nic nie powiedziała, wcale nie oznacza, że inni będą równie dzielni. Katarzyna czuje, że musi wyrwać się z potężnych kamiennych murów Whitehall, znaleźć miejsce, w którym będzie mogła swobodnie oddychać.

– Niech stajenny osiodła konie. Wyjedźmy i dokończmy tę rozmowę daleko stąd. Zobaczą, czy Anna może nam towarzyszyć. Tylko rodzina, tylko my.

Twarz Willa trochę się odpręży, jakby cieszył się, że starsza siostra przejmuje kontrolę, jak zawsze robiła, kiedy byli dziećmi.

– Zrób wesołą minę, Will. Nie możemy pozwolić, żeby ktoś odczytał nasze zaniepokojenie. Po prostu troje Parrów wybiera się na przejażdżkę, to wszystko.

– NIE MOŻESZ POROZMAWIAĆ Z KRÓLEM? – pyta Anna.

Zsiedli na polanie w lesie w Chelsea. To magiczne miejsce, prawie idealny krąg, który otaczają strzeliste drzewa, leciutko kołyszące się na wietrze, z dywanem gąbczastej trawy, nakrapianej mrugającymi plamami późnoczerwcowego słońca. Konie pasą się nieopodal, brzęk ich uzd dołącza się do szczebiotu ptaków i brzęczenia owadów. To mały Eden.

– Czy ty sobie to wyobrażasz, Anno? – mówi Katarzyna. – Nie pamiętasz innych królowych? Służyłaś im. Wiesz, że gdy on zmienia zdanie... Teraz może się wydawać, że mnie uwielbia. Boże, wszystkie te szczodre podarki są tego świadectwem, ale on... on nie jest...

– ...stały – kończy Anna.

Czy myśli o Katarzynie Howard? Anna była przy egzekucji i opowiedziała, jak brzmiał jej krzyk, przeraźliwy i udręczony, jak lisa w potrzasku. Katarzyna odtworzyła tę scenę tylko na podstawie pogłosek, nigdy nawet nie spotkała tej dziewczyny, ale to nie odbiera wagi tamtemu zdarzeniu. No i Anna Boleyn...

Will mimowolnie unosi rękę do gardła. Wszystkim nasuwa się ta sama myśl.

– I miałam trzy lata, żeby wydać na świat dziedzica. Co więcej, król nie jest za reformacją. Nie tak naprawdę.

– Przecież zerwał z papieżem, rozwiązał wielkie klasztory.

– Nie bądź naiwna, Anno – prycha jej brat. – To nie miało nic wspólnego z wiarą.

– Chyba nie... – Niezachwiany optymizm zaczyna zawodzić Annę.

– Ale... – Katarzyna rozczapierza palce. Na jednym ma obrączkę ślubną ze skrzącym się rubinem. Palce spuchły jej od gorąca i złoto wgryzło się w ciało. – Wznamię wysiłki, żeby go przekonać. Namaluję przed nim obraz króla reformacji, znamienitszego, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał. Znam go, wiem, co mu się podoba i jak lubi nasze rozmowy. Im bardziej jest przychylny reformom i im mniej słucha biskupa Gardinera, tym lepiej dla wszystkich.

Mówiąc to, wątpi jednak w siebie, bo czy już nie próbowała przekonać męża do swojego sposobu myślenia? Nie udało jej się.

– Tym lepiej dla nas – rzuca Will. – Gdybyś była mężczyzną, Kit, byłabyś większa niż my wszyscy, niż każdy. Sprowadzisz króla z powrotem na łono wiary i niech lichy porwie Gardinera i jego bałwochwalczych katolików.

– Ale co z Anną Askew? – pyta Anna.

Kos sfruwa na trawę i skubie coś dziobem jasnym jak żółtko jajka, a po rękawie Anny drepcze biedronka, ledwie widoczna czerwien na czerwieni. Katarzyna dostrzega ją bystrym okiem i myśli o piosence... *Biedroneczko, leć do domu...* Jane Błazen niedawno to śpiewała.

– Nie zdołamy jej ocalić – mówi Will.

– To znaczy, że spłonie na stosie? – pyta Anna. – Nic nie możemy zrobić?

– Nie, siostró, machina się toczy i nie da się jej zatrzymać – mówi Katarzyna.

Dręczy ją myśl, że za bardzo pośpieszyła się ze swoją książką, będącą podziękowaniem Bogu za uwolnienie Anny Askew – może Bóg też jest niezdecydowany, jak król. Odpycha tę myśl; nie może stracić wiary, nie teraz.

– Ale... – Słowa zamierają Annie w gardle, a na jej twarzy maluje się przerażenie.

– Ona nie wyrzeknie się swojej wiary. Pod pewnymi względami tego właśnie pragnie, szybszego zjednoczenia się z Bogiem. Posłałam moją dziewczynę z ciepłymi ubraniami i jedzeniem, żeby ostatnie dni Anna Askew spędziła w wygodzie.

– Kit, to szaleństwo... – odzywa się Will ze zgrozą na twarzy.

– Zapewniam was, Dot wie, jak nie dać się zauważyć. Anonimowo przekazała rzeczy strażnikom.

Spowija ich cisza, gęsta i zimna jak mokra glina. W głowie Katarzyny kłębią się myśli, przeskakując od stosu – jego żaru, trzasku i syczenia – do króla. Planuje przebieg rozmowy tak, żeby sądził, że myśli, które w nim zaszczepi, są jego własne. I próbuje wyobrazić sobie, jak jej mąż – „kocham twój umysł, Kit” – mięknie w jej dłoniach, kształtowany zgodnie z jej wizją przyszłości. Przyszłości, w której wszyscy są bezpieczni. Ale bezpieczeństwo jest nieczęstym luksusem.

Do ubrań i jedzenia dla Anny Askew Katarzyna dołączyła woreczek saletry, na co wpadła, przypominając sobie nadzwyczajny pokaz sztucznych ogni, który był elementem jednego ze spektakli Udalla i sprawił, że cały dwór mało nie wyskoczył ze skóry. Udall pokazał jej, jak robi się fajerwerki, jak łyżka czarnego prochu wybucha w zetknięciu z płomieniem. Nasypał szczyptę na podłogę i przytknął płomyk świeczki. Patrzyli, jak proch syczy i rozbłyska, a potem eksploduje z ogłuszającym hukiem. W pokoju unosił się swąd siarki; pomyślała wtedy, że to zapach mocy. Katarzyna poszła więc z Dot do składziku, znalazła schowek z prochem, nasypała dużą miarkę do sakiewki i ukryła ją w koszu, po czym wyjaśniła, co Dot ma zrobić. „Może go nosić na pasku. To przynajmniej skróci jej cierpienia”.

– Wkrótce będzie w niebie – mówi Anna, zawsze szukająca szczęśliwego zakończenia.

– Jeśli ktokolwiek na to zasługuje, to właśnie ona – dodaje Will.

Ale żadne z nich nie może pozbyć się wizji ognia, jego gorąca, przerażenia.

– Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił, Will – prosi Katarzyna. – Są papiery, które trzeba ukryć, dobrze ukryć.

– Jakie papiery?

– Pewne moje zapiski, osobiste... Są tam rzeczy, które, jak się obawiam...

– Dobrze, siostrze. Powiedz mi, gdzie je znaleźć, a schowam je w bezpiecznym miejscu. Nawet ty nie będziesz wiedziała, gdzie są.

Katarzyna nie może się zmusić, by poprosić go o ich spalenie.

DOT WYMYKA SIĘ Z PAŁACU PRZEZ kuchenną bramę. Wychodząc, mija Williama Savage'a i ten próbuje ją zatrzymać. Serce zamiera jej w piersi, ale postanawia to zignorować. Minęło kilka miesięcy, odkąd go widziała; znów długo przebywał z dala od dworu. Zmienił się, zauważyła – zmizerniał, ma podkrążone oczy.

– Moja Dot! – woła do niej. – Moja Kropko, moja Kropeczko. Porozmawiajmy... Proszę.



Jej serce waha się, a pamięć przywołuje stare obrazy i doznania – to, jak kręca mu się włosy na karku, atramentowy zapach jego skóry – ale odrzuca je, jak robiła przez minione miesiące. To on jest kropeczką, punkcikiem na jej horyzoncie. Przechodzi obok niego, jakby był powietrzem.

Ma ważniejsze rzeczy do zrobienia. Wypełnia tajną misję dla królowej. Niesie kosz nakryty kwadratem czystego płótna; w koszu są oprócz koca i ubrań różne wiktuały, w tym pasztet w cieście. W cieście jest ukryty woreczek z prochem. Chodzi o uwolnienie Anny Askew od długiego cierpienia. Woreczek z prochem w okamgnieniu wyprawi ją na tamten świat. Katarzyna przykazała Dot, że ma działać incognito, i musiała jej wyjaśnić znaczenie tego słowa. Dot nie może być sobą, a przede wszystkim nie może w żaden sposób zostać powiązana z Katarzyną. Wymyśliła imię, które poda, jeśli ją zapytają. „Jestem Nelly Dent – mówiła głośno do siebie Dot, ćwicząc, sprawdzając, czy się uda. – Przychodzę z chrześcijańskiego miłosierdzia”. Katarzyna powiedziała, że są ludzie, którzy współczują więźniom i przynoszą im drobiazgi na pociechę, że to nic niezwykłego i najpewniej nikt jej nawet nie spyta, kim jest.

Dot zatrzymuje się i odwraca twarzą do Williama.

– Nie jestem twoją kropką. Kropka jest niczym. Może jestem nisko urodzona, ale to wcale nie znaczy, że równam się kropce na końcu zdania.

Dlaczego jej serce przypomina gasnącą świecę?

– Dot – mówi William błagalnie, chwytając ją za wolną rękę.

Odręca go szorstko.

– Pozwól mi wyjaśnić.

– Nie, mam ważne sprawy do załatwienia. – Dot przepycha się obok niego. William ma tak żaloszny wyraz twarzy, że prawie się łamie, ale znajduje w sobie determinację i odchodzi. – Żegnaj – mówi, choć pęka jej serce.

Zbiega po schodach nad rzekę i wzywa czekającego na zarobek wiosłarza. Mężczyzna wyciąga rękę, by pomóc jej wejść. Dot siada na ławce kołyszącej się i podskakującej łodzi. Wygląda spodnice i stawia koszyk pod nogami, wciąż ściskając kabłąk tak mocno, że ma białe knykcie.

– Dokąd?

– Do Tower.

Przewoźnik wciąga powietrze przez zaciśnięte usta, co brzmi tak, jakby dmuchał w gwizdek z niewłaściwej strony.

– Tam rozciągali tę biedną kobietę.

Pewnie wszyscy w całym Londynie szepczą o dzielnej Annie Askew, która nawet na torturach nie wyjawiała żadnych nazwisk i nigdy nie wyprze się wiary. Dot nie wyobraża sobie takiej odwagi.

– Chyba tak – bąka.

– Po co chcesz tam iść?

Wszyscy przewoźnicy są skorzy do pogawędek, nawet gdy pasażer jest temu niechętny.

– Dostarczam wiktuały dla żony konstabla.

Królowa kazała jej tak powiedzieć.

– A jak się zwiesz, jeśli wolno spytać?

– Jestem Nelly Dent.

Podoba jej się to kłamstwo, nigdy dotąd nie kłamała w taki sposób. Zna rozmijanie się z prawdą i niewinne kłamstewka dla poprawienia komuś samopoczucia, ale w prawdziwym kłamstwie jest coś odurzającego. Podoba jej się to, że może być kimś innym – przyoblec się w nowe imię jak w nową sukienkę.

– Jesteś spokrewniona z Dentami, którzy mają farmę w Highgate?

– Dalecy kuzyni – mówi, ciesząc się łatwością, z jaką następne kłamstwo spływa z jej ust.

Ale przychodzi jej do głowy, że kłamstwa mnożą się jak króliki i że za jednym muszą podążać inne. Te kłamstwa jednak są dla sprawy – dla Katarzyny. To misja miłosierdzia i Dot zastanawia się, czy Bóg wybacza takie kłamstwa. Zanurza rękę w wodzie, rozkoszując się jej chłodem, gdy słońce praży, a na rzece nie ma cienia. Ktoś wyrzucił kwiaty, nagietki, i podskakują na powierzchni; kilka kaczek podpływa, żeby je obejrzyć.

Przewoźnik wciąż coś mówi, a ona kiwa głową, nie słuchając; wydaje się zadowolony, gędzi i narzeka na to czy tamto. Na szczęście trwa odpływ, dzięki czemu przeprawa jest szybka; wkrótce docierają więc do bramy wodnej i mężczyzna woła strażnika. Ten kręci dużym drewnianym kołem, żeby otworzyć bramę, pozwalając im podплыnąć do schodów. Woda pluska o burty, gdy Dot wstaje, żeby zejść na ląd. Przybywa inny strażnik, w szkarłatno-złotym mundurze, z halabardą i pękiem kluczy grzechoczących mu u pasa.

– W jakiej sprawie? – pyta.

Dopiero wtedy strach skręca jej trzewia i żołądek kolebie się jak łódka, ale uspokajają ją myśli o Katarzynie i misji. I gdy przygląda się strażnikowi, widzi, że jest sędziwy i wcale nie groźny.

– Mam to dostarczyć, panie.

Strażnik wyciąga rękę, by pomóc jej wysiąść z łodzi, i mówi, że zwykle dziewczyny tak piękne jak ona nie odwiedzają Tower.

Kiedy przewoźnik jest poza zasięgiem słuchu, Dot mówi:

– Przyniosłam wiktuały i odzież dla pani Askew.

Strażnik chce zabrać kosz, ale ona go nie puszcza.

– Kazano mi, panie, przekazać go w ręce jej służącej.

– Muszę zajrzeć do środka – prycha mężczyzna. – Kto wie, co możesz tam mieć. Chociaż biorąc pod uwagę stan tej biednej kobiety, daleko nie ucieknie.

Posłuszna rozkazowi Dot zdejmuje płótno i strażnik pobieżnie przegląda zawartość koszyka. Usatysfakcjonowany, każe jej czekać, a sam idzie do niewielkich drewnianych drzwi, powoli, jakby miał czas do końca świata. Przebiera klucze, przyglądając się każdemu z nich, i wreszcie znajduje właściwy.

Nigdy wcześniej nie była w Tower. Nie jest to jeden ze zwykłych pałaców, chociaż są tu przechowywane niektóre suknie królowej. Zawsze myślała o tej twierdzy jako o wielkim ciemnym miejscu, w którym dzieją się straszne rzeczy, ale widzi przed sobą połąć trawnika z małymi domkami, co bardziej przypomina wioskę niż więzienie. Słynna Biała Wieża z flagami na szczycie, wznosząca się ku niebu, przywodzi jej na myśl zamki z opowieści. Ale dalej ciągną się grube szare mury z przysadzistymi wieżami i wąskimi oknami, a nad ładnym ogrodem wisi smród fosy. Dot dobrze wie, że za tymi murami są zamknięci ludzie, których czeka Bóg wie jaki los. Słyszała o narzędziach tortur, gorących pogrzebaczach, łożu sprawiedliwości, kajdanach. W kuchniach po pracy chłopcy cały czas paplają o tych rzeczach, strasząc się wzajemnie, a dziewczyny z pralni piszczą i się do nich garną; gdy chłopcy nie opowiadają historii o duchach, snują opowieści o torturach. Betty, najbardziej strachliwa, kwiczy jak prosię i daje się obłapiać.

Dot siada na ławce w ogrodzie przy kościele z kamienia o barwie miodu. Jego okna lśnią w słońcu, a obok stoi dzwonnica, która wygląda jak gołębnik. Nie tak wyobrażała sobie słynny kościół Świętego Piotra w Okowach.

W cieniu tej pięknej budowli wszelkiego rodzaju szlachetnie urodzeni tracili głowy. Powiedział jej to William – William Savage, który wie coś o wszystkim i który tak mocno tłukł w jej serce, aż pękło. Przez wiele miesięcy cierpiała w milczeniu po tym, gdy dowiedziała się, że ma żonę. Przemilczenie równa się kłamstwu, myśli, ale minął cały rok i nie chce teraz wspominać Williama; nie mogłaby znieść powrotu do tego miejsca, do tego dołu, gdzie nie odczuwała niczego poza jego brakiem. To wystarczyło, by przepędzić z głowy wszelkie myśli o romantyczności. Żałuje, że go poznała, i najlepiej, gdyby odszedł i nigdy nie wrócił, żeby mogła zapomnieć. Uczucie spłowieło i teraz został tylko jego duch. Kiedy Dot myśli o zamkniętych tu ludziach, czuje, że nie ma prawa do swoich drobnych smutków.

Wkrótce pojawia się kobieta. Jest bardzo wysoka i chyba to ją krępuje, bo idzie zgarbiona. Ma za krótkie rękawy i widać jej nadgarstki, mocne i kanciaste, niemal męskie. Czarna spódnica jest znoszona i zbrązowiła na kolanach – Dot przypuszcza, że od modlitwy – a niegdyś biały lniany czepek otacza twarz porytą bruzdami napięcia.

Dot wstaje z uśmiechem, który pozostaje nieodwzajemniony.

– Mam koce i strawę dla twojej pani.

– Dziękuję uprzejmie – mówi służąca miękkim drżącym głosem.

Białka jej oczu są żółtawe i przekrwione. Nawet nie pyta, od kogo są te wiktuały.

– W pasztecie jest woreczek saletry – szepcze Dot.

Kobieta chyba nie rozumie, bo przechyla głowę i marszczy czoło, biorąc kosz.

– Niech przytroczy go do paska, kiedy nadejdzie pora – wyjaśnia cicho Dot. – Dzięki temu szybko...

Służąca kiwa głową, odwraca się i odchodzi.

Akurat wtedy zjawia się czterech mężczyzn. Dwóch wygląda na szlachciców – mają piękne stroje i nieskazitelnie białe pończochy – a obok nich truchtają paziowie. Osoby w takich strojach mogą pochodzić tylko z dworu. Już widziała ich twarze. Nigdy nie może zapamiętać, jakie barwy należą do poszczególnych rodów; to zbyt skomplikowane. Zachodzą drogę służącej jak psy pilnujące kości. Paź wyrywa jej koszyk i podaje go jednemu z mężczyzn. Są z pałacu, na pewno, choć Dot nie zna ich nazwisk. Składa niski dyg, ale służąca stoi bezczelnie wyprostowana. Zamiast ją za to upomnieć, patrzą na wskroś niej, jakby jej tam nie było.

– Przyniosłaś to dla pani Askew? – zwraca się jeden z nich do Dot.

Ma kołnierz z futra jakiegoś cętkowanego kota, nieodpowiedni na tę porę roku, ale dziewczyna domyśla się, że musi oznaczać wysoką pozycję na dworze. Rdzawa broda sterczy z jego podbródka jak pomost wychodzący na rzekę. Mężczyzna bierze kosz i trzyma go jak najdalej od siebie, jakby był pełen szcurów, węży lub czegoś innego, co kąsa.

– Tak, panie.

Głos jej nie zawodzi i nie załamuje się, choć jest zmartwiała ze strachu. Odrzywa wzrok od koszyka, nie chcąc, by się na nim skupiali, i żeby nie zdradzić, że jest ważny.

– Przyniosłam rzeczy, które sprawią, że będzie jej wygodniej, dopóki...

Nie musi kończyć, wszyscy wiedzą, że chodzi o czas, kiedy Anna Askew zostanie powleczona na Smithfield i spalona żywcem. Dot wciąż dyga, ze spuszczoną głową.

– Wyprostuj się – szczeka mężczyzna.

Dot podnosi głowę. Widzi, że drugi mężczyzna stoi dalej z paziami, ale zwraca ucho w jej stronę. To duże ucho, które wygląda jak rozciągnięte. Dot zauważa drobiazgi: maleńkie dzwoneczki przyszyte do kołnierza brodacza; skrawek zielonej jak liście podszewki pod szatą; odrobinę jedzenia między jego zębami; oczy, które wydają się życzliwe, w przeciwieństwie do niego; rude włoski

wystające z nosa; to, jak pociąga nosem, zaciska i rozluźnia dłoń na rękojeści miecza; smugę trawy na białych butach drugiego.

– Spójrz na mnie.

Dot patrzy na niego i widzi, że mężczyzna krzywi usta ni to w uśmiechu, ni to w grymasie; nagle dostrzega w jego oczach błysk.

– Widziałem cię w pałacu – mówi mężczyzna.

Dot wie, że próbuje sobie przypomnieć, komu służy albo gdzie ją widział.

– Kto cię przysłał?

– Przyjaciel.

– Bierzesz mnie za durnia, głupia dziewczko? Nazwisko!

Na jej twarz spada deszcz śliny, ale nie ma odwagi nawet podnieść palca, żeby ją zetrzeć.

– Nelly Dent... – jąka się. – Jestem... Jestem Nelly Dent.

– Pytałem o twoje nazwisko? Nie obchodzi mnie ani trochę, kim jesteś. Jesteś nikim. Mów, kto cię przysłał!

Ostatnie zdanie jest krzykiem. Mężczyzna łapie ją za nadgarstek i wykręca go, sprawiając jej ból.

Dot nie pozwoli mu zobaczyć, że cierpi. Napina mięśnie twarzy, próbując znaleźć jakąś wiarygodną odpowiedź. Myśli o Katarzynie. Co ona by powiedziała? Wymyśliłaby coś sprytnego, odbiła pytania mężczyzny z powrotem do niego. „Jestem królową i nie muszę ci nic mówić”, oznajmiłaby albo zacytowała z Biblii coś, co zbiłoby go z tropu. Dot jednak musi odpowiedzieć, i to tak, żeby w to uwierzył. Nie zdradzi Katarzyny.

– Lady Hertford – wyrzuca z siebie.

Teraz na jego twarzy gości uśmiech zadowolenia.

– Ach, jesteś dziewczką Anny Stanhope. Tak lepiej. – Poklepuje jej obolały nadgarstek i puszcza. – Czyż nie, Nelly? – Oddaje jej kosz. – A teraz będziesz grzeczną dziewczynką i pokażesz mi, co tam jest.

Dot stawia kosz na bruku, podnosi płótno i wyjmuje zawartość: słoik galaretki pigwowej, dwa bochenki chleba, pudding, woreczek soli, grudkę cukru, pasztet w cieście, ciepły koc, dwie lniane koszule, kostkę mydła, słoiczek kremu z arniki na siniaki. Układa wszystko schludnie, bez pośpiechu.

Mężczyzna stoi ze skrzyżowanymi rękami i patrzy. Woła jednego z paziów.

– Podaj mi to – mówi, wskazując pasztet.

Przenika ją fala zimna, jakby została zanurzona w Tamizie, ale nadal układa rzeczy, ośmielając się rzucić w stronę mężczyzny tylko ukradkowe spojrzenie. Paź pochyła się po placek.

Ale mężczyzna warczy:

– Nie to, idioto. Cukier.

Chłopiec podaje mu grudkę cukru. Mężczyzna bierze ją i chrupie. Do jego ust przywierają kryształki i szybko je zlizuje.

A potem odchodzą w kierunku bramy wodnej. Dot pada na ławkę, zamyka oczy i oddycha głęboko, żeby się uspokoić. Zaczyna zbierać rzeczy do kosza. Służąca pomaga jej w milczeniu, po czym odchodzi tam, gdzie trzymają Annę Askew. Żegna się z Dot krótkim skinieniem głowy. Być może zapomniała, jak się uśmiechać.

Dot ma zamęt w myślach. Może nie lubi Stanhope za wszystkie okropności, które mówiła o Katarzynie, i za to, jak źle traktuje swoją służącą. Ale niezależnie od jej obłudy i podłości popełniła występki, podając jej nazwisko. Było pierwsze, które przyszło jej na myśl. I to było prawdziwe kłamstwo, złośliwe, inne niż te wcześniejsze: łagodne, jeśli nawet nie całkiem niewinne. To kłamstwo jest czarniejsze niż sadza i wszędzie zostawia ślady. Najbardziej jest zszokowana tym, z jaką łatwością je wypowiedziała. Ale teraz już się stało i nie może tego cofnąć. Zastanawia się, jakie straszne wydarzenia zapoczątkowała, wypowiadając to nazwisko. Wyobraża sobie następstwa swojego kłamstwa, rozpełzające się bezgłośnie po pałacu, i strach wnika w jej żyły jak trucizna.

*Pałac Whitehall, Londyn, lipiec 1546*

WONNA LAMPKA OLIWNA MASKUJE smród gnijącego mięsa. Huicke zbiera swoje rzeczy, korkuje słoiki z tynkturami i składa muślinowe ścierki. Katarzyna nalewa królowi kubek piwa, po czym siada na poduszce u jego stóp. Sięga po leżącą na podłodze otwartą książkę i zaczyna czytać. Huicke zatrzymuje się na chwilę, żeby na nią spojrzeć, i rozpoznaje Erazma. To angielski przekład, nad którym tak ciężko pracował Udall, Księga Jana; lady Maria zmieniła zdanie co do tłumaczenia i nie zgodziła się, żeby w książce zamieścić jej imię. Udall kończył przekład za nią – w rzeczywistości zmienił wszystko, co zrobiła. Przez wiele miesięcy był rozkojarzony i całymi nocami krążył po komnacie, zadreńczając się tłumaczeniem, szukając odpowiedniego słowa, żeby właściwie oddać treść. Huicke nie zna większego pedanta, chociaż w przypadku Udalla pedanteria jest darem, który sprawia, że jego przekłady są znacznie subtelniejsze i o wiele lepsze niż inne. Ale przez to nocne chodzenie, mamrotanie, powtarzanie i niekończące się głośnie czytanie przekładu z prośbami o opinię stał się nieznośnym towarzyszem – Huicke często wstawał w środku nocy i wracał pełnymi przeciągów korytarzami do swojej kwatery.

Słowa są tak znajome, że prawie zna je na pamięć. Pamięta też, że kiedy bywał codziennie w Charterhouse, często przerywał Katarzynie, która czytała Erazma Latimerowi – choć po łacinie. Zastanawia się, co królowa czuje, czytając

drugiemu podstarzałemu mężowi. Wielce podziwia jej świętą cierpliwość, bo sam nie grzeszy tą cechą. Z dala od króla Katarzyna wydaje się zupełnie inną osobą, bystrą i dowcipną, skorą do żartów i docinków, żywiołową; tutaj zachowuje powagę, uśmiecha się sztucznie i śmieje się bez wesołości. Przypomina mu jedną z tych afrykańskich jaszczurek – nie pamięta ich nazwy – które zmieniają kolor w zależności od tego, gdzie siedzą. Ale jej wybór książki – bo na pewno nie król ją wybrał – jest interesujący i zdradza ukrytą bezczelną część jej natury. To książka z pogranicza, nie do końca zakazana, ale bez wątpienia niepochowalana przez Gardinera i jego kamratów, którzy woleliby, żeby wszystko było po łacinie, żeby panowała ignorancja.

Król kładzie wielką dłoń na jej nagiej skórze karku, gładzi delikatnie, wodzi palcami w górę i w dół. Katarzyna pochyła się nad książką, żeby lepiej widzieć litery w blasku świec, i uwydatniają się kręgi – jak rząd kamyków w kałuży śmietany. Ciało innych kobiet wylewa się w miejscach, gdzie nie krępuje go suknia, natomiast ona nie ma odrobiny zbędnego tłuszczu. Obca osoba, widząc ją po raz pierwszy, nigdy nie dałaby jej trzydziestu czterech lat. Jej suknia z wyszywanego złotem szafirowoniebieskiego adamaszku układa się w fałdy i mieni w świetle. Twarz Katarzyny jest ładnie okolona białym płóciennym czepkiem, który stracił sztywność i opadł. Jej palec podąża za liniami druku. Zawsze zdumiewają go jej dłonie; są drobne, jakby dziecięce, a z ciężkimi pierścieniami wydają się jeszcze mniejsze.

Katarzyna przerywa czytanie i mówi coś, podsuwając książkę mężowi; wskazuje mu jakieś słowo. Rozmawiają po cichu, więc Huicke nie słyszy dokładnie. Król sięga po okulary, unosi je do oczu i spogląda przez grube soczewki na stronę. Oboje się śmieją, wzbudzając ciekawość Huicke'a. Co zabawnego może być w Księdze Jana? Nie jest to jednak prawdziwy śmiech Katarzyny, na skraju zapamiętania się, zaraźliwy; ten śmiech jest subtelny, skromny.

Huicke podziwia jej pozorną beztroskę, ponieważ wie, że pod nią skrywa się smutek. Dziś spłonęła Anna Askew – dzielna Anna. Wielu jego przyjaciół dyskretnie wymykało się z pałacu na tajemne spotkania. Wcześniej, w komnacie Katarzyny, gdy przyszedł z wiadomością, że się dokonało, rzuciła robótkę, strącając słoik francuskiej pomady; słoik się rozbił i oleista zawartość rozlała się po podłodze.

– Król zaoferował jej ułaskawienie, jeśli wyrzeknie się swoich przekonań. Ale była tak pewna swojej drogi do nieba... Jej wiara, Kit, jest niepodważalna.

– Mógł to powstrzymać – powtarzała. – Nie mogę uwierzyć, że tego nie zrobił.

Katarzyna z intensywnie różową twarzą uderzyła ręką w stół tak mocno, że nabiła sobie siniaka. Nigdy nie widział jej takiej wzburzonej, tak kipiącej

z wściekłości.

– Boję się – szepnęła, gdy jej gniew nieco opadł. – Po raz pierwszy naprawdę się boję. Czuję ich wokół siebie, jak obserwują, czekają, gromadzą się i kryją po kątach, depczą mi po piętach. Wiem, że zawsze tak było, ale śmierć Anny Askew wszystko zmieniła... Łakną mojej krwi, Huicke.

Inna kobieta mogłaby się rozpłakać, ale nie ona. Katarzyna jest ulepiona z twardszej gliny, a to dzisiejsze, na pozór beztroskie, zachowanie przy królu jest tego dowodem.

Wchodzi jeden z ludzi króla, a za nim paż ze stosem naczyń. Zaczynają szykować stół do kolacji. Huicke śmieje się w duchu z absurdalności tej skomplikowanej procedury: wszystko trzeba robić właściwą ręką i nie dotykać niczego, z czym zetkną się usta króla, co wymaga niezliczonych ściereczek i zręczności sztukmistrza.

Wreszcie kończą, król prosi o wino i zaprasza Huicke'a, żeby do nich dołączył.

– Jeśli królowa tego sobie życzy. – Oczywiście, Katarzyna jest temu rada.

Tak więc on również bierze udział w tej fałszywej beztrosce, ciesząc się, że przynajmniej może być tam dla Katarzyny.

Jeden z dworzan zapowiada przybycie Wriothesleya. Huicke na prośbę Katarzyny pomaga jej nałożyć ozdobny czepek. Podnosi go; jest ciężki od klejnotów, zbyt ciężki dla jej dziewczęcej szyi. Wprawdzie często pragnął być kobietą, ale tak naprawdę nie zna kobiecych rzeczy i w tym momencie nagle zdaje sobie sprawę z komplikacji i ograniczeń ich stroju – choć raz cieszy się, że jest mężczyzną. Katarzyna odgarnia włosy z twarzy, a on nakłada jej czepek, jak gdyby zamykał ją w klatce. Król przygląda się w milczeniu.

– My ci to daliśmy? – pyta po chwili.

Katarzyna obraca się ku niemu, jakby prosiła o aprobatę, i przechyliła głowę. Huicke zastanawia się, czy zdoła ją wyprostować, biorąc pod uwagę wielki ciężar nakrycia.

– Tak, miłości moja, i jest piękny.

– Widzisz, mamy nienaganny gust. Spójrz, jak jego barwa rozświetla twoje oczy.

Katarzyna uśmiecha się miło, a jej oczy tańczą i skrzą się, jakby naprawdę były wesołe.

Wchodzi Wriothesley, w kołnierzu z ocelota, chociaż jest pełnia lata, i gnie się w wyszukany ukłon tak nisko, że niemal zamiata brodą podłogę. Huicke i Katarzyna spoglądają na siebie przelotnie, z rozbawieniem. Chwilę później zjawia się Gardiner w biskupich szatach. Jego na pozór skromny czarno-biały strój jest przebogaty – wspaniały czarny atłas w takiej obfitości, że można by z niego



zrobić zasłony do łoża, a wierzchnia część, choć ze zwykłej bawełny, została ozdobiona misternymi ściegami i przymarszczona dla większego efektu. Ma czapkę z lśniącego aksamitu i sztywną kreskę pod mnogością podbródków i zwiędłymi ustami. Jego skóra o fakturze łożu wygląda równie szkaradnie jak opadające oko. Nosi krzyż tak gęsto wysadzony rubinami i granatami, że prawie nie widać złota. Obaj mężczyźni wydają się nadęci, pełni euforii, zadowoleni z siebie. Niewątpliwie to płomienie stosu podsycają ich radosne uniesienie, myśli Huicke, chociaż podczas kolacji, złożonej z dziewięciu dań, żaden nie wspomina o śmierci Anny Askew. Są czołobitni wobec królowej, do granic absurdu. Huicke zastanawia się nad ich zachowaniem. Czuje, że na coś się zanosi, nie umie jednak tego sprecyzować.

Przybywa Surrey. Z długimi kończynami, w czarnym brokacie, przywodzi na myśl pająka kosarza. Towarzyszący mu Will Parr jest nietypowo jak na niego przybity, ma wymuszony uśmiech i wymienia z siostrą zatroskane spojrzenia – niewątpliwie dzielą się smutkiem z powodu śmierci Anny Askew, myśli Huicke. Nikt inny tego nie zauważa, a uśmiech Willa wraca w okamgnieniu. Surrey napisał wiersz dla króla i trochę się przymila. Wypada z łask i wraca do nich tak często, że trudno za tym nadążyć. Jest jednak synem księcia Norfolk i spadkobiercą największego księstwa w Anglii, dlatego król nie gniewa się na niego zbyt długo. Tak czy inaczej, wiersz wzbudza wielki podziw, choć według Huicke'a jest przeciętny, jakkolwiek czarujący. Ale Surrey ma naturalny urok i król jest zachwycony.

Po podaniu deseru, trzęsących się galaretowatych kopców w kolorach, które nie kojarzą się z niczym jadalnym, król żąda, by sprowadzić małpę i oboje trefnisiów, o ile da się ich znaleźć, bo Jane Błazen ma skłonność do błędzenia i często się gubi.

Król z rozbawieniem obserwuje małpę, która pożarła większą część deseru, a teraz kroczy dumnie po stole i niszczy resztki posiłku. W pewnej chwili bierze w małpią rękę swoje małpie genitalia i zaczyna sprawiać sobie przyjemność. Król wybucha rechośliwym śmiechem i ostentacyjnie zasłania oczy żonie. Surrey i Will Parr śmieją się rubasznie, nie szczędząc sprośnych komentarzy. Przywykli już do tego, że w obecności króla należy pokazywać odpowiedni nastrój. Wriothsley grzecznie podśmiewa się razem z nimi, ale Gardiner ma przerażony wyraz twarzy i nie może zdobyć się na coś, co by choć przypominało uśmiech. Król trąca go łokciem.

– Gdzie twoje poczucie humoru, biskupie? – pyta. – Nigdy dotąd nie widziałeś sztywnego członka?

Biskup ma taką minę, jakby chciał zapaść się pod ziemię.

Dwoje błaznów wykorzystuje sytuację, organizując udawany ślub Jane z bezradną małpą, która już porzuciła grzeszne wybryki. Ślubu udziela Will Sommers. „Czy bierzesz tę małpę?” Owinięty w obrus przedrzeźnia Gardinera, czym potęguje ogólną wesołość. Gardiner w końcu zmusza się do sztywnego półuśmiechu, ale jego twarz wygląda, jakby miała pęknąć z wysiłku.

Zamieszanie w końcu cichnie, małpa zostaje zabrana, czekają karty do pikiety. Rozmowa schodzi na poważniejsze sprawy. Dyskutują o zbliżającej się ratyfikacji traktatu pokojowego z Francuzami – korzystnego dla Anglii, bo Francja będzie jej dłużnikiem przez sto lat – choć to zniweczy wszelkie nadzieje na zjednoczenie Anglii z księstwami niemieckimi w protestanckiej lidze. Huicke niewiele mówi, ale myśli o tym i zakłada, że Katarzynie też chodzi to po głowie. Cesarz przygotowuje się do bitwy z książętami niemieckimi, więc spełnienie marzenia o ewangelicznej Europie jest dalej niż kiedykolwiek.

– Admirał d’Annebaut przybędzie, aby ratyfikować traktat – mówi król. – I ty, Essex – zwraca się do Willa Parra – go powitasz. Pokaż mu, że my, Anglicy, umiemy przyjmować gości. Pochlebstwem nakłonimy go do posłuszeństwa i wróci do Franciszka, sławiąc naszą niezrównaną gościnność.

To dobry znak, myśli Huicke – świadczy o tym, że król nadal faworyzuje Parrów. Ale spojrzenie, jakie Wriothsley wymienia z Gardinerem, mówi coś zupełnie innego. Sprowadzony lutnista brzdąka w kącie, Surrey i Will Parr żegnają się i odchodzą.

– Widzę, że twój brat nadal domaga się rozwodu – mówi Gardiner, zwracając opadające oko na Katarzynę, gdy tylko Will jest już poza zasięgiem słuchu. Wie, że dla Parrów to drażliwa kwestia. – Rozumiesz, że nigdy go nie dostanie.

– Co myślisz o rozwodzie? – pyta król, wskazując grubym palcem na Jane Błazen. Ta skacze z podkasaną spódnicą i śpiewa:

*W dziupli zamieszkała stara mądra sowa,  
Im więcej widziała, tym mniej gadała,  
Im mniej gadała, tym więcej słyszała.  
Dlaczego nie możemy być tacy jak ten stary ptak?*

– Ha! – ryczy król. – Jesteś mądrzejsza niż większość mojej rady, błażnico.

– To, co Bóg złączył, nie może zostać rozdzielone przez człowieka – mówi Gardiner.

– Małżeństwo jest jednym ze świętych sakramentów – dodaje król, nagle poważniejąc.

Wygląda na to, że ci dwaj rozmawiali już na osobności o rozwodzie Willa Parra, i teraz w subtelny sposób przypominają Katarzynie, gdzie jej miejsce.

Huicke myśli o tym, jak król śmiał się z małego ślubu... i o królowych, których się pozbył. Rzeczywiście, „sakrament”.

– Erazm nie uważał małżeństwa za sakrament – odzywa się Katarzyna, która od jakiegoś czasu milczała.

Wszyscy spoglądają na nią, a później na króla, ciekawi, jak zareaguje na ten jawny sprzeciw. Henryk nic nie mówi, a Katarzyna wydaje się zdecydowana wyrazić swoje myśli, chociaż atmosfera stała się gęsta i ciemna jak melasa.

– Erazm przetłumaczył oryginalne greckie słowo *mysterion* z Nowego Testamentu jako „tajemnica” – kontynuuje – i nigdzie nie znalazł słowa „sakrament”, odnoszącego się do...

– Myślisz, że nie znam Erazma? – grzmi król.

Zrywa się z krzesła i mocno uderza w stół dłonią, zadając cios niewątpliwie przeznaczony dla Katarzyny.

Krzesło przez chwilę kołysze się na dwóch nogach, po czym się przewraca; paż śpieszy, żeby je podnieść. Twarz króla sinieje, ostre jak krzemienie oczy patrzą zimno. Wszyscy się cofają.

– Co tydzień wymienialiśmy się listami, kiedy byłem chłopcem, i Erazm napisał dla mnie książkę, DLA MNIE, a ty masz czelność sugerować, że go nie znam! – Kipi niczym woda w garnku na dużym ogniu, dźgając grubym palcem w stronę żony.

Katarzyna siedzi nieruchomo jak kamień, ma spuszczone oczy, ręce złożone na kolanach.

– Żadna kobieta nie będzie mnie pouczać. Zejdź mi z oczu. PRECZ!

Katarzyna odsuwa się od stołu. Tylko Huicke ośmiela się wstać, niepewnie, gdy ona wyprostowana idzie do drzwi.

Król z westchnieniem opada na krzesło, wyraźnie przybity.

– Dokąd zmierza ten świat? – burczy. – Żona mnie poucza.

Huicke widzi, jak Gardiner i Wriothsley znów wymieniają spojrzenia; jeden nieznacznie unosi brwi, drugi, w odpowiedzi, ledwo dostrzegalnie kiwa głową. Zwietryli okazję.

– Huicke – mówi król. – Idź za nią, uspokój ją. Zobacz, czy nic jej nie jest.

Huicke’owi nie umyka ironia sytuacji: królowa była najmniej poruszona ze wszystkich, a przynajmniej nie okazała emocji. Wychodząc, słyszy strzęp ściszonej wypowiedzi Gardinera.

– ...hodować żmiję...

Chciałby wepchnąć mu te jadowite słowa z powrotem do gardła, tak żeby się nimi udławił.

*Pałac Whitehall, Londyn, sierpień 1546*

COŚ SIĘ DZIEJE. DOT CZUJE ZALEGAJĄCY w apartamentach królowej ciężar, który nie do końca ma związek z dusznym sierpniowym upałem. Życie wysączyło się ze wszystkiego, nawet pokojowe psy leżą płasko na tureckim dywanie i zieją z wywieszonymi językami, spragnione powietrza. Otwiera szeroko okna po obu stronach komnaty, ale powietrze ani drgnie. Głowę ma mokrą pod czepkiem; chciałaby ściągnąć wierzchnią suknię i chodzić tylko w spodniej, jak większość dwórek, kiedy nie ma gości. A gości nie ma. Odkąd dwa tygodnie temu biedna Anna Askew spłonęła na stosie, prawie nikt nie odwiedza komnat królowej. Nie ma też żadnych zwykłych wieczornych rozrywek, ani muzyków, ani poetów, ani nawet Udalla – co więcej, nie pokazuje się też Huicke, który stale tu bywał.

Sędziwa Mary Wootten i Lizzie Tyrwhitt rozmawiają ściszymi głosami, żeby nikt ich nie podsłuchał. Nie przejmują się, że Dot je słyszy.

– Wiesz, o czym to mi przypomina? – pyta Lizzie Tyrwhitt.

– O konkubinie – szepcze Mary Wootten.

Dot wie, o kim mówią, bo tak niektórzy nazywali Nan Bullen, kiedy była królową. Dolewa z dzbanka piwa do kubków.

– Ciepłe. Czy w całym pałacu nie można wypić kropli chłodnego piwa?

– Nie, lady Mary, nie ma nawet dla króla.

– Boję się o nią. – Lizzie Tyrwhitt wygląda, jakby zaraz miała się rozpląkać.

– Jak my wszystkie.

– Przecież nie zrobiła nic złego. Jest wzorem.

– Hm! – Mary Wootten przewraca oczami. – Nie o to chodzi. Jeśli tych dwóch się zaważmie... – Milknie, zaciskając usta. – Może rozpętać się piekło.

Siostra królowej pochyla się, z palcem na ustach.

– Ciszej, drogie panie. Nie chcę, żeby dziewczęta coś zwęszyły. – Spogląda na grupę panien, które apatycznie wylegają się w pokoju.

Dot zabiera dzbanek do prywatnej komnaty swojej pani. Katarzyna jest sama, siedzi na krześle, z książką na kolanach, i patrzy w okno.

– Dziękuję – szepcze, gdy Dot napełnia jej kubek.

– Madame... – Dziewczyna nie ma pojęcia, jak to powiedzieć. – Co... nie wiem...

Katarzyna patrzy na nią, czekając.

– Czy coś się dzieje? – w końcu wyrzuca z siebie Dot.

– Wiesz, czasami najlepiej jest nic nie wiedzieć.

Królowa jest nieprzenikniona jak kawałek drewna.

– Ale...

Katarzyna unosi rękę, by ją uciszyć.

– Jeśli ktoś da ci coś, żebyś mi przyniosła, książkę, cokolwiek, musisz odmówić.

Dot kiwa głową. Czuje napór na skronie, jakby ścisnęła je żelazna obręcz. Widzi uśmiech Katarzyny i zdumiewa się, jak jej pani potrafi się na niego zdobyć w tak poważnej sytuacji.

– Zajmij się swoimi sprawami, Dot. Nie okazuj zaniepokojenia. Śmiało, pokaż swój uśmiech.

Dot zmusza się, by unieść kąciki ust, i zbiera bieliznę do prania.

– Grzeczna dziewczynka – rzuca Katarzyna.

Skrzypienie kosza na bieliznę jest jedynym dźwiękiem w antykamerze, kiedy Dot przez nią przechodzi. Już ma wyjść, gdy nagle drzwi otwierają się na oścież. Wpada służący dworzanin, kłania się i prosi Annę.

– Kto mnie wzywa?

Dot słyszy drżenie w jej głosie.

– Lord kanclerz chce z tobą pomówić, lady.

– Wriothlesley – mruczy pod nosem siostra Katarzyny.

Dot widzi, jak kolory odpływają z jej twarzy. Inne dwórki wyglądają jak stado przerażonych saren; patrzą szeroko otwartymi oczami na Annę, która w milczeniu mija Dot i wychodzi za mężczyznę z komnaty. Dot odkryła, że to Wriothlesley zaczepił ją wtedy w Tower. Ma go przed oczami, jak chrupie grudkę cukru, a kryształki osiadają mu w brodzie. Kłamstwo, które mu powiedziała, skręca jej wnętrzności jak zepsuta ryba.

– Dot, co ty robisz? – pyta ją Lizzie Tyrwhitt.

Dziewczyna widzi, że kosz się wywrócił i bielizna leży rozrzucona na podłodze. A ona stoi jak półgłówek, wpatrując się w drzwi.

– Och, proszę wybaczyć – bąka, zaczynając wszystko zbierać.

– Ogarnij się.

Zdenerwowana biegnie do pralni, rzuca kosz i mówi praczce, że to dla królowej. Nie zatrzymuje się na pogawędkę, tak jak zwykle. Chce jak najszybciej wrócić do tych strasznie cichych pokoi.

Anna powraca, blada jak trup, jakby zdjęta śmiertelnym przerażeniem; jest roztrzęsiona, nie może usiedzieć ani ustać w miejscu. Kręci się, szukając czegoś, mrużąc do siebie: „Gdzie położyłam Biblię? Gdzie jest mój psalterz? Gdzie moja siostra?” – i załamuje rękę.

Kiedy przychodzi Katarzyna, żeby ją uspokoić, Anna przywiera do niej jak tonąca.

Później ten sam mężczyzna wywołuje Lizzie Tyrwhitt. W pokoju gęstnieje zaduch strachu i wszystkie podskakują za każdym razem, gdy skrzypnie boazeria. Katarzyna siedzi w głębi komnaty i czyta w milczeniu, jak gdyby nic się nie działo,

ale obok niej Anna patrzy przed siebie i bez przerwy okręca wokół palców chwast paska, jakby miała nie po kolei w głowie. Dot nie wie, co ze sobą począć, i udaje, że jest zajęta cerowaniem niewidzialnej dziury w pończosze.

Lizzie szybko wraca.

– Tu nie ma powietrza, nie wiem, jak możecie oddychać – mówi i zaczyna przetrząsać swoje rzeczy w poszukiwaniu wachlarza. – Nie wiem. Nie wiem – powtarza.

Następna jest Anna Stanhope. Jeśli się boi, nie okazuje tego; spokojnie wychodzi z mężczyzną, jakby wybierała się na popołudniowy spacer. Dot musi przyznać, że choć jest dwulicowa, nie ma tchórzliwego serca. Kłuje się w palec igłą do cerowania. Umiera ze strachu, że jej kłamstwo pośle Annę Stanhope w ślad za panią Askew i to będzie jej wina. Kręci jej się w głowie od tego wszystkiego. Wysysa krew z palca i próbuje nawlec nić na igłę, ale za bardzo drżą jej ręce. Nie może przestać myśleć o śmierci biednej Anny Askew i chciałaby wiedzieć, czy proch skrócił jej mękę. Nikt o tym nie mówił, nawet szeptem. Tak jakby wszystko działo się gdzieś indziej i jedyne, co mogą zrobić, to siedzieć w tych komnatach i zastanawiać się nad tym.

Stanhope wraca jakieś pół godziny później, patrząc z góry, jakby nic się nie zmieniło – i może się nie zmieniło. Podchodzi prosto do Katarzyny i coś do niej szepcze. Każda osoba w komnacie czeka na reakcję królowej, ale ta tylko kiwa głową i znów pogrąża się w lekturze. Anna Stanhope, pozornie niewzruszona, siada na ławce pod oknem i zaczyna układać pasjansa. Dot patrzy, jak szybkimi palcami rzuca karty na stół, i szuka u niej śladów niepokoju, ale ich nie znajduje. Jej strach trochę maleje. Przecież gdyby z jej kłamstwa wynikły kłopoty, byłoby to widać na twarzy Stanhope albo w ruchach jej dłoni. Nic nie świadczy o tym, że Wriothesley był na nią zły za wysłanie wiktuałów do Tower. Tymczasem wzywana jest kolejna dama, a po niej następna, i każda z nich wraca ze zmieszaną, zaniepokojoną miną. Anna Stanhope nadal spokojnie kładzie karty, ledwie unosząc wzrok.

Katarzyna przywołuje ją i coś do niej mówi, po czym Stanhope zaczyna zbierać pozostałe jeszcze w pokoju książki. Wręcza je kobietom, a te w zamieszaniu ukrywają je pod spódnicami, w czepkach, owinięte w chustki.

– Nawet to?! – wykrzykuje Lizzie Tyrwhitt, gdy Stanhope podaje jej plik papierów. – Wiersze Wyatta?

– Coś mogło zostać nabazgrane na marginesie... Nigdy nie wiadomo.

Lizzie kiwa głową i wsuwa kartki pod bawet.

Jedna po drugiej wychodzą z tajnymi materiałami. Dot nie dostaje niczego i zastanawia się, czy ktoś oprócz Katarzyny wie o książkach, które wniosła do tych pokoi. Czuje się jak dziecko, które nie rozumie świata dorosłych.

DNI MIJAJĄ I POGODA NIE ULEGA zmianie. Teraz, gdy książki zniknęły, damom brakuje zajęcia i siedzą jak duchy. Niewiele mówią i większość zarzuciła nawet robótki. Wychodzą na posiłki, po czym wracają, i na tym koniec. Nadal nie ma wizyt. Huicke'a wysłano do Ashridge, gdzie opiekuje się Elżbietą – podobno jest chora. Większość mężów i krewnych, którzy zwykle wpadali na karty i muzykę, wyjechała – Hertford i Lisle do Francji; brat królowej, Essex, na szkockie pogranicze. Dot postawiła sobie za punkt honoru słuchać wszystkich szeptanych rozmów. Nie będzie żyć w niewiedzy.

William Savage wciąż jest na dworze, ma jednak nowe obowiązki i nie bywa w pomywalni. Kłopot z głowy, myśli Dot. Czasami widzi go na korytarzu i chowa się wtedy, żeby jej nie zobaczył. A on już nie przychodzi grać na wirginalu. Dot dziękuje za to Bogu. Nikt nie ma ochoty na muzykę, choć przez większość wieczorów słyszą braci Bassano; ich śpiew i gra na skrzypcach płyną z otwartych okien królewskich komnat. Katarzyna, chłodna jak kubek schłodzonego wina, zwykle ma rozkaz dołączyć do króla i wtedy zabiera ze sobą Cat Brandon albo Stanhope. Trzymają się razem, czekając – czekając, co będzie dalej.

Królowa może jest chłodna i spokojna i zachowuje się tak, jakby wszystko było normalnie, Dot jednak wie swoje i widzi, jak zmusza usta do nieszczerego uśmiechu, zanim wpuści kogokolwiek do swojej komnaty, i jak modli się częściej niż kiedykolwiek. Pod jej uchem pojawił się nowy siniak i Dot ubiera ją w suknie ze stójkami, aby go zakryć. Pomimo parnego upału Katarzyna upiera się, żeby nosić najwspanialsze rzeczy, suknie i czepki najcięższe od klejnotów.

– Muszę wyglądać jak królowa – mówi w odpowiedzi na pytanie, czy nie czułaby się wygodniej w samej spodniej sukni, jak noszą się inne damy.

Katarzyna wyjmuje krzyż matki ze szkatułki, w której leżał nietknięty od lat. Siedzi, gładząc perły czubkami palców; jej usta poruszają się, jakby odmawiała różaniec, a potem zawija krzyż w kawałek aksamitu i wsuwa pod poduszki. Nigdy go nie nosi. Jej szyja jest ciężka od królewskich klejnotów, ogromnych kamieni, które wydają się jeszcze większe na jej drobnej sylwetce.

– Zrezygnowałabym z tego wszystkiego – mówi, trzymając naszyjnik z rubinami. – To nic nie znaczy. – Ale wciąż nalega, żeby je nosić.

Codziennie wieczorem można ją zobaczyć przez otwarte okna po drugiej stronie dziedzińca, uśmiechniętą i roześmianą. Dot zachodzi w głowę, jak udaje jej się stworzyć tę fasadę bez troski, gdy wszyscy stoją na krawędzi przepaści. Król bawi u Katarzyny przez większość nocy, a wtedy Dot leży na swoim posłaniu na zewnątrz, przyciskając ręce do uszu, żeby ich nie słyszeć.

Tymczasem trwają przygotowania do letniej przeprowadzki do Hampton Court, więc korzystając z ładnej pogody, trzeba wszystko wywietrzyć. Dot rozmontowuje łożo królowej, odczepia ciężkie od rocznego kurzu kotary, wynosi je

na dziedziniec i trzepie. Trzepie też poduszki i kołdry, wysyła rzeczy do pralni, dzieląc je na te, które z nimi pojedą, i te, które zostaną. Trzeba wywietrzyć narzuty, przewrócić materace. Bierze jednego z chłopaków, aby jej pomógł, bo obracanie dużego piernata jest trudniejsze niż podnoszenie martwego grubasa – przynajmniej Betty zawsze tak mówi, chociaż Bóg jeden wie, skąd miałyby wiedzieć, jak to jest podnosić trupa, grubego czy chudego. Dot nie może doczekać się powrotu do Hampton Court, bo tam będzie miała towarzystwo Betty, która, choć wulgarna i gadatliwa, nie jest skomplikowana i ją rozśmiesza. Ma już powyżej uszu tej skomplikowanej ciszy.

Oboje, ona i chłopak, walczą z ciężarem materaca. Gdy podnoszą go z ramy, Dot czuje coś pod opuszkami palców. To zwitek papieru, utknięty pomiędzy listwami. Z jękiem upuszcza swój koniec, a chłopak cmoka w rozdrażnieniu.

– Za ciężkie – mówi Dot. – Czemu nie zawołasz kogoś więcej do pomocy?

Chłopak wychodzi, wruszając ramionami i mamrocząc pod nosem coś o słabowitych służkach. Dot wyjmuje zwitek. Papier jest szorstki, poplamiony i zmięty, ciasno zrolowany i przewiązany kawałkiem wystrzępionej czerwonej wstążki. Widzi, że jest zapisany, bo atrament miejscami przesiąknął, i przypuszcza, że to list miłosny – z jakiego innego powodu ktoś by chował go pod materacem? Zastanawia się jednak, jak to możliwe, bo przecież gdyby królowa darzyła kogoś miłością i wymieniała z nim listy, ona pierwsza by to dostrzegła.

Myśli o innej królowej, Katarzynie Howard, która straciła głowę za zdradzenie króla. Mówią, że nawiedza korytarz królowej w Hampton Court. Już samo myślenie o tym przyprawia Dot o ciarki. Słyszy, jak chłopcy wchodzą po schodach, gadają i śmieją się jeden z drugiego, i idzie rzucić papiery w ogień, ale ruszt kominka jest pusty. W taką pogodę nie rozpala się ognia, a gdyby to zrobiła, wzbudziłyby podejrzenia – poza tym nie ma na to czasu – więc chowa rulonik pod spódnicę. Katarzyna będzie wiedziała, co z tym zrobić. Zresztą to pewnie coś niewinnego, może list od matki, przechowywany przez dziesiątki lat i czytany dla pamięci, może ulubiony wiersz albo modlitwa z dzieciństwa. Tak naprawdę obawia się jednak, że to list od Seymoura, który zniknął z powierzchni ziemi.

Gdy materac zostaje już przewrócony, Dot idzie do pralni sprawdzić, czy bielizna królowej jest sucha i gotowa do spakowania. Gdy zdąża długą galerią, zatrzymuje ją Jane Błazen.

– Mam jutro jechać do Hampton Court? – pyta i jej zezujące oko obraca się.

To samo pytanie zadała godzinę temu. Dot zastanawia się, dlaczego wszyscy słuchają jej gadaniny, choć jest zbyt głupia, żeby pamiętać, co jej niedawno powiedziano. Ale to prezent dla królowej od króla, tak jak mała, i trzeba jej pobrażać.

– Tak, Jane, jesteście już gotowi?



– *Didle du, didle da, kluseczki...* – śpiewa Jane i Dot natychmiast żałuje swojego pytania.

Między nimi przechodzi gromada dworzan, więc Dot musi przycisnąć się do ściany, żeby ktoś jej nie potrącił. Czuje rulonik pod spódnicą. Trochę się obsunął. Żeby go przytrzymać, wypina brzuch. Dworzanie mijają ją w szeleście strojów i trzepocie piór. Wśród nich jest Wriothlesley o pociągłej twarzy łasicy. Dot schyla głowę, żeby jej nie rozpoznał. Oddalają się, a ona idzie obok pokoju paziów ku drzwiom prowadzącym na kuchenne schody.

Nagle Wriothlesley odwraca się i zatrzymuje, pozwalając wyprzedzić się pozostałym. Przewierca ją wzrokiem.

– Jesteś dziewczką lady Hertford, prawda?

Dot wie, że musi dygnąć. Czuje, jak papier znowu się przesuwa. Ale nie ma wyboru. Gdy opada w dygu, rulonik uwalnia się ze wstążki i rozkłada na podłodze u jej stóp. Modląc się, by zakryła go spódnicą, spogląda w dół. To błąd.

– Co to jest? – warczy Wriothlesley. – Odsuń się.

Dziewczyna robi to, odsłaniając papiery leżące na podłodze zapisaną stroną do góry. Kręci jej się w głowie. Chce zniknąć, zrobić się taka malutka, żeby nie było jej widać, obrócić się w pył, odpłynąć. Ale nic się nie dzieje i stoi, oniemiała ze strachu.

Uśmiech wypełza na jego twarz.

– Podnieś.

Dot schyla się po papiery, kładzie je na jego wyciągniętej dłoni i dopiero wtedy uświadamia sobie, jak bardzo się trzęsie.

– I to. – Wriothlesley wskazuje na leżącą przy skraju jej spódnicy wstążkę.

Dziewczyna przykuca, żeby ją podnieść.

Gdy się prostuje, on stawia stopę na jej ramieniu i przyciska ją butem, jak psa. Unosi wstążkę pod światło, ogląda ją i rzuca na podłogę.

– Boisz się, co? – syczy. – Masz powód do strachu?

– Nie, lordzie – szepcze Dot. – Tylko...

– Cóż, powinnaś się bać. – Wriothlesley przegląda papiery, tu i ówdzie czytając fragment. – To bowiem – stuka w nie palcem – jest herezja.

Dot zauważa, że Jane Błazen wciąż tam jest; jedno jej oko błądzi po galerii, drugie ją obserwuje. Zaczyna śpiewać głosem małej dziewczynki: *Dzyń, dzyń, dzwoneczki, w studni są koteczki...*

– Wstawaj – warczy Wriothlesley.

Dot dźwiga się z podłogi i przywiera do ściany, pragnąc, żeby ją pochłonęła.

– Zapomniałem twojego imienia, dziewczko.

– Nelly, lordzie, Nelly Dent. – Dot spogląda na Jane, w nadziei, że Bóg powstrzyma ją przed zdradzeniem prawdy.

– A, tak, Nelly Dent. Popychadło lady Hertford. – Chwyta ją mocno za ramię suchą łuskowatą dłonią i przyciąga do siebie. – Pójdiesz ze mną.

Przysuwa twarz tak blisko, że Dot czuje smród skisłego mleka w jego oddechu.

– Ona jest punkcikiem na horyzoncie, drobiną w oceanie, kropką – bełkocze Jane.

– Och, zamknij się, głupie stworzenie – prychna Wriothsesley, odpycha Jane i wlecze Dot przez galerię.

# 9



*Pałac Whitehall, Londyn, sierpień 1546*

DOT ZNIKNĘŁA JAK KAMIENŃ W WODE. Katarzyna krąży po pokojach; deska skrzypi za każdym razem, gdy na nią następuje, chodząc tam i z powrotem, tam i z powrotem. Minęły dwa dni i prawie nie spała ze zmartwienia. Czuje, że Wriothsley i Gardiner depczą jej po piętach. Większość jej dwórek znalazła taką czy inną wymówkę, żeby uciec z pałacu – wcześniej jechać do Hampton Court; zobaczyć nowo narodzone dzieci w rodzinie; odwiedzić rodziców, którzy nagle się rozchorowali, albo pożegnać się z umierającym kuzynem; załatwić gdzieś niecierpiącą zwłoki sprawę – cokolwiek, byle tylko wydostać się z orbity Wriothsleya. Wystraszył je wszystkie swoimi pytaniami. Komnaty królowej opustoszały. Wydaje się, że same kamienie pałacu wstrzymują oddech, czekając na rozwój wypadków.

Kto wyraził zgodę na te przesłuchania? Czy można coś takiego robić bez zezwolenia króla? Katarzyna nie śmie zapytać Henryka. Zresztą spędza z nim ledwie chwilę sam na sam, a gdy przychodzi nocą do jej komnaty, eskortuje go oświetlona pochodniami świta, która czeka na zewnątrz, by odprowadzić go po półgodzinie. Henryk wciąż się stara o następcę tronu, ona jednak straciła nadzieję na poczęcie syna, co byłoby jej ocaleniem, ponieważ najczęściej król jest niezdolny, mimo jej usilnych starań. I gdzie jest Dot? Cień Wriothsleya wisi nad wszystkim i ma kształt Tower.

Pozostaje tylko jej najbliższy krąg. Siostra, nerwowa jak żrebak, stoi przy oknie i patrzy na zewnątrz, obgryzając paznokcie. Apodyktyczna Lizzie Tyrwhitt, odpowiedzialna i godna zaufania, z sędziwą Mary Wootten, obecną na dworze od tak dawna, że widziała już chyba wszystko, szyją koszule dla ubogich. Cat Brandon też jest tutaj i haftuje, siedząc na ławce pod oknem, gdzie ma najwięcej światła. Nie należy do tych, którzy niczym szczury uciekają z tonącego okrętu. I jest

Stanhope, która jak zawsze stawia pasjansa, demonstrując swoje poparcie dla rodziny Seymourów.

Katarzyna pozwoliła jej odejść, ona jednak uparła się, że zostanie. „Musimy trzymać się razem – powiedziała. – Starają się obalić mężów, atakując żony”.

Oczywiście, ma rację. Gdyby Gardiner i Wriothsley zdołali rozbić partię Hertforda, już nic nie stałoby im na drodze. Powszechnie uważa się, że obecnie Hertford ma większą władzę niż wszyscy członkowie rady razem wzięci. I król go uwielbia, mimo że Hertford jest zagorzałym reformatorem – być może przypomina mu jego ulubioną zmarłą żonę, Jane. Gardiner dałby sobie rękę uciąć, żeby zobaczyć upadek Hertforda. Katarzyna musi przyznać, że Stanhope nie brakuje hartu ducha, skoro została w tym gnieździe os.

Byłaby rada z tego mniej licznego dworu, gdyby nie to, że z powodu uciezki dwórek czuje się opuszczona i słaba, bezsilna jak zwierzę w potrzasku. Wie, że musi sprawiać wrażenie niewzruszonej. Dlatego – jak wyjaśniła Dot – nosi swoje najlepsze suknie, wiążąc ciało w ich sznurowaniach, i obciąża się klejnotami królowej. Ale gdzie jest Dot? Ktoś musi ją znaleźć. Anna jest kłębkim nerwów, niezdolna do pomocy; Will odszedł, podobnie jak Udall i nawet Huicke. Katarzyna zdaje sobie sprawę, że każdy z nich został odesłany pod takim czy innym pretekstem. Wszyscy jej sojusznicy wyjechali – w każdym razie mężczyźni. To nie przypadek. Gardiner i Wriothsley dobrze wybrali moment rozpoczęcia swojej gry, o cokolwiek ją toczą. Katarzyna przechadza się, usiłując nie myśleć o Tower i szafocie.

Ale wciąż tu jest William Savage, Williamowi można zaufać. Katarzyna mówi Lizzie Tyrwhitt, żeby go znalazła i sprowadziła. Kiedy przychodzi, jest zakłopotany i blady, wykręca długie palce, a jego ciemne oczy wyrażają troskę. Z pewnością wie, że jeśli królowa upadnie, on upadnie razem z nią – książki, które dostarczał, wystarczą, żeby go skazać. Ktoś coś powie albo będą go torturować, dopóki się nie złamie.

Katarzyna zauważa na jego palcu czarny emaliowany pierścień żałobny. Dotyka go i pyta:

– Twoja żona?

– Tak. Zmarła w połogu.

– Przykro mi... A dziecko?

Młody człowiek kręci głową.

Katarzyna gładzi grzbiet jego dłoni, miękkiej, niemal dziewczęcej.

William zdobywa się na nikły uśmiech.

– Wola Boża.

– To prawda. Musimy zaufać Bożemu planowi.

Zza okien dobiega hałas, głośne okrzyki radości, zapewne z areny do walki kogutów albo z kortów tenisowych. Życie w Whitehall toczy się jak zwykle, podczas gdy w jej komnatach jest cicha próżnia.

– Potrzebuję twojej pomocy – mówi Katarzyna, ściskając jego dłoń.

– Wiesz, pani, że zrobię wszystko.

– Dorothy Fownten zginęła.

William ze świstem wciąga powietrze i szeroko otwiera oczy.

Katarzyna zdaje sobie sprawę, że źle ją zrozumiał.

– Nie, nie umarła. Przynajmniej tak myślę... mam taką nadzieję. Zaginęła...

Dot zaginęła.

William przechyla głowę, marszcząc brwi.

– Nie rozumiem.

– Od dwóch dni jej nie widziałam. Musisz ją znaleźć, Williamie. Jest mi tak bardzo droga.

– I mnie – szepcze młody człowiek.

– Pytałam wszystkie moje damy, żadna jednak jej nie widziała, ani w kuchni, ani w żadnym innym miejscu. Tylko Jane Błazen twierdzi, że ją widziała, ale nie mogłam z niej wydobyć niczego poza bezsensowną rymowanką.

– Co powiedziała?

– Nie pamiętam, Williamie. To był tylko bełkot.

– Spróbuj sobie przypomnieć, madame. Nic więcej nie mamy.

– Chyba coś o dzwonach.

Katarzyna pociera skronie, jakby próbowała wymasować z głowy wspomnienie, i przychodzą do niej fragmenty piosenki. Zaczyna nucić melodię, a wraz z nią płyną słowa... *Kogo dzisiaj zamknęli, ryczą dzwony Old Bailey.*

– W Old Bailey nie ma dzwonów – mówi William, który podchwycił melodię. – To dzwon kościoła Grobu Świętego, który stoi tuż za więzieniem Newgate. – Z ostrym wydechem rozkłada ręce i krzyczy: – Zabrano ją do Newgate?! Pójdę tam.

– Williamie, nie wiem, jak ci dziękować. – Katarzyna ujmuje jego dłoń i składa pocałunek na czubkach palców. – Musisz zrobić wszystko, co możliwe. Powiedz, że wysłano cię z pałacu.

William odwraca się ku drzwiom.

Katarzyna zatrzymuje go, kładąc dłoń na jego rękawie.

– Uważaj, Williamie. I jeśli ją znajdziesz, pamiętaj, że jest moja. Jest mi bliska jak...

Nie mówi „córka”; wie, jak by to zabrzmiało, bo Dot należy do zupełnie innego gatunku, jak małpa Franciszek, przynajmniej dla większości. Ale to prawda: Dot jest jej bliska jak krewna, czasami bliższa.

– Raz złamałeś jej serce i więcej tego nie zrobisz – dodaje, zaskakując samą siebie stając w swoim głosie.

William kładzie rękę na piersi.

– Masz moje słowo, madame. – Kłania się i wychodzi.

### *Więzienie Newgate, Londyn, sierpień 1546*

DOT BYŁA SAMA PRZEZ DŁUGI CZAS, czterdzieści pięć godzin. Wie o tym, bo liczyła uderzenia wielkiego tenorowego dzwonu, który gdzieś w pobliżu wybija godziny. Wypiła ostatnie krople stęchłej wody z dzbana, który ktoś przyniósł, kiedy zamknięto ją tutaj wieki temu. Nie ma tu nic – ani ławki, ani świecy, ani koca – jest tylko wiadro w kącie, wąziutkie okno, zbyt wysoko, żeby można wyrzeć, padający przez nie prostokąt światła na podłodze i gniazdo myszy do towarzystwa. Spędziła godziny w ciemności, skamieniała, skulona w kącie na stercie cuchnącej moczem słomy, wsłuchując się w krzyki i wycie innych więźniów. Stara się nie myśleć. Zaraz po tym, jak ją tu wepchnięto, tłukła pięściami w drzwi i krzyczała, rozpaczliwie wzywając kogoś, kto by przyszedł i powiedział, co się dzieje, ale mijały godziny i w końcu ochrypła od krzyku. Nikt nie przyjdzie, tyle zrozumiała. Jej krzyki przeszły w skowyt, aż wreszcie całkiem zamarły, pozostawiając ją z myślami.

Z grozą myśli o tym, że umrze: nigdy już nie poczuje słońca na skórze, nigdy nie zgniecie w palcach łądygi rozmarynu, by uwolnić zapach, nigdy więcej nie poczuje na sobie rąk mężczyzny, nigdy nie dowie się, co to znaczy wydać z siebie nowe życie. Oblewa ją zimny pot; chwyta się szorstkich kamieni ścian ze strachu, że wpadnie w czarną otchłań. W jej głowie to miejsce jest jak obrazy piekła na ścianach kościoła w Stanstead Abbots; bała się ich w dzieciństwie: plugawe demony, pół ptak, pół człowiek, wyrywający grzesznikom kończyzna po kończyźnie. Zmusza się, by wyczarować obraz Chrystusa na krzyżu, i szepcze w kółko: „Jezus umarł za nas, Jezus umarł i zmartwychwstał”.

Próbuje wrócić myślą do tamtego kościoła i wysokiego krucyfiks za ołtarzem, ale nie może go przywołać – to było zbyt dawno temu. Jej myśli wciąż wędrują do posągu Matki Boskiej, która kiedyś płakała. Ludzie przybywali z daleka i zewsząd, by podziwiać te święte łyzy. Okazało się, że to wcale nie łyzy, tylko krople deszczówki z ustawionych przez kogoś rur prowadzących do rynsztoka; nikt nie pomyślał, żeby spytać, dlaczego Matka Boska płacze tylko wtedy, gdy pada. Nic dziwnego, że ludzie zwrócili się ku reformom. Wiara Dot jest cienka jak wiosenny lód na stawie.

Szuka ucieczki w słowach piosenek miłosnych, które pamięta sprzed lat, i nuci, żeby wyprzeć z głowy inne myśli, ale piosenki przypominają jej o Williamie

Savage'u. Chciałaby zobaczyć go jeszcze jeden raz... Gdy skupia się dość mocno, czuje jego palce, jego ciężar, jego oddech na szyi. Płacze, dyszy, krztusi się łzami. Później wraca do terażniejszości. Gdyby wiedziała, co było na tamtych kartkach, może miałaby pomysł, jak się uratować, ale Wriothlesley niczego nie zdradził.

Wyprowadził ją z pałacu, wbijając kościste łapsko w jej ramię, z ustami zasznurowanymi jak sakiewka skąpca. Rozpaczliwie pragnęła krzyknąć, żeby ktoś powiadomił królową, ale nie ośmieliła się tego uczynić, bo przecież była Nelly Dent, która nie miała nic wspólnego z królową. Jane Błazen szła za nimi, na okrągło mamrocząc: *Dzyń, dzyń, dzwoneczki, w studni są koteczki*, aż Wriothlesley odwrócił się i kopnął ją w kostkę, a Jane zaskowyczała jak pies i odbiegła. Na dziedzińcu przekazał ją jakiemuś mężczyźnie, a ten zarzucił jej worek na głowę, zapakował ją na wózek i przywiózł w to miejsce.

Otwiera się klapka w drzwiach i ktoś wsuwa kubek.

– Gdzie jestem? – pyta Dot. – Czy to Tower?

Słyszy śmiech.

– Nie wiem, za kogo się uważasz, panienko. Może masz porządną wełnianą kieckę i przywieziono cię z pałacu, ale nie jesteś jedną z księżniczek, które trafiają do Tower na schludne skrócenie o głowę, to jasne jak słońce.

– No więc gdzie jestem?

– To Newgate, panienko, ładny pałac dla takich jak ty.

– Co ze mną będzie?

– Nie pytaj, panienko. Ale wiem, że jak nie weźmiesz tego kubka, to nie dostaniesz nic innego.

Dot bierze kubek. Jest do połowy napełniony cienkim letnim rosółem. Mężczyzna podaje jej grubą kromkę chleba i zatrzaskuje klapkę. W chlebie jest martwy ryjkowiec, a na rosole unosi się plama oleju, ale sam zapach sprawia, że skręca ją z głodu i ślina napływa jej do ust. Łapczywie zjada wszystko, a potem żałuje, że nie zostawiła trochę na później, bo nie ma pojęcia, kiedy znowu dostanie coś do jedzenia.

Nie ma pojęcia o niczym. I nie pozostaje jej nic innego, jak modlić się, czekać i próbować nie myśleć.

*Pałac Whitehall, Londyn, sierpień 1546*

SIOSTRA KRÓLOWEJ ZAŁAMUJE SIĘ pierwsza. Jej usta są ciemną dziurą; wydobywa się z nich straszne zwierzęce wycie, szalony głuchy dźwięk, który odbija się echem od ścian komnaty, przenika przez drzwi na galerię i dalej. Brzmi jak krzyk rodzącej. Dwórki milczą i – jak w choreografii jakiegoś nowomodnego tańca – przykładają ręce do ust i cofają się, gdy Anna pada na podłogę, wstrząsana

dławiącym szlochem. Spódnice zadzierają się sztywno wokół niej i wygląda niemal komicznie, jak w kostiumie na maskaradę. Ale cierpienie na jej twarzy nie jest udawane. Zakłopotane kobiety przestępują z nogi na nogę, machają rękami, niepewne, czy chwycić ją za ramiona i trzymać, czy zostawić, by wiła się i szlochała.

Żadna nie patrzy na Katarzynę, która ledwo rejestruje poczynania siostry. Na wpół odwrócona, w smukłych palcach lewej ręki trzyma kartkę i bez przerwy wodzi po niej wzrokiem, za każdym razem z nadzieją, że wyczyta inną wiadomość. Jej twarz jest zmęczona i szara, a na czole gromadzą się maleńkie kropelki. Przez jakiś czas stoi w zupełnym bezruchu, tylko jej oczy pomykają po tekście, szybkie jak wiosenne muchy. Zawodzenie jej siostry osiąga apogeum.

– Daj spokój, Anno – mówi Katarzyna głosem ostrym jak strzała. – Weź się w garść.

Jest starszą siostrą w pokoju dzieciennym, a Anna nieznośnym brzdącem. Obraca się do niej, kuca i ją obejmuje. Anna wtula twarz w jej szyć, zostawiając tam ślad wilgotnych łez. Kartka wypada z palców królowej i ślizga się po podłodze, sunie jak magiczny dywan w strumieniu powietrza. Stanhope nurkuje za nią, szybka jak jastrząb. Czyta uważnie, zaciskając usta, z szeroko otwartymi oczami.

– O Boże, nie! – wykrzykuje.

Katarzynie wydaje się, że widzi lekko uniesione kąciki jej ust. Ale nie może już ufać temu, co widzi; ta sytuacja uczyniła ją podejrzliwą wobec wszystkiego.

– To nakaz aresztowania. Podpisany przez króla.

Nad grupą dwórek wznosi się zbiorowe westchnienie. Katarzyna przypuszcza, że każda z nich rozważa, jak głęboko może być w to uwikłana, cokolwiek to jest – i jak nisko może upaść. Niemal widzi kłębowisko ich myśli, gdy zastanawiają się nad ratunkiem. Po pokoju krąży czarne słowo: herezja. Nie ma innego powodu, by aresztować królową, chociaż kilka osób przebywa na dworze wystarczająco długo, by wiedzieć, że zarzuty niekoniecznie muszą mieć podstawy. Lizzie Tyrwhitt pociera ręce, jakby próbowała zetrzeć z nich atrament. Mary Wootten obraca pierścień na palcu. Anna, która wciąż zawodzi i zalewa się łzami, jak dziecko chwyta się paska siostry, gdy obie wstają z podłogi.

– Czuć tu smród Gardinera – mówi Cat Brandon, a jej spaniel podskakuje, słysząc swoje imię. – Nie, nie twój. – Klepie go po łbie. – Jak to do ciebie trafiło, Katarzyno? – Podchodzi bliżej i mówi tak cicho, żeby nikt inny nie słyszał.

– Huicke to przyniósł. Znalazł w korytarzu przed prywatną komnatą króla. Ktoś musiał upuścić...

– Nie sądzisz, że Bóg jest po naszej stronie, skoro zostałam w ten sposób ostrzeżona?



Milczą.

Katarzyna zastanawia się, dlaczego, skoro Bóg jest po ich stronie, Jego plan doprowadził do takiej sytuacji. Czy jej wiara jest poddawana próbie? Czy to kara za grzechy? Wszystkie stare grzechy ją doganiają. Jak można, będąc człowiekiem, być tutaj i nie grzeszyć?

– Co teraz? – pyta Cat. – Wiesz, że zrobię wszystko...

Anna nie przestaje zawodzić.

– Jestem znacznie lepsza od tych podstępnych węży – odpowiada Katarzyna. – Nie myśl, że dam się łatwo pokonać.

Jej głos brzmi spokojnie w chaosie tego pokoju, ale myśli krążą jak szalone. Jak dobrze, że pozbyli się wszystkich książek. Jak dobrze, że wrócił Huicke. Musi powiadomić brata – Bóg jeden wie, co mogą znaleźć w jego komnatach – ale Will jest na pograniczu i walczy ze Szkotami. Wysłałaby Dot, żeby sprawdziła jego komnaty, dziewczyny jednak wciąż nie ma. W Londynie łatwo można przepaść bez śladu, zwłaszcza gdy pochodzi się z plebsu. Czuje się tak, jakby miała głowę w imadle. Słyszała o torturach – sznur zawiązany wokół głowy zaciska się coraz mocniej, skręcany pałką. Musi uporządkować myśli. Musi zachować spokój i zapanować nad sytuacją. Nie da się powalić. Wszystkie dwórki patrzą na nią, oczekując jakichś wskazówek.

– Siostró, cicho! – upomina Annę ostrzej, niż zamierzała. – Jeśli któraś z was ma jeszcze książki, broszury...

Milknie, słysząc hałas w korytarzu. Wszystkie się obracają. Strach wisi w powietrzu jak cisza przed burzą. Drzwi otwierają się z piskiem zawiasów i oto ukazuje się Henryk w towarzystwie dwóch strażników.

Kobiety składają głęboki dyg, wbijając wzrok w podłogę. Król wchodzi do pokoju – cały w gronostajach i pancerzu misternie zdobionych szat, pikowanych, złożonych i haftowanych, z zenująco wielkim saszkiem, który wyziera spośród fałdów tkaniny jak jakiś monstrualny zwierzak.

– Co tu się dzieje? – huczy, a policzki drżą mu jak galareta. – Żono?

– Wasza Królewska Mość – mówi Katarzyna do jego białych pantofli, chwytając dłoń męża i całując pierścień.

Jej ręka jest nieruchoma jak kamień. Jeśli się boi – a jakże mogłaby się nie bać? – nie pokaże tego, ani królowi, ani nikomu, nawet sobie. Rubin to kropla krwi. Przytyka do niego usta. Wyobraża sobie, że unosi się wysoko pod belkami stropu, spoglądając na siebie w szkarłatnej sukni pochyloną przed mężem.

– Powstań, powstań – mówi król, ponaglając ją ruchem dłoni.

Katarzyna wstaje jak pociągnięta sznurkiem. Wszystkie dwórki wciąż trwają w dygu.

– Wyjaśnij nam, co tu się dzieje. Skąd to straszne zamieszanie? Jesteś chora?

- Nie, Wasza Królewska Mość, nie...
- Spójrz na nas! – Król tryska śliną.
- Moja siostra jest niezdrowa.

Katarzyna spogląda w jego oczy jak kamyczki, teraz niknące w fałdach powiek bardziej niż kiedykolwiek.

– Ach, nie ty. Myśleliśmy, że to nasza żona kwiczy jak zarzynana świnia. – Król patrzy na zapłakaną Annę, przewraca oczami i mocno klepie Katarzynę w tyłek.

Ta zmusza się do lekkiego śmiechu.

– No dalej. – Henryk wskazuje na kobiety, a one prostują się w szeleście brokatu. – Wyjdźcie.

Znikają jak gaszone płomienie.

Dopiero wtedy Katarzyna zdaje sobie sprawę, że za królem czai się Gardiner, którego woskowata twarz z trudem skrywa triumf. Opadająca powieka aż mu drży, tak jest podeksytowany; odchrząkuje, chcąc coś powiedzieć.

Król, który jakby o nim zapomniał, odwraca się i syczy:

– Ty też, biskupie... Sio! Nie jesteś nam tu potrzebny.

Gardiner powoli się cofa; jego głowa w czarnej czapce podskakuje w górę i w dół, jak łebek pardwy. Król lekko naciska ręką jego pierś, po czym zatrzaskuje drzwi.

– A więc, żono – mówi, ciągnąc ją do ławki przy kominku. – Co ci dolega?

– Wasza Królewska Mość... – Katarzyna gładzi grzbiet jego spuchniętej dłoni – obawiam się, że cię zawiodłam. – Unosi wzrok, na chwilę, szeroko otwierając oczy, po czym mruży powieki i spogląda w dół.

– Boisz się, że sprawiłaś nam zawód? – Król wydaje się bliski śmiechu.

Bawi się z nią. Widziała, jak robił to z innymi. Osa brzęczy w oknie, tłucze się o szybę jak szalona. Stuk, stuk, stuk.

– Chcę być dobrą żoną. – Jej głos jest gładki i słodki jak miód.

Król przesuwa się na ławce, wyciąga nogi i z grymasem bólu krzyżuje je w kostkach.

– Boli cię noga? – pyta go Katarzyna.

– A jak myślisz?

– Czy mogę coś zrobić, żeby oderwać twe myśli od cierpienia?

– To bardziej mi się podoba. – Rozchyła jej szmizetkę i wpycha łapę jak niedźwiedź, który szuka miodu w dziupli. Ugniata jej pierś, wysuwa ją do połowy; ciasny skraj stanika ściska białe ciało. – Czy nie są to cycki szczennej suki, żono?

Katarzyna w milczeniu kręci głową.

Gorączkowo myśli o tym, jak przetrwać. Wcześniej przetrwała. Poradzi sobie niczym najlepsi aktorzy Udalla, nie spłonie ani nie pójdzie na szafot jak inne

królowe, nawet jeśli ma to znaczyć odgrywanie roli nierządnic. Wyciąga dłonie w stronę dużego saczka, zauważając wyhaftowane czerwoną nicią słowa HENRICUS REX. Na wypadek gdyby ktoś zapomniał, do kogo należy.

Król niezdarnymi palcami pomaga jej rozsznurować saczek.

– W dół – chrypi. – Na kolana. Możemy cię uciszyć, kobieto. Chcemy mieć cichą żonę.

Stuk, stuk, stuk, wciąż tłucze się osa.

*Więzienie Newgate, Londyn, sierpień 1546*

DOT SIEDZI PRZY GOŁYM DREWNIANYM stole i trzyma ręce płasko na blacie, co kazano jej zrobić, uderzając ją po knykciach. Przed nią leżą papiery, które znalazła pod materacem królowej. Chce je odwrócić, przeczytać, co jest tam napisane, ale pilnuje jej strażnik, więc nie odważy się nawet drgnąć. Czuje wielki ciężar w brzuchu, dreszcze strachu przebiegają jej po kręgosłupie, podskakuje przy każdym dźwięku – wszystko to stało się tak znajome, że wydaje się całkiem normalne. Utknęła w gąszczu jeżyn i z każdym ruchem jest coraz bardziej wplątana. Przynajmniej ten pokój nie cuchnie jak tamten. Dzwon wybija pierwszą. Strażnik drapie się po szyi. W pokoju brzęczy mucha. Z zewnątrz dochodzą głosy i kroki. Muszą być blisko wejścia, bo słyszy regularne skrzypienie i trzaśnięcia ciężkich drewnianych drzwi oraz głos strażnika zadającego pytania. Tu nie docierają krzyki innych więźniów, które przez ostatnie kilka nocy nie dawały jej spać. Już dawno straciła rachubę czasu i nie ma pojęcia, czy jest tu tydzień, czy miesiąc.

Ktoś przybywa. Dot słyszy, jak strażnik na zewnątrz pyta, w jakiej sprawie.

– Przychodzę z pałacu.

To głos, którego nigdy nie mogłaby zapomnieć; jego brzmienie jest wpisane w jej najskrytsze miejsce. To William Savage. W jej sercu budzi się nadzieja. Chce, żeby otworzył te drzwi i ją znalazł; wpatruje się w rygiel, czekając na pierwsze oznaki ruchu, nadśluchuje cichego szmeru zbliżających się kroków.

– Jesteś człowiekiem lorda kanclerza? – pyta strażnik.

– Nie, nie – mówi William tym drogim, kochanym głosem. – Szukam Dorothy Fownten, która niedawno zniknęła z pałacu Whitehall.

Przyszedł po nią.

Jej serce tłucze o żebra jak młotek. Dot wyobraża sobie, jak strażnik czy ktokolwiek inny otwiera księgę i przegląda listę nazwisk. Drżą jej dłonie, nie ze strachu, ale z oczekiwania. Przyciska je do stołu, żeby nad nimi zapanować. William uratuje ją z tego miejsca – drogi, kochany William Savage. Strażnik gwałtownie unosi rękę. Złapał muchę i rzuca ją w słomę.

– Nie ma tu nikogo o takim nazwisku – dobiega głos zza drzwi.

I nagle Dot jakby dostaje cios w brzuch – uświadamia sobie, że nie jest teraz Dorothy Fownten. Jest Nelly Dent. Czuje, jak William się wymyka, jak sama się wymyka, i chce skoczyć do drzwi, tłuc w nie pięściami, aż spłyną krwią, i krzyczeć, że tu jest. Siedzi jednak nieruchomo, skamieniała – nie może zdradzić królowej. Błaga w duchu, żeby William otworzył drzwi, żeby zobaczył ją na własne oczy.

Otwórz drzwi, otwórz drzwi, znajdź mnie, znajdź mnie. To ja, twoja Dot. Kropka na końcu zdania.

Słyszysz skrzypnięcie i trzask drugich drzwi. William odszedł.

Dot oddycha płytko, powietrze ledwo dociera do płuc i szczypią ją oczy. Ale nie sprawi satysfakcji żadnemu z tych ludzi, tych bydlaków, widokiem łez.

Czeka i ma wrażenie, że mijają wieki. Próbuje nie poddawać się rozpacz, ale papiery leżą wprost przed nią i wciąż wraca do słowa, którego użył Wriiothesley – „herezja”. Z tym słowem wiąże się żar, płomienie i krzyki męczenników. Ona nie nadaje się na męczennicę. W zasadzie nawet nie wie, co powiedzieć Bogu, gdy się modli. Modlitwa nigdy nie była dla niej niczym więcej niż zwykłą rutyną i prawie się nie zastanawiała nad stanem swojej duszy. Ale teraz myśli o tym, o braku modlitwy, o ciągnącym się przez lata braku wiary. Czuje, jak gąszcz cierni zaciska się wokół niej jeszcze bardziej.

Drzwi się otwierają i wchodzi Wriiothesley z balsamką przy nosie. Jego ubrania są chaosem kolorów, wzorów i warstw. Za nim podąża paż z dużą torbą i szatą na ramieniu, którą jego pan zapewne zdjął przed chwilą.

– Precz – warczy Wriiothesley do strażnika.

Ten obrzuca go zuchwałym spojrzeniem, co tylko ona zauważa.

Paż kładzie torbę na stole i wysuwa krzesło. Krzesło skrzypi, gdy Wriiothesley siada.

– A zatem... – Głośno wdycha nosem aromat z balsamki. – Nelly Dent. Skończmy z tym jak najszybciej. Jestem zajęтым człowiekiem.

Bierze papiery i rzuca je w jej stronę. Pociąga nosem. Dot lekko się wzdryga, co skłania go do nieznacznego uśmiechu.

– Czyje to?

– Moje, panie. – Wiedziała, że o to zapyta, i ma gotową odpowiedź. – Od przyjaciela.

– Twoje. – Znow pociąga nosem. – Twoje?

– Tak, panie.

– Co taka dziewczka z gminu miałaby robić z zapisanymi papierami? – Pociągnięcie nosem. – Powiedz mi, do kogo należą. – Pochyliła się w jej stronę i wbija palec w zagłębienie u podstawy jej szyi.

Dot krztusi się i walczy o oddech, ale się nie cofa. W końcu mężczyzna zabiera palce.

I pociąga nosem.

– Nie myśl, że cię nie złamię, Nelly Dent.

– Są moje, panie.

– Nie bierz mnie za głupca, Nelly. Takie śmieci jak ty nie mają pożytku z... Jak mam to ująć? – Pociągniecie nosem. – Pomyślałbym, że mała królowej lepiej czyta niż dziewczka... dziewczka, która cuchnie rysztokiem. Dziwię się, że hrabina Hertford wzięła coś takiego do służby.

Paź parska śmiechem ze swojego miejsca pod drzwiami.

– Pamiętasz Katarzynę Howard? Ledwie umiała się podpisać, a była królową. Powiedz mi, Alfredzie... – zwraca się do paza – czy twoje siostry umieją czytać?

– Nie bardzo, lordzie – mówi Alfred i ramiona drżą mu od hamowanego śmiechu.

– Widzisz. – Wriothlesley macha w jej stronę papierami, aż Dot czuje na twarzy powiew. – A twoje siostry to damy, prawda, Alfredzie?

– Tak, lordzie.

– Bo twój ojciec jest hrabią, jak mniemam. – Pociągniecie nosem.

– Owszem, lordzie.

– Więc jeśli córki hrabiego ledwie potrafią czytać, to skąd taki śmieć jak ty, Nelly Dent, miałyby znać tę sztukę?

Dot wyobraża sobie, że widzi rozwidlony język wysuwający się spomiędzy jego warg.

– Nie wiem, panie – mamrocze.

– No, śmiało. – Wriothlesley pociąga nosem. – Dowiedz mi tego. – Podsuwa jej plik papierów. – Czytaj.

Alfred już jawnie się śmieje, Wriothlesley rechocze.

Dot bierze papiery i zmusza swój głos do posłuszeństwa.

– Mam wszystko przeczytać?

– Słyszysz to, Alfredzie?

Paź prawie zgina się wpół ze śmiechu.

– Pyta, czy ma wszystko przeczytać. – Wriothlesley przechodzi na jej stronę stołu i wskazuje kilka linijek. – To.

Pismo jest niechlujne i miejscami rozmazane, ale przebiegła wzrokiem pierwszą stronę. *Ostatnie zeznanie Anny Askew*, tak jest napisane na górze. Zaczyna czytać wersy, które wskazał.

– *Przeczytałam w Biblii, że Bóg stworzył człowieka...*

Obaj mężczyźni patrzą na nią, jakby była małą.

– ...jednakże nigdzie nie jest tam napisane, iż człowiek może stworzyć Boga.

Żaden z nich nie mówi ani słowa. Nadal wpatrują się w nią, jakby miała dwie głowy albo cztery ręce. Czyta dalej.

W końcu Wriothesley wprawia w ruch swój rozwidlony język.

– Dość! – ryczy. – Dowiodłaś swoich racji. Ale skąd masz te herezje? Od kogo?

– Od samej Anny Askew, od jej służącej, kiedy zaniosiłam jagnięcinę.

– Od Anny Askew? – Jego oczy nagle się rozjaśniają.

– Tak, panie, myślała, że nawróci mnie na nową wiarę.

– I nawróciłaś się? – Pociąga nosem.

– Chyba nie, panie.

– To herezja, Nelly Dent, i powinnaś za to spłonąć.

Dot widzi, że jego usta są ściągnięte jak psi odbyt. Ale ogień w nim zgasł, jego głos i słowa są puste, i lekki dreszcz triumfu przebiega jej wzdłuż kręgosłupa.

– Wiesz, że rozciągaliśmy na łożu lepiej urodzone od ciebie, a ta Askew była jedną z nich.

Już nie wydaje się groźny. Nie dostał od niej tego, czego potrzebował, cokolwiek to było. Dot czepia się słów „powinnaś spłonąć” – nie „spłoniesz”, nie „musisz spłonąć”.

– Możesz tu zgnić, jeśli o mnie chodzi – syczy Wriothesley, odwracając się tak szybko, że unoszą się warstwy jego ubrania, i opuszcza pokój.

Alfred zbiera rzeczy i idzie za nim.

– Zaprowadź ją z powrotem do celi. Przyślę wiadomość, co z nią zrobić – nakazuje na odchodnym Wriothesley strażnikowi.

*Pałac Whitehall, Londyn, sierpień 1546*

WILLIAM SAVAGE WCHODZI DO jej komnaty. Jego znękana twarz jest wystarczającym sygnałem, że nie przynosi dobrych wieści. Katarzyna unosi do nosa woreczek z lawendą; jej słodki zapach konkuruje z unoszącym się w pokoju silnym żywicznym aromatem podgrzewanego wonnego olejku – to jej próba zatarcia smrodu po wizycie króla. Widzi, jak w oknie Cat Brandon zawiązuje czepiec Jane Błazen, która mamrocze pod nosem swoje brednie. Mary Wootten i Lizzie Tyrwhitt składają suknie Katarzyny i chowają do wielkiego kufra, przygotowując je na jutrzejszą przeprowadzkę do Hampton Court, w górze rzeki. Zastanawia się, czy nie będzie podróżować w przeciwnym kierunku; prześladuje ją myśl o tej wielkiej szarej fortecy.

Król wyszedł w lepszym nastroju. Nie wspomniał słowem o nakazie aresztowania, a ona nie śmiała poruszyć tego tematu. Poprosił, żeby wieczorem przyszła do niego, co rozpało w jej piersi iskierkę nadziei – chyba że rozkaże strażnikom, by aresztowali ją w jego komnatach. Nie byłoby to niczym niezwykłym; jej siostra widziała to już dwukrotnie, podobnie jak Mary Wootten. Król wyjeżdża pierwszy, mówią, znika w innym pałacu. Następnie przysyłają kogoś po klejnoty. Królowa nie jest właścicielką klejnotów królowej. (Obawiała się, że ktoś przyjdzie – prawdopodobnie byłby to Wriothesley, ze złośliwym uśmiechem na tych pruderyjnych ustach – żeby poprosić o szkatułkę, ale nikt się nie zjawił). Kiedy klejnoty są już zabrane, królowa – którakolwiek, Anna Boleyn czy Katarzyna Howard – czeka przez wiele strasznych godzin, zastanawiając się nad swoim losem, a panika zżera ją niczym kwas. I kiedy jest już dobrze nadtrawiona, wtedy po nią przychodzą.

Katarzyna gestem przywołuje Williama Savage'a. Patrząc na jego twarz, mogłaby się rozplakać, gdyby nie to, że wypaliła z oczu łzy. Nie okaże słabości. Dobrze zna króla; gdyby dotarła do niego wiadomość, że jest słaba, nacisnęłaby na nią tym mocniej.

Anna wybiega z garderoby.

– Kit! – krzyczy z przerażoną miną. – Krzyż matki zniknął!

– Mam go, Anno. – Katarzyna otwiera dłoń, żeby pokazać naszyjnik. Największa perła odcisnęła głęboki ślad we wnętrzu jej dłoni. – Nie dostanę tego w swoje ręce – dodaje cicho.

– Och, panie Savage – mówi Anna, widząc go obok. – Masz wieści o Dot?

– Niestety nie, lady Anno.

– Kropka na końcu zdania! – skrzeczy Jane z drugiego końca pokoju.

Cat prosi ją o ciszę.

– Co powiedziałaś, błaznie? – pyta William Savage.

– Kropka na końcu zdania – powtarza Jane. – Kropeczka, punkcik na horyzoncie.

Zdezorientowane kobiety patrzą jedna na drugą.

– Tak ją nazywam – wyjaśnia William. – Kropeczka.

– Chodź tutaj, Jane – mówi Katarzyna.

Cat prowadzi ją za rękę jak małe dziecko.

– Co wiesz o Dot? Musisz powiedzieć.

Jedno oko błądzi szaleńczo, drugie wpatruje się w rękę. Jane przygryza paznokcie, jakby usuwała spod nich niewidzialny brud.

– Jane – mówi William jak najcichszym głosem. – Proszę...

Dziewczyna zaczyna cicho na wpół śpiewać, na wpół mówić: *Nelly Bligh złapała muchę i do sznurka przywiązała. Pozwalała jej odlecieć i z powrotem*

przyciągała.

Katarzyna chwyta ją za rękaw.

– Ale co to znaczy?

Jane zaczyna nową piosenkę: *Deborah Dent pięknego ośła miała, całymi dniami nad nim skakała...* Jej dzikie oko przez chwilę patrzy w tym samym kierunku co drugie, napotykając wyczekujące spojrzenie Katarzyny, po czym znów błądzi. Rozpoczyna się kolejna rymowanka: *Kogo dzisiaj zamknęli, ryczą dzwony Old Bailey.*

– Tylko nie to – jęczy Anna. – To nas donikąd nie prowadzi.

Drzwi do sypialni uchylają się lekko. Jane ze świstem wciąga powietrze i przytula się do Cat, jakby spodziewała się zobaczyć samego diabła. Wpada Rig i pędzi do swojej pani.

– Spokojnie, Jane – mówi Katarzyna. – Nie ma się czego obawiać. – Gładzi dziewczynę po ramieniu. – Może pójdziesz poszukać Willa Sommersa? Weźmie cię pod swoje skrzydła. Pan Savage zaprowadzi cię do niego.

William zgina się w ukłonie.

– Będę szukał dalej – mówi. – Nie spocznę, dopóki jej nie odnajdę.

– Te jej piekielne rymowanki – odzywa się Anna, gdy wychodzą. – Niektórzy powiadają, że jest mądrzejsza od Matuzalema. Uważam to za lekką przesadę.

– Martwię się o Dot – rzuca Katarzyna jakby do siebie. – Nie ma rodziny, która by o nią zadbała. Zawsze była mi wierna, a ja sprowadziłam na nią tylko nieszczęście. – Przygniata ją ciężar winy. – Anno – zwraca się do siostry – pomożesz mi ubrać się dla króla? Na dzisiejszy wieczór muszę włożyć najlepsze rzeczy. Muszę być bez zarzutu.

KATARZYNA IDZIE DŁUGĄ GALERIĄ w towarzystwie Cat Brandon i Anny: trzy olśniewające kolorami egzotyczne ptaki. Ich stroje zostały pośpiesznie wyciągnięte z kufrów przygotowanych na jutrzejszą przeprowadzkę do Hampton Court. Ona ma suknię z błękitnego adamaszku z atłasowymi rękawami i przodem w kolorze piersi gila, całą obszytą cekinami. Jej szyję otacza naszyjnik z grubych pereł. Anna jest ubrana w pasiaste szkarłatno-białe jedwabie ze szmaragdami Herbertów, a Cat w kanarkowożółtą taftę pod granatową aksamitną wierzchnią suknią. Włony spływają im na plecy i treny ciągną się za nimi, zbierając brud i wzbijając obłoczki kurzu. Poprzedza je dwóch dworzan, którzy odwracają się od czasu do czasu, by rzucić okiem na te piękne stworzenia w równie pięknym upierzeniu, zmierzające do komnat króla. W wielkiej antykamerze jak zwykle jest wielu dworzan, rozstępujących się przed nimi niczym Morze Czerwone. Szepty niosą się z ust do uszu na niewidzialnych podmuchach powietrza. Wszyscy wiedzą, że król lubi rzadkie ptaki na swoim stole, w taki czy inny sposób.



Katarzyna myśli o nakazie z podpisem męża, wypisanym czarnym atramentem. To jego ręka, nie odcisk wielkiej pieczęci, ostatnio używany na wielu oficjalnych dokumentach, i Katarzyna wyobraża sobie męża, jak bierze pióro do ręki i zamasztyłym podpisem kończy jej życie. To ją przeraża. Równie dobrze mógł wyryć swój podpis na jej ciele. Wrzuciła nakaz do ognia. Zastanawia się, która wersja jej męża na nią czeka. Ale poprosił ją o spotkanie, co z pewnością jest dobrym znakiem – może znudziło go pozbywanie się kolejnych żon. Mimo to drży wewnątrz ze strachu, że w jego pokojach zastanie strażników, którzy zabiorą ją w dół rzeki. W jej głowie tłucze się jedna z piekielnych rymowanek Jane: *Nelly Bligh muchę złapała i do nitki przywiązała*. Martwi się o Dot, biedną Dot, która przepadła bez wieści. Ktoś ujmuje ją pod rękę. To Stanhope, w szeleszczącym atłasie i z rubinem wielkim jak owoc głogu, kołyszącym się na łańcuszku. Postanowiła do nich dołączyć i Katarzyna zastanawia się, wymieniając z nią uśmiech, czy na znak solidarności, czy też z chęci napawania się jej upadkiem.

Ma w głowie słowa Huicke'a: „Bądź potulna, Kit, i na miłość boską, zachowaj swoje zdanie dla siebie. Od tego zależy twoje życie”.

Jak zdoła mu podziękować za wszystko, co zrobił, przynosząc jej nakaz, ryzykując dla niej życie? Pewne rzeczy są zbyt wielkie na zwyczajną wdzięczność. Wrócił wcześniej z Ashridge, przekonawszy się, że Elżbiecie nic nie dolega. Usunięto go z drogi, to jasne. To Paget go tam wysłał. Ale teraz Huicke jest tutaj i ją wspiera. Zastanawiał się razem z nią nad nakazem. Czy ktoś rozmyślnie go upuścił, żeby on go znalazł i przekazał jej jako ostrzeżenie, czy też był to przypadkowy błąd ze strony jej wrogów? A może to dzieło Boga? Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiedzą.

– Ubierz się jak królowa, Kit – powiedział – i pamiętaj: potulna.

– Uległa – dodała.

– Posłuszna.

– Ustępna.

– Cicha.

Śmiali się z tego, mimo wszystko.

Huicke pożegnał ją lekkim pocałunkiem w policzek i słowami:

– Potulni posiadają ziemię, Kit. – Uśmiechał się, ale na jego twarzy malował się niepokój.

Zatrzymują się przy drzwiach do apartamentów króla. Katarzyna spogląda na Cat i ta dodaje jej otuchy, lekko kiwając głową. Ktoś w środku gra na lutni, ktoś śpiewa. *Kto zdobędzie serce mojej pięknej pani, gdy liście się zazielenią?* Słowa brzmią znajomo, ale Katarzyna nie pamięta, gdzie je słyszała. Słysząc gwar męskich rozmów i z ulgą rozpoznaje donośny głos króla. Z pewnością by nie został, żeby być świadkiem jej aresztowania. Eskortujący je mężczyźni szepczą

z tymi przy wejściu i drzwi się otwierają. Są tam wszyscy: Gardiner, Rich, Paget, a także zwykli szambelanowie i im podobni, zebrani wokół ogromnego Henryka. Ale nie ma Wriothesleya – czy Wriothesley czeka na nią w Tower ze śrubami do miażdżenia kciuków?

Gdy kobiety wchodzą, w pomieszczeniu zapada cisza. Po chwilowym paraliżu mężczyźni opamiętują się i w pokłonie unoszą czapki. Henryk siedzi rozwalony jak ropucha, z nieodgadnioną miną.

– Ach! Moja królowa! Podejdź, usiądź ze mną, moja droga – mówi i klepie się po udzie.

A więc sprowadzi mnie do roli dziecka kołysanego na jego kolanie, myśli Katarzyna, przysiadając, i cmoka jego wilgotne usta. Mężczyźni przesuwają się, robiąc miejsce dla jej towarzyszek. Dostrzega ledwo skrywany grymas na twarzy Gardinera. Jest jak pies mający nadzieję na kość.

– Jestem pewien – odzywa się Paget, wciąż służalczo skulony – że nawet dworu samego króla Franciszka nie zdobią takie piękności.

– Rozmawialiśmy o Bogu, prawda, Gardiner? – mówi Henryk, ignorując Pageta i wyciągając mięsistą rękę w stronę biskupa.

Wiedzą, że Katarzyna nie powściągnie języka, gdy chodzi o religię. To pułapka. Myślą, że ją mają.

– W istocie, Wasza Królewska Mość. – Gardiner kieruje w jej stronę oko z opadającą powieką.

– Rozmawialiśmy o usprawiedliwieniu jedynie przez wiarę. Co o tym sądzisz, moja droga? – Król klepie ją po kolanie, naciska błękitną tkaninę sukni, by wyczuć pod nią kształt nogi.

Chcą ją skłonić do bezkrytycznego mówienia o Kalwinie. Katarzyna czuje na sobie wzrok wszystkich w tym pokoju; jej skóra jest napięta, jakby się skurczyła i nie chciała jej pomieścić. W jej głowie krążą słowa Huicke'a: pokorna, posłuszna, cicha. Teraz nie jest to tak zabawne.

– Wasza Królewska Mość, wiem tylko, że Bóg uczynił mnie głupią niewiastą. Nie mogę wiedzieć więcej niż ty. Muszę... – Katarzyna milknie. – Odniosę mój osąd do mądrości Waszego Majestatu, mojej jedynej kotwicy tutaj na ziemi, prócz Boga.

Król zaciska rękę na jej udzie.

– Gdyby tak było, nie starałabyś się ciągle przekazywać nam swoich opinii.

Milion myśli huczy w jej głowie. Ma wrażenie, że pokój się oddala, co deformuje obecnych tu ludzi i sprawia, że ich rysy stają się groteskowe, kiedy patrzą i czekają na jej odpowiedź. Musi ujarzmić tę część siebie, która chce zeskoczyć z kolan męża i się bronić; która chce mu powiedzieć, że będzie starała

się go pouczać, bo jest tępy i ograniczony, bo jej przemyślenia i dociekania są znacznie subtelniejsze niż jego.

Węgiel wypada z kominka i rozgrzany do czerwoności, toczy się po deskach podłogi. Paź rzuca się, chwytając go szczypcami i rozciera butem ślad sadzy. Stanhope bawi się rubinem, przesuwał go po łańcuszku. Anna mocno trzyma kubek piwa. Gardiner drży, wciąż czekając na kość. Wszystko trwa w stanie zawieszenia.

– Uważam, że to niestosowne i niedorzeczne, aby niewiasta brała na siebie pouczanie męża. – Katarzyna spuszcza wzrok, mówiąc cichym, niezachwianym głosem. – Jeśli kiedykolwiek wyglądało, że tak robię, chodziło mi nie o podtrzymywanie własnego zdania, ale bardziej o to, by odwrócić uwagę Waszej Królewskiej Mości od straszliwego bólu. Miałam nadzieję, że nieco ulżę Waszej Królewskiej Mości w cierpieniu, ale również – gładzi go po dłoni, po czym spogląda na niego, szeroko otwierając oczy, jak kocię – chciałam odnieść korzyści z twojej ogromnej wiedzy o takich sprawach.

Król ją przytula.

– Tak lepiej, moja droga – mówi szeptem do jej ucha. – Teraz znów jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi.

Ogarnia ją ulga. Została ułaskawiona... na razie. Ale bardziej niż kiedykolwiek rozumie, że jej bezpieczeństwo zależy od kaprysów nieprzewidywalnego starca. Pośpiech, z jakim Henryk zrobił zwrot, każe jej się zastanawiać, czy nie był to raczej przebiegły sprawdzian, a nie pułapka. Nie zdziwiłaby się, gdyby tak było. I czym właściwie jest prawdziwa przyjaźń z kimś równie zmiennym jak król?

Gardiner aż się trzęsie z rozczarowania.

Katarzyna uśmiecha się do niego.

– Biskupie, twój kubek jest pusty. Może chcesz jeszcze piwa?

Gardiner podsuwa kubek do napełnienia, nie może jednak zmusić się do uśmiechu.

Wygrała, ale triumf wydaje się wąły jak pajęcza sieć.

WYRUSZYLI, GDY ZACZAŁ SIĘ poranny przypływ, więc podróż do Hampton Court nie potrwa długo. Katarzyna próbowała zwlekać, nie mogąc znieść myśli o odejściu bez Dot. Ale dziewczyna zniknęła bez śladu, a ona już nie wie, gdzie jej szukać i kogo pytać. Wiąże słabnące nadzieje z Williamem Savage'em.

Barka króla płynie spokojnie obok jej barki, w środku flotylli łodzi, na których pokładzie znajdują się członkowie najbliższego otoczenia Henryka. Król macha ręką do żony z dawnym wyrazem twarzy, z dobrotliwym uwielbieniem mędrców skupionych wokół żłóbka na wielkim obrazie, który Katarzyna pamięta

z Croyland. Zastanawia się, gdzie jest teraz ten obraz – bez wątpienia zdobi komnatę jakiegoś hrabiego. Tak król na nią patrzył, odkąd się pobrali. Jeśli wczorajszy wieczór był sprawdzianem, to zdała go śpiewająco. Ale to nie powód, żeby tracić czujność, bo jeśli tak niewiele było trzeba, żeby Henryk się zmienił, to wystarczy jeszcze mniej, by nastąpiła ponowna zmiana. Surrey siedzi w królewskiej barce i przyciąga jej wzrok solidarnym skinieniem głowy. On też wie, jak to jest wisieć na włosku, być w łasce i w niełasce króla.

Wchodzą w zakręt rzeki i nagle pojawiają się czerwone kominy i wieże z blankami, gdzie chorągwie tańczą na wietrze. Wkrótce zza nadrzecznej roślinności wyłania się cała bryła pałacu. Ten widok zawsze ją zaskakuje, ten ogrom budowli, jej nowość i śmiałość. Kiedy wysiadają na brzeg, król bierze ją za rękę i prowadzi do ogrodów. Paget krąży jak natrętna mucha i potrząsa plikiem papierów, domagając się jego uwagi.

Król go odprawia.

– Nie teraz, Paget, nie teraz. – Zwraca się do żony: – Chodź, Kit, zobaczmy, co zasadzili ogrodnicy.

Idą ręką w rękę, król beztrosko prawi o tym i owym. Katarzyna schyla się po idealną półkulę gniazda zięby. W zaspie puchu i piór leżą trzy nakrapiane jajeczka. Patrząc na nie, czuje się strasznie osamotniona.

– Jakże smutne.

Król bierze od niej gniazdko.

– Nie martw się, słodka Kit, te maluchy przeżyją. – I bezpiecznie chowa je w gałęziach pobliskiego drzewa.

Ale uczucie pustki i rozbicia nie chce jej opuścić. Zastanawia się, kiedy przestała chcieć dziecka dla samego dziecka, a zaczęła go pragnąć ze względu na własne bezpieczeństwo. Już straciła nadzieję. I co z Dot? Nie ośmiela się wspomnieć o niej królowi, żeby nie wzbudzić nowych podejrzeń. Kilka kroków dalej siadają na ławce w cieniowym ogrodzie węzłowym otoczonym wysokim murem ligustru. Król przyciąga ją do siebie, by mogła wesprzeć głowę na jego ramieniu. Nuci – Katarzyna czuje dźwięk rozbrzmiewający w jego klatce piersiowej – i gładzi najdelikatniejszą część jej skroni; w tym miejscu, jak kiedyś powiedział jej brat, można zabić człowieka, jeśli naciśnie się wystarczająco mocno.

Jest dość cicho, by słyszeć ryby pływające w stawie, ale poza nuceniem męża i pluskiem ryb nagle rozlega się metaliczny grzechot i charakterystyczny odgłos maszerujących stóp. Hałas narasta, coraz głośniejszy i bliższy. Śpiew Henryka cichnie, gdy w łuku ligustru pojawia się Wriothsley na czele małej, dwudziestoosobowej armii uzbrojonych gwardzistów w królewskich barwach.

– Boże, ocal mnie – szepcze Katarzyna. – Myślałam, że to się skończyło.

Wyczerpała zasoby odporności i myśli: po prostu mnie weźcie. Weźcie mnie i róbcie, co chcecie. Brała pod uwagę różne okoliczności swojego aresztowania, lecz akurat nie takie. To jak dotąd najokrutniejsza gra Henryka: pozwolić jej uwierzyć, że jest ułaskawiona, a później...

Król zrywa się i z siną twarzą wrzeszczy na swojego kanclerza.

– Niegodziwiec! Skończony łajdak! Bydlę! Głupiec! Precz!

Wriothesley wyraźnie drżącą ręką nakazuje strażnikom, że mają się zatrzymać. Wydaje się niepewny, jak zareagować.

Król trzęsie się z wściekłości i nie jest w stanie pohamować krzyku.

– Zejdź mi z oczu, łotrze! – ryczy, charcząc z wysiłku.

Oszołomiony i blady Wriothesley bierze nogi za pas, zgarbiony i upokorzony na oczach strażników. Wie równie dobrze jak ona, że do wieczora będzie huczał o tym cały pałac: przyszedł aresztować królową, a król go odprawił, wyzywając od głupców i łajdaków przed dwudziestoma halabardnikami. Wriothesley zagrał niewłaściwą kartą – to tak bardzo do niego niepodobne. Czy nikt go nie powiadomił o wypadkach ubiegłego wieczoru? Być może jego też król wystawił na próbę – i kanclerz się nie sprawdził.

– Ten człowiek tylko zawraca głowę – rzuca Henryk.

– Sądzę, że doszło do omyłki, Wasza Królewska Mość, na pewno nie chciał niczyjej krzywdy. Przywołam go, żeby się wytłumaczył.

– Skarbie, jak mało wiesz. – Gładzi ją po policzku i szyi. – Ten człowiek postąpił wobec ciebie niegodziwie. Chciałby, żebyś upadła jak inne, moja droga. Niech idzie, diabeł wcielony, i dostanie za swoje.

*Więzienie Newgate, Londyn, wrzesień 1546*

CZAS STRACIŁ DLA DOT JAKIEKOLWIEK znaczenie, dni zlewają się jeden z drugim. Zastanawia się, czy świat zapomniał o jej istnieniu. Niemal sama myśli, że już nie istnieje. Przestała liczyć uderzenia dzwonu i patrzeć w małe okienko, żeby rozpoznać porę dnia. Śpi, gdy jest zmęczona, budzi się, kiedy wypoczęła, i bez słowa skargi zjada żalostną strawę, którą jej przynoszą. W każdy poniedziałek o godzinie dziewiątej wyprowadzają skazańców na spotkanie z końcem. Wie o tym, bo szafot znajduje się na zewnątrz jej celi i słyszy ich ostatnie słowa, gdy wyznają winy i błagają Boga o miłosierdzie albo do końca twierdzą, że są niewinni. Zwykle odmawiają modlitwę i zapewniają o miłości do bliskich, których zdławione jęki i zawodzenie Dot też słyszy. Później rozlega się głuchy trzask zapadni, a wraz z nim napływa mrozący krew w żyłach strach, który przeszywa jej trzewia i przywołuje myśli o jej losie.

Nigdy nie widziała śmierci przez powieszenie; w Stanstead Abbots nie wykonano takiego wyroku, najwyżej raz na jakiś czas zakuwano kogoś w dyby za kradzież bochenka chleba lub kawałka mięsa. Zawsze współczuła złodziejom, bez względu na ich zbrodnię, bo według niej to głód zmuszał ich do występku. Nie obrzucała ich zgniłą kapustą. Widziała w życiu kilka brutalnych rzeczy, wielokrotnie się bała, ale myśl o szubienicy – albo, co gorsza, o stosie – kompletnie ją paraliżuje.

Nie jest jednak w stanie powstrzymać się od wyobrażania sobie własnej śmierci, leżenia pod warstwą zimnej ziemi. Nie może znieść myśli o tym, ale nie może nie myśleć. To sprawia, że czuje się pusta. Dwadzieścia lat to za mało, by umrzeć. Meg miała dopiero dziewiętnaście, lecz mogła umrzeć wtedy, kiedy Murgatroyd wyrwał z niej radość życia. Dot słyszy jej słowa: „Boję się. Boję się umrzeć”. Jeśli Meg z całą swoją wiarą, modlitwą i czytaniem ewangelii bała się śmierci, to co z nią, która częściej myślała o królu Arturze i Camelocie niż o Bogu? Teraz próbuje myśleć o Bogu, ale jej głowa jest zbyt pełna strachu.

Przypuszcza, że zupełnie straciłaby rozum, gdyby nie Elwyn. Jest strażnikiem, który ma na nią oko przez większość dni i pilnował jej wtedy, gdy Wriothlesley przyszedł ją przesłuchać. Elwyn nie zdołał ukryć niechęci do tego mężczyzny. Kiedy tamtego dnia prowadził ją z powrotem do celi, nazwał go „przeklętym katolickim bydlakiem” i dał jej podwójną rację w porze kolacji. Następnego dnia przyniósł jej koc, pełen moli, ale ciepły, a kilka dni później podsunął jej książkę. Widziała już takie w bibliotece królowej, chociaż tamte miały złote tłoczenia na najlepszej skórze cielęcej i cieniutkie kartki. Ta ma prymitywne okładki i gruby papier, ale słowa są takie same. Tak więc czytała codziennie, aż stała się w tym lepsza niż niektóre z uczących się w pałacu dziewcząt. Książkę napisał Marcin Luter i było w niej o wszystkim, o czym szepczą królowa i jej dwórki.

Teraz o tym myśli. Czy chleb na mszy rzeczywiście staje się ciałem Chrystusa? Czy trzeba cudów, by uwierzyć w Boga, czy też wystarczy po prostu mieć wiarę – tak naprawdę nie pojmuje tego. Wszystko jej jedno, choć nigdy nikomu tego nie powie, i w cichości ducha żałuje, że Elwyn nie dał jej innej książki – romansu, historii o rycerzach, dziewicach i magii. Ale jaki pożytek z czytania i marzeń o Camelocie, kiedy jest się tylko zwierzęciem w klatce? Lepiej więc poznawać nauki Lutera. Kiedy czyta jego słowa o wierze, przypomina sobie Annę Askew, która nie wyrzekła się wiary, żeby ocalić życie; z początku Dot tego nie rozumiała, ale teraz wie, że jeśli w coś wierzysz, naprawdę wierzysz, to życie ma sens tylko wtedy, gdy jesteś temu wierna.

Czasami myśli o Williamie Savage’u. Ciekawe, jak mogłoby się wszystko potoczyć, gdyby nie stało się to, co się stało. Zastanawia się, jaka jest jego żona i czy mają gromadkę małych Savage’ów – oddałaby wszystko, żeby zając jej

miejsce i urodzić mu dzieci. Zawsze wiedziała, że nie może poślubić Williama, ale to nie powstrzymało jej od marzeń o wspólnym życiu. Nienawidziła go tak bardzo, że aż skręcało ją w środku, i jeszcze bardziej nienawidziła jego żony. Teraz jest po prostu zadowolona, że William mieszka na tej samej ziemi co ona. Przebaczyła mu i dzięki temu lżej jej na sercu. Rozgrzewa ją myśl, że jej szukał; to najcieńsza nić, która łączy ją ze światem zewnętrznym, pozwalając jej wierzyć, że nie została całkowicie zapomniana.

Dot myśli też o królowej. Przywołuje w głowie jej wizerunek, jak klęczy pogrążona w modlitwie w swoich pokojach w Whitehall, prosząc Boga o jej bezpieczny powrót. Ale obawia się, że królowej nie ma już w pałacu, że też została wtrącona do więzienia i czeka ją niepewny los. Byłaby przetrzymywana w Tower z duchami Nan Bullen i Katarzyny Howard do towarzystwa. Dot nie chce o tym myśleć. Owszem, Katarzyna jest zbyt sprytna, żeby do tego dopuścić, lecz Dot wie, jaki jest król, jak potrafi w jednej chwili zmienić zdanie. Jest jak dwóch różnych mężczyzn – jeden lubieżny, drugi wściekły – i obaj wzbudzają strach w sercach większości ludzi.

Siedzi tak i myśli godzinami, pocierając kciukiem srebrnego pensa, którego mama dała jej wiele lat temu.

# 10



*Pałac Oatlands, Surrey, wrzesień 1546*

ZŁOTA BROSZKA Z TRZYDZIESTOMA BRYLANTAMI i dwunastoma perłami, ułożonymi wokół granatu wielkości jaja rudzika; para kruczoczarnych rękawów z króliczego futra; komplet czterech srebrnych bransoletek wysadzanych szafirami; gołębnik z sześcioma parami turkawek; dwadzieścia jardów fioletowego aksamitu; zegar mechaniczny z wygrawerowanym napisem: *Miłość jest ponadczasowa*; rzadki śnieżnobiały sokół perski; wysadzana klejnotami obróżka z karmazynowej skóry dla Riga; półtusza dzika; mnóstwo perełek do przyszycia na sukniach i czepkach; sfera chartów; pięć koszul nocnych z najlepszego jedwabiu; biała marmozeta, którą nazwała Batszebą, jako żona dla Franciszka.

Wszystko się skończyło i wszystko jest jak dawniej, z królem oczarowanym i przymilającym się do niej jak w czasie zalotów. Góra prezentów nie miałyby znaczenia, gdyby nie oznaczała końca niebezpieczeństwa. Wszyscy wrócili, wszyscy oprócz Dot; Katarzyna musiała pogodzić się z myślą, że dziewczyna może nigdy nie wrócić. Jej brat Will przybywa na dwór, a wraz z nim Hertford i Dudley, bo reformatorzy znów są w łaskach króla. Po nieudanej próbie obalenia Katarzyny przyszłość Wriothesleya stoi pod znakiem zapytania. Nie byłby to pierwszy raz, gdy król pozbywa się lorda kanclerza, więc członkowie koterii Wriothesleya chodzą z chytrymi twarzami i podkulonymi ogonami, zastanawiając się, w którą stronę skoczyć, zanim będzie za późno. Nigdzie nie widać Gardinera, jakby zaszył się w mysiej norze.

Tak, reformatorzy rosną w siłę. Will przeszedł samego siebie, zabawiając francuskiego ambasadora w czasie jego podróży do Hampton Court na spotkanie z królem i dwustuosobową świtą, która wyjechała na powitanie. Katarzyna dokucza bratu, że jeśli nie przestanie się nadymać, nie zmieści się w wielkich drzwiach Whitehall.



Siedziała obok męża podczas przyjmowania francuskiego poselstwa, ubrana w masę fioletowego aksamitu i złotogłowiu, ociekająca klejnotami, małżonka doskonała. Tak jakby nic się nie wydarzyło, jakby nigdy nie było nakazu jej aresztowania ani dwudziestu strażników przybyłych z Wriothsesleyem, by zabrać ją do Tower. Jakby nigdy nie wyobrażała sobie zimnego ostrza spadającego na jej szyję lub żaru stosu. Ten epizod został wymazany i Parrowie znów pławią się w słońcu. Król nawet oddał pod jej opiekę księcia Edwarda – to zaszczyt. Ale strach wciąż czai się pod powierzchnią.

Rzadko widywała męża w tak wyśmienitym humorze i ostatnio Henryk nawet nie wspomina o tym, że pod jej sercem nie ma królewskiego potomka. Rozprasza ją go inne rzeczy i puszy się jak paw z powodu ratyfikacji traktatu z Francją. Dzięki zwycięstwu w Boulogne Anglia znowu znalazła się w centrum polityki europejskiej. Na mocy traktatu miasto wraca do Francji, dzięki czemu król Franciszek będzie dłużny Anglii sumę tak ogromną, że nigdy nie zdoła jej spłacić. To przywołuje uśmiech na twarz Henryka. Gdyby to była partia szachów, właśnie zdobyłby królową Franciszka.

Katarzyna zachowuje dla siebie swoje opinie. Odzywa się tylko wtedy, gdy mąż się do niej zwróci, i zawsze mu ulega. Gdyby powiedział, że niebo jest zielone, przyznałaby mu rację. Nie pyta go o nic: ani czy może zaprosić Elżbietę na dwór, ani czy zażąda śledztwa w sprawie zniknięcia Dot (choć jest pewna, że dziewczyna nie zniknęłaby, gdyby król tupnął nogą, by zakończyć prowadzone przez Gardinera polowanie na czarownice, i wciąż płonie w niej poczucie winy). Ale udaje jej się odgrywać rolę oddanej żony i nie robi nic, co mogłoby ujawnić jej prawdziwe uczucia. Czyta tylko podręczniki zielarskie i mało interesujące książki. Już nie pisze, chociaż wyobraża sobie, że jej *Lamentacja* gnije w ciemności, niewidoczna, niewydana, zjadana przez pleśń. Narasta w niej poczucie porażki, gdy myśli o tej nowej pogrzebanej wierze, gdy przypomina sobie zapał, z jakim brała udział w wielkiej reformacji. Teraz jednak musi się martwić o to, by zachować życie i chronić otaczające ją osoby – chociaż w przypadku Dot obawia się najgorszego.

*Więzienie Newgate, Londyn, wrzesień 1546*

ELWYN WPADA DO JEJ CELI, zaróżowiony i uśmiechnięty.

– Mam cię wypuścić, Nelly – mówi, z trudem łapiąc oddech.

– Nie pojmuję.

To nie może być takie proste. Czyżby wrócił ten szczur Wriothsesley, żeby ją znowu maglować? Czy zabiorą ją na szubienicę?

– Jeśli to żart, Elwyn, to wcale nie zabawny.

– Nie kłamię, Nelly. Mam cię uwolnić.

– Ale...

– Tyle czasu nikt się o ciebie nie upominał, że naczelny dozorca posłał po instrukcje do biura lorda kanclerza. – Chwyta ją za ramiona i dodaje: – Na szczęście, Nelly, bo człowiek stamtąd powiedział, że zapomnieli o tobie i mogłabyś zostać tu na zawsze. Myślę, że lord kanclerz nie uzyskał od ciebie tego, czego chciał.

– Bogu niech będą dzięki. Wyobraź sobie, że gniję tutaj do końca swoich dni.

– Posłuchaj, Nelly. – Oczy mu błyszczą. – Los zadał cios lordowi kanclerzowi. Mój kuzyn pracuje w stajniach w Whitehall i twierdzi, że ten człowiek popadł w niełaskę u króla. Że skrzywdził królową i okrył się hańbą.

– Więc królowej nie ma w Tower? – pyta Dot.

– Skąd taki pomysł? Królowe nie trafiają do Tower... poza Katarzyną Howard.

Kręci jej się w głowie. Zostanie uwolniona, tak po prostu. Jakim dziwnym miejscem jest ten świat! Elwyn eskortuje ją do naczelnego dozorca, który każe jej podpisać się znakiem w księdze; następnie towarzyszy jej do bramy, gdzie Dot zwraca mu książkę Lutra.

– Jestem ci za nią wdzięczna. Uchroniła mnie przed całkowitą utratą rozumu. – Całuje go w policzek, a on się rumieni. – I mam szczerą nadzieję, że nigdy więcej cię nie zobaczę – dodaje na pożegnanie.

Elwyn się uśmiecha.

– Naprawdę bałem się, że cię spalą, Nelly.

Same te słowa sprawiają, że Dot znów czuje smak strachu, ale spogląda na drzwi i pyta:

– Naprawdę mam odejść, tak po prostu?

Młody mężczyzna kiwa głową.

Otwarte drzwi wyglądają jak brama do raju. Dot widzi promienie słońca padające na bruk i słyszy krzyki przekupniów nieopodal.

– Wiesz – mówi cicho, nachylając się do niego – teraz mogę ci powiedzieć, że nie nazywam się Nelly Dent.

Patrzy na nią pytająco.

– Jestem Dorothy Fownten, Dot dla wszystkich, którzy mnie znają, i służę królowej Anglii.

Na jego twarzy maluje się najwyższe zdumienie: uniesione brwi nikną we włosach, oczy wychodzą z orbit, usta robią się okrągłe jak „O”. Dot odwraca się ze śmiechem i odchodzi, spokojna jak nigdy.

Brama zamyka się z trzaskiem, a ona jakby weszła do innego świata. Stoi na cmentarzu, gapiąc się na wszystko dokoła: ruchliwe stado szpaków dziobiących

wokół kamieni, kota wylegującego się w słońcu, jabłoń pod murem kościoła, pajęczynę zawieszoną między gałązkami, przycupniętego pająka, a obok złapaną muchę. Patrzy w niebo, na białe chmury z łatkami błękitu, i bierze głęboki oddech, jak pierwszy oddech, który w życiu zaczerpnęła. Podnosi spadłe jabłko, największe i najbardziej różowe, w gryza się w nie i słodki, soczysty miąższ drażni jej kubki smakowe – czuje się jak w samym niebie.

Idzie z placu kościelnego na targ pełen handlarzy, którzy głośno zachwalają swoje towary. Przechodzi stado beczących owiec pilnowanych przez chłopca, który niezupełnie nad nimi panuje i robi się czerwony ze złości, gdy jedna się oddala. Krzyczy na psa pasterskiego, równie nieposłusznego i głupiego jak owce. Dot siada na schodku i patrzy na świat. Kucharki z wielkich domów przybywają tu po ryby i chleb, a przekupnie próbują wycisnąć z nich ostatniego pensa. Jakaś kobieta upuszcza kosz, wypadają z niego główki kapusty i toczą się po bruku, a ludzie je gonią. Chłopcy piekarzy przywołują klientów: „Dobry świeży chleb na twój stół!”, przeciągając słowa tak, że brzmią jak piosenka. Sam zapach wystarczy, by sprzedać te bochenki. Dot chłonie to wszystko, siedząc w słońcu, rozkoszując się wolnością. Nie patrzy jedynie na stragany rzeźników, bo wiszące tusze, siekanie i łomotanie tasaków za bardzo przypominają jej o rzeczach, o których wolałaby zapomnieć.

Ani się spostrzegła, jak kupcy pakują swoje rzeczy i tłumy rzedną. Jakaś dziewczyna częstuje ją pasztecikiem z mięsem – zbyt nieświeżym, by mogła go sprzedać. Z początku Dot odmawia; mówi, że nie może zapłacić, ale dziewczyna nalega. Musi naprawdę wyglądać żałośnie, skoro nieznajoma ofiarowuje jej jedzenie na ulicy. Dot ma pensa wszytego w rąbek, czuje go przez materiał, ale jeśli chce się dostać do Whitehall, musi go zatrzymać. Idzie w stronę rzeki. Najlepiej dotrzeć do Whitehall łodzią; nie byłoby mądrze, gdyby dziewczyna włóczyła się samotnie po mieście teraz, gdy tłumy się przeredziły. Jediną łodzią do wynajęcia jest kolorowa barka ze śpiewającym wioślarzem; takimi barkami wielcy państwo lubią się wyprawiać na romantyczne wycieczki.

Przewoźnik, ubrany w szkarłat z mnóstwem kokardek, klamerek i innych ozdób, żąda całego srebrnego pensa za krótki przejazd do Whitehall. Na jej narzekania mówi, że jego łódź nie jest zwyczajna – to barka odpowiednia dla księżniczki. Dot wie, że fantazyjnie odziany głupek zdiera z niej skórę, ale ma to w nosie. W końcu czy nie na taką okoliczność chowała swojego pensa? Poza tym ma cztery całe funty w pieczy Katarzyny – jej spadek po Meg. Całuje pensa, zanim wręcza go przewoźnikowi, i szepcze: „Dziękuję, mamó”. Bóg jeden wie, skąd mama wzięła tę monetę, bo Fowntenowie nie byli rodziną, u której poniewierały się srebrne pensy.

Gdy płyną w górę rzeki, Dot rozmyśla o rodzinie, o tym, co się u nich dzieje i czy brat już zdążył się zapić na śmierć, co zawsze prorokował tata – kiedy przychodził późną nocą pijany, waląc głową w belki, wpadając na sprzęty, robiąc raban i budząc ich wszystkich. Przypuszcza, że Mała Min jest już mężatką, i zastanawia się, za kogo wyszła. Potem myśli o swojej drugiej „rodzinie”, o Katarzynie, podekscytowana tym, że znów ją spotka. I teraz, gdy jest wolna, tęsknota za Williamem bez przerwy ściska jej serce – nawet jeśli będą się tylko przyjaźnić, zważywszy, że on ma żonę i zapewne gromadkę dzieci, o czym Dot stara się nie myśleć.

Przy schodach Whitehall Dot żegna się ze śpiewającym wioślarem. Przez całą drogę śpiewał niemelodyjną balladę, której fragment utkwiał jej w głowie: *Stara sekutnica rozłożyła nogi, przyprowadzając Benowi rozłożyste rogi.*

Dot idzie po schodach ku bramom pałacu.

– Jestem Dorothy Fownten i służę królowej. Wpuść mnie, jeśli łaska – zwraca się do strażnika.

– A ja jestem królem Anglii – odpowiada bezczelnie mężczyzna.

– Mówię prawdę.

Głos jej się łamie, gdy wyjaśnia, jak się tu znalazła. Strażnik wyraźnie jej współczuje, bo jego ponura twarz nieco łagodnieje, ale wciąż trzyma przed sobą halabardę, zagrządzając jej drogę.

– Słuchaj, panienko, gdyby królowa tu była, kazałbym sprowadzić któregoś z jej paziów, żeby ci się przypatrzył... choćby po to, byś przestała zmyślać. Ale ona podróżuje z całym dworem. Komnaty królowej są puste.

Serce jej zamiera. Zwiesza ramiona, nie wiedząc, co począć; jest wolna, ale dokąd ma pójść? Królowa będzie przenosić się z pałacu do pałacu, może wróci dopiero za kilka miesięcy. A ona nie ma już srebrnego pensa, nie ma niczego poza brudnymi ubraniami na grzbiecie.

Może tylko czekać, z nadzieją, że zjawi się ktoś, kto ją rozpozna. Jej zapał słabnie; osuwa się na murek i myśli o wadach swojej niewidzialności, którą kiedyś uważała za takie błogosławieństwo.

*Pałac Oatlands, Surrey, wrzesień 1546*

JEST PIĘKNY WCZESNOJESIENNY DZIEŃ, mgła spowija cichy park, wielkie drzewa mającą jak blade duchy. Wokół nich poruszają się widmowe poroża; w parku roi się od jeleni. Od przybycia do Oatlands Henryk codziennie dosiadał konia, podnoszony przez zbudowany specjalnie w tym celu wielki kołowrót, i polował. Właściwie nie było to polowanie, bo przed jego przyjazdem spędzano biedne zwierzęta w gromadę, dla pewności, że któreś ubije. Łowy niewiele różniły

się od rzezi; jelenie nie miały żadnych szans, a biedny koń Henryka ledwie zipał po całodziennym dźwiganiu jego ogromnego cielska. Król każdego wieczoru wracał do pałacu pełen opowieści, ale wczoraj nagle mu się pogorszyło i dziś rano zrezygnował ze swojej rozrywki.

Katarzyna wstała wcześniej i poszła na spacer z bratem. Sokolnik i jego syn podążają kilka jardów za nimi, uprzejmie trzymając się poza zasięgiem słuchu. Wszyscy inni jeszcze śpią, z wyjątkiem piekarzy i piekarczyków, którzy klekoczą dzieżami i śpiewają, przygotowując chleb na cały dzień. Świeżo upieczone bochenki leżą na stojakach. Zapach jest nieodparty i Will odrywa ciepłą piętę. Oboje skubią chleb podczas przechadzki. Jedzenie świeżego chleba pod gołym niebem należy do prostych przyjemności, a ona ma ich tak niewiele, bo poświęca każdą chwilę sztuce bycia królową. Słyszą szelest i stąpanie stworzeń, które pod osłoną mgły krzątają się koło swoich spraw. Sokoły łopoczą skrzydłami i napinają pęta, chcąc wzlecieć, ale mgła jest zbyt gęsta, żeby je puszczać. Will jest w dobrym nastroju i radośnie opowiada, jak Gardiner wypadł z łask.

– Stary cap odmówił podarowania królowi połaci ziemi, a król odmówił mu prawa wstępu do swoich komnat i teraz Gardiner całymi dniami czeka w korytarzach, mając nadzieję, że przyciągnie jego spojrzenie.

– Nie mogę powiedzieć, że nie jestem z tego zadowolona.

– Żałuj, że go nie widziałaś. Czekaj, aż wyjdą członkowie Tajnej Rady, i dołącz do nich, by przejść z nimi przez antykamerę i udawać, że nic się nie zmieniło.

– Myślałam, że stać go na nieco więcej godności... Ani trochę mu nie współczuję. Biskup Gardiner źle mi życzył.

– Lord Denny i nasz szwagier, Will Herbert – kontynuuje Will – są typowani na najwyższe stanowiska w Tajnej Radzie. Precz ze starymi... – Ze śmiechem klepie się po udzie.

– Słyszałam. Anna wspomniała, że jej mąż ma otrzymać nowy urząd.

– Kit... – Will ścisza głos, co oznacza, że zamierza powiedzieć coś, co mogłoby zagrozić im obojgu.

Katarzyna dobrze zna brata – czasami myśli, że aż za dobrze.

– Co tym razem knujesz? – pyta.

– Nic nie knuję, siostrze. – Will milknie i uśmiecha się do niej krzywo. Zerka przez ramię, żeby sprawdzić, czy sokolnik może go usłyszeć. – Po prostu król jest... cóż, jak by to ująć... nie jest młodzieniaszkiem...

– Przestań, Will. Wiesz, że mówienie czegoś takiego jest zdradą. – A jednak Katarzyna nie może zaprzeczyć, że często myślała o śmierci męża i odzyskaniu wolności.

– Kto miałby usłyszeć? Tylko wiewiórki i jelenie.

– I sokolnicy. – Nagle czuje, że ma dość ciągłego uważania, żeby ktoś jej nie podsłuchał, i tego, że nie może wprost wyrażać swoich myśli. – Powiem to, ale nigdy więcej o tym nie wspomnę. Rozumiesz? – Jej ton wyraża zniecierpliwienie. – Przed wyjazdem do Francji Henryk sporządził nowy testament, w którym wyznaczył mnie na regentkę, cokolwiek się wydarzy. A teraz oddał księcia Edwarda pod moją opiekę. Czy to dość, by zaspokoić twoją ambicję, bracie?

– Kit, to prawda? Wiedziałem o Edwardzie, ale testament... – Will wyskakuje przed nią i odwraca się, żeby iść tyłem, twarzą do niej, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

Katarzyna się nie uśmiecha. Balansuje na krawędzi gniewu i nie może powstrzymać warknięcia:

– Nie wystarczy, że twoja siostra się kurwi, żebyś ty wznosił się coraz wyżej? Chcesz zostać najpotężniejszym człowiekiem na ziemi, prawda? Czy nie rozumiesz, w jakim niebezpieczeństwie się znalazłam? Czy nie rozumiesz, jak mało zależy mi na władzy, a jak bardzo na własnym życiu?

Will, skarcony, niezręcznie przeprosza i duka, że darzy ją szacunkiem nie tylko jako królową, ale też jako starszą siostrę. Zapewnia, że oddałby za nią życie, w co Katarzyna szczerze wątpi. Ale to jego jękanie się poprawia jej nastrój. W końcu jest jej bratem.

– Trudno ci w twojej dumie zniżyć się do przeprosin, prawda? – pyta ze śmiechem.

Idą dalej, a Will przekazuje jej dworskie plotki. Mgła się podnosi i wkrótce sokoły będą mogły wzlecieć. Zatrzymują się na wzniesieniu, za którym ciągną się wzgórza Surrey. Syn sokolnika pomaga jej założyć skórzaną rękawicę, by mogła wziąć ptaka. Katarzyna zdejmuje sokołowi kaptur, czując, jak ptak drży w oczekiwaniu na łowy; rozluźnia pęta, wyrzuca go w powietrze i patrzy, jak sokół rozpościera wielkie skrzydła, wznosi się i nurkuje, szukając zdobyczy, a potem, dostrzegłszy ruch, na chwilę zawisa i pikuje.

– Król ma zamiar wydać za mąż Marię Howard, słyszałaś o tym? – pyta Will.

– Księżnę Richmond? Nie wiedziałam. Co jest zaskakujące, zważywszy, że moje dwórki potrafią wywęszyć propozycję małżeństwa w sąsiednim hrabstwie.

Sokół wzlatuje z pustym dziobem i krąży, szykując się do ponownego nurkowania.

– Norfolk nie jest tym zachwycony.

– Dlaczego? Myślałam, że chciałby znowu zobaczyć ślub córki. Owdowiała dawno temu i jest biedna jak mysz kościelna. Dzięki małżeństwu będzie miał ją z głowy.

– Tak, ale o jej rękę zabiega Tomasz Seymour.

Jej kruchy świat zaczyna się rozpadać. Myślała, że odnalazła równowagę, lecz to nic więcej niż fikcja; boi się, że znów się zagubi. Will opowiada o nieustających swarach między Seymourami a Howardami, ona jednak go nie słyszy, bo krew szumi jej w uszach.

– Raz go odtrąciła, przed laty, ale teraz jest inaczej... Mogłaby trafić na kogoś znacznie gorszego niż Tom. Jest bohaterem... zaatakowali go piraci... wiosłował, aż dotarł w bezpieczne miejsce... najurodziwszy mężczyzna na dworze...

Świat wiruje wokół niej. Katarzyna wyciąga rękę i opiera się o drzewo, żeby nie stracić równowagi.

– Kit – mówi Will, widząc, jak kolory odpływają z jej twarzy. – Kit, coś ci dolega?

– Lekko kręci mi się w głowie.

Zapomniała o ptaku i wzdryga się, gdy sokół cicho podpływa w powietrzu i upuszcza małego królika u jej stóp. Odzyskuje panowanie nad sobą i unosi rękę; ptak dostrzega sygnał i przysiadła na jej rękawicy. Teraz wydaje się znacznie cięższy. Nagle, wyczerpana, osuwa się na ziemię, opierając się plecami o drzewo.

– Co z tobą, Kit? – Will podchodzi do niej. – Co się stało? – Kuca, kładąc dłoń na jej czole.

– Nic takiego, tylko... – Katarzyna waha się, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. – Po prostu trochę mi słabo.

– Jesteś brzemienna? – szepcze Will z ledwie tłumionym przejęciem, a oczy, każde w innym kolorze, tańczą, zdradzając, o czym myśli.

Katarzyna widzi, jak kalkuluje, o ile wyżej znajdzie się w hierarchii.

– Na litość boską, Will... nie jestem.

– Chodź, Kit, odprowadzę cię do pałacu. Dziś polowanie nie dla ciebie.

Will wyciąga rękę, żeby zabrać sokoła. Przestraszony czymś ptak łopocze skrzydłami i macha szponem, rysując na jego policzku trzy krwawe pręgi. Podbiega sokolnik z synem, przeprosza i kaja się, jakby to była ich wina.

– Weź go – mówi Will. – Wciąż jest w nastroju do zabijania, a ja muszę odprowadzić królową do pałacu.

Wracają w milczeniu. Brat obejmuje Katarzynę ramieniem, drugą ręką przyciskając chusteczkę do krwawiącego policzka. Katarzyna ma gonitwę myśli w głowie i zastanawia się, jak da sobie radę, jeśli Tomasz wróci i będzie paradował wprost przed jej nosem.

Sądziła, że to wszystko – tęsknota, pałace pożądanie – należy już do przeszłości, że zostało pogrzebane. Przecież od jego wyjazdu minęły ponad trzy lata. Tymczasem to się wcale nie skończyło i sama myśl o jego małżeństwie ciąży

jej na sercu. Jej wewnętrzny świat jest tak rozchwiany, że nie wie, czy zdoła ukryć targające nią emocje.

Ludzie zmierzają przez ogrody pałacowe na dziedziniec. Paziowie biegają po krążgankach, służki kręcą się tam i z powrotem; przechodzi chłopak ze skrzynką kapusty na ramieniu, a dwie rozgadane kobiety niosą kosz srebrzystych ryb. Każdy ma jakiś obowiązek, który musi wykonać przed podaniem obiadu w sali. Kiedy widzą, że jest wśród nich królowa, zatrzymują się i padają na kolana, chociaż ona gestem daje im znać, żeby zajęli się swoimi sprawami i nie zwracali na nią uwagi. Nikt nie widzi, że z trudem utrzymuje równowagę w świecie przewróconym na bok, że boi się spaść z jego krawędzi.

– Tomasz Seymour – odzywa się cicho, nie patrząc bratu w oczy – wrócił na dwór? – Boli ją język, jakby to imię było zbyt gorące i ją sparzyło.

– Kit. – Will chwyta ją za ramiona z tym swoim beczelnym uśmiechem, który większość dziewcząt uważa za nieodparty. – Chyba już nie durzysz się w moim przyjacielu?

Katarzyna zbiera roztrzaskane fragmenty siebie.

– Nie, bracie. – Przysuwa usta do jego ucha i syczy gniewnie: – I na wypadek, gdybyś zapomniał, jestem poślubiona królowi Anglii.

– Tak, tak, siostrzyczko – mówi Will, odsuwając się. – A tam jest twoja odpowiedź. – Wskazuje najdalszy kąt dziedzińca.

Nie rozumiejąc, o co mu chodzi, Katarzyna podąża wzrokiem za jego ręką. Tomasz zsiada z konia, nieświadomy, że na niego patrzą. Klejnot na jego czapce płonie w promieniu słońca, skrzy się niczym spadająca gwiazda, i serce Katarzyny gubi rytm.

– Seymour! – woła Will.

Katarzyna bez słowa skręca ku tylnym schodom, żeby Tomasz jej nie zauważył.

*Southwark, Londyn, wrzesień 1546*

HUICKE JUŻ OD JAKIEGOŚ CZASU KRAŹY w mżawce po wilgotnych ulicach Southwark, szukając Udalla. Kiedy jego kochanek znika w taki sposób, zwykle znajduje go w jednym z męskich zamtułów po tej stronie rzeki. Pamiętając o jego nienasyconym apetycie na chłopców, którzy w tych okolicach handlują swoim ciałem, zastanawia się, czy Udall nie złapie francy. Bóg wie, gdzie te męskie dziwki bywały. Ale takie ryzyko dodaje pikanterii, przynajmniej tak mówi Udall. Huicke dobrze wie o jego skłonności do bicia młodych chłopców, a tu jest wielu, którzy przecierpią swoje w zamian za kilka pensów i odejdą z uśmiechem na brudnych twarzach.



Bardziej martwi go to, że Udall znajdzie się na niewłaściwym końcu czyjegoś ostrza – wytworny mężczyzna, który przez tyle dni szlaja się po lupanarach, jest łatwym celem. Niemal się spodziewa, że skręci za róg i zobaczy leżące w rynsztoku zwłoki kochanka, odarte ze wszystkiego, co ma jakąś wartość. Gdy światło słabnie, uliczki stają się coraz groźniejsze i Huicke czuje, że strach ściska mu żołądek. Mżawka przechodzi w deszcz. Idzie dalej, omijając błotniste kałuże; ma buty z jeleniej skóry i żałuje, że nie włożył jakichś solidniejszych. Nie może otrząsnąć się z irytacji, że błądzi po labiryncie wąskich uliczek w poszukiwaniu kochanka. Ale Udall taki właśnie jest; wie, że on ruszy jego tropem. Huicke złości się na siebie za swoją przewidywalność.

Wędruje po ciemniejących zaułkach, wściekły i rozdrażniony, bo swędzi go skóra nieznosząca wilgotnej pogody. Chroniąc się przed smrodem, przyciska do nosa pęk rozmarynu, gdy wsuwa głowę w drzwi i zagląda przez okna, podążając w ślad za wybuchem ochrypłego śmiechu albo dźwiękami muzyki sączącymi się zza brudnych szyb. Na rogu stoi żebraczka – młoda kobieta w podartej sukni i tak oblepiona brudem, że wygląda jak Maur. Składa brudne ręce i Huicke rozważa, czy rzucić jej monetę, ale wie, że jeśli w tej części miasta zatrzyma się i wyjmie sakiewkę, ta zniknie w okamgnieniu jak za sprawą czarów. Wie też, że istnieją szajki złodziei, którzy mają zwyczaj wykorzystywać takie żałosne dziewczyny jako przynętę dla swoich nikczemnych celów. Dlatego mija ją, wciąż wściekły na Udalla, że przez niego znalazł się w tym plugawym miejscu.

Gdy skręca za róg, słyszy krzyk. Odwraca się i widzi szybko zbliżającą się żebraczkę. Rzuca się biegiem, pędzi uliczką ku rzece, wpada w kałużę, mocząc nogawice, i przeklina pod nosem. Słyszy tupot i szelest spódnic tuż za plecami. Przyśpiesza, dysząc z wysiłku.

– Doktorze Huicke! – woła goniące go stworzenie. – Niech się pan zatrzyma!

Przebiega go dreszcz. Skąd, na Boga, ona zna jego nazwisko? Czy to jakiś podstęp? Jej współnicy muszą być w pobliżu. Gdyby tylko mógł dostać się do wody, gdzie czeka jego łódź.

– Doktorze Huicke...

Jak na dziewczynę ma szybkie nogi i jest coraz bliżej. Huicke próbuje jeszcze przyśpieszyć; kłuje go w bok, więc skręca za róg, szukając wnęki, w której mógłby się schować, ale ma przed sobą solidny mur, o wiele za wysoki, żeby się wspiąć. Z bijącym sercem odwraca się, pewien, że zobaczy bandę łotrów tuż za dziewczyną. Ale stoi przed nim sama.

Huicke przyskakuje, chwyta rękę dziewczyny, wykręca za jej plecami i mocno obejmuje ją w pasie. Jej zjęłczały smród sprawia, że zaczyna się krztusić.

– Błagam, proszę mnie puścić! – krzyczy żebraczka, wierzgając jak dziki żrebak.

– Gdzie inni? – warczy, zacieśniając uścisk.  
– Nie ma nikogo innego, doktorze Huicke.  
– Skąd znasz moje nazwisko? – Boi się, że wpadł w misterną pułapkę, boi się, że to on, a nie Udall, skończy tej nocy na niewłaściwym końcu ostrza.

– Nie poznaje mnie pan, doktorze? To ja, Dorothy Fownten, służąca królowej. Patrzy na jej suknię i nawet w przyćmionym świetle zauważa porządną wełnę pod warstwą brudu. Dziewczyna próbuje się wyrwać, wolną ręką szarpie jego palce. Wtedy Huicke dostrzega coś znajomego w jej głęboko osadzonych oczach i zarysie ust. Lekko rozluźniając uścisk, pozwala, by odwróciła się twarzą do niego.

– Widzi pan, to ja – mówi dziewczyna z rozbijającym uśmiechem.

– Dot?

Kiwa głową.

– Dzięki Bogu! – szepcze dziewczyna.

– Jak to się stało, że włóczyz się po zaułkach tego piekielnego miejsca?

– Opowiedzenie mojej historii zajmie sporo czasu, a tutaj grozi mi niebezpieczeństwo... Pewien mężczyzna kazał mi żebrać i będzie mnie szukał, by zabrać pieniądze... – Urywa z gwałtownym wdechem i blednie, gdy zauważa kogoś w wylocie zaułka.

Huicke odwraca się i widzi sylwetkę potężnego mężczyzny z kundlem na sznurku.

– To nie on – mówi Dot z westchnieniem ulgi. – Ale muszę się stąd wydostać.

Huicke bierze ją za rękę i śpieszą do rzeki. Przewoźnik gdera, że musiał długo czekać, i żąda podwójnej zapłaty. Gdy wsiadają, Huicke myśli o Katarzynie i wyobraża sobie jej radość, że dziewczyna się odnalazła. Dot drży, więc okrywa ją swoją peleryną i czuje pod rękami jej wychudzone ciało.

– Potrzebny ci solidny posiłek, Dot Fownten – mówi.

– I nowa suknia.

Oboje się śmieją. Gdy łódź powoli płynie pod prąd, Huicke nalega, żeby mu opowiedziała, co się z nią działo.

– Dość powiedzieć – mówi Dot – że nie przypuszczałam, że w tym życiu dane mi będzie oglądać to, co widziałam, i w tej sprawie moje usta na zawsze pozostaną zamknięte... – Milknie na chwilę, światło pochodni pełga po jej twarzy. – Każde z nas ma talent, doktorze – dodaje. – Mój polega na dochowywaniu sekretów.

*Zamek Windsor, Berkshire, październik 1546*

Dot wróciła, niepokojąco chuda i cicha jak grób; poza krótką wzmianką o Newgate nie chce mówić o tym, jak to się stało, że zniknęła na tak długi czas. Katarzyna wie, że nie należy naciskać; najważniejsze, że wróciła cała i zdrowa i śpi bezpiecznie na wysuwanym posłaniu obok jej łoża. W ciemności słucha miarowego poświstywania oddechu dziewczyny i ten dźwięk raduje jej serce. Może się tylko domyślać, ile Dot przez nią wycierpiała, i mocno ją to boli.

Tak bardzo pragnęła być użyteczna, nadać znaczenie swojej pozycji, dawać przykład, przestrzegając praw boskich w najprostszy, najczystszy sposób, i przyśpieszać wprowadzanie nowej wiary. Teraz jednak widzi, na ile niebezpieczeństw naraziła otaczających ją ludzi, a wśród nich biedną, najdroższą Dot, najbardziej niewinną z nich wszystkich.

Dawno temu pozbyła się ze swoich komnat wszelkich obciążających materiałów. Książki, modlitwy, papiery zniknęły; nie ma już szeptanych rozmów, pasjonujących dyskusji o obrazie nowego świata, rozważania dziwactw przekładu, interpretowania. Cenzuruje każdą myśl, która przychodzi jej do głowy, każde słowo wychodzące z jej ust. Dwórki zajmują się szyciem; mają palce zajęte igłami, a nie piórami, gdy misternie haftują wielkie połacie tkaniny, ozdabiając je nic nieznaczącym tekstem.

Król składa wizyty, a ona słucha, przygryzając język, żeby jej nie zdradził, niebacznie wyrażając jakąś opinię. Przytula się do Henryka, uśmiecha się głupawo, przytakuje i znosi noce w tym groteskowo rzeźbionym łożu z mahoniowymi gargulcami, które z góry spoglądają na jej upokarzające poczynania. Król jest z niej zadowolony, chociaż sam niedomaga i nie może polować, co powoli psuje mu dobry humor. W tej chwili cieszy się jednak, widząc zachowanie swojej słodkiej Katarzyny, i prezenty napływają codziennie z cudowną monotonią.

Katarzyna może panuje nad swoim zachowaniem, ale z myślami zupełnie sobie nie radzi. To przez obecność Seymoura, którego ciągle gdzieś dostrzega, jakby był wszędzie. Gdy spaceruje po długiej galerii, on tam jest. Gdy wybiera się na przechadzkę po ogrodach, on tam jest. Gdy jeździ konno w parku, on tam jest, zawsze na skraju jej pola widzenia: widzi migotanie jego pióra, błysk opalizującego atłasu, kasztanową gęstwinię brody, która bardzo się wydłużyła przez okres ich rozłąki. I nie śmie nawet spojrzeć w jego stronę, bojąc się tego, co może zostać uwolnione.

Will i on znów są nierozłączni i wydaje się, jakby mieli tysiąc sobowtórów, bo zawsze są tam gdzie ona, nachyleni do siebie w kącie, grający w lisy i gęsi pod oknem, błędzący po korytarzach zamku, co sprawia, że jej serce jest ciężkie z tęsknoty. Oddałaby wszystko, żeby zamienić się miejscami z bratem; nie być królową, nie być kobietą, byle po prostu móc usiąść obok Tomasza, udo przy udzie. To by jej wystarczyło. Siła uczucia do tego mężczyzny przepełnia ją

strachem. Nie może uwierzyć, że nie widać po niej tego nieokiełznanego pragnienia. Ale nie wolno jej myśleć o nim, o uczuciu, o niczym – wolno tylko o codziennych sprawach – i patrzy w podłogę, bo wie, że oczy pierwsze ją zdradzą.

Jedynie Dot pozwala jej na chwilę wytchnienia. Katarzyna przekazała jej majątek w West Country, w ten sposób okazując wdzięczność, ale wie, czego Dot pragnie najbardziej na świecie: Williama Savage'a. Była świadkiem ich spotkania, widziała, jak rzucili się sobie w ramiona, jakby prócz nich nikogo tam nie było. William padł na kolana i zapytał, czy pozwoli mu się wytłumaczyć.

– Moja Kropeczko. Wiem, że cierpiełaś przeze mnie, i z całego serca proszę cię o wybaczenie.

– Nie masz potrzeby o to prosić – odrzekła Dot. – Dawno ci wybaczyłam, Williamie Savage. W ciągu ostatnich miesięcy nauczyłam się wielu rzeczy o życiu.

– Musisz jednak wiedzieć, Dot, że choć bardzo się tego wstydzę, nie powiedziałem ci o żonie z obawy, że nie pozwolisz mi więcej zbliżyć się do ciebie, a tego bym nie zniósł. Pobraliśmy się bardzo młodo, ja zaraz potem przybyłem na dwór, prawie jej nie znałem... Byłem głupi i...

Przycisnęła palec do jego ust.

– Sza – szepnęła i spojrzała mu w oczy. – Gdzie jest teraz twoja żona?

– Zmarła przed rokiem.

– Przepraszam. To znaczy... przykro mi z tego powodu.

Katarzyna widzi, że Dot chodzi teraz opromieniona dawnym blaskiem, co sprawia jej radość, jakiej nie zaznała od dłuższego czasu. I obmyśliła plan: zrobi wszystko dla szczęścia Dot – i wszystko, co pozwoli jej samej oderwać myśli od Tomasza.

Wzywa Williama Savage'a do prywatnej komnaty.

– Czy myślałeś o ponownym małżeństwie?

Tęsknota przemyka przez jego twarz, pojawia się w jego smutnych oczach, które wydają się ciężkie od rezygnacji.

– Co powiesz, jeśli rozkażę ci się ożenić?

William mamrocze coś, zwlekając, wydając dźwięki, które niezupełnie układają się w słowa, rumieni się i w końcu duka:

– Jeśli rozkażesz, madame... – I nagle ogarnia go pragnienie, by wyznać, co naprawdę myśli. – Nie chciałbym ponownie się żenić.

– Czyżby, Williamie?

Katarzyna nie chce się z nim droczyć, ale nie może się powstrzymać. Wie, że gdy powie to, co zamierza, ta chwila będzie dla niego słodsza.

– Kocham kogoś – mówi William, już całkiem wyraźnie. – Ale to niemożliwe... Pochodzimy z...

– Sza, Williamie. – Kładzie dłoń na jego rękawie. – Chcę, żebyś poślubił Dorothy Fownten.

Młody człowiek nagle ożywia się, jego skóra odzyskuje blask, szeroki uśmiech rozjaśnia twarz i wilgotnieją mu oczy.

– Moja Dot... Zezwolisz, madame... Nie wiem, co powiedzieć.

– Tak, zezwolę. Co więcej, nie przychodzi mi do głowy nic, na co chętniej chciałabym zezwolić.

– Madame, ja... ja... – Pada na kolano, ujmuje jej rękę i całuje ją z zarem, który świadczy, że już myśli o Dot.

– Musisz jednak zrobić, co powiem – zaznacza Katarzyna.

– Cokolwiek tylko zechcesz, pani.

– Przede wszystkim, jeśli kiedykolwiek dowiem się, że Dot ucierpiała z twojego powodu, powieszę cię na suchej gałęzi, Williamie Savage, i rzucę twoje serce psom na pożarcie. Nie wolno ci jej skrzywdzić.

William uroczyście kiwa głową, jakby rozmawiał z samym Bogiem.

– Pójdiesz do niej i sam poprosisz ją o rękę, po cichu. Niech to będzie tylko sprawa między wami. Nie chcę, żeby moje damy wściubiały w to nosy, bo niektóre pewnie tego nie pochwalą. Napiszę do twoich bliskich. Z pewnością nie będą mieli nic przeciwko, skoro takie jest życzenie królowej.

*Pałac Whitehall, Londyn, listopad 1546*

Dot nie sypia już na wysuwanym pościeliu w pokojach królowej ani w pełnych przeciągów przedpokojach na zewnątrz komnaty, którą Katarzyna coraz rzadziej dzieli z królem. Robią to inne służące, bo Dot teraz jest mężatką. Czasami musi się uszczypnąć, by uwierzyć, że ona, prosta Dot Fownten, jest żoną mężczyzny, który umie pisać wiersze i grać na wirginalu, i że nosi na palcu pierścionek od królowej – to jej szczęśliwe zakończenie.

To zasługa królowej, powiedział William, kiedy przybył do Windsoru niedługo po jej powrocie. Wziął ją za rękę i spojrzeli sobie w oczy jak szaleni kochankowie ze starych opowieści.

William sięgnął do kieszeni, poklepał dublet i zrobił taką minę, jakby zgubił coś ważnego. W końcu udało mu się znaleźć pierścień. Od razu rozpoznała wodny pierścień Katarzyny (Dot zawsze tak o nim mówiła, nie wiedząc, jak nazywa się ten kamień). William wsunął go na jej palec.

– Co robisz, Williamie Savage? Przecież to pierścień królowej – powiedziała.

– Nie, ukochana, jest twój. Twoja obrączka ślubna.

Miała wrażenie, że jej serce jest kwiatem otwierającym się w piersi.

Później Katarzyna wezwała ich do swojej komnaty, gdzie czekał już jej kapelan, a także Cat Brandon, która miała być drugim świadkiem.

– Wyobraź sobie – Dot trąciła łokciem Williama – królowa Anglii i księżna Suffolk świadkują naszym zaślubinom!

William przez cały czas ścisnął jej rękę, gdy kapelan odprawiał nabożeństwo. Kiedy została wezwana do złożenia ślubów, niemal zabrakło jej tchu. Wydawało się, jakby każde wydarzenie w jej życiu prowadziło do tej chwili; pomyślała, że wybuchnie z radości niczym jeden z fajerwerków Udalla.

Mają teraz kwatery niedaleko pałacu Whitehall. To tylko jedna izba wielkości spiżarni, ale jej rozmiar jest nieistotny. Najważniejsze, że ma Williama Savage'a i mogą spędzać całe noce w swoich ramionach, nie rozmawiając o tym, co było, żyjąc chwilą obecną i tylko od czasu do czasu wyobrażając sobie przyszłość i dzieci, których się dochowają.

Wreszcie czuje się bezpieczna i spokojna po tym wszystkim, przez co przeszła. Stara się do tego nie wracać, a kiedy William próbuje nakłonić ją do zwierzeń, mówi: „Nie budź licha, kiedy śpi, mężu”, obracając ostatnie słowo w ustach jak jeden z pysznych cukierków królowej.

# 11



*Pałac Nonsuch, Surrey, grudzień 1546*

HRABIA SURREY TRAFIŁ DO TOWER. Henryk chce się go pozbyć. Wszyscy są zszokowani tym szybkim i nieodwracalnym upadkiem – tak nagle, bez żadnego ostrzeżenia. Katarzyna jest zrozpaczona. Porywczy Surrey, przyjaciel Willa, przez lata bywał w niełasce, ale tym razem jest inaczej. Myśli o nim, jak w więzieniu pisze rozpaczliwe wiersze, jednak nie ma odwagi sama skreślić do niego słów wsparcia, ze strachu, że pociągnie ją za sobą. Kursuje pogłoska, że aresztowano również Norfolka, ojca Surreya – albo że wkrótce to nastąpi. Dwórki nie mówią o niczym innym, bo lubią żonę Surreya. Kuzynki i córki Howardów pomykają z zaszczutym spojrzeniem, jakie pojawia się w oczach rodziny, gdy jeden z jej członków został osaczony, a król jest w nastroju do zabijania.

Katarzyna czuje zmiany na dworze: wszyscy rywalizują o pozycję. Anna Bassett wróciła z Calais; jej rodzina znów popycha ją naprzód – z nadzieją na co? Katarzyna woli się nad tym nie zastanawiać, ale wie, że kiedy sytuacja się zmienia, otwierają się nowe możliwości. Nic nie jest bezpieczne. Ona nie jest bezpieczna – nigdy nie była. I krążyły plotki, że król rozgląda się za nową królową. Wskazywano nawet Cat Brandon, ponieważ niedawno owdowiała. Cat bagatelizowała ten pomysł i żartowała z niego, Katarzyna jednak nie ma ani cienia powodu do śmiechu z tej strasznej sprawy. Wszyscy wiedzą, że jeśli król zapragnie, to otrzyma, czego chce i kogo chce, i pozbędzie się każdego, kto stanie mu na drodze. Co gorsza, Henryk niemal cały czas jest w złym humorze przez rozdzierający ból nogi. Rzadko wychodzi ze swoich komnat; wydaje rozkazy doradcom, którzy skradają się wokół niego, starając się być niewidzialni – bo kiedy na nich warczy, jest to naprawdę przerażające.

Katarzyna delikatnie nakłada na jego nogę kataplazm, który zrobiła z Huickiem. To nowa mikstura z pyłku pszczelego i nagietka, usuwająca infekcję. Król nie chce więcej larw; mówi, że za bardzo się wiercą, co go irytuje. Katarzyna

już prawie nie zwraca uwagi na fetor jego wrzodu, tak bardzo do niego przywykła. Mruczy kojąco i nuci jego ulubioną melodię, mąż jednak jest ponury i milkliwy, a ona stara się myśleć o innych rzeczach.

Tęskni za świętami Bożego Narodzenia, kiedy w końcu znów będą jeść mięso. Ma dość ryb; ryby, bez końca karpie, węgorze, szczupaki, wydlubywanie małych ości pomiędzy zębów, mdły smak, a jeśli nie mdły, to zbyt słony, bo wszystkie ryby morskie – dorsz, molwa, czarniak – przybywają zapakowane w soli i po ich zjedzeniu czuje się straszne pragnienie. Poza tym zawsze są rozgotowane, suche i zimne, gdy już trafiają z kuchni na stół. Ale zostały jeszcze dwa tygodnie postu adwentowego.

Opatrując ranę, pozwala myślom błądzić i wyobraża sobie ucztę na Boże Narodzenie: dziczyzna, łabędzie, gęsi, prosięta. Biedny Surrey nie będzie miał powodów do radości. Prawnicy Henryka krążą wokół Howardów jak sępy, próbując znaleźć wiarygodny powód, żeby pozbawić go głowy. Król zawsze obawiał się, że Howardowie mogą stać się zbyt potężni. Katarzyna wie, że mąż jest już jedną nogą w grobie, bo zna dobrze sygnały nadchodzącej śmierci. Boi się, co będzie później, bo przecież książę jest jeszcze bardzo młody.

Dopóki Edward nie osiągnie pełnoletności, ona będzie regentką, przynajmniej tak jest napisane w testamencie. Wyobraża sobie swoją regencję, forsowanie reform, stawanie się wielką królową, która będzie pamiętana z tego, że przywiodła Anglię do prawdziwej wiary. Ale w głębi duszy nie chciałaby niczego więcej, niż przeżyć życie w takim małym pałacu jak ten, w zapomnieniu – pozbyć się miazdzącego ciężaru królewskości.

Wrzuca okład do miski, bierze kwadrat muslinu i przyciska go do wrzodu. Henryk jęczy i uderza dłonią w podłokietnik krzesła. Katarzyna prosi pazia o zapalenie świec; ściemnia się wcześniej, a nocie nie mają końca. Cieszy się, że jest w tym ładnym pałacu z mniejszą świtą. Nonsuch to cud wieżyczek i sztukaterii – podobno jak najwspanialsze florenckie pałace. Katarzyna cieszy się nowością tego miejsca, kamiennymi kominkami, które nie dymią, własną wanną z wodą płynącą z rur.

Bierze świeży bandaż i zaczyna owijać Henrykowi nogę; myśli o powtarzającym się wzorcu swojego życia i zastanawia się, ile jeszcze czasu spędzi na zmienianiu bandaży, a ma już za sobą trzy i pół roku. Myśli, że jeśli kiedykolwiek będzie miała okazję ponownie wyjść za mąż, to na pewno nie za kolejnego starca. Sztywnieje na tę myśl – to brutalne przypomnienie, że sama jest niemal przejrzałym owocem i że starzy mężczyźni mogą być wszystkim, co jej zostanie. Nie opuściła jej tęsknota za dzieckiem, która według wielu kobiet pojawia się z wiekiem; a ona weszła już w trzydziesty piąty rok życia i wciąż czuje w sobie tę ziejącą pustkę.



Może właśnie dlatego kocha dziewczęta jak własne: Dot, błogosławioną Dot, która oddałaby za nią życie, i Elżbietę z tą jej odpornością i determinacją. Elżbieta ma w sobie coś trudnego do określenia: żelazną charyzmę, której nawet ona nie może się oprzeć. I jest jeszcze Maria, bardziej siostra niż córka, nosząca niedole matki na swych wątych ramionach; jej serce jest przeszyte tragedią. Katarzyna nie może też zapomnieć o biednej Meg i tęskni za jej cichą obecnością. Wreszcie jest Edward. Pod lodowatą powłoką, którą nosi publicznie, jest słodkim malcem – to ledwie dziecko, a jaki ciężar odziedziczy. Wszystkie te dzieci przychodzą i odchodzą, w zależności od kaprysu króla, i żadnego z nich nie urodziła. Nawet Dot odeszła do Williama Savage’a, chociaż z własnej woli. Katarzyna uśmiecha się, myśląc o nich – o swoich papużkach nierozłączkach. Król dał jej kiedyś parkę takich papużek; zastanawia się, co się z nimi stało.

Zawiazuje bandaż, a paż wraca z pudełkiem świec, które wyslizguje mu się z rąk. Świece padają z klekotem.

– Na litość boską, Robin – warczy król. – Masz palce ze smalcu?

Katarzyna czeka w milczeniu, aż Robin pozbiera i zapali świece, a gdy Henryk się uspokaja, pomaga mu włożyć pończochy. Król klepie stołek obok siebie.

– Chodź, Kit. Posiedź z nami trochę. Wiemy, że nie dopisuje nam humor, ale jesteśmy wdzięczni, że robisz dla nas to wszystko, choć mogłabyś zdać się na naszych medyków.

Katarzyna siada i zapewnia go, że woli robić to niż cokolwiek innego.

– Czegóż innego może pragnąć żona, niż służyć mężowi? – dodaje, w duchu prosząc Boga, żeby wybaczył jej kłamstwo.

Od strony paziów i szlachciców, którzy niewidzialnie wypełniają swoje obowiązki, dobiega ciche szuranie.

– Wasza Królewska Mość – odzywa się jeden z nich – lord Hertford czeka.

– Przyślij go.

Wchodzi Hertford. Ostatnio opracował nowy dumny krok i pasującą do niego nową powierzchowność. Brodę ma starannie uformowaną w dwa szpice, które leżą na białym atłasowym dublecie jak lisy na śniegu. Pończochy też są białe, jak królewskie, i nieskazitelne – para łabędzich szyi – a wierzchnia szata jest podbita najjaśniejszym kremowym króliczym futrem. Dublet ma rozcięcia, jest karbowany i obsyty perłami. Hertford lubi perły. Katarzyna przesuwając palcami po sakiewce u pasa, gdzie nosi swój krzyż z perłami.

Za Hertfordem wchodzi kilku mężczyzn, ona jednak ich nie zauważa, zahipnotyzowana, urzeczona lśniącymi perłami Hertforda, połyskiem bladego atłasu, nieskazitelną białą pończochą, puszystym futrem królika, samym blaskiem tego mężczyzny. Hertford emanuje pewnością siebie, podczas gdy wszyscy inni

pełzają i czmychają – jest człowiekiem pnącym się w górę. Mija dłuższa chwila, zanim w mroku za jego plecami dostrzega Tomasza. Z jej piersi wyrывa się prawie niesłyszalne westchnienie i czuje rumieniec parzący jej twarz jak para, która bucha z miski gorącej zupy.

Tomasz patrzy w jej stronę, a ona podchwytuje jego spojrzenie. Zatraca się w jego barwinkowym świetle, który zawiera wspomnienia wszystkich ich wspólnych chwil – dotyk jego palców i ust, ciężar ciała, zapach piżma i cedru, szmer głosu, szeptane czułości. To ledwie chwila, prawie nic, lecz także wieczność, i Katarzynę przygniata tęsknota. Odrywa od niego wzrok i spogląda na męża, którego krzemienne oczy patrzą to na nią, to na Tomasza. Katarzyna wbija paznokcie w dłoń. Hertford coś mówi, ona jednak nie słyszy ani słowa i król też nie słucha.

– Idź, żono – syczy cicho. Potem wybucha: – WYJDŹ STĄD, KOBIETO!

Jakby w pokoju wystrzelono z armaty, wszyscy zamierają w bezruchu, zdezorientowani. Katarzyna wstaje, źle postawioną stopą rozsypując medyczne akcesoria. Próbuje je zebrać, ale drżą jej ręce i wszystko z nich wypada.

– WYJDŹ, MÓWIĘ!

Jak najszybciej zmierza tyłem do drzwi, bojąc się odwrócić od króla i ściągnąć na siebie jeszcze większy gniew.

– Tylko nie to – szepcze, śpiesząc pustymi korytarzami.

Właśnie tego się obawiała: że nie zdoła zapanować nad oczami, że uczucia wysączą się przez źle zszyte szwy. Myśli o tym, jak szybko upadł Surrey, i aż robi jej się niedobrze.

Podchodzi Huicke.

– Kit... – Z niepokojem marszczy czoło.

Najwyraźniej Katarzyna nosi swój strach jak suknię.

– Co się stało? – pyta ją.

– Król mnie odprawił... znowu. Ale tym razem to... – Chce mu wszystko powiedzieć, opisać tę chwilę, tę kochaną twarz Tomasza, jego oczy. – Nie tutaj – szepcze.

Huicke rozumie ją i kiwając głową, ściska jej ramię.

– Kit, ty drzysz.

– Idziesz do niego? – Katarzyna stuka w słoik, który Huicke trzyma w dłoni. – Nalewka?

– Tak, na ból. Ta, którą przyrządzałaś dla Latimera. Król uważa, że działa lepiej niż magia.

– Lubi cię bardziej niż własnych lekarzy, Huicke.

– To błogosławieństwo czy przekleństwo?

– Trudno powiedzieć, ale bądź ostrożny... – Po chwili wahania Katarzyna dodaje: – Jeśli będziesz musiał odsunąć się ode mnie, zrozumiem.

Huicke unosi jej rękę do ust i rozchodzą się.

SŁOWA KATARZYNY WIRUJĄ MU W GŁOWIE. Zastanawia się, co mogło spowodować niechęć króla do żony. Gdy zbliża się do drzwi jego apartamentów, wychodzi stamtąd dwóch paziów. Jeden wymachuje pustym wiadrem na węgiel, a drugi niesie duży dzban. Gawędzą wesoło, śmieją się z czegoś. Huicke przystaje, żeby na nich popatrzeć, upaja się widokiem świeżego blasku ich skóry, smukłych nóg w pończochach: jeszcze nie całkiem mężczyźni, ale już nie chłopcy. Wyobraża ich sobie nagich, żegnających się z miękkością dzieciństwa, o ciałach wciąż pokrytych puszką. Jeden, stąpając przesadnie dumnym krokiem, bierze dzban pod pachę, ściąga czapkę i rysuje nią w powietrzu esy-floresy.

– Roister Doister, wypisz wymaluj! – mówi ze śmiechem drugi. – Pan szerokich mórz, uwodziciel dwórek.

– Wiesz, że kiedyś uciekł piratom i dowiosłował do bezpiecznego miejsca?

– Pewnie, wszyscy o tym słyszeli. Tak się składa, że lubię go mimo całej jego bufonady. Kiedyś dał mi pensa, żebym upuścił tacę z ciastkami na pałacowych schodach.

– Czemu?

– Nie powiedział. I wyobraź sobie, pomógł mi je zbierać...

Obaj skręcają za róg korytarza i ich głosy cichną. Huicke podchodzi do drzwi i czeka, aż strażnik go zapowie. Odnosi wrażenie, że wspomniany przez paziów incydent ma coś wspólnego z Tomaszem Seymourem, i wraca do niego straszne wspomnienie kochanka Katarzyny Howard, pięknego Thomasa Culpepera, zielonego ze strachu, gdy wlekły go strażę.

Kiedy z chłodu korytarza wchodzi do apartamentów króla, uderza w niego ściana gorąca. Ogień płonie, oświetlając rozproszone postacie jak na obrazie van Eycka, który Huicke kiedyś oglądał w Brugii. W pokoju unosi się męski zapach skóry i koni, a także czegoś zjełczałego. Tak jak sądził, jest tam Tomasz Seymour; król musi nienawidzić tego człowieka za samą jego świetną powierzchowność. Henryka otacza kilka osób. Wriothesley, w kołnierzu z gronostajów, ma skołowaną minę, jakby dopiero co przybył i nie miał pojęcia, co się wydarzyło. Hertford, w absurdalnie białym stroju, wygląda jak bożonarodzeniowy anioł. Nieco dalej stoi dwóch poślednich dworzan. Przerywają rozmowę, gdy Huicke się zbliża, więc cichy stukot jego butów rozbrzmiewa w całej komnacie.

– Ach, Huicke, jakie mikstury masz dla nas?

– Mam coś, co uśmierzy twój ból, Wasza Królewska Mość.

W ciszy brzęczy napięcie.

– No to przygotuj je – rzuca król. Następnie zwraca się do Hertforda: – Ten medyk jest najlepszy z nich wszystkich. Tylko jego leki mi pomagają.

Hertford mruczy coś potakująco. Pławi się w łasce króla. Ma idealne wycucie czasu, myśli Huicke; stan zdrowia króla szybko się pogarsza, a on pnie się w górę, wykorzystując odpowiedni moment. Huicke obserwował, jak w ostatnich tygodniach arystokraci walczyli o pozycję, bo wycofanie się Howardów zostawiło wolne pole dla Seymourów, którzy jako wujowie księcia Edwarda mają przewagę.

Huicke niesie słoik do bocznego stolika i wysyła pazia po czysty kubek. Hertford składa ukłon, po czym opuszcza salę, a za nim podążają jego brat i jeden z dworzan. Wriothlesley podchodzi do króla i obsypuje go komplementami, po czym wstawia się za jakimś krewnym. Król słucha jednym uchem; Wriothlesley nie ma już takich wpływów jak kiedyś.

– Co sądzisz o Tomaszu Seymourze, Wriothlesley? – pyta król, ucinając przypochlebną tyradę.

– O Seymourze, Wasza Królewska Mość? Czy nie zalecał się do królowej? – Wriothlesley powoli ugniata dłoń, jakby nacierał je maścią, a w kącikach jego ust pojawia się cień uśmiechu.

– Czy jest uczciwy? – Oczy króla, w których odbija się blask ognia, lśnią jak ślepia kota.

– Uczciwy, Wasza Królewska Mość?

– Uczciwy, tak. Uczciwy.

– Wasza Królewska Mość, moje zdanie nie jest warte...

– Pytam cię, co myślisz. – W tonie króla brzmi nuta zniecierpliwienia, a jego dłonie zacisnęły się w pięści na obu kolanach.

– Co myśłę, Wasza Królewska Mość?

– Tak. – Król mówi coraz bardziej podniesionym głosem i większość obecnych się kurczy, ale nie Wriothlesley. – Sądzisz, że Seymour jest uczciwy?

Wriothlesley cicho wzdycha, zaciskając usta i spoglądając na podłogę, jakby to nad nią głęboko się zastanawiał.

– Myślę, że jest uczciwy.

Król prycha i wzrusza ramionami. On też musiał usłyszeć, że Wriothlesley położył lekki nacisk na słowo „myślę”, budząc wątpliwości co do swojego oświadczenia, a jednocześnie odgrywając lojalnego dworzanina. Huicke, choć go nienawidzi, podziwia finezję jego gry.

Ale to nie jest gra; Wriothlesley ponownie próbuje usunąć Katarzynę i tym razem jego narzędziem jest Seymour.

DOT ZE SŁUŻĄCYMI SZYBKO pakuje rzeczy, układa suknie w kufrach, owija lustra w płachty, wpycha futra do atlasowych worków; nie zawiązuje ich, bo trzeba się śpieszyć. Nastąpiła zmiana planów. Królowa ma udać się na Boże Narodzenie do pałacu Greenwich, a król pojedzie jutro do Whitehall. Rano nie było czasu na rozpalenie ognia i w pokoju jest tak zimno, że widzą swoje oddechy.

Wcześniej zastała królową samą w komnacie, siedzącą w rogu łóżka. Katarzyna, z pustą twarzą, przesuwała w palcach sznur pereł z krzyżem matki, niczym różaniec. Wydawało się, że ledwie ją zauważyła, jakby była pogrążona w transie, i Dot spytała, czy coś ją trapi.

– Tak, Dot – potwierdziła Katarzyna. – Sądzę, że to początek końca. – Skóra jej twarzy była ściągnięta ze zmartwienia, a oczy szkliste i niespokojne. Zawsze bała się, że król ją odprawi, co wyznała kiedyś: „Dot, dopóki zechce mnie widzieć, wszystko będzie dobrze”. A teraz nie chce jej widzieć.

– Jeśli wolno powiedzieć, madame, sprawy często przyjmują taki obrót, jak w ogóle się tego nie spodziewamy. Proszę spojrzeć na mnie, w Newgate odchodziłam od zmysłów ze strachu, że spłonę na stosie, a oto jestem tutaj, cała i zdrowa.

– Niech ci Bóg błogosławi, Dot – rzekła Katarzyna, ale wcale nie wyglądała na uspokojoną.

– I nie ma tu książek. Wszystkie dawno zniknęły. Nic nie ma.

– Ach, jest coś, Dot. Nie książka. Nie powiem ci co, bo lepiej, żebyś nie wiedziała. I spójrz, jestem właściwie wygnana... – Szarpnęła perły z taką siłą, jakby zaraz miała je rozerwać. – Niedobrze. – I dodała jeszcze coś, co dla Dot było niejasne: – Kiedy przyjdzie co do czego, ratuj się. Ratuj się, jedź do Devonu i żyj szczęśliwie z Williamem.

Dot ubierała ją w milczeniu, nie wiedząc, co powiedzieć. Przez cały czas zastanawiała się, co takiego wydarzyło się w pałacu w czasie, gdy ona przebywała w Newgate, bo coś się wydarzyło, to pewne. Co takiego powiedział Elwyn? Że Wriothesley skrzywdził królową? Podczas ubierania Katarzyna stała jak kukiełka, apatycznie unosząc stopy, żeby wejść w spódnice, machinalnie odchylając ręce, by Dot mogła nasunąć jej i przywiązać rękawy. Sama wybrała dla niej strój. Jej pani, zatraconej we własnym świecie, nie interesowały suknie i czepki.

– Co mówią o tym damy? – zapytała wreszcie Katarzyna, przerywając ciszę.

– Większość twierdzi, że król źle się czuje i chce być sam.

– Większość? A inne?

– Powiadają, że król jest z ciebie niezadowolony.

– Jedną z nich, jak sądzą, jest Stanhope – syknęła Katarzyna.

– Nie. Wczoraj wieczorem wyjechała do Syonu.

– Szczur uciekający z tonącego okrętu. Więc kto?

– Tylko twoja siostra i Cat Brandon, i tylko z troski o ciebie.

– Przynajmniej im mogę zaufać – powiedziała Katarzyna z westchnieniem. – Pojedziesz do Devonu z Williamem. Obiecuj mi to, Dot... – Po chwili dodała: – Nie chcę mieć już niczego więcej na sumieniu.

Teraz Katarzyna siedzi w kącie z Huikiem; szepcze i gestykuje, a jej głowa powoli obraca się z boku na bok. Huicke ma zostać z królem, a ona nie jest tym zachwycona. Służące krzątają się i pakują rzeczy; Jane Błazen krąży w panice, wchodząc im w drogę. Nie lubi przeprowadzek. Czepek zsunął jej się do tyłu, odsłaniając łysą głowę – ktoś musiał ją ostrzyć, żeby pozbyć się gnid. Dot daje jej stos płacht i każe przykryć meble. Jane wydaje się szczęśliwsza, gdy ma coś do zrobienia.

Słychać brzęk uprzęży i krzyki chłopców stajennych, którzy na dziedzińcu przygotowują konie. Niektóre z młodszych służących są zaniepokojone niespodziewaną przeprowadzką do Greenwich, ale nie rozumieją, że coś jest nie w porządku, i nie czują tej ciężkiej atmosfery.

Kufry jeden po drugim są znoszone na dół i ładowane na czekające wozy. Dot jeszcze wraca, by sprawdzić, czy czegoś nie przeoczono – zagląda pod łóżka i za drzwi, ale znajduje tylko kłębki kurzu. Robi to z przyzwyczajenia, zapominając, że nie jest już służącą. William dołącza do niej. Będą podróżować oboje z królową.

Trzyma ją za rękę, gdy idą w dół po schodach. William przykłada palec do jej zmarszczonego czoła i masuje, żeby je wygładzić.

– Martwienie się w niczym nie pomoże, Dorothy Savage – szepcze. – A sprawy mogą przyjąć taki obrót...

– To właśnie jej powiedziałam.

– I taka jest prawda, Kropeczko. Nigdy bym nie pomyślał, że będziemy mogli się pobrać, a spójrz na nas.

Na dziedzińcu panuje przenikliwy ziąb. Już siedząc na kucu, Dot szczerze owija się peleryną i wciąga futrzane rękawiczki.

Katarzyna też jest gotowa i rusza w kierunku bramy, ale nagle wstrzymuje wierzchowca i mówi:

– Nie możemy zostawić tych biednych małych. – Przywołuje jednego z chłopców i każe mu przynieść zwierzęta.

Wszyscy czekają, aż chłopiec przyniesie Franciszka i Batszebę z szopy, gdzie kilka dni temu kazał je zamknąć król, bo był w złym humorze. Konie niecierpliwą się, parskają, grzebią kopytami i odrzucają łby. Zimno przenika przez ubrania. W końcu zjawia się chłopiec z klatką. Małe strasznie krzyczą, jakby czekała je egzekucja. Chłopiec stawia klatkę na wozie z małymi psami, które, zaniepokojone skrzeczeniem, zaczynają ujadać, więc przenosi małe gdzie indziej. Gdy w końcu mogą wyruszyć, posuwają się wolno jak kondukt żałobny. Szybko się rozdzielają:

jeźdźcy wyprzedzają wozy toczące się we własnym tempie. Zwykle płyną barką, ale rzeka miejscami zamarzła, więc przejadą lądem do Richmond i tam się przesiądą.

Królowa jedzie z przodu, z siostrą, lady Marią i koniuszym, a tuż za nimi ciągnie grupa dwórek, które w naturalny sposób zdają się trzymać hierarchii, choć dziś to nie ma znaczenia. Dot martwi się, że nic nie będzie gotowe, gdy się pojawią. Zazwyczaj jest wysyłana dzień wcześniej, po gońcach, aby przyszykować wszystko na przyjęcie królowej. I zwykle nie podróżują z tak powolnym wielkim tabor. Tym razem jednak wiadomość przyszła na ostatnią chwilę. Gońcy wyruszyli ledwie kilka godzin temu, żeby zapowiedzieć ich przybycie. Pośledni dworzanie podróżują z nimi, więc Bóg jeden wie, jaki będzie chaos, gdy dotrą do celu, bez przydzielonych pokoi i czekającej strawy.

Wjeżdżają na wzniesienie, z którego w pogodny dzień można podobno zobaczyć iglicę katedry Świętego Pawła. Dot nigdy jej stamtąd nie widziała i z pewnością dziś także nie zobaczy, bo wokół zalega gęsta mgła. Niebo jest białe i tak niskie, że trudno je oddzielić od ziemi. Wszystko pokryła warstwa szronu; drzewa i dachy stodół wyglądają jak obsypane kwieciami śliw, a wysoka trawa jeży się i połyskuje, jakby wyrosły na niej kryształy.

Przez wiele mil nie widać śladu życia, ani królika, ani nawet ptaka; jest tylko ich toczący się tabor, którego koniec niknie gdzieś w dali. Dot ma przy sobie Williama. Jej mąż nuci jakąś melodię, która miesza się ze stukotem kopyt o twardą ziemię. Konie rozgrzały się i wznoszą się nad nimi obłoki pary.

Kiedy przejeżdżają przez wioski – Long Ditton, Surbiton, Ham – ludzie stoją wzdłuż traktu: chcą zobaczyć królową i lady Marię. Musieli widzieć gońców; wieści mkną jak na skrzydłach, gdy dotyczą rodziny królewskiej, i wszyscy patrzą na Katarzynę, która z uśmiechem kiwa dłonią. Od czasu do czasu królowa zatrzymuje się i pochyła, by odebrać podarek – dzbanek miodu, pęczek suszonej lawendy, jabłko – albo ucałować policzki drżących dzieci, trzymanyh w górze przez matki. Nikt z nich nie ma pojęcia o jej zmartwieniach.

Te miejsca przypominają Dot jej wioskę. Nici, które łączą ją z rodzinnym domem, są tak cienkie, że nie utrzymałyby niczego. Chciała napisać list do mamy, by powiadomić ją, że wyszła za mąż, ale mama nie umie czytać i zna niewiele, którzy to potrafią, więc Dot w końcu nie napisała. Gdy Katarzyna dowiedziała się o tym, sama wysłała list do kogoś w Rye House, żeby przekazał wiadomość rodzinie Fowntenów. Od nich dotarły wieści, że wszyscy mają się dobrze; Mała Min wyszła za dawnego ucznia ojca, Hugh Parkera, a matka jest praczką w Rye House. Dot zastanawiała się, czy królowa miała swój udział w załatwieniu jej pracy.

W pałacu Richmond zasiadają do posiłku w wielkiej sali i grzeją przy ogniu zmarznięte dłonie i stopy, ale nie siedzą długo, bo dni są krótkie, a oni muszą dotrzeć do Greenwich przed zmrokiem. Barki odbijają od brzegu zaraz po załadowaniu i płyną w dół rzeki przez Londyn, mijając wszystkie królewskie pałace. Southwark jarzy się na tle ciemniejącego nieba na przeciwnym brzegu. Dot myśli o zrzędzeniach losu, które sprowadziły ją na tę barcę, na tę rzekę, i duma nad tym, co los ma dla nich wszystkich w zanadru.

Katarzyna siedzi obok niej, blada, otulona w futra, muskając palcami sakiewkę z krzyżem matki. Nigdy nie wydawała się tak krucha i Dot zdaje sobie sprawę, że mimo wszystkich sekretów, które zna, wiele spraw dotyczących królowej i dworu wykracza poza jej zrozumienie.

*Pałac Greenwich, Kent, styczeń 1547*

KATARZYNA STOI PRZY OKNIE I PATRZY, jak deszcz bębni o szybki, jedna kropla goni drugą, zlewają się w dole ołowianych ramek i znowu kroplami spływają po następnym szklanym rombie, łączą się z innymi i tworzą strumyczek. Ostatnie tygodnie były piekłem. Uśmiechała się podczas świąt Bożego Narodzenia – dwanaście dni wymuszonej wesołości – aż poczuła, że jej twarz jest jak sparaliżowana przez to udawanie. Towarzyszył jej książę Edward z siostrami – dziewczęta zupełnie nieświadome, tak przyzwyczajone, że są wypędzane przez ojca, iż nic nie wydawało im się niezwykle.

Obserwowała Marię, jej rozkwit, przywodzący na myśl przemianę poczwarki w motyla – Katarzyna lubi wierzyć, że to jej zasługa – i Elżbietę, która wyzywająco przechyla głowę, maskując bezbronność. Ta rodzina wydaje się krucha jak wenecki kryształ. Katarzyna odgrywa w niej swoją rolę, ale jest już chora od skrywania własnej słabości. Elżbieta to jej oczko w głowie. Matkuje jej, jest jej jedyną matką – nie licząc guwernantki, pani Astley, która skacze koło niej, niczego jej nie odmawia i obchodzi się z nią jak z jajkiem. Elżbieta już wyjechała do Hatfield, gdzie Astley może bez przeszkód roztaczać nad nią opiekuńcze skrzydła. Edward również tam pojechał. Biedny chłopczyk – już niedługo ciężar Anglii spocznie na jego dziewięcioletnich barkach. Pewnego dnia przyszedł płatnerz, by przymierzyć zbroję. Edward wyglądał w niej jak ołowiany żołnierz i aż serce jej się ścisnęło na myśl o tym, co go czeka.

– Matko, czy będę dobrym królem? – spytał ją.

– Będiesz, kochanie. Będiesz – zapewniła go, myśląc z obawą o tym, co się z nim stanie, jeśli jej przy nim zabraknie.

Pająk spuszcza się na swojej nici z ramy okna, powoli przebiera odnóżami, na pozór wisząc w powietrzu. Katarzyna ma wrażenie, że sama wisi na coraz cieńszej



nitce.

Nie jest już sobą, zrobiła coś, przy czym jej inne grzechy wydają się błahe. Tymczasem w górze rzeki jest Tower, z Surreyem, który dziś zostanie stracony. Myśli o nim, zastanawia się, czy pisze wiersze jak kiedyś, żeby oderwać umysł od tego, co go czeka. Wspomina, jak konkurował z Wyattem, by zaimponować dwórkom kwiecistymi słowami. Był jednym z najbliższych przyjaciół jej brata. A Will otrzymał rozkaz poprowadzenia procesu. Żart króla? A może sprawdzian lojalności Willa? Lubiła Surreya. Od chwili, gdy wyprawiono ją z Nonsuch, nie odstępowała jej przekonanie, że pójdzie za nim na szafot.

Gniew króla, później odmowa widzenia jej, plotki o nowej żonie... Co dalej? Przyjdą i zabiorą jej klejnoty, a następnie przeniosą ją do Tower; wytoczą proces, który będzie farsą, z oskarżeniem opartym na jednym spojrzeniu; będzie patrzeć z okna, jak prowadzą na śmierć biednego Tomasza, z góry skazanego na zgubę. Później sama, stojąc na szafocie, wygłosi przedśmiertną mowę, desperacko szukając choć krztyny odwagi, żeby nie upaść i nie okryć się hańbą. Nawet mała Katarzyna Howard poszła na śmierć z gracją. Zastanawia się, czy ona też by się na to zdobyła. Nie, nie zdobyłaby się... zdobędzie się, jeśli tak się zdarzy. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

Właśnie dlatego zrobiła to, co zrobiła.

Wstydzi się nawet modlić, bo wie, że Bóg nie wysłucha słów takiej grzesznicy. Jej grzech jest czarny jak smoła, jest ciemnością, która na nią napiera. Zawarła pakt z czymś bezbożnym i zostanie za to potępiona. Kiedy myśli o tym, co zrobiła dla Latimera, zastanawia się, czy to był początek, czy dopadł ją wtedy diabeł i od tamtego czasu szkolił, przygotowywał, powoli kształtował i uczył, jak pozbyć się męża i uważać to za akt miłosierdzia. Cieszy się jednak, że znalazła w sobie odwagę, bo zakończenie cierpień było dla Latimera błogosławieństwem.

Ale ten ostatni czyn nie jest aktem miłosierdzia, bez względu na to, przez jaki pryzmat na niego patrzy: jest aktem lęku, tak, lecz nie miłosierdzia. Są sposoby, by zabić i uniknąć topora – och, przemyślała je wszystkie, z nadzieją, że znajdzie taki, który ocali fragmenty jej rozbitej duszy. Bóg nie uważa za grzech zabijania na polu bitwy. Próbowwała sobie wyobrazić siebie jako wojownika, krzyżowca Nowej Religii, ale nic z tego. Nigdy nie miała odwagi, by umrzeć za swoje przekonania, ale szybkie płomienie stosu byłyby niczym w porównaniu z czekającym ją wiecznym potępieniem. I chociaż nie jest wojownikiem, a dwór to nie pole bitwy, król stał się jej wrogiem. A ona jego wrogiem, choć on nie będzie o tym wiedział.

Wciąż ma w pamięci cichą rozmowę z Huickiem tuż przed opuszczeniem Nonsuch – z biednym lojalnym Huickiem, którego pociągnęła za sobą do piekła. Pamięta, jak siedzieli z dala od dwórek, w pełnym przeciągów kącie, jego dłoń

w rękawiczce spoczywała lekko na jej rękawie. Strach dławił ją tak mocno, że ledwie mogła mówić.

– On mnie dopadnie, Huicke. Bo jego zazdrość jest o wiele większa niż rozum, większa nawet niż jego wiara.

– Nie, Kit, nie... – zaczął, ujmując jej ręce.

Pamięta miękkość jego giemzowych rękawiczek, delikatniejszych niż skóra dziecka, i pamięta swoją myśl o kostropatej skórze pod spodem, zaognionej, jakby jego ciało atakowało samo siebie.

– Nie pozwolę, żeby spotkał cię taki los – dokończył. – Zrobię wszystko, by temu zapobiec.

– Wszystko?

Rozmyślała nad tym całą noc, modląc się, czekając na znak od Boga, na pozwolenie. Nie doczekała się – Bóg milczał – ale wiedziała, że prędzej zgrzeszy, niż wstąpi na szafot. Miała dość nieustannego lepkiego strachu i konieczności odgadywania kaprysów króla, spełniania jego zachcianek, ciągłego pilnowania, co mówi, w obawie, że wymknie jej się coś, co ściągnie na nią kłopoty. W końcu zdradził ją nie język, lecz oczy: wciąż chodzi za nią tamta zaklęta w czasie chwila w komnatach króla, kiedy zatoneła w spojrzeniu Tomasza i ujawniła swój najtajniejszy świat.

Teraz już albo ona, albo Henryk.

– Wszystko, Kit. Mówię poważnie – zapewnił ją Huicke.

– On się mnie nie pozbędzie. Szybciej ja pozbędę się jego. – Te słowa zabrzmiały jak syczenie kota i wtedy naszała ją myśl, czy nie jest opętana, bo w duchu przeraziła się ich dźwiękiem i treścią.

– Obiecałem, że wszystko, Kit.

– Kataplazm.

Huicke skinął głową.

– Naparstnica, lulek, cykuta. Dodaj je wszystkie. Wiesz, co się stanie. – Chłód przeniknął ją do szpiku kości i wypełnił jej żyły lodem. – Tylko uważaj, by okład nie dotknął twojej skóry.

– Kit, wiesz, co to oznacza? – szepnął.

– Wiem. – Miała wrażenie, że przekroczyła niewidzialną linię, poza którą przestała być sobą, poza którą czynów nie można już mierzyć normalną skalą. Przestała być osobą, którą zawsze była. – On albo ja.

Chwyliła Huicke'a za nadgarstki, jakby kurczowo trzymała zerwane nici utraconej siebie.

– Dodawaj tylko trochę, by nie zmienić zapachu i żeby skutki były stopniowe.

Przeraziła ją łatwość, z jaką te słowa spłynęły z jej ust, i staranność, z jaką wszystko przemyślała, łącznie z chroniącymi go rękawiczkami. I świadomość, że

nikt poza Huickiem nie zrobiłby dla niej tej potwornej rzeczy.

To właśnie budzi w niej teraz grozę – zaplanowana natura tego czynu i to, że tak łatwo odwróciła się od Boga. Nie zna już siebie, ledwie może spojrzeć w oczy nawet swoim najbliższym dwórkom; woli w samotności dumać nad tym, co wprawiała w ruch, i zmagać się ze swoimi demonami, które już nigdy jej nie opuszczą. Napływające wieści o pogarszającym się zdrowiu króla trzepoczą jej w głowie niczym nietoperze, targają i drą jej duszę, opróżniając ją z resztek dobroci. Z taką duszą będzie musiała żyć wiecznie.

Małpy siedzą przy ogniu. Franciszek spokojnie iska Batszebę, cmokając i mrużąc do niej w ich małpim języku. Jest to gest tak tkliwy, że Katarzyna czuje, jak łzy napływają jej do oczu, i przepełnia ją miłość, którą wciąż darzy najdroższego Tomasza, szarpiąc jej serce niczym haczyk na ryby. Franciszek głaska małpią żonę swoją dziwną ręką, bardzo podobną do ludzkiej, ale dłuższą, stworzoną do czepiania się gałęzi. Na widok tej pary – Batszeba ćwierka z rozkoszy, mąż drapie ją długim palcem za kosmatym uchem – wzbiera w niej fala tęsknoty.

I znów to poczuła, w momencie, kiedy spotkały się ich oczy, w momencie, który rozciągnął się w małe życie. Król miał zapewne rację, bo ta chwila była ostateczną zdradą: w gruncie rzeczy Tomasz mógł wtedy być jej kochankiem, a król rogaczem, gdyż zespolenie ich spojrzeń było o wiele bardziej intymne niż każda noc, którą spędziła w królewskiej łóżnicy. Myśl równa się uczynkowi, powiedzą niektórzy duchowni. Tęsknota za czułością skręca jej trzewia, choćby za chwilą czułości, jak ta małpia chwila, której była świadkiem. I znalazła się w bezbożnym miejscu, jak te małe zwierzaki.

Zastanawia się, gdzie jest Tomasz, boi się o niego, ma nadzieję, że umknął z dworu. A może nie, bo wtedy wydawałby się winny. Powinien zostać tam, pod nosem króla, dowodząc niewinności, ponieważ nie jest winny, a jego brat Hertford wznosi się teraz tak szybko, że z pewnością pociągnie go za sobą w górę. Nie można potępiać Tomasza za to, że rozbudził taką miłość, że ma takie niebieskie oczy. A jednak można. Ona to wie. Skazała na potępienie siebie i Huicke'a.

Lecz tego, co rozpoczęła, nie da się zatrzymać. Walczy o oddech, bo nagle robi jej się słabo, i trzymając się ściany, by nie upaść, podchodzi do sekretarzyka. Odkorkowuje kałamarz; korek spada na podłogę i zostawia czarny ślad na podłodze. Bierze pióro, zanurza je i zaczyna pisać; czubek skrobie po papierze. Musi nakazać Huicke'owi, żeby przestał. List jest krótki i niejasny, aby nie wzbudzić podejrzeń. *To, o czym rozmawialiśmy, nie jest już konieczne.* Mokry atrament posypuje piaskiem, strząsa go, składa gruby papier, spuszcza dużą kroplę czerwonego wosku i odciska swoją pieczęć – pieczęć królowej.

Wzywa jednego z dworzan i list w mgnieniu oka rusza w drogę. Katarzyna wie jednak, że nie można cofnąć sekretnych trucicielskich poczynań z ostatnich tygodni.

PRZYCHODZI PISMO Z WESTMINSTERU. TO wezwanie. Katarzyna ma przygotować się do wyjazdu tylko z kilkoma dwórkami. Paraliżuje ją strach. Stało się – to początek jej podróży do Tower. Dwórki znów się pakują, a później wsiadają na barkę. Płyną w stronę Londynu w przenikliwym, zacinającym deszczu ze śniegiem, walcząc z wiatrem, ledwie posuwając się naprzód w przeciwnym prądzie. Podróż trwa wieki. Czas rządzi się własnymi prawami, myśli Katarzyna, nie mogąc wymazać wspomnienia chwili, kiedy wkroczyła w barwinkowy świat oczu Tomasza, i tego, jak ta chwila rozciągnęła się w tysiące innych błogich.

Wyłania się Tower, żelazna szarość na tle ponurego nieba. Katarzyna nie może patrzeć na bezkrwistą makabryczną głowę Surreya na moście. Słyszy westchnienie Cat Brandon i jej zdławiony szloch. Zapomniała, że ci dwoje kiedyś byli blisko. Cat zwierzała jej się, opowiadała o wierszach, które dla niej napisał. Ale było to wieki temu. Tower jest już nad nimi. Katarzyna przygotowuje się wewnątrz, ale barka dalej walczy z nurtem, płynąc w górę rzeki. Lecz ona nie pozwala sobie wierzyć, że to oznacza wstrzymanie wyroku.

Dobijają do schodów Westminsteru. Nie czeka na nią oddział gwardzistów potrząsających halabardami. Idą przez dziedziniec, smagane przenikliwym wiatrem; wstęgi ich sukni fruwały, a czepki łopoczą jak flagi, zagłuszając szelest spódnic i miękkie stąpanie stóp po wilgotnych kamieniach, gdy śpieszą po schodach do ciepłej sali. Zebrało się tam kilka osób, posępna gromadka, która kłania się, gdy przechodzą. Nie ma muzyki ani gier, wszystko jest ciche i nieruchome jak w oku burzy.

W komnatach królowej ogień płonie w kominku i palą się świece, bo choć pora jeszcze wczesna, jest już ciemno. Katarzyna siedzi z Rigiem skulonym na jej kolanach, nie będąc w stanie skupić się na niczym, podczas gdy Dot i służące zajmują się układaniem rzeczy. Zza drzwi dobiega hałas: ktoś zapowiada Hertforda. Nadszedł czas, myśli Katarzyna, przybyli po mnie. Pamięta, jak Hertford przyszedł zabrać ją do Henryka w dniu, kiedy dowiedziała się, że ma go poślubić; nie była to propozycja, był to rozkaz owinięty w aksamit.

Zaskoczyła ją wówczas czułość króla, gdy razem oglądali jego *Księgę godzin*, gdy pokazywał jej nagryzłone słowa ojca i zasuszony pierwiosnek. Dostrzegła w nim przebłysk męczyzny, jakim był kiedyś, ale ostatnimi czasy widuje tylko tego drugiego, jego przerażającego sobowtóra. Słyszy smutny brzęk pięknych kieliszków rozbijających się o kominek, widzi lecące kawałki kryształu, które migoczą w świetle jak iskry.

Hertford jest sam, nie licząc pazia, który niesie za nim jego rzeczy. Opada na kolano i zamaszystym ruchem zdejmując czapkę, nie patrząc wprost na królową. Ma w sobie coś z brata; zawsze to widziała. To sprawia, że szczypią ją oczy.

– Hertford, nie trzeba – mówi Katarzyna. – Chodź i usiądź ze mną. Jakie wieści przynosisz?

Sama jest zaskoczona spokojnym brzmieniem swojego głosu, jakby nic się nie wydarzyło, jakby była tą samą Katarzyną, tą samą królową co zawsze, a nie zmrożoną do szpiku kości kobietą, na każdy dźwięk podskakującą ze strachu.

Hertford siada na ławce obok niej.

– Zostało mu niewiele czasu – mruczy, patrząc w podłogę.

Katarzyna chce go zapytać ile, ale ma ściśnięte gardło i nie może wykrztusić słowa. Hertford uznaje, że dławią ją łzy, a nie poczucie winy, które zapiera jej oddech.

– To kwestia dni.

Wreszcie odzyskuje mowę.

– On cię wysłał? – pyta słabym głosem.

Hertford kiwa głową.

– Uznał, że powinnaś wiedzieć. Chce, żebyś rano przyszła do niego.

Zalewa ją ciepła fala ulgi, lecz nie da się przepędzić tego chłodu z kości. Może już nie grozi jej gniew króla, ale gniew Boży jest znacznie potężniejszy.

HUICKE NOSI LIST KATARZYNY schowany pod koszulą, gdzie ociera i podrażnia mu skórę. Pokój jest duszny i cuchnie śmiercią. Chciałby się zobaczyć z Katarzyną – a przynajmniej dać jej znać, że Bóg sam odbiera królowi życie, bez ich pomocy. Wie, że przybyła do Whitehall, że wysłano Hertforda, by ją powitał, ale nie śmie bez pozwolenia odejść od królewskiego łóża. Doktor Owen i doktor Wendy stoją z nachylnymi do siebie głowami. Rozważają, czy ponownie nakłuć ranę króla, czy ją kauteryzować. Ignorują Huicke'a. Nie jest jednym z nich, nigdy nie był. Jest lekarzem królowej i obawiają się, że uszczknie coś z tego, co im się należy, bo król go faworyzuje i woli jego nowatorskie specyfiki. Wszyscy krążą, manewrują, ustawiają się na odpowiednich pozycjach. Nikt nie ośmiela się powiedzieć królowi, że umiera, bo mówienie o śmierci króla jest zdradą. Huicke cieszy się, że nie jest wystarczająco ważny, by miał się podjąć takiego zadania.

Lord Denny pochyla się nad wielkim rżącym Henrykiem, niemal dotykając głową poduszki, i szepcze do niego, po czym uważnie słucha zgrzytliwych odpowiedzi. To potulny Denny w końcu zebrał się na odwagę, by powiadomić króla, że musi przygotować się na śmierć. Huicke, który nigdy nie miał dobrego mniemania o tym człowieku, teraz go podziwia. Wriothesley i Paget sporządzają notatki. Omawiają testament – nowy testament. Hieny zagrały na pogardzie króla

dla kobiet, cicho sugerując to i tamto. Urywki tego, co zostało powiedziane, brzęczą w pokoju jak muchy: słabość moralna, brak konsekwencji, zaabsorbowanie cielesnością.

W końcu jednak to słowa Wriothsleya przeważają szalę.

– Niewiasty często mają błędne mniemanie o małżeństwie.

Król klepie wielką dłonią w prześcieradło i skrzeczy:

– Stworzymy radę, która będzie rządzić krajem, dopóki książę nie osiągnie pełnoletności.

Tak oto w końcu z łatwością odebrali regencję Katarzynie i podsunęli nazwiska członków rady, która najwyraźniej będzie składać się z nich i ich zauszników. Huicke cieszy się, że do rady wejdzie Will Herbert – jest szwagrem Katarzyny i stanie w jej obronie – chociaż zabraknie w niej Willa Parra. Wszyscy błądzą po morzu bez kogoś, kto wskazałby im kierunek, więc w naturalny sposób zwracają się do Hertforda, który emanuje pewnością siebie.

Być może osiągnął perfekcję w czasie swojego rozkwitu, ale nadal nie zawsze trafnie ocenia sytuację. Huicke obserwował go, gdy podszedł do łóżka króla, ukląkł i zapytał: „A Tomasz, mój brat Tomasz, czy zasiądzie w radzie, Wasza Królewska Wysokość?”.

Król wydał z siebie przepotężny ryk – „NIE!” – najgłośniejsze słowo, jakie wypowiedział od czasu przybycia do Whitehall. A więc to nie były urojenia Katarzyny, pomyślał Huicke. Zadumał się nad ironią losu, że król w końcu został pokonany przez własną zazdrość: ten jeden krzyk wywołał straszliwy atak kaszlu, który o mało go nie zabił – jak wszyscy się obawiali – i niemal odebrał mu mowę.

Huicke odmierza i podaje dawkę opium, patrząc, jak czarne oczy tracą twardość i odpływają. Hertford wraca i mówi, że królowa ma się dobrze i czeka na wezwanie, ale król jest już gdzie indziej, poza granicą rozumienia. Owen i Wendy gdaczą, wlewając tynktury do rozchylnych ust. Hieny zajmują pozycje. Wezwany arcybiskup Cranmer wspina się na łóżko i klęka obok wielkiego cielska króla. Kciukiem rozmazuje olej na jego czole, chwytając go za rękę i cicho mamrocze modlitwę, gdy z króla wyciekają ostatnie krople życia.

Wydaje się, jakby same kamienie pałacu odetchnęły z ulgą.

**KATARZYNA CZEKA NA WEZWANIE.** To jednak nie nadchodzi. Czas mija. Ma przed sobą obiad, nie może jednak zmusić się do jedzenia. Jej damy są ciche, mówią ledwie szeptem i wiercą się na krzesłach. Wszystkie czekają w stanie zawieszenia. Żelazny zegar leniwie wybija godziny. Zasiadają do kolacji. Wciąż nic. Udają się na spoczynek, lecz ona nie może zasnąć. Myśli o testamencie, o swojej regencji; zastanawia się, czy ma na to siłę. Będzie musiała zacieśnić więzi z Hertfordem. W jej głowie tłuką się pytania. Czy Henrykowi się poprawiło?

Czy jej wybaczył? A co z trucizną? Gdzie Tomasz? Wsłuchuje się w bębnienie deszczu i patrzy, jak świt zagląda przez szczelinę w kotarach łóżka, jak sine poranne niebo walczy, by zyskać przewagę nad ciemnością.

Wstaje pierwsza i idzie galerią. Pomijając nieustanny szum deszczu, w pałacu panuje grobowa cisza, jakby zaraza zabrała wszystkich w ciągu jednej nocy. Katarzyna siada we wnęce okiennej i owija się szalem dla ochrony przed przeciągami. Spogląda na swoje ręce; jej paznokcie są obgryzione do żywego. Kiedy zaczęła obgryzać paznokcie? Z wnętrza ma widok na drzwi do apartamentów króla i dwóch żołnierzy w szkarłatnych barwach. Zdają się udawać, że jej tam nie ma, o ile w ogóle ją widzą. Jej myśli błędzą, zastanawia się, czy nie jest już duchem.

Dworzanie i szambelanowie króla zaczynają gromadzić się pod drzwiami i nadciąga parada służących ze śniadaniem. Strażnicy otwierają drzwi i Katarzyna widzi łasicowatą twarz Wriothesleya. Nikt nie wchodzi, nawet służący królowi dworzanie, i Wriothesley osobiście odbiera talerze przez uchylone drzwi. Intryguje ją to, bo przecież wykonywanie tak skromnego zadania jest do niego niepodobne. Galerią nadchodzi dworzanie króla i na jej widok przystaje z głębokim ukłonem.

– Madame – mówi, całując ją w rękę.

Nie komentuje tego, że siedzi sama, schowana w niszy okiennej; takie zachowanie nie przystoi królowej.

– Dlaczego nie wpuszczają dworzan, sir Johnie?

– Nikt nie został przyjęty od czterech dni, z wyjątkiem najbliższych radnych i królewskich lekarzy.

– A Huicke?

– Jest tam.

– Mój brat?

– Nie ma go, madame.

A więc cokolwiek się tam dzieje, Parrowie zostali zepchnięci na bok.

„A Tomasz Seymour?”, chce zapytać.

– Dziękuję, sir Johnie – mówi, jakby nie działo się nic nadzwyczajnego.

Widząc, że nie jest pewien, jak się zachować – bo królowa, która o wszystkim powinna wiedzieć pierwsza, nic nie wie – Katarzyna każe mu odejść. Zastanawia się, czy Huicke otrzymał jej list, i pokłada w Bogu nadzieję, że tak.

W jej pokojach dwórki wstały i przygotowują się do śniadania. Katarzyna zasiada na swoim miejscu. Rozmawiają o deszczu, o tym, kto wyprowadzi psy do ogrodów i czy trzeba przynieść więcej polan – o czymkolwiek, byle nie o tym, o czym myślą. Gdy z półmisków zostają zdjęte pokrywy, małpy zaczynają piszczeć, domagając się poczęstunku. Dot daje im garść owoców. Katarzyna ma zbyt sucho w ustach, żeby jeść, ale zmusza się do przełknięcia kilku łyżek zupy.

W południe zostaje zapowiedziany Will Herbert – nareszcie jakieś wiadomości.

Siostra królowej, Anna, podbiega do męża.

– Co się dzieje, Will?

To pytanie jest na ustach ich wszystkich.

– Żadnych wieści – oznajmia Will Herbert, klękając przed Katarzyną. – Ale kazano mi przekazać, że król jest niedysponowany i nie możesz, madame, złożyć mu wizyty. – Spuszcza wzrok.

Dlaczego na nią nie spojrzysz?

– Will? – mówi Katarzyna. – Will, to ja. Wstań z podłogi i mów do mnie jak krewny, którym jesteś.

Mężczyzna podnosi się i staje niezgrabnie przed nią.

– Wybacz. – Skubie brzeg dubletu, wciąż nie patrząc jej w oczy.

Katarzyna chowa obgryzione paznokcie za plecami.

– Idź, wróć do niego.

Kiedy Herbert zmierza do wyjścia, Anna przywiera do jego ramienia, on jednak odtrąca ją ze słowami:

– Nic nie mogę powiedzieć.

Katarzyna czuje się pusta; obawia się, że postrada zmysły, żyjąc dłużej w niewiedzy. Po niekończących się godzinach wkłada najlepszą suknię, zabiera siostrę i Cat Brandon i idzie do apartamentów króla, ale strażnicy odmawiają jej wstępu. Wriothlesley wychodzi z udawanym uśmiechem na twarzy, załamując ręce, suche i pokryte żyłkami niczym martwe liście.

– Przykro mi – mówi.

Chce na niego wrzasnąć, złapać go za kołnierz i potrząsnąć, wydobyć z niego prawdę.

Może jednak tylko wrócić do siebie i czekać.

MIJAJĄ KOLEJNE DWA DNI. KATARZYNA już niemal odchodzi od zmysłów, gdy przybywa Hertford z wieścią o śmierci króla.

– Dobry Boże... – To jedyne, co jest ona w stanie powiedzieć.

Kilka dwórek wzdycha cicho. Hertford ma na śnieżnobiałym dublecie maleńką plamkę sosu lub czegoś podobnego. Katarzyna wpatruje się w nią tępo.

– Nie cierpiał zbytnio.

Katarzyna kiwa głową. Zaniemówiła, może myśleć tylko o zatrutym kataplazmie, o tym, że równie dobrze mogła otruć siebie, że nigdy nie uwolni się od poczucia winy. W końcu jakoś scala dryfujące części swego umysłu.

– Co z testamentem? – pyta.



– Jest nowy – mówi Hertford oficjalnym tonem, jakby wygłaszał publiczne oświadczenie. – Rada przejmie rządu... – Waha się. – Mam być protektorem króla. Przez chwilę Katarzyna jest zdezorientowana.

– Króla – powtarza i dopiero wtedy uświadamia sobie, że chodzi mu o Edwarda, że Henryka już nie ma. – Edwarda.

– Króla Edwarda Szóstego. – Hertford ma rozbiegane oczy.

Czy czuje się winny, że przejął jej regencję? Katarzyna analizuje swoje uczucia, nie znajdując niczego poza wewnętrznym rozdarcie. Patrzy na Hertforda, a ten milczy, jakby jemu też zabrakło słów. Zastanawia się, czy ma przed nim dygnąć, bo zmienił się porządek rzeczy... Ale nadal jest królową.

– Twoje wdowie dożywocie jest hojne – mówi w końcu Hertford. – Jak przystało na królową wdowę. – Wymienia nazwy posiadłości, które ma odziedziczyć, a jedną z nich jest Old Manor w Chelsea.

– Chelsea?

– Tak, król... – Hertford zająkuje się i poprawia: – Stary król uważał, że lubisz to miejsce.

To prawda; Chelsea jest ładną posiadłością nad rzeką. Katarzyna może tam sobie siebie wyobrazić.

– Lady Elżbieta dołączy do twoich domowników – dodaje Hertford.

– Jestem z tego rada. – Katarzyna oswaja się z myślą o szczęśliwym życiu z Elżbietą we własnym domu, z dala od dworskich intryg. Prostuje się. – Możesz odejść.

Ale już nie wkłada serca w tę grę i jej głosowi brakuje władczości. Mimo to Hertford kłania się i odwraca ku drzwiom.

Katarzyna zatrzymuje go.

– Chciałabym go zobaczyć.

CZEKAJĄC, AŻ PRZYNIOSĄ JEJ czarną adamaszkową suknię, Katarzyna przyjmuje Huicke'a. Odprawia wszystkich prócz Dot, która pakuje klejnoty królowej – będą wysłane do Tower na przechowanie. Dopóki sytuacja się nie wyklaruje i Edward nie zostanie koronowany, nikt nie może być pewien, co się wydarzy.

– Nigdy twój widok nie sprawił mi większej radości – mówi Katarzyna, otwierając ramiona, by go objąć.

Dobrze jest czuć przy sobie czyjeś ciało; nikt nie dotykał jej od tygodni, z wyjątkiem Dot pomagającej jej przy ubieraniu. Wszyscy trzymali się od niej z daleka, nawet siostra.

– A mnie twój. – Huicke wsuwa jej w rękę zwitek papieru. – Nie było konieczne.

Katarzyna patrzy na kartkę ze złamaną pieczęcią.

To jej list.

– Czyli...

– Nie zrobiłem tego, o co prosiłaś... kataplazm.

– Huicke... – Wzdycha. – Dzięki za ciebie Bogu, mój drogi.

– W Nonsuch czułem, że odchodzisz od zmysłów ze strachu i nie wiesz, o co prosisz.

– Znasz mnie lepiej niż ja siebie. – Katarzyna zaczyna się śmiać. Sądziła, że zapomniała już, jak to się robi. – Czasami zastanawiam się, czy nie jesteś aniołem. – Nie zdawała sobie sprawy, jak wielki był jej strach, aż do chwili, gdy przeminął, i teraz jej ciało wydaje się lekkie jak powietrze. Z ulgi aż kręci jej się w głowie. – Przynajmniej ty nie będziesz potępiony.

– Ani ty, Kit. Masz dobre serce. Bóg o tym wie.

Chciałaby, żeby taka była prawda, ale wciąż czuje nad sobą sąd Boży; to sprawia, że dostaje gęsiej skórki.

– Od śmierci króla minęły trzy dni – mówi Huicke ściszone głosem.

– Dobry Boże – szepcze. – A ja traciłam rozum...

– Nie wolno nam było wychodzić z jego komnat i nikogo tam nie wpuszczano.

– Dlaczego?

– Chcieli mieć czas na spory o nowy testament. Dzielenie władzy... planowanie. – Obejmuje jej ramiona. – Wiesz, że nie będziesz regentką.

– Wiem, Huicke. Hertford miał przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby osobiście mi o tym powiedzieć. I chyba jeszcze nigdy z niczego nie byłam równie zadowolona.

Rozlega się delikatne pukanie do drzwi. To Lizzie Tyrwhitt z czarną suknią. Katarzyna wkłada ją na tę spodnią. Dot i Lizzie mocno ściągają tasiemki, jedna po jednej stronie, druga po drugiej.

– Chodź. – Katarzyna ujmuje obleczoną w rękawiczkę dłoń Huicke'a. – Zabierz mnie do niego.

W KOMNACIE WISI MGŁA KADZIDŁA. GDY Katarzyna wchodzi, wszyscy padają na kolana: Hertford, Denny, Paget, Wriothesley, arcybiskup. Przyzwyczajenie czy uprzejmość, zastanawia się, niemal wbrew sobie wypatrując Tomasza. Nie ma go tam. Podchodzi do łoża. Henryk został odziany w najbardziej wyszukany strój: podbite futrem fioletowe aksamity, zdobione złotą nicią i klejnotami. Jego obrzmiała twarz straciła kształt, wskutek czego wydaje się nieznamna, i Katarzyna przez chwilę myśli, że to wcale nie jest jej mąż, tylko jakiś oszust. Później spogląda na jego tłuste ręce, splecione razem na ogromnym brzuchu, i pod mgłą kadzidła wyczuwa odór gangreny z wrzodu. Klęka i zamyka

oczy, ale brakuje jej słów; nie potrafi ułożyć modlitwy, nie wie, co powiedzieć Bogu. Przywołuje arcybiskupa.

– Chciałabym, abyśmy pomodlili się razem – szepcze.

Arcybiskup z lekkim uśmiechem klęka obok niej i zaczyna:

– Ojcze nasz...

Katarzyna unosi rękę, żeby go powstrzymać.

– Po łacinie. Chciałby, żeby...

Zbiera się już do odejścia, gdy wprowadzają małego króla Edwarda. Jest ubrany w gronostaje i stoi na rozstawionych nogach, podparty pod boki, zupełnie jak ojciec. Katarzyna opada przed nim na kolana.

Hertford z aprobatą kiwa głową, jak marionetkarz zadowolony ze swojego występu.

– Wasza Królewska Mość – odzywa się Katarzyna. – Racz przyjąć wyrazy płynącego z głębi serca współczucia.

– Możesz wstać, matko – mówi Edward.

Ma jeszcze dziecięcy głos i zasmuca ją myśl o tym poważnym chłopcu i kolosalnym ciężarze jego przyszłości. Katarzyna stoi, uśmiechając się, ale jego ściągnięta twarz pozostaje nieruchoma. Edward kiwa głową i idzie dalej, z Hertfordem u boku.

A ona uświadamia sobie, że go straciła.

*Zamek Windsor, Berkshire, luty 1547*

KATARZYNA PATRZY NA OTOCZONE przez żałobników kołyszące się marylki, ozdobione świecami, okryte błękitnym aksamitem i złotogłowiem. Na marach spoczywa odziana w czerwień, ukoronowana złotem podobizna króla; wygląda jak śpiący Henryk, jest bardziej podobna do niego niż jego zwłoki. Na ten widok serce podchodzi jej do gardła. Siedząc w galerii królowej, czuje się jak ptak, rada, że nikt z wyjątkiem towarzyszącej jej siostry nie widzi jej suchych oczu. Nie ma w sobie ani odrobiny smutku, a kiedy klęka do modlitwy, modli się nie za duszę męża, ale za własną, błagając Boga o przebaczenie – wszystkie grzechy zebrały się wokół niej niczym burzowa chmura.

Wyglądza ciemnoniebieski aksamit sukni, wychyla się i patrzy. Widzi Tomasza w podszytej atramentowym sobolem czarnej aksamitnej szacie, w czerni głębszej nawet niż czerń stroju jego brata. Pomimo żałobnego stroju promienieje blaskiem, jakby otaczała go aureola świętego. Zerka ku niej z przelotnym błyskiem uśmiechu i subtelnie porusza palcami, jakby dyskretnie odpędzał muchę. Katarzynę przepętnia oczekiwanie.

Rozmyśla o przygotowywanym dla niej dworze w Chelsea – jej własnej przystani. Po trzech małżeństwach wreszcie będzie miała okazję być sobie panią, przed nikim nie odpowiadać, co wydaje się dziwne, obce. Ta myśl przenika ją całą.

Chór intonuje *Te Deum*, dźwięk się wznosi, ale nie tak, jak powinien; tylko chłopięcy sopran osiąga najwyższe tony i jest w tym coś nieodpowiedniego, jakiś dysonans. Katarzyna zastanawia się, czy tylko ona to słyszy, zastanawia się, czy stan jej duszy uczynił ją niezdolną docenić coś naprawdę świętego. Naszyjnik ciąży jej na szyi. Jest najbrzydszy ze wszystkich, choć pewnie najcenniejszy; szlachetne kamienie tłoczą się, jakby walczyły o miejsce. Po nabożeństwie dołączy do reszty klejnotów w Tower.

Z roztargnieniem dotyka woreczka u pasa, zapominając, że krzyż matki omyłkowo znalazł się w szkatule z klejnotami, które zostały oddane do Tower na przechowanie. Bez niego jej palce wydają się zagubione. Nadal jest królową – a przynajmniej królową wdową – i będzie nią, dopóki mały Edward nie znajdzie żony, więc wedle prawa wszystkie te klejnoty należą do niej. Ale ponieważ Hertford przechwycił stery Anglii – nazywa siebie lordem protektorem i przyjął tytuł księcia Somerset – może być trudno cokolwiek od niego uzyskać. Stanhope jako księżna i żona lorda protektora będzie dość bliska rangą królowej, więc stanie się nie do zniesienia. Z rozkoszą położy ręce na niektórych z tych monstrualnych klejnotów.

Tytuły są rozdawane jak słodycze w Boże Narodzenie. Tomasz zostanie baronem Sudeley i lordem admirałem. Katarzyna zastanawia się, czy jest zły, że jego brat będzie księciem, a on tylko baronem. Najpewniej tak. Spogląda na niego, lecz widzi tylko górną część czapki. Dziś pióro jest czarne, ale wydaje się żywe jak zawsze. Will jest w pobliżu, ubrany na granatowo, tak jak ona, i od czasu do czasu spogląda w górę na siostry. Wstrząsnęła nim śmierć Surreya, był zrozpaczony, że musiał uczestniczyć w procesie. Był również zły z powodu testamentu króla i tego, że nie przyznano mu stanowiska w radzie. Zapewne pysznił się, fantazjując, że siostra zostanie regentką i będzie dzierżyć całą władzę. Podobno otrzyma tytuł markiza Northampton, co niewątpliwie stanowi jakąś pociechę. Będzie jednym z zaledwie dwóch markizów w kraju – a to powinno coś dla niego znaczyć.

Will nigdy tak naprawdę nie myślał o jej szczęściu; nie przez brak życzliwości – po prostu nie powstało mu w głowie, że szczęście może wyrastać z czegokolwiek innego niż z posiadania wpływów. Katarzyna patrzy, jak szepcze coś do Tomasza, a ten smukłą dłonią klepie go po ramieniu. Zastanawia się, czy ambicje Willa staną się przyczyną jego upadku, czy jest Ikarem. Na dworze takich nie brakuje. Tak czy inaczej, na razie z pewnością jest zadowolony, że uzyska

długo oczekiwany rozwód. Katarzyna zakłada, że do niego dojdzie, skoro król już nie stoi na przeszkodzie. I Will ma nowy tytuł.

Czuje, że wszystkie te piękne stroje, platery, płótna, klejnoty i inne rzeczy, które wspierały jej pozycję, niewiele dla niej znaczą. Sądzi, że w Chelsea do szczęścia wystarczy jej kilka porządnych sukni, książki i matczyzny krzyż. Cenni są tylko ludzie.

Podczas kazania Cranmera przebiega w myślach osoby, które zabierze ze sobą – Elżbieta, Dot, Anna, Cat, Lizzie Tyrwhitt – wszyscy będą blisko, nawet ci, którzy nie będą tam mieszkać, bo Chelsea leży tylko kawałek w górę rzeki od Londynu. Sprowadzi Williama Savage'a i drogiego Huicke'a. Im dłużej się nad tym zastanawia, tym bardziej rajską wydaje jej się przyszłość, i myśli, że może Bóg jednak jej wybaczył, skoro umieścił to wszystko na jej drodze.

Ściska dłoń siostry i wymieniają uśmiechy. Anna znów jest brzemienna i roztacza blask jak idealnie dojrzałe jabłko. Katarzyna bada swoje serce, szukając znajomego ukłucia zazdrości, ale niczego takiego nie znajduje. Pogodziła się już z tym, że sama nie wyda owoców.

Musi zadowolić się tymi, które spadły obok niej – i jednym z nich jest osierocona Elżbieta.

# 12



*Old Manor, Chelsea, marzec 1547*

KATARZYNA SIEDZI Z ELŻBIETĄ W SALI reprezentacyjnej w Chelsea. Przeglądają jeden z sonetów Surreya, przekład z Petrarki, i porównują go z wersją Thomasa Wyatta.

– Widzisz, Elżbieto, jak Wyatt wykorzystał schemat rymów Petrarki, a Surrey nie? Pomyśl, jak wpływa to na znaczenie.

– Wyatt użył zupełnie nowej metafory. Spójrz... – Elżbieta mówi szybko, jakby z obawy, że pomysły wylecą jej z głowy. – Popatrz – wskazuje miejsce na stronie – *...tam staje obozem, rozpościerając swój sztandar i w polu z nim, by żyć i umrzeć*. Przedstawia miłość jako wojnę.

Katarzyna nieodmiennie podziwia wybitną inteligencję dziewczynki. Elżbieta ma dopiero trzynaście lat, a już lepiej niż większość rozumie subtelności tłumaczenia. Dziś jednak Katarzyna nie może się w pełni skupić, ponieważ do Chelsea przyjeżdża jej brat, a wraz z nim Tomasz Seymour. Wyobraża sobie barkę Seymoura płynącą w górę rzeki.

– Tak, Elżbieto. I zobacz, co zrobił Surrey.

– Zmienił schemat rymowania, ale jego przekład jest wierniejszy oryginałowi.

Wyobraża sobie miarowy ruch wiosł z garniających wodę, rytmiczny oddech wioślarzy: ciągnij i pchaj. Przychodzi jej na myśl, że to, co teraz czuje, niewiele różni się od strachu, jaki przeżywała nie tak dawno temu; jest dotkliwie świadoma swojego ciała, niemal czuje krew pompowaną przez serce w najdalsze zakątki. Nie spotkała się dotąd z Tomaszem, widywała go tylko publicznie. Spogląda ku oknu; wydaje jej się, że słyszy stukot wiosł, plusk wody.

– Która godzina? – pyta siostrę.

Anna wraz z Dot, Lizzie Tyrwhitt i Mary Odell, najnowszą z dwórek Katarzyny, haftuje jedną tkaninę. To baldachim dla nowego króla.

– Co najmniej jedenasta.

Katarzyna wstaje i podchodzi do okna. Dostrzega w dali barękę i po chwili rozpoznaje połączone skrzydła na chorałwi. Przełyka ślinę, oddycha głęboko, po czym odwraca się do Elżbiety.

– Wystarczy na dzisiaj – rzuca.

Mówi to takim tonem, jakby nic się nie zmieniło, jakby nie miała serca w gardle. Robi wszystko, co może, żeby nie pobiec do nadrzecznych schodów. Pomaga Elżbiecie złożyć książki i wybrać wiersz, którym zajmą się jutro. Gdy go wskazuje, jej palec drży.

Zda się, że mijają całe wieki, zanim w końcu jeden z dworzan puka do drzwi i anonsuje gości.

– Markiz Northampton i baron Sudeley, lord wysoki admirał floty.

Wchodzą, obaj wystrojeni. Will w zielonym brokacie i gronostajach, które wolno mu teraz nosić jako markizowi, a Tomasz w granatowym aksamicie z rozcięciami, z których wyziera złoty jedwab.

– Markizie – mówi Katarzyna do Willa, uśmiechając się kąpiąco, bo wie, jak brat uwielbia brzmienie swojego nowego tytułu. – Lordzie admirał. – Tu lekko łamie się jej głos.

Tomasz się kłania. Katarzyna nie ośmiela się podać mu ręki z obawy, że jeśli się dotkną, całkowicie straci panowanie nad sobą. Mężczyźni witają się z resztą towarzystwa i wszyscy gromadzą się przed kominkiem. Katarzyna nie chce patrzeć na Tomasza, ale czuje na sobie jego wzrok. Elżbieta czyta sonet Surreya – biednego martwego Surreya. Tymczasem Katarzyna myśli tylko o jednym: jakim podstępem się posłużyć, żeby zostać sam na sam z Tomaszem. Od jej tęsknoty powietrze jest gęste i lepkie jak miód.

Gdy przechodzą do sali na obiad, Tomasz muska jej palce. Katarzyna boi się, że zemdleje. Nie może jeść. On też nie. Potrawy pojawiają się i znikają. Nagle Will, kochany Will, pyta, czy mogłaby mu pokazać, gdzie chciałaby założyć nowy ogród z ziołami. I kiedy okrywają się dla ochrony przed marcowym chłodem, ona rzuca lekko: „Dołączysz do nas, Seymour?” – jakby to nie miało większego znaczenia.

Idzie pod rękę z Willem aleją młodych drzewek, które zasadziła. Tomasz jest po jej drugiej stronie; przestrzeń między nimi niemal iskrzy, jak powietrze przed burzą. Chodzą po otoczonym żywopłotami ogrodzie. Will uwalnia się od jej ręki i oddala bez słowa, a oni dopadają do siebie niczym para zwierząt.

– Czekałem na to całą wieczność – mruczy Tomasz.

– Ja także.

Jego czapka spada na ziemię. Katarzyna wtula nos w jego szyję, chłonie go i czuje, że straciła kontakt z granicami swojego ciała – nie wie, gdzie ona się

kończy, a on rozpoczyna. Ma wrażenie, że całe jej życie, każda chwila, każde doświadczenie zmówiły się, prowadząc do ich spotkania. To właśnie miłość, mówi sobie. Myśli o starannie skomponowanych sonetach miłosnych, ale tu nic nie jest starannie skomponowane – to chaos doskonały.

– Ukochana – szepcze Tomasz. – Pragnąłem cię. Pragnę cię. – Rozsuwa szmizetkę, obsypuje pocałunkami jej piersi.

– Przyjdź dziś wieczorem – mówi Katarzyna, zapominając, że niedawno owdowiała, zapominając o obyczajności, o nienagannym zachowaniu, wyrzekając się siebie dla niego, pragnąc, żeby zdarł z niej wszelką ogładę. – Zostawię otwartą furtkę od strony łąki.

*Old Manor, Chelsea, kwiecień 1547*

KATARZYNA PATRZY NA PLECY Tomasza, gdy ściąga mu koszulę przez głowę; blask świecy pełga po jego skórze. Ma wrażenie, że zaraz pęknie jej serce. Tomasz się dąsa. Zawsze stroi fochy, gdy musi wyjść, zanim domownicy się zbudzą. Katarzyna kocha go jeszcze bardziej za te dąsy i humory, choć nie potrafi tego wytłumaczyć. Chce się z nią ożenić, naciska i namawia. Ją zadowala to, że są kochankami, lubi dreszczyk emocji towarzyszący potajemnym schadzkom, nie chce sankcjonować ich związku. Ponadto musi liczyć się ze skandalem, który wybuchnie, jeśli wyjdzie za niego tak szybko, gdy ciało króla ledwie ostygło.

– Ale po odejściu Latimera śpiesznie poślubiłaś króla – przypomina jej.

– Och, to było co innego, przecież wiesz.

– Co innego? – Tomasz krzywi się. – Czyż nie jestem mężczyzną, jak on?

Katarzyna przypomina mu, że małżeństwo z nim prawdopodobnie zostałyby odebrane jako zdrada stanu, że jest królową wdową, a on wujem króla Edwarda, i żadne z nich nie może poślubić, kogo chce – są zależni od rady i Hertforda.

– Twój brat nie byłby zachwycony – dodaje.

– Mój brat... lord protektor – syczy Tomasz. – Król Edward nie miałby nic przeciwko temu. Ja jestem jego ulubionym wujem, Kit. Uzyskam jego pozwolenie.

– Uważaj, żeby nie nadebrać bratu na odcisk. Mógłby narobić nam kłopotów.

– Mój brat nawet twojego brata uczynił markizem – skarży się Tomasz. – A ja mam nędzny tytuł baroneta i zameczek na krańcu świata.

Katarzyna sądziłaby, że rozdrażnienie powinno uczynić go mniej atrakcyjnym, ale jest na odwrót. Chyba przypomina jej brata, Willa.

– Jesteś też lordem admirałem, Tomasz, a to bardzo wysoki urząd.

– I powinienem nim być. W całej Anglii nie ma nikogo lepszego na to stanowisko.



To nie ryzyko narażenia się na gniew lorda protektora powstrzymuje Katarzynę przed poślubieniem Tomasza. Przyczyną jest coś nieuchwytnego, uczucie, wrażenie, że wreszcie zasmakowała wolności, że rozpostarła skrzydła, a małżeństwo je znowu podetnie. Ale ta jego niezaprzeczalna męskość, nieodparty urok i bezmiar rozkoszy, jaką jej daje... I jakaś jej część chce to wziąć, mieć na własność, zamknąć, hołubić.

– Może tobie wystarczy, że masz mnie za kochanka, ja jednak chcę, żeby nasz związek miał wartość w oczach Boga. – Tomasz mówi i mówi, i z wolna podkopyje jej przekonanie, że lepiej poprzestać na romansie. – Chcę mieć cię wyłącznie dla siebie, Katarzyno. Nie mogę znieść myśli, że inny mężczyzna na ciebie patrzy.

Opowiada jej o tym, jak długo czekał, i pyta, co według niej czuł, gdy został bezceremonialnie usunięty z drogi, zmuszony do oglądania, jak miłość jego życia wychodzi za podstarzałego króla. Mówi, że obserwował ją z daleka, umierając w środku.

W jakiś sposób jego argumenty powoli wsiąkają w nią jak atrament, który zostawia widmowy ślad na odwrocie kartki. Przy Tomaszu powab wolności zaczyna się kurczyć, aż w końcu staje się mały i niewygodny. I biorąc pod uwagę wszystkie ciężące na niej tajemne grzechy, skoro czeka ją wieczne potępienie, dlaczego nie miałyby wypełnić reszty ziemskiego czasu przyjemnością?

– Nie czujesz tego co ja, Katarzyno?

Nic, co od niej słyszy, nie przekonuje go, że kocha go równie mocno.

– Wyobraź sobie, że spędzamy razem całą noc – mówi Tomasz.

Śmieją się, przypominając sobie *Opowieść młynarza* Chaucera, o kochankach, którzy tego właśnie pragną. Czytał jej to na głos wczoraj wieczorem, odgrywając wszystkie role, rogiacza i młodego kochanka, a nawet żony, tak piskliwym głosem, że Katarzyna nie mogła złapać tchu ze śmiechu. Mary Odell wpadła do sypialni, sądząc, że jej pani się dusi, i Tomasz musiał schować się pod łóżkiem.

– Widzisz, do czego jest zdolny mężczyzna, by spędzić całą noc z ukochaną? – powiedział, kiedy Mary odeszła. A potem wpadł w złość, z uroczo nastroszonymi włosami. – Pomyśl, co czuję, skradając się po ciemku jak złodziej.

Nie ulega wątpliwości, że ten mężczyzna przemienia dojrzałe kobiety w rozchichotane trzpiotki, powala legiony dziewcząt jak grad młode źdźbła pszenicy. Mógłby mieć każdą z nich, ale wybrał ją. W obliczu tego faktu Katarzyna staje się słaba, ale się tym nie przejmuje.

W głębi duszy wie, że sama się zmieniła, że wydarzenia ostatnich miesięcy rozbiły ją i stworzyły na nowo. Kwestionuje wszystko, zastanawia się nad swoją wiarą i Bogiem. To sprawia, że ogarnia ją niecierpliwość, a ten mężczyzna tchnie

siłę życiową w każdy por jej skóry. Kiedy jest z nim, żyje, jest bardziej żywa niż kiedykolwiek.

Zwyczajne troski zbladły; nie przeszkadza jej, że Stanhope szarogęsi się teraz jak królowa. Stanhope nie zgodziła się iść za Katarzyną podczas koronacji Edwarda, ona jednak wcale się tym nie przejęła, bo myślami była gdzie indziej – w Chelsea, w ramionach Tomasza. Niech Stanhope martwi się o pierwszeństwo, o to, kto zajmuje jakie miejsce w szeregu. Ta kobieta w jakiś sposób dobrała się do klejnotów królowej i na ceremonii koronacji najlepsze z nich miała na sobie, ale Katarzyna myślała wyłącznie o tym, jak dobrze, że te ciężkie naszyjniki nie ocierają jej skóry. Martwi ją jedynie, że wśród tych klejnotów znajduje się krzyż jej matki, chociaż Stanhope nie zniżyłaby się do noszenia czegoś tak pośledniego. Tylko to Katarzyna chciałaby odzyskać.

Przesuwa dłonią po ramionach Tomasza, naciskając jego jędrne ciało. W zakamarku jej umysłu czai się myśl, że jeśli nie poślubi jej, to zwiąże się z inną, to pewne jak noc po dniu, bo taka jest kolej rzeczy. Poza tym nie może niczego odmówić temu mężczyźnie, bo najłżejsze muśnięcie jego palców wlewa w nią nowe życie.

– Wyjdę za ciebie – mówi, gdy Tomasz już włożył buty i ma zamiar odejść.

Przyskakuje do niej, pcha ją z powrotem na łóżko i obsypuje pocałunkami.

– Nie pożalujesz tego – zapewnia.

– Nie mam zamiaru. – Katarzyna uśmiecha się i przeczesuje palcami jego włosy.

– Dziś napiszę do króla – oznajmia Tomasz. Wstaje, muskając ustami cienką skórę po wewnętrznej stronie jej nadgarstka, po czym delikatnie gładzi palcem to miejsce i dodaje: – Widzę tu żyłkę, błękitną od twojej krwi. Zmieszamy twoją i moją krew i poczniesz dziecko z nas obojga.

Nie śmiała myśleć o dziecku – ta myśl za bardzo boli – i nic nie odpowiada, bo zastanawia się, czy teraz, gdy spełnia się tak wiele jej pragnień, powinna jeszcze kusić los. Wciąż pamięta martwego noworodka, jego zwiędłą twarzyczkę i maleńkie żyłki na zamkniętych powiekach.

– Napisz do króla, Tomasz, z prośbą o przychyłność dla naszego małżeństwa – mówi. – Złóż mu wizytę i zartami nakłoń go, by wyraził zgodę. Jesteś jego ulubionym wujem, więc spraw, żeby odegrał dla nas rolę Kupidyna.

– To dobry plan. Mój brat będzie miał związane ręce, jeśli król wyrazi wolę, abyśmy się pobrali.

Tomasz otwiera drzwi, ale Katarzyna przywołuje go z powrotem, bo chce jeszcze raz poczuć jego ciało pod palcami.

– Pamiętaj, Tomasz, król jest jeszcze chłopcem, a twój brat ma całą władzę. Lepiej mieć go za sobą niż przeciw sobie.

– Byłbym zgubiony bez twojej dobrej rady, ukochana.

– Przekaż bratu – dodaje Katarzyna, gdy Tomasz jest już prawie za drzwiami – że chcę, by wrócił do mnie krzyż mojej matki. Niczego więcej nie pragnę. Stanhope może zatrzymać resztę, jeśli tak wiele dla niej znaczy posiadanie błyskotek królowej. Ja za nimi wcale nie tęsknię.

Patrzy mu w oczy, dostrzega w nich błysk – gniewu, ambicji, nie jest pewna czego – i przeszywa ją dreszcz niepokoju.

– Nie tylko krzyż, Katarzyno. Te klejnoty są warte fortunę i należą do ciebie.

I już go nie ma. Katarzyna uświadamia sobie, że zależy mu na klejnotach. Wszystko będzie jego, kiedy się pobiorą.

Nie dba o to, nigdy tak naprawdę nie przejmowała się rzeczami, chce tylko jego, bardziej niż cegokolwiek w świecie.

– DOT, SPROWADŹ MĘŻA I CHODŹ za mną – mówi Katarzyna.

– Już po niego idę, madame. Jest w pokoju muzycznym.

– Pośpiesz się i nikomu ani słowa.

Kiedy Dot wraca z Williamem, w komnacie jest Tomasz Seymour.

Zabiera ich na swoją barkę.

– Nikomu nie powiedzieliście? – pyta.

– Nikomu, lordzie – zapewnia go William.

– Nie „lordzie”, Savage – warczy. – „Lordzie admirał”, i nie zapominaj o tym.

– Proszę o wybaczenie, lordzie admirał – mówi William, ledwie skrywając urazę w głosie.

Ale Seymour już nie zwraca na niego uwagi; William Savage stoi zbyt nisko w hierarchii. Dot wie, co mąż myśli o tym człowieku – arogancki taki a taki. Ale jest aroganckim takim a takim Katarzyny i to wystarczy, by uważała, że musi mieć w sobie coś dobrego, choć przeraża ją jego zmienność, jego próżność, jakby składał się z samej lśniącej zewnętrznej powłoki.

Barka płynie w dół rzeki. Dot obserwuje Katarzynę, przytuloną do Seymoura jak zakochana dziewczynka. Nigdy nie widziała jej tak zadurzonej i beztroskiej, jakby zdjęto z niej wielki ciężar. I jeśli jakakolwiek kobieta na tym świecie może poradzić sobie z podstępny męczyzną, to właśnie Katarzyna Parr. Dot musi przyznać, że Seymour jest przystojny. Pamięta go z czasów w Charterhouse, jak podczas swojej wizyty zawrócił w głowie wszystkim dziewczętom i jak biedna Meg skamieniała, słysząc, że będzie musiała wyjść za niego za mąż. I tamte chwile w ogrodzie – jak mogłaby zapomnieć? Seymour potrafi patrzeć na dziewczęta w taki sposób, że omdlewają. Ona jednak nie uległa jego urokowi; poznała się na takich bałamutach, kiedy wzdychała do Harry’ego Denta. Harry Dent też był

przystojny, z takim samym błyskiem w oku, przez który dziewczyna wierzyła, że jest lepsza od królowej Saby. Ale kiedy przyszło co do czego, okazało się, że Harry Dent interesuje się tylko Harrym Dentem. Seymour jest niewiele lepszy, postawiłaby na to ostatniego pensa.

Widziała Harry'ego Denta, kiedy zaledwie tydzień temu odwiedziła Stanstead Abbots, by zobaczyć się z mamą. Przytył i stracił włosy, a wraz z nimi swój powab, i ogarnął ją pusty śmiech na myśl, że dawno temu ktoś taki zawładnął jej sercem. Ponad dziesięć lat upłynęło od jej wyjazdu i wszystko się zmieniło, nie tylko brzuch Harry'ego.

Znalazła mamę w pralni w Rye House. Stojąc obok niej, nawet w swojej skromnej sukni, nie tej z tafty, którą królowa podarowała jej na ślub, czuła się odległa, jakby była cudzoziemką, jakby dzielił je wielki ocean. Mama miała na sobie rdzawą suknię, czystą, ale połataną na łokciach, ze spódnicami podkasanymi i schowanymi pod fartuchem, oraz skromny czepek z szorstkiego płótna. Dot taki nosiła, kiedy była dziewczynką.

Przywiozła prezent – trzy jardy delikatnego atłasu – ale teraz uznała to za głupi pomysł, bo co mama miałaby zrobić z kawałkiem atłasu w kolorze moreli? Jej ręce były czerwone, spierzchnięte i szorstkie od ciągłego prania. Widząc je, Dot schowała w rękawach swoje dłonie, od jakiegoś czasu miękkie i białe – dłonie damy – i ozdobione pierścieniem z tak dużym akwamarynem, że straciłaby palec, gdyby nosiła go w Southwark. Ich powitanie było sztywne, a głos Dot brzmiał sztucznie.

– Patrzcie tylko! – zawołała mama. – Moja mała Dotty dorosła i wyszła za męża, i jest teraz damą. – Odsunęła się, żeby podziwiać córkę.

Dot zauważyła, że skóra matki stała się pomarszczona jak zmięta pościel, i oczy jej się zaszklily.

– Mamo, William i ja mamy w Devonie majątek i pomyślałam, że mogłabys z nami zamieszkać. Niedługo zapełnię dom maleństwami.

Mama pogładziła jej policzek palcem szorstkim jak papier ścierny.

– Och, skarbie, jestem stara, chyba już nie przywykłabym do nowego miejsca, a poza tym gdzie jest ten Devon? Brzmi, jakby to było na końcu świata. I nie mogę opuścić Stanstead Abbots, na wypadek gdyby wrócił twój brat. Odszedł, rozumiesz. Narobił długów i uciekł. Zostawił żonę i dzieciaczki.

– Ale, mamo... – zaczęła Dot, matka nie dała jej jednak skończyć.

– I widzisz, podoba mi się tutaj.

– Skoro taka jest twoja wola, mamo. – Łzy ścisnęły jej gardło i znów poczuła się sama, jakby matka wymykała się w jakieś niedostępne miejsce. – Myślałam, żeby zaprosić też Małą Min i jej męża. Mógłby zarządzać majątkiem. – Zobaczyła,

że matka spuściła oczy, i usłyszała, że zamarł jej oddech. – Tylko że wtedy zostałabyś tu sama, mamó.

– Jestem tu w miarę szczęśliwa, Dotty, mam przyjaciół. Żona twojego brata ma pełne ręce roboty z sześciorgiem dzieci i potrzebuje mojej pomocy bardziej niż ty. Ale Mała Min powinna jechać z tobą. Możesz zrobić z niej damę, a ja bym tylko temu przeszkadzała. Mają dwoje maluchów, które mogłyby chować się z twoimi. Wyobraź sobie, Dotty, moje wnuki kształcone!

Dot poczuła przyływ miłości do matki i przełknęła gulę, która nagle stanęła jej w gardle.

– Chciałabyś poznać mojego Williama, mamó?

– Chyba nie, skarbie, nie wiedziałabym, co mu powiedzieć, bo jest taki dobrze urodzony i w ogóle.

– Ale, mamó, on wcale nie jest taki, powinnaś...

– Nie, Dorothy – ucięła stanowczo matka. – Nie widzisz, jak bardzo się zmieniłaś. Wolałabym, żeby zostało, jak jest.

Gdy Dot już się zegnała, matka wcisnęła jej w ręce pakunek z atłasem.

– Daj to Małej Min. Przyda jej się bardziej niż mnie, jeśli ma jechać do Devonu.

– Czy w takim razie weźmiesz to? – Dot niezdarnie próbowała odwiązać sakiewkę od paska.

Kiedy to zrobiła i wyciągnęła rękę, sakiewka wisiała w powietrzu między nimi, z wpatrzonymi w nią dwiema parami oczu. A potem, jednocześnie, matka i córka spojrzały na siebie i zaczęły się śmiać.

– Tego nie odmówię!

– Będzie więcej, mamó – powiedziała Dot. – Dopilnuję, żeby niczego ci nie brakowało.

– Hej! – krzyczy przewoźnik, przywołując ją do teraźniejszości.

Barka podpływa do małego drewnianego pomostu i wysiadają w ślad za Seymourem. Ten idzie energicznym krokiem, ciągnąc Katarzynę za rękę. Wkrótce dochodzą do samotnej kaplicy, stojącej z dala od skupiska domów nad wodą. Akurat gdy Dot zastanawia się, co tutaj robią, Seymour oznajmia, że będą świadkami jego ślubu z Katarzyną.

Dot nie ma czasu stwierdzić, co w związku z tym czuje, bo oto jak spod ziemi wyrasta przed nimi kapelan.

– Ach, szczęśliwa para – mówi z szerokim uśmiechem.

Otwierając ramiona, zaprasza ich do swojego kościółka, który pachnie bardziej wilgocią niż kadzidłem.

Zaczyna prawić o świętości małżeństwa i dzieciach wychowywanych w nowej wierze.

Seymour przerywa mu jednak.

– Przejdźmy od razu do rzeczy, dobrze?

Katarzyna prawie nie zauważa wilgoci w kaplicy ani trzosu, który Tomasz daje kapelanowi za milczenie, ani tego, jak szybko zostaje odprawione nabożeństwo. Wspomina swój poprzedni ślub – starannie wybranych arystokratycznych gości, wspaniałą ucztę, zabawę, tańce – i cieszy się, że ten ślub jest taki prosty i że ma na świadków kochaną Dot i Williama Savage’a. Wprawdzie wolałaby brata i siostrę, ale Tomasz uparł się, by zachować ślub w tajemnicy. Jeszcze nie zwrócił się do króla, rady ani brata o pozwolenie. Katarzyna woli o tym nie myśleć. Patrzy na Tomasza, upajając się jego widokiem, gdy on powtarza słowa przysięgi.

Gdzieś w krokwiach gnieźdzą się jaskółki, które od czasu do czasu śmigają w powietrzu i wylatują przez okna. Bawi ją myśl, że ona, angielska królowa wdowa, wychodzi za mąż w kaplicy bez szyb w oknach. Jedna ze świec na ołtarzu skwierczy w przeciągu i gaśnie.

– ...w chorobie i zdrowiu – mówi.

Nic nie może na to poradzić: wspomina, jak Meg, za podszeptem Cat Brandon, czytała *Opowieść damy z Bath*. Jakże się śmiały! Teraz jest naprawdę trzykrotną wdową i znowu wychodzi za mąż. Ciekawe, co Bóg o tym myśli.

– Dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Wydaje się, jakby całe lata zniknęły, jakby nigdy nie była żoną Henryka.

– Ślubuję ci wierność.

Tomasz ściska jej ramię i pochyla się, by ją pocałować. Wsuwa język między jej zęby i przywiera do niej. Katarzyna domyśla się, że kapelan nie wie, gdzie podziąć oczy – więc udaje, że sprząta ołtarz – ale nie dba o jego odczucia.

Zamyka powieki. Kręci jej się w głowie.

W błogim oszołomieniu idzie przez wioskę do barki, po czym wracają w górę rzeki, pod prąd. Jest piękny dzień, słońce lśni na powierzchni wody, a obok nich przepływa flotylla łabędzi. Świeżo poślubiony mąż przyciąga ją do siebie. Jego oczy urzekają. Tomasz całuje ją czule w czoło.

– Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie – szepcze.

– Powiesz królowi?

– Kochanie, nie martw się. Zajmę się wszystkim. Nic nie może pójść źle. Uzyskam jego zezwolenie i wtedy mu powiem, że to już się stało.

Katarzyna zastanawia się, jak młody król przyjmie wiadomość, że już są małżeństwem. Czuje się nieswojo z powodu tego oszustwa i martwi ją także reakcja brata Tomasza. Ale miłość wciąga ją w kłamstwo. Zresztą to drobny grzech w porównaniu z tym, co mogłaby zrobić ojcu młodego króla, gdyby nie decyzja Huicke’a.

– Jesteś teraz w moich rękach – mówi Tomasz.

Katarzyna czuje twardość jego dłoni na swoim ramieniu. Młody król nigdy nie pozwoli, żeby oskarżono ich o zdradę stanu – na pewno nie jego ulubionego wuja i macochę.

– Zaopiekujesz się mną, Tomasz, prawda?

– Oczywiście, kochanie, oczywiście. Po to żyję. Wyjaśnię wszystko królowi i radzie, odzyskam twoje klejnoty i... – ściska ją – zrobię ci dziecko.

Katarzyna wzdycha głęboko i jej lęki się rozpraszają. Tak przywykła do strachu, że zapomniała, jak żyje się bez niego.

*Dom Seymoura, Londyn, lipiec 1547*

WCZORAJ PRZYBYŁA NOWA PODOPIECZNA Seymoura, lady Jane Grey. Jest właściwie księżniczką i Elżbieta, jej kuzynka, krąży wokół niej niczym kot, który przymierza się do złowienia myszy. Jane Grey zdecydowanie nie należy do tych pulchnych jedenastoletek, zaokrąglonych od dziecięcego tłuszczu. Chudzielec o długiej szyi, składa się z samych kantów – ostre łokcie, sterczące ramiona. Z trzepoczącymi rękami i szeroko rozstawionymi oczami tak bladymi, że w słońcu wydają się białe, przypomina ptaszka. Dot nie byłaby zdziwiona, gdyby dziewczynka miała pod czepkiem pióra zamiast włosów.

Dużo się mówi o małżeństwie Jane z królem Edwardem. Krążą plotki, że Seymour zapłacił fortunę, by wziąć ją pod opiekę, i jeśli uda mu się doprowadzić do tego mariażu, to on zbierze laury. Ilekroć wyłania się pomysł ślubu Jane z królem, Elżbieta prycha głośno jak stara ciotka. Dziewczynka jest wykształcona, prawdopodobnie lepiej niż jej kuzynka – Dot słyszała, jak Katarzyna mówiła to Seymourowi, gdy Jane recytowała wiersz po grecku. (W każdym razie Dot uznała, że to wiersz, bo doszukała się rymów. I wiedziała, że to greka, bo Elżbieta syknęła: „Więc ona zna grekę?”).

Teraz Jane siedzi obok Williama przy wirginalu i gra dla niego wysokie tony melodii. To skomplikowany utwór, próbuje więc kilka razy, potykając się w tym samym miejscu, ale się nie poddaje. Kiedy bezbłędnie dociera do końca i William mówi: „Tak, teraz dobrze”, jej twarz rozjaśnia uśmiech tak naturalny, że Dot sama nie może powstrzymać się od uśmiechu. W tym momencie, gdy wszyscy pławią się w promieniach Jane, uświadamia sobie, że Elżbieta rzadko się uśmiecha – a kiedy to robi, jest ostrożna, jakby uśmiechy były drogie niczym złoto, którego nie wolno roztrwonić. Dot jest zaskoczona współczuciem, które w niej kiełkuje.

Siedzi po drugiej stronie pokoju z Nedom, trzylatkiem siostry Katarzyny, Anny, u stóp, bawiącym się drewnianymi koralikami. Powierzono jej opiekę nad chłopczykiem i ten pomieszka z nimi przez kilka miesięcy. To zajęcie szlachcianki,

a ona – jakkolwiek trudno w to uwierzyć – jest teraz szlachcianką. Haftuje szmizetkę dla Katarzyny, wyszywając jedwabną nicią drobne czerwone kwiatki, każdy z perełką pośrodku. Jasne światło wpada przez okno, rzucając wzór rombów na podłogę i pełne popiołu palenisko. Dot musi się powstrzymać, żeby nie sięgnąć po szczotkę i nie zrobić porządku w kominku. Nie może przywyknąć do nowego życia, do tego, że nie jest już niewidzialną dziewczyną, która zamiatła paleniska i trzepie dywany. Niekiedy dochodzi do wniosku, że w zasadzie nie tęskni za tamtym życiem – lecz tęskni za tym, że wówczas czuła się użyteczna, zawsze miała pełne ręce roboty.

Tęskni za pracą, dzięki której czuła się silna, za dźwiganiem, bieganiem w górę i w dół po schodach, za szorowaniem, zamiataniem, spulchnianiem i składaniem. Wtedy czuła, że żyje. Haftowanie, czytanie, gra w karty i deklamowanie wierszy – główne zajęcia szlachcianek – przynoszą odwrotny skutek. I chociaż opiekuje się małym Nedom, to dwie służące zajmują się praniem pieluch, sprzątaniem po nim i karmieniem go. Jej zadanie sprowadza się tylko do zabawiania chłopca, uczenia go modlitw i karcenia, gdy jest niegrzeczny, co zdarza się rzadko.

Na tym polega bycie kobietą w świecie, do którego została wyniesiona – ma być spokojna, cicha i ładnie się prezentować, przynajmniej publicznie. Inne codziennie tańczą z włoskim mistrzem tańca, który przychodzi je uczyć. Mary Odell, jedna z nowych dziewcząt w domu, zwykle trochę nieruchawa, w tańcu jest lekka i całkiem odmieniona. Najlepiej tańczy Elżbieta. Stawia sobie za cel być najlepsza we wszystkim. Dot boi się zwrócić na siebie uwagę, więc nie dołącza do nich, tylko siedzi i patrzy, wraz z Lizzie Tyrwhitt, która mówi, że jej taneczne dni się skończyły.

Dot słyszy, jak Katarzyna rozmawia z Seymourem w ogrodzie pod otwartym oknem. Cieszy się, że małżeństwo przestało być tajemnicą. Wyszło na jaw, chociaż ona nie pisnęła nikomu ani słowa, podobnie jak William. Najpewniej ktoś widział Seymoura, jak wymykał się w nocy.

Bona Elżbiety, pani Astley, zagadnęła ją w kuchniach Chelsea niecały tydzień po ślubie.

– Opowiedz mi, Dorothy Savage, o nowym pawiu królowej – zwróciła się do niej, wykonując sprośny gest dłonią.

– Nie wiem, o co ci chodzi – odparła Dot, zmierzając do wyjścia.

Solidnie zbudowana Astley zastąpiła jej drogę.

– Nie zadzieraj przy mnie nosa – syknęła. – Możesz służyć królowej wdowie, ale ja służę lady Elżbiecie, która jest królewskiej krwi, a twoja pani została królową tylko poprzez małżeństwo.



Dot miała ochotę ją popchnąć, ale w końcu tego nie zrobiła ani nic nie powiedziała. Nauczyła się, jak ważne jest trzymanie języka za zębami.

– I nie myśl – podjęła Astley – że mnie zwiedzisz, Dorothy Savage, w swojej pięknej sukni, prezencie od królowej. Wiem, skąd pochodzisz – dodała z grymasem, jakby te słowa pozostawiły w jej ustach nieprzyjemny posmak.

– Nie mam nic do ukrycia o moich ubogich korzeniach, pani Astley. Mój ojciec może i był nisko urodzony, ale był dobrym człowiekiem – oznajmiła Dot, prostując się, żeby górować nad tą przysadzistą kobietą. – Poza tym naparstek dobrej krwi niekoniecznie czyni człowieka dobrym. – Nie mogła uwierzyć, że tak udała jej się riposta; wiele się nauczyła, słuchając rozmów przez te lata na dworze.

Astley odchrząknęła, zastanawiając się nad odpowiedzią.

A Dot błyskawicznie się odwróciła i pomknęła na dziedziniec.

– O ile dobrze pamiętam, ojciec Chrystusa był tylko cieślą! – zawołała przez ramię.

Teraz Elżbieta usadowiła się przy wirginalu, z Jane Grey przycupniętą na samym brzeżku tego samego stołka. Gra popularną piosenkę miłosną, którą wszyscy nucą od tygodni. Wodzi długimi białymi palcami po klawiszach i dodaje do melodii własne ozdobniki, a potem zaczyna śpiewać cienkim, wysokim głosem. Ma przymknięte oczy, ale od czasu do czasu uchyła powieki, żeby sprawdzić, czy wszyscy patrzą – i patrzą.

Między zwrotkami Elżbieta ogląda się i puszcza oko do stojącego za nią Williama; ten odwraca wzrok i z uniesionymi brwiami spogląda na żonę. Elżbieta nie może znieść myśli, że jakiś mężczyzna może jej nie pożądać; Dot widziała, jak kokietuje nawet najniższych służących. William jednak wydaje się odporny na jej wdzięki i wyznał, że uważa ją za irytującą; to Katarzyna poprosiła go, by nauczył Elżbietę muzyki, i nie mógł odmówić.

Przy oknie w słońcu jest ciepło i Dot opiera głowę o framugę, na wpół drzemiąc. Królowa wciąż rozmawia z Seymourem w ogrodzie. Sprawia wrażenie wzburzonej, a on ją uspokaja. Muzyka głuszy słowa i do okna niesie się tylko brzmienie głosów; jego jest aksamitny, jej ostry i nieprzyjemny.

– Kit, odzyskamy je – słyszy Seymoura, gdy następuje przerwa w śpiewie. Wydaje się zły. – To afront dla mnie tak samo jak dla ciebie.

Przychodzi jej do głowy, że Seymour, podobnie jak Elżbieta, chce być podziwiany przez wszystkich.

– ALE MÓJ KRZYŻ, TOMASZU. KRZYŻ mojej matki jest wśród tych rzeczy i Stanhope dobrze o tym wie. – Katarzyna zwija chusteczkę w coraz ciaśniejszy kłębek.

Minęły trzy miesiące, odkąd obiecał, że odzyska dla niej krzyż matki. Trzy miesiące małżeństwa.

– Ten krzyż to tylko błyskotka, kochanie. Dam ci o wiele piękniejsze klejnoty. Nie mogę znieść myśli, że robi mi to brat ze swoją potworną żoną. Stanhope dumnie stąpa po pałacu, obwieszona klejnotami królowej, chociaż to ty jesteś królową. Będiesz nią, dopóki mój siostrzeniec się nie ożeni, i jesteś moją żoną. To policzek wymierzony mnie, Katarzyno. – Uderza się ręką w udo.

Katarzyna milczy. Nie ma sensu przekonywać go o wartości tej tak zwanej błyskotki ani mówić mu, ile dla niej znaczy. Poza tym teraz ma jego. Wspomina wszystkie te godziny, które spędziła, muskając perły palcami i rozmyślając o nim, zastanawiając się, gdzie jest i z kim, aż kipiąc w środku na myśl, że mógł pokochać inną. Teraz należy do niej, a ona do niego, i to nie przypomina niczego, co kiedykolwiek знаła, jakby tchnął w nią nowe życie. Tomasz gra na jej ciele jak na instrumencie, a ją trawi żądza. Nigdy nie sądziła, że jest do tego zdolna: pragmatyczna, rozsądna Katarzyna Parr doprowadzona do dzikiego zapamiętania.

Ale już czuje, jak Tomasz wymyka się maleńkimi miarowymi krokami. Z początku trzymała go przy niej intryga. Lord protektor wrzał z wściekłości z powodu ich ślubu i również król nie był zadowolony, gdy usłyszał, że poproszono go o zgodę na zawarcie małżeństwa po fakcie. Tomasz jednak, zgodnie z obietnicą, załagodził sprawę, używając swojego uroku wobec młodego króla. W porównaniu z lordem protektorem, który ledwie pozwala biednemu chłopcu oddychać bez jego zgody, Tomasz musi być jak powiew świeżego powietrza. Daje Edwardowi kieszonkowe, bo na łasce lorda protektora chłopiec jest biedniejszy niż mysz kościelna. I choć młody król jest teraz daleko, to z pewnością pamięta, że żona Tomasza mu matkowała. A jednak Katarzyna czuje, że tym potajemnym ślubem zawiódła jego zaufanie – Marii zresztą też. Maria nie pochwała tego małżeństwa, uważa, że tak szybkie zamążpójście świadczy o braku szacunku dla jej zmarłego ojca, i nie odpowiada już na listy Katarzyny.

A później wybuchł skandal. Kiedy rozeszła się wiadomość o ślubie, wydrukowano pamflety zawierające fałszywe sugestie co do jej cnoty, z okropnymi sprośnymi rysunkami – tak przynajmniej powiedział jej Huicke. Nie chciał ich jej pokazać, zapewnił, że może obejść się bez oglądania takich rzeczy. Czuła się tak głęboko i strasznie zawstydzona. Tomasz był dla niej opoką, pomógł jej trzymać wysoko uniesioną głowę, nawet w obliczu zjadliwych komentarzy Stanhope, która rozpowiadała, że Katarzyna upodliła się, wychodząc za młodszego Seymoura, chociaż niedawno była żoną króla. Stanhope zawsze taka była, zawsze mocno zaciskała palce na drabinie, dobrze wiedząc, kto w danej chwili powinien stać na danym szczeblu, i wspinała się po ludziach, podciągając się coraz wyżej. Tomasz tymczasem ekscytował się przeciwnościami losu, obroną żony.

Ale teraz, gdy są małżeństwem i świat to akceptuje, Katarzyna wyczuwa narastające oddalenie męża, jakby jego fascynacja wygasła. Nie jest to oczywiste dla innych, bo publicznie przymila się do niej w sposób graniczący z nieprzyzwoitością. Czasami Katarzyna czuje, że to przedstawienie, że jego miłość jest tylko na pokaz, i słabnące pożądanie męża odbiera jak strumień chłodnego powietrza. A podczas gdy jego żądza zanika, jej rośnie, pochłania ją całą.

Obok nich przechodzi ogrodnik i Katarzyna go przywołuje.

– Natniesz nieco lawendy, Walterze, żeby ją rozsypać w mojej komnacie?

Mężczyzna zdejmuje czapkę, w drugiej ręce trzymając garść cebulek.

– Co to jest? – pyta Katarzyna.

– Hiacynty, madame.

Wyczuwa, że Tomasz świdruje ją wzrokiem, i słyszy jego zniecierpliwione prychnięcie.

– Przechowam je, żebyśmy mogli cieszyć się kwiatami na początku przyszłego roku. To te pachnące, które bardzo lubisz, madame.

– Będę czekać na nie z niecierpliwością, Walterze.

– Dość tego – warczy Seymour.

Walter odchodzi ze spuszczoną głową.

– Dlaczego zwracasz się do niego „Walter”? – cedzi jej mąż przez zaciśnięte zęby.

– Tak ma na imię – odpowiada Katarzyna, z uśmiechem gładząc jego szorstką brodę.

– Nie życzę sobie, żebyś spoufalala się ze sługami.

– Och, Tomaszu, znałam jego ojca. Widziałam, jak ten chłopak dorasta.

– Nie pozwolę... – Mąż mocno chwyta ją za nadgarstek, jakby dla podkreślenia swoich słów.

Katarzyna otwiera usta, chcąc coś powiedzieć.

Ale on kontynuuje:

– I to gadanie o hiacyntach... jest zbyt bezczelny. Powiniennem się go pozbyć.

– Jak sobie życzysz.

Katarzyna wie, że jeśli stanie w obronie ogrodnika, będzie tylko gorzej. Zauważa, że Tomasz nie może zmusić się, by spojrzeć jej w oczy, nadąsany jak mały chłopiec.

Jego pożądanie słabnie, natomiast zazdrość nie zna granic. Nie pozwala jej przebywać sam na sam z żadnym mężczyzną, ledwie toleruje Huicke'a, i Katarzyna zastanawia się, czy przypadkiem gdzieś w środku nie wierzy w treść pamfletów o jej zbrukanej cnocie. Jego zazdrość trochę ją uspokaja; uważa ją za dowód

trwającej nadal miłości i nieodłączny element chłopięcej dumy Tomasza – ale w gruncie rzeczy wie, że jej nie ufa.

Słyszy śpiew Elżbiety w pokoju muzycznym: jej charakterystyczny głos, wysoki i czysty, niesie się w powietrzu letniego popołudnia.

– Ta dziewczyna ma głos – mówi.

– Muszę iść – oznajmia Tomasz, po czym składa zdawkowy pocałunek na jej dłoni, odwraca się i odchodzi przez ogród.

Za bardzo go kocham, myśli Katarzyna, patrząc, jak dół peleryny podrywa się i okręca wokół jego ud. Myśli o tych udach uderzających w jej ciało, o jego rękach na swojej talii, i kręci jej się w głowie z pożądania. Na pewno z tej namiętności zrodzi się dziecko – jak mogłoby być inaczej? Ale czas ucieka. Czuje swoje lata; w wieku trzydziestu pięciu lat większość kobiet przestaje rodzić. Tylko że większość kobiet w tym wieku jest wyczerpana i zniekształcona przez dziesiątki niemowląt, a ona, jak powiedział kiedyś Tomasz, zrywając z niej koszulę, nadal ma ciało dziewczycy.

– Wrócisz dziś wieczorem?! – woła za nim.

Siada na trawniku, w kręgu spódnic, i przeciera oczy. Słyszy stukot kopyt na stajennym dziedzińcu – Tomasz odjeżdża. Wróci do niej, jest tego pewna, bo pobrali się z miłości. Teraz tylko się dąsa.

Podskakuje, gdy nagle jakby znikąd dobiega ją cichy głos.

– Smucisz się?

– Och! Zaskoczyłaś mnie, Jane. Myślałam, że jesteś w pokoju muzycznym razem z innymi.

– Płaczesz?

– Nie, Jane, po prostu zaswędziały mnie oczy i je potarłam.

– Roztaczasz wokół siebie smutek.

– Nie, Jane, jak mogłabym być smutna, skoro mam wszystko, czego kiedykolwiek pragnęłam?

Jane uśmiecha się ze zdziwieniem, jakby myśl o spełnieniu się pragnień była czymś niezrozumiałym.

– Chodź, znajdziemy Riga i przejdziemy się z nim po sadzie – proponuje Katarzyna.

Wołają psa i ramię w ramię idą do bramy sadu. Jest dojrzała nad wiek, myśli o dziewczynce Katarzyna, już ukształtowana na przyszłość, jak drzewa rozpięte na treliazu pod murem ogrodu, splecione w posłuszne formy. Tylko że wybór przyszłości nie będzie zależny od niej, bo podobnie jak jej śpiewająca kuzynka ma w żyłach królewską krew. Katarzyna zastanawia się, czy to błogosławieństwo, czy przekleństwo.

Tomasz chce doprowadzić do małżeństwa Jane z królem, co nie byłoby takie złe. Ale lord protektor nadal ma nadzieję związać Edwarda z czteroletnią szkocką królową, zanim Francuzi zagarną ją dla siebie. Wszystkie te dziewczęta są niczym pionki na szachownicy.

Nadszedł czas, by ktoś zaczął się starać o rękę Elżbiety – niebawem skończy czternaście lat – nikt jednak nie ma pewności, czy jest dobrą partią, czy jest prawowitą córką króla, czy jest księżniczką... biedactwo.

*Hanworth Manor, Middlesex, listopad 1547*

NA WRZOSOWISKU HOUNSLOW PANUJE przenikliwy ziąb, a niebo wisi nisko nad ziemią, gęste jak kleik. Burza sprzed kilku nocy zdmuchnęła ostatnie liście z drzew, spowijając to miejsce aurą bezwzględnej ponurości. Spienione, spocone konie wolnym krokiem zmierzają w kierunku domu, a ubłocone psy truchtają za nimi. Polowanie było udane i czterech mężczyzn niesie na drągu truchło wielkiego jelenia, a inny prowadzi muła z dwoma mniejszymi chłystami, przewieszonymi przez grzbiet jak worki.

Katarzyna postanowiła, że jednego jelenia wyśle do Stanhope w geście dobrej woli, który, jak ma nadzieję, pozwoli jej odzyskać krzyż matki – chociaż raczej w to wątpi, bo kwestia ta stała się przyczyną zatargu między Tomaszem a jego bratem. Stanhope jest nie do zniesienia, panoszy się na dworze, pokazując, kto rządzi. Znowu jest brzemienna – ósmy raz – i Katarzyna nie może powstrzymać się od refleksji nad niesprawiedliwością losu, który jednej kobiecie zsyła ośmioro dzieci, a drugiej nie daje żadnego. Ale jest już przyzwyczajona do tego uczucia; tęsknota za dzieckiem stała się mniej intensywne – to raczej niejasne poczucie braku czegoś, nic więcej. Poza tym ma teraz na wychowaniu Jane Grey i syna siostry, małego Neda Herberta – i oczywiście jest droga Elżbieta, więc wszyscy razem tworzą dużą rodzinę.

Elżbieta jedzie z przodu obok Tomasza. Jej strój do jazdy konnej ze szmaragdowozielonej wełny jest jedyną plamą koloru na tle krajobrazu, nie licząc kosmyków włosów, powiewających za nią w ognistym ogonie komety, i różowego atłasowego rękawa, który błyska od czasu do czasu, gdy chłodny wiatr poderwie Tomaszowi pelerynę.

Katarzyna przygląda im się uważnie. Gawędzą swobodnie. Elżbieta mówi coś, co go rozśmiesza. Tomasz podjeżdża bliżej i wychyla się w siodle, żeby wyplatać gałązkę z jej włosów. Elżbieta chwyta go za nadgarstek smukłą bladą dłonią, uśmiecha się do niego i coś mówi, a on uwalnia rękę i klepie ją w udo, po czym rusza przed siebie. W sercu Katarzyny zazdrość kłębi się niczym płatanina

węzy; próbuje sobie wmówić, że Tomasz jest dla dziewczyny po prostu dobrym ojczymem, wie jednak, obawia się, że jest w tym coś więcej.

Wśród służby krążyły plotki, choć do niej dotarły tylko strzępy. To Dot w końcu jej powiedziała, że rankami Tomasz odwiedza Elżbietę w pokoju panien, kiedy ona jeszcze leży w łóżku. Katarzyna nie chciała w to uwierzyć, bo Dot nigdy nie dogadywała się z Elżbietą. Katarzyna od lat widziała, jak Dot patrzy na nią spod zmarszczonych brwi, a Elżbieta też nie była dla niej miła, taka jest prawda. Uznała, że to mała zemsta Dot. „Wszyscy o tym gadają”, usłyszała od niej.

Tłumaczyła sobie, że nic w tym nie ma, że służba zawsze będzie plotkować. Ale zaczęła towarzyszyć Tomaszowi podczas jego porannych wizyt. Rozmawiała o tym z Huickiem i teraz zaproponował, by odesłać dziewczynę. Taki ruch oznaczałby jednak rozbitcie jej kruchej rodziny, więc tego nie robi.

Scenka, której właśnie była świadkiem, miała w sobie szczególnego rodzaju zażyłość. Przypomniała jej o tamtym spojrzeniu między nią a Tomaszem, tym, które wywołało gniew króla i przyspieszyło to, co uważa za wypadnięcie z jego łask. Wie, ile znaczenia może mieścić w sobie taka chwila.

– Przecież dopiero co się pobraliśmy, i to z miłości – rzekła wtedy do Huicke’a.

– Kit... – Westchnął ciężko. – Męska miłość nigdy nie jest wyłączna; tylko kobiety naprawdę kochają całym sercem. Wiem o tym, bo jestem jednym i drugim.

Kiedyś powiedział jej w zaufaniu o rozwiązłości Udalla, a ona zapytała, czy nie wzbudza w nim zazdrości. „Nie – odparł – bo wiem, że on nic na to nie poradzi”.

Ale jej zazdrość narasta i nie ustanie. Nie rozbiję rodziny, mówi sobie. Zastanawia się, poza wszystkimi innymi myślami, czy Bóg w końcu wybrał dla niej karę: męczyznę, który będzie rozrywać jej serce w każdy możliwy sposób.

Nie może już nawet znaleźć inspiracji do pisania. Huicke namówił ją, żeby wysłała *Lamentację* do drukarni. Gdyby nie on, zajęta Tomaszem, nigdy by o tym nie pomyślała. Czuje się zagubiona w tej miłości, tonie w niej i wszystko, co wcześniej miało znaczenie, skurczyło się prawie do zera. Zadaje sobie pytanie, gdzie podziała się ta kobieta, która chciała być światłem przewodnim nowej religii.

*Lamentacja* zostanie opublikowana dzięki Huicke’owi i będzie pomnikiem tamtej ambitnej kobiety, mimo to Katarzyna czuje wewnętrzną pustkę. Reforma dzieje się bez niej; kierują nią Cranmer i lord protektor. Co miesiąc ogłaszane są nowe ustawy, w których zakazuje się świec, popiołów, kadzideł, modlitw po łacinie; płytami z rozbieranych ołtarzy brukuje się drogi. Reforma nabiera kształtu, o czym marzyła, ale już nie jest tym poruszona tak jak kiedyś. Nadal trwa w swoich przekonaniach, lecz zniknęły już marzenia o niesieniu pochodni. Jej grzechy są zbyt

wielkie. „Usprawiedliwienie jedynie przez wiarę”, szepcze z ironią i wzdycha, wspominając swoją ekscytację wieszczącym zmiany zaćmieniem Słońca i Kopernikiem, który zrewolucjonizował niebo. Postrzegając wówczas siebie jako nieodłączną część zmian i nawet przez chwilę wierzyła, że nie mogą nastąpić bez niej. „Jakże byłam zadufana w sobie i jaka kapryśna”, mruczy.

Elżbieta dopędziła Tomasza, a Katarzyna bierze się w garść, odnajdując w sobie siłę do walki. Podrywa wierzchowca do galopu, żeby do nich dołączyć. Muska pejczem zad konia Elżbiety, wołając: „Hej!”. Koń odskakuje w bok, a ona trąca piętami boki Pewtera i wypycha go między nich.

– Najdroższa. – Tom całuje czubki swoich palców i dotyka nimi jej policzka.

Elżbieta tłumi chichot, jej ramiona unoszą się i opadają – jest taka młoda i dziewczęca. Nagle relacja tej dziewczyny i Tomasza wydaje się Katarzynie całkiem niewinna i czuje się głupio, że dała się ponieść wyobraźni.

– Mamy dla ciebie niespodziankę – mówi Elżbieta.

– Jaką? – pyta Katarzyna i jej lęki ustępują.

– Jeśli powiemy – Tomasz się śmieje – to nie będzie niespodzianki.

Wewnętrzny zamęt przycicha, jej świat wraca do normalnego rytmu i razem wjeżdżają przez bramę na dziedziniec. Zsiadają z koni i przekazują je stajennym, zrzucając ubłocone peleryny i tupią nogami, żeby się rozgrzać.

– Chodź, matko. – Elżbieta bierze ją za rękę i prowadzi do pomywalni. – Musimy być bardzo cicho.

Na palcach podchodzi do niszy przy kominku, dając znak Katarzynie, by szła za nią. Policzki Elżbiety są zarumienione. We wnęce leży małpia żona Franciszka, Batszeba. Zwinięta w kłębek, śpi, przytulając maleńkie różowe małpiątko, które zaciska miniaturową dłoń na kępce jej sierści.

– To jest ta niespodzianka – szepcze Elżbieta.

Serce Katarzyny wydaje się lekkie jak powietrze, a jedynym dźwiękiem, jaki wydobywa się z jej ust, jest „Och”.

*Old Manor, Chelsea, marzec 1548*

NASTAŁ MARZEC, ALE JEST JESZCZE zimno. Huicke nie może się doczekać ciepłej pogody, ponieważ w wilgotnym chłódzie jego skóra jest napięta i czuje się w niej jak w za ciasnym ubraniu. Mimo lekkiej mżawki Huicke spaceruje z Katarzyną po ogrodzie nad brzegiem rzeki. Katarzyna trzyma go mocno pod rękę, a Rig truchta przed nimi, od czasu do czasu przystając, żeby coś powąchać. Katarzyna zachowuje się swobodnie i naturalnie, ze śmiechem opowiada zabawne historyjki o swoim gospodarstwie domowym i w zamian domaga się dworskich plotek.

Huicke nigdy nie widział jej w równie dobrym nastroju: opuściło ją napięcie, zniknęła drażliwość. Może jednak to małżeństwo wyszło jej na dobre. Odradzał jej ślub, sugerował, by Tomasz pozostawał tylko jej kochankiem, i nadal boli go, gdy widzi ją z kimś tak płytkim. Ale po tych nocach z odrażającym i cuchnącym królem zasłużyła sobie na kogoś pięknego w łóżku. Katarzyna zatrzymuje się, żeby podnieść płaski kamień, robi zamach i rzuca. Patrzą, jak podskakuje, całując powierzchnię wody sześć... siedem razy.

– Kiedy się tego nauczyłaś? – pyta ją, pełen podziwu.

– Urządzaliśmy z bratem zawody. Nigdy nie mógł mnie pokonać – odpowiada Katarzyna, po czym nagle się schyla i podnosi coś z brzegu rzeki.

– Co to?

Lekko rozwiera złożone dłonie i Huicke widzi przycupniętą żabkę, której maleńkie ciało pulsuje.

– Pocałuj ją – rzuca żartem. – Może zmieni się w przystojnego księcia. – Przypomina sobie, jak w Hampton Court z pasztetu w cieście wyskoczyły żaby. To był pierwszy sprawdzian, któremu król poddał przyszłą żonę.

– Mam już przystojnego księcia – odpowiada ze śmiechem Katarzyna i wypuszcza stworzonko, pozwalając mu skoczyć na skraj wody.

Huicke widzi, jaka jest zakochana. Chciałby, żeby nie była, ponieważ czuje, że stopniowo ją traci. Poza tym Seymour nie zaaprobowałby jej sam na sam z innym mężczyzną, nawet z nim, i skradli te chwile tylko dzięki temu, że Seymour akurat przebywa na dworze.

– Nie masz nic przeciwko temu, że on nie pozwala ci być samej z mężczyzną? – pyta.

– Co, jego zazdrość? Ani trochę.

– Ja nie mógłbym znieść czegoś takiego.

– Czy nie rozumiesz? To dowód jego miłości – mówi Katarzyna bez cienia ironii.

– Ale ja raczej nie stanowią zagrożenia.

Śmieją się z tego oboje.

– On nie jest zbyt spostrzegawczy w takich sprawach.

Jej słowa powodują kolejny wybuch śmiechu.

– Nie potrafi sobie wyobrazić, że jakkolwiek mężczyzna może nie pożądać czegoś, co należy do niego – dodaje Katarzyna.

Oto jej bezlitosne poczucie humoru. Dobrze widzieć ją taką beztroską, myśli Huicke, tak bardzo pewną siebie, mimo nowego męża. Nie może temu zaradzić i trochę go nienawidzi; to zazdrość, przyznaje sam przed sobą. Znał mężczyzn – takich jak Seymour – których jedynym celem jest nie kochać, ale być kochanym. Co więcej, być kochanym najbardziej ze wszystkich.



– Podoba ci się tutaj, prawda?

– Tak. Jestem szczęśliwa z dala od dworu i... – Katarzyna nie musi kończyć; oboje wiedzą, co ma na myśli.

– Krąży tam twoja książka. Powinnaś być dumna. Nie ma już więcej egzemplarzy, a każdy chce ją mieć.

Katarzyna schyla się po patyk i rzuca go Rigowi.

– W takim razie zwróć się do Bertheleta, żeby wydrukował więcej.

Huicke zauważa jej brak zainteresowania, jakby zgasł w niej ten intelektualny ogień, który kiedyś jasno płonął. Idą w milczeniu. Katarzyna zrywa gałązkę rozmarynu, pociera ją w palcach, przykłada do nosa i wdycha upojny zapach. Huicke zastanawia się, czy przyjaciółka pozwala sobie na myśli o śmierci starego króla i o swojej desperackiej prośbie, i czy ciąży to jej na sumieniu. Nie pytał. To pogrzebana mroczna sprawa, która ich łączy, coś, czego nie da się opisać słowami. Seymour nie może poznać tego sekretu.

Mżawka przechodzi w deszcz, który bębni i szumi wśród liści.

– Cieszę się, że tu jesteś, Huicke – mówi nagle Katarzyna, wciągając go pod osłonę altany z kamienną ławką.

Deszcz przynosi nowe zapachy, trawiaste i ziemiste.

– Powiedz mi: jak Udall? – pyta go. – Wymyśla cudowne przedstawienie dla młodego króla?

Rozmawiają trochę o Udallu i o jego wciąż wschodzącej gwiazdce, ale Huicke domyśla się, że Katarzyna czegoś mu nie mówi. Zimna wilgoć z kamienia przesącza się przez jego pończochy. Katarzyna papla dalej, nie zauważając zimna albo się nim nie przejmując. Wspomina sztukę Udalla, *Ralph Roister Doister*, i śmieje się z jego „zuchwałości”, jak to ujmuje. On jednak pamięta, jak wymuszony był jej śmiech w dniu, w którym wystawiono sztukę na dworze.

– Jest coś... – zaczyna Katarzyna, nagle poważniejąc. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, by wrócić do roli lekarza.

Wydaje się trochę zawstydzona. Huicke krzepiąco ściska jej ramię.

– O co chodzi, Kit?

– To naprawdę kobiece sprawy, ale chciałam cię spytać o przekwitanie. Widzisz... – Urywa. – Och, przecież mogę z tobą rozmawiać jak z kobietą... Nie wiem, dlaczego się wstydzę. Po prostu chodzi o to, że nie krwawię od trzech miesięcy i myślę, że może te rzeczy się dla mnie kończą. Nie jestem już młoda... ale... skąd mam wiedzieć, czy to już to?

Teraz wszystko nabiera dla niego sensu, jej rozkwit, dojrzałość.

– Kit, jesteś przy nadziei, postawiłbym na to ostatniego pensa! – krzyczy, chwytając ją za rękę.

– Ale... – Jej oczy zachodzą łzami. – Sądziłam, że dla mnie to już koniec. – Katarzyna ociera policzek wierzchem dłoni. – Mam urodzić dziecko? Nie śmiałam myśleć... to znaczy... Och, Huicke, brak mi słów. – Śmieje się między szlochami. – I teraz, gdy to powiedziałaś... tak, miałam poranne nudności... Spisałam to na karb nieświeżej ostrygi.

Jej szczęście go wzrusza, ale czuje, że traci ją jeszcze bardziej. Przepędza tę myśl, karcąc się za egoizm, za to, że pragnie jej całej dla siebie.

– Będę miała dziecko! Ledwo mogę w to uwierzyć. Kiedy powiem Tomaszowi... będzie szalał z radości.

*Old Manor, Chelsea, maj 1548*

KATARZYNA LEŻY WYCIĄGNIĘTA NA łóżku. Śnił jej się Henryk, jakby wciąż był jej mężem, i obudziła się raptownie, zdezorientowana, przepełniona tym znajomym wszechogarniającym strachem. Dopiero po dłuższej chwili uświadomiła sobie z ulgą, gdzie jest. Leży nieruchomo i czuje delikatne ruchy dziecka, ledwie zauważalne drgania, jakby miała w sobie uwięzioną ćmę. Zalewa ją bezbrzeżna radość, jakby świat wreszcie nabrał sensu.

Patrzy na zagłębienie w poduszce, gdzie w nocy spoczywała głowa Tomasza. Wróciła z dworu kompletnie wyczerpana, na barce oczy jej się zamykały, i położyli się razem. Tomasz był zły na brata i nie przestawał o tym mówić, ale jego słowa przepływały nad nią, gdy zapadała w sen. Już nie przejmuje się tym wszystkim, klejnotami, kto powinien iść przed kim, czy Tomasz zasiada w radzie... Liczy się dla niej jedynie życie, które w cudowny sposób rozkwita w jej brzuchu.

Myśli o twarzy Tomasza, kiedy mu powiedziała, o jego szerokim promiennym uśmiechu, jakby nic takiego nigdy wcześniej nie miało miejsca, jakby był pierwszym mężczyzną, który spłodził dziecko. Droczyła się z nim, nazywała go Adamem i czuła, że znów skupia całą uwagę na niej. Niemal słyszała, jak mąż w głowie snuje plany, buduje wielką dynastię na tym maleństwie w jej wnętrzu.

– Urodzisz w Sudeley – oświadczył. – Ten mały mężczyzna musi zacząć życie we własnym zamku. Przygotuję to miejsce. Uczynię je odpowiednim dla królowej, bo moje dziecko będzie synem królowej.

Porusza ją do głębi bycie w odmiennym stanie, czuje się bardziej kobietą niż kiedykolwiek wcześniej. Z każdym dniem, gdy dziecko głęboko w jej brzuchu się rozwija, jej pragnienie dotyku męża wzrasta. Tomasz jednak nie chce jej tknąć, bojąc się, że wyrządzi jej krzywdę. Katarzyna odchodzi od zmysłów z pożądania, a on tylko bierze ją w ramiona, gładzi po włosach i szepcze ciche słówka. Nigdy nie czuła się równie uwielbiana i równie sfrustrowana.

Jej rozmyślania przerywa ciche pukanie do drzwi.

– Proszę!

Wchodzi Dot. Ma czepek włożony na lewą stronę, z widoczną krajką. Po jej zarumienionej twarzy i rozbieganych oczach Katarzyna poznaje, że coś się stało. Dot rzadko jest zdenerwowana.

– Co się dzieje, Dot? Coś złego? – Poklepuje łóżko obok siebie.

Dot nie siada. Tworzy ciemny kontur, stojąc na tle jasnego popołudniowego światła w zachodnim oknie. Porusza ustami, ale nic nie mówi.

– Dot, o co chodzi? Czy coś z Williamem?

Dot w końcu odzyskuje głos.

– Nie ma sposobu, żeby to powiedzieć, madame. Ale pokażę. Musisz, madame, iść ze mną.

Katarzyna siada na łóżku, czując uderzenie krwi do głowy. Twarz Dot jest tak poważna, że niepokoi się, co to może znaczyć. Strach ściska jej serce.

– Powinnaś się na to przygotować, madame.

Katarzyna idzie z Dot długim korytarzem, przez galerię i po schodach do wschodniego skrzydła domu. Zastanawia się, gdzie są wszyscy, a potem przypomina sobie, że nadszedł czas modlitwy i muszą być w kaplicy. Jakby na dany znak rozbrzmiewa słaby dźwięk: przez podłogę przebija się śpiew. *Pan jest moim pasterzem; nie brak mi niczego. Pozwala mi leżeć*<sup>\*</sup>...

W ich stronę zmierza Astley.

Dlaczego ona się nie modli? Coś jest nie tak. Ktoś zachorował... Kobieta staje między Dot a drzwiami.

– Nie sądzę... – syczy.

– Przepuść nas, jeśli łaska, pani Astley – szepcze Dot.

Kobieta trzyma rękę na zasuwie, mocno zaciskając palce, choć nie potrafi wyjaśnić dlaczego. Jej usta otwierają się i zamykają jak pysk pstrąga, ale nie wydobywa się z nich ani jedno słowo... *Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach przez wzgląd na swoje imię...*

– Odsuń się – mówi w końcu Katarzyna, zdając sobie sprawę, że też szepcze, choć nie wie dlaczego; jest zdezorientowana tym wszystkim i traci cierpliwość.

Astley nadal trzyma zasuwkę jedną ręką, a drugą chwyta za rękaw Katarzyny i próbuje odciągnąć ją od drzwi... *Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękne...*

Katarzyna uwalnia rękę, a Astley chyba uświadamia sobie, co zrobiła, i pada na kolana.

– Wybacz mi, madame, błagam o wybaczenie.

– Na miłość boską – warczy Katarzyna. – Wstawaj.

Drzwi powoli się otwierają. Katarzyna widzi duże łóżko, częściowo zasłonięte kotarą, z pościelą w nieładzie. Spod kołdry wystaje długa blada noga,

a wyżej ręka, dłonią do góry, z szarą żyłą po wewnętrznej stronie przedramienia. *...bo Ty jesteś ze mną. Twój kij i Twoja laska są tym, co mnie pociesza...* Skóra wydaje się lepka, a komnatę przepęnia gorąca wilgotna woń, przeraźliwie znajoma.

– To Elżbieta, jest chora... – mówi bez tchu Katarzyna, a jej głowę wypełniają myśli o potach angielskich, a także opowieści, jak szybko mogą zabić, i wspomnienia tych, których znała, a których zabrała choroba.

Po chwili uświadamia sobie, że Elżbieta, która teraz lekko się porusza, nie leży sama; jest tam inna noga, ciemniejsza i większa, do połowy wysunięta spod kołdry.

Umysł Katarzyny potrzebuje chwili, żeby to ogarnąć. Myśli tylko o tym, że to ona wyhaftowała na kołdrze wzór malwy. Pamięta, jak pracowała nad nim dawno temu, pewnego lata w Hampton Court. Skupia się na nim – na każdym ściegu, kwiatku, supełku nici – żeby nie myśleć o tej drugiej nodze, bo jest to noga, którą zna tak dobrze, każdą jej skazę, każdy miesiąc, bliznę po tureckim mieczu, małe zagłębienie na goleni, pamiątkę po upadku na kamienny stopień.

Ktoś rozsuwa kotary. Na pewno Dot.

Katarzyna walczy, żeby ustać na nogach, kurczowo trzyma się słupka łóżka. *Tak, dobroć i łaska pójdą w ślad za mną przez wszystkie dni mego życia...* Tonie w powodzi czerni, która wznosi się ku jej głowie. Czuje, że upada, a później nie ma już nic.

## KATARZYNA OSUWA SIĘ NA ZIEMIĘ.

Jej głowa z przerażającym trzaskiem uderza o podłogę.

Wszystko zwalnia. Dot osuwa się obok niej na kolana. Katarzyna jest zimna, ale oddycha.

Seymour wyskakuje z łóżka – jego przyrodzenie się kołysze – chwytając poduszkę i szorstko odpycha Dot na bok. Kuca, unosi głowę Katarzyny i wsuwa pod nią poduszkę; gładzi jej twarz.

– Ukochana, ukochana.

Katarzyna cicho jęczy. Dot moczy szmatkę w dzbanie i kładzie jej na czole.

– Zamknij drzwi – warczy Seymour do Astley, która stoi z ręką przy ustach, gapiąc się, bezużyteczna.

A on, przykucnięty na podłodze, nagi i owłosiony, wygląda jak pół człowiek, pół bestia. Dot zbiera leżące na podłodze ubrania i rzuca je Elżbiecie. Dziewczyna się nie rusza. Patrzy z przerażeniem, podciągając koc pod samą brodę. Dot bez słowa zaciąga kotary przy łóżku.

– Okryj się – mówi do Seymoura, nie dbając o swój szorstki ton ani o to, do kogo się zwraca. – I lepiej wyjdź, zanim ktoś tu przyjdzie. Zajmę się królową.

Seymour, oniemiały ze wstydu, zbiera swoje rzeczy, wciąga pończochy i wkłada dublet, nie patrząc na nią ani na panią Astley, które zresztą i tak są zajęte Katarzyną. Wreszcie wymyka się z pokoju jak skarcony pies.

Katarzyna się nie rusza. Wygląda, jakby spokojnie spała, ale na jej czole w miejscu zderzenia z podłogą już pojawia się wielki ciemny siniak.

Dot wpada do głowy straszna myśl, że to ona do tego doprowadziła. Cały dom od miesiący plotkował o tym, co robią Seymour i Elżbieta. Nieraz próbowała powiedzieć o tym Katarzynie, ta jednak nie chciała przyjąć tego do wiadomości. „On jest po prostu czułym ojczymem, Dot – mówiła. – To nic więcej niż niewinna zabawa”.

Dot zdawała sobie sprawę, że poza siostrą Katarzyny, Anną, nie ma nikogo, kto powiedziałby jej prawdę – może tylko Huicke. Teraz żałuje, że nie była bardziej powściągliwa, przeklina swój porywczy charakter. Ale przecież przyprowadzając Katarzynę do tego pokoju, nie przypuszczała, że zobaczą coś gorszego niż Elżbietę na kolanach Seymoura, migdałących się na ławce pod oknem – przez myśl jej nie przeszło, że zastaną ich w łóżku.

Elżbieta, ubrana już, ale z włosami w nieładzie, rozsuwa zasłony łóżka, wygładza kapę, poprawia poduszki – zapewne nie robiła tego ani razu w całym swoim życiu.

– Pomóżcie mi – prosi Dot. – Musimy położyć ją na łóżku.

Chwyta ją pod pachy, a pani Astley za nogi. Katarzyna waży niewiele; nawet z dzieckiem w brzuchu jest lekka jak piórko i bez wysiłku przenoszą ją na łóżko, po czym przykrywają kołdrą. Dot otwiera okno, żeby wpuścić świeże powietrze i wypuścić smród spótkowania. Jest też odór moczu i ciemna wilgotna plama w palenisku. Mężczyźni są jak psy, myśli, sikają gdzie popadnie. Słyszy kroki ludzi wychodzących z kaplicy na dole.

– Sprowadź Huicke’a – rzuca do Elżbiety.

Dziewczyna patrzy na nią z rozdrażnieniem, czekając, aż ta przypomni sobie jej rangę, ale potem spogląda na nieprzytomną królową i idzie do drzwi.

– Poczekaj, lady Elżbieto! – woła pani Astley, chwytając ją za ramię. – Twój czepek. – Zakłada go na jej głowę, zawiązuje wstążki pod brodą i upycha pod niego włosy. – To musi wystarczyć – mówi.

Dot siedzi obok Katarzyny, gładzi jej dłoń.

– Madame, ocknij się – szepcze. – Proszę, ocknij się.

Powieki Katarzyny zaczynają drgać, oczy obracają się pod nimi. Wydaje z siebie głębokie westchnienie, co jakby przywraca ją do życia.

– Co się stało? – mamrocze, dotykając palcami siniaka. – Boli. – Przez chwilę wygląda na zdezorientowaną, marszczy brwi i się krzywi. – Powiedz mi, że

to nieprawda, Dot. Powiedz mi, że śniłam – mówi chrypliwym głosem, jakby te słowa ją zraniły.

– To nie sen, madame. Ogromnie mi przykro, ale to nie sen.

– Och, Dot. – Wydaje się, że to wszystko, co jest w stanie powiedzieć.

Ramiona jej opadają, zamyka oczy; wygląda jak umierający kwiat.

Wchodzi Huicke, a z nim Seymour.

– Co się stało? – pyta Huicke.

– Przecież mówiłem – burczy Seymour. – Upadła i uderzyła głową o podłogę.

Huicke widzi siniaka i cmoka. Spogląda na Dot, czekając na potwierdzenie.

Ta w milczeniu kiwa głową.

– Dobrze, zróbcie mi trochę miejsca.

Dot staje z boku.

– Jak długo była nieprzytomna?

– Nie więcej niż dziesięć minut – odpowiada. – Właśnie doszła do siebie.

– Kit – mówi Huicke cicho – powiedz mi, jak się czujesz.

– To nic takiego – szepcze Katarzyna. – Tylko mały guz. Ale dziecko... Czy mojemu dziecku nic się nie stało?

Medyk prosi Seymoura, żeby dla przyzwoitości wyszedł na czas badania.

Seymour odmawia niegrzecznie.

– Jest moją żoną, nie ma tu nic, czego bym nie widział.

Huicke zaciąga kotary i słyszą jego przyciszony głos, gdy pyta: „Czy są jakieś skurcze, jakieś dziwne widzenie?” – i na koniec oznajmia: „Nie ma trwałego uszkodzenia. Wygląda na to, że trzeba by czegoś więcej niż upadek, żeby zaszkodzić temu dziecku”. Wyłania się zza kotary i mówi do Seymoura:

– Ktoś musi zostać z nią na noc, dla pewności, że wszystko jest dobrze.

– Ja... – zaczyna Seymour.

Katarzyna mu przerywa.

– Chcę, żeby Dot posiedziała ze mną. Mogłabyś?

– Tak, tak – prychnął Seymour. – Oczywiście, to kobiece sprawy.

W końcu, po ostantacyjnym dotknięciu czoła żony, pogłaskaniu jej włosów i spulchnieniu poduszek, Seymour odchodzi, a wraz z nim pani Astley i Elżbieta, które stały w drzwiach jak dwa kołki w płocie, nie wiedząc, co ze sobą począć. Tylko Huicke i Dot zostają z królową.

Dot porządkuje śpiesznie zdejmowaną biżuterię Elżbiety – kilka pierścionków i bransoletek, naszyjnik z kosmykiem włosów uwieczonym w spince. Obok klejnotów leży nowa książka Katarzyny, otwarta, grzbietem do góry. Dot zalewa kolejna fala gniewu na dziewczynę.

Katarzyna dotyka rękawa Huicke'a.

– Byłam taka głupia. Powinnam była cię posłuchać. Miałeś rację, mój mąż nie jest takim mężczyzną, za jakiego go miałam.

– Wszyscy mamy prawo do błędów – mówi Huicke, unosząc jej rękę do ust.

Szepcze coś do niej. Wyglądają jak zakochani i Dot myśli: jaka szkoda, że Huicke jest jednym z tych. (Wie, bo kiedyś widziała, jak obmacywał się z tym dramatopisarzem za areną do walk kogutów w Whitehall).

– Co mam zrobić? – Katarzyna wzdycha.

– Sama wiesz co, Kit. Dziewczyna musi odejść, choćby dla ocalenia jej reputacji. A co do twojego męża... – Huicke nie kończy.

Ale prawda zawarta w niedopowiedzianych słowach wisi w komnacie – w sprawie męża Katarzyna nie może nic zrobić.

ELŻBIETA STOI PRZED NIĄ. Bardziej niż kiedykolwiek wygląda jak małe dziecko, do cna wyzbyta swojej pewności siebie.

– Usiądź. – Katarzyna klepie miejsce obok.

Nie potrafi znaleźć w sobie nienawiści do dziewczyny; to Seymour jest winny. Mimo to wybaczenie nie przychodzi jej z łatwością.

Elżbieta siada, ale nie może spojrzeć jej w oczy i bawi się perłami zdobiącymi dół rękawa.

– Matko, nie wiem... – mamrocze.

Katarzyna przerywa jej. W tej chwili nie zniosłaby rozmowy o szczegółach.

– Pojedziesz do domu lorda Denny'ego w Cheshunt. Wszystko już zostało umówione. Lady Denny jest siostrą pani Astley, o czym z pewnością wiesz.

Elżbieta kiwa głową.

– Zrobię wszystko, co każesz. – Nagle osuwa się na podłogę i wtula głowę w jej kolana. – Nie potrafię wyrazić, jak bardzo nienawidzę siebie za to, co ci zrobiłam, matko. – Jej głos jest stłumiony.

– Wstawaj. Przestań się ukrywać. Co się stało, to się nie odstanie. Musisz się z tym pogodzić. – Katarzyna jest zaskoczona swoim gniewem; sądziła, że zdoła ukryć go lepiej.

Elżbieta zaczyna się podnosić.

– Zrobię wszystko, by ci to wynagrodzić.

– Musisz tylko posłuchać mojej rady, Elżbieto. Od wielu lat chodzę po tej ziemi i nauczyłam się pewnych rzeczy. Ucieszyłabym się, gdybym wiedziała, że także zdołasz się ich nauczyć, zanim zniszczysz sobie życie.

– Nauczę się, obiecuję.

– Musisz zrozumieć, Elżbieto, że namiętność przemija. Ma niewielkie znaczenie w ogólnym rozrachunku. A ty pozwalasz, by kierowały tobą namiętności. To ty masz nad nimi panować.

Elżbieta kiwa głową. Katarzyna ledwie rozpoznaje tę potulną dziewczynę.

– Masz kapryśną naturę i musisz znaleźć sposób, żeby wziąć ją w karby. Znajdź w sobie trochę stałości, a odniesiesz z niej wiele pożytku. – Ogarnia ją smutek. Jej rodzina się rozpada, ale wciąż wrze z gniewu i musi go podsycać, żeby nie zapomnieć. – To, co się wydarzyło... to... – Nie wie, jak ubrać to w słowa, nie może się zmusić, żeby nazwać rzecz po imieniu: zdrada. – Są w życiu chwile, z których wynosimy ważne lekcje, i czasami właśnie tych momentów najbardziej się wstydzimy. To może stać się osią, wokół której się obracasz, Elżbieto. To może zdecydować o twoim losie... Pomyśl nad tym.

Dziewczyna wydaje się przybita i naprawdę skruszona. Katarzyna cieszy się, że nie płacze krokodylimi łzami i nie błaga o wybaczenie ani nie próbuje usprawiedliwiać swojego postępk.

– Nie chcesz, żeby ludzie nazywali cię córką twojej matki. To byłby twój koniec.

– Moja... moja matka była... – zaczyna Elżbieta, a po chwili wahania mówi jakby co innego, niż zamierzała powiedzieć. – Nie znałam jej.

– Ani ja. – Ale Katarzyna słyszała wystarczająco dużo o Annie Boleyn. – Wiem tylko, co mówili o niej ludzie, Elżbieto, i właśnie tak została zapamiętana, bez względu na to, jaka była naprawdę. Nie chcesz być pamiętana z tego, co tu zaszło, bo to przylgnie do ciebie i nigdy nie zniknie.

– Żałuję, że to się stało. Zniszczyłam miłość, którą mi dałaś... – Oczy Elżbiety straciły swój blask, są pociemniałe z żalu.

– Odsyłam cię dla twojego dobra, nie dla mojego. A teraz chodź. – Katarzyna przyciąga dziewczynę. – Pocałuj mnie, bo nie zobaczymy się przed twoim wyjazdem.

Elżbieta całuje ją w policzek, a ona nie może przestać myśleć o Judaszu.

Po chwili namysłu, gdy dziewczyna odwraca się już do wyjścia, Katarzyna daje jej kolejną radę.

– Uważaj, Elżbieto, kogo zgodzisz się poślubić, bo gdy obrączka raz znajdzie się na twoim palcu, stracisz wszystko. A jesteś dziewczyną, która lubi trzymać wodze.

Drzwi się zamykają. Katarzyna ze łzami w oczach zastanawia się, czy przez cały czas myliła się co do niej. Myślała, że nikt nie rozumie Elżbiety. Anna jej nie lubi – podobnie jak Dot. Zastanawia się, czy ona też, tak jak Meg, dała się zwieść jej urokowi. Skoro dała się nabrać na urok Seymoura – teraz myślenie o tym pozbawia ją sił – to dlaczego również nie Elżbiety?

\* Tu i dalej: Ps 23 (22), 1–4, 6.



# 13



*Old Manor, Chelsea, czerwiec 1548*

ELŻBIETA WYJEŹDŹA JUTRO, I KRZYŻYK na drogę. Dot nie może się doczekać, kiedy zobaczy jej plecy. Katarzyna zachowuje się tak, jakby nic się nie stało, Dot jednak dostrzega w niej zmianę, wewnętrzną kruchość, którą widziała już wcześniej. Katarzyna często mówi o dziecku – to ją uspokaja. Dot marzyła o tym, by zostać niańką niemowlęcia, ale to niemożliwe, bo sama jest przy nadziei. Dopóki nie urósł jej brzuch, nie powiedziała o tym nikomu – poza Williamem, który omal nie zwariował z radości. Ukrywała swój sekret, ale minęło już pięć miesięcy i dłużej nie da się go skrywać.

„Musisz odejść i założyć własny dom. Musisz myśleć o dziecku i o mężu”, powiedziała jej Katarzyna; sama planowała przeprowadzkę do zamku Sudeley, żeby tam urodzić dziecko.

Dot czuła się zrozpaczona perspektywą rozstania i protestowała, ale Katarzyna była stanowcza, a ona dobrze wie, że gdy jej pani raz podejmie decyzję, próba przekonania jej mija się z celem. Czuje się jednak chora na myśl, że ma zostawić ją z tym mężczyzną. Katarzyna w przeddzień ślubu z królem powiedziała, że życie często układa się w sposób, jakiego najmniej się spodziewamy, i Dot uznała, że to szczerza prawda. Zarówno Katarzyna, jak i ona wyszły za mąż z miłości. Popęłniły głupstwo – i wedle wszelkich reguł obie powinny tego żałować, Dot jednak nigdy nie była szczęśliwsza niż ze swoim Williamem Savage'em. Pamięta, jak w kółko powtarzała jego nazwisko, dodając je do swojego imienia: Dorothy Savage. Wtedy była to tylko fantazja, mrzonki, które nie miały prawa się spełnić. A jednak się spełniły: jest Dorothy Savage. Już na samą myśl o mężu drży z pożądania, nawet teraz, ponad półtora roku po ślubie.

Znalazła swoje szczęśliwe zakończenie. Kto by pomyślał, że William Savage, którego przez tak długi czas uważała za hultaja, okaże się najmiłszym, najśłodszym

człowiekiem, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi? To Seymour okazał się łajdakiem.

Tak więc przeprowadzają się. Katarzyna i jej domownicy jadą do Sudeley, a ona do swojego majątku Coombe Bottom w Devonie – ma własny dworek i jest szlachcianką, kto by pomyślał! Elżbieta już jest w Cheshunt u lady Denny, bardzo surowej pod każdym względem. Dot pomaga Katarzynie pakować kosztowności. Tyle razy pakowała i rozpakowywała jej rzeczy, a teraz robi to najpewniej po raz ostatni. Trudno będzie odzwyczaić się od tego.

– W przypadku mężczyzn nie ma sposobu poznać, który jest zgniłym jabłkiem – mówi Katarzyna. – A może nasze pragnienie zaciemnia nam osąd. W każdym razie, Dot, cieszę się, że masz swojego Williama Savage’a.

– Ale co z tobą, madame? – pyta Dot.

– Jedną z rzeczy, jakich cię nauczyłam, jest to, że nigdy się nie dowiesz, jaki los cię czeka.

Był taki czas, kiedy Katarzyna raczej powiedziałyby coś w rodzaju: „Nigdy nie poznasz boskiego planu”. Zmieniła się. Ale przecież wszyscy się zmienili. Dot rozmyśla o wizycie u mamy i o tym, jak poczuła wówczas, że już nie należy do swojej rodziny, że zostawiła ich za sobą, nawet o tym nie wiedząc. Zastanawiała się, co ją najbardziej zmieniło: umiejętność czytania, tygodnie w Newgate czy czas spędzony w królewskich pałacach.

Czasami myśli o tym, jak w dzieciństwie wyobrażała sobie króla i jego dwór na wzór króla Artura i Camelotu i jak zdążyła się przekonać, że prawda wygląda zupełnie inaczej. Camelot istnieje jedynie w jej wyobraźni; prawdziwy dwór może być piękny na zewnątrz, ale w środku jest brzydki niczym grzech. Zastanawia się, czy opowieści o rycerzach i dziewicach nie są tylko bajkami dla dzieci, i wie, że z nich wyrosła. Pewnego dnia, za setki lat, ludzie będą snuć historie o dworze króla Henryka i jego romantyczności – o królu Henryku VIII i jego sześciu żonach. Ale czy opowiedzą o wszechobecnym strachu, czy też może odmalują te czasy jako złoty wiek?

Dzielią na pary stos obszytych klejnotami rękawiczek i zostaje im jedna.

– Gdzie się podziewają te pojedyncze rękawiczki? – mówi ze śmiechem Katarzyna, umieszczając resztę w pudełku. Odchyła się do tyłu i przykłada ręce do brzucha. – Dot, poczuj go. – Bierze jej dłoń i kładzie na swoim okrągłym brzuchu.

Dot czuje pod palcami ruch, jakby pływała tam ryba.

– Och... – Wzdycha, myśląc o swojej małej rybce wijącej się w jej wnętrzu, o zupełnie nowym życiu, które pozostaje niewiadomą. – Wiercipięta.

Zawsze mówią o dziecku jako o chłopcu, nie dopuszczając myśli, że może być inaczej.

– Muszę myśleć o tym maleństwie, Dot. Dzięki niemu jestem szczęśliwsza niż kiedykolwiek i chociaż cię tracę, mam wokół siebie kilkoro prawdziwych przyjaciół. I dostałam list od Marii. – Katarzyna wyciąga z sakiewki papier, rozkłada go i macha nim, jakby chciała udowodnić sobie, że on istnieje. – Jesteśmy pojednane. To ten mały mężczyzna – klepie się po brzuchu – ożywił naszą przyjaźń. Jeszcze się nie narodził, a już czyni dobro dla nas wszystkich. Cóż za błogosławieństwo.

– Zastanawiam się, jak sobie poradzę bez twojej mądrości, madame. – Dot czuje głęboko w sobie bolesne szarpnięcie, jak podczas wyrywania zęba, oznaczające początek rozłąki.

– Mądrości, ha! – Katarzyna śmieje się nerwowo.

Dot nie jest pewna dlaczego. Czy mądrość nie jest taka, jak się ją wychwala, czy też jej pani nie uważa się wcale za mądrą?

– Proszę. – Katarzyna bierze wysadzaną granatami złotą bransoletkę i wsuwa na jej nadgarstek. – Noś to na szczęście, żeby wszystko było dobrze z dzieckiem.

Dot uśmiecha się i unosi rękę, z zachwytem patrząc na bransoletkę.

– Dziękuję. Nie tylko za to... dziękuję za wszystko.

– Nie ma potrzeby dziękować. – Katarzyna nagle robi się szorstka, wydaje się zakłopotana.

Dot zastanawia się, czy ona też czuje ból rozłąki.

– Tęsknię za krzyżem mojej matki – mówi Katarzyna. – Ciekawe, czy ta kobieta kiedykolwiek go zwróci.

Dot obraca bransoletkę i myśli o swojej przyszłości. Mała Min i jej rodzina są już w Coombe Bottom – zastanawia się, jak to będzie mieszkać z siostrą. Tak mało o niej wie, bo gdy opuściła Stanstead Abbots, Mała Min miała zaledwie osiem lat. Dot myśli o rosnącym w niej życiu i o swoim drogim Williamie, wyobraża sobie ich przyszłość jak ogród tuż przed kwitnieniem – na każdej grządce co innego, tu lawenda, tam róże, nasturcje, malwy i zioła, z których będzie robić lekarstwa, jak nauczyła ją Katarzyna, by dbać o swoją rodzinę. W dali, niewyraźne i nieukształtowane, bo nie bardzo wie, jak wygląda, rozciąga się morze. William mówi, że z ogrodów w Coombe Bottom widać morze.

– Przypuszczam, że z czasem – odzywa się Katarzyna, jakby głośno myślała – znajdę sposób, by wybaczyć Elżbiecie.

– Ale jak możesz jej wybaczyć? – Dot nie wyobraża sobie czegoś takiego. Przerywa składanie pościeli i spogląda pytająco na swoją panią.

– To nie Elżbieta uczyniła Seymoura takim, jaki jest. Zawsze był taki. – Katarzyna patrzy jej w oczy. – Tylko ja tego nie widziałam.

– Ale...

Królowa unosi rękę, żeby ją uciszyć.

– Elżbieta jest... – Urywa z westchnieniem. – Ma dopiero czternaście lat. – Unosi ręce, żeby rozpiąć naszyjnik; to ładny łańcuszek ze złotymi stokrotkami, emaliowanymi na żółto i biało. Dot podaje jej szkatułkę i Katarzyna wkłada naszyjnik do jednej z wyłożonych jedwabiem przegródek. – Elżbieta bardziej niż ja cierpi za swoje czyny. Lepiej jest zostać zdradzonym niż zdradzić. To łatwiejsze.

Ale Dot nie może wybaczyć Elżbiecie. Była przerażona tym, co zobaczyła tamtego dnia. Poczuli się, jakby sama została zdradzona. Żałuje, że zaprowadziła Katarzynę do komnaty Elżbiety. William zawsze powtarzał, że wtrącanie się w cudze sprawy nie przynosi niczego dobrego, i miał rację. Nie mogła jednak się powstrzymać i jej lojalność wobec Katarzyny stała na pierwszym miejscu. Choć jeśli ma być szczerą, zrobiła to również z nienawiści do Elżbiety. Tylko że skończyło się na tym, że to Katarzyna została zraniona. Czy byłoby lepiej, gdyby się nie dowiedziała?

Dot chciałaby być bardziej podobna do Katarzyny, wybaczać zamiast żywić urazę. Ale nadal obwinia Elżbietę o niedolę Meg, obwinia ją bardziej nawet niż Murgatroyda. Jak to wyjaśnić? Meg powiedziała, że Bóg wystawia jej wiarę na próbę, jak Hioba; ona nie widzi tego w taki sposób. Nigdy nie zrozumiała historii Hioba.

Elżbieta jest dla niej zagadką. Dzień przed jej wyjazdem Dot usłyszała, jak rozmawiała z Jane Grey, gdy leżały obie w wysokiej trawie w głębi sadu. To jej przypomniało, jak z Meg ukrywały się w sadzie w Whitehall i dzieliły się sekretami.

Tamtego dnia była nad stawem z małym Nedom Herbertem i liczyli ryby. Elżbieta przeszła obok, pod rękę z Jane Grey, nawet nie patrząc w jej stronę – nic nowego. Ale Jane pomachała do Dot i wykrzyknęła słowa powitania, z tym swoim promiennym uśmiechem. Dot cieszy się, że Jane jedzie do Sudeley z Katarzyną. Jane jest słodka, choć dość poważna. Zawsze z nosem w książce – zwykle w Biblii. Pod tym względem trochę przypomina jej biedną Meg, ale jest uśmiechnięta i znacznie bardziej pogodna.

W ogrodzie usłyszała, jak Jane pyta o nią Elżbietę – z jakiej rodziny pochodzi Dot? Nie mogła się powstrzymać i żeby lepiej słyszeć, podkraśliła się bliżej, z małym Nedom, któremu wyjaśniła, że bawią się w szpiegów.

– Jest córką strzecharza, dasz wiarę? – prychnęła drwiąco Elżbieta, zrzucając czepek; rozsznurowała suknię i ze śmiechem padła na trawę.

Jane wzruszyła ramionami.

– Jej mąż gra jak anioł. A poza tym ją lubię.

– Doprawdy?

Czasami trudno odpowiedzieć Elżbiecie, więc Jane się nie odezwała.

Elżbieta wyciągnęła źdźbło trawy, wsunęła je między kciuki i dmuchnęła, żeby zaśpiewało.

– Co byś zrobiła, gdybyś przez jeden dzień była mężczyzną?

– Nie potrafię sobie tego wyobrazić – odparła Jane.

– Pomyśl o władzy. Chciałabym poczuć, jak to jest mieć wszystkie kobiety na świecie na swoje rozkazy. Sądzę, że byłabym dobrym mężczyzną.

Zamilkły. Dot pomyślała wtedy, że już teraz wszyscy robią to, co każe im ta dziewczyna.

– Królowa nie chce mnie widzieć... – wybuchła nagle Elżbieta. – Wiesz, co zrobiłam, Jane?

Jane w milczeniu pokręciła głową.

– Zdradziłam ją i nie zobaczy się ze mną przed moim wyjazdem.

– Czy mam jej przekazać jakąś wiadomość od ciebie? – spytała Jane.

– Tak. Powtórzysz jej, że wzięłam sobie do serca każde jej słowo i że mam nadzieję, iż pewnego dnia zdoła mi wybaczyć?

– Na pewno to zrobi. Jest jedną z najbardziej wyrozumiałych osób, jakie w życiu spotkałam.

– Być może. Ale nie znasz, Jane, ogromu mojej zdrady... – Elżbieta zerwała stokrotkę i obracając ją w palcach, podjęła: – Powiedziała mi, że jestem dziewczyną, która lubi trzymać wodze. Jak myślisz? Jestem kimś, kto lubi trzymać wodze?

Jane zerwała drugą stokrotkę i podała kuzynce.

– Tak sądzą. Nie lubisz, gdy tobą rządzą.

– Czy to czyni mnie bardziej mężczyzną niż kobietą? – Elżbieta roześmiała się gorzko i nie czekając na odpowiedź, wyznała: – Wiesz, spałam z jej mężem.

Jane głośno jęknęła, zakrywając usta, i zarumieniła się z zakłopotania.

– Nie potrafię wyjaśnić dlaczego – ciągnęła Elżbieta. – Próbowałam to pojąć, ale nic z tego. Czasami nie umiem oprzeć się pewnym rzeczom, chociaż są straszne. – Przekręciła się na brzuch i podparła na łokciach, kładąc podbródek na dłoniach. Zerwała łańcuszek ze stokrotkami i spadł na ziemię. – Robię różne rzeczy, żeby poczuć się żywa, ale później czuję się jeszcze bardziej martwa.

Jej ciemne oczy zasnuły łzy, co dotychczas Dot uważała za niemożliwe. Zawsze wyobrażała sobie, że Elżbieta jest zrobiona z suchych, twardych, wytrzymałych rzeczy i nie ma w sobie ani kropli płynu.

– Nienawidzę tego człowieka bardziej niż samego diabła.

– Seymoura?

– Tak. I jestem tak przepełniona żalem, że nie wiem, co ze sobą począć. Ona jest jedyną znaną mi matką. Jestem jak chłopiec, który wyrzywa muchom skrzydełka i patrzy, jak cierpią. – Zamrugnęła, żeby przepędzić łzy, odetchnęła i mówiła

dalej: – Wiesz, że zalecał się do mojej siostry Marii, a kiedy bezceremonialnie go odprawiła, spróbował tego samego ze mną. Pewnie miał mnie za głupią, skoro wyobrażał sobie, że wyjdę za niego bez zezwolenia rady i zaryzykuję utratę głowy. – Jej głos wydawał się gorący ze złości. – A później ożenił się z królową.

– Seymour próbował poślubić lady Marię i ciebie? Myślałam, że pobrali się z królową z miłości, że byli zakochani...

– Ha! – Elżbieta nie pozwoliła jej dokończyć. – Miłość. Czym jest miłość? Bardziej ambicją. Nie udało mu się zdobyć ani jednej, ani drugiej, więc po nich wdowa po królu była najlepsza. Co o tym myślisz, Jane?

– Ja... nie wiem, co myśleć.

– Chciałby mieć ciebie, Jane Grey, gdyby mógł. Masz w żyłach porządną miarkę królewskiej krwi.

Na twarzy Jane odmalowało się przerażenie.

– Żartuję, żartuję. – Elżbieta zaśmiała się gorzko. – Sądzę, że mając jedenaście lat, jesteś za młoda nawet dla Seymoura.

– Ale...

– Żadnych „ale”, Jane. Założę się o całe złoto chrześcijańskiego świata, że gdyby jutro królowa padła martwa, Seymour zapukałby do moich drzwi.

Jane ze zgrozą wciągnęła powietrze przez zęby.

– Jeśli chcesz ode mnie rady – mówiła dalej Elżbieta – nie wychodź za mąż... – Urwała i jej słowa zawisły w powietrzu.

Dot chyba pomyślała wtedy, jak pusta jest ta rada, bo przecież obie zostaną z kimś związane, czy im się to podoba, czy nie.

– A wiesz, co jeszcze powiedziała mi królowa? Że to, co przynosi nam największy wstyd, może być dla nas najwspanialszą lekcją... Wierzysz w to, Jane?

– Jeśli posłucha się przypowieści, taka jest prawda – odparła Jane i żeby nie patrzeć na Elżbietę, śledziła wzrokiem trzmiela fruującego z kwiatka na kwiatek.

– Jesteś mała, dobra i bogobojna, prawda?

To docinek, ale Elżbieta już taka jest, nie może się powstrzymać. Dot myśli, że nigdy jej nie zrozumie – ale być może nawet sama Elżbieta nie rozumie siebie.

*Zamek Sudeley, Gloucestershire, sierpień 1548*

KATARZYNA LEŻY W CICHEJ, ZACIENIONEJ komnacie, czekając na narodziny dziecka. Mówią, że podczas rozwiązania kotary powinny być zaciągnięte, a okna szczelnie pozamykane, ale za każdym razem, gdy zostaje sama z Mary Odell, rozsuwają zasłony i otwierają okna na oścież, rozkoszując się letnim światłem i ciepłym wiatrem. Pod oknem rozciąga się ogród węzłowy, misterny jak orientalny dywan, a na jego krańcu połyskuje ozdobny staw rybny, który

przypomina jej o małym siostrzeńcu Nedzie, uwielbiającym oglądać karpie w sadzawce w Chelsea. To z kolei budzi w niej słodką tęsknotę za Dot, bo zawsze widywała ją z nim nad wodą, wskazującą mu ryby. Mary Odell jest miła i chętna do pomocy, choć trochę powolna: zupełnie inna niż Dot, która mimo że chodziła z głową w chmurach, umiała odgadnąć jej pragnienia, zanim jeszcze sama je sobie uświadomiła. Bliższa niż krewni, tak zawsze będzie myślała o kochanej Dot. Byłaby rada z wizyty siostry, ale mąż Anny zasiada w nowej Tajnej Radzie i lubi mieć ją przy sobie na dworze. Anna przyjedzie dopiero po narodzinach dziecka.

Katarzyna widzi tylko złote kamienne blanki kaplicy Świętej Marii, a za nimi rozciągający się w dal spragniony wody park pełen wiekowych drzew i jeleni. Ze wszystkich wspaniałych pałaców i zamków, w których mieszkała przez lata, tu najbardziej czuje się jak w domu. Chciałaby poznać to miejsce, ale musi tkwić uwięziona w ciemnych jak grób komnatach, dopóki nie powije dziecka.

Lizzie Tyrwhitt wraca, sapie i gdera, zamykając wszystkie okna i zaciągając kotary, i żąda, by Mary Odell jej pomogła. Mary pomaga, chociaż ramiona jej drżą od tłumionego chichotu, bo gdy tylko Lizzie zniknie, jej pani będzie chciała znów wszystko pootwierać. Katarzyna lubi Lizzie; spędziła z nią wiele czasu w minionych latach. Są szwagierkami z jej pierwszego małżeństwa z Edwardem Burghiem i przez krótki okres mieszkały razem w Gainsborough Hall. Ale Lizzie potrafi być nieznośnie uparta, jeśli chodzi o wszystko, co ma związek z porodem.

Każdego popołudnia przychodzi Jane Grey z Leviną Teerlinc, która niedawno przybyła, by namalować dla króla podobiznę dziewczynki. Często siedzi z łbem swojego psa Hero na kolanach i szkicuje je wszystkie, zajęte swoimi cichymi sprawami, usypiając je skrobaniem węgla drzewnego po welinie. Levina ma dar uwieczniania drobiazgów: gest Mary Odell, gdy odgarnia włosy wierzchem dłoni; krzątania Lizzie; poważna zmarszczka na czole Jane, gdy czyta na głos *Parafrazy*. Jane jest żądna wiedzy i często porównuje łacińską i angielską wersję Erazma. Katarzyna wciąż jest dumna ze swojej roli w tłumaczeniu Erazma i przypomina sobie mężów, którym czytała tę książkę – ale nie Tomaszowi. Tomasz ledwie może usiedzieć na tyle długo, by pomodlić się o bezpieczne narodziny dziecka.

Teraz, gdy wrócił z Londynu, by czekać na rozwiązanie, w tych pokojach nie może przebywać żaden mężczyzna z wyjątkiem Huicke'a i kapelana Parkhursta. I Tomasz toleruje tych dwóch tylko dlatego, że nie może odmówić jej ani lekarza, ani duchownego. Kiedy są u niej, zawsze im towarzyszy i nie spuszcza z nich oka: jego zazdrość osiągnęła niebotyczne rozmiary. Ogrodnik już nie przychodzi codziennie ze świeżymi kwiatami z ogrodów; nawet jej szambelan i pisarz nie mają prawa wstępu. Katarzyna pamięta, jak nie tak dawno postrzegala zazdrość Tomasza jako świadectwo jego miłości. Jakże się myliła.

Tomasz jest niczym chłopiec z greckiego mitu, skazany na bezustanne patrzenie na własne odbicie. Jak on się zwał? Ma wrażenie, że ostatnio wiele rzeczy umyka jej z pamięci. Lizzie Tyrwhitt mówi, że to przez ciążę. Katarzyna ma nadzieję, że taka jest prawda, bo ledwie może dotrzeć do końca zdania, nie zapominając początku.

Tomasz jest jednak bardziej troskliwy niż kiedykolwiek. Wykorzystuje swój urok, prosząc panny, by dostarczały jej świeże owoce z sadu, wina z ziołami z piwnicy, słodycze z kuchni. Sam codziennie przynosi podarki: wysadzany klejnotami wachlarz, tomik wierszy, bukietek fiołków... Siedzi przy niej godzinami, czytając jej na głos i przekazując plotki z Londynu; wciąż twardo obstaje przy tym, że będzie negocjował małżeństwo Jane z królem. Jego nadzieje wzrosły, ponieważ pięcioletnia szkocka królowa Maria wypadła z gry. Jest zaręczona z delfinem i wkrótce pojedzie do Francji, by zamieszkać z francuską rodziną królewską. Pewnego dnia zostanie królową Francji i Szkocji, biedne dziecko. Tymczasem Tomasz nadal daje upust złości na brata z powodu jej klejnotów. Relacje braci są coraz gorsze i jego gniewne listy pozostają bez odpowiedzi.

Wszystko to przestało ją interesować; pozwala, by słowa przepływały nad nią, słucha jednym uchem, obojętnie. Jej uczucia do Tomasza zmieniły się nieodwracalnie tamtego dnia w Chelsea; miłość zniknęła jak woda w dziurze. Badając teraz swoje serce, odkrywa, że wybaczyła Elżbiecie. Dostaje od niej listy, nieśmiałe, przeprasające, pełne smutku, wzruszające. Jest pewna, że błąd Elżbiety wpłynie na jej całe życie, i teraz tylko z czułością myśli o tej zagubionej dziewczynie. Swoje małżeństwo uważa za układ, jak większość poprzednich, i stara się myśleć o nim bardziej jak o kolejnym epizodzie niż o błędzie. Ostatecznie Tomasz dał jej dziecko.

Nieustannie rozmyśla o dziecku i wyobraża sobie, że Bóg jej przebaczył – bo to błogosławieństwo, po tylu latach pustki, z pewnością jest darem od Niego. Wzięła *Lamentację* i przegląda własne słowa, zaskoczona pasją i żarem, jakie kiedyś odczuwała – gdy wszystko było inne. Nazywa w głowie tamten okres „przed”, jak Ewa przed upadkiem. Od tamtej pory zmieniła się nieodwracalnie, straciła pewność co do różnych spraw, łącznie z wiarą – ale z tym tworzącym się w niej cudownym darem czuje, że nurt niesie ją w lepsze miejsce. Píše więc do Elżbiety, swojej drogiej czarnej owcy, i zachęca ją do przeczytania książki, by nauczyła się z niej, jak ma odłożyć na bok słabość i próżność.

– Katarzyno – mówi Tomasz – czy ty mnie słuchasz?

– Zamyśliłam się.

Są sami. Katarzyna leży na łóżku w luźnej sukni, zarumieniona z gorąca, bez tchu. Jest ogromna, brakuje jej miejsca w płucach na powietrze i czuje pod



żebrami ciągły ucisk – przypuszczalnie maleńkiej stópki lub dłoni. Dobre samopoczucie przepadło, drętwieją jej stopy i ma obolałe plecy; leży na boku, podparta poduszkami, bo w pozycji na wznak omdlewa.

– O czym myślałaś?

Jego barwinkowe oczy rozbłyskują w sposób, który kiedyś uważała za cudowny; teraz widzi je takie, jakie są naprawdę: to fałszywe klejnoty. Chce powiedzieć, że myślała, jak bardzo ją rozczarował, ale się powstrzymuje.

– O naszym dziecku.

– O naszym synu. Damy mu na imię Edward, po królu. Dokona wielkich rzeczy ten nasz chłopiec. Syn królowej, kuzyn króla, osiągnie wyżyny.

– Tak – mruczy Katarzyna – wyżyny. – Potajemnie pragnie córki, ale ledwie przyznaje się do tego sama przed sobą, bo przecież każdy ma chcieć syna.

Huicke po cichu wchodzi do pokoju i czeka tuż za progiem na pozwolenie Seymoura.

– Przyniosłem napój wzmacniający dla królowej – mówi.

– Co w nim jest? – pyta Tomasz.

– Trochę krzepiących ziół. – Huicke nalewa miarkę ze słoja i podaje jej kubek.

Tomasz chwyta go za rękę.

– Co dokładnie? – rzuca szorstko i podsuwa kubek pod nos, żeby powąchać zawartość. – Chcę wiedzieć, co dajesz mojej żonie. – Jak zwykle jest apodyktyczny. Robi to tylko po to, by zaznaczyć, że ma kontrolę, myśli Huicke.

– To napar z liści maliny, wiązówki i pokrzywy – odpowiada.

– Na co to jest? – Seymour mocniej ściska jego rękę.

– Liść maliny ułatwia rozwiązanie, a wiązówka łagodzi zgagę.

– A to trzecie...? – syczy.

– Pokrzywa, lordzie, dodaje siły.

Seymour puszcza jego rękę i podaje kubek Katarzynie, a ona wypija napar.

– Od tej chwili ja podaję napary królowej. Zrozumiano?

Huicke wyobraża sobie, że wymierza mu policzek, a nawet wali go pięścią lub przeszywa ostrzem i patrzy, jak broczy krwią.

– Huicke – Katarzyna oddaje puste naczynie – zupełnie zdrętwiały mi stopy.

– Pomasuję je. – Huicke siada w nogach łóżka, kładzie na swoich kolanach jej drobne stopy i masuje je dłońmi w rękawiczkach.

– Ja to zrobię – warczy Seymour, wstając. – Przesuń się!

– Jak sobie życzysz, lordzie admirale. – Huicke odsuwa się na bok i patrzy, jak Seymour nieufnie bierze w ręce stopy żony, jakby były parą martwych bażantów, które trzeba oskubać i wypatroszyć.

– Trochę mocniej, mój drogi – prosi Katarzyna.

Huicke podchwytuje jej spojrzenie i widzi, że z krzywym uśmiechem przewraca oczami. To moja Katarzyna, myśli, wciąż nie straciła poczucia humoru.

– To wszystko – grzmi Seymour i macha dłonią, żeby go odprawić.

Ale nagle Katarzyna krzyczy niskim, zwierzęcym głosem i wody odchodzą jej z chlupotem. Seymour podskakuje, machając rękami, z pełnym strachu obrzydzeniem na twarzy.

– Sprowadzę akuszerkę – mówi Huicke, śmiejąc się w duchu ze znanego z odwagi Seymoura, który teraz tak panikuje.

Krople wody ściekają na podłogę.

– Nie, nie. – Seymour prawie krzyczy. – Ja pójdę. Zostań z nią. – I wybiega z pokoju.

Kiedy drzwi się zatrzasną, oboje wybuchają śmiechem.

– Mężczyźni! – rzuca Huicke, poprawiając poduszki, żeby Katarzyna miała wygodnie.

– Boję się rozwiązania. Nie jestem już pierwszej młodości...

Huicke kładzie palec na jej ustach.

– Sza, wiele kobiet w twoim wieku rodzi bezpiecznie. Trzydzieści sześć lat to nie starość, Kit, a ty jesteś silna. Poddaj się temu, pozwól naturze robić swoje.

Lizzie Tyrwhitt przybywa z małą armią, łącznie z akuszerką. Wszystkie są w fartuchach, niosą ręczniki, czyste płótna i miski z wodą.

– Proszę, doktorze, na razie nie będzie tu mężczyzn.

Huicke przed wyjściem całuje Katarzynę w czubek głowy, wdychając zapach suszonych fiołków.

Jane Grey stoi za drzwiami; jej twarz wyraża troskę. Jest za młoda, by być przy porodzie. Huicke prowadzi ją do ławki pod oknem i rozmawiają przez chwilę, słuchając kroków Seymoura, który krąży w korytarzu na dole. Jęki z komnaty stają się coraz częstsze i bardziej nagłe, a przy każdym z nich Jane krzywi się ze współczuciem.

– Lubisz królową, prawda? – mówi Huicke.

– O tak, bardzo ją kocham.

– Ja też, Jane, ja też. Jest jednym z tych rzadkich stworzeń, których nie można nie kochać.

– Doktorze. – Jane patrzy na niego okrągłymi jasnymi oczami. – Czy wierzysz w nową mapę wszechświata?

– Tak. – Huicke myśli, że dziewczynka jest nad wiek rozwinięta.

– Cóż, ja myślę o królowej jak o Słońcu, wokół którego krążymy my wszyscy.

– Sam nie mógłbym ująć tego lepiej, Jane.

Niedługo potem odsyła ją, mimo jej protestów, bo nie chce, żeby wystraszyły ją przeraźliwe krzyki Katarzyny. Jest bezsilny, lecz nie może się zmusić, by odejść,

więc czeka i czeka, przez całą noc, aż do rana. Za każdym razem, gdy któraś kobieta opuszcza pokój, idąc po czyste płótna, by zmienić wodę albo przynieść posiłek dla kobiet, zrywa się z ławki i zagląda do sypialni, patrząc jej w oczy. Katarzyna za każdym razem odpowiada mu, nieznacznie kręcąc głową. Biedna Kit, tak długo to trwa.

Czeka, czując się bezradny, bo wie, że mimo swojej wiedzy medycznej nie może jej pomóc. Mija kolejny dzień, koszmarne powoli. Jest gorąco i parno, jakby zbierało się na burzę. Zapada noc i Huicke zdaje sobie sprawę, że nic nie jadł, ale nic nie przeszłoby mu przez ściśnięte gardło.

Minuty dłużą się w nieskończoność. Jęki Katarzyny przeszywają go jak noże. Po raz pierwszy zastanawia się, czy przyjaciółka przeżyje.

Gdy o świcie zaczynają śpiewać pierwsze ptaki, z komnaty wypada Lizzie Tyrwhitt, blada z wycieńczenia, ale uśmiechnięta.

– Doktorze, królowa powiła córkę. Sprowadzę lorda admirała.

W tym momencie Huicke czuje, że nie może powstrzymać łez, i dopiero wtedy uświadamia sobie, jak wielki był jego niepokój.

Katarzyna ma córkę.

Jest matką.

*Zamek Sudeley, Gloucestershire, wrzesień 1548*

ŁUDZIE SNUJĄ SIĘ PO KOMNACIE jak cienie. Katarzyna słyszy szepty, szurania i delikatne ciurkanie przelewanego płynu. Czuje coś w ustach. Jest chłodne i sływa jej do gardła. Jej umysł błądzi i pomyka. Jakby balansowała na krawędzi świadomości. Jest rozpalona, płonie cała i boi się, że to już ogień piekielny, a potem przypomina sobie o dusznym letnim upale.

– Gdzie Huicke? – szepcze. – Muszę zobaczyć mojego lekarza.

Nie może zatrzymać myśli, ulatują z jej głowy jak porywane przez wiatr płatki zwiędłej róży. Odrzuca kołdrę. Tu jest jak w piecu.

– Otwórz okno – chrypi, choć nie jest do końca pewna, czy z jej ust wydobywa się jakiś dźwięk.

Dziewczynka macha wachlarzem; ruch powietrza chłodzi wilgotną od potu skórę Katarzyny i nagle ziąb przenika ją do szpiku kości.

– Meg?

– Jestem Jane – mówi dziewczynka.

Teraz Katarzyna to widzi: jasne okrągłe oczy, łabędzia szyja, to wcale nie Meg.

Słyszy strzępy cichej rozmowy. Maria Seymour – pamięta, że nadała dziecku imię pasierbicy. Moja córka, myśli, wciąż ledwie w to wierząc.

– Jane. – Nagle ogarnia ją strach o dziecko. – Jane, czy mała Maria ma się dobrze?

– Tak, dobrze. Mamka ją karmi.

– Chciałabym ją przytulić. – Katarzyna pragnie poczuć na twarzy miękkie meszek na ciemieniu córeczki, chce wdychać jej zapach.

– Nie można przeszkadzać tygodniowemu oseskowi, gdy jest karmiony. – To mówi apodyktyczna Lizzie Tyrwhitt.

Katarzyna rozpaczliwie pragnie dotknąć swojego dziecka, poczuć, jak zaciska maleńką piąstkę wokół jej palca, zobaczyć obrzmiały od ssania maleńki pączek ust. Rozłąka jest nie do zniesienia. Próbuje usiąść, wstać z łóżka, ale jej ciało jest bezwładnym ciężarem.

– Już dobrze, dobrze. – Czuje, jak sprawne dłonie Lizzie układają ją z powrotem na poduszkach. – Dostaniesz ją, madame, po karmieniu.

– Gdzie jest Dot? – pyta. – A Elżbieta? Gdzie moje dziewczęta?

– Dot tu nie ma – mówi Jane. – Jest w Coombe Bottom w Devonie, zapomniałaś?

Katarzyna nie może jednak zatrzymać wspomnień. Są śliskie jak ryby i wymykają jej się z palców, gdy myśli, że już je ma.

– Ale Elżbieta jest tutaj...

– Elżbieta jest w Cheshunt u lordostwa Denny.

Twarz Jane faluje i traci ostrość, jakby widziana przez wodę. Katarzyna zamyka oczy i pozwala sobie odpłynąć.

– Gorączka połogowa... – słyszy, jak Lizzie mówi do kogoś przyciszonym głosem.

To Seymour czy Henryk? Seymour, bo przecież Henryka już nie ma.

A więc umieram, myśli z przerażeniem, zastanawiając się, tak jak dawniej, któremu mężowi będzie towarzyszyć w rajcu – o ile tam pójdzie. Nie może myśleć o tym drugim miejscu. Czy będzie to największy z jej mężów? Nie, Henryk będzie miał u boku Jane Seymour. Czy może więc ten najnowszy, ojciec jej córki? W milczeniu błaga Boga, żeby nie wiązał jej z Seymourem na całą wieczność. Ma nadzieję, że to będzie Latimer, bo z nim była najdłużej. Drogi Latimer, ten, którego zabiła; ta myśl potęguje jej lęk. Widzi jego twarz – może wyszedł jej na spotkanie.

Ale to jest Huicke. Jego oczy są zamglone smutkiem.

Katarzyna zastanawia się dlaczego i po chwili rozumie, że to z jej powodu; przypomina sobie, że umiera. Bierze go za rękę i przyciąga bliżej, tak żeby miał ucho przy jej ustach.

– Huicke, on mnie otruł.

Nie wie, dlaczego to wyszeptala i skąd się to wzięło. Ale czuje coś w sobie, wstąpiło w nią coś złego. Wracają do niej słowa męża: „Chcę wiedzieć, co dajesz

mojej żonie”.

– Chce się mnie pozbyć, żeby poślubić El...

Nie, mówi do siebie w duchu i urywa. Myślę o tym, co zrobiłam Henrykowi, Latimerowi. Ale coś w nią wstąpiło i odbiera jej siły. Kto to tam umieścił? Czuje czerń tamtego miejsca, niczym zimny cień w kącie oka.

– Huicke – szepcze mu do ucha – czy ja otruję króla?

– Nie, Kit, nie otruję.

Czuje, jak gładzi ją po włosach. A ona unosi się, ślizga, spada.

– Odchodzę, Huicke. Sprowadź Parkhursta. Już pora.

Później Seymour siedzi obok niej na łóżku, ściskając jej dłoń. Katarzyna czuje, że się dusi, próbuje się uwolnić. Lizzie wyciera jej twarz chłodną szmatką. Zimna wilgoć działa kojąco.

– Nie mam dobrej opieki – szepcze do Lizzie. Słyszy odgłos płukania szmatki w misce. – Nikt o mnie nie dba. – Próbuje ruchem głowy wskazać męża, bo to o nim mówi. – Śmieję się z mojego nieszczęścia...

– Ależ skąd, kochanie – odzywa się ktoś przesłodzonym głosem. – Nie zrobiłbym ci krzywdy.

To Seymour. Objął ją ramieniem; jest ciężkie, naciska na nią jak wielka żelazna kończyzna. Katarzyna spycha je, odsuwając się od niego, charcząc z wysiłku.

– Nie, Tomaszu. Sądzę, że byś zrobił – słyszy swoją odpowiedź.

Rozlega się stłumiony szloch. Kto płacze? Czuje łzy na policzku blisko miejsca, gdzie Seymour właśnie złożył pocałunek.

– Dałabym tysiąc funtów, by wcześniej zobaczyć się z Huickiem, ale nie śmiałam cię prosić, z obawy, że wywołam twoje niezadowolenie – mówi, zaskoczona wyraźnym brzmieniem swojego głosu. Ciszej dodaje: – Myślę, że twoje łzy biorą się z poczucia winy, a nie z rozpacz.

– Kochanie... – zaczyna Seymour, a potem jakby brakuje mu słów.

Katarzyna czuje woń cedru i piżma – jego zapach. Jest nieznośnie mdły. Nie chce, żeby to była ostatnia doczesna rzecz, którą czuje.

– Idź – mówi i robi jej się lżej, gdy Seymour odchodzi; jest coraz lżejsza, jak rozwiewana przez wiatr puchowa kula dmuchawca.

Nadchodzi Parkhurst z drewnianym krzyżem zwisającym z szyi. Katarzyna wpatruje się w krzyż, nieruchomy punkt w wirującym świecie. Parkhurst trzyma ją za rękę, żeby nie odpłynęła.

– Czy Bóg mi wybaczy? Mam tak wiele grzechów na sumieniu.

Jego habit pachnie niedawno zdmuchniętymi świecami. Słyszy kapłana odprawiającego rytuał, czuje na czole miękkie muśnięcie jego dłoni.

– Na pewno zostaną ci wybaczone – szepcze Parkhurst.

Katarzyna wzdycha i płynie, wypuszczając z płuc powietrze.

# Epilog



*Coombe Bottom, Devon, marzec 1549*

JEJ CÓRECZKA MA CZTERY MIESIĄCE. Dot patrzy na Małą Min, jak spaceruje po plaży, z jej dzieckiem w ramionach, pilnując dwójki swoich dzieci, które drepczą za nią wzdłuż skraju wody. Dot jest w ogrodzie, przycina zioła na grządce. Jej bransoletka połyskuje w słońcu; to ta, którą dała jej Katarzyna przed rozstaniem. Nigdy jej nie zdejmuje. Wiadomość o śmierci Katarzyny dosłownie ją ogłuszyła; bała się, że oszaleje z rozpaczy. Myśl, że nie ma jej już na ziemi, była dla niej nie do zniesienia. Wspominała ludzi, których utraciła: najpierw ojciec, który spadł z dachu, i słodka Letty, jej przyjaciółka z dzieciństwa, później Meg, a teraz Katarzyna, wszyscy odeszli przedwcześnie. I wszyscy mówili do niej: „Pewnego dnia znowu będziemy razem”.

Ale co, jeśli niebo i piekło są tylko wymysłami, które ludzie opowiadają sobie nawzajem jak historie o Camelocie? To zbyt trudne jak na jej głowę.

Narodziny dziecka, ukochanej malutkiej Meg, pomogły jej odzyskać zdrowy rozsądek. I oczywiście William; jej William Savage był dla niej ostoją, a malutka Meg nitką, która ją z nim łączyła. „Nie myśl tak dużo, Dot – mówił William. – Jeśli pozwolisz tym myślom szaleć, zupełnie się zatracisz”.

Oczywiście ma rację; są rzeczy, o których lepiej nie myśleć.

Mała Min i dzieci opatulają się szczelniej, bo wiatr jest rześki. Nadchodzi przyływ i za godzinę plaża znajdzie się pod wodą. Dot pokochała morze, jego bezustanne przyływy i odpływy, jego dźwięk, jakby szum wiatru w liściach. Mała Min biega w kółko, a dzieci ją gonią. Wiatr przynosi strzępy ich śmiechu. Mała Min już nie jest mała – jest o dobre dwa cale wyższa od niej, ale przydomek pozostał.

Dot z przyjemnością poznawała siostrę. Nigdy nie myślała o tym, jak bardzo rodzina może odcisnąć swoje piętno. Min przez połowę czasu chodzi z głową w obłokach, niczego się nie boi i czasami wcześniej coś zrobi, niż pomyśli.

„Impulsywna parka”, tak nazywa je William, bo lubią zrzucać buty i pończochy, podkasują spódnice jak wiejskie dziewczki i idą szukać małży na płycznach, nie dbając o to, że moczy je słona woda. A kiedy tej zimy spadł śnieg, wzięły z kuchni największe tace i zjeżdżały na nich ze wzgórza na plażę – czegoś takiego nigdy, przenigdy nie powinny robić damy.

Ale pod wieloma względami Min różni się od Dot. Nie interesuje jej nauka czytania, ma w nosie opowieści. Lubi śpiew i często wtóruje Williamowi, kiedy ten wieczorami gra na wirginalu. To Dot uczy dzieci liter, przegląda z nimi książki, poprawia błędy, pomaga im wymawiać litery; zawsze przypomina jej to Katarzynę, która robiła to samo dla Meg i Elżbiety.

Tu, w Devonie, nie są daleko od dworu i docierają do nich wiadomości. William, który często jest tam wzywany, żeby grać dla króla i wypełniać różne inne obowiązki, wraca, przywożąc plotki. Seymour został uwięziony w Tower za spisek: chciał poślubić lady Elżbietę bez zgody rady, co jest zdradą stanu.

„Oto człowiek, który pozwolił, żeby ambicja wzięła nad nim górę”. Tak ujął to William.

Dot pamięta słowa, które Elżbieta powiedziała w sadzie w Chelsea. „Założę się o całe złoto chrześcijańskiego świata, że gdyby jutro królowa padła martwa, Seymour zapukałby do moich drzwi”. On pójdzie za to pod topór, tak mówi William. Elżbieta została przesłuchana i mało brakowało, a też straciłaby głowę. Dot mimo wszystko trochę żałuje dziewczyny, popychanej to w tę, to w tamtą stronę, wynoszonej na wyżyny i zrucanej na dół, a później krytykowanej za to, że stała się taka, jaka się stała – i bez chwili niewinności w całym życiu. Co więcej, gdy naprawdę o tym myśli, jest przekonana, że mogłaby wybaczyć Elżbiecie. Ale nie myśli o tym zbyt często.

Zastanawia się, co będzie z córką Katarzyny, osieroconą małą Marią Seymour, gdy jej ojca spotka w Tower zasłużona kara. William mówi, że mała ma trafić pod opiekę Cat Brandon, ponieważ jej dom odpowiada randze dziewczynki. Chciałaby, żeby Maria Seymour mogła przyjechać do Coombe Bottom i wychowywać się tutaj; nauczyłaby się doić krowę, jeździć na oklep na kucyku i zbierać muszle na plaży podczas odpływu; wyobraża ją sobie z dziećmi, których śmiech słyszy na wietrze. Ale Maria Seymour jest córką królowej i musi zostać odpowiednio wychowana.

Dot patrzy na fale, czerpiąc pociechę z myśli, że dzięki swojej córeczce Katarzyna w pewnym sensie żyje i że nawet gdy oni wszyscy obrócą się w proch, te historie będą dalej toczyć się w czasie – bezkresnym jak morze.



# Postacie



(W porządku alfabetycznym, poczynając od imienia bądź nazwiska najczęściej występującego w powieści).

ANNA BOLEYN (ok. 1504–1536) – zwana również Nan Bullen. Druga żona Henryka VIII; matka Elżbiety Tudor; reformatorka religijna; oskarżona o kazirodczy związek z bratem i cudzołóstwo z kilkoma dworzanami, co uznano za zdradę stanu, chociaż zarzuty są mało prawdopodobne; została ścięta.

ANNA HERBERT (ok. 1515–1552) – hrabina Pembroke; młodsza siostra Katarzyny Parr; żona Williama Herberta; służyła wszystkim królowym Henryka VIII; reformatorka religijna.

ANNA KLIWIJSKA (1515–1557) – czwarta żona Henryka VIII; małżeństwo unieważnione z powodu nieskonsumowania.

ASKEW ANNA (ok. 1520–1546) – żarliwa ewangelizatorka, podejrzewana o powiązania z dworem królowej; spalona na stosie za herezję.

ASTLEY KATARZYNA (ok. 1502–1565) – z domu Champernowne; guwernantka Elżbiety Tudor; próbowała doprowadzić do małżeństwa Elżbiety i Tomasza Seymoura, czego omal nie przypłaciła życiem.

BRANDON CAT (1520–1580) – księżna Suffolk (z domu Willoughby de Eresby); gorliwa reformatorka religijna i przyjaciółka Katarzyny Parr; macocha Frances Brandon i żona dziadka lady Jane Grey.

BRANDON FRANCES (ok. 1519–1559) – Frances Grey, hrabina Dorset; żona markiza Dorset; siostrzenica Henryka VIII; córka księcia Suffolk

i siostry króla Marii Tudor; matka lady Jane Grey; reformatorka religijna.

BURGH EDWARD (zm. przed 1533) – z Gainsborough Old Hall; pierwszy mąż Katarzyny Parr.

CRANMER THOMAS (1489–1556) – arcybiskup Canterbury; reformator religijny spalony za herezję za panowania Marii Tudor.

DENNY ANTHONY (1501–1549) – lord Denny; powiernik Henryka VIII i członek Tajnej Rady; szwagier pani Astley.

DOUGLAS MAŁGORZATA (1515–1578) – hrabina Lennox; siostrzenica Henryka VIII; córka Małgorzaty Tudor, królowej Szkocji, i jej drugiego męża, Archibalda Douglasa; przyrodnia siostra króla Szkocji Jakuba V i ciotka Marii, królowej Szkotów; uwięziona za związek z Tomaszem Howardem, przyrodnim bratem księcia Norfolk; wywołała skandal romanssem z Charlesem Howardem, bratem Katarzyny Howard; poślubiła hrabiego Lennox, drugiego w sukcesji do szkockiego tronu, co stanowiło polityczny zamach stanu i symboliczny przyczółek w Szkocji dla Henryka VIII.

EDWARD TUDOR (1537–1553) – jedyny syn Henryka VIII; wstąpił na tron jako Edward VI, mając zaledwie dziewięć lat.

ELŻBIETA TUDOR (1533–1603) – młodsza córka Henryka VIII; uznana za nieślubne dziecko, gdy Henryk rozwiódł się z jej matką, Anną Boleyn; późniejsza Elżbieta I.

FOWNTEN DOT (daty nieznane) – Dorothy Fountain; służąca Małgorzaty Neville i Katarzyny Parr; poślubiła Williama Savage'a.

GARDINER STEPHEN (ok. 1493–1555) – biskup Winchesteru; członek Tajnej Rady Henryka VIII; żarliwy katolik; próbował wraz z Wriothesleyem obalić Katarzynę Parr, co doprowadziło do jego tymczasowego upadku politycznego.

GREY JANE (1536/7–1554) – córka Frances Brandon i markiza Dorset; podopieczna Tomasza Seymoura; królowa Anglii przez niecałe dwa

tygodnie; stracona w wieku około siedemnastu lat na rozkaz Marii Tudor; żarliwa reformatorka religijna.

HENRYK VIII (1491–1547) – król Anglii; wstąpił na tron w 1509 roku.

HERBERT WILL (1501–1570) – „Dziki” Will; późniejszy hrabia Pembroke; mąż Anny Parr i szwagier Katarzyny Parr; znany jako genialny taktyk wojskowy i odważny żołnierz; członek Tajnej Rady; reformator religijny.

HERTFORD (ok. 1506–1552) – Edward Seymour, hrabia Hertford; później książę Somerset i lord protektor Anglii; najstarszy wuj księcia Edwarda, późniejszego Edwarda VI; brat Tomasza i Jane Seymour; szwagier Henryka VIII; mąż Anny Stanhope; reformator religijny; stracony za zdradę.

HUICKE ROBERT (zmarł ok. 1581) – lekarz Henryka VIII i Katarzyny Parr; świadek ostatniej woli Katarzyny Parr.

JANE BŁAZEN (daty nieznane) – kobieta błazen, odnotowana na listach uposażeń królewskich za panowania Henryka, Marii i Elżbiety; wiadomo o niej tylko tyle, że mogła nosić nazwisko Beddes lub Bede.

JANE SEYMOUR (ok. 1508–1537) – trzecia żona Henryka VIII; matka księcia Edwarda, późniejszego Edwarda VI; zmarła w połogu; z woli Henryka pochowano go przy niej jako jedynej żonie, która dała mu syna.

KATARZYNA ARAGOŃSKA (1485–1536) – pierwsza żona Henryka VIII; wcześniej żona jego starszego brata Artura, księcia Walii, zmarłego przed wstąpieniem na tron; matka Marii Tudor; małżeństwo z Henrykiem zostało unieważnione, czego nie uznali katolicy.

KATARZYNA HOWARD (ok. 1525–1542) – piąta żona Henryka VIII; stracona w wieku około siedemnastu lat za cudzołóstwo, uważane za zdradę stanu.

KATARZYNA PARR (ok. 1512–1548) – szósta żona Henryka VIII; siostra Williama Parra i Anny Herbert; matka Marii Seymour; zmarła w połogu; reformatorka religijna.

LATIMER (1493–1543) – Jan Neville, lord Latimer; drugi mąż Katarzyny Parr; ojciec Meg Neville; kontrowersyjnie i być może niechętnie zaangażowany w katolickie powstanie zwane Pielgrzymką Łaski; ułaskawiony przez Henryka VIII.

MARIA TUDOR (1516–1558) – córka Henryka VIII i Katarzyny Aragońskiej; zagorzała katoliczka; uznawana za bękarta; później królowa Maria I, zwana Krwawą Marią.

MEG NEVILLE (ok. 1526–ok. 1545) – Małgorzata Neville; córka lorda Latimera; pasierbica Katarzyny Parr; reformatorka religijna.

ODELL MARY (ok. 1528–1558) – służąca Katarzyny Parr jako królowej wdowy.

PAGET (ok. 1506–1563) – sir William Paget, sekretarz Tajnej Rady; sojusznik biskupa Gardinera.

PARR WILL (1513–1571) – hrabia Essex, a następnie markiz Northampton; członek Tajnej Rady; brat Katarzyny Parr; przez wiele lat próbował uzyskać rozwód z żoną Anną Bourchier za cudzołóstwo, by poślubić Elisabeth Brooke; reformator religijny.

ROBERT DUDLEY (1532–1588) – późniejszy hrabia Leicester; faworyt Elżbiety I.

SAVAGE WILLIAM (daty nieznane) – muzyk na dworze Henryka VIII i Edwarda VI; poślubił Dorothy Fountain.

SEYMOUR MARIA (1548–?; brak zapisków o niej po 1550) – córka Katarzyny Parr i Tomasza Seymoura; po straceniu jej ojca wychowywana w domu Cat Brandon.

SEYMOUR TOMASZ (ok. 1509–1549) – baron Seymour z Sudeley i lord wysoki admirał; pogromca serc niewieścich; czwarty mąż Katarzyny Parr; brat Hertforda i Jane Seymourów, tym samym szwagier Henryka VIII; stracony m.in. za próbę poślubienia Elżbiety Tudor.

SOMMERS WILL (zm. 1560) – nadworny błazen Henryka VIII.

STANHOPE ANNA (ok. 1510–1587) – hrabina Hertford; księżna Somerset; żona Hertforda, tym samym szwagierka Tomasza i Jane Seymourów; podobno nieprzyjemna i ambitna; reformatorka religijna; być może dała Annie Askew proch strzelniczy, by przyspieszyć jej śmierć na stosie.

SURREY HENRYK HOWARD (ok. 1516–1547) – hrabia Surrey; spadkobierca księcia Norfolk; poeta, wraz z Thomasem Wyattem wprowadził w Anglii formę sonetu; stracony na podstawie sfigowanych zarzutów dotyczących prawa do noszenia pewnych herbów królewskich, a najprawdopodobniej dlatego, że w swoich ostatnich dniach Henryk VIII obawiał się potęgi rodziny Howardów.

TYRWHITT LIZZIE (zm. ok. 1587) – lady Elżbieta Tyrwhitt; dama dworu Katarzyny Parr jako królowej; obecna przy jej łożu śmierci.

UDALL NICHOLAS (ok. 1504–1556) – dramaturg i intelektualista; autor sztuki *Ralph Roister Doister* uważanej za pierwszą angielską komedię; rektor Eton, zwolniony ze stanowiska z niesprecyzowanych „niemoralnych” powodów; przyjaciel Katarzyny Parr; reformator religijny.

WRIOTHESLEY THOMAS (1505–1550) – hrabia Southampton; lord kanclerz Henryka VIII; był sojusznikiem Thomasa Cromwella, ale po jego śmierci sprzymierzył się z Gardinerem; zagorzały konserwatysta katolicki; dołączył do Gardinera w nieudanym spisku mającym na celu obalenie Katarzyny Parr.

Starałam się, w miarę możliwości, wiernie przedstawić znane fakty, wydarzenia i ludzi z tamtego okresu. Tylko niektóre z pomniejszych postaci, stajenni, zarządcy i Betty Melcher, dziewczyna o niewyparzonym języku, są całkowicie moim wymysłem. Wprawdzie historia Katarzyny w zamku Snape jest udokumentowana, ale Murgatroyd też jest postacią wymyśloną.

Z największą swobodą podeszłam do postaci Dot i Huicke’a. Prawie nic nie wiadomo o Dorothy Fountain, poza tym, co napisałam powyżej. Z pewnością wywodziła się z wyższego stanu niż stworzona przeze mnie bohaterka, i nie ma żadnego dowodu, że doktor Huicke był homoseksualistą. Jednak *Rozgrywka królowej* jest powieścią i wszyscy moi bohaterowie są fikcyjni.

# Ważne daty



- 1509 Henryk VIII został królem (21 kwietnia).  
Henryk VIII ożenił się z wdową po swoim bracie, Katarzyną Aragońską (11 czerwca).  
Urodził się Tomasz Seymour.
- 1512 Urodziła się Katarzyna Parr (prawdopodobnie sierpień).
- 1513 Urodził się William Parr.
- 1515 Urodziła się Anna Parr (data przybliżona).
- 1516 Urodziła się Maria Tudor (18 lutego).
- 1527 Henryk VIII zaczął domagać się unieważnienia ślubu z Katarzyną Aragońską, twierdząc, że jej wcześniejsze małżeństwo z jego bratem unieważniło ich związek w oczach Boga (tzw. wielka sprawa króla).
- 1529 Katarzyna Parr poślubiła Edwarda Burgha (prawdopodobnie późną wiosną).
- 1533 Henryk VIII poślubił Annę Boleyn (25 stycznia).  
Zmarł Edward Burgh (wiosna).  
Urodziła się Elżbieta Tudor (7 września).
- 1534 Henryk VIII w akcie supremacji został ogłoszony Najwyższą Głową Kościoła Anglii (23 marca).  
Tytuł Katarzyny Aragońskiej został zmieniony na księżnę wdowę Walii.  
Maria Tudor została uznana za nieślubne dziecko.  
Katarzyna Parr poślubiła lorda Latimera (latem).

- 1535 Thomas Cromwell został głównym sekretarzem króla i głównym ministrem.  
Rozpoczęła się kasata klasztorów.  
Tomasz Morus został stracony za odmowę uznania aktu sukcesji i Henryka VIII jako głowy Kościoła (6 lipca).
- 1536 Zmarła Katarzyna Aragońska (7 stycznia).  
Anna Boleyn została stracona (19 maja).  
Elżbieta Tudor została wyłączona z sukcesji.  
Henryk VIII poślubił Jane Seymour (30 maja).  
Pielgrzymka Łaski; Północ powstała w proteście przeciwko reformom religijnym (wrzesień–grudzień).  
Katarzyna Parr (wówczas lady Latimer) została wzięta jako zakładniczka w zamku Snape.
- 1537 Stracono dwustu szesnastu buntowników z Północy.  
Ułaskawiono lorda Latimera.  
Urodził się Edward Tudor, następca tronu (12 października).  
Jane Seymour zmarła na gorączkę połogową (24 października).
- 1539 Uchwalono ustawę Cromwella o rozwiązanie największych klasztorów.  
Henryk VIII ekskomunikowany przez papieża (grudzień). Opublikowano pierwsze wydanie angielskiej Wielkiej Biblii (kwiecień).
- 1540 Henryk VIII poślubił Annę Kliwijską (6 stycznia).  
Małżeństwo z Anną Kliwijską anulowane z powodu nieskonsumowania (9 lipca).  
Henryk VIII poślubił Katarzynę Howard (28 lipca).  
Thomas Cromwell został stracony (28 lipca).
- 1541 Egzekucja Katarzyny Howard (13 lutego).
- 1542 Pogrom Szkotów w Solway Moss (24 listopada).  
Urodziła się Maria Stuart (8 grudnia).  
Zmarł Jakub V, król Szkocji; jego córka, mająca sześć dni Maria Stuart, została królową Szkotów (14 grudnia).
- 1543 Zmarł lord Latimer (marzec).  
Henryk VIII poślubił Katarzynę Parr (12 lipca).  
Podpisanie traktatu anglo-cesarskiego, zobowiązania do wspólnego

ataku na Francję.

Wzlot konserwatystów religijnych, w tym Gardinera, biskupa Winchesteru; na mocy ustawy prawo do czytania Biblii po angielsku przyznano wyłącznie członkom klas zamożnych.

Spalono trzech kaznodziejów luterańskich (4 sierpnia).

1544 Elżbieta i Maria Tudor zostały włączone do dziedziczenia tronu, choć żadnej nie uznano za dziecko z prawego łoża.

Thomas Wriothesley mianowany lordem kanclerzem (3 maja).

Zwycięstwo w Szkocji; Edward Seymour, hrabia Hertford, pali Edynburg (3–15 maja).

Wojna brytyjsko-cesarska przeciwko Francji; oblężenie Boulogne; Katarzyna Parr rządzi jako regentka (19 lipca – 18 września).

Cesarz zawiera tajny traktat z Franciszkiem I, pozostawiając Anglię, by sama walczyła z Francją.

1545 Flota francuska i angielska stoczyły bitwę w pobliżu Portsmouth; zatonał okręt *Mary Rose* (19 lipca).

1546 Anna Askew spalona za herezję (6 lipca).

Gardiner i Wriothesley próbowali doprowadzić do upadku Katarzyny Parr (lipiec i sierpień).

1547 Egzekucja hrabiego Surrey (19 stycznia).

Zmarł Henryk VIII (28 stycznia).

Śmierć króla ogłoszono trzy dni później.

Edward VI został królem, z Edwardem Seymourem (późniejszym księciem Somerset) jako lordem protektorem (31 stycznia).

Thomas Wriothesley, wówczas hrabia Southampton, został odwołany ze stanowiska lorda kanclerza (6 marca).

Katarzyna Parr potajemnie wyszła za Tomasza Seymoura, wówczas lorda Sudeley i lorda admirała (wiosna).

Został uwięziony biskup Gardiner (5 września).

1548 Elżbieta Tudor została wysłana do Cheshunt, by uniknąć skandalu dotyczącego jej nieobyczajnego zachowania z Tomaszem Seymourem (maj).

Urodziła się Maria Seymour, córka Katarzyny Parr i Tomasza Seymoura (30 sierpnia).

Katarzyna Parr zmarła na gorączkę połogową (5 września).



1549 Tomasz Seymour został stracony (20 marca).

# Literatura uzupełniająca



Dziękuję trzem biografkom Katarzyny Parr – Susan James, Lindzie Porter i Elizabeth Norton – ich historyczne wykopaliska zapewniły mi szkielet, wokół którego mogłam zbudować *Rozgrywkę królowej*.

Jestem wdzięczna także niżej wymienionym autorom, których prace pomogły mi zrekonstruować świat przypominający ten dworu Tudorów.

Baldwin Smith Lacey, *Treason in Tudor England: Politics and Paranoia*, Pimlico, Londyn 2006.

Boorman Tracy, *Elizabeth's Women*, Vintage, Londyn 2010.

Dickson Wright Clarissa, *A History of English Food*, Random House, Londyn 2011.

Doran Susan, *The Tudor Chronicles 1485–1603*, Quercus, Londyn 2008.

Duffy Eamon, *The Voices of Morebath: Reformation and Rebellion in an English Village*, Yale University Press, New Haven 2001.

Emerson Kathy Lynn, *A Who's Who of Tudor Women*,  
<http://www.kateemersonhistoricals.com/TudorWomenIndex.htm>, 2008–2012.

Fraser Antonia, *The Weaker Vessel: Woman's lot in seventeenth-century England*, Heinemann, Londyn 1984.

Frye Susan i Robertson Karen (red.), *Maids and Mistresses, Cousins and Queens: Woman's alliances in Early Modern England*, Oxford University Press, Nowy Jork i Oksford 1999.

- Haynes Alan, *Sex in Elizabethan England*, Sutton Publishing Ltd, Stroud 1997.
- Hutchinson Robert, *Ostatnie lata Henryka VIII. Spiski i zdrady na dworze tyrana*, tłum. Jan Hensel, Amber, Warszawa 2005.
- Hutson Lorna, *Feminism and Renaissance Studies*, Oxford University Press, Nowy Jork i Oksford 1999.
- Ives Eric, *Lady Jane Grey: A Tudor Mystery*, Wiley-Blackwell, Oksford 2009.
- James Susan, *Catherine Parr: Henry VIII's Last Love*, The History Press Ltd, Stroud 2008.
- McGrath Alister E., *Reformation Thought: An Introduction*, Wiley-Blackwell, Oksford 1998.
- Mikhaila Ninya i Malcolm-Davies Jane, *The Tudor Tailor*, Batsford, Londyn 2006.
- North Jonathan, *England's Boy King: The Diary of Edward VI, 1547–1553*, Ravenhall, Welwyn Garden City 2005.
- Norton Elizabeth, *Catherine Parr*, Amberley Publishing, Stroud 2010.
- Plowden Alison, *Tudor Women: Queens and Commoners*, Sutton Publishing Ltd, Stroud 1998.
- Porter Linda, *Katherine the Queen: The Remarkable Life of Katherine Parr*, Macmillan, Londyn 2010.
- Ridley Jasper, *A Brief History of The Tudor Age*, Constable & Robinson Ltd, Londyn 2002.
- Sim Alison, *Masters and Servants in Tudor England*, Sutton Publishing Ltd, Stroud 2006.
- *Pleasures and Pastimes in Tudor England*, Sutton Publishing Ltd, Stroud 2002.

— *The Tudor Housewife*, Sutton Publishing Ltd, Stroud 1996.

Somerset Anne, *Ladies in Waiting: From the Tudors to the Present Day*, Castle Books, Edison 2004.

Stone Lawrence, *The Family, Sex and Marriage in England 1500–1800*, Penguin, Londyn 1990.

Thomas Keith, *Religion and the Decline of Magic*, Weidenfeld & Nicolson, Londyn 1971.

Travitsky Betty S. i Cullen Patrick (red.), *The Early Modern Englishwoman*, tom 3: *Katherine Parr*, Scolar Press, Menston 1997.

Weir Alison, *Children of England: The Heirs of King Henry VIII 1547–1558*, Vintage, Londyn 2008.

— *The Six Wives of Henry VIII*, Pimlico, Londyn 1992.

Whitelock Anna, *Maria Tudor. Pierwsza królowa Anglii*, tłum. Beata Biały, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2019.

Withrow Brandon G., *Katherine Parr: A guided Tour of the Life and Thought of a Reformation Queen*, P&R Publishing, Philipsburg 2009.

# Podziękowania



Chciałabym podziękować wielu osobom, bez których *Rozgrywka królowej* być może nigdy by nie powstała: Katie Green za niezrównaną przejrzystość i wnikliwość; moim wydawcom, w szczególności Sam Humphreys za wiarę w moją powieść i subtelność jej redakcyjnych poprawek, a także Trish Todd, która potrafi dostrzec anachronizm z odległości stu kroków, za jej bezcenny wkład; mojej agentce Jane Gregory za słowa zachęty, gdy *Rozgrywka królowej* była tylko błyskiem w moim oku; Sarah Hulbert za nieskończoną cierpliwość i precyzję; Catherine Eccles za niezawodne wsparcie, przyjaźń i konstruktywne rady; Stephanie Glencross za cierpliwość podczas czytania kulawego pierwszego szkicu i Dianie Beaumont za to samo przy drugiej wersji; BAFTA Writers' Group za pomoc w zmaganiu się z surowym tekstem; i na koniec niezrównanemu George'owi Goodmanowi za rozpalenie pierwotnego pomysłu.